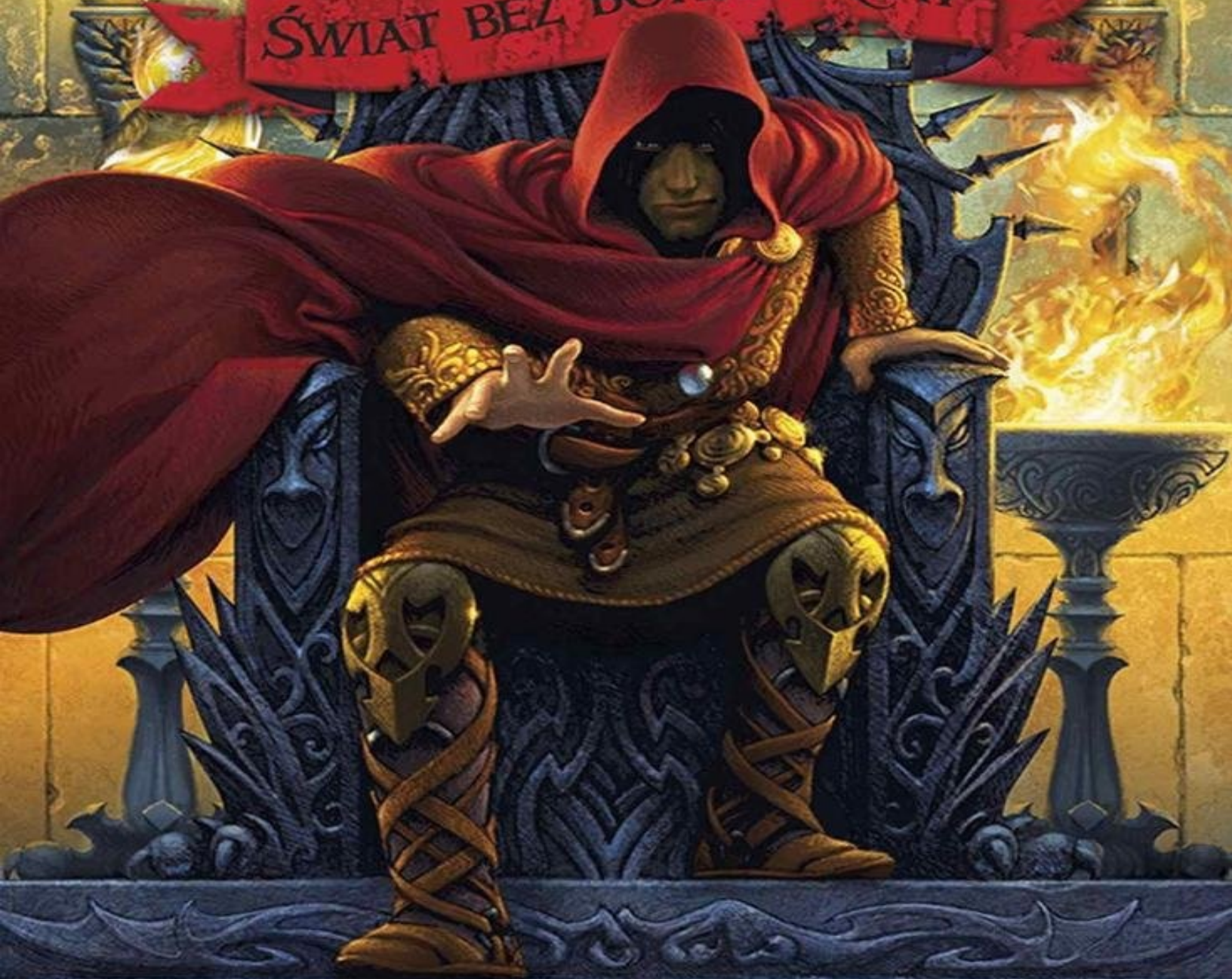


POZAŚWIATOWCY

ŚWIAT BEZ BOHATERÓW



BRANDON MULL

NR 1 NA LIŚCIE BESTSELLERÓW NEW YORK TIMESA

BRANDON MULL

ŚWIAT BEZ
BOHATERÓW

POZAŚWIATOWCY
TOM I

Po raz kolejny - dla Mary

Jedno wiekopomne zdanie może zagwarantować nieśmiertelność.

- Autor Nieznany

Prolog

Książę zwisał w ciemnościach. Ramiona go bolały, wiekowe kajdany wcinały mu się w nadgarstki, gdy próbował się przespać. Łańcuchy nie pozwalały mu się położyć. Nie był w stanie powiedzieć, czy tak naprawdę było jasno czy ciemno, ponieważ wrogowie ukradli mu wzrok.

W oddali usłyszał krzyk - niepoohamowany skowyt człowieka, który próbuje - bezowocnie - uciec od najstraszliwszej agonii. Te przerażające wrzaski dobiegały z wyższych korytarzy, tłumione przez przeszkody po drodze.

Po niezliczonych tygodniach w lochach Felrook książę potrafił odgadnąć, co musi czuć tamten człowiek. Nigdy w życiu nie wyobrażał sobie cierpienia tak różnorodnego i wyrafinowanego, jakiego doświadczył w tym miejscu.

Wyprostował się, zmniejszając nieco obciążenie na nadgarstkach. Był przekonany, że jeśli dłużej potrzymają go tutaj zakutego, odpadną mu ręce. Chociaż wolał obecne kwatery od poprzednich, gdzie podłoga jeżyła się od ostrych, zardzewiałych kolców, a wszelkie próby położenia się lub siedzenia wiązały się z przelaniem własnej krwi.

Niewidoczny, nieszczęsny więzień nadal krzyczał. Książę westchnął. Przez cały czas kiedy go torturowano, niezależnie od tego, jaką truciznę wiano mu przemocą do gardła, niezależnie od tego, jakie pytanie mu zadano, nie wypowiedział nawet jednego słowa. Nie krzyczał także z bólu. Wiedział, że niektóre z mikstur opracowanych przez Maldora albo jego sługusów były zdolne rozwiązać mu język i przyćmić umysł, więc kiedy go pochwycono, stanowczo poprzysiągł sobie nie wydać z siebie żadnego dźwięku.

Oprawcy nękali go naprawdę fachowo. Próbowali go przekupić jedzeniem i wodą. Próbowali przymusić go do mówienia bólem. Niektórzy zjawiali się i przemawiali doń spokojnie i rozsądnie. Inni występowali z kategorycznymi

żądaniami. Czasem musiał stawić czoło kilku inkwizytorom z rzędu. A innym razem godziny i dni ciągnęły się w nieskończoność między kolejnymi przesłuchaniami. Nie był w stanie nazwać różnorodności toksyn, jakie mu podano, ale niezależnie od tego, jak bardzo starano się zmącić mu myśli i osłabić determinację, książę koncentrował się na jednej konieczności: milczeniu.

W końcu przemówił. W głębi ducha czepiał się nadziei, że ostatecznie zostanie zaprowadzony przed oblicze cesarza. I wtedy wypowie jedno słowo.

Stopniowo, jak przez mgłę, do księcia zaczęło docierać, że odzyskuje niezwykłą jak na obecne warunki jasność umysłu. Ból głowy nie ustępował, głód nadal szarpał mu trzewia, ale książę odkrył, że może świadomie kierować myślami - uważał to za rzecz zupełnie naturalną, dopóki nie zaczęto faszerować jego posiłków dodatkami wpływającymi na pracę umysłu. Jeśli pominąć fakt, że nieustannie trzymał się naczelnej zasady zachowania milczenia, to w ciągu ostatnich tygodni jego myśli błądziły zupełnie bezwładnie, a poczucie tożsamości zaczęło się rozmywać.

Drzwi do celi otworzyły się ze skrzypieniem. Zesztywniał, gotując się na wszystko. Zachowaj milczenie, przestrzegł się w myślach. Choćby nie wiadomo co zrobili czy powiedzieli.

- No, proszę, proszę - usłyszał ciepły, znany mu głos. - Z każdym dniem wyglądasz coraz gorzej.

Książę nie odpowiedział. Do celi weszli także inni mężczyźni. Trzech, nie licząc tego, który mówił.

- Skoro masz mieć gościa, to lepiej, żebyśmy cię obmyli - kontynuował przyjazny głos prawie bez chwili przerwy.

Brutalne ręce rozpięły kajdany. Książę był skonsternowany. Nie myto go, odkąd trafił do lochów. Może to była jakaś sztuczka? A może wreszcie stanie przed obliczem cesarza?

Wielkie łapska chwyciły go za ramiona. Pociągnęły go do przodu, a potem pchnęły na kolana. Szorstkie szmaty tarły jego nagie ciało. Niebawem niewidoczne dłonie zaczęły przycinać mu zarost. Kilka minut później prosta brzytwa przesunęła się po policzkach.

Przytrzymało go dwóch mężczyzn, po jednym z każdego boku, co podsunęło

księciu myśl, jak mógłby ich zaatakować. Gdyby posłużył się nogami i uderzył w ich kolana, a potem dorwałby brzytwę, zdołałby dorzucić cztery trupy na swoje konto. Odkąd go uwięziono, zabił już sześciu strażników.

Nie. Nawet gdyby pokonał tych mężczyzn, bez wzroku nigdy nie zdołałby uciec z lochów. Za to mógłby zaprzepaścić audiencję u Maldora. Księżę zdrzął. Wielu jego najlepszych ludzi i najbliższych przyjaciół oddało życie, a on - mimo ich ofiary - zawiódł. Jego jedyną szansą na odkupienie było stanąć przed cesarzem.

- Wydajesz się dzisiaj wyjątkowo potulny. Czyżbyś wreszcie postanowił zostać wzorcowym więźniem?

W myślach księcia pojawiły się kąśliwie riposty. Od tak dawna mąciło mu się w głowie, że teraz kusiło go, by odpowiedzieć. Nie, nawet jeśli wydawało mu się, że myśli klarownie, i choćby to pytanie było niewinne, to, jeżeli złamie zasadę milczenia, w końcu oprawcy zmuszą go do zdradzenia tajemnic. Miał do przekazania tylko jedno słowo i wypowie je w obecności Maldora.

- Gotowy na spacer? Mężczyźni stojący po bokach pomogli księciu wstać, a potem wyprowadzili go z celi. Szedł, powłócząc nogami. Jak zawsze, brakowało mu oczu, ale z całą determinacją badał otoczenie pozostałymi zmysłami, zwracając uwagę na kierunek i temperaturę ciągu powietrza, akustykę korytarza, zapachy zgnilizny i płonących pochodni.

Po pewnym czasie usłyszał, że otwierają się drzwi, i wszedł do jakiegoś pomieszczenia. Eskorta zmusiła go do ukłęknięcia, nakładając mu okowy na kostki i nadgarstki, a potem zamykając ciężki, żelazny kołnierz na szyi. Strażnicy wyszli bez słowa. A przynajmniej część z nich. Jeden lub kilku mogło zostać potajemnie.

Mijały minuty. Godziny. W końcu drzwi celi otworzyły się i znowu zamknęły.

- Nareszcie ponownie się spotykamy - rozległ się znajomy głos.

Dreszcz przebiegł księciu po plecach. Maldor odwiedził Trensicourt wiele lat temu, próbując wynegocjować sojusz. Jako mały chłopiec księżę studiował każdy ruch tego człowieka - człowieka, który zdaniem jego ojca był bardzo niebezpieczny.

- Obiecałem, że pewnego dnia ukłęknieś przede mną - rzucił oschłym tonem cesarz.

Księżę poruszył ramionami - dość, żeby łańcuchy zabrzęczały.

- Owszem, wolałbym, abyś z własnej woli okazał mi szacunek - dodał cesarz. -
Może i na to przyjdzie czas. Rozumiem, że zapomniałeś języka w gębie.

Księżę się zawahał. Musiał mieć pewność. Poznał to słowo mocy ogromnym kosztem. Cesarz nie miał prawa podejrzewać, że księżę znał wszystkie sylaby. W przeciwnym wypadku nigdy nie zjawiłby się osobiście. Tylko czy to nie była jakaś sztuczka? Czy mówca nie podszywał się pod cesarza? Księżę wiedział, że będzie miał tylko jedną szansę.

- Nie widziałem potrzeby, by zwracać się do twoich podwładnych - powiedział księżę zaskoczony, jak chrapliwie i słabo zabrzmiał jego własny głos.

- Następca tronu Trensicourt mówi! - wykrzyknął Maldor. - Wdychałeś zrąca substancję, więc już zacząłem podejrzewać, że straciłeś zdolność artykułowania. Doprawdy masz żelazny charakter. Gdybym wiedział, że potrzebujesz jedynie mojej obecności, odwiedziłbym cię wcześniej.

Jeśli to był impostor, to naprawdę świetny.

- Co cię sprowadza do lochów?

Cesarz się zawahał.

- Zjawiłem się, żeby świętować koniec moich zmartwień.

- Masz jeszcze wiele królestw do podbicia - zaprotestował księżę. - Ja jestem tylko pojedynczym człowiekiem.

- Zwornikiem konstrukcji - mruknął cesarz. - Wystarczy go usunąć, żeby całość się zawaliła.

- Są jeszcze inni - upierał się księżę. - Przyjdzie czas, że oni powstaną.

- Mówisz, jakby już było po tobie. - Maldor się zaśmiał. - Przyjacielu, nigdy nie zamierzałem cię zabijać. Chciałem tylko udowodnić, że nie możesz mi się przeciwstawić, a do tego potrzebowałem po prostu cię pokonać. Boli mnie twój widok w tym stanie. Wolałbym odziać cię w strojne szaty i opatrzyć twe rany. Jak zapewne pamiętasz, już kiedyś ofiarowałem ci przyjaźń. Nie dość, że ją odrzuciłeś, to jeszcze podjąłeś walkę przeciwko mnie i podjudzałeś innych, by uczynili to samo.

- Nigdy nie pozyskasz mojej lojalności.

- Żałuję, że nie jesteś rozsądny - ubolewał cesarz. - Doskonale zdaję sobie sprawę, że nie dorównuje ci żaden z moich sług. Mógłbyś być moim głównym

przybocznym. Uczyniłbym cię lordem Trensicourt, a nawet więcej: mógłbyś swobodnie rządzić niczym król pod każdym względem prócz tytułu. Mógłbym zwrócić ci wzrok, przedłużyć życie. Mógłbyś dokonać wiele dobrego.

- A cały Lyrian znalazłby się pod twoim zwierzchnictwem - odparł książę. - Skąd mam wiedzieć, że to naprawdę ty? Straciłem oczy.

- Z pewnością poznajesz mój głos - odparł z rozbawieniem cesarz.

- Wiele lat temu rozmawiałeś ze mną w salonie Trensicourt. Pokazałem ci zabawkę.

- Zaczynamy bawić się w zagadki?

- Pamiętasz tę zabawkę?

- Nakręcana karuzela z wyjmowanymi konikami. Wyjąłeś z karuzeli emaliowanego konika, jak mi się zdaje, w większości niebieskiego, i poprosiłeś, żebym się z tobą pobawił.

Książę skinął głową. Tylko cesarz mógł znać te szczegóły. Kto inny by o nich słyszał. Książę prawie bez chwili pauzy wypowiedział Słowo, które trzymał w tajemnicy od chwili uwięzienia. Poczul jego moc, gdy opuściło jego usta, prawdziwe edomickie słowoklucz.

Książę czekał w ciemnościach.

- Cóż za przedziwny okrzyk - zauważył cesarz.

Przerażenie i konsternacja wyprowadziły księcia z równowagi. To słowo powinno być zgubą cesarza! Gorączkowo próbował je sobie przypomnieć, ale wypowiedzenie go na głos sprawiało, że znikało z pamięci.

- Wyglądasz na zatroskanego - rzucił Maldor.

- To słowo powinno było cię zniszczyć - szepnął książę, gdy umarły w nim resztki determinacji, a jego wewnętrzny świat skurczył się do zimnego zakątka, w którym pozostały tylko popioły nadziei.

Cesarz się roześmiał. - Dajże spokój, mój niezłomny książę, z pewnością nie mogłeś wierzyć, że nie jestem świadom celu twojej misji! W rzeczy samej, rozmawiamy, ale nie bezpośrednio. Korzystam z pośrednika. W końcu bycie czarnoksiężnikiem powinno wiązać się z pewnymi dobrodziejstwami! Mój emisariusz mówi z moją modulacją i z łatwością możemy porozumiewać się na

odległość. Ponieważ jednak nie jest mną, owo niebezpieczne słowo nie może wpłynąć na żadnego z nas. A teraz, kiedy straciłeś swą ostatnią broń, czy rozważysz moją propozycję?

- Nigdy - szepnął ksiązę.

Zostało mu tylko to jedno - nigdy nie pozwoli, by cesarz skłonił go do zmiany stron. Przynajmniej tyle był winien wszystkim, którzy w niego wierzyli.

- Jestem pod wielkim wrażeniem faktu, że nauczyłeś się Słowa - kontynuował cesarz. - Ty jesteś pierwszym. Dawno temu obiecałem sobie, że ten, kto nauczy się Słowa, zostanie zaproszony do najściślejszego kręgu moich współpracowników. Nie masz innego wyboru. Nie gin bez powodu. Dalszy opór nic ci nie da. Współpracuj ze mną, a nadal będziesz mógł dokonać wiele dobrego. Tym razem odpowiedz z namysłem, bo nie otrzymasz następnej szansy. W końcu dopiero co próbowałeś mnie zabić. A wstępne zapoznanie się z moimi gościnnymi lochami było łagodne z porównaniu z grozą, która jeszcze cię czeka.

Książę spuścił głowę i przez chwilę milczał. Tyle planów, zręcznych manewrów, śmiałych aliansów, szczęśliwych ucieczek o włos od klęski - a on zawiódł! Wypowiedział Słowo przed przynętą! Nawet przewidział taką możliwość, lecz ostatecznie Maldor go przechytrył i zniszczył, jak czynił nieodmiennie ze wszystkimi wrogami. Książę szukał w sobie nadziei lub wiary, ale niczego nie znalazł. Być może powinien pogodzić się z tym co nieuniknione. Nie był pewien, jak długo jeszcze zdoła zachować jasność umysłu w tym miejscu.

Uniósł głowę.

- Nigdy nie będę ci służył. Pokonałeś mnie, lecz nigdy mnie nie kupisz.

Był winien te słowa tym, którzy za niego zginęli. Był winien te słowa samemu sobie. Zostać zniszczonym to jedno, a on przynajmniej się nie poddał.

- Dobrze więc. Byłeś najlepszym z moich adwersarzy, to muszę ci przyznać. Wiedz jednak, że tu zostaniesz złamany. Możesz liczyć na mój podziw, ale nie na litość.

Rozległ się dźwięk oddalających się kroków i drzwi zatrzasnęły się z ostatecznością, z jaką opada płyta grobowca.

Rozdział 1

Hipopotam

Na przestrzeni wieków pojedyncze osoby przechodziły z naszego świata do Lyrianu na wiele sposobów. Chociaż niektórzy wędrowcy podróżowali między wszechświatami rozmyślnie, większość podróżników dawało się całkowicie zaskoczyć. Gubili się w głębokich jaskiniach, a gdy wreszcie wychodzili, rozpościerał się przed nimi niezajomy krajobraz. Przechodzili pod naturalnymi kamiennymi łukami, które niekiedy łączą nasze rzeczywistości. Wpadali do głębokich studni, wchodzili do przejść w pobliżu szczytów gór albo - rzadziej - przeczołgiwali się między skamieniałymi kłodami. Jednakże nikt nie przeszedł z Ziemi do Lyrianu w bardziej nieprawdopodobny sposób niż Jason Walker.

W wieku lat trzynastu Jason mieszkał w miasteczku Vista, w stanie Kolorado. Ponieważ jego ojciec robił wspaniałą karierę w dziedzinie stomatologii, a jego starszego brata właśnie przyjęto do szkoły medycznej o profilu stomatologicznym, większość osób z jego znajomych spodziewała się, że pewnego dnia Jason również zostanie dentystą. Rodzice otwarcie go do tego zachęcali. Te oczekiwania wpłynęły na Jasona, którego mgliste plany życiowe wiązały się ze zdobyciem basebalowego stypendium sportowego i pójściu na uniwersytet, gdzie mógłby rozpocząć starania o dyplom stomatologa.

Nie przypominał sobie, żeby kiedykolwiek świadomie wybrał ten kierunek - nie miał prawdziwego zamiłowania do leczenia zębów. Zajęcie to uderzało go jako szczególnie nudne i monotonne. Skrobanie zębów. Robienie prześwietleń. Fluoryzowanie. W głębi ducha Jason pragnął czegoś innego.

Odkąd sięgał pamięcią, zawsze ciągnęło go do zwierząt. Czytał na ich temat książki, oglądał programy przyrodnicze i błagał rodziców o domowe zwierzątka. Po

konsultacji z ojcem jego zamiłowania zainspirowały go do wyboru zoologii jako przedmiotu kierunkowego na drodze do dyplomu stomatologa. W przeciwieństwie do wielu przyszłych studentów zoologii Jason rzeczywiście pracował w zoo. Naturalnie, nie przeszłoby mu przez myśl, że jego wolontariat zaprowadzi go do alternatywnego wszechświata.

Trwał wyjątkowo - jak na koniec lutego - ciepły tydzień. Jason opierał się o poręcz przed ogrodzonym boksem do ćwiczenia szybkich piłek baseballowych w lokalnym parku. Tim stał w środku, na lekko ugiętych nogach i wybijał mnóstwo piłek za boczne linie, usiłując odzyskać wyczucie czasu. Matt, najlepszy pałkarz w ich klubowej drużynie, ćwiczył jako pierwszy; płynnymi i potężnymi zamachami posyłał niemal każdą narzuconą piłkę w głąb boksu.

- Nie próbuj zamordować piłki - zasugerował Jason. - Wystarczy mi napad z pobiciem - burknął Tim. Przy następnym narzucie Tim odbił piłkę mocno, trafiając w ziemię i kierując ją w lewą część siatki. Jason zerkał to na Tima, to na opatrzony podpisami rysunek w podręczniku biologii. Uczył się na pamięć ludzkiego układu kostnego przed sprawdzianem.

- Wyciągnij nos z książki - mruknął Matt do Jasona, kiedy Tim zawalił kolejne odbicie.

- Potem muszę iść do zoo - tłumaczył się Jason. - Nie będę miał dzisiaj dużo czasu na naukę.

- Zaufaj mi - powiedział Matt, skinieniem głowy wskazując coś po lewej stronie.

Jason odwrócił się i zobaczył dwie dziewczyny idące w ich kierunku. To były April i Holly Knudsen, bliźniaczki dwujajowe z jego klasy w gimnazjum imienia Kennedy ego. Nie były do siebie specjalnie podobne ani pod względem wyglądu, ani zainteresowań - zwłaszcza jak na bliźniaczki. Ładniejsza i pilniejsza April chodziła z Jasonem na zajęcia zaawansowane z trzech przedmiotów, w tym biologii. Głośniejsza i bardziej wysportowana Holly trzymała kij do softballu w jednej ręce i kask pałkarza w drugiej.

Tylko dwie dziewczyny w szkole sprawiały, że Jasonowi zaciskał się żołądek i łapało go nagłe onieśmienie: Jen Miller i April Knudsen. Były ładne, bystre i sprawiały wrażenie twardo stąpających po ziemi. Jason podkochał się skrycie w

obydwu.

- Cześć! - zawołała Holly.

Jason spróbował się uśmiechnąć. Nagle zdał sobie sprawę, że trzyma w ręku podręcznik. Czy wyjdzie na frajera, bo czyta podręcznik w takim miejscu?

Matt nic nie powiedział. Rzadko kiedy odzywał się przy dziewczynach. Jason starał się, żeby jego głos zabrzmiał zwyczajnie.

- Cześć, Holly. April.

- Przygotowujecie się do ostatniego sezonu przed szkołą średnią? - zaciekała się Holly.

Tim przywalił kijem w piłkę i posłał ją wysoko w niebo.

- Trener Thayer już oglądał Jasona - powiedział Matt. - Możliwe, że Jason zostanie miotaczem w szkolnej reprezentacji już w pierwszej klasie.

Mówił prawdę. Jason zaczął gwałtownie rosnać pod koniec szóstej klasy. Początkowo zupełnie posypał się przy uderzeniach, dopóki nie przyzwyczyił się do nowego wzrostu, za to jego narzuty zaczęły nabierać naprawdę imponującej prędkości. Teraz miał prawie sześć stóp wzrostu. Zaczynał odzyskiwać formę jako pałkarz, a jego szybkie piłki dochodziły do osiemdziesięciu mil na godzinę, nadal jednak miał kłopoty z zachowaniem opanowania.

- Rety, chłopcy z pierwszej klasy prawie nigdy nie grają dla reprezentacji - odparła pełna podziwu Holly. - W zeszłym roku omal nie zdobyli mistrzostwa stanu.

- Nie wiem, na ile zrobiłem wrażenie na Thayerze - przyznał Jason. - Narzuty wychodziły mi bez ładu i składu.

- Tylko jeden chłopak z przyszłorocznej drużyny szkolnej narzuca szybciej od ciebie - powiedział Matt. - A kiedy dajesz swoje najlepsze narzuty, nie jestem w stanie odbić.

- Ostatnio jestem za bardzo spięty - przyznał Jason, krzywiąc się.

W ciągu minionego roku, w czasie rozgrywek zaczął się bardzo denerwować i stąd brały się nieskoordynowane narzuty. Zawalił kilka meczy, bo oddał za wiele baz za darmo i poddał kluczowy mecz przez wyjątkowo niecelny narzut. Parę razy trafił też w pałkarza, a przy prędkości, z jaką rzucał, to nie było nic zabawnego.

Żaden z pałkarzy drużyny przeciwnej nie odniósł poważnej kontuzji, ale niewiele brakowało.

Początkowo Jason uważał, że przyczyną kłopotów jest to, że rzuca szybciej. Jednak potem Matt i Tim zauważyli, że regularnie lepiej narzuca w czasie treningów i nieoficjalnych meczy. Jasona gryzła myśl, że zawałił rozgrywki, bo nie miał dość ikry, żeby dobrze narzucać mimo presji sytuacji. Może kłopot w tym, że za dużo myślał o tym, czego inni się po nim spodziewają? Może za wiele od siebie wymagał, zafiksowany na osiągnięciu perfekcji? A może po prostu tracił umiejętności.

Kumple z drużyny spodziewali się, że przezwycięży problemy z opanowaniem i poprowadzi ich ku chwale. Ciągle jednak nie był gwiazdą, jaką inni oczekiwali, że się stanie. Czasem wolałby, żeby jego przyjaciele trochę mniej się nim przechwalali.

April wskazała na podręcznik Jasona.

- Przygotowujesz się do sprawdzianu z biologii?

- Próbuję.

- Jak się nazywa kość policzkowa? - zapytała.

Omam nie wyszczerzył zębów w uśmiechu.

- Łuk jarzmowy.

April uniosła brwi.

- Nieźle.

Holly przewróciła oczami.

- Ale z was kujony.

- Kujony rządzą światem - sprzeciwił się Jason.

Holly złapała siostrę za rękę. - Lepiej chodźmy do boksu dla softballistów. Jason chciał zaproponować, żeby poszli coś przekąsić. Ściśle rzecz biorąc, chciał to zaproponować April, ale łatwiej byłoby zaprosić obie siostry. One przyszły we dwie, on był z dwoma kumplami - wybraliby się jako mała grupka przyjaciół. Nigdy w życiu nie będzie miał lepszej szansy, żeby jak gdyby nigdy nic zagadnąć April. Kto wie, może umówiliby się na wspólną naukę przed testem z biologii?

Nie mógł jednak zmusić ust, żeby się poruszyły. Bliźniaczki już odchodziły.

- Ej! - zawołał w końcu, czując się niezręcznie i ściskając podręcznik. - Macie ochotę pójść coś przegryźć, jak już skończycie?

Nie zatrzymując się, Holly odgarnęła włosy za ucho i rzuciła przeproszająco:

- Nie możemy. Musimy iść na przyjęcie urodzinowe wujka. Może innym razem.
- Nie ma sprawy, spoko - odparł Jason, chociaż nic z tego, co czuł, nawet nie przypominało spokoju.

Tim wyszedł z boksu za jego plecami.

- Podoba ci się April? - spytał.

Jason skrzywił się, zerkając ukradkiem przez ramię. To było aż tak oczywiste?

- Nie tak głośno. Chyba tak. Trochę.
- Moim zdaniem Holly jest fajniejsza - myślał na głos Matt.

Tim rzucił Jasonowi kask pałkarza.

- Teraz ty. Masz szansę zaliczyć serię strikeoutsów.
- Boki zrywać - odparł Jason, zakładając ciut przyduży kask.

Czerwone światełko zabłyśło obok automatu do narzucania.

Jason poprawił pasek od rękawicy, wziął pałkę, wszedł do boksu i wyprowadził kilka próbnych wymachów; początkowo brał za duży zamach, ale wkrótce wszedł w swój normalny rytm.

- Gotowy? - spytał Matt.
- Dawaj.

Zapaliło się zielone światło. Jason ugiął nogi w swojej typowej pozycji pałkarza, zakołysał się lekko, przygotowując się do pierwszego narzutu i starając się ignorować możliwość, że April na niego patrzy. Miał skłonność do opóźnionego zamachu przy pierwszej piłce. Piłka z sykiem wyleciała z automatu i śmignęła rozmazaną plamą obok niego. Zdecydowanie za późno wziął zamach.

- Z niego jest kochaś, a nie pałkarz - zażartował Tim.

Jason skupił się na treningu. Następna piłka wyskoczyła z maszyny. Tym razem wziął zamach we właściwym momencie, ale za niski, więc piłka odskoczyła w górę i w tył od kija.

Przy trzecim narzucie trafił jak należy. Piłka śmignęła wysoko w głąb boksu.

Matt zagwizdał.

- Nieźle.

Jason zerknął na kumpli, szczerząc zęby w uśmiechu.

Zerknął w bok i zauważył, że April patrzy na siostrę, wchodzącą do boksu treningowego do softballu. Kiedy się odwrócił, piłka już ku niemu mknęła. Zdążył obrócić głowę i nie oberwał w twarz, ale twarda piłka przywaliła z głuchym łoskotem w bok kasku, który spadł Jasonowi z głowy. Sam Jason wyciągnął się jak długi.

Sztuczna trawa drapała go w twarz, a Jason próbował pojąć, co się stało. Nagle Tim i Matt pojawili się obok niego, pytając, czy wszystko w porządku.

- Nic mi nie jest - mruknął, wstając i zataczając się na Tima, który go złapał.

- Zamroczyło cię - powiedział Matt. - Nieźle oberwałeś.

- Trochę mi tylko we łbie zadzwoniło - zaprotestował Jason, strącając ręce Tima i idąc do wyjścia z boksu. Miał wrażenie, że ziemia chwieje mu się pod stopami, jakby balansował, stojąc na środku przechylni. - Muszę tylko usiąść.

Klapnął ciężko na ławkę za ogrodzeniem i wsparł głowę na dłoniach.

- Powinienem być cię ostrzec. Dla mnie niektóre z tych piłek też wchodzą za blisko. Ktoś powinien znowu wyregulować tę maszynę.

- To nie twoja wina. Nie uważałem. I miałem pecha. - Dotknął twarzy i pomasaował skronie.

- Może powinniśmy zabrać cię do lekarza? - zasugerował Matt.

- Nie, dobrze się czuję. Po prostu trochę mną rzuciło. Zrób parę zamachów, nic mi nie będzie.

- Na pewno?

- Aha. Pomścij mnie. Zerwij skórki z kilku piłek.

Jason skupił się na oddychaniu, próbując ignorować brzęk aluminiowych pałek. Zaczął odzyskiwać równowagę. Podniósł wzrok i napotkał spojrzenie April, która zmrużyła oczy współczująco. Zanim Matt wyszedł z boksu, Jason był w stanie już stać i ziemia nie kołysała się za mocno pod jego nogami.

- Chcę coś przegryźć przed zoo - powiedział Jason.

- Przykro mi, ale mam się spotkać z kuzynami - powiedział Matt. - Właściwie już jestem trochę spóźniony.

Tim zerknął na zegarek. - Ja też nie mogę. Zostałbyś sam z bliźniaczkami. Brat przyjedzie po mnie za jakieś pięć minut. Możemy cię podrzucić.

- Przyjechałem rowerem. No dobra, to zobaczymy się później.

Tim i Matt oddali kaski w wypożyczalni, a Jason poszedł na parking, by zabrać rower ze stojaka. Ciąg ciepłych dni sprawił, że śnieg się stopił, zniknęła nawet większość zasp przy drodze, przez co drogi były nietypowo dla tej pory roku przyjazne dla rowerzystów. Chociaż niebo się zachmurzyło, było za ciepło na śnieżycę.

Kiedy Jason pedałowal na wzgórze do spożywczego u Andersona, zaczęła boleć go głowa i poczuł, że traci równowagę. Zamiast walczyć z dolegliwościami, zdecydował się przez resztę drogi poprowadzić rower.

Przypiął rower łańcuchem obok automatu z napojami, wszedł przez automatyczne drzwi i podszedł do barku z chińszczyzną z boku od wejścia. Zamówił na lunch specjalność dnia i facet za kontuarem nałożył mu pomarańczowego kurczaka, wołowinę, brokuły i smażony makaron na podzielony przegródkami styropianowy talerz. Brokuły były tak jaskrawozielone, że aż biły w oczy - miały kolor, jaki rzadko występuje w naturze. Tutaj brokuły zawsze tak wyglądały, jakby malowano je farbą w spreju albo robiono z plastiku.

Jason znalazł sobie miejsce przy małym stoliku w pobliżu baru i zaczął jeść. Pomarańczowy kurczak ze smażonym makaronem chow mein to było jego ulubione danie, ale zjadł raptem połowę porcji, kiedy zaczęły go brać mdłości. Wypił spory łyk wody i pomasaował skronie. Potem odwinął ciasteczko z wróżbą, złamał je na pół i wyjął skrawek papieru. „Na horyzoncie widnieją nowe doświadczenia”.

Powinni być nieco bardziej odważni, pomyślał, i oznajmić coś w stylu: „Już za chwilę rozchorujesz się z powodu ciężkiego zatrucia pokarmowego”.

Wyszedł na dwór. Kiedy wspinał się rowerem na wzgórze, w głowie trochę mu się przejaśniło. Jednakże tępy ból uporczywie mu doskwierał i nawet jakby pulsował, gdy wjazd pod górkę przyspieszył Jasonowi tętno. Wkrótce chłopiec dotarł na parking ogrodu zoologicznego Vista Point. Chociaż ten interes rodzinny nie umywał się do zoo w Denver, w Vista Point żyła naprawdę przyzwoita populacja - ponad czterysta zwierząt reprezentujących prawie sto sześćdziesiąt gatunków. Jak zwykle w zimowe popołudnie, parking był prawie pusty.

Stojąc koło swojej szafki, Jason włożył szary kombinezon i zamienił zwykłe buty

na robocze. Zjawił się kilka minut przed czasem, więc zdążył jeszcze przekartkować podręcznik do biologii. Litery wydawały mu się nieco zamazane. Zamykając od czasu do czasu oczy, recytował nazwy różnych kości i wyrostków.

Uniósł wzrok i spojrzał na zegar. Czas posprzątać u hipopotama. Kiedy wszedł na teren dla zwiedzających przy basenie hipopotama, przystanął, żeby popatrzeć na szklaną gablotę na ścianie podpisaną „POMNIK LUDZKIEJ GŁUPOTY”.

Znajdowały się w niej różne przedmioty, które w ciągu lat pracownicy wyłowili z basenu hipopotama: aluminiowe puszki, szklane butelki, monety, niedopałki, dwie zapalniczki, pojemnik z nicią dentystyczną, scyzoryk, zaplątana sprężyna do zabawy, plastikowy zegarek na rękę, jednorazowa maszynka do golenia... i nawet kilka nabojów.

Drepcząc za szczotką, Jason patrzył na śmieci zbierające się przed ciemnym włosiem i zastanawiał się, czym jakiś idiota mógłby przebić niebezpieczne przedmioty zebrane w gablocie. Może wrzucając do basenu kosiarkę do trawy? Albo kilka prętów uranowych.

Jason przystanął, żeby popatrzeć nad poręczą na ogromnego hipopotama wyciągniętego nieruchomo na dnie basenu z głową powyżej poziomu wody. Hank był jedynym hipopotamem w zoo, dorosłym samcem, który tego lata miał obchodzić czterdzieste urodziny. Jason pokręcił głową. Majestatyczne zwierzę. Jak zwykle pracuje na pełnych obrotach. Mogliby go zastąpić posągiem, a i tak nikt z odwiedzających nie zauważyłby różnicy.

Jason usłyszał dźwięczną muzykę dobiegającą z wody, tak cichą, że ledwie słyszalną. Z lekko przekrzywioną głową przeszedł wokół basenu, próbując zlokalizować źródło muzyki. Kiedy natężenie dźwięku przybrało na sile i muzyka stała się bogatsza i czystsza, tak że Jason potrafił rozróżnić poszczególne instrumenty, zawrócił w stronę wody i stwierdził, że melodyjne tony najwyraźniej dobiegają z na wpół zanurzonego hipopotama.

Zainstalowali w basenie podwodne głośniki, nic mu o tym nie wspominając? Jakaś nowa metoda uspokajania otyłego ssaka? A może żalosna próba przyciągnięcia do hipopotama tłumów?

Melodia brzmiała obco, opierała się na dziwnych harmoniach i była uzupełniona

przeplatającymi się z nią kontrtematami. Basowa, delikatna perkusja wyznaczała rytm. Jason przechylił się przez poręcz, zdumiony tym przedziwnym zjawiskiem. Żałował, że nie ma tu nikogo więcej, bo wtedy mógłby się zorientować, czy nie ma przypadkiem omamów słuchowych.

Hipopotam poruszył się, ogromna paszcza otworzyła się, kiedy zwierzę ziewnęło, i na tę jedną chwilę muzyka stała się głośniejsza i bardziej wyraźna, jakby hipopotam naprawdę był źródłem skomplikowanej melodii. I zaraz wielka paszcza się zamknęła.

Kiedy hipopotam nie ziewał, muzyka znowu dobiegała przytłumiona, ale mimo to, stawała się coraz głośniejsza. Czy to możliwe, że zwierzę połknęło magnetofon? To było jedyne wiarygodne wytłumaczenie, ale wydawało się równie niedorzeczne, jak myśl, że hipopotam wydawał te dźwięki sam z siebie.

A może nie było żadnej muzyki? Może oberwał w głowę mocniej niż myślał? Nie, zdecydowanie już mu się przejaśniło w głowie, a zaburzenia równowagi słabły.

Rozejrzał się wokół, ale nikogo nie dostrzegł. Czy to ten moment, w którym powinien natychmiast po kogoś pobiec? Pomyślał o kreskówce Warner Bros, o śpiewającej i tańczącej żabie, która milkła za każdym razem, kiedy zjawiał się jakiś świadek.

Opierając się brzuchem o poręcz, Jason wychylił się daleko do przodu, zadziwiony przywołującą go melodią. Gdyby zdołał przysunąć ucho bliżej wody, byłby w stanie potwierdzić, czy muzyka rzeczywiście dobiega z dołu. Hipopotam nawet nie drgnął.

Kiedy Jason pochylił się w stronę marszczącej się powierzchni, chwycił go potężny zawrót głowy. Stracił równowagę, wypuścił z ręki poręcz i wpadł głową naprzód do basenu, prosto na hipopotama. I zupełnie, jakby to była okazja, na którą to zaspane zwierzę czekało przez całą niewolę, hipopotam wynurzył się z otwartą paszczą, a muzyka rozbrzmiała głośniejsz niż dotąd.

Zanim Jason zdążył zareagować, już chwycił rękami śliski język, jego twarz ślizgała się po natłuszczonej powierzchni. Wyciągnięty na brzuchu śmignął w dół czarnym, śliskim tunelem. Żadne zwierzę nie jest aż tak wielkie! Co się działo? Melodia rozbrzmiewała czysto w kontrapunkcie do jego przerażenia, a on spływał

wilgotnym korytarzem. Próbował zaprzeć się o gumowate boki i spowolnić zjazd, ale mu się nie udało. W końcu jego ręce i głowa wynurzyły się gwałtownie z dziupli w pniu umierającego drzewa w pobliżu rzeki o brzegach porośniętych paprociami.

Jakimś cudem zapadła już noc. Srebrzysta ścieżka księżycowego światła drżała na wodzie. Muzyka, którą Jason słyszał, dobiegała z szerokiej tratwy dryfującej na leniwym nurcie. Wykaraskał się z dziupli. Kombinezon miał przemoczony po tym, jak wpadł do basenu hipopotama. Obejrzał się, żeby przyjrzeć się pustemu wnętrzu drzewa. Od środka pień był wilgotny i spróchniały. Jason nie był w stanie dojrzeć żadnego przejścia, nie licząc otworu przez który się wynurzył i szpary w górze, u szczytu pustego pnia, przez którą dostrzegł gwiazdy.

To było niemożliwe! Gdzie się podział tunel? Jakim cudem prowadził do drzewa? Gdzie był hipopotam? Gdzie się podziało zoo? W całym mieście nie było rzeki nawet w połowie tak szerokiej jak ta! Jason zamrugał zaskoczony, zastanawiając się, czy nie stracił przytomności po uderzeniu piłką w boksie.

Zapierając się o wewnętrzne powierzchnie ściany pnia, zdołał się wspiąć na górę, aż wyszedł przez dziurę u szczytu pnia, dwanaście stóp nad ziemią. Nadal nigdzie nie było śladu po hipopotamie albo zoo Vista Point. Za to miał stąd doskonały widok na tratwę, która podpłynęła i znajdowała się teraz dokładnie na jego wysokości.

Małe, kolorowe latarenki oświetlały platformę. Szczupły mężczyzna w jasnym stroju walił w ksylofon. Przysadzista kobieta dmuchała w zakrzywiony flet. Kolejny mężczyzna krzątał się między zestawem rozwieszonych dzwonków i parą wysokich bongosów. Otyła, rozlazła kobieta o co najmniej pięciu podbródkach szarpała struny instrumentu o przedziwnym kształcie. Niski człowiek trzymał olbrzymi mosiężny róg, którego rura owijała się wokół szerokiej piersi muzyka i opierała mu się na ramionach.

Tratwa wpłynęła za parawan płaczących wierzb, nim Jason zdążył wychwycić szczegóły, ale zobaczył, że paru innych muzyków majstrowało przy różnorodnych, zdecydowanie mniej znanych instrumentach. Niedająca mu spokoju muzyka przenikała powietrze, szybując ku niemu nad rzeką i brzegiem.

Od pytań Jasonowi kręciło się w głowie. Jak się tu dostał? Czy to był koszmar?

Jak wróci do zoo? Wpaść do basenu hipopotama to jedno - rzecz świadcząca o niedbałości, ale możliwa. Jednakże przejście przez paszczę hipopotama do tuneluzjeżdżalni i wynurzenie się ze spróchniałego drzewa na brzegu rzeki - to już coś trudniejszego do przełknięcia. Wszystkie jego założenia odnośnie do rzeczywistości zostały właśnie wywrócone do góry nogami. A jednak otoczenie wydawało mu się takie namacalne. Nie potrafił zaprzeczać własnym zmysłom. Czuł wilgotną, śliską powierzchnię kory pod dłońmi; wychwytywał słaby zapach zgnilizny unoszący się ze stojącej wody w rozlewisku nad brzegiem rzeki. Oleiste soki oblepiały mu skórę. Powąchał rękę - ostry aromat żywicy przypomniał mu trochę roladki z figami i cukierki z lukrecją, ale tak naprawdę nigdy nie wąchał czegoś podobnego.

Westchnął. Znał różnicę między mglistymi doznaniem ze snu i bardziej wyrazistymi z jawy. Z pewnością czuł, że nie śpi. Mimo to, nie mógł przestać powątpiewać w realność tej nierealnej sytuacji. Być może to był po prostu wyjątkowo sugestywny sen. W końcu oberwał w głowę baseballową piłką. Może nadal leżał nieprzytomny w boksie... Nagle zadrżał. A może umarł - mógł powstać zakrzep w mózgu. A może hipopotam naprawdę go pożarł. Czyżby przeszedł na drugą stronę do jakiegoś życia pozagrobowego?

Podrapał się po brodzie. Wrażenie było rzeczywiste. Mokre ubrania kleiły się do ciała zupełnie normalnie. Głowa go nieco bolała i nadal miał pewne kłopoty z zachowaniem równowagi. Czy objawy wstrząsu mózgu utrzymywałyby się we śnie?

A w życiu po śmierci? Posłuchał muzyki i cichego szmeru rzeki. Gdziekolwiek był, jakiegokolwiek było tego wyjaśnienie, pozostał czujny i znajdował się w żywym, działającym na zmysły otoczeniu. Zlustrował wzrokiem okolicę - omszałe drzewa nad rzeką, zarośla poniżej, owady bzyzące w pobliżu - nieco zdumiony tym, jak łatwe do zaakceptowania okazało się niemożliwe, kiedy już się wydarzyło.

Szybko odkrył, że jego najpilniejszym kłopotem będzie zejście na dół. Usiadł niezgrabnie na brzegu wysokiego, pustego pnia, próbując ulokować się tak, żeby zejść w ten sam sposób, w jaki wcześniej się wspiał. Najwyraźniej nie bardzo mu to wychodziło. Zakręciło mu się w głowie na myśl, że miałby ześlizgnąć się wnętrzem pnia, zostać naszpikowany drzazgami i ostatecznie złamać kostkę przy lądowaniu.

Myśl o zejściu wnętrzem pnia wydawała się mniej niż kusząca. Dlaczego wspinanie się zawsze jest o wiele łatwiejsze od schodzenia?

W końcu, po wielu pełnych wahania obrotach i skrętach ciała, zsunął się z powrotem do wnętrza pnia tak, żeby móc się zaprzeć. Kiedy wreszcie precisnął się na dół, wyszedł z drzewa, ciesząc się ze światła księżycowego, i postanowił ruszyć za tratwę, ponieważ stanowiła jedyny ślad cywilizacji.

Wkrótce dogonił muzykę, chociaż listowie nad rzeką odcinało mu widok na tratwę. Potruchtał przed siebie, aż dotarł do prześwitu i zobaczył drobną, zgarbioną postać siedzącą na kłodzie.

- Cześć - powiedział Jason.

Postać gwałtownie obróciła głowę. Twarz należała do dzieciaka mającego może dziesięć, jedenaście lat. Kiedy chłopiec się poruszył, Jason zdał sobie sprawę, że ma spory garb na plecach.

- Dlaczego podkradasz się do mnie? - warknął chłopak.

- Ja tylko idę za tratwą - odparł Jason.

Chłopiec, nieco się uspokoiwszy, przesunął się na kłodzie, robiąc trochę miejsca. Jason usiadł obok niego.

- O co właściwie chodzi z tą tratwą muzyczną? - spytał.

Chłopiec zerknął na niego z powątpiewaniem.

- Żartujesz? To pieśń żałobna Zawrotnej Dziewiątki, najlepszych muzyków w okolicy. Większość ludzi czeka na nich przy wodospadzie. Tylko ten etap ich interesuje. Ale ja wolę posłuchać muzyki. To będzie ich ostatni raz.

- Płyną w stronę wodospadu?

Teraz, gdy zaczął nasłuchiwać, wychwycił odległy ryk wody.

Chłopiec z powagą pokiwał głową.

- Próbują w ten sposób coś zadeklarować. Zabroniono im wspólnych występów publicznych. Nie rozumiem, w jaki sposób to ma cokolwiek zmienić. - Rzucił Jasonowi surowe spojrzenie. - Musiałeś o nich słyszeć. Zgadza się?

- Nie. Jestem tu obcy. Dopiero co się zjawiłem.

- Skąd jesteś?

- Z Vista w Kolorado.

- Nigdy nie słyszałem.

Jason zawahał się, nie bardzo wiedząc, czy chciał usłyszeć odpowiedź chłopca.

- A o Ameryce? Albo planecie Ziemia?

Chłopiec ściągnął brwi.

- Nie bardzo.

- Możesz mi powiedzieć, gdzie jestem?

- Nad rzeką, jak widać. - Chłopak gwałtownie zerknął z powrotem na nurt. -
Minęli nas. Lepiej chodźmy, bo przegapimy finał.

Jason powlekł się za chłopcem, który poruszał się zadziwiająco szybko porządnym szlakiem okrążającym kilka bagnistych obszarów i cienistych gąszczy. Nocne powietrze najwyraźniej dobrze robiło Jasonowi na głowę, chociaż słaby, pulsujący ból uporczywie nie mijał.

Wspięli się stromym, gęsto porośniętym stokiem i wyszli na wzniesienie z widokiem na rzekę. Ryk wodospadu przybrał na sile. Korzystając z podwyższenia, Jason zerknął w górę rzeki, żeby zobaczyć, o ile wyprzedzili małą tratwę. Muzyka dobiegała z oddali. Kiedy spojrział w przeciwnym kierunku, dostrzegł miejsce, w którym rzeka gwałtownie się kończyła. Wodospad.

- Lepiej chodźmy - ponaglił go chłopiec. - Teraz mamy nad nimi przewagę, ale nurt przyspiesza. Wkrótce będą płynąć szybciej, niż my będziemy w stanie się poruszać.

Jason zszedł za chłopcem w mrok pod zwieszającymi się gałęziami. Wkrótce usłyszał, że woda płynie szybciej. Ryk wodospadu stał się nieprzerwanym grzmotem, zagłuszającym odległą muzykę. Jason odkrył, że zaczyna mu brakować tchu, kiedy przyspieszył, żeby dotrzymać kroku coraz szybciej idącemu przewodnikowi.

Przeszli przez gęstą kępę drzew i zobaczyli oświetlony księżycem tłum zebrany obok szczytu wodospadu. Nad samą krawędzią wznosiło się kilka pięter prowizorycznych trybun, na których tłoczyli się gapie.

- Znajdź dobre miejsce - poradził mu chłopiec, zanim potruchtał nad brzeg rzeki.

Jason pobiegł do drugiego końca trybun i odkrył, że dochodzą do samej

krawędzi przyprawiającej o zawrót głowy przepaści, z której woda spadała kaskadami jak niekończące się tsunami.

Kiedys pojechał z rodziną nad wodospad Niagara - ten wyglądał na niemal równie wysoki i przewalało się przez niego prawie tyle samo wody. Zimna mgła wodna zwilżyła Jasonowi twarz.

Obszedł trybuny i dotarł do brzegu rzeki. Tłum ludzi ciągnął się od trybun spory kawał w górę rzeki. Niektórzy widzowie mieli ponure miny. Inni pojadali przekąski. Jedna grupa kołysała się i śpiewała, fałszując, jakąś pieśń. Jason szedł w górę rzeki i szukał wolnego miejsca. Większość ludzi miała na sobie proste ubrania z samodziału, chociaż czasem Jason dostrzegał eleganckie futro albo haftowaną kamizelkę. Nikt nie nosił tego, co on uważał za normalne, współczesne ubranie.

Po tym, jak przepchnął się nieco do przodu, znalazł miejsce, z którego będzie dobry widok na tratwę spadającą z krawędzi wodospadu, ale który znajdował się za daleko w górze rzeki, żeby móc obserwować jej dalszy lot. Stanął obok kobiety w średnim wieku w kwiecistym czepku i w sukni z ciężkiej tkaniny. Patrzyła z niepokojem na rzekę, załamując ręce.

- Może w to pani uwierzyć? - zapytał.

Odwróciła się do niego. Spojrzenie jej szeroko rozstawionych oczu spoczęło na podbródku Jasona.

- Czy mogę uwierzyć, że mój brat zaraz się zabije, żeby urządzić absurdalne przedstawienie?

Jason uniósł brwi.

- Pani brat jest na tej tratwie?

- Nigdy nie miał za grosz rozumu. Ani kręgosłupa. Zawsze robi to, co mu każe Simeon. Ten wariat przekonał cały zespół, żeby się zabili.

Spojrzała znowu na pędzący nurt. Tratwy nadal nie było widać.

- Dlaczego przyszła pani na to patrzeć?

Wzruszyła ramionami i lekko się zarumieniła.

- Żeby ich wesprzeć. Zawrotna Dziewiątka uważa, że ich ofiara jest ważna. Myślę, że chyba niezależnie od tego, co się stanie, lepiej dla Darrena, żeby odszedł z tego świata, czując się docenionym.

- To właśnie przywiodło tutaj tych wszystkich ludzi?

Spojrzała w stronę zaimprovizowanych trybun nad krawędzią wodospadu.

- To w większości wielbiciele ich muzyki. Nikt nie rozumie, o co tu tak naprawdę chodzi. Myślę, że wielu z nich jest tutaj, bo uznali, że to świetna zabawa, patrzeć, jak tratwa pełna muzyków spada z ogromnego wodospadu.

Jason w duchu zgodził się, że będzie to imponujący widok. Ale za jaką cenę! Wodospad był zdecydowanie za wysoki, żeby przeżył którykolwiek z muzyków.

- Żałuję, że nie mogę nic zrobić - denerwowała się kobieta.

- Dlaczego nikt nie spróbuje ich uratować?

- Oni nie chcą, żeby ich ratować. To pogrzeb.

Jason się rozejrzał. Ludzie patrzyli się wyczekująco w górę rzeki, niektórzy ponurzy, inni podekscytowani.

Powinien spróbować ocalić muzyków? To mu wyglądało na tragiczne marnowanie ludzkiego życia. Uznał, że gdyby on znalazł się na tratwie, to niezależnie od swoich przekonań, zmieniłby zdanie i odechciałoby mu się spadać z wodospadu zaraz po przekroczeniu punktu, z którego nie byłoby już powrotu. Jacy zdrowi na umyśle ludzie rzuciliby się z własnej woli z ogromnego wodospadu? Jakie sensowne oświadczenie można w ten sposób wygłosić? Z tego, co mu powiedziano, wynikało, że pozostali wykonywali rozkazy ich szalonego przywódcy. A co, jeśli zafundował im pranie mózgu, jak w jakiejś sekcie? Większość ludzi na tratwie pewnie ucieszyłaby się, gdyby ich uratowano.

- Chcę pani pomóc - powiedział, zniżając głos. - Wie pani, gdzie mogę znaleźć linę?

Kobieta zerknęła na niego i w jej oczach zabłysła nadzieja.

- Chcesz temu zapobiec? Ekipa ratownicza ma linę, ale nie liczyłabym na to, że jej użyją.

- Ekipa ratownicza? Gdzie?

- Są tu tylko na wszelki wypadek. Kawałek stąd w górę rzeki. Ktoś w tłumie zaczął wiwatować. Pojawiła się tratwa. Jason niemal cudem wychwycił muzykę.

Zostawiając za sobą grupę gapiów, popędził brzegiem rzeki, aż dotarł do dwóch mężczyzn. Mieli długą linę zawiązaną wokół potężnego pnia guzowatego drzewa,

wznoszącego się nad pędzącą wodą.

- Panowie są ekipą ratowniczą? - spytał Jason.

Niższy mężczyzna z jedną ręką odpowiedział:

- A owszem.

- Zamierzacie ich ratować?

Muzycy szybko zbliżali się, płynąc z bystrym prądem. Ich instrumenty zgrzytały i czkały, kiedy tratwa rozkołysała się na spienionych wodach.

- Tylko jeśli wezwą pomoc - zapewnił go niższy mężczyzna. Jason zobaczył, że drugi koniec cienkiej liny przymocowano do strzały, którą trzymał szczupły mężczyzna oparty na łuku. Wszyscy trzej stali około pięćdziesięciu jardów w górę od wodospadu. Tratwa pędziła jakieś dwadzieścia jardów od brzegu.

- Czy pańska strzała doleci z tą liną? - zaniepokoił się Jason.

- Z pewnością, o ile będę celował nieco wyżej - odparł smukły mężczyzna.

- Dobrze pan strzela?

- Doskonale.

- Może powinni panowie po prostu ich uratować. Założę się, że ostatecznie panom podziękują.

- Wątpię - prychnął szczupły mężczyzna. - Nie chcieli nawet, żeby ratownicy się zjawili. Będę interweniował tylko na ich życzenie.

Jason odwrócił się do muzyków, którym groziło śmiertelne niebezpieczeństwo. Gdyby spróbował popłynąć, żeby podać im linę, nurt porwałby go, zanim zdążyłby się do nich zbliżyć. Drzewo nie zwieszało się wystarczająco daleko nad rzeką, żeby mógł wspiąć się po nim i dosięgnąć tratwy. Czas uciekał.

- Spróbujcie ich uratować - nalegał Jason. - Przecież tak nie można.

- Nie, o ile nie... - zaczął niski mężczyzna.

- Słyszę, jak wołają o pomoc - skłamał Jason.

- Odejdź - rzucił szczupły mężczyzna, krzywiąc szerokie usta i odsłaniając pożółkłe zęby. - Ostatnie, czego potrzebujemy, to desperat, który chce zostać bohaterem. Gdyby naprawdę krzyczeli o pomoc, nie usłyszelibyśmy ich przez twoją paplaninę.

- Przysłała mnie siostra jednego z muzyków - spróbował Jason.

- Nie obchodziłoby mnie, nawet gdyby przysłał cię sam król Meridonu - odparł chudzielec. - To ich decyzja.

Tratwa niedługo miała się z nimi zrównać. Nie było czasu na myślenie. Jason pchnął niskiego ratownika. Zaskoczony mężczyzna zachwiał się na stromym brzegu i wpadł do wody.

- Co z tobą?! - krzyknął chudy, rzucając łuk i strzałę, żeby skoczyć w nurt za towarzyszem.

Niski mężczyzna został już zniesiony w dół rzeki i było widać, jak młóci wodę jedyną ręką. Nawet tuż przy brzegu prąd był silny.

Wierząc, że chudzielec uratuje kompana, Jason nie tracił czasu i natychmiast podniósł łuk i strzałę. Założył strzałę na cięciwę i przyciągnął ją do policzka, wyęzając wszystkie siły i mrużąc jedno oko. Nie miał łuku w ręku, odkąd zdobył odznakę łuczника dwa lata temu na letnim obozie.

Tratwa płynęła, podskakując na wodzie, dwadzieścia jardów od brzegu, ale jeszcze nie znalazła się dokładnie na wysokości miejsca, w którym stał Jason. Wiele instrumentów i muzyków wyglądało na przywiązanych do platformy. Jason odchylił łuk trochę w górę, mając nadzieję, że on i chudzielec tak samo rozumieli słowa „nieco wyżej”.

Wypuścił strzałę, która przecięła odległość dzielącą go od tratwy i wbiła się w ramię mężczyzny grającego na bongosach. Dźwięki perkusji urwały się, kiedy mężczyzna padł, znikając Jasonowi z oczu. Lina na brzegu dalej się rozwijała, w miarę jak tratwa mknęła błyskawicznie przed siebie.

Jason zaczerpnął gwałtownie tchu. Czy to naprawdę właśnie się wydarzyło? Nie zamierzał postrzelić muzyka. Zerknął na rozwijającą się linę ratowniczą. Nie była za długa? Wyglądała na dość cieką. Wytrzyma?

Lina napięła się z nagłym szarpnięciem. Tratwa przechyliła się, rozbryzgując wodę i skręcając w stronę brzegu. Tłum krzyknął zaskoczony.

Trzydzieści jardów w dół rzeki szczypty mężczyzna wyciągnął niskiego z wody. Teraz stał z rękami na biodrach i patrzył, jak tratwa zakręca po łuku w stronę brzegu. Coś w jego ręku rozbłysło w jasnym księżycowym świetle.

Niezależnie od tego, czy muzycy chcieli zostać uratowani, czy nie, tratwa była

na najlepszej drodze, żeby uderzyć w brzeg. Ranny perkusista musiał solidnie zaplątać się w jakiś sprzęt, bo lina pozostała nadzwyczaj napięta. Większość muzyków nie przerwała gry. Kilku wyglądało, jakby próbowali uwolnić się od wiążących ich lin.

Kiedy, przechylając się nieco, tratwa uderzyła o urwisty brzeg ledwie dziesięć jardów od wodospadu, wielu gapiów jęknęło. Zaraz jednak jęki zamieniły się w okrzyki, gdy uderzenie o brzeg zrzuciło przysadzistą kobietę do wody razem z jej krętym fletem. Rozgardiasz osiągnął apogeum, kiedy została zmyta z krawędzi wodospadu i spadła razem z huczącymi masami wody.

Jason wytrzeszczył oczy z przerażenia i poczuł, jak rośnie mu w gardle gula. Ledwie mógł uwierzyć w to, co właśnie zobaczył. Wszędzie wokół niego rozległy się wiwaty, kiedy szczupły mężczyzna przeciął napiętą linę i kaleka tratwa znowu gwałtownie ruszyła z prądem. Jasonowi wydawało się, że ktoś chyba zeskoczył z tratwy na brzeg, ale nie miał pewności. Wrzawa wśród tłumu osiągnęła radosne apogeum, kiedy tratwa podpłynęła do wodospadu, znalazła się dokładnie pod zatłoczonymi trybunami i zniknęła przy wtórze łoskotu czyneli i ostatej, piskliwej nuty drewnianego instrumentu dętego.

Jason stał jak zmrożony, czując się tak, jakby ktoś kopnął go w żołądek. Żaden z tych ludzi nie miał szansy przeżyć!

Szczupły mężczyzna - nadal z nożem w ręce - i jego przemoczony kolega szli szybko brzegiem w górę rzeki. Jason otrząsnął się z szoku i paraliżu i pośpiesznie wycofał się między drzewa, byle dalej od rzeki.

Rozdział 2

Depozytariusz wiedzy

Jason przez dłuższą chwilę przedzierał się brawurowo przez listowie, to rzadsze, to gęstsze, i w końcu zatrzymał się, czując zmęczenie w nogach. Przykucnął i zaczął bacznie nasłuchiwać, a w głowie dudniło mu w rytm bicia serca. Albo nikt za nim nie podążał, albo jego prześladowcy poruszali się cicho jak ninja. Na wszelki wypadek przebiegł jeszcze kawałek, aż kolka w boku i brak oddechu zmusiły go w końcu do odpoczynku. Zgiął się wpół, opierając ręce na kolanach, ale nadal nie słyszał niczego, co świadczyłoby o pościgu.

Usiadł na ziemi i oparł plecy o chropowaty pień drzewa, cicho dysząc. W jakim miejscu ludzie wiwatowaliby na widok muzyków spadających ze śmiertelnie niebezpiecznego wodospadu? Czy naprawdę właśnie kogoś zastrzelił z łuku?

Zamknął oczy, schował twarz w dłoniach i spróbował siłą woli zmusić się do przebudzenia. Dopóki miał zamknięte oczy, mógł być wszędzie. Nieprzytomny w szpitalnym łóżku. Ogłuszony na sztucznej murawie w boksie. Tyle że nadal czuł pień pod plecami i nadal słyszał cykanie owadów.

Perkusista zmierzał ku pewnej śmierci w wodach ogromnego wodospadu. Czy to miało znaczenie, że strzała trafiła go w ramię na kilka sekund przed samobójczym skokiem? Jason zazgrzytał zębami. Nie miał dość wprawy w strzelaniu, więc mierzył za nisko. To jeszcze nie czyniło z niego kryminalisty, prawda? Jedynie beznadziejnego ratownika. W końcu próbował pomóc ludziom, którzy już byli skazani na śmierć. Zgadza się?

Prawdziwym kryminalistą był ten drań, który przeciął linę. Jason nie mógł uwierzyć, że człowiek z ekipy ratowniczej nie zawahał się odciąć tych wszystkich ludzi. Właściwie ich zabił.

Jasonowi zadrżały ręce. Noc było chłodna, a w mokrym kombinezonie bardziej marzł. Spoliczkował się. Uszczypnął się w rękę. Odczucia wydawały się zupełnie prawdziwe.

Mając dość tego, że siedzi i się trzęsie, wstał i odszedł ciężkim krokiem od rzeki. Huk wodospadu powoli przeszedł w cichy syk.

Podłoże się wznosiło. Jason rozglądał się za schronieniem. W półmroku lasu czas włókł się w nieskończoność. Po godzinie albo dwóch, kiedy kombinezon wydawał się już nieco suchszy, a długi spacer wymęczył Jasona, chłopiec zdecydował się wślizgnąć pod gęsty krzak. Zarośla pachniały trochę jak odświeżacz powietrza w kształcie choinki w samochodzie taty. Jason nie słyszał już wodospadu.

Oparł głowę na zgiętej ręce i zacisnął zęby, żeby przestać nimi szczekać. Odkrył, że kiedy zgarnął wokół siebie liście, zwinął się w kłębek i przestał się wiercić, wreszcie zrobiło mu się trochę cieplej.

Naprawdę mógł przejść do jakiejś innej rzeczywistości? Na tę myśl zadygotał. Jak wróci do domu? Nie widział żadnego śladu drogi powrotnej przy drzewie, z którego wyszedł. Żadnego migoczącego portalu prowadzącego do wymiaru, w którym znajdował się jego dom. Gdzie ma zacząć szukać drogi powrotnej?

A jeśli nie ma powrotu? Czy to zdarzyło się już komuś wcześniej?

Jason wyjął telefon komórkowy. Poświata z ekranu rozświetliła ciemny krzew. Najwyraźniej telefon przetrwał kąpiel w basenie hipopotama. Jason nie zdziwił się, widząc, że nie ma zasięgu. Nie zadzwoni do domu. Miał jedną nieodebraną wiadomość. Najpewniej od mamy, która go upominała. Otworzył wiadomość.

„Proszę, odbierz. Nawet jeśli wolisz zlekceważyć moje zdanie, nadal cię kocham”.

Łzy napłynęły mu od oczu. Zupełnie opacznie go zrozumiała! On po prostu chciał, żeby nie próbowała wtrącać się do jego toku nauki.

Wcześniej tego dnia wyrwało mu się nieopatrznie, że czeka go sprawdzian z biologii i musi przygotować pracę z angielskiego. Rodzice niewiele wiedzieli o jego nawykach, jeśli idzie o naukę, głównie dlatego, że regularnie przynosił do domu naprawdę dobre oceny, więc nie musieli specjalnie się martwić. Jednakże od czasu do czasu mama postanawiała pobawić się w rodzica. Powiedziała mu, że nie

powinien iść trenować odbić, jeśli ma do odrobienia pracę domową. Próbował wytłumaczyć, że ma to wszystko rozplanowane, ale ona się uparła. Wobec tego po prostu wyszedł i pojechał na rowerze potrenować mimo jej protestów, nie przejmując się karą, jaka może go za to czekać.

Dlaczego był taki uparty? Próbowała dodzwonić się do niego, a on nie odbierał. Tak go właśnie zapamięta? Jako niewdzięcznego, nieposłusznego palanta? Na tę myśl aż mu się zacisnął żołądek. Czy ta krótka wiadomość to jego ostatni kontakt z rodziną?

Poczuł, jak wzbiera w nim frustracja i strach, i odruchowo zacisnął dłonie w pięści. Rozejrzał się wokół po pustym lesie, mając ochotę wrzasnąć, uderzyć w coś. Jak mógł tu ugrzęznąć, w tym zwariowanym miejscu, tak daleko od wszystkich, których znał?

Jason pomyślał o swoim psie, Cieniu, trzyletnim labradorze. Kto go będzie karmił? Wyprowadzał? Kto będzie mu rzucał zniszczoną, starą piłeczkę tenisową? Rodzice nigdy nie chcieli mieć psa. Żeby go dostać, Jason obiecał, że weźmie na siebie wszelkie związane z psem obowiązki. Tresował go, z pieniędzy za koszenie trawników i mycie samochodów zapłacił za sofę, którą Cień pogryzł. Z oddaniem sprzątał po psie, kąpał go, bawił się z nim, wędrował z nim po lasach. Wątpił, czy rodzice wiedzieli, ile Cień je, gdzie lubi być drapany czy choćby, gdzie szukać jego smyczy. Jeśli Jason nigdy nie odnajdzie drogi do domu, Cień może na tym ucierpieć bardziej niż inni!

- Halo! - zawołał, chociaż wiedział, że to nie ma sensu. - Chcę wrócić do domu! Halo! Halo!

Zamrugał, powstrzymując łzy i próbując zapanować nad emocjami. To wszystko nie miało sensu, ale musiał się uspokoić; musiał to wszystko rozgryźć, jeśli miał kiedykolwiek ponownie zobaczyć przyjaciół, rodziców i resztę rodziny.

Wziął głęboki wdech i przejrzał pozostałe wiadomości. Było ich tylko pięć. Cztery to była krótka, durna wymiana zdań z Mattem. Jedna była od Tima, który zapraszał go na trening w boksie. Jason był naprawdę dobry w kasowaniu wiadomości. Teraz żałował, że nie ma niczego więcej do czytania. Bateria rozładowywała się, więc po raz ostatni przeczytał wiadomość od mamy, a potem

zamknął telefon.

Zacisnął powieki. Musiał odpocząć. Miał nadzieję, że rano, wypoczęty i z rozjaśnionymi myślami spojrzy na sytuację z lepszej perspektywy.

W domu, kiedy nie mógł zasnąć, leżał w łóżku, czekając, aż na świecącym ekranie zegara cyfrowego pojawią się określone układy cyfry, w tym tak charakterystyczne, jak 11:11, 11:22, 11:24, 12:12, 12:21 i jego ulubione - 12:34 i 12:48. Tu nasłuchiwał nocnych odgłosów: sporadycznego pohukiwania sów, trzepotu skrzydeł lub szelestu liści od czasu do czasu, szmerów i cykania owadów. Przesunął się, próbując znaleźć wygodną pozycję. Kiedy już się martwił, że nigdy nie zaśnie...

...obudził się, gdy światło słoneczne przesączało się przez listowie. Zamrugał i w głowie mu się zakręciło na widok nieznamomej okolicy. Natychmiast powróciły do niego wydarzenia poprzedniego dnia i zaciążyły kamieniem na sercu. W głębi duszy miał nadzieję, że obudzi się w łóżku szpitalnym. Czy człowiek może zasnąć we śnie i obudzić się, gdy sen nadal trwa?

Jason usiadł, zauważając, że kombinezon nadal ma odrobinę wilgotny. W świetle dnia dostrzegł, że niektóre z otaczających drzew były porośnięte gęstym, fioletowym mchem obsypanym maleńkimi, białymi kwiatuskami. Pobliski krzew miał długie, skręcone jak korkociąg liście. Wskazówki były subtelne, ale Jason wiedział, że z pewnością nie znajduje się w pobliżu miasteczka Vista w stanie Kolorado. Instynkt krzyczał, że znajduje się z dala od domu, z dala od właściwego mu miejsca. Więcej: sądząc po ubraniach, jakie nosili ludzie znad wodospadu, możliwe, że znalazł się nawet z dala od właściwego mu czasu.

Zesztywniałe mięśnie zaprotestowały, gdy Jason wstał. Roztarł bok, w który przez całą noc wbijał mu się kamień. Szczególnie obolałe miał mięśnie pod prawą łopatką. Pomyślał, że to pewnie efekt napinania łuku poprzedniego wieczoru.

Westchnął. Przez drzewa rosnące wokół i zasłaniające widok, nie wiedział, w którym kierunku ma iść. Malutki żółty ptaszek z czarnymi cętkami zaświergotał na gałęzi. Mały wachlarz z piórek zdobił mu tył głowy. Jason zawsze bardziej niż inni ludzie zwracał uwagę na zwierzęta, ale nie rozpoznał tego gatunku ptaka.

Z rękami na biodrach rozważył możliwości. Gdziekolwiek był, śmierć w dziczy

pozostawała realnym zagrożeniem, jeśli Jason nie podejmie żadnych działań. Myśląc o ludziach, których widział nad wodospadem, uznał, że gdzieś w okolicy musi znajdować się miasteczko.

Czując coraz większy głód, skręcił w stronę wschodzącego słońca. Wkrótce doszedł do potoku, wystarczająco wąskiego, żeby dało się przez niego przeskoczyć. Pomyślał, że gdyby chciał, mógłby dojść z biegiem potoku do rzeki. Tłum powinien się już rozejść.

Przykucnął w miejscu, gdzie woda spadała z małej skalnej półki. Wyglądała na czystą, ale powstrzymał chęć, żeby się jej napić, bo mógłby się od tego rozchorować.

Postanowił iść wzdłuż strumienia. Wtedy, gdyby zaczął umierać z pragnienia, zawsze mógł zaryzykować zatrucie bakteriami, przy okazji ratując sobie życie. Postanowił jednak pójść najpierw w górę potoku, ponieważ rzekę uznał za pechowe miejsce.

Nie przeszedł wiele, kiedy dotarł do sadzawki, z której brał początek strumień. Rozejrzał się po okolicy i oniemiał, dostrzegając między drzewami wielki budynek zbudowany w całości z cętkowanego granitu. Szczyt budowli okalał fryz przedstawiający walczących mężczyzn - żołnierzy piechoty uzbrojonych we włócznie i tarcze, którzy stawiali czoło uzbrojonym jeźdźcom na rydwanach. Pozbawione okien ściany z idealnie dopasowanych bloków kryły się za rozlicznymi, żłobkowanymi kolumnami. Potężne kamienne posągi stały po obu stronach ciągu szerokich, kamiennych stopni prowadzących do mosiężnych drzwi wbudowanych w zwieńczoną łukiem niszę. Całość przywodziła na myśl wymyślne muzeum. Tyle że ta ogromna konstrukcja stała pośrodku lasu i nie prowadziła do niej żadna dostrzegalna droga czy nawet ścieżka.

Jasonowi ulżyło na widok dowodu istnienia cywilizacji i pośpiesznie wspinał się po schodach. Zawahał się przy drzwiach. Może to był ogromny grobowiec? Ta myśl sprawiła, że nagle zamarł. Czy naprawdę chciał wejść do mauzoleum na pustkowiu?

Złapał mosiężną klamkę, szarpnął ciężkie drzwi i z ulgą odkrył, że nie są zamknięte na zamek - z ulgą, bo kto by zostawił grobowiec otwarty? Pociągnął drzwi i otworzył je szeroko.

Kiedy Jason wszedł do środka, stary mężczyzna w fioletowym kapeluszu o

kształcie oklapłego grzyba podniósł wzrok znad wielkiego, drewnianego biurka. Na kościstym nosie opierały mu się wielkie okulary w drucianej oprawce i z dwuogniskowymi soczewkami. Odchylił głowę i spojrzął na Jasona oczami o powiększonych tęczówkach. Skóra pod jego oczami opadała głębokimi żłobieniami.

- Wielka Matko Wiedzy - szepnął.

- Dzień dobry - powiedział Jason z ulgą, że znalazł prawdziwą i nierozgniewaną osobę.

Mężczyzna wstał i obszedł biurko. Jego fioletowe pumpy pasowały do kapelusza i rozdymały się jak balony na wysokości ud. Przy butach połyskiwały błyszczące sprzączki.

- Witam, Poszukiwaczu Wiedzy - wyrecytował z powagą mężczyzna. - Z pewnością przybyłeś z daleka i zniósłeś wiele trudów, by zasłużyć na prawo studiowania w Skarbnicy Wiedzy. Niewielu ma odwagę przybyć tutaj, i dość umiejętności, by odnaleźć ten niezwykły gmach.

- Chyba rzeczywiście jestem z daleka. I zdecydowanie cieszę się, że pana widzę.

Starszy mężczyzna zatarł dłonie.

- W tej dekadzie jesteś pierwszym dzielnym poszukiwaczem przygód, który zwycięsko dotarł do tych świętych korytarzy oświecenia. Doprawdy, musisz być poszukiwaczem, którym kieruje przemożny głód wiedzy. Zbyt długo obywałem się bez nowego towarzystwa. Bądź łaskaw zaszczycić mnie opowieściami z twej podróży.

Jason zamrugał zaskoczony i podrapał się z zakłopotaniem po policzku.

- Nikt pana nie odwiedza? Dopiero co widziałem grupę ludzi przy wodospadzie niedaleko stąd.

Starzec skrzywił się w zadumie.

- Miejscowi zbliżają się do skarbnicy równie rzadko, jak do wodospadu. Musiała nadarzyć się jakaś specjalna okazja.

Jason nie rwał się do opowiadania o wypadku z tratwą.

- Chyba tak. Mówi pan, że chce usłyszeć moją historię? Cóż, połknął mnie hipopotam. Tylko że nie znalazłem się w hipopotamie. Wylądowałem w drzewie. A potem po prostu dotarłem tutaj.

Mężczyzna zmrużył oczy za okularami.

- Wolisz mówić zagadkami. Dobrze więc, zasłużyłeś sobie na to, by pozostać zagadkowym. Jestem Bridonus Keplin Dunscrip Garonicum Dziewiąty, depozytariusz wiedzy. Jestem strażnikiem zgromadzonej tu wiedzy. Czym mogę służyć?

Jason przyjrzał mu się w zamyśleniu.

- Nikt nie zjawiał się tutaj od dekady? - Jesteś pierwszy od dziesięciu lat. - Co pan porabia całymi dniami? Starzec przekrzywił głowę. - Zajmuję się archiwami. Opiekuję się wiedzą. Każdy tom jest skatalogowany w mojej głowie. - Popukał się długim palcem w skroń.

- Czyli jest pan bibliotekarzem.

Starzec spuścił na chwilę wzrok.

- Wolę określenie depozytariusz wiedzy.

- Proszę posłuchać, nazywam się Jason i znalazłem się tutaj przypadkiem, chociaż wygląda na to, że niektórzy robią co w ich mocy, by odnaleźć to miejsce. Rozumiem, czemu im to trochę zajmuje, skoro ta budowla znajduje się pośrodku niczego. Może mi pan powiedzieć, gdzie jestem?

Depozytariusz wiedzy miał taką minę, jakby był w rozterce.

- Jesteś w Skarbnicy Wiedzy - wyjaśnił z wahaniem.

- Nie, pytam bardziej ogólnie. O ten świat. Nazywa się jakoś?

Depozytariusz wiedzy pochylił się, unosząc gwałtownie brwi.

- Świat?

- Słyszał pan kiedyś o Kolorado?

- Nie.

- Ale mówi pan po angielsku.

- Naturalnie. Większość ludzi mówi w języku wspólnym.

- Wie pan, skąd się wziął angielski?

- Oczywiście: ze świata Poza. Zadajesz podejrzane pytania, wędrowcze.

- Czyżby? - Jason się zaśmiał. - Na moim miejscu też by pan je zadawał. Z tego, co wiem, może pan być halucynacją, częścią zwariowanego snu, który nie chce się skończyć.

- Rozumiem - odparł depozytariusz wiedzy. - Jesteś filozofem.

- Nie, w jakiś sposób przedostałem się tu z mojego świata. Wylądowałem w tutejszych lasach. Pochodzę z tego samego miejsca co język angielski.

Depozytariusz wiedzy nagle spojrzał z rezerwą.

- Pozaświatowiec?

- Możliwe, skoro mówi pan, że angielski pochodzi ze świata Poza. Często zjawiają się tutaj ludzie z mojego świata?

- Już nie - odparł sceptycznie depozytariusz wiedzy.

- Wie pan, jak mogę wrócić? Mężczyzna uśmiechnął się do Jasona. - Proszę, nie mów już ani słowa. Przebyłeś długą drogę do tego sanktuarium, żeby po prostu ze mnie zakpić? Kto cię do tego namówił? Może mój syn?

- Pan myśli, że żartuję?

Depozytariusz wiedzy oparł pięści na biodrach.

- Chcesz, żebym uwierzył, że pierwszy od wielu dziesięcioleci Pozaświatowiec, który odwiedził Lyrian, zjawił się akurat w Skarbnicy Wiedzy? Może i jestem znany z naiwności, młody wędrowcze, ale i ona ma swoje granice.

Jason złapał się za głowę.

- Nie mogę w to uwierzyć. Wygląda pan jak ktoś, kto mógłby mi pomóc, gdyby mi zaufał.

Depozytariusz wiedzy uśmiechnął się cieplej, jakby świetnie bawił się absurdalnością sytuacji, gdy Jason pozostał w swojej roli, chociaż go zdemaskowano.

- Dość tych bzdur. Z pewnością zjawiłeś się tutaj nie tylko po to, by spletać mi figla?

- Ten świat nazywa się Lyrian?

Poirytowany depozytariusz wiedzy nie odpowiedział.

- Gdzie znajduje się najbliższe miasto?

Depozytariusz wiedzy zdjął okulary i potarł oczy.

- Jak doskonale wiesz, nie ma żadnych osiedli w tej okolicy. Najbliższe miasto znajduje się dwa dni drogi stąd.

- To dlaczego dziesiątki ludzi oglądały muzyków rzucających się z pobliskiego wodospadu?

- Rzadko kiedy zawracam sobie głowę wydarzeniami rozgrywającymi się poza tymi murami.

Jason pogrzebał w kieszeni i wyjął klucze. Z łańcuszka przy kluczach zwieszał się mały laserowy wskaźnik. Jason przycisnął guzik i na ścianie pojawiła się czerwona kropczka.

- Widział pan kiedyś laser?

- Cóż za ciekawy przyrząd. - W głosie depozytariusza wiedzy znowu pojawiło się szczere zainteresowanie.

Jason podciągnął niebieskawą nogawkę kombinezonu.

- Proszę spojrzeć na moje buty. Sądząc po tym, jakie stroje zobaczyłem u ludzi nad wodospadem, nigdy nie widział pan podobnych butów.

Depozytariusz wiedzy pochylił się, mrużąc oczy. - Niezwykłej roboty obuwie. Jason poklepał się po kieszeniach. - Większość rzeczy zostawiłem w szatni, ale domyślałem się, że mój strój też nie jest typowy.

- Zgadza się.

- Cóż, a ja nigdy nie widziałem kapelusza, który byłby podobny do pańskiego. Mówię panu, to może brzmieć dla pana równie dziwnie, jak wydaje się mnie, ale naprawdę nie jestem stąd.

Depozytariusz wiedzy złożył ręce, prostując palce wskazujące i opierając je o spierzchnięte usta.

- Pojawienie się Pozaświatowca byłoby wielkiej wagi nowiną. Byłbym głupcem, wierząc, że to możliwe. Starym głupcem, który powinien wiedzieć swoje. A jednak sprawiłeś, że się zawahałem.

- Świetnie. Mówi pan, że ma pan książki. Są tu jakieś książki, z których się dowiem, gdzie jestem?

- Oczywiście.

- A książka, która pomoże mi powrócić do mojego świata?

Depozytariusz wiedzy spiorunował Jasona pełnym podejrzliwości spojrzeniem i zniżył głos.

- Nie powinieneś domagać się nierozsądnych informacji. Niezależnie od tego, czy z ciebie żartowniś, czy wariat, obaj wiemy, że cesarz zabrania otwartych

dyskusji na takie tematy.

- I tu się pan myli - powiedział Jason, cofając się do wyjścia. - Nie znam tutejszych reguł. Nie próbuję nikogo obrazić, ale najwyraźniej cały czas wchodzę komuś na odcisk. Nic nie wiem o cesarzu. Jeżeli nie chce mi pan pomóc, to pójdę sobie, nie ma sprawy. Przepraszam, że zawracałem głowę.

- Chwileczkę. - Depozytariusz wiedzy przyjrzał się uważnie Jasonowi. - Jak wspomniałem, goście zjawiają się tu coraz rzadziej. Naprawdę tak chętnie odwrócisz się plecami do największego magazynu wiedzy na tych ziemiach? Powiedzmy, że uwierzę w twoje szaleńcze rojenia. Twierdzisz, że nic nie wiesz o tym świecie. Znam pewną księgę, która dostarczy ci solidnych podstaw.

- Pomoże mi wrócić do domu?

Depozytariusz wiedzy podrapał się po brodzie poznaczoną plamami wątrobowymi ręką.

- Nie wiem, czy taką informację można znaleźć w jakiegokolwiek książce. Jeżeli jednak naprawdę jesteś obcy w Lyrianie, ta dostarczy ci fundamentów. Być może przywiodła cię tutaj Ręka Opaczności. Chodź.

Jason wyszedł za depozytariuszem wiedzy z holu wejściowego, mijając żłobkowane kolumny i brodate popiersia w owalnych niszach. Przeszli długimi korytarzami zastawionymi wysokimi regałami z książkami. Na niektórych półkach leżały zwinięte zwoje, na innych ryte tabliczki. Jason zauważył jedną półkę zastawioną książkami oprawionymi w żelazo. Na innej znajdowały się miniatury wielkości napastrków.

Chwilę kluczyli po zastawionym książkami labiryncie, aż depozytariusz wiedzy nakazał Jasonowi gestem usiąść przy szerokim stole z ciemnego cedru. Stękając, zdjął z półki ciężki, niebieski tom, tak wysoki, że prawie sięgał mu do pasa, i ze srebrnymi literami o wyszukanym kształcie wytłoczonymi na froncie okładki. Zatańczył książkę na stół. Nie dość, że była nadzwyczaj wysoka i szeroka, to jeszcze miała wiele cali grubości. Jason przeczytał tytuł.

Skrócona historia Lyrianu. Podpisywał się pod nią ktoś określony jako, Autor Nieznany”.

- Żartuje pan - powiedział Jason, dotykając tomiszczą.

- Ta książka może dostarczyć ci podstawowej wiedzy na temat naszego świata - wyjaśnił depozytariusz.

- Jest ogromna. Skrócona historia? To jakiś żart?

Depozytariusz wiedzy pokręcił głową.

- Lyrian to starożytna ziemia o długiej i zawiłej przeszłości. Wiele dawnej wiedzy straciło dziś na ważności, ale mogę wskazać ci kilka trafnych akapitów.

Otworzył tom i przekartkował większość stronic. Książka była w doskonałym stanie - albo była nowa, albo doskonale zakonserwowana.

Po przekartkowaniu po kilka stronic naraz depozytariusz wiedzy wskazał napisany ozdobnymi literami nagłówek.

- Możesz zacząć tutaj. Każda część historii zaczyna się od streszczenia.

- „Schyłek Epoki Czarnoksiężników” - przeczytał Jason. Słowa napisano czarnymi, wykaligrafowanymi literami. - Macie tutaj czarnoksiężników?

- Kiedyś było ich wielu. Teraz został tylko jeden.

- Czarnoksiężników, którzy rzucają czary? - dopytywał się z niedowierzaniem Jason. - Którzy posługują się magią?

- Większość nazywa to magią. Czarnoksiężnicy mówią po edomicku, w języku stworzenia. Słowami zrozumiałymi dla całej materii i intelektu. Zobaczysz, że wspomina się o tym w historii. Przeczytaj streszczenie.

Jason westchnął. Kaligrafia była ozdobna, ale czytelna.

Trzy główne postaci pod koniec Epoki Czarnoksiężników powszechnie uważa się za jedyne prawdziwych mistrzów języka wysokoedomickiego. Eldrin i Zokar realizowali swoje ambicje stworzenia idealnej rasy, Certius natomiast odsunął się od cywilizowanego świata, zadowolając się zaludnianiem południowych dżungli swoimi dziełami. Eldrin słynął z tego, że pracował samotnie, odmawiając podzielenia się swoimi odkryciami. Zokar sprzymierzył się z innymi wybitnymi czarnoksiężnikami tej epoki, przyjmując na uczniów Arastusa, Orrucka i Maldora.

- Ci goście mają dziwne imiona - narzekał Jason.

- Czytaj dalej - ponaglał depozytariusz wiedzy. - Nie musisz zapamiętać każdego szczegółu.

Nie ulega wątpliwości, że z czasem biegłość Eldrina w niuansach edomickiego

przewyższyła zdolności Zokara. Wkrótce po tym, jak Eldrin stworzył Amar Kabał, Zokar wypowiedział wojnę.

Zokar poświęcił lata na gromadzenie najbardziej przerażającej armii na ziemi i zawarł przymierza z najpotężniejszymi królestwami tej epoki. Rasy, które stworzył, wiernie mu służyły w kampanii przeciwko Eldrinowi, podobnie jak tonvorowie. (Wbrew roszczeniom Zokara, pozostaje wiele wątpliwości, czy rzeczywiście stworzył tonvorów. Patrz: podrozdział F, ustępy 733.)

Obawiając się przymierza między dwoma swoimi największymi rywalami, Zokar najpierw wysłał siły na południe, by wyeliminować Certiusa, mniejsze zagrożenie, i to mu się powiodło. Manewr ten został zapamiętany jako Szaleństwo Zokara, ponieważ alians między Certiusem i Eldrinnem był wysoce nieprawdopodobny, a przedsięwzięcie to dało Eldrinowi czas na przygotowania. Oczekując nieuchronnej bitwy, stworzył drinlingów.

Przed ostateczną bitwą Orruck i Maldor wypadli z łask Zokara - prawdziwa ironia losu, zważywszy, że ostatecznie to Arastus zdradził Zokara w zamian za przywilej zostania pierwszym i jedynym uczniem Eldrina. Ostatecznie, Zokar był zmuszony stawić czoło Eldrinowi osobiście, w legendarnym pojedynku, który powszechnie uznaje się za koniec Epoki Czarnoksiężników.

Po zwycięstwie z pomocą Arastusa rozgoryczony Eldrin postanowił pozbyć się wszystkich tych, którzy aspirowali do miana czarnoksiężnika, i złupił ogromne zasoby wiedzy, skutecznie kładąc kres studiom nad edomickim. Po dwóch czarnoksiężnikach słuch wszelki zaginął i nigdy już nie stworzyli nowej rasy.

- W tym miejscu kończy się podsumowanie - powiedział Jason, podnosząc wzrok.

- Potem następuje o wiele bardziej szczegółowa relacja streszczonych wydarzeń - wyjaśnił depozytariusz wiedzy. - Poważny student może sięgnąć do rozległych odnośników i komentarzy.

- Nie zrozumiałem wszystkich słów - przyznał Jason. - Zwłaszcza nazw ras. Co to jest drinling? Albo tonvor? I co to jest Amar Kabał?

- Na razie to nieistotne dla ciebie szczegóły - zapewnił go depozytariusz wiedzy. - Co rozumiałeś z tego streszczenia?

- Wynika z niego, że nie powinno być już żadnych czarnoksiężników. Eldrin i Arastus wszystkich zniszczyli, a potem odeszli.

- Zrozumiałeś wystarczająco dużo. - Depozytariusz wiedzy przekartkował książkę dalej, aż doszedł prawie do końca. - Tu jest ustęp opisujący obecne czasy.

- „Zarania rządów Maldora” - przeczytał na głos Jason.

Z zaciśniętymi ustami depozytariusz wiedzy skinął głową.

- Kiedy Eldrin opuścił te ziemie, kilka ras, które stworzył, założyło własne królestwa. Niektóre przemieszały się z rodzajem ludzkim; inne zachowały dystans, jeszcze inne osłabły i wyginęły. Minęły wieki. Nikt nie spodziewał się ponownie ujrzeć czarnoksiężnika. I wtedy wrócił Maldor.

- Jeden z uczniów Zokara.

- Wszyscy, łącznie z Eldrinem, zakładali, że Zokar pozbył się Maldora. Nikt nie zgadł, że przetrwał w ukryciu. Maldor może i był najmniej potężnym z uczniów Zokara, ale nie brakowało mu przebiegłości, a w świecie pozbawionym czarnoksiężników jego zdolności wydały się nagle ogromne. Czytaj.

Maldor wykazał nadzwyczajną cierpliwość w swoich staraniach o władzę. Nikt nie poznał jego tożsamości, dopóki nie stworzył twierdzy na Felrook, umocniony przymierzami z Castonem i Dimdellem. W ukryciu udało mu się zgromadzić wokół siebie wiele rozproszonych i podupadłych ras Zokara, co ostatecznie pozwoliło mu zebrać i wyposażać imponujące siły. Największą przewagę bez wątpienia zyskał, kiedy zdobył kontrolę nad tonvorami.

Potem nadeszły dekady genialnych politycznych manewrów. Sprzymierzeńcy stali się poddanymi, a wrogów trzymano na dystans dzięki skomplikowanemu systemowi rozejmów. Maldor okazał się mistrzem w izolowaniu zagrażających mu królestw, pokonywaniu ich w walce, a potem pozyskiwaniu ich zasobów dla swojej sprawy. Zdołał zapobiec zorganizowaniu zjednoczonego oporu do czasu, kiedy taka opozycja nie miała już żadnej szansy na zwycięstwo. Chociaż przetrwały jeszcze pojedyncze wolne królestwa, roszczenia Maldora do tytułu cesarza Lyrianu w rzeczywistości pozostają niepodważone.

- Wasz cesarz jest czarnoksiężnikiem? - zapytał Jason.

- Ostatnim - poinformował go z powagą depozytariusz wiedzy. - Po tym, jak był

świadkiem upadku swojego mistrza, sam nie wziął sobie żadnego ucznia. Cesarz doskonale zdaje sobie sprawę, jaką przewagę daje mu fakt, że tylko on zna edomicki, i zabronił studiów nad tym językiem.

- Zakładam, że Maldor nie jest miłym władcą. Depozytariusz wiedzy uniósł brwi.

- Cesarz to twardy człowiek. Oczywiście, pozostaję jego dłużnikiem, ponieważ pozwala mi trwać na tym posterunku, gdzie czuwam nad zasobami wiedzy.

- Skoro jest czarnoksiężnikiem, myśli pan, że mógłby wiedzieć, jak odesłać mnie do domu?

- Jasonie, jeśli szukasz rady, rozważ moje słowa. Nierozważne jest ściąganie na siebie uwagi Maldora. Większość ludzi bardzo się stara, żeby pozostać z dala od jego myśli. Jeżeli naprawdę jesteś Pozaświatowcem, wolałbyś raczej nie dzielić się tą informacją wszem wobec. Przyczaj się. Ucz się powoli i po cichu. W dzisiejszych czasach przykre konsekwencje dotyczą tych, którzy wyróżniają się w tłumie.

Jason pokiwał w zadumie głową.

- Kto spisał historię, którą właśnie czytałem?

Depozytariusz wiedzy odwrócił wzrok.

- Trudno powiedzieć, jak powstają te księgi: autor nieznany i tak dalej. Domyślałem się, że tekst ten przekazywano sobie od niegdysiejszych czasów.

- Treść wydaje się dość aktualna. A przecież wspomniał pan, że jestem pierwszym gościem od dziesięciu lat, prawda?

Starzec zacisnął usta.

- Maldor pracował długie dziesięciolecia nad umocnieniem swojej władzy. Mogłem zdobyć tę księgę na wiele różnych sposobów.

- Możliwe, ale założę się, że to pan ją napisał.

Depozytariusz wiedzy poczerwieniał i odwrócił wzrok.

- To niedorzeczne.

- Proszę się nie wstydzić! Ja bym się tym przechwalał. Proszę spojrzeć, jaka jest długa! I jeszcze ręcznie napisana!

Depozytariusz westchnął. - Nie podoba mi się idea przypisywania pracy piśmiennej konkretnej osobie. Tekst, który pochodzi z nieznanego źródła, ma w

sobie więcej tajemniczości. Trudniej go zignorować.

- Czyli to pan ją napisał.

- Tak.

- Podoba mi się to, że chociaż streszczenia są zwięzłe, nadal opowiadają historię.

Napisał pan coś jeszcze?

- Nic, co zamierzam ci ujawnić. Pragnę jedynie, by zapamiętano mnie jako Autora Nieznanego.

- Przyzna się pan kiedyś do czegoś, co pan napisał?

Depozytariusz wiedzy zdjął okulary i potarł oczy.

- Być może. Mój ojciec nakłonił mnie, bym opanował prawa, które rządzą pięknym stylem pisarskim, aż będę w stanie utkać ze słów całe światy. Jeśli kiedykolwiek dokonam tego wyczynu, być może podpiszę własnym imieniem opowieść.

Jason rozejrzał się wokół, po korytarzach pełnych książek. Książek spisanych w innym świecie - historii, spostrzeżeń i filozofii, których przeczytanie wymagałoby wielu żywotów i których nigdy nie pozna. Depozytariusz wiedzy założył z powrotem dwuogniskowe okulary.

- Zgłodniałem - powiedział Jason.

- Nakarmiliśmy umysł - powiedział starszy mężczyzna, klepiąc się po brzuchu - czemu nie zająć się żołądkiem?

* * *

Depozytariusz wiedzy podał lunch w pokoju, który nazywał Komnatą Kontemplacji. Ogromne maski zdobiły ściany, każda ukazująca ludzką twarz z brązu i każda z jednym zmrużonym okiem. Nieco poplamione i miejscami rozmazane zawile malowidło przedstawiające tysiące splecionych rąk pokrywało sufit. Kilkanaście świec osadzonych w żeliwnym żyrandolu i kilka lampek oliwnych rozstawionych w pomieszczeniu dawało światło.

Ku zaskoczeniu Jasona posiłek podał młody chłopak, którego spotkał nad rzeką poprzedniego wieczoru. Kiedy wszedł do pokoju i napotkał spojrzenie Jasona, delikatnie pokręcił głową z proszącym wyrazem twarzy. Jason uznał, że chłopak nie chce, by wydało się, że poznali się już wcześniej. Depozytariusz wiedzy

bezceremonialnie przedstawił chłopca jako Hermiego.

Jason zjadał łączywie. Posiłek rozpoczął stosik gorzkich szarych orzechów. Depozytariusz wiedzy upierał się, że są bardzo pożywne. Jason pochłonał je, popijając chłodnym napojem, który smakował jak rozcieńczony sok jagodowy z odrobiną miodu. Główne danie składało się z grzybów o kapeluszach w kropki, z dodatkiem suszonych żółtych jagód o smaku kwaśnych cukierków. Grzyby były większe od dłoni Jasona. Były delikatne i mięsiste, a ich słonawy posmak nie różnił się zbytnio od szynki. Jason zjadł dwa spore kapelusze. Na deser podano ciasto z fioletowym nadzieniem przypominającym konsystencją miąższ dyni. Jason z zachwytem przekonał się, że placek jest słodki i przepyszny.

- To ciasto jest doskonałe - powiedział.

- Tak, nie ma nic lepszego od placka z niebieskim korzeniem.

- Próbowałem porównać do czegoś jego smak.

- Jest jedyny w swoim rodzaju. Jak byś go opisał? Trochę jak przeciwieństwo dziczyzny z pieprzem w sosie miętowym.

- Wierzę na słowo. Dlaczego te wszystkie maski mrugają? - Jason machnął widelcem, wskazując maski w całym pomieszczeniu.

Depozytariusz wiedzy otarł usta fioletową serwetką z falbanką.

- Jedno oko otwarte na całą prawdę, a drugie zamknięte na wszelkie oszustwo.

- To ma o wiele więcej sensu, niż się spodziewałem. - Jason spojrzał ponownie na maski, dostrzegając w nich symbol wnikliwości. - Ma pan coś przeciwko, bym został tu na noc?

Mężczyzna zamrugał zaskoczony.

- Zakładałem, że zostaniesz na dużo dłużej niż jedną noc.

Jason pokręcił głową.

- Muszę wymyślić, jak wrócić do domu. Rodzice wariują z niepokoju. Mój pies pewnie umiera z głodu. Tam jest moje życie. Wszyscy, których znam, moi przyjaciele. Moja szkoła.

- Jesteś więc uczniem? Gdzie znajdziesz lepsze miejsce dla zdobycia edukacji, jeśli nie w Skarbnicy Wiedzy?

- To wspaniałe miejsce, naprawdę, ale nie mogę zostać.

Depozytariusz wiedzy pokiwał z żalem głową.

- Nie mogłem się doczekać towarzystwa.

- Masz Hermiego.

- To dzieciak.

- Ja mam tylko trzynaście lat.

- To wiek, w którym chłopiec podejmuje obowiązki wieku męskiego. Hermie ma raptem jedenaście.

- Może powinien pan się przenieść - zasugerował Jason. - Nigdy nie będzie miał pan wielu gości, jeśli będzie się pan ukrywał w tym lesie.

Depozytariusz wiedzy pokręcił głową.

- Tylko dzięki ustronnemu położeniu unikam niepożądanego nadzoru. Ci, którzy naprawdę potrzebują tego miejsca i je doceniają, znajdą drogę.

Jason pomógł Hermiemu posprzątać talerze i srebra. W małej kuchni depozytariusz wiedzy nie zgodził się, by gość pomagał przy zmywaniu.

- Nie marnuj czasu na sprawy przyziemne. Hermie pozmywa. Badaj bibliotekę, póki możesz, bo jutro może być już za późno. Proszę tylko, żebyś nie wchodził na górne piętro. To zabronione.

- Zabronione? Dlaczego?

Hermie rzucił Jasonowi zaciekawione spojrzenie.

- Nie mogę powiedzieć - odparł depozytariusz wiedzy. - Zapewniam cię jednak, że nie jest to zwyczajny zakaz. Mój ojciec zwykł obejmować zakazem pewne książki w naszej rodzinnej bibliotece, bo tylko dzięki temu zabierałem się do ich czytania. Nudy, w większości wypadków. Cwany podstęp. To, co zakazane, jest zawsze najbardziej ekscytujące. Nie zrozum omylnie moich intencji. Zalecam z całą szczerością, oprzyj się pokusie, nie daj się zaintrygować. Wstęp na górne piętro jest absolutnie zakazany nie bez powodu. Rozumiesz?

- Tak.

Czy depozytariusz wiedzy próbował posłużyć się tą samą sztuczką, którą wykorzystywał jego ojciec, i to zaraz po tym, jak wyjaśnił jej mechanizm? Górne piętro musi być pełne nudnych podręczników, słowników i tego typu śmiecia. Albo to niesamowicie odlotowe miejsce ze starożytnymi artefaktami, bronią i skarbami. A

co ważniejsze, mogą się tam znajdować jakieś wskazówki, które pozwolą mu znaleźć drogę do domu. Czy depozytariusz wiedzy nie wyjaśnił chwilę temu, że informacje na temat Poza są zabronione? Gdzie lepiej ich szukać niż w zakazanej części biblioteki? Im więcej Jason o tym myślał, tym silniejsze miał wrażenie, że depozytariusz wiedzy z rozmysłem podsunął mu wskazówkę. Jason zostawił starca i Hermiego w kuchni, a sam postanowił zbadać schody.

Błądził w labiryncie książek, zaskoczony tym, jak łatwo stracić tu orientację. Zanim znalazł schody, odkrył ogromne atrium pośrodku biblioteki, do którego można było zajrzeć przez potężne szyby wstawione we wszystkie ściany. Znalazł przesuwane drzwi i zapuścił się na zielony dziedziniec.

Sądząc po położeniu słońca, minęło już południe. Kilka kłębiastych obłoczków odcinało się od pola błękitu. Pośrodku atrium, obok kamiennego zegara słonecznego, znajdowała się zakryta studnia z kołowrotem i wiadrem do kompletu. Bujne drzewa owocowe ocieniały krzewy skrzące się jagodami. Niektóre owoce wyglądały znajomo, jak odmiany śliwek i moreli, tyle że w dziwnych kolorach, podczas gdy inne wydawały się zupełnie obce - na przykład, owoc o szarym futerku albo drugi, podłużny i półprzezroczysty.

Kiedy już stosownie zbadał ogród na dziedzińcu, Jason wrócił do krętej wędrownki korytarzami zastawionymi regałami z książkami. Nie było ściany w tym budynku, pod którą nie stałyby tomy. Książki zajmowały nawet przestrzeń nad drzwiami. Wiszące w różnych miejscach latarnie dostarczały większość światła. Raz za razem Jason trafiał na ślepe uliczki, które zmuszały go do zawrócenia po własnych śladach. Wreszcie, po długim błędzeniu, dotarł do kręconych schodów w kącie na tyłach wielkiego budynku. Wbiegł po nich, pokonując po dwa stopnie na raz i wylądował przed wielkimi, żelaznymi drzwiami podziurawionymi maleńkimi otworami. Perforacja układała się w równą siatkę kolumn i rzędów. Drewniane kołki o kształcie golfowego kołeczka te sterczały z dziesięciu środkowych dziur w górnym rzędzie.

Jason złapał za klamkę. Drzwi zamknięto na zamek. W pobliżu klamki nie było żadnej dziurki na klucz. Jason zaczął liczyć otwory i dorachował się stu w każdym poziomym rzędzie i około trzystu w każdej pionowej kolumnie. Szybkie wyliczenia

wskazywały na łącznie trzydzieści tysięcy dziurek.

Jason wyjął kołek i usłyszał przy tym pstryknięcie. Drewnienko było nieco dłuższe od jego małego palca. Kiedy włożył je w przypadkowy otwór, usłyszał pyknięcie. Pstrykpyk, pstrykpyk, pstrykpyk - Jason na próbę wkładał kołeczek w różne dziurki. Pokręcił głową. W życiu nie widział bardziej skomplikowanego zamka. Odłożył kołek do dziurki, z której go wyjął. Pyk. Szanse, że przypadkiem ułoży dziesięć kołków we właściwej kombinacji były niewyobrażalnie małe - zdecydowanie mniejsze niż coś tak prostego jak wygrana na loterii.

Przyglądając się, zauważył maleńkie symbole po lewej stronie każdego rzędu i pod każdą kolumną. Żaden się nie powtarzał.

Kiedy bliższe oględziny nie zaowocowały nowymi informacjami, Jason zszedł z piętra. Nie mając nic innego do roboty, włóczył się i szperał. Znalazł książki o uprawie roli i wytwarzaniu narzędzi. Wiele tomów spisano w obcych językach, których nie rozpoznawał. Jedna z książek napisanych po angielsku omawiała, jak skonstruować i umocnić prowizoryczny garnizon na wrogim terytorium. Inna, pod tytułem Eposy hrabiego Galina z Misenmarch, była masywnym tomiszczem pełnym długich wierszy. Jason wyobraził sobie, jak zabiera tę książkę do domu i dla żartu obwieszcza, że jest jej autorem. Czy można by uznać to za plagiat, skoro pożyczył materiały z innego świata? Jego nauczycielka od angielskiego chyba by zemdlą!

Jason przeglądał interesujący rękopis pod tytułem Krótkie żywoty, przedstawiający ponoć opartą na faktach relację na temat rasy ludzi, których życie trwało tylko dwa lata, kiedy zza rogu wyszedł wielki pies o długiej, białej sierści. Jason zamknął książkę. Pies po prostu stał z wywieszonym mokrym, różowym językiem. Chłopiec podszedł do niego ostrożnie i zanurzył rękę w jedwabistej sierści.

- Grzeczny psiak - powiedział specjalnym głosem, jakim mówił do psów. - Dobry z ciebie psiak. Wcale nie chcesz mnie pokiereszować, co?

Głaszcząc zwierzaka, zastanowił się, jak miewa się jego własny pies w domu.

Psisko odeszło kawałek, ale zaraz się zatrzymało i obejrzało. Lśniący, srebrny dzwonek zwieszający się z obroży zadźwięczał cicho, kiedy pies się poruszył.

- Chcesz, żebym poszedł za tobą? - spytał Jason, odkładając książkę.

Pies poprowadził go prostą drogą do Komnaty Kontemplacji. Kolacja już czekała na stole. Bardzo przypominała lunch, tyle że grzyby były żółte i kształtem przypominały wełniane czapki.

Jason usiadł naprzeciwko depozytariusza wiedzy i zaczął zajadać. Hermiego nie było.

- Niezły jest ten zamek w drzwiach na piętro - powiedział Jason z ustami pełnymi maślanych grzybów.

Depozytariusz wiedzy zamarł z kęsem w połowie drogi do ust.

- Gdzie można by trzymać kombinację do takiego zamku jak ten? - zapytał Jason, przełknąwszy.

- Niewątpliwie bezczelny z ciebie młodzieniec, delikatnie rzecz ujmując - gorączkował się depozytariusz wiedzy. - Wejście na piętro jest zabronione. To dotyczy także mojej osoby.

- To pan zaprojektował te drzwi?

- Nie.

- A kto? Nieznany Projektant?

Depozytariusz wiedzy wzruszył ramionami.

- Zna pan kombinację, prawda? Jaki bibliotekarz odciąłby się całkowicie od części biblioteki?

- Miałbyś ochotę spróbować krzyżówki bąbelkowca, którą sam wyhodowałem?

- Ponawiam pytanie.

Depozytariusz wiedzy podniósł podłużny, przezroczysty owoc, który Jason zauważył w atrium.

- Prawdziwy bąbelkowiec jest właściwie niewidzialny. Skrzyżowałem ten z qualinem. Smakuje całkiem dobrze.

- Zostanę tu dłużej niż do jutra, jeśli zdradzi mi pan kombinację.

Depozytariusz wiedzy uniósł brwi.

- Gdybyś mimo zakazu wszedł na piętro, musiałbym cię stąd wyrzucić. Jeśli taki masz zamiar, wolałbym, żebyś od razu odszedł.

Jason stracił apetyt. Depozytariusz wiedzy zjadł kęs.

- Nie musi mi jej pan podawać - rzucił Jason z całą nonszalancją, na jaką było go

stać. - Wystarczy, że mi pan powie, jak ją zdobyć. Jakaś mała wskazówka. Ciekawią mnie tylko drzwi. Nigdy nie widziałem podobnego zamka.

Depozytariusz wiedzy przyjrzał mu się z wahaniem.

- Nagłe zainteresowanie zamkami, co? Dobrze więc, skoro jesteś zdeterminowany. Ostrzegałem więcej niż raz. Książka pod tytułem Życie, jakie znałem może zawierać wskazówkę.

- Jak ją znaleźć?

- Każę przynieść ją do twojego pokoju.

Jason wrócił do jedzenia. Wgryzł się w krzyżówkę bąbelkowca. Miąsz był lepki, ale słodki i smaczny. Zielonkawy płyn spłynął mu po brodzie. Na koniec Jason zjadł kawałek placka z niebieskim korzeniem.

Później, kiedy Hermie zajął się sprzątaniami, depozytariusz wiedzy zaprowadził Jasona do sypialni. Surowy pokój kontrastował z pełną przepychu architekturą widoczną w całym budynku. Małe łóżko, stołek, prosty stół, komoda z misą toaletową stanowiły jedyne umeblowanie. Poza tym, nagie ściany, naga podłoga i żadnych okien.

Kiedy został sam, Jason zgasił pojedynczą grubą świecę i pokój zatonął w ciemności. Gdzieś daleko usłyszał słaby dźwięk dzwoneczka. Siadając na łóżku, Jason wyjął komórkę, a blask ekranu odepchnął ciemność wokół. Odczytał raz jeszcze wiadomości. Bateria już prawie się wyczerpała.

Żałował, że nie ma z nim Matta albo Tima. Od lat byli jego najlepszymi przyjaciółmi. Matt był najbardziej lojalną osobą, jaką Jason znał, a Tim był przezabawny. Gdyby tu byli, Jason pewnie w ogóle by się nie bał.

Jednakże nie było ich tutaj. Nikogo tu nie było. Zastanawiał się, czy Matt i Tim będą się obwiniać za jego zniknięcie. Pewnie pomyślą, że dostał jakiegoś zakrzepu w mózgu czy czegoś podobnego od uderzenia piłką w głowę. Wyobraził sobie, jak szukają jego ciała. Żałował, że nie może im dać znać, że żyje. Żałował, że nie może wskoczyć na rower i pojechać, by się z nimi spotkać, wpaść z nimi do kina, porzucić piłką albo zorganizować sobie mały turniej baseballowy.

Ktoś zapukał cicho do drzwi.

- Proszę - powiedział Jason.

Hermie wszedł ze świecą w rękę i zamknął za sobą drzwi. Odstawił świecę i usiadł na podłodze.

- Dziwne światło - zauważył. - Parasz się edomickim?

Jason zerknął na komórkę.

- To przedmiot ze świata Poza. Nie podziela już zbyt długo.

- Dzięki, że nie powiedziałeś nic o rzece. Nie dostałem pozwolenia, żeby tam pójść.

- Nie ma sprawy.

- Co sobie myślałeś, kiedy strzeliłeś z łuku w tratwę?

- Wydawało mi się, że upadek z wodospadu to kiepski pomysł. Chciałem ich uratować.

Chłopak się naburmuszył.

- Próbujesz być bohaterem? To dlatego myszkujesz przy górnym piętrze?

- Nie jestem bohaterem - zapewnił go Jason. - Ja tylko chcę wrócić do domu.

- Założę się, że chcesz się dostać do Harthenham.

- A co to jest?

Hermie skrzyżował ręce na piersi.

- Daj spokój, naprawdę zamierzasz udawać, że nie wiesz?

- Naprawdę nie mam pojęcia.

Bateria w komórce padła.

- I skończyło się twoje światło - zauważył Hermie.

- Tylko tyle było prądu w baterii. Wiesz, jak dostać się na piętro?

Hermie prychnął.

- Jestem wystarczająco bystry, żeby trzymać się od niego z dala. Pomagam tu tylko przy sprzątnięciu i załatwianiu sprawunków. Tu jest ta książka, którą chciałeś. - Podał cienką książkę oprawioną w kremową skórę i zatytułowaną Życie, jakie znałem oraz inne historie. - Musiałbyś być tępy, żeby przegapić wskazówkę.

Jason wziął książkę.

- Dzięki. Czemu nie oszczędzisz mi straty czasu i nie wskażesz od razu odpowiedzi?

Hermie uniósł ręce. - Ja w tym nie biorę udziału. Pies pomoże ci poruszać się po

tym miejscu. W każdym razie, dzięki, że nie wspomniałeś o naszym spotkaniu. Miałbym kłopoty. Ja nic nie powiem o strzelaniu do ludzi z łuku.

- Uczciwy układ.

Hermie zabrał święcę i podszedł do drzwi.

- Prześpij się trochę.

I wyszedł, nie czekając na odpowiedź.

Jason został w ciemnościach.

Miał nadzieję, że Hermie mu pomoże. Miło byłoby mieć przyjaciela. Chłopakowi jednak najwyraźniej zależało tylko na tym, żeby nie wspominać o ich pierwszym spotkaniu.

Jason położył się na łóżku. To już jego druga noc w alternatywnej rzeczywistości. Dzięki depozytariuszowi wiedzy miał teraz powód wierzyć, że inni też przechodzili z jego świata do tego. To mu dało pewną nadzieję, że gdzieś, ktoś może znać drogę powrotną. Przy odrobinie szczęścia odpowiedź może znajdować się w pobliżu, czekać za zakazanymi drzwiami.

W domu rodzice pewnie już obdzwonili szpitale i powiadomili policję. Może nawet mówią o nim w wiadomościach! Pewnie szukają go w całym zoo - w ostatnim miejscu, w którym go widziano. Ciekawe, czy jakieś dowody wskażą na udział hipopotama.

Rozdział 3

Słowo

Jason obudził się następnego ranka w ciemnościach. Przekręcił się na drugi bok i zobaczył linię migoczącego światła pod drzwiami. Wygrzebał się z łóżka, opłukał twarz wodą, przeczesał palcami włosy, złapał książkę i wyszedł. Mrugająca lampa w korytarzu okazała się źródłem migotliwego oświetlenia.

Wielki, biały pies leżał pod drzwiami. Wstał i poprowadził Jasona na śniadanie.

- Dzień dobry - powitał chłopca depozytariusz wiedzy.
- Dzień dobry.
- Widzę, że Hermie przyniósł ci Życie, jakie znałem. Częstuj się. Ja idę się przyfrontowym biurku.
- Jak się wabi pies?
- Feraclestinius Androbrelium Pathershin Siódmy.
- Nie pytałem o pełne imię.
- W skrócie wołam na niego Feracles. Zajrzyj do mnie, gdybyś czegoś potrzebował.

Depozytariusz wiedzy wyszedł. Jason wypił gorący, czarny napój, który nie przypominał zapachem kawy. Przy pierwszym łyku był niewiarygodnie gorzki, ale posłodzony ogromną ilością cukru okazał się do przyjęcia. Lepkie kawałki ciekącego owocu i mała miseczka naprawdę chrupiących orzechów dopełniały posiłku.

Wytarłszy ręce serwetką, Jason wziął się za książkę. Jak wczorajszy wolumin i to dzieło przypisano Autorowi Nieznanemu. Otworzył na spisie treści i znalazł tam tytuły różnych krótkich historii. Niektóre wyróżniały się na tle pozostałych. Obok Życia, jakie znałem Jason zauważył Rozmowy z rybołowem, Tajemnice głębin i

Ostatnie życzenia trzmiela.

Otworzył na losowej stronie i zaczął czytać:

- Jak nauczysz swoje dzieci latać? - zapytał matkę. - Nie mam pojęcia, w jakiś sposób nakłonisz je, by skoczyły w powietrze.

- Nie rozumiesz, ponieważ jesteś człowiekiem. Nauka latania dla ptaka przypomina naukę pływania dla człowieka. Potrafisz pływać?

- Tak.

- Bałeś się, kiedy się uczyłeś? Bałeś się, że utoniesz?

- Naturalnie.

- Tak samo jest z uczeniem ptaków latania. Tyle, że my lepiej latamy niż ty pływasz. Powietrze to nasz żywioł. Jesteśmy równie niezgrabne, chodząc po ziemi, jak wy, pływając w wodzie.

Dziwaczna opowieść. Charakter pisma wydawał się znajomy. Jason zgadywał, kto jest autorem. Przekartkował kilka stron, szukając wskazówek.

W końcu doszedł do wyklejki tylnej okładki. Na poza tym całkiem pustej stronie nagryzmołono dwa słowa: „zegar księżycowy”.

Jason nigdy nie słyszał o „zegarze księżycowym”, miał więc nadzieję, że chodzi o zegar słoneczny obok studni.

Kiedy zamknął książkę, biały pies spojrzał na niego - siedział z przekrzywioną głową, a jego gęsta sierść błyszczała. Pies znał bibliotekę wystarczająco dobrze, żeby zaprowadzić go na miejsce?

- Ej, Feracles? - odezwał się do wielkiego psa swoim specjalnym głosem. - Zaprowadzisz mnie do atrium?

Pies natychmiast wybiegł z pokoju. Jason ruszył za nim, sceptyczny, ale okazało się, że po długiej, pokrętnej wędrówce pies rzeczywiście zaprowadził go do szklanych ścian otaczających ogród.

Jason wyszedł przez przesuwane drzwi. Dzisiejszy dzień był bardziej pochmurny od poprzedniego, ale słońce akurat przedzierało się przez chmury.

Podszedł do zegara słonecznego i przyjrzał mu się uważnie. Na kamiennym piedestale wyrzeźbiono po jednej stronie marszczące brwi słońce i uśmiechnięty księżyc po drugiej. Na twarzy zegara znajdowało się dziesięć symboli wyżłobionych

na półkolu, a każdy miał неповtarzalny kształt składający się z delikatnych, złotych linii. Dziesięć symboli budziło pewne podejrzenia, gdy pomyśleć o dziesięciu kołkach w siatce z otworków. Żaden nie wyglądał znajomo, ale Jason miał nadzieję, że znajdzie ich odpowiedniki wśród symboli na drzwiach.

Poklepał się po kieszeniach. Pod kombinezonem miał dzinsy i koszulę z krótkim rękawem. Wyjął portfel i klucze. W portfelu znalazł dwadzieścia siedem dolarów, legitymację uczniowską, kartę ubezpieczenia zdrowotnego i kartę do bankomatu. Klucze były od domu i kłódek przy szafkach w zoo i w szkole. Żałował, że nie ma w kieszeniach więcej użytecznych rzeczy.

- Myślisz, że twój pan pożyczy mi długopis i kartkę? - zapytał psa.

* * *

Tej nocy Jason nie zgasił świecy, kiedy poszedł do łóżka. Zamiast tego otworzył dziennik, który dał mu depozytariusz wiedzy. Nowa oprawa zatrzeszczała. Pierwszą stronę Jason zamazał bazgrołami, ucząc się posługiwać piórem. Na następnych dwóch widniały niezwykle pieczołowicie przerysowane symbole z tarczy zegara słonecznego.

Dziesięć symboli reprezentowało połowę współrzędnych z siatki. Jason podpytywał o dalsze wskazówki przy kolacji, ale usłyszał tylko po raz kolejny, że wstęp na piętro jest zakazany. Jeśli depozytariusz wiedzy pogrywał sobie z Jasonem, żeby pobudzić jego zaciekawienie, to świetnie mu to wychodziło.

Jason uważał, że nie potrzebuje już kolejnej wskazówki. Wpadł na równie szalony pomysł jak szalone było to miejsce.

Kiedy odczekał tak długo, jak pozwalała mu na to cierpliwość, zebrał przybory do pisania i wziął mosiężny lichtarzyk. Uchylił drzwi i wyjrzał na korytarz. Biblioteka wyglądała o wiele bardziej złowieszczo w migotliwym świetle pojedynczego, niczym nieosłoniętego płomienia.

Podkraść się do pierwszych regałów. Ciche skomlenie za plecami tak go przestraszyło, że prawie wypuścił świecę. Biały pies trącił go nosem w nogę.

- Zabierz mnie do atrium, Feracklesie - szepnął Jason.

Ruszył powoli za psem, osłaniając dłonią słaby płomyk.

Wszedł do atrium za przewodnikiem i zamknął za sobą drzwi.

Ukryty księżyc podświetlał wielką chmurę, obrębając ją srebrem.

Jason odstawił ostrożnie świecę na brzeg studni i odwrócił się, żeby przyrzeć się zegarowi księżycowemu. Złote znaki w bladym księżycowym świetle wydawały się srebrne. Przyjrzał im się uważniej, mrużąc oczy, i zauważył, że symbole mają inny kształt niż te, które przerysował za dnia.

Patrzył niecierpliwie, jak chmura przesuwa się po niebie. Jedna strona chmury stawała się coraz jaśniejsza, podczas gdy druga ciemniała. I wreszcie księżyc się wynurzył - był niemal w pełni.

Jasne, srebrne litery rozbłysły w księżycowej poświacie, równie pięknie wryte jak ich dzienne odpowiedniki, ale o zupełnie innym kształcie.

Jason zaczął rysować oświetlone przez księżyc znaki, cierpliwie zanurzając pióro, uważając, żeby uchwycić każdy szczegół. Ponieważ oświetlone przez księżyc symbole odpowiadały swoją pozycją znakom słonecznym, pogrupował je w pary, uznając, że to najpewniej koordynaty położenia kołków w siatce otworów. Chmury zakrywały księżyc dwa razy, kiedy Jason rysował, zmuszając go do przeciągających się przerw. Wreszcie, gdy księżyc miał zniknąć za chmurami po raz trzeci, Jason skończył przerysowywać dziesiąty symbol.

Podszedł do drzwi atrium. - Do nogi, Feracles - zawołał cicho. Pies podbiegł, podzwaniając dzwoneczkiem u szyi. - Zabierz mnie do schodów. Zabierz mnie na piętro. Feracles poprowadził go przez ogród do drugich szklanych drzwi. Jason odsunął je i ruszył zawiłymi przejściami. Po dłuższej wędrówce przez mrok dotarli do podnóża schodów.

- Dobry psiak.

Jason przystanął i podrapał psa po karku.

Kiedy wszedł na stopnie, Feracles nie poszedł za nim.

Na końcu schodów Jason przyklęknął przy drzwiach i przyjrzał się symbolom u podnóża kolumn otworów. Znalazł wśród nich księżycowe znaki. Przyglądając się symbolom obok rzędów, wypatrzył wszystkie te, które przerysował za dnia.

Zebrał dziesięć kołków i zaczął dopasowywać każdą przerysowaną do zeszytu parę do znaków przy kolumnach i rzędach. Kiedy już połączył w pary określone kolumny i rzędy, powędrował wzdłuż prostopadłych linii otworów do miejsca, w

którym się przecinały, i włożył tam kołeczek. Znalezienie wszystkich dziesięciu punktów okazało się żmudnym zadaniem. Oczy zaczęły go piec ze zmęczenia, kiedy po trzy razy sprawdzał koordynaty, żeby nie popełnić błędu i nie musieć zaczynać wszystkiego od początku. Wreszcie wsunął ostatni kołek. Pstryknięciu towarzyszył krótki, metaliczny szczęk wewnątrz drzwi. Jason złapał za klamkę. Obróciła się i ciężkie drzwi otworzyły się do środka.

- Trafiony zatopiony - mruknął Jason.

Z wnętrza zaleciało stęchlizną. Mrużąc oczy w ciemnościach, uniósł wysoko świecę i dostrzegł zacienione półki pełne zakurzonych książek.

Jason wrócił do schodów.

- Do nogi, Feracles - zawołał. - Zabierz mnie na piętro.

Pies zaskamlał i cofnął się kilka kroków.

- No chodź - powtórzył chłopiec, pochylając się i klepiąc się zachęcająco w kolano.

Pies parsknął i lekko zjeżył sierść.

Jason wrócił do złowieszczych drzwi. Teraz, kiedy udało mu się je otworzyć, jego przekonane jakoś straciło na sile. Wahanie psa było bardziej niepokojące niż wszystkie ostrzeżenia depozytariusza wiedzy. Jednakże niezależnie od tego, jak bardzo mm upiorne wydawało się to miejsce, musiał spróbować, jeśli miał szansę znaleźć tu drogę do domu.

Przekroczył próg, a światło świecy odepchnęło ciemność. Przy każdym jego kroku podnosiły się niskie obłoki kurzu. Na piętrze sufit wisiał niżej niż na parterze, ale poza tym pomieszczenie nie różniło się specjalnie od dolnych. Tyle że większość grzbietów tutejszych książek była przesłonięta pajęczynami i pokryta kurzem, przez co nie dało się odczytać tytułów i autorów. Może zakazano wchodzenia na górne piętro, bo depozytariusz wiedzy był zbyt leniwy, by tu sprzątać? Każdy szanujący się bibliotekarz wstydziłby się tak zapuścić księgozbiór.

Jason wziął kilka najbliższych książek i zablokował nimi drzwi. Nie zamierzał ryzykować, że zamkną się same.

Ruszył krętą ścieżką korytarzy zastawionych książkami. Długie półki ciągnęły się, tworząc rozfalowaną powierzchnię i sprawiając, że ponure korytarze

przypominały spaczony serpentyny. Im dalej Jason odsuwał się od drzwi, tym ciaśniej zasłaniał dłonią płomyk świecy. Panowała tu niczym niezmacona cisza. Kroki stawiał uważnie, oddychał cicho. Cienie wokół drżały. Miejsce były upiorne, ale nic nie wyglądało tu wystarczająco ciekawie, żeby chronić to niewiarygodnie skomplikowanym zamkiem. Jason nie widział skarbu, broni ani intrygujących przedmiotów. To wiedza zawarta w książkach musiała być powodem, dla którego zakazano tu wstępu.

Kręta droga doprowadziła go wreszcie do małej czytelnicy z kilkoma stołami i krzesłami. Meble wyrzeźbiono w czarnym kamieniu. Na podłokietnikach ukazano łypiące złym wzrokiem twarze, a stołowe nogi miały kształt węży szczerzących zęby jadowe. Startł przykurzone pajęczyny z grzbietu pierwszej lepszej książki. Subtelności manipulacji. U dołu grzbietu widniało imię „Damak”.

Stawiając lichterzyk na pobliskim stole, zdjął książkę i otworzył na „Wstępie”.

Manipulacja to dyskretne narzędzie o monumentalnej potędze. Umiejętne kreowanie cudzymi pragnieniami, by odpowiadały one potrzebom zainteresowanego, można osiągnąć na poziomie indywidualnym, jak i na skalę światową. Niewątpliwie studia nad manipulacją wymagają dogłębnego zrozumienia samolubnych pobudek, które skłaniają ludzi do działania. Różnorakie pobudki działają najlepiej zależnie od natury umysłów, które pragniemy zdominować. Różnorodne bodźce wchodzi w grę, łącznie ze strachem, pragnieniem bogactwa, poważania lub władzy, żądzą, poczuciem obowiązku, posłuszeństwem, miłością, a nawet altruizmem. Posłużyć się można nieskończonymi kombinacjami, by zredukować najbardziej nieugiętą wolę do poziomu uległej zabawki. Wiedza, jak odkryć stosowną mieszankę bodźców dla danej jednostki lub grupy, i opanowanie umiejętności uruchamiania ich zręcznym ruchem stanowi esencję studiów nad manipulacją.

Mistrz manipulacji jak najmniej kłamie. Wierzy w większość tego - jeśli nie we wszystko - co oznajmia. Ta cecha sprawia, że trudno go zdemaskować. Wystarczy, że raz przedmiot naszych zainteresowań pojmie, że podlega manipulacji, a pojawia się obrona, sprawiając, że przyszłe machinacje staną się znacząco trudniejsze. Najbardziej satysfakcjonujące zwycięstwa dotyczą przeciwników, którzy nie zdają

sobie sprawy, że zostali pokonani.

Jason zamknął książkę.

Zaczynał rozumieć, dlaczego zakazano wstępu na piętro. Poczł wyraźnie coś mrocznego, kiedy tylko zaczął czytać wstęp.

Otarł kilka kolejnych grzbietów, by odsłonić tytuły. Religia i zniewolenie. Pamiętniki potępionej duszy. Nieugaszone pragnienie.

Nic nie brzmiało zbyt przyzwoicie.

Rozejrzył się po niezliczonych zakurzonych woluminach, które go otaczały. Kilka złowrogich ksiąg nie oznaczało, że nie da się tu odnaleźć użytecznych informacji. Dowolny z tomów w pobliżu mógł zawierać informację na temat portali w hipopotamach albo wskazówki, w jaki sposób dostać się do domu. Czy taka szansa nie usprawiedliwiała poświęcenia i zniesienie odrobiny upiorności? Pewnie tak. Jednak nie w tej chwili. Jasona ogarnął taki wielki niepokój, że postanowił opuścić piętro na chwilę i wrócić tu z jaśniejszym światłem.

Unosząc świecę w drżącej dłoni, spróbował wrócić do wejścia. W końcu zdał sobie sprawę, że zgubił się wśród krętych korytarzy. Powinien był zostawić ślad z okruszków chleba.

Spróbował powrócić do kącika czytelnianego, ale jego też nie mógł znaleźć. Zamiast tego trafił na inną otwartą przestrzeń, gdzie jedynym meblem był czarny postument, na którym leżała ogromna księga. Podłogę przykrywał gruby, ciemny dywan z wzorami przedstawiającymi okrutne ciernie.

Jason zbliżył się do książki. Musiała być ważna, skoro umieszczono ją osobno w tak wyróżnionym miejscu. Kiedy podszedł bliżej, stłumił okrzyk. Mimo to, ciekawość zmusiła go do kolejnego kroku.

Książka wyglądała jak oprawiona w ludzką skórę. Po bliższej inspekcji Jason zauważył, że mięsista oprawa jest pokryta maleńkimi porami, delikatnymi włoskami jak te na jego ręce i niebieskawymi żyłkami widocznymi pod powierzchnią.

Wstrząśnięty, dotknął niepewnie powierzchni i natychmiast zabrał rękę. Książka była ciepła w dotyku i miękka, co sugerowało, że oprawa jest grubsza, niż się spodziewał. Wydawała się żywa.

Chorobliwa ciekawość sprawiła, że stał, jakby mu nogi wrosły w ziemię. Jakiego

rodzaju księga mogła być oprawiona w żywą skórę? Na okładce nie było żadnego napisu zdradzającego tytuł lub autora. Najwyraźniej wydawca nie miał igły do tatuażu.

Pocierając kark, Jason zauważył, że włosy mu stanęły dęba. Zerknął na ciemne półki z książkami na obrzeżu światła rzucanego przez świecę. Poza blaskiem ciemność i cisza wydawały się jeszcze bardziej przytłaczające niż dotąd.

Powierzchnia piedestału była pochyła, więc książka spoczywała pod kątem. Jason wsunął palec pod narożnik okładki i otworzył księgę na tytułowej stronie wypisanej ekstrawaganckim charakterem pisma. Atrament był ciemnordzawy.

Księga Salzareda, oprawiona w jego skórę i spisana jego krwią.

Jason obrócił stronę.

Strzeż się, Czytelniku. Pewne rodzaje wiedzy, raz poznane, na zawsze Cię naznaczają. Tak jest właśnie z sekretem zawartym w niniejszej księdze. Kontynuuj lekturę tylko w świadomym sprzeciwie wobec najsurowszych ostrzeżeń, gdyż straszliwe słowa, która padną później, raz na zawsze umieszczą Cię w opozycji do Maldora.

Jason przeczytał te słowa z rozdziawionymi ustami. Jaka informacja może być aż tak niebezpieczna? Skąd Maldor mógłby wiedzieć, że ktoś w ogóle czytał tę księgę?

Depozytariusz wiedzy uparcie twierdził, że rozmowy o podróżach do Poza zostały zakazane przez Maldora. Jason pogryzł knykię. A co, jeśli ta księga zawiera wiedzę, jakiej on potrzebuje, by wrócić do domu? To możliwe! Już na następnej stronie mógł się znajdować jego paszport do rzeczywistości.

Odwrócił stronicę. Treść zapisano tym samym wyrafinowanym charakterem pisma, niemal zbyt ostentacyjnym, żeby dało się go odczytać mimo wielgachnych liter.

Ja, Salzared, główny skryba Maldora, w rozpaczliwym akcie zdrady przekazuję niniejszym wiedzę tycząca się jedynej słabości mego Pana i Władcy i oprawiam te słowa we własne śmiertelne ciało, by przetrwały mimo rozlicznych rąk, które w przeciwnym razie natychmiast by je zniszczyły.

Spójrzcie, Maldor panuje nieulękły, i słusznie, nic bowiem nie może go skrzywdzić, z wyjątkiem jednego Słowa, którego istnienie jest Jego najpilniej

strzeżonym sekretem.

Słowo to wypowiedziane w Jego obecności całkowicie go unicestwi.

Nikt, łącznie ze mną, nie zna wszystkich sylab SłowaKlucza. Jednakże jego fragmenty znają moi towarzysze spiskowcy, którzy przebywają w strzeżonych miejscach i czekają na tego, któremu wystarczy odwagi, by połączyć sylaby w całość.

Wypowiedz Słowo na głos raz jeden w obecności Maldora i w żadnych innych okolicznościach, ponieważ wyartykułowanie go wymaże z twojej pamięci wszelką świadomość jego istnienia. Spisanie całego Słowa wywoła podobny skutek.

Czytając te słowa, wysunąłeś swoją kandydaturę do odszukania SłowaKlucza, jedynej nadziei na obalenie Pana mojego i Tyrana.

Działaj szybko. Wiedza, którą właśnie posiadasz, naznacza cię do natychmiastowej egzekucji.

Pierwsza sylaba brzmi „a”.

A teraz odejź! Niech moja ofiara nie pójdzie na marne. Odejźże!

Salzared

Kartkując resztę pożółkłych kart, Jason odkrył, że wszystkie są puste. Zamknął tom.

Okładka książki pokryła się gęsią skórą. Tak samo jak ciało Jasona.

Czy ostrzeżenia, które przeczytał, mogły być prawdziwe? Z pewnością nie mogła to być aż tak ważna książka, skoro leżała sobie na zakurzonej poddaszu. Za drzwiami zaopatrzonymi w najbardziej wyrafinowany zamek, jaki w życiu widział. W bibliotece ukrytej w środku lasu. Ożeż!

Nagle płat skóry pośrodku okładki uniósł się, odsłaniając piorunujące wzrokiem oko. Ludzkie oko.

Jason wrzasnął i upuścił świecę, zatapiając pokój w natychmiastowej ciemności. Odruchowy krzyk wyrwał mu się znowu, kiedy skulił się na podłodze, szukając po omacku świecy. Przycisnął dłoń do gorącego wosku i krzyknął jeszcze głośniej.

W świadomym wysiłku zacisnął usta, zduszając wyrywający się nadal krzyk. Potarł sparzoną ręką o rękaw kombinezonu. Oko, które spojrzało wprost na niego, nieco przekrwione wokół ciemnej tęczówki, o źrenicy reagującej na światło świecy.

Zadygotał.

Panika niemal go dusiła. Przytłaczająca ciemność sprawiała, że czuł się samotny we wszechświecie, nie licząc faktury dywanu pod nim. Krew pulsowała mu w gardle. Co miał teraz zrobić?

I wtedy usłyszał ciche dzwonienie. Szybko się zbliżało.

Po omacku znalazł wskaźnik laserowy przypięty do kluczy. Cieniutki promień posłał czerwoną kropkę przez pomieszczenie. Do tej pory nie zdawał sobie sprawy, jak mało światła dawał wskaźnik w porównaniu ze świecą. Ale lepsze to niż nic.

Czerwona kropka wystarczyła, żeby ukazać Feraclesa, który wyskoczył przez szparę między książkami na regale. Jason schował do kieszeni klucze i złapał się psa jak wybawiciela. Feracles nie chciał stać nieruchomo i szturchał Jasona, żeby wstał. Chłopak podniósł się, nie puszczając sierści na grzbiecie psa, i pobiegł za nim na oślep krętą i niewidoczną drogą.

Wkrótce dostrzegł przed sobą światło. Dotarli do otwartych drzwi i wybiegli za nie ku schodom. Stał tam depozytariusz wiedzy i czekał z na wpół przesłoniętą latarnią w ręce.

- Nie mogłeś się oprzeć.

- Mam kłopoty?

Depozytariusz wiedzy prychnął.

- A cóż to za pytanie?

- Być może popełniłem wielki błąd.

Starzec pokiwał głową, mrużąc oczy.

- Masz pojęcie, co oznacza wrogość Maldora?

- Domyślam się, że to nic dobrego?

Depozytariusz wiedzy pokręcił ze smutkiem głową.

- Być może naprawdę jesteś Pozaświatowcem. Niech ci dopomoże Opaczność. Chodź.

Poprowadził Jasona po schodach i przez bibliotekę. Idąc szybkim krokiem, Jason poczuł, jak bardzo jest wyczerpany.

- Niemalże każda dusza na Lyrianie stara się nie ściągnąć na siebie uwagi Maldora. Ty właśnie dokonałeś czegoś przeciwnego.

- Ja tylko przeczytałem...

Depozytariusz wiedzy uniósł rękę, odwracając głowę.

- Nie mów nic o tym, czego się dowiedziałeś. To twoje brzemię. Nie narzucaj tej informacji nikomu, kto z własnej woli zatrzymał się na stronie tytułowej.

- Zatem pan wie o książce! Tej oprawionej w prawdziwą skórę?

- Oczywiście, mój chłopcze. - Popukał się w skroń. - Fakt, że nie przeczytałem tego konkretnego tomu, tłumaczy, dlaczego nadal żyję. Widziałeś?

- Co ma pan...

- Wiesz, co mam na myśli.

Jason przełknął ślinę, bo nagle zaschło mu w gardle.

- Tak.

- Musisz natychmiast odejść.

- Właśnie to w ks...

- Nigdy nie mów o tym, co przeczytałeś! Bo inaczej mógłbyś od razu ściąć mi głowę.

- Zamierza pan odesłać mnie w ciemną noc?

- Noc już prawie się kończy. Znajdziesz drogę. Przez dzień albo dwa idź w stronę świtu. Szukaj Ślepego Króla. Być może będzie mógł ci pomóc.

Przy frontowym biurku depozytariusz wiedzy dał Jasonowi brązowy płaszcz podróżny, koc i mały worek wypełniony grzybami. Hermie czekał obok głównych drzwi, przyglądając się Jasonowi z chorobliwą fascynacją.

- Zjedz te jagody teraz - powiedział depozytariusz wiedzy, podając mu garść owoców. - Pomogą ci przetrwać zmęczenie. Więcej ich znajdziesz w torbie.

- Nie rozumiem, co się dzieje.

- Poznałeś sekret, po który właśnie przybywają do tego miejsca śmiałkowie.

- Nie chciałem.

Depozytariusz wiedzy zmarszczył czoło.

- Czyniłeś aluzje, jakbyś chciał, i reagowałeś na wskazówki, jakie ci podsunąłem.

Jasonowi zrobiło się niedobrze.

- To pomyłka! Miałem nadzieję, że dowiem się z książki, jak wrócić do domu, a nagle stałem się wrogiem publicznym numer jeden. Nic nie rozumiem!

- Żałuję, jeśli to prawda. Faktów nie da się już cofnąć. Musisz uciekać. - Depozytariusz wiedzy skierował Jasona ku drzwiom. - Głowa do góry. Potężni mężczyźni zawiedli, gdy przyszło przeczytać słowa, które poznałeś, struchleli w obliczu odpowiedzialności i odeszli jak tchórze. Ty odchodzisz jako bohater. Idź już. Życzę ci szczęśliwej drogi. - Depozytariusz wiedzy pośpiesznie wypchnął go za drzwi.

- Dziękuję - powiedział Jason i wyszedł, potykając się.

Feracles szczerknął raz, kiedy Hermie szarpnięciem zamknął drzwi.

Jason został sam.

Szary przedświt jaśniał na krańcu nieba.

Jason odetchnął głęboko, zerkając za siebie na zamknięte drzwi. Nie wątpił już w realność tego wszystkiego. Znalazł się w straszliwym niebezpieczeństwie. Jako obcy bez przyjaciół w nieznanym kraju stał się wrogiem potężnego cesarza. Po raz pierwszy Jason w pełni pogodził się z myślą, że być może nigdy nie wróci do domu.

Rozdział 4

Ślepy Król

Kiedy Jason wędrował, zostawiwszy za sobą Skarbnicę Wiedzy, szybko zdał sobie sprawę, że przynajmniej w jednej kwestii depozytariusz wiedzy miał rację - jagody naprawdę pozwoliły mu odzyskać energię. Mógłby wziąć się za karate, akrobatykę albo dziesięciobój. Cała senność zniknęła. Szedł w stronę wstającego słońca, owinięty płaszczem, chroniącym go przed chłodem, i zastanawiał się, ile czasu trzeba, żeby zostawić las za sobą.

Maszerował cały dzień, pokonując pofałdowany ciąg kolejnych porośniętych lasem wzgórz, robiąc przerwę tylko po to, żeby przekąsić parę grzybów. Nie mógł dłużej zaprzeczać, że jakimś cudem został przeniesiony do alternatywnej rzeczywistości. Możliwe, że przeżyje tu resztę życia i nie odkryje drogi powrotnej. Ta droga mogła w ogóle nie istnieć. Musiał skupić się na jedynej wskazówce, jakiej udzieli mu depozytariusz wiedzy, i modlić się, by Ślepy Król pomógł mu wrócić do domu.

W końcu pragnienie stało się przemożne. Jason zatrzymał się nad jednym z czyściej wyglądających strumieni, jakie napotkał, i napił się, starając się ignorować oślizgły mech, porastający skały, i robaki ślizgające się po powierzchni wody, w miejscach, gdzie się zbierała w kałużach. Chłodna woda dobrze smakowała.

Jason uznał, że skoro ma się pochorować od picia ze strumienia, równie dobrze może to zrobić w wielkim stylu, więc napił się do pełna.

Słońce opadło za jego plecami, rzucając złotą poświatę na las. Wydawało się, że siła grawitacji powoli przybiera na sile, kiedy pomału słabł wzmocniony jagodami wigor Jasona. Kiedy chłopiec wspiął się na ostatnie wzgórze i odkrył, że za nim ciągną się następne, rozłożył koc pod drzewem i natychmiast zasnął.

* * *

Następnego popołudnia, w miarę jak las rzedł, a wzgórze się wypłaszczały, Jason odkrył biegnące równolegle koleiny wozu. Porośnięty chwastami ślad biegł, ogólnie rzecz biorąc, na wschód, więc Jason szedł wzdłuż niego, aż przekształcił się w wąską drogę.

Zerkając za siebie, na ostatnie zalesione wzgórze, zamarł, przekonany, że widział postać kryjącą się w cieniach spory kawał za nim w górze stoku. Przyjrzał się miejscu, w które - jak mu się wydawało - uskoczyła na wpół dostrzeżona postać. Liście kołysały się na lekkim wietrze. Nie dostrzegł żadnego innego ruchu. W końcu ponownie ruszył drogą, od czasu do czasu zerkając za siebie, ale nie zauważył niczego niezwykłego.

Po jakimś czasie dostrzegł dziwną chatę, okropnie pomalowaną wieloma jaskrawymi farbami, tak że żadna listwa ani żaden parapet nie pasował kolorem do reszty. Pokryte cekinami zasłony migotały za ośmiokątnymi oknami. Dym, wijąc się, uciekał z komina z żółtych i niebieskich cegieł. Niski, zielony płot pomalowany w niezliczone kwiaty otaczał rozległe podwórze.

- Pst, ej, ty, długonogi, podejdź no tutaj.

Chrapliwy szept dobiegł z kępy niskich drzew na lewo od Jasona, sprawiając, że chłopak aż podskoczył, nim się odwrócił.

- Pośpiesz się - ponaglił głos.

U podnóża pnia zasłonięty przez krzak kucał niechlujny mężczyzna, odziany w wiele warstw ciemnych, wybrudzonych ubrań. Nosił rękawiczki bez palców z szarej włóczki. Bezkształtny czarny kapelusz siedział na jego głowie jak piłka do koszykówki, z której spuszczone powietrze. Twarz mężczyzny jeżyła się zarostem, a on sam zachowywał się podejrzanie.

- Chodź tu i schowaj się.

- Pan próbuje mnie okraść?

- Jestem nieszkodliwym człowiekiem. Pośpiesz się.

Jason posłuchał, zszedł z pobocza drogi i stanął nad nieznanym, korzystając z osłony drzew i zarośli.

- Czego pan chce?

- Znam tę społeczność. Ty jesteś obcy. Co cię tu sprowadza?

- Szukam Ślepego Króla.

Mężczyzna zerknął na niego z powątpiewaniem.

- Sugerowałbym, żebyś szedł dalej. Ledwie tu starcza fantów dla jednego człowieka, który po cichu spija śmietankę. Dwóch umarłoby tu z głodu.

- Nie przyszedłem zebrać.

- Żebrać? - prychnął z urazą mężczyzna. - Nie jestem żebrakiem! Żyję z własnego rozumu! Nie potrzeba mi tu intruzów, co narobią zamieszania w kurniku.

- Dlaczego pan się tu chowa?

- Oceniam sytuację. Franny coś piekła. Mógłbyś kapkę przykucnąć? Dobry chłopak. Nazywam się Aster. - Wyciągnął rękę.

Jason uściśnął dłoń, przekonany, że ta grzeczność sprowadziła się do podrzucenia mu pcheł.

- Ja jestem Jason. Nie zjawiłem się, żeby narobić tu komukolwiek kłopotów. Jak już znajdę Ślepego Króla, z pewnością ruszę dalej w drogę. Mam dość własnych kłopotów.

Aster skinął głową. - Wierzę. - Zamierza pan okraść ten dom? Aster wyszczerzył zęby w szelmowskim uśmiechu. - To więcej niż pewne. Jednakże zabiorę tyle, by nie skrzywdzić właścicieli, zważ to sobie. Tylko szczyptę pasztecika, może dwie.

- Dużo pan podróżuje?

- Mały z tego pożytek dla mnie. Podróże łączą się z niepewnością. Znalazłem sobie dzianych frajerów, więc zasadniczo trzymam się tej okolicy. Żyję, korzystając z cudzego dostatku. Ej, powiedz no, nie masz przypadkiem smacznego kaska do odżałowania? Nie proszę o jałmużnę, zważ to sobie, odpłacę się dziesięciokrotnie w paszteciku, jeśli poczekaś tu z godzinę, czy coś koło tego. Po prostu od tego czekania wyostrza mi się apetyt.

Jason otworzył worek z jedzeniem.

- Chyba mógłbym podzielić się parom grzybami.

Włóczęga skrzywił się z odrazą.

- Musisz być w gorszym położeniu ode mnie, skoro uciekasz się do jedzenia grzybów. I powiem szczerze, że nie wiem, co myśleć o twym stroju. Jednak robisz

na mnie wrażenie przyjaznego gościa. Coś ci powiem: posiedź ze mną chwilę, a zwędzę dla nas solidny posiłek. Pod warunkiem, że potem ruszysz w swoją drogę.

Sam smród włości był wystarczająco odstrasżający.

- Dziękuję za pańską hojność, ale wolę iść dalej. Właściwie to zamierzałem zapukać do drzwi tej chaty i zapytać o drogę.

Włóczęga nagle się zaniepokoił.

- Nie zamierzasz popsuć mi skoku, co, przyjacielu? Liczyłem na ten posiłek.

Jason zastanawiał się, czy mężczyzna może okazać się niebezpieczny.

- Zrobię co w mojej mocy, żeby odpłacić się panu za okazaną życzliwość - odparł wieloznacznie.

- W porządku - odparł Aster. - Nie próbuj robić zamieszania. Pozdrów ode mnie Ślepego Króla.

Jason wrócił na drogę, ciesząc się ze świeżego powietrza, i podszedł do modrej jak niebo furtki w niskim, zielonym płocie.

- Halo! - zawołał. - Jest tu kto?

Chwilę potem otworzyły się frontowe drzwi i wychyliła się otyła kobieta z jaskrawą chustą zawiązaną na głowie i radosnym uśmiechem sięgającym aż policzków. Wygładzone, bo rozdęte rysy twarzy sprawiały, że trudno było określić jej wiek. Uśmiech zniknął na widok Jasona.

- Co cię tu sprowadza?

- Tylko przechodziłem - wyjaśnił uprzejmie Jason.

- Nie trzeba nam w miasteczku włóczęgów - ostrzegła kobieta, chmurząc się. - Idź dalej.

Jason się rozejrzał. Nie widział żadnego miasteczka. Jej dom musiał stać na peryferiach.

- Zastanawiałem się, czy nie mogłaby mi pani wskazać drogi do Ślepego Króla? Kobieta jeszcze bardziej spochmurniała.

- Jesteś jednym z tych odmieńców? Sam powinienes wiedzieć, gdzie go szukać.

- Nigdy go nie spotkałem. Potrzebuję jego rady. Nazywam się Jason.

Kobieta westchnęła.

- Nie chciałam być niegrzeczna, Jasonie, ale nastąpiły paskudne czasy. Miłe twarze

i grzeczne słowa skrywają najgorsze intencje.

- Ja tylko pytam o drogę - podkreślał Jason. - Nie zamierzam rozrabiać.

Kobieta otworzyła szerzej drzwi i na ganek wyszedł ogromny pies. Paskudne psisko wyglądało jak buldog wielkości bernardyna. Miało bardzo krótką sierść, co sugerowało, że niedawno ogolono je na łyso. Zwierzę potrząsnęło głęboko pomarszczonym pyskiem i wydało z siebie szorstki dźwięk pomiędzy warczeniem i kaszlem. Jason nie paliłby się do okradania domu, w którym mieszka tak potworny strażnik. Aster najwyraźniej był odważniejszy, niż Jason podejrzewał.

- Puggles wołałby, żebyś przestał nadużywać naszej gościnności - upierała się kobieta. - Mam alarm obok drzwi. Nie zmuszaj mnie do wezwania milicji.

Jason zerknął w stronę miejsca, w którym ukrywał się Aster.

- Proszę posłuchać, proszę pani - zwierzył się teatralnym szeptem - niczego od pani nie chcę. Mam jedzenie w worku i cel podróży w głowie. Mam jednak ważną wiadomość.

Zmrużyła oczy.

- Co masz na myśli? Kto cię przysłał?

- Nikt. Tak się składa, że wiem o złodzieju, który zamierza napaść na pani dom.

Na jej twarzy odmalowała się ulga. Kobieta zachichotała.

- Masz na myśli Asterą?

- Zna go pani?

Uśmiechnęła się. - Ten drań podkrada mi jedzenie trzy razy w tygodniu, regularnie jak w zegarku. Znam go od lat. Wałkoń nie chce przyjąć niczego danego z dobrego serca, ale jeśli pozwolę mu myśleć, że kradnie, zwędzi wszystko, co zostawię na parapecie, by ostygło. Uważa się za najemnika. Zaprosiłabym go do pokoju dla gości, ale on nie chce. Uwierz mi, próbowałam.

- Dziwne.

- Być może, ale w ten sposób on ratuje swoje poczucie godności, a ja pomagam przyjacielowi. Strzeże mnie. Nie raz popędził stąd awanturników.

- Jest pani hojną osobą.

Uśmiechnęła się szerzej, ale zaraz jej uśmiech zbladł.

- Zabawne, że cię nie niepokoił.

- Rozmawialiśmy.

Skinęła głową.

- On potrafi ocenić charakter. Musiał cię zaaprobować. - Obrzuciła Jasona spojrzeniem od stóp do głów. - Próbowalesz mnie ostrzec. Nie możesz być tak całkiem złym człowiekiem. Chociaż strój nosisz dziwny. Przychodzisz z daleka?

- Nawet nie ma pani pojęcia. Proszę posłuchać, nie chcę sprawiać kłopotu, ale naprawdę szukam drogi do Ślepego Króla.

Kobieta zawahała się, zagryzając usta.

- Nazywam się Francine. Franny. Nie cierpię być taka niegościnna, ale nie mam wyboru. Możesz sięść na ganku, Jasonie, jeśli chcesz. Poczęstuję cię chociaż chlebem.

- A może wolałaby pani, żebym zwędził go z parapetu?

- Nawet nie próbuj. Puggles zna Asterę. Skończyłoby się na tym, że odnalazłabym twoje kawałeczki zakopane na podwórzu.

Jason uniósł obie ręce.

- W porządku. Może ganek będzie lepszy.

Kiedy sięgnął do furtki, Puggles szczeknął. Jason się zatrzymał.

- Puggles, do nogi - rozkazała Franny, klepiąc się w udo.

Pokazała psu, żeby wracał do domu, i zwałiste psisko potoczyło się do środka.

Jason otworzył furtkę. Franny zniknęła w domu. Zanim Jason usiadł na schodkach przy ganku, wróciła z bochenkiem chleba zawiniętym w zgrzebny worek.

- Mam słabość do nieszczęśników - przyznała. - Ale to nie znaczy, że jestem naiwna. Jedno słowo, a Puggles rozerwie cię na strzępy. Jeśli słyszałeś o dzikarach, wiesz, że nie przesadzam. I oboje wiemy, że Aster nas obserwuje.

- Przyjąłem do wiadomości - odparł grzecznie Jason. - A co do Ślepego Króla... - To niedaleko stąd. Idź dalej drogą aż do rozstajów i skręć w lewo. Miniesz farmę Łamigłównki, skręcisz w zwirową drogę i niedługo zobaczysz zamek.

- Czyli to prawdziwy król z zamkiem i wszystkim?

- Nie wszystkim - wyjaśniła Franny. - Jest tu w okolicy nieoficjalnym sędzią. Byłoby przesadą nazwać go prawdziwym królem. Różnie się o nim mówi.

Rozstrzyga spory, udziela rad. Niektórzy wykonują jego polecenia, ale Ślepy Król nie ma prawdziwej władzy powierzonej przez cesarza.

- Czy trudno będzie dostać się do zamku? A może wystarczy zapukać?

- Porozmawiaj z wartownikiem. Król chętnie udziela audiencji. Naprawdę tak mało wiesz na jego temat?

- Wiem tylko, że muszę z nim porozmawiać.

- Twoja sprawa to twoja sprawa. Z tego co mówią, jest po prostu sędzią.

Niektórzy z jego otoczenia wydają się dziwni. Sam będziesz musiał wyrobić sobie zdanie.

- A co pani o nim myśli?

- Pozwala, żeby sporo się o nim mówiło w czasach, kiedy roztropniej byłoby nie rzucać się w oczy. Powinieneś już iść.

- Dziękuję, pani Franny.

- Wydajesz się bardzo otwarty - zauważyła ze smutkiem Franny. - Powinieneś zachować więcej ostrożności, podróżując.

Jason zszedł ze stopni ganka i ruszył z powrotem do furtki.

- Dziękuję za przestrożę. I za chleb.

- Nigdy się nie spotkaliśmy - powiedziała Franny, wracając do swego wielobarwnego domu i zamykając drzwi.

Jason pomachał w stronę drzew, gdzie ukrywał się Aster, a potem ruszył drogą. Otworzył torbę i oderwał kawałek ciepłego chleba, który wspaniale smakował. Wdzięczny, że ma coś do jedzenia poza grzybami, zjadł prawie pół bochenka.

Kiedy tylko dom Franny zniknął mu z oczu, Jason dotarł do rozstaju dróg. Biały, kamienny obelisk wyznaczał skrzyżowanie. Po jednej stronie został mocno pokiereszowany, jakby usunięto z niego inskrypcję. Nie licząc wysokiego słupa i bitych dróg, nigdzie nie było widać śladu cywilizacji.

Jason skręcił w lewo, mijając zdziczałe pola wysokiej trawy przerywanej czasem młodziakami. Zobaczył zwęglone resztki domu, cierniste krzewy rosnące wśród poczerniałego drewna, spalony komin, który ostał się prawie nietknięty.

Po chwili natknął się na zadbane pola, gdzie uprawy rosły równymi rzędami. Nieogrodzony dom pojawił się przed Jasonem - niski, solidny budynek. Przed nim

krzepki mężczyzna bez koszuli i w ogrodniczkach siedział na niskim stołku i szkicował na wielkim pergaminie rozpiętym na sztalugach. Drugi stał w pobliżu na trawie i bawił się żelaznymi, połączonymi ze sobą kształtami. Na pobliskim stole stała ceramiczna kopuła podzielona liniami, sugerującymi, że to złożona, trójwymiarowa łamigłówka. Dalej wznosiła się brązowa rzeźba składająca się z dziwacznych, chwiejnie balansujących kształtów. Niektóre jej fragmenty umieszczono na trzpieniach, więc obracały się leniwie na lekkim wietrzyku, popiskując cicho.

- Witam - powiedział Jason. - Czy jeden z panów to Łamigłówka?

- Ja - powiedział mężczyzna w ogrodniczkach i wstał.

Był to silny mężczyzna o ramionach pomocnika w drużynie futbolowej. Robił wrażenie trochę nieufnego, ale nie przestraszonego.

- To pan zrobił tę łamigłówkę? - zapytał Jason, wskazując głową mężczyznę, który próbował rozdzielić żelazne figury.

- Ja, tak samo wiele innych.

- Podoba mi się ta rzeźba.

- Można ją złożyć w wiele różnych kształtów.

- Sprzedaje pan te łamigłówki?

Pokręcił głową.

- Rozdaję.

- Wielu ludzi tu zagląda?

- Głównie ten tutaj, Jerome. Poza tym mało kto zawraca sobie głowę. Czasem paru zajrzy popatrzeć, jak Jerome rozwiązuje najtrudniejsze z moich pomysłów.

Jason wskazał pergamin.

- Projektuje pan nową łamigłówkę?

Mężczyzna pokiwał głową.

- Nie pozwalam nikomu oglądać moich projektów.

Zwinął pergamin, chociaż z miejsca, w którym Jason stał, nie mógł zobaczyć nawet fragmentu rysunków.

- Co cię tu sprowadza, nieznajomy?

- Muszę porozmawiać ze Ślepym Królem.

- A skąd znasz Ślepego Króla?

- Czy nie jest sławny? - odparł wymijająco Jason.

- W okolicy, owszem, do pewnego stopnia. Ale ty nie jesteś z tych stron. Jason nie wiedział, co powiedzieć. - Lepiej by było, żeby nie zadawał mi pan zbyt wielu pytań. - W porządku - odparł Łamigłówa. - Szczęśliwej podróży. Jason odwrócił się od dziwacznej pary. Łamigłówa nie zachowywał się zbyt serdecznie i wydawał się ciut zbyt ciekawski. Jason odszedł szybkim krokiem.

Po paru milach przystanął i po raz pierwszy zdjął szary kombinezon, odsłaniając T-shirt i dżinsy. Ostrożne pociągnięcie nosem potwierdziło podejrzenie, że z okolic przepoconych pach cuchnęło jak od brudnych małp. Dawno temu minęła chwila, kiedy należało się umyć i zrobić pranie. Może w zamku znajdzie się jakaś łazienka.

Ruszył znowu z płaszczem, zwiniętym kocem i kombinezonem pod pachą i w końcu doszedł do rozstajów, od których odchodziła żwirowa droga. Zgrzytliwa wędrówka po żwirze wymagała więcej energii niż po ubitej drodze. Droga obiegała wzgórze i w końcu doprowadziła Jasona do cienia pod drzewami o szerokich liściach.

Kiedy obszedł wzgórze, zobaczył zamek wzniesiony na szczycie bardziej płaskiego pagórka niż ten, który omijał. Potężna kamienna budowla robiła wrażenie opuszczonej. Sypiące się mury, zwieńczone rozpadającymi się blankami, w niektórych miejscach całkiem się zawaliły. Tylko dwie wieże nadal stały, a jedna z nich była tak krzywa i uszkodzona, że wyglądała, jakby mogła się przewrócić, gdyby motyl zakasał. Zwałowiska kamienia i przegniłego drewna znaczyły miejsca, w których już wcześniej zawaliły się inne konstrukcje. Sypiący się zamek wyglądał na idealną kryjówkę dla złodziei i wagabundów. Nic dziwnego, że Aster kazał Jasonowi pozdrowić Ślepego Króla.

Jason westchnął. Czy depozytariusz wiedzy wprowadził go w błąd? Wysłał go prosto w pułapkę? Jason szybko tracił przekonanie, że Ślepy Król będzie w stanie mu pomóc. Nie mając jednak żadnej innej sensownej możliwości, co miał zrobić?

Żwirowa ścieżka doprowadziła Jasona do zardzewiałego, uniesionego mostu zwodzonego z małymi drzwiczkami wbudowanymi w środek. Przez niską, wyschniętą fosę przerzucono deskę. Przed drzwiami stał poważny mężczyzna w

średnim wieku ubrany w niedopasowane części od zbroi i ściskający w dłoni halabardę.

- Kim jesteś, panie? - zapytał oficjalnym tonem wartownik. Mimo ruiny wokół niego najwyraźniej poważnie traktował swoją pracę.

- Kimkolwiek - odparł Jason. - Szukam Ślepego Króla.

- Czy jest pan umówiony na audiencję z Jego Królewską Mością?

- Nie. Niedawno przybyłem tu z odległych ziem.

- Przybywasz panie ze sprawą królewskiej wagi? - Oczywiście. - Twe imię? - Jason. - Proszę tu poczekać, a ja zapytam w zamku. Mężczyzna otworzył drzwi, posługując się kluczem, który nosił u pasa. Pewnie nie była to najlepsza strategia obronna - oddać samotnemu, narażonemu na atak strażnikowi klucz do drzwi, których strzeże. Z drugiej strony wielkie dziury w murach obronnych to też nie najlepszy pomysł. Wartownik zniknął za drzwiami.

Kilka minut później powrócił.

- Jego Królewska Mość przykazał mi pana wpuścić. Proszę pamiętać, by mu okazać szacunek stosowny dla władcy tej świetności.

Poprowadził Jasona przez dziedziniec, gdzie chwasty bujnie kwitły w szczelinach nierównego bruku. Przeszli koło niebezpiecznie przechylonej wieży. Cały kompleks wydawał się opuszczony. Nikt nie kręcił się po dziedzińcu, okna w częściach zamku, które się ostały, wyglądały na puste. Machnąwszy halabardą, strażnik skierował Jasona do podwójnych drzwi, prowadzących do solidniejszej budowli w obrębie zamku, która przylegała do jedynej pewnie stojącej wieży.

W tym budynku mieściła się sala główna. Ptaki siedziały na belkach, białe smugi ich odchodów znaczyły posadzkę i wsparte na kozłach stoły. Na drugim końcu pomieszczenia na rozpadającym podium siedział na zniszczonym tronie obdartus. Wyświechtana szmata przesłaniała mu oczy, pokryta patyną korona spoczywała na siwych włosach, a brudna, zielona szata obszyta utyłanym, białym futrem okrywała jego ciało. Wyglądał jak bezdomny, odgrywający jednego z trzech mędrców ze wschodu w jasełkach w jadłodajni dla ubogich.

W pobliżu stała trójka dworaków: wąsaty mężczyzna w poplamionej aksamitnej czapce, gładzący wgniecioną trąbkę, brzydka kobieta z włosami schowanymi pod

wyblakłym czepkiem i skromnie odziany młody minstrel z lutnią.

- Przedstawiam lorda Jasona - oznajmił dumnym głosem mężczyzna w aksamitnej czapce i dla podkreślenia słów odegrał fanfary na trąbce. Głośne nuty rozbrzmiały metalicznie i denerwująco, odbijając się przykrym echem od nagich ścian sali.

- Chwileczkę - wychrypiał stary król. - Pozwól najpierw mojemu kanclerzowi dokończyć raport.

- Jak sobie życzysz, Najjaśniejszy Panie - powiedział dwornym tonem minstrel, zerkając nerwowo na Jasona. - Jak wspomniałem, wojska najeźdźców zostały zepchnięte poza nasze granice. Generał Braddock informuje o olbrzymich stratach w ludziach po stronie wroga. Waha się, stojąc na granicy i czekając na twój rozkaz.

- Naprzód - wykaszał król, machając ręką. - Wykorzystajmy przewagę, żeby zetrzeć ich w pył, zanim zdołają przegrupować siły.

- Natychmiast wyślemy rozkaz.

- Szybciej - zażądał król. - A co teraz?

- Sprawa lorda Jasona - powiedział mężczyzna w aksamitnej czapce.

- Podejź - wychrypiał stary król, przywołując chłopca gestem dłoni.

Jason rozdziawił usta, obserwując niedorzeczną scenę.

- No już - ponaglił go cicho wartownik.

Jason podszedł do podwyższenia.

- Witaj, potężny królu - powiedział uprzejmie, uznając, że lepiej trzymać się swojej roli w tej farsie. Ukrycie sarkazmu wymagało sporo wysiłku.

- Witaj w moim królestwie - zaintonował król, rozkładając ręce i na ślepo wskazując zniszczone mury i rozpadające się meble.

To było żenujące, ale Ślepy Król najwidoczniej wierzył, że władza wspaniałym krajem. Jasona kusilo, żeby się odwrócić i wyjść. Wydawało się, że nie ma szansy, by ten żalosny komediant mógł mu pomóc. Wtedy jednak Jason zachowałby się niegrzecznie. I nie miał dokąd pójść.

- Co cię sprowadza przed oblicze Jego Królewskiej Mości? - zapytał minstrel, mówiąc teraz cichszym, ale bardziej piskliwym głosem.

- Szukam mądrości - odpowiedział Jason, starając się przemawiać oficjalnym

tonem.

- Znalazłeś się we właściwym miejscu - oznajmił minstrel innym głosem i zmienił pozycję.

Pozostali zaś krzyknęli: „Racja! Dobrze mówi!”, powtarzając słowa różnymi głosami. Co za przedstawienie! Jason dorzucił od siebie jedno: „Racja, racja!”.

Król uniósł ręce, uciszając wszystkich.

- A jakież to mądrości szukasz, młody wędrowcze?

- Nie do końca jestem pewien.

Wśród dworzan rozległy się teatralne szepty i pomruki.

- Co cię sprowadziło do mego królestwa?

- Skierował mnie tutaj depozytariusz wiedzy. Mieszka w skarbnicy...

- Nie mów nic więcej. Rozumiem.

Jason zauważył, że król na moment zacisnął mocniej dłoń na podłokietniku tronu.

Dworzanie wymamrotali coś mętnie na temat wnikliwości króla. Kobieta odsunęła się ukradkiem, zakaszlała głośno i wróciła.

- Porozmawiam z lordem Jasonem natychmiast w zaciszu mych komnat - oznajmił król.

Dworzanie wyglądali na zaszokowanych. Najwyraźniej rzadko kiedy padało takie zaproszenie.

- Jak sobie Wasza Królewska Mość życzy - odparł w końcu minstrel basowym głosem.

Kobieta pomogła królowi wstać i sprowadziła go schodami z podwyższenia.

- Pozwól, by dalej poprowadził mnie młody Jason - powiedział król.

Dworka odsunęła się, a wartownik pośpiesznie podprowadził do władcy Jasona. Król położył rękę na ramieniu chłopca. Jason ruszył za wartownikiem, który wyszedł z sali jednym z bocznych wyjść.

Wartownik rzucił Jasonowi spojrzenie, wykonując zachęcające gesty. Chłopiec zrozumiał aluzję.

- Wasza Królewska Mość ma oszałamiający zamek - powiedział.

- Niezwykle to łaskawe z twojej strony - odparł król chrapliwym głosem. - Od

tego miejsca pójdziemy już sami.

Wartownik skłonił się i wrócił do sali tronowej. Kiedy doszli do kręconych schodów, król chwycił się poręczy.

- Nie potrzebuję już pomocy.

Jason wszedł za królem po kamiennych stopniach do tej z dwóch wież, która stała pewniej. Starzec wspinał się po długich schodach z imponującą szybkością. Mimo długich, siwych włosów i brody, wydawało się, że ma doskonałą kondycję.

W końcu wspięli się do najwyższej położonej w wieży komnaty. Schody kończyły się przed ciężkimi drzwiami z żelaznymi okuciami.

- Jesteśmy na miejscu - powiedział król, otwierając drzwi i prowadząc Jasona do środka.

Pokój był przyjemnie urządzone; stały tu czyste meble i łóżko z baldachimem. Król poruszał się po pomieszczeniu niemal tak, jakby widział. Wyciągając przed siebie jedną rękę, znalazł wyściełane krzesło.

- Siadaj, proszę.

Jason usiadł naprzeciwko króla, który już siedział wyprostowany. Po raz pierwszy Jason zauważył, jak szeroki w ramionach jest monarcha. Teraz jego postawa wydawała się bardziej królewska, niż kiedy siedział przygarbiony na tronie.

- Przysłał cię Bridonus - orzekł król. - Owszem, Wasza Królewska Mość. - Zatem zajrzałeś do księgi oprawionej w żywą skórę? To pytanie zaskoczyło Jasona. - Tak. Król odetchnął. - Nareszcie. - Skąd król wie o księdze? - Ja też widziałem jej karty, chociaż niewiele w moim królestwie wie o tym fakcie. Znasz część Słowa?

Jason spojrzał na obdartego króla.

- Pierwszą sylabę.

- Teraz spoczywa na twoich barkach ogromne brzemie - mruknął król. - Musisz myśleć, że mądrze.

- Słucham?

- Nie mam wojsk. Wiem, że mieszkam w zrujnowanym zamku z garstką dworzaków mających najlepsze intencje. Niektórzy z nich nie zdają sobie sprawy, że wiem, albo udają, że nie wiedzą. Mają wielką satysfakcję, wierząc, że zdołali przekonać mnie, że władam potężnym królestwem. Rzeczywiście, władam tutaj, ale

mojemu królestwu daleko do bycia potężnym. Przez wzgląd na nich siłę się na dostojałość, gram razem z nimi w ich intrygi i wojny, które wymyślają.

Otrząsając się z pierwszych, absurdalnych odczuć, Jason odzyskiwał nadzieję, że król zdoła mu jednak pomóc.

- Ostatnio zetknąłem się z bardzo wieloma dziwnymi związkami.

- Rozwiń tę myśl.

- Kobieta, która pozwala okradać się kloszardowi, ponieważ on nie chce przyjąć od niej jałmużny. Twórca łamigłówek, który wymyśla je dla jednej osoby, poświęcającej czas na ich rozwiązanie. A teraz pan i pańscy poddani.

Niewidomy król skinął głową.

- Ludzie odnajdują sens tam, gdzie zdołają. Nadeszły niepewne czasy. Biorę udział w niedorzecznej farsie po części dlatego, że ukazuje nas w absurdalnym świetle. Im bardziej absurdalni się wydajemy, tym mniej musimy obawiać się cesarza. - Złożył ręce na kolanach. - Masz bystre oczy, dostrzegasz powiązania. Skąd pochodzisz?

- Trudno to wyjaśnić. Król podrapał się po brodzie. - Jesteś Pozaświatowcem? Jasonowi szybciej zabiło serce. - Bridonus posłużył się tym słowem. Myślę, że tak. - Jak dostałeś się do naszego świata? - Wiem, jak to zabrzmiało. - Jason zaczął wiercić się zażenowany. - Dostałem się tu przez hipopotama.

- Wodnego konia? Intrygujące. Opisz, jak do tego doszło.

Jason ekscytował się faktem, że starszy mężczyzna najwyraźniej mu wierzy.

- Pracowałem w zoo i pewnego dnia usłyszałem muzykę dobiegającą z hipopotama. Podeszedłem za blisko, próbując ją usłyszeć i wpadłem do basenu. Hipopotam mnie połknął. Tyle że nie tak naprawdę. Nagle zjechałem tunelem. A potem wyszedłem z drzewa i już nie mogłem wrócić.

- Co się stało potem?

- Cóż, okazało się, że melodię wygrywała grupa muzyków płynących na tratwie.

- Zawrotna Dziewiątka.

- Zgadza się! Płynęli ku wodospadowi. Próbowałem ich uratować, ale spałałem sprawę i wszyscy się wściekli. A potem odnalazłem Skarbnicę Wiedzy, przeczytałem księgę i Bridonus wykopał mnie za drzwi, mówiąc, żeby odnalazł

pana.

Ślepy Król pokiwał głową, znowu gładząc brodę. Na jego ustach błąkał się blady uśmiech.

- Być może ci hulacy mieli jednak rację - mruknął. - Wezwali Pozaświatowca.

- Słucham?

- Przywódca Zawrotnej Dziewiątki, Simeon, był śmiałym człowiekiem, bardziej żołnierzem niż minstrelem. Ich muzyka stanowiła dla niego narzędzie wywrotowe, więc siłą rzeczy muzycy narobili sobie wrogów. Odszedł na pewien czas, by odwiedzić prorokinię, jedną z nielicznych wyroczni, które zachowały jeszcze wiarygodność. Ten czyn wymagał znoonej wędrówki. W drodze powrotnej skonsultował się ze mną, zanim wprowadził w życie jej wskazówki.

- Jakaś wyrocznia kazała mu rzucić się z wodospadu?

- Ujmując rzecz w skrócie. Opowiedz mi o swoim życiu w Poza.

- Jestem uczniem. Mój tata jest dentystą. Mieszkam w ładnym domu. Nasz świat bardzo różni się od waszego.

W miarę mówienia Jason zdał sobie sprawę, jak odległa zaczęła mu się wydawać tamta rzeczywistość. Kiedy siedział w starodawnej wieży prace domowe i baseball wydawały się wręcz surrealistyczne.

Ślepy Król kiwał w zamyśleniu głową.

- Poświęciłeś się kiedyś dla sprawy?

- Ehm... Pomagałem w myjniach samochodowych, żeby zebrać pieniądze dla miejscowej jadalni dla ubogich. Nic nadzwyczajnego. Cały czas próbuję zrozumieć, dlaczego tu jestem i jak mogę wrócić do domu. Może mi pan pomóc?

- Niewielu pozostało, którzy posiadają wiedzę, jakiej szukasz. A spośród tych, którzy ją posiadli, niewielu zechce ci pomóc. Maldor zniechęca do nazywania miejsc. Zabrania rysowania map. Krzywo patrzy na podróżowanie. Uczy ludność, by nie ufała obcym. Pragnie, by mgła ignorancji pokawałkowała nasz świat. Nikomu nie wolno rozmawiać o Poza albo o zakazanym języku. Ludzie wiele zapomnieli albo w ogóle się nie nauczyli. Inni udają, że zapomnieli.

- Ale pan nie boi się cesarza?

- Boję się z wielu powodów. Nie przez wzgląd na siebie. Kocham tę ziemię.

Robię co w mojej mocy.

- Może mi pan pomóc zrozumieć, co powinienem zrobić, by wrócić do domu? A może gdzie powinienem zacząć szukać? Co pan wie o Poza? Nadal nie do końca rozumiem, gdzie się znalazłem.

Król podrapał się w policzek.

- Nie potrafię powiedzieć, jak dotrzeć do Poza. Nie bardzo wiem, kto może być w stanie powiedzieć. Przybywali i inni ze świata Poza. Nigdy nie zdarzało się to często, a ostatnimi czasy ruch między naszymi światami całkiem zamarł. Zrobię co w mej mocy, by pomóc ci się zorientować. Dawno temu to konkretne lenno zwało się Fortaim, a zamek ten zamieszkiwał earl. Fortaim, leży na półwyspie, który wyciąga się w kierunku zachodnim ku wodom rozległego oceanu. Idąc wzdłuż rzeki na zachód, mijając wodospad, dotarłbyś do ujścia, gdzie wody rzeki wpadają do morza. Ty jednak poszedłeś na południe, nie trzymając się żadnej drogi, i natrafiłeś na Skarbnicę Wiedzy. Stamtąd ruszyłeś na wschód wzdłuż półwyspu, aż dotarłeś do tego zrujnowanego zamku. Rzeka, zwana niegdyś Telkron, przepływa kilka mil stąd na północ.

Jason był pod wrażeniem.

- Kto by potrzebował mapy, mając pana pod ręką?!

Ślepy Król zetknął dłonie czubkami palców.

- Miałem kiedyś oczy i korzystałem z nich, by odbywać dalekie podróże w poszukiwaniu Słowa.

- Jak je pan stracił?

- W walce z przebiegłym werbownikiem. Cisnął mi w oczy sproszkowany kwas, parząc skórę i kradnąc wzrok. Ponieważ wciągnąłem też trochę kwasu z oddechem, poparzył mi także gardło i okaleczył głos. Ten werbownik mnie pojmał. W końcu stanąłem przed Maldorem. Cesarz zaoferował mi nowe oczy. Odmówiłem. Nie zgodzę się na odzyskanie wzroku za cenę zostania jednym z jego szpiegów. I dlatego oddano mnie w ręce jego oprawców.

Jason przełknął ślinę. Ten stary król to był naprawdę ktoś.

- Teraz musisz szukać Słowa - powiedział władca.

- Szczerze mówiąc, wolę odnaleźć drogę do domu.

- Nie wątpię. Gdybyś natrafił na drogę do Poza, byłbym ostatnim, który winiłby cię za ucieczkę z naszego świata. Stoimy na krawędzi zagłady. Jednak trudno będzie znaleźć powrotną ścieżkę. Być może to niemożliwe. A tymczasem powinienesz szukać Słowa. Zważ, co mówię: Maldor już cię ściga. Szukanie Słowa to twoja jedyna szansa na przetrwanie. Jeżeli pozostaniesz w bezruchu lub zaczniesz krążyć bez celu, złapią cię.

Jason wiercił się zaniepokojony. Nie czuł się bohaterem, nie ciągnęło go, by zostać Ślepym Lordem Jasonem.

- Poznał pan więcej sylab Słowa?

- Parę, owszem. Więcej niż większość, jak sądzę. Straciłem jednak sylaby, które posiadałem wraz ze wspomnieniami, gdzie większość z nich odnalazłem. Oprawcy Maldora posłużyli się niesłabnącym warunkowaniem, by zniszczyć większość reminiscencji. Jeśli idzie o Słowo, pamiętam bardzo niewiele szczegółów. Jednakże zachowałem kilka fragmentarycznych wspomnień na ten temat. Nadal pamiętam Bridonusa i samą księgę.

- W takim razie powinienem stąd odejść?

- Odpocznij przez noc. Jest ktoś, kogo musisz poznać. To podróżnik jak ty. Spożyj z nami posiłek. Nazajutrz powrócimy do tej rozmowy. Co powiesz na pieczone bażanty?

- Żyłem ostatnio na samych grzybach.

- Idź i zadzwoń dwa razy dzwonkiem. Przywołasz w ten sposób Chandrę, moją kucharkę.

Jason podszedł do dzwonka umocowanego na komodzie i dwa razy uderzył w niego małym młoteczką, który leżał obok.

Rozdział 5

Rachel

Jason stał przy wąskim oknie, przyglądając się ostatnim żarzącym się promieniom zachodzącego słońca, kiedy szczupły mężczyzna średniego wzrostu wniósł do wysoko położonej komnaty Ślepego Króla wielką tacę. Lśniaca blizna przerywała jego rysy, zaczynając się powyżej linii włosów, schodząc łukiem na policzek i sięgając niemal zuchwy. Wszedł, nie przedstawiając się, poruszał się szybko i w milczeniu. Poprzestawiał meble i po chwili na Jasona czekało miejsce naprzeciwko Ślepego Króla, a między nimi znalazł się mały stolik. Sprawnie i bez słowa mężczyzna przeniósł zawartość tacy na stół. Wkrótce na blacie stały nakrycia dla trzech osób, misa z owocami, duży półmisek wypełniony po brzegi tłuczonymi warzywami z przyprawami, karafka ze złotym napojem, dzban wody i talerz ze stosem plastrów białego mięsa.

- Dziękuję, Dorsio - powiedział Ślepy Król, kiedy sługa podniósł pustą tacę. - Gdybyś był tak miły i przyprowadził naszego drugiego gościa.

Dorsio pstryknął palcami, odwrócił się i wyszedł bez słowa, zamykając za sobą drzwi. Od chwili kiedy wszedł, ani razu nie spojrzał Jasonowi w oczy.

- Siadaj, proszę - zachęcił chłopca Ślepy Król.

Jason usiadł.

- Dorsio robi wrażenie bardzo rzeczowej osoby.

- Wybacz mu jego powściągliwość. Nie może mówić. Odgrywając swoją rolę Ślepego Króla, muszę wywierać różne publiczne i prywatne obowiązki. Przed publiką kryję się za powłoką absurdu, podczas gdy prywatnie staram się osłabić władzę cesarza. Dorsio należy do mojego prywatnego kręgu. Potrafi z dużą zręcznością zająć się delikatnymi kwestiami. Rozwinęliśmy system porozumiewania

się: rysuje wiadomości na mojej dłoni albo pstryka palcami, kiedy po prostu przytakuje.

- Bardzo ciekawi mnie nasz drugi gość - przyznał Jason.

- Już wkrótce ciekawość ustąpi miejsca satysfakcji. Niewielu moich współpracowników poznało tę osobę. Zjawiła się tu dwie noce temu. Wierzę, że wasze losy są ze sobą powiązane.

Drzwi się otworzyły i Dorsio wprowadził do pokoju dziewczynę. Była niemal o głowę niższa od Jasona i mniej więcej w jego wieku. Miała krótkie kasztanowe włosy, bardzo stylowo przycięte, ciemne, prawie czarne oczy, a nos i policzki obsypane delikatną mgiełką piegów. Nosiła domowej roboty ubrania niedopasowane do jej figury: ciemnożółta koszula obwisała w ramionach, a zgrzebne, brązowe spodnie były dla niej za szerokie w talii, więc podtrzymywał je szeroki pas. Gdy Ślepy Król wstał uprzejmie, Jason poszedł za jego przykładem.

Dorsio wyszedł w milczeniu, a dziewczyna podeszła do stołu.

- Dziękuję, że do nas dołączyłaś - powiedział z uśmiechem Ślepy Król, wskazując gestem, by usiadła.

Dziewczyna uczyniła to, przyglądając się z zaciekawieniem Jasonowi.

- Więc to ty jesteś tym tajemniczym gościem.

- Z ust mi to wyjęłaś - powiedział Jason, próbując otrząsnąć się z zaskoczenia, że tajemniczym gościem okazała się ładna dziewczyna w jego wieku.

- Nie wymienili ci nawet garderoby - zauważyła, obrzucając go spojrzeniem od stóp do głów.

- To nie są twoje ubrania?

Uśmiechnęła się krzywo, skubiąc żółtą koszulę.

- To raczej nie mój styl. Jednak w swoich ubraniach za bardzo wyglądałam na Pozaświatowca.

- Ty też jesteś Pozaświatowcem?! - wykrzyknął Jason.

Ślepy Król usiadł.

Dziewczyna wyszczerzyła zęby w uśmiechu.

- Ostrzeżono mnie wcześniej, że jesteś z mojego świata. Zupełnie popsuli niespodziankę.

Jason zerknął na Ślepego Króla. Ich gospodarz czekał w milczeniu, z uśmiechem na ustach, i słuchał, złożony ręce na krawędzi stołu. Jason zdał sobie sprawę, że tylko on stoi, więc także usiadł.

- Jak długo tu jesteś?

- To będzie moja piąta noc.

- Moja też!

- Proszę o wybaczenie - wtrącił się Ślepy Król - ale czy mielibyście coś przeciwko, gdybym poprosił, abyście zweryfikowali wzajemnie, czy to drugie pochodzi ze świata Poza? Nie uważam żadnego z was za oszusta, ale nigdy nie zaszkodzi się upewnić.

- Och! - zachwyciła się dziewczyna. - Krzyżowy ogień pytań.

- Skąd jesteś? - spytał Jason.

- Z Olympii, w stanie Washington. A ty?

- Vista, Kolorado. Pokiwała z roztargnieniem głową. - Stolica Pensylwanii? - Nie wiem. Filadelfia? - Nie, ale to ten rodzaj błędnej odpowiedzi, jakiej mógłby udzielić Amerykanin. Niech zgadnę, nie przykładasz się do nauki?

- Tylko dlatego, że nie jestem ekspertem od błahostek, nie znaczy, że jestem kiepskim uczniem - zachnął się Jason. - Jestem w ósmej klasie. Chodzę na zajęcia zaawansowane. A które miasto naprawdę jest stolicą Pensylwanii?

- Harrisburg - odparła zadowolona z siebie.

- Wierzę. Kto wygrał World Series w 2004?

Wzruszyła ramionami.

- Yankees?

- Yankees? I ty śmiesz twierdzić, że jesteś Amerykanką? - Z przyjemnością jej dogryzł po komentarzu na temat Harrisburga. - Red Sox. W tym roku przegrali złą passę.

- Ale Yankees często wygrywali World Series, prawda?

- Wygrali większość - przyznał.

- Grasz w baseball czy tylko oglądasz?

- Jestem miotaczem w drużynie szkolnej i klubowej. I całkiem przyzwoitym zawodnikiem w polu. W której klasie jesteś?

- Przeskoczyłam jeden rok, więc w dziewiątej. Ale uczę się w domu. Chodzę do szkoły tylko na bieżnię.

- Jak możesz przeskoczyć klasę, skoro uczysz się w domu? Mama postanowiła skrócić sobie karierę nauczycielską?

Dziewczyna się skrzywiła.

- Moje zajęcia są o wiele bardziej wymagające od programu w szkole publicznej.

- Skoro tak mówisz. Co trenujesz?

- Bieg przez płotki i skok o tyczce.

- Skok o tyczce? - powtórzył Jason. Był pod wrażeniem. - Masz ikrę.

- Lubię próbować nowych rzeczy.

- Ja już jestem więcej niż przekonany - wtrącił król. - Oceniając po waszej modulacji, powiedziałbym, że mówicie po angielsku w podobny sposób, a sądząc po intonacji, jestem przekonany, że oboje mówicie prawdę. Chociaż to już wiedziałem. Uznajcie to za ćwiczenie z czujności. Bez nadzwyczajnej ostrożności nie przetrwacie. Zjemy coś?

Jason zaczął nakładać sobie mięso na talerz. - Jak się nazywasz? - zapytał dziewczynę. - Rachel - odpowiedziała, nakładając warzywa na talerz Ślepemu Królowi, a potem sobie. - A ty?

- Jason. - Idąc za jej przykładem, podzielił się kilkoma plasterkami bażanta z gospodarzem.

- Mną się nie przejmujcie - zaprotestował władca. - Stół jest nakryty tak, żebym sam mógł się karmić. Jedzcie i poznajcie się lepiej.

- Możesz uwierzyć, że się tu znaleźliśmy? - zapytała Rachel, kiedy Jason nałożył sobie stosik purée z jarzyn.

- Z trudem się do tego wszystkiego przyzwyczajam - przyznał Jason, próbując kęs bażanta. - Ciebie też połknął hipopotam?

- Słucham?

- Jason trafił do naszego świata przez gardziel hipopotama - wyjaśnił Ślepy Król.

- Pozostałości bardzo starej magii. Nie istnieje rzadszy ani dziwniejszy portal, który łączyłby nasze rzeczywistości.

Rachel zacisnęła usta.

- To co, sposób, w jaki ja się tu dostałam, jest typowy?

Ślepy Król pokręcił głową.

- W tych czasach każda wizyta Pozaświatowca jest w zasadzie nie do pomyślenia.

- Dostałaś się tutaj inną drogą? - spytał Jason.

- Byłam na wycieczce z rodzicami - powiedziała Rachel i zapatrzyła się w dal. - Wybraliśmy się do Parku Narodowego Arches w południowym Utah.

- Ale pochodzisz ze stanu Washington - zauważył Jason. - Niech zgadnę: kiedy uczysz się w domu, wakacje można planować dowolnie?

- Tak się składa, że mam mniej wakacji od innych dzieciaków - poprawiła go Rachel. - Szkoła w domu jest mobilna. Moi rodzice cenią sobie doświadczenia z pierwszej ręki. Często mamy zajęcia w terenie. Jeździmy do muzeów, za granicę, do parków narodowych. Rodzice uwielbiają przyrodę.

- Zawsze chciałem więcej podróżować. Mówisz w obcych językach i tak dalej? Oczy jej zabłyśły.

- Uwielbiam języki. Mówię płynnie po francusku i hiszpańsku. Całkiem niezłe po włosku i portugalsku. Radzę sobie z rosyjskim, chińskim i paroma innymi.

Jason cicho zagwizdał.

- Byłaś w tych wszystkich miejscach? We Włoszech, Chinach i tak dalej? - Aha.

- Wygląda na to, że macie niezłą kasę. - Mój tata zajmował się oprogramowaniem komputerowym. Przeszedł na pół etatu. Jestem jedynaczką.

- Opowiadałaś, jak się tu znalazłaś - przypomniał jej Ślepy Król.

- Racja. - Rachel przeczesła palcami ciemne włosy. - Tata wynajął miejscowego przewodnika, żeby zabrał nas z dala od uczęszczanych szlaków. Pojechaliliśmy dżipem przez naprawdę niesamowitą okolicę. Byłeś w Arches?

- Nie. Tylko w Wielkim Kanionie.

- Ja też. Wielki Kanion to po prostu ogromna dziura w ziemi. Moim zdaniem, Arches i Bryce Canyon są o niebo fajniejsze. Pełno tam tych fantastycznych iglic i mostów z kamienia we wszystkich zwariowanych kolorach.

- Powinnaś pisać przewodniki - odparł oschle Jason.

- W każdym razie nasz przewodnik zabrał nas do paru mniejszych łuków

skalnych. Takich, których nie znajdziesz na mapie ani do których nie dojedziesz drogą. Zaparkowaliśmy koło arroyo, tak przewodnik nazywał wąwóz, i stamtąd poszliśmy piechotą. Jar odgałęział się w paru miejscach i kiedy zatrzymaliśmy się na przekąskę, zobaczyłam pięknego niebiesko-złotego motyla. Każde skrzydło miał prawie wielkości mojej dłoni. Wyglądały bez mała jak z metalu.

- Niech zgadnę niespodziewane zakończenie - wszedł jej w słowo Jason. - Motyl cię połknął i wylądowałaś w Lyrianie.

- Nie całkiem. Zaciekawiał mnie. Nigdy nie widziałam czegoś podobnego i pomyślałam, że może odkryłam nowy gatunek. W końcu znajdowaliśmy się w kompletnej dzicy.

- Nigdy nie słyszałem o motylu w Ameryce Północnej, który odpowiadałby twojemu opisowi - oznajmił Jason, dumny z tego, że mógł orzec to tak oficjalnie dzięki swojej zoologicznej wiedzy.

- Mamy je tutaj - zauważył Ślepy Król. - Mów dalej.

- Zostawiłam rodziców, przewodnika i pobiegłam za motylem. Był za daleko, żebym go dogoniła i zrobiła mu dobre zdjęcie, ale bez problemu za nim nadążałam.

- Więc co się stało? - dopytywał się Jason, biorąc kolejny kęs mięsa; bażant był delikatny, a chrupiąca brązowa skórka przy brzegach okazała się smakowicie doprawiona.

- Znalazłam się przed naturalnym kamiennym mostem, naprawdę imponującym.

Motyl przeleciał pod nim i zniknął. W jednej chwili widziałam jak na dłoni wielkiego, barwnego motyla, a w drugiej zniknął mi z oczu. Stałam, mrużąc oczy, i doszłam do wniosku, że musiał zniknąć w cieniu pod łukiem i gdzieś wylądować.

- Jak mówiłam Rachel - wtrącił Ślepy Król ochrypłym głosem - kamienne łuki od dawna były środkiem lokomocji między naszymi światami. O wiele bardziej typowymi niż konie wodne.

- Czyli poszłaś za motylem - podsumował Jason.

- I kiedy tylko przeszłam po łukiem, znalazłam się w zupełnie innym miejscu. - Głos Rachel zadrżał. - Okolica całkiem się zmieniła, to był zielony jar pełen szarych skał. Obróciłam się, ale arroyo zniknął.

- Próbowalas wrócić tą samą drogą?

Pokręciła głową.

- Nie od razu. Zobaczyłam motyla na ziemi, niedaleko ode mnie. Trzepotał słabo skrzydłami. Przykucnęłam obok i patrzyłam, jak umiera.

- Rety. I co potem?

- Próbowalam wrócić. Czymkolwiek było to mistyczne przejście, które przekroczyłam, albo działało w jedną stronę, albo otworzyło się tylko na sekundę. Wołałam rodziców. Przeszłam jarem w górę i w dół. Rzucałam kamieniami. W końcu uznałam, że najlepiej poszukać cywilizacji.

- Trafiła do stojącej na odludziu chaty mojej przyjaciółki - powiedział Ślepy Król.

- Znajdowała się w pobliżu miejsca, przez które się dostałam - dodała Rachel. - Chata wyglądała na prymitywną, ale zadbaną. Zawołałam i zapukałam, ale nikt mi nie odpowiedział. Drzwi były otwarte. Znalazłam w środku martwą starą kobietę. Przysięgam, że wtedy prawie zwariowałam. Tego już było za dużo.

- Erinda mieszkała z dala od ludzi - powiedział Ślepy Król, wypijając łyk złotego napitku z karafki. Oblizął usta. - Doskonały sok z miodowego melona. Koniecznie spróbujcie. Przy czym to byłem? Ach, tak, dzień wcześniej otrzymałem pilną wiadomość od Erindy, zagadkowy list, w którym pisała, że wykonała swoją część zadania, jeśli idzie o ratowanie Lyriahu. Widzicie, Erinda była w pewnym sensie tkaczką zaklęć i wspomniała, że pozostawała w kontakcie z Zawrotną Dziewiątką.

- To ona była wyrocznią? - zapytał Jason, nalewając sobie do szklanki złotego płynu.

Ślepy Król parsknął śmiechem.

- W żadnej mierze. Jednak niezaprzeczenie odegrała swoją rolę w przewidywaniach wyroczni. Erinda miała słabość do owadów. Czy to nie dziwne, że Pozaświatowiec przebiegł za motylem przez nadnaturalny portal w pobliżu jej chaty w dniu, w którym umarła, kilka godzin przed tym, jak młody Jason przybył ze świata Poza w jeszcze mniej prawdopodobny sposób?

- Przez resztę dnia badałam okolicę - opowiadała Rachel. - Wróciłam do jaru, mając nadzieję, że odkryję drogę powrotną do arroyo. Kiedy nie mogłam jej znaleźć,

wróciłam do chaty i spędziłam noc pod jednym dachem z trupem. Przynajmniej było tam jedzenie.

- Dorsio i Brin Łamigłówka poszli do chaty i przyprowadzili Rachel - wyjaśnił Ślepy Król. - W liście Erinda poleciła mi przysłać do jej chaty godnych zaufania ludzi.

- Łamigłówka, który mieszka przy drodze niedaleko stąd? - upewnił się Jason.

Ślepy Król pokiwał głową.

- Kolejny członek mojego prywatnego kręgu.

- Brin przekonał mnie, żebym poszła razem z nimi - powiedziała Rachel. - Sprawiał wrażenie, że wierzył, że zjawiłam się z innego świata. On i Dorsio przyprowadzili mnie tutaj.

- I od tego czasu próbowałem zdecydować, co z tobą zrobić - dodał Ślepy Król. - Zbyt bacznie jestem obserwowany, żebyście mogli zostać tu dłużej. Zważywszy na moją przeszłość, gdyby cesarz uwierzył, że ukrywam Pozaświatowca, byłby to koniec nas wszystkich. Rachel, wierzę, że twoje przeznaczenie splata się z przeznaczeniem Jasona.

- Moje przeznaczenie? - naburmuszyła się Rachel. - Serio? Mówi pan, jakby w to wierzył.

Ślepy Król westchnął w zamyśleniu.

- Istnieją wyrocznie, które naprawdę posiadają dar jasnowidzenia. Niektóre udają, inne zgadują, ale kilka jest prawdziwych. W rzeczy samej, i w mojej rodzinie niektórzy posiadli prawdziwy dar przewidywania. Wygląda na to, że ostatnia wielka prorokini na tym świecie pomogła sprowokować wasze przybycie. Kiedy w grę wchodzi prawdziwe wyrocznie, owszem, wierzę w przeznaczenie. A przynajmniej potencjalne przeznaczenie. Przyszłość nigdy nie jest rzeczą pewną.

- Zawsze uważałam, że przepowiadanie przyszłości to bzdura - odparła otwarcie Rachel. - Chociaż po przybyciu tutaj nie jestem już pewna, w co wierzyć. Kto wie, co jest możliwe? Ale dość o mnie. Jason, opowiedz mi o hipopotamie.

Jason zrelacjonował wyprawę do zoo, pojawienie się nad rzeką i nieudaną próbę ratunku. Rachel nie dowierzała w opowieść o hipopotamie, ale kiedy Jason zwrócił uwagę, że nie jest to bardziej nieprawdopodobne niż przejście do nowego świata

pod skalnym łukiem, wysłuchała reszty uważnie. Ślepy Król powstrzymał go jednak, zanim opowiedział o Skarbnicy Wiedzy.

- Jason dotarł tu okreśną drogą - wyjaśnił monarcha. - Szczegóły jego wędrówki są niebezpieczne dla każdego, kto je pozna. Zdobył informację, która pchnęła go na misję przeciwko Maldorowi.

- Cesarzowi? - upewniła się Rachel.

Ślepy Król skinął głową.

- To wszystko musiało być częścią planu wyroczni.

- Chwileczkę - odezwał się Jason. - Chce pan nam powiedzieć, że wszystko, co tu zrobimy, jest już z góry przesądzone?

- Z pewnością nie. Wyrocznie nie zajmują się pewnikami, lecz możliwościami. Przyszłość zawsze pozostaje płynna, zmienia się stosownie do decyzji podejmowanych w teraźniejszości. Przypuszczalnie gdzieś w szerokim wachlarzu możliwych przyszłości istnieje szansa, że wasza misja może przynieść upragnione skutki dla tych, którzy przeciwstawiają się Maldorowi. Nie wiemy nic ponadto.

- I pan myśli, że jestem tego częścią - powiedziała Rachel.

- Szczegóły proroctwa przepadły wraz ze śmiercią Erindy i Zawrotnej Dziewiątki. Zgaduję tylko, że wy dwoje mieliście razem wyruszyć w misję. Mogę się mylić. Decyzja należy do was. Przedsięwzięcie to będzie nadzwyczaj niebezpieczne.

- A jeśli nie chcę dołączyć do Jasona? - spytała Rachel.

- Odeślę cię na farmę należącą do moich dalekich krewnych. Będziesz grała rolę sieroty, którą przygarnęli do domu, by pomagała im w obowiązkach. Wszyscy zrobimy co w naszej mocy, by ukryć fakt, że przybyłaś ze świata Poza. Być może, kryjąc się i nie zdradzając swojej przeszłości, zdołasz stworzyć tu sobie jakieś życie.

- Nie, dziękuję. Chcę odnaleźć drogę do domu!

Ślepy Król przesunął palcem po brzegu szklanki. Jego mocne dłonie wyglądały młodziej, niż sugerował kolor włosów i brody.

- Jeśli zamierzasz szukać drogi do domu, będzie to wymagało wielu podróży. Najbezpieczniej będzie dla ciebie podróżować w roli spiskowca, który bierze udział w zмовie mającej na celu obalenie Maldora.

- Doprawdy? - Rachel nie kryła sceptycyzmu.

- Maldor to skomplikowany władca. Niezwykle interesuje się wrogami, pragnie poddać ich próbom, ocenić, a wreszcie skorumpować lub złamać. To dziwnie zabrzmiało, ale możecie napotkać mniej oporu po drodze, jeśli wiadomo będzie, że bierzecie udział w spisku przeciwko niemu.

- A cesarz wie o misji Jasona?

- Doskonale - zapewnił ją Ślepy Król. - Bez wątplenia cesarz ma na niego oko. Jeśli zdecydujesz się dołączyć do Jasona, spojrzenie cesarza spocznie i na tobie. Zważywszy, że jesteś Pozaświatowcem, dołączenie do tak rozpaczliwej misji jak ta może być najrozsądniejszym wyborem, jak zapewne przewidziała wyrocznia.

Rachel potarła skronie.

- Nie mogę w to uwierzyć! Sprawy mają się coraz gorzej i gorzej! Żyłam sobie szczęśliwie! Moje życie miało sens!

- Na pewno nigdy nie pojmę do końca, jak bardzo zdezorientowana musisz się czuć - pocieszył ją Ślepy Król.

- A ja owszem - powiedział Jason. - W końcu nie zjawiłem się tutaj w poszukiwaniu misji. Natknąłem się na nią, szukając drogi do domu. I nadal pragnę wrócić do siebie.

- Nie zdziwiłbym się, gdybyście nie rwali się do uznania tej misji za własną - wyznał Ślepy Król. - Oboje zostaliście tu ściągnięci przez siły wykraczające poza wasze pojmowanie.

- Przez wzgląd na ciebie, przykro mi, że się tu znalazłaś - powiedział Jason do Rachel. - Przez wzgląd na siebie, w pewnym sensie się cieszę. To ogromna ulga, móc porozmawiać z kimś, kto przynajmniej wie, że Yankees istnieją.

Zagryzając usta, Rachel bawiła się jedzeniem na talerzu. Wypiła łyk wody.

- Nie śpiesz się - doradził jej władca. - Na razie sekret, który Jason poznał, pozostaje tylko jego brzemieniem. Wystarczająco wiele przydarzyło ci się wbrew twojej woli. Nie zamierzam wmuszać ci tej wiedzy. Jutro możesz wyruszyć z Jasonem, znając jego sekret, albo wybrać spokojne życie na farmie. Przy Jasonie będziesz w wiecznym biegu, uciekając od jednego niebezpieczeństwa ku drugiemu. Na farmie, jeżeli zdołamy przewieźć cię tam dyskretnie, zyskasz sporą szansę przeżycia reszty dni w spokoju, o ile zdołasz nie zwrócić na siebie uwagi. Masz noc, by podjąć

decyzję.

- Istnieje jeszcze trzecia możliwość - powiedziała Rachel. - Ruszę w drogę samotnie i zaryzykuję.

- To możliwe - przyznał Ślepy Król, ale tonem, który jasno wskazywał, że byłaby to niemądra decyzja.

- Ja nie mam wyboru - wymamrotał Jason.

- Niewielki - przytaknął Ślepy Król. - Myślę, że mógłbyś oddać się w ręce cesarza. W przeciwnym wypadku musisz ruszyć w misję. Tę noc spędzisz pod moją ochroną. Każę przygotować ci pokój i łóżko. Nazajutrz otrzymasz ekwipunek i kilka rad na pożegnanie. Na razie zrób co w twojej mocy, by odpocząć.

Rozdział 6

Podarunki

Trzy dziarskie uderzenia wstrząsnęły drzwiami. Jason obudził się i spojrzał na spód ciemnoniebieskiego baldachimu ozdobionego złotym słońcem. Leżał opatulony miękką pościelą, z głową wspartą na puchowej poduszce. Zajmował pokój dokładnie pod prywatną komnatą Ślepego Króla. Na wysokich oknach zamocowano dwuskrzydłowe okiennice z listewek, które blokowały większość szarówki przedświt. Na ścianach wisiała odlotowa broń: kilka mieczy, załadowana kusza, oszczep zaostrzony na obu końcach, oraz dwie sztuki dziwnej broni o krótkich, drewnianych uchwytach, z których wyrastało wiele ostrych, zakrzywionych ostrzy o różnej długości, równie zawiłych jak chińskie ideogramy.

Bach, bach, bach.

Jason się przeciągnął. Najwyraźniej chcieli, żeby wcześniej zaczął dzień. Niechętnie opuszczał wygodne łóżko. Zrzucił przykrycia i podszedł do drzwi; posadzka chłodziła mu bosa stopy. Wysunął sztabę z klamer, odsunął oba rygle i pchnął grube drzwi. Na półpiętrze stał Dorsio z przypasanym krótkim mieczem. Trzymał tobołek z ubraniami. Gestem wskazał Jasonowi, żeby poszedł za nim.

- Powinienem najpierw się w to ubrać? - zapytał Jason. Dorsio skinął głową.

Chłopak ubrał się pośpiesznie. Koszula, spodnie i luźna kamizelka pasowały na niego lepiej niż ubrania, które dostała Rachel. W zawiniątku nie znalazł obuwia.

- Mam zostać w swoich butach?

Dorsio znowu kiwnął głową.

Jason zasznurował buty. Przypominając sobie o dobrych manierach, pośpiesznie poprawił pościel na łóżku. Ślepy Król poinstruował go dokładnie, jak ma zamknąć drzwi do pokoju, lecz noc upłynęła spokojnie.

Jason wszedł schodami do komnaty króla, mijając po drodze kucharkę - wymizerowaną kobietę w skórzanym naszyjniku ściśle przylegającym do szyi i z wielką, drewnianą łychę w stwardniałej od pracy dłoni. Wszedł za Dorsiem na sam szczyt, gdzie sługa otworzył zamek u drzwi.

- Proszę wejść - odezwał się Ślepy Król.

Jason spełnił polecenie. Dorsio został na schodach i zamknął za chłopcem drzwi. Na niskim stole stała taca z parującymi jajkami, ciemnym chlebem i chrupkim bekonem. Jason usiadł. Po zachęce ze strony króla nałożył sobie jajek i bekonu na kromkę chleba, robiąc kanapkę na śniadanie.

- Tego ranka musisz wyruszyć w drogę - powiedział król. - Zrobię co w mojej mocy, żeby pomóc ci w podróży.

- Dokąd powinienem się udać? - spytał Jason, wyplunawszy kęs z jajkami i bekonem, bo sparzył sobie język. Cieszył się, że król nie widzi jego nieapetycznego zachowania.

Ślepy Król skrzywił się w zadumie.

- Długo rozważałem tę kwestię i zdołałem przywołać mgliste wspomnienie. Zalecam ci podróż na południe, daleko poza rozstaje dróg, do miejsca, gdzie droga skręca na wschód i biegnie szczytem nadmorskich urwisk. Przy zakręcie opuścisz drogę i podążysz dalej na południe, aż dotrzesz do małej strużyny, która znika w szczelinie niedaleko od krawędzi klifu. Patrząc w dół z przepaści w pobliżu strumienia, dostrzeżesz dwie skały o kształcie grotów. W czasie odpływu skocz między te skały i przepłynij do jaskini u podnóża klifu. Żyje tam człowiek, który udzieli ci kilku odpowiedzi, jakich ja nie jestem w stanie ci podać.

- Kiedy jest odpływ?

- O tej porze roku powinien wypaść w południe.

- Jak wysokie jest urwisko? Nie zrobię sobie krzywdy?

- Woda jest tam głęboka. Możesz się utopić albo rozbić oskały, ale sam skok powinieneś przeżyć.

- Bardzo to pocieszające. - Jason dmuchał na kanapkę. Odgryzł ostrożnie kęs. - Poda mi część Słowa?

Król ściągnął brwi.

- Możliwe. Pamiętam, że człowiek z nadmorskiej jaskini pomógł mi w poszukiwaniach. Nie pamiętam, gdzie znalazłem fragmenty Słowa, chociaż wiem, że część pochodziła z Księgi Salzareda. Nie mam pewności, czy człowiek z jaskini zna sylabę, czy tylko kieruje cię gdzieś dalej. Zdołałem ocalić tylko wspomnienie miejsca, w którym on mieszka.

- Jak wymazali panu wspomnienia?

Ślepy Król wzruszył ramionami.

- Tortury. Trucizny. Warunkowanie. Magia. Wszystko zamieniło się w żalostną zamazaną plamę. Nie jestem tak stary, jak na to wyglądam. Byłem kiedyś dumnym, aroganckim człowiekiem. Oprawcy pracowali nade mną, aż mnie złamali, na ciele i umyśle. Zdołałem uleczyć ciało. Do pewnego stopnia. Uleczenie umysłu okazało się większym wyzwaniem.

Mimo spalonego języka Jason dokończył kanapkę. Usłyszał kroki na schodach, a zaraz potem rozległo się stanowcze pukanie.

- Kto pragnie tu wejść? - zapytał Ślepy Król. - Brin, mam naglące wieści. - Proszę wejść. Klucz zazgrzytał w zamku i Brin Łamigłówka wszedł zdyszany, ubrany w płaszcz z kapturem.

- Miało miejsce morderstwo!

Jason nie bardzo wiedział, jak zareagować. Zastanawiał się, czy to była kolejna farsa.

- Mów dalej - polecił król.

- Zabrano Francine, córkę Gordona. W jej domu doszło do rzezi.

- Co?!

Tłumiona wściekłość zmieniła głos królowi. Jason pochylił się na brzegu krzesła, zaniepokojony szczerą reakcją władcy. Czy Łamigłówka miał na myśli Franny?

- Tragiczne wieści, Najjaśniejszy Panie, ale prawdziwe.

- Opisz, co widziałeś.

Król odzyskał panowanie nad sobą.

- Kiedy się zjawiłem, drzwi wisały krzywo na wyrwanych zawiasach. Salon wyglądał koszmarnie. Meble połamane, wszystko zbryzgane krwią, strzępy materiału przywarły do ścian i sufitu.

- Haratacz - oznajmił beznamiętnie król.
- Niechybnie.
- Miała dzikarza.
- Nie znalazłem śladu zwierzęcia wśród szczątków.
- Zdołałeś zidentyfikować ofiarę?
- Owszem.

Brin Łamigłówka wyjął zakrwawioną szmatę spod płaszcza, rozwinął ją i pokazał obciętą dłoń w szarej rękawiczce bez palców.

- Aster! - wyrwał się Jason.

Łamigłówka skinął głową.

- Na to wygląda. Wasza Królewska Mość, znalazłem obciętą dłoń na wysokiej półce. Jestem przekonany, że należała do włóczęgi Asterą i panicz Jason najwyraźniej też ją rozpoznał.

- Rozmawiałem z Asterem po drodze - rzekł Jason, wstrząśnięty wieścią o śmierci kloszarda. - Przesyłał pozdrowienia.

Król skinął głową. - Aster był kiedyś szanowanym człowiekiem. Z pewnością interweniował, kiedy po nią przyszli. Najwyraźniej bohaterski duch nie umarł w nim do końca. Jasonie, zakładam, że rozmawiałeś z Francine w drodze do miasteczka?

Jasona opadły wyrzuty sumienia.

- Tak. Nie wiedziałem, że narażam ją na niebezpieczeństwo!

- Ta potworność to wiadomość dla ciebie, a także dla mnie. Maldor chce, żebyś wiedział, że cię obserwuje. Chce, żebym ja wiedział, co się stanie z każdym, kto ci pomoże. Brin, przyśpiesz, proszę, przygotowywanie prowiantu dla lorda Jasona na drogę.

I dowiedz się, czy Rachel postanowiła mu towarzyszyć. Biadam nad faktem, że narażam ją na niebezpieczeństwo, ale nie ma już dla niej bezpiecznego rozwiązania. Nadal spodziewam się, że największe szanse przetrwania ma, towarzysząc Jasonowi, ale sama musi podjąć decyzję. Postaw strażę u podnóża tych schodów. I obserwuj bacznie drogę.

- Wedle życzenia, Najjaśniejszy Panie - odparł Łamigłówka i skłonił się sztywno.

Zamknął za sobą drzwi.

- Co się stanie z Franny? - spytał Jason, zakłopotany faktem, że łamie mu się głos.

- Wspomniałeś jej o Słowie? - zapytał ponuro król.

- Nie, oczywiście, że nie. Depozytariusz wiedzy ostrzegł mnie, żebym o nim nie mówił. Rozmawiam z panem o Słowie tylko dlatego, że sam poruszył pan ten temat.

- Wspomniałeś cokolwiek na temat skarbnicy? Albo że jesteś Pozaświatowcem?

- Nic z tych rzeczy - powiedział Jason. - Zapytałem tylko o drogę do zamku.

- Zatem pewnie przeżyje, chociaż możliwe, że już nigdy nie wróci do domu.

Zostanie przesłuchana i udzieli jej nagany.

- Nie mogę w to uwierzyć - mruknął Jason.

Król się pochylił.

- Rozważ me słowa. Podzielę się teraz z tobą gorzką nauką, którą wyciągnąłem z całego życia wypełnionego smutnymi doświadczeniami. Maldor posiada wystarczającą moc i jeśli życzy sobie czyjejś śmierci, to osoba ta natychmiast ginie, z nielicznymi wyjątkami. Co dziwniejsze jednak, im większe zagrożenie przedstawia sobą adwersarz, tym mniej energicznie Maldor dąży do jego szybkiej śmierci. Bawi się największymi oponentami, zwodzi przynętą, bada i próbuje strzaskać ich ducha, doprowadzić do ostatecznego upadku, zamiast zwyczajnie zgładzić. Z tego powodu nadal żyję. Bez wątplenia bawi go wyobrażanie sobie, jak gniję w tym sypiącym się zamku, nadal żywy, lecz pokonany. Żałosny władca zasiadający okrakiem na tronie rodem z farsy.

- Co za świr - wymamrotał Jason. Ślepy Król uniósł palec. - Jednakże Maldor porzuca swoje chorobliwie dociekliwe gierki, jeśli wróg nie zdoła zastosować się do jego reguł. Nie znosi rozpowszechniania poufnych informacji. Pogardza wciąganiem do rozgrywki osób postronnych. Dobrze wróży ci fakt, że w czasie przesłuchań Francine nie zdradzi żadnych informacji na temat Słowa, czy twej misji. Gdybyś powiedział jej o Słowie, poradziłbym ci, byś szybko przełknął swój ostatni posiłek. Nie lekceważ tych słów. Gdybyś kręcił się po świecie i opowiadał każdej napotkanej duszy o Księdze Salzareda, ty i ludzie, z którymi rozmawiałeś, a najpewniej także ich krewni, przyjaciele i sąsiedzi, zostalibyście zmasakrowani.

- Ale my dwaj ciągle rozmawiamy o Słowie - zauważył Jason.

- Nie powiedziałeś mi nic, o czym już bym nie wiedział. Rozmawiaj, ile zechcesz, z tymi z nas, którzy znają sekret obleczony w żywą skórę. Kiedy raz zostaniesz naznaczońy jako wróg Maldora, najbezpieczniejszy jesteś w towarzystwie innych jego wrogów.

- Czy ściągnąłem niebezpieczeństwo na pana?

- Niewątpliwie, ale to i tak było mi pisane. Jedynym prawdziwym celem w życiu, jaki mi jeszcze pozostał, jest doradzanie tym, którzy ośmielą się rzucić wyzwanie cesarzowi.

Drzwi otworzyły się cicho i weszła Rachel odziana w ten sam niedopasowany strój co wczoraj. Dorsio czekał za nią w progu.

- Rachel - powiedział Ślepy Król, skłaniając głowę w stronę drzwi. - Rozumiem, że postanowiłaś dołączyć do Jasona?

- Przez wzgląd na niego - odpowiedziała. - Mam wrażenie, że beze mnie nie zajdzie daleko.

- Auć - odezwał się Jason. - To jest problem z dziećmiakami, które uczą się w domu. Nie radzą sobie w kontaktach z rówieśnikami.

- Dość tych sprzeczek - zganił ich Ślepy Król. - Oszczędzajcie siły na drogę. Dorsio, czy okolica jest bezpieczna?

Dorsio pstryknął palcami.

- Dopilnuj, by nikt nam nie przeszkadzał.

Dorsio ponownie pstryknął palcami, po czym wyszedł.

- No dobrze, teraz kiedy oficjalnie wyruszam w misję, co to za wielka tajemnica? - zapytała Rachel.

Jason powiedział jej o książce i Słowie. Słuchała ze stoickim spokojem. Ślepy Król poradził, żeby Jason nie wyjawiał jej sylaby, dopóki nie ruszą w drogę, a potem przypomniał, w jaki sposób nie należy prowokować Maldora.

- Czyli ruszamy w misję odnalezienia magicznego słowa? - spytała na koniec Rachel. Sprawiała wrażenie rozczarowanej.

- Maldor był uczniem złego czarnoksiężnika imieniem Zokar - wyjaśnił Ślepy Król. - Mroczni czarnoksiężnicy przyjmowali uczniów pod jednym warunkiem.

Kandydaci musieli pozwolić, by wpleciono niszczący czar w ich fizyczne istnienie. Edomickie słowoklucz mogło aktywować czar i ich anihilować. Dzięki temu wyższy rangą czarnoksiężnik miał pewność, że uczeń nigdy nie obróci się przeciwko niemu.

- I każdy może wypowiedzieć to słowo? - upewnił się Jason.

- Słowaklucze są tak pomyślane, żeby były najprostszym wyobraźnym narzędziem aktywacji czaru. To gwarantuje mistrzowi, że zdoła pokonać ucznia w niemal w każdych okolicznościach. Narażonego na atak ucznia chroni tylko wiara, że mistrz zachowa słowo w tajemnicy i nigdy nie posłuży się nim niesprawiedliwie.

- Ale Zokar zdradził słowo Maldora - wywnioskowała Rachel.

- Najwyraźniej - powiedział Ślepy Król. - Zokar musiał zdradzić komuś Słowo, kiedy rozstał się z uczniem. Zwykle wybierano niejasne, trudne słowo, żeby zminimalizować ryzyko, że niszczący czar zostanie uruchomiony przypadkiem.

Jason wziął dodatkowy kawałek bekonu.

- W Księdze Salzareda napisano, że muszę nauczyć się sylab na pamięć, ale nigdy nie mogę wypowiedzieć Słowa albo go zapisać, bo wtedy zostanie wymazane z mojej pamięci.

Ślepy Król pokiwał głową.

- Edomickie słowa mocy mogą zostać trwale zapamiętane tylko przez najznamienitsze z wyszkolonych umysłów. Część magii przyrodzonej tym słowomkluczom, sprawia, że są zapominane po wypowiedzeniu. Naucz się sylab, ale łącz je tylko w myślach. Nie zapisuj i nie wymawiaj żadnej kombinacji, bo ryzykujesz, że je stracisz. Będziesz miał tylko jedną szansę, żeby wypowiedzieć całe Słowo, i musi do tego dojść w obecności cesarza.

- Naprawdę myślisz, że to zadziała? - zapytała Rachel, biorąc kawałek chleba.

- Postawiłem życie własne i wielu ludzi wokół mnie na tę jedną kartę - zapewnił ją Ślepy Król. - Szukajcie Słowa sumiennie. Miejcie nadzieję, że przez pewien czas Maldor będzie się raczej wami interesował i wołał was studiować niż pośpiesznie zniszczyć. Strzeżcie się jednak: nawet najdelikatniejsze z jego prób mogą okazać się śmiertelne. I bądźcie przygotowani na moment, kiedy Maldor przyjdzie po was naprawdę. Im bliżej będziecie sukcesu, tym większe niebezpieczeństwo będzie wam grozić. Cesarz nie pozwoli, by się wam udało. Mimo to, musicie jakoś wygrać.

- Tobie się nie udało - zauważyła Rachel. - Owszem - zgodził się zmęczonym głosem Ślepy Król. - Możemy mieć tylko nadzieję, że okażecie się sprytniejsi, zręczniejsi albo szczęście będzie wam sprzyjać bardziej niż mnie. Droga będzie wyczerpująca, ale, zważywszy na wiedzę, jaką posiadacie, nie macie innego wyboru, musicie podążać nią dalej.

Jason skinął głową, a potem przypomniał sobie, że Ślepy Król nie może tego zobaczyć.

- Zrobimy co w naszej mocy.

- Dobry chłopak. Jak sobie radzisz z bronią białą?

- W ogóle.

- Masz jakąś broń?

- Nie.

- Rachel?

- Ehm, mam tylko aparat. I manierkę.

- Mam dla was kilka podarków.

Odepchnąwszy krzesło, Ślepy Król wstał i podszedł do wezglowia łoża. Przycisnął dwa żołądźce zdobiące drewno i panel odskoczył na sprężynach, odsłaniając niewielki schowek. Król wyjął stamtąd kilka rzeczy.

- Ten sztylet należy teraz do ciebie, Jasonie - powiedział król, wyciągając niewielkie ostrze. - Klingę ma niezwykle ostrą. Jeżeli przyciśniesz ten kwiat na rękojeści i przesuniesz do przodu, ostrze zamieni się w pocisk zdolny przelecieć niewielką odległość. Mechanizm jest sprężynowy, wymyślony przez Brina Łamigłówkę. Niech ci dobrze służy.

Ślepy Król wsunął sztylet do pochwy i Jason schował broń w głębokiej kieszeni spodni.

- Dziękuję.

- Dałbym ci miecz, ale obnoszenie się z bronią, której nie opanowałeś, jest bardziej niebezpieczne niż podróżowanie bez uzbrojenia. Strzeż się ludzi, którzy noszą miecze. Będę wiedzieli, jak się nimi posłużyć.

- Zapamiętam to.

- Rachel? - Ślepy Król wyciągnął rękę z kryształową kulą, mniejszą od piłki

baseballowej, z małym kamykiem w środku. - Ten minerał nazywa się orantium. Płonie gwałtownie wystawiony na działanie powietrza lub wody. Zamknięty w kuli z czystym gazem jest niegroźny, ale po strzaskaniu kryształu spowoduje potężną eksplozję. Idealne narzędzie do zniszczenia harataczy. Nawet jeśli haratacz cię pokona, mając to przy sobie zadbasz oto, by nie zginąć samotnie.

Między brwiami Rachel pojawiła się zmarszczka. - Skoro wybucha w zetknięciu z powietrzem, to jak w ogóle wydobyto ten minerał? Ślepy Król odchrząknął. - Dawno temu, u zarania udokumentowanej historii, orantium wydobywano z trzewi góry Allowat, jedyne miejsce, gdzie go odkryto. Nadszedł dzień, kiedy górnicy dotarli do potężnej żyły, zbyt niebezpiecznej, by ją wydobywać, i porzucili pracę. Z czasem metody pozyskiwania tego minerału poszły w zapomnienie, tak samo jak położenie złóż w górze. Ta kula to pamiątka po starożytnych czasach, jedna z nielicznych z kurczącego się zapasu wybuchowego orantium.

- A jeśli stłukę kulę przypadkiem? - spytała Rachel.

- Zostaną z ciebie tylko strzępy. Na szczęście, otoczka z kryształu jest dość wytrzymała. Trzeba cisnąć nią ze sporą siłą o twardą powierzchnię, żeby pękła.

Król wręczył jej kulę.

- Jest pan bardzo uprzejmy - podziękowała Rachel.

- Ponieważ żadne z was nie jest wojownikiem, najlepiej dla was, jeśli będziecie unikać konfrontacji. Stosujcie uniki i perswazję. Sztylet i orantium to wasza ostatnia deska ratunku.

- Kto mieczem wojuje, od miecza ginie - powiedział Jason.

- W rzeczy samej. - Ślepy Król pogładził się po brodzie. - Mam jedną przewagę nad wami.

- To znaczy? - zapytała Rachel.

- Znam wasze imiona. Moje imię to tajemnica. Dla wszystkich prócz nielicznych wyjątków, zaufanych sprzymierzeńców, jestem po prostu Ślepym Królem. Wielu wrogów z dawnych dni zapragnęłoby zemścić się na mnie, gdyby dowiedzieli się, gdzie przebywam. Moja broda, głos, blizny, przedwczesna starość, wszystkie te rzeczy pomagają mi ukryć moją prawdziwą tożsamość. Nazywam się Galloran. To imię otwiera wiele drzwi. Zwłaszcza, kiedy oznajmicie, że jestem waszym

protektorem. Posłuchcie się moim imieniem, kiedy będziecie rozmawiać z człowiekiem w jaskini oraz z innymi, którzy także spiskują przeciwko Maldorowi. To może wam pomóc, gdy znajdziecie się w potrzebie.

Galloran wyjął pierścień z wewnętrznej kieszeni szaty i podał go Jasonowi.

- Będzie pasował?

Jason wsunął sygnet na serdeczny palec prawej dłoni.

- Tak.

- Potwierdzi to, że jestem waszym protektorem. A teraz trzeci i ostatni podarunek.

Uklęknij.

Jason wypełnił polecenie. Spod sfatygowanej szaty Galloran wyciągnął wspaniały miecz, którego długa klinga lśniła jak lustro. Wysunął przed siebie rękę i położył ją na głowie Jasona, żeby wiedzieć, gdzie chłopak klęczy, a potem poklepał go w oba ramiona ostrzem, mówiąc:

- Ja, Galloran, pan tego zamku, prawowity następca tronu w Trensicourt, pasuję cię na lorda Jasona z Caberton, niniejszym przekazując ci wszelkie prawa i przywileje przynależne arystokracji twojej rangi i tytułu.

Jason wstał, poruszony tą prostą ceremonią, mimo ruiny zamku, zachrypłego głosu Ślepego Króla i jego zmatowiałej korony.

- A co ze mną? - zapytała cierpko Rachel.

- Możesz być moją kucharką - odparł Jason, nie mogąc się oprzeć pokusie.

Rachel się zaczerwieniła.

- Zapłacisz mi za to.

Galloran uniósł rękę.

- W chwilach największego napięcia ludzie często tracą nad sobą panowanie. Nie kierujcie na niewłaściwą osobę swych niepokojów. Wy dwoje macie siebie nawzajem. Wasze życie zależy od tego, jak się będziecie dogadywać.

- Dlaczego to on dostał tytuł szlachecki? - zapytała Rachel, siląc się na zachowanie spokoju.

- To najbardziej prawdopodobny scenariusz - wyjaśnił Galloran. - W Lyrianie większość tytułów należy do mężczyzn. Gdybyś miała własne ziemie, z pewnością

nie wyruszyłabyś w podróż bez świty. Najrozsądniej byłoby, gdybyś podróżowała jako lady Rachel z Caberton, siostra Jasona. A ponieważ wasze pokrewieństwo jest fałszywe, nie sformalizuję tytułu. Nie obnoście się ze szlachectwem wszem wobec. Zachowajcie tytuły w tajemnicy, tak samo jako pierścień. Posługujcie się nimi tylko w potrzebie, tak samo jak ukrytym sztyletem. Urząd lorda Caberton pozostaje nieobsadzony, więc mam pełne prawo go przekazać. Pierścień to wasz dowód. Obawiam się, że dwór w Caberton popadł w jeszcze większą ruinę niż ten zamek, jednak tytuły mogą wam pomóc, jeśli okoliczności zmuszą was do kontaktów z innymi arystokratami.

- Dziękuję - powiedział Jason.

- Do usług.

- Przepraszam, jeśli zachowuję się jak niewdzięcznik - odezwała się żalonym głosem Rachel. - Ma pan rację, bardzo się denerwuję.

- Rozumiem - powiedział Ślepy Król. - Mogę być z panem szczery? - zapytał Jason. Galloran skrzyżował ręce. - Nie spodziewam się niczego innego. - Nie wiem, czy nadaję się do czegoś takiego. Zwykły ze mnie chłopak. To wszystko, co pan opowiadał, niemal śmiertelnie mnie przeraziło. Nie sądzę, żeby to mnie pan szukał. Potrzebuje pan prawdziwego bohatera.

Galloran pokręcił głową.

- Tyle błędnych przekonań krąży wokół idei bohaterstwa. Zdecydowanie zbyt wielu widzi bohatera w rycerzu na polu bitwy, w dowódcy legionów, mistrzu obdarzonym rzadkim talentem lub umiejętnością. Oczywiście, że bywali bohaterowie, którzy pasują do tych opisów. Jednakże tak samo można scharakteryzować wielu niezwykle złych ludzi. Wysłuchaj mnie uważnie. Bohater poświęca się w imię większego dobra. Bohater żyje w zgodzie z własnym sumieniem. Ujmując rzecz w skrócie, bycie bohaterem oznacza właściwe postępowanie niezależnie od konsekwencji. Chociaż każda osoba mogłaby pasować do tego opisu, rzadko kiedy ktoś rzeczywiście spełnia ów warunek. Wybierzcie ten dzień, by stać się kimś takim.

Jason przełknął ślinę.

- W porządku.

- Spróbuję - szepnęła Rachel.

- A teraz, lordzie Jason, lady Rachel - król wypowiedział tytuły z naciskiem - zbliża się godzina waszego odejścia.

Razem zeszli po schodach, zatrzymując się przy pokoju Jasona, żeby mógł zabrać resztę swoich rzeczy. Wziął portfel i klucze, płaszcz i zwinięty koc od depozytariusza wiedzy, woreczek z grzybami i jagodami. Kiedy złapał zapakowane resztki chleba od Franny, znowu opadły go wyrzuty sumienia. Nie mógł ogarnąć faktu, że ktoś napadł na jej dom, że zabito Asterę, a ją uprowadzono, i to tylko za to, że z nim rozmawiała! Jak ktokolwiek mógł tak niesprawiedliwie zniszczyć czyjeś życie? Miał ochotę komuś przyłożyć, ale jedyną prawdziwą przyczyną jego frustracji i gniewu był jakiś pozbawiony twarzy cesarz w odległym zamku.

Trudno było nie obwinać samego siebie. Obrazy Asterę i Franny zalewały Jasona - niedawne wspomnienia, świeże i żywe. Ściągnął na nich nieszczęście. Kiedy Jason schodził za pozostałymi po schodach, próbował pocieszyć się myślą, że nie miał prawa przewidzieć, że niewinna rozmowa sprowokuje tak straszliwy odwet.

Dorsio czekał na nich u stóp schodów, z ręką na rękojeści miecza i skórzaną torbą na ramię w drugiej ręce. Skłonił się i podał torbę Jasonowi.

- Dodatkowe drobiazgi - powiedziała kucharka Chandra, podchodząc do Rachel, żeby dać jej podróży płaszcz i derkę. - Szczęśliwej drogi.

Nagle przybiegł Brin Łamigłówka i zatrzymał się gwałtownie przed królem, by złożyć raport.

- Najjaśniejszy Panie, widziano jeźdźca w towarzystwie pieszego na drodze prowadzącej do bram.

- Należało się tego spodziewać - burknął król. - Musimy się pośpieszyć. Opóźnij ich.

Brin odbiegł. Z ręką króla na ramieniu Dorsio wyprowadził Jasona i Rachel z sali audiencyjnej do miejsca na tyłach zamku, gdzie mury przewróciły się do wewnątrz, rozpadając się w wachlarz zerodowanych kamiennych bloków.

- Oddalcie się szybko - ponaglił ich król. - Zrobimy co w naszej mocy, by zmylić tropy tym, którzy was ścigają. Trzymajcie się ścieżki. Przecina drogę, którą szedłeś

przez wzgórza, Jasonie, na wschód od rozstajów. Kiedy dotrzecie do drogi, idźcie na zachód do rozstajów, a potem na południe, do nadmorskiej jaskini.

- Tak zrobimy - powiedział Jason. - Dziękujemy za wszystko, Wasza Królewska Mość.

- Niech ci szczęście sprzyja w podróży, lordzie Jasonie z Caberton. Szerokiej drogi, lady Rachel. Opiekujcie się sobą nawzajem. Zrobię wszystko, co mogę, żeby wam pomóc z tego miejsca. Może spotkamy się ponownie w bardziej przyjaznych okolicznościach.

Dorsio poklepał Jasona w ramię i skinął mu z aprobatą głową. Wziął Rachel za rękę i uścisnął.

- Dziękuję - powiedziała Rachel.

- Pośpieszcie się - naglił Ślepy Król. - Postarajcie się, żeby nikt nie widział was na drodze. Posłuchcie się oczami i uszami. Kiedy to tylko możliwe, pozostańcie w ukryciu.

Jason przeszedł przez dziurę w murze razem z Rachel. Nie oglądał się za siebie. Wątpił, czy ktoś obserwował ich odejście. Poza tym, jaki sens ma machanie do niewidomego człowieka?

Rozdział 7

Jugard

Dzień był chłodniejszy od poprzedniego. Białe chmury tłoczyły się na niebie - kłębiące się masy zawieszono wysoko nad okolicą i rzucające ogromne cienie na pejzaż. Bitą ścieżką, o wiele węższą od tej, która prowadziła od bramy zamkowej, wiała się przez sad, a potem wzdłuż ogrodzenia ciągnącego się przez pastwiska.

Jason szedł szybko, ponaglany myślą, że jeździec dostrzeżony z zamku może go ścigać. Rachel szła obok, dotrzymując mu kroku i oglądając się czasem na zrujnowany zamek.

- Myślisz, że coś z tego dzieje się naprawdę? - zapytała.

- To naprawdę się dzieje.

Rachel milczała przez chwilę.

- Oczywiście, że twoim zdaniem się dzieje - powiedziała w końcu. - Jesteś tylko postacią z moich snów.

- Chciałabyś.

- Nie miałam na myśli marzeń miłosnych - zaczęła się bronić. - Miałbyś wtedy ładniejsze włosy. Jesteś postacią, którą sobie wyśniłam, bo reszta snu budzi we mnie tęsknotę za domem.

- Może to ty jesteś postacią, którą sobie wyśniłem, żeby przerazić się i obudzić.

- Nie jesteś miły!

- To ty nabijałaś się z moich włosów. Mnie się one podobają. Lubię krótkie i proste fryzury.

- Nie przeszkadzają mi krótkie, sama mam krótkie.

- No to co ci się w moich nie podoba? - zapytał wyzywająco Jason.

- Może powinniśmy porozmawiać na inny temat.

- Na przykład, o gościu na koniu, który już jedzie, żeby nas zabić?
- Gdyby tak trochę ułożyć... - mruknęła.
- Co, konia?
- Nie, twoje włosy.
- Zapomniałem zabrać żel, kiedy pożerał mnie hipopotam.
- Przepraszam. Twoje włosy są w porządku. Próbowałam być zabawna.
- Daję ci punkt za starania. - Jason westchnął. - To nie jest sen.
- Wiem - przytaknęła z ciężkim sercem Rachel. - Ale chciałabym, żeby był.

Kiedy ścieżka dołączyła do drogi, Jason popatrzył w górę i w dół szlaku. Na wschodzie widział dachy i kominy miasteczka, w oddali na zachodzie obelisk znaczący rozstaje. Droga wyglądała na pustą.

Jason i Rachel pośpiesznie wrócili do obelisku i skręcili na południe. Jason rozmyślał o tym, z jaką łatwością mężczyzna jadący konno mógłby ich wyprzedzić. Podobno towarzyszył mu ktoś pieszo. To go mogło spowalniać. A jeśli jeździec pojedzie przodem, zostawiając piechura? Wyjmując sztylet z kieszeni, Jason dotknął kwiatu na rękojeści, umożliwiając wystrzelenie ostrza. Miał nadzieję, że Ślepy Król zdołał w jakiś sposób spowolnić pościg.

- Dostałeś fajny nóż i pierścień - zrzędziła Rachel.

- Co z tego? Ty masz granat.

- I mogę go użyć tylko raz. O ile wcześniej sama się nim nie wysadzę. Od razu widać, że niespecjalnie szanuje się tu kobiety.

- Nie jestem pewien, czy komukolwiek okazuje się tu większy szacunek - odparł Jason. - Czyli, przechodząc do tego świata, miałaś przy sobie tylko manierkę i aparat?

- Aha.

- Cyfrowy?

- Nie, analogowy. Sami wywołujemy filmy i robimy odbitki.

- Powinienem był się domyślić.

- Moi rodzice mają mnóstwo ziemi - powiedziała Rachel. - Mają parę wolnych domów i pracowni, które wynajmują artystom, pisarzom i fotografom.

- Rety, a myślałem, że to ja dorastałem w ekoKolorado. Rozpalacie sobie ogniska

i śpiewacie piosenki?

- To wcale nie jest takie dziwaczne. Poza tym robię też mnóstwo normalnych rzeczy.

- Na przykład, chodzisz do szkoły w domu? Niech zgadnę, w czym mogłaś odnieść największe sukcesy? Jako najlepiej ubrana? Klasowy błazen? Wszystko powyższe?

- Bardzo zabawne.

- Założę się, że jesteś na mnóstwie zdjęć w księdze pamiątkowej rocznika.

Pokręciła głową.

- Brakuje mi prawdziwej księgi, ale rzeczywiście robimy mnóstwo zdjęć.

- A nie brakuje ci przyjaciół?

- Mam przyjaciół!

- Poza pluszowymi zwierzątkami?

Rachel uderzyła go w ramię. - Mam mnóstwo przyjaciół. Szkoła publiczna to nie jedyny sposób na poznanie ludzi. Należę do grupy dzieciaków, które uczą się w domach, i robimy razem różne rzeczy. Parę z nich to dziwacy, ale większość jest fajna i ciekawa. Poza tym odwiedzają nas artyści, są też dzieciaki z drużyny lekkoatletycznej i moi kuzyni.

- Nie brzmi to najgorzej - przyznał Jason. - Gdybym nadal mógł grać w baseball, a uczyć się w domu, może bym się skusił. Zwłaszcza, gdyby wiązało się to z mnóstwem fajnych wakacji, które udają naukę.

Próbował wyobrazić sobie, jak to by wyglądało. Jego rodzina tylko kilka razy wspólnie wyjechała na wakacje i żaden wyjazd nie był zbyt imponujący. Jego brat i siostra byli sporo starsi, a mama i tata zawsze na ciekawe wakacje wyjeżdżali tylko we dwoje. Rodzice nigdy nie okazywali mu tyle zainteresowania, co jego starszemu rodzeństwu. Nie wyobrażał sobie, żeby poświęcili mu czas i uczyli go w domu.

Zerknął za siebie.

- Cały czas spodziewam się, że zobaczę, jak wrogowie atakują nas od tyłu.

- Wiem - odparła Rachel. - Człowiek ma nerwy jak postronki. Też masz wrażenie, że nasze życie już nigdy nie będzie normalne?

Jason zacisnął usta. Rachel wypowiedziała właśnie na głos myśl, która dręczyła go, odkąd Ślepy Król wyjawiał im cel ich misji.

- Yhm.

Przyśpieszyli, na przemian biegnąc i idąc. Jason dziwił się nieco, że Rachel potrafi dotrzymać mu kroku niezależnie od tego, jakie tempo wybierał. Najwyraźniej nie kłamała na temat lekkoatletyki.

Zjedli lunch i obiad, idąc. Zajadali kanapki z mięsem i serem, które zrobili sobie z zapasów ze skórzanej torby. Grzebiąc po omacku w torbie, Jason zauważył woreczek ściągnięty sznurkiem. Waząc go w rękę, zdziwił się, że niewielki woreczek całkiem sporo waży. W środku znalazł małe grudki miedzi i brązu.

- Do czego to służy? - zdziwił się. - Amunicja do procy?

- Pewnie pieniądze.

- Mamy aż tyle szczęścia?

- Ślepy Król chce, żeby nam się powiodło.

- Ktoś powinien powiedzieć tym ludziom o monetach - mruknął Jason, odkładając sakiewkę. - To niezbyt wygodne, kiedy gotówka może poturlać się w dowolną stronę.

W miarę upływu czasu szli częściej niż biegli. Jasona zaczynały boleć nogi, ale ponieważ Rachel się nie skarżyła, on też nic nie mówił. Nie minęli żadnego śladu ludzkiej obecności, ale zauważyli mnóstwo gryzoni i ptaków.

Kiedy słońce spęczniało i poczerwieniało nad horyzontem, Jason poczuł na twarzy wilgotną bryzę. Brnąc pod górę długą pochyłością, zastanawiał się, czy nie powinien wyłowić z worka resztek dodających energii jagód. Gdy wspiął się na wzniesienie, wreszcie zobaczył morze - niebieskoszary bezkres ciągnący się jak okiem sięgnąć, nadal co najmniej kilka mil w bok od wzniesienia.

- Odpływ zacznie się dopiero jutro w południe - powiedział Jason. - I wygląda na to, że tu schowamy się łatwiej niż na dole.

- Las jest naprawdę rzadki na drugim krańcu tego grzbietu - zgodziła się Rachel. Przysiadła i przyjrzała się mocno ubitej ścieżce. - Widzę odciski naszych butów. Powinniśmy przejść ścieżką kawałek, może zejść z niej parę razy, a potem zawrócić na przełaj. Na wypadek, gdyby nas tropili.

- Masz rację - przyznał Jason, myśląc o losie Asterę. - Powinniśmy chyba przedsięwziąć jakieś środki ostrożności.

Jason ruszył ścieżką za Rachel, mocno uderzając stopami, zerknęła na niego.

- Nie stąpaj mocniej niż poprzednio. To może ich zaniepokoić i zorientują się, że zostawialiśmy fałszywe ślady.

- Robiłaś to już kiedyś?

- Za każdym razem, gdy pryskałam z więzienia dla nieletnich.

Jason parsknął śmiechem.

- Jasne. Wiesz, będziemy musieli spać na zmianę, żeby pełnić wartę w nocy.

Pokiwała głową.

- Dziwne, że nikogo nie widzieliśmy. Nikt nie korzystał z drogi, nie ma tu żadnych domów.

- Aha, straszne odludzie. Będzie mi brakować łóżka na zamku.

Zeszli ze ścieżki kilka razy, a potem Rachel ostrożnie zawróciła zaimprovizowaną trasę z powrotem na zalesiony stok. Wybrała miejsce znajdujące się spory kawałek od drogi, gdzie rośło mnóstwo drzew i krzewów, które ich zasłaniały. Chociaż miejsce było osłonięte, nadal mogli obserwować z niego drogę.

Po pośpiesznym posiłku Jason zaproponował, że weźmie pierwszą wartę. Opatulił się w płaszcz i koc, ułożył na poduszce z ugniecionych chwastów, oparł się plecami o drzewo i walczył z sennością. Kiedy światło dnia przygasło, rytm oddechu Rachel, cykanie owadów i ubóstwo bodźców zmysłowych w ciemnościach przewyciężyły jego lęki. Jason zapadł w głęboki sen.

* * *

Obudził się gwałtownie. Czuł wilgoć. Mgiełka przedświtotu otuliła krajobraz, pogłębiając poranny chłód. Kiedy się wyprostował i wstał, zaboląły go łydki, pewnie od biegania poprzedniego dnia w wysokich butach. Hałas, którego narobił, wstając, obudził Rachel. Usiadła, trąc zapuchnięte oczy.

- Która godzina? Co z moją wartą? Zasnąłeś?

- Nie - skłamał Jason. - Wyglądałaś na zmęczoną. Chciałem, żebyś odpoczęła.

- To dlaczego masz na policzku odcisnięte liście i smugi ziemi? Pełniłeś wartę z twarzą w stosie liści?

- Staralem się nie zasnąć - tłumaczył się Jason. - Zrobiło się ciemno i naprawdę strasznie nudno.

- I o to chodzi, żeby było nudno - powiedziała Rachel, owijając się ciasniej płaszczem w ramionach. - Przeciwnieństwem nudy byłby ktoś, kto podcina nam gardła.

Jason się skrzywił. W domu miewał lekcje, które go nudziły. Spędził mnóstwo późnych wieczorów, próbując znaleźć coś w telewizji. Często miał wrażenie, że zaplanowano mu życie, ale zabrakło w nim prawdziwego celu, a nuda tylko podkreślała ten problem. Jednakże Rachel miała rację - teraz nuda była ich sprzymierzeńcem.

Jason zmrużył oczy we mgle.

- Nie widzę drogi.

- Jeśli ktoś nas śledzi, mgła będzie działała na naszą korzyść - zwróciła mu uwagę Rachel.

- Ciekawe, kiedy się podniosła - zastanawiał się na głos Jason.

- Trudno powiedzieć - odparła cierpko Rachel. - Przegapiliśmy tę informację, kiedy oboje spaliśmy.

- Nie bądź taka. Przynajmniej się udało. Teraz będziemy wypoczęci, kiedy rzucimy się z klifu w morze. - Przeciągnął się z jękiem. - Chcesz śniadanie? Pewnie powinniśmy iść, póki mgła nas osłania.

- W porządku. Może odrobinę, zanim ruszymy.

Jason pogrzebał w torbie, wybierając trochę suszonego mięsa i twardego chleba. Kiedy odkrył, że resztki grzybów od depozytariusza wiedzy zaczynają śmiesznie pachnieć i pokryły się mechatymi łatami pleśni, wyrzucił je, zastanawiając się, czy będzie tego żałował, kiedy skończą im się zapasy.

Przeżuwając chleb i mięso, Jason i Rachel szli ciężkim krokiem przez pokryte rosą poszycie z powrotem w stronę drogi. Owinęli się ciasno płaszczami. Jason drżał. Wilgotny ziąb przesączył się przez wszystkie warstwy ubrań.

- Sprawdźmy, czy widać ślady kopyt - zaproponowała Rachel.

W narastającym świetle, oddychając zamglonym powietrzem, Jason rozglądał się nieporadnie, szukając świeżych końskich śladów.

- Niczego nie widzę - oznajmił wreszcie.

- W takim razie tym bardziej spodziewajmy się, że wróg znajdzie nas od tyłu.

Szybkim krokiem ruszyli drogą w stronę morza. Wspiąwszy się na wzniesienie, na którym byli poprzedniego dnia, droga schodziła zakosami ku wybrzeżu, wijąc się, żeby pokonać co bardziej strome odcinki. Im niżej schodzili ścieżką, tym gęstsza była mgła. Jason cisnął kamieniem z całych sił i patrzył, jak znika w szarości na długo przed tym, jak uderzył o ziemię i zaszleścił wśród krzaków. Wkrótce Jason widział już raptem na odległość parę kroków. W każdej chwili spodziewał się, że przerażający jeździec wyskoczy na nich z półmroku.

Kiedy zbliżyli się do urwiska, znowu zobaczyli morze. Niskie światło słoneczne rozlewało się po lewej stronie, rzeźbiąc powierzchnię wody wyrazistym reliefem, gdy doliny między falami ginęły w cieniu.

- Ładnie - powiedziała Rachel. - Ale brakuje mi osłony, jaką dawała nam mgła.

Dotarli do miejsca, w którym droga odbijała w lewo, biegnąc równolegle do klifów tak daleko, jak sięgał wzrokiem Jason. Zgodnie z instrukcjami Gallorana, porzucili drogę i szli dalej na południe. Wkrótce dotarli do strużki.

Strumyk płynął w stronę klifów, wpadając w wąską szczelinę dziesięć kroków od brzegu. Chorowite kępki postrzępionych chwastów porastały brzegi wąskiej strugi.

Jason ostrożnie podszedł do kamienistej krawędzi urwiska. Widok zapierał dech w piersi. Stał ponad siedemdziesiąt stóp nad kłębiącymi się falami, pośrodku wygiętego amfiteatru klifów zamykających szeroki fiord. Po obu stronach pionowe ściany ciemnej skały górowały nad spiętrzonymi wybuchami spienionej kipieli. Żadne rafy ani płycizny nie spowalniały fal, kiedy wznosiły się i rzucały w pienistych eksplozjach na obce formacje skalne.

Rachel stanęła obok Jasona, swobodnie, z ręką na biodrze. Potem podeszła jeszcze bliżej do krawędzi i wychyliła się do przodu, żeby spojrzeć prosto w dół. Jasona przeszły ciarki na widok Rachel stojącej tak blisko krawędzi, ale nie odezwał się słowem.

- To wygląda na samobójstwo - powiedziała, odsuwając się od urwiska.

- Może w czasie odpływu będzie wyglądało lepiej. - Jason nie krył nadziei.

- Pewnie po prostu z wody będzie wystawało więcej skał. Dobrze pływasz? - Przyzwyczaję, chociaż żaden ze mnie olimpijczyk. A ty? - Całkiem dobrze. Sporo pływałam z fajką i akwalungiem, ale nigdy nie nurkowałam z klifów. Tu jest wysoko.

Jason odwrócił się i spojrział na stok, którym zeszli, zdając sobie sprawę, że mają doskonały widok na wiele mil drogi. Przynajmniej żaden haratacz albo inna złowieszcza istota, zamierzająca poszatковать ich na konfetti, nie zdoła raczej podkraść się do nich.

- To chyba poczekamy tu do południa - powiedział, sadwiąc się pod wykrzywionym przez wiatry drzewem.

Z rękami na kolanach zagapił się na długi stok i wijącą się drogę.

- Niech zgadnę: ty bierzesz pierwszą wartę? A potem obudzimy się o północy?

- Nie jestem śpiący! - zaprotestował Jason.

- Ja też nie - odparła Rachel, siadając po turecku. - Jak myślisz, w jaki sposób wrócimy na górę?

- Musi istnieć jakiś sposób. Może człowiek w jaskini będzie wiedział.

- Naprawdę to zrobimy? Zeskoczemy z klifu i popłyniemy do jaskini? Pewnie zginiemy.

- A jakie mamy wyjście? Gdyby istniała inna możliwość, może bym ją wybrał. Wydaje się jednak oczywiste, że jeśli zarzucimy poszukiwanie Słowa, już po nas. Wolę raczej zaryzykować życie niż stracić je na pewno.

- Wierzysz we wszystko, co powiedział ci Ślepy Król?

- Aha, tak myślę. Jego słowa pasowały do tego, co przeczytałem w księdze, i tego, co usłyszałem od depozytariusza wiedzy.

- Wierzysz mu na tyle, żeby zaryzykować nasze życie?

Jason zamilkł.

- Nie. Wierzę mu na tyle, żeby zaryzykować własne życie. Nie widzę powodu, dla którego oboje mielibyśmy skakać.

Rachel podrapała się po rękę.

- Dlaczego to tobie ma przyspać skok? Bo jesteś chłopakiem?

- To nie jest nagroda tylko kara.

- To coś ważnego, co trzeba zrobić.

- Czy ty po prostu uwielbiasz się kłócić? Gdyby ktoś chciał skoczyć za mnie, tylko by mi ulżyło.

- Ja chcę skoczyć za ciebie.

Jason przewrócił oczami. - Próbuję być miły. I sprawiedliwy. To ja przeczytałem księgę. Ta misja jest konieczna z mojej winy. Poza tym jestem większy od ciebie, przez co mam większe szanse przetrwać w tym wzburzonym przyboju.

To wyjaśnienie uciszyło na chwilę Rachel. Zaczęła skubać roślinkę przed sobą.

- To naprawdę bardzo miłe z twojej strony - powiedziała w końcu. - Przecież widzę, że nie lubisz wysokości.

- Nie lubię urwisk - poprawił ją Jason. - Nie mam nic przeciwko wysokości, jeśli dasz mi poręcz, wsadzisz mnie do samolotu albo na kolejkę górską. Ale nie martwmy się tym na razie. - Zamknął oczy.

- A co to właściwie jest haratacz? - zastanawiała się na głos Rachel.

Otworzył oczy.

- Nigdy tak naprawdę nie wytłumaczono nam tego, co? Myślę, że to coś paskudnego, co sieka ludzi na tatar. Myślę, że się zorientujemy, jak już to zobaczymy.

Skinęła głową.

- Zanim skoczysz, może powinieneś powiedzieć mi sylabę, której się nauczyłeś. No wiesz, na wypadek, gdybym musiała kontynuować misję samotnie.

- Próbujesz zapeszyć? Dzięki za dodanie otuchy!

- Nie ma nic złego w przygotowaniu się na najgorszą możliwość.

- Powinnaś sprzedawać ubezpieczenia.

Naburmuszyła się i wstała.

- W porządku.

- Ej, nie bądź taka drażliwa.

- Nie musisz nabijać się ze wszystkiego.

- Może powinniśmy po prostu nacieszyć się muzyką fal? - próbował udobruchać ją Jason.

Usiadła z powrotem.

Jason ułożył się wygodnie pod powykręcany drzewem.

- Pierwsza sylaba brzmi „a”. Mówię tak na wszelki wypadek.

- To było aż tak trudne?

Jason wyszczerzył zęby w uśmiechu, uznając, że lepiej się wycofać, dopóki ma przewagę. Rachel bez wątpienia miała charakterek. Miała zdecydowane poglądy i nie wahała się nimi podzielić. Dobra kłótnia pomagała wypełnić czas, ale Jason złapał się na tym, że zastanawia się, czy podróż z Rachel nie stanie się denerwująca. Skoro miał tu spotkać kogoś ze swojego świata, nie mógł to być Matt albo Tim? Wsparliby go w walce, a ich towarzystwo byłoby zabawniejsze. A jeśli już musiała to być dziewczyna, nie mogła się trafić jakaś mniej okropna, na przykład April Knudsen?

Rytmiczne uderzenia fal w dole, brzmiące jak potężny wiatr zrywający się i słabnący z nienaturalną regularnością, ukołysały go i wprowadziły w stan głębokiego odprężenia. Wdychając wypełnione solą powietrze, znowu zamknął oczy.

Obudził się gwałtownie, kiedy Rachel trąciła go w ramię. Cienie zrobiły się krótkie. Słońce wisiało wysoko. Naprawdę było już południe. Powietrze nadal było chłodne, ale słońce świeciło jasno.

- Może cierpisz na narkolepsję? - zasugerowała Rachel, kiedy wstał chwiejnie.

Jason otarł oczy.

- Po prostu lubię drzemki.

- To ostrzeż mnie, kiedy weźmiesz się za obsługę ciężkiej maszynarii.

Jason przyjrzał się stokowi i zobaczył, że nikt ich nie ściga. Speszony faktem, że znowu przysnął, rozsznurował i ściągnął buty.

- Co robisz? - zdziwiła się Rachel.

- Ja skoczę. - Jason dalej się rozbierał, aż został w samych bokserkach, niebieskich w żółte prążki. Pomyślał, że bokserki i buty to teraz jedyne części garderoby zabrane z domu, jakie mu zostały.

Rachel się odwróciła.

- Nie jesteś specjalnie nieśmiały, co?

- Mam na sobie bokserki, wyglądają jak kąpielówki.

Odwróciła się znowu i spojrzała na Jasona.

- Ja to mogę zrobić.
- Możesz skoczyć z następnego klifu. Nie bądź uparta.
- To ty jesteś uparty - odgryzła się.

Jason przyznał w duchu, że Rachel ma rację. Rodzice zawsze mu wytykali, że jest zawzięty. W domu często stawiał na swoim, bo po prostu upierał się dłużej niż wszyscy inni.

- Możemy rzucić monetą - zaproponowała.
- Nasze monety mają kształt grudek.
- Nie, mam monetę z naszego świata. - Zaczęła szukać w kieszeniach. -

Zwycięzca wybiera, kto skoczy.

- Dobra.

Drżąc, Jason podszedł ostrożnie do krawędzi urwiska. Morska bryza muskała mu policzki, mierzwiła włosy. Dostał gęsiej skórki na całym ciele. Skrzyżował ręce, dla rozgrzewki rozcierając dłońmi boki.

Daleko w dole poziom wody opadł. Dwie skały o kształcie grotów były teraz doskonale widoczne, wskazywały sobie nawzajem. Żeby wylądować dokładnie między nimi, będzie musiał wyskoczyć spory kawał przed siebie.

- Mam - odezwała się Rachel za jego plecami. - Orzeł czy reszka?
- Orzeł.

Zerknął, kiedy Rachel rzuciła dwudziestopięciocentówkę i złapała.

- Reszka - oznajmiła i pokazała monetę z triumfalnym uśmiechem.
- Przegrałem - powiedział Jason, odwracając się od niej.
- Nie, czekaj!

Wyrzucając ramiona do przodu, skoczył w pustą przestrzeń, a wnętrzości podskoczyły razem z nim, kiedy jego ciało runęło w dół i przyspieszyło szaleńczo w chłodnym, słonym powietrzu. Podmuch upadku omiatał go, podczas gdy zielonkawa, spieniona woda mknęła mu na spotkanie. Z łokciami przyciśniętymi do piersi zatkał nos, wyprostował się i przebił się przez powierzchnię wody między dwiema gigantycznymi grotami. W chwili najgłębszego zanurzenia stopami dotknął dna.

Delikatne szczypanie wody morskiej utrudniało mu obserwację otoczenia. Znajdował się w długiej, wąskiej jamie w dnie przybrzeżnym, spory kawałek pod wzburzoną powierzchnią. Kilka pobliskich gorgonii kołysało się poruszanych prądem. Barwne ukwiały przywarły do skał. Jason wypłynął z rowu, kierując się jednocześnie ku podnóżom klifu. Im bardziej zbliżał się do powierzchni, tym gwałtowniejszy stawał się prąd.

Wynurzył głowę z wody i gwałtownie złapał powietrze. Na wpół zalana jaskinia otwierała się dokładnie przed nim. Zakręcający przybój cisnął nim w stronę grotu, a Jason otarł się ramieniem o szorstką, skalną ścianę. Walił kończynami zaciekle, uderzając kolanem o twardą powierzchnię niewidocznej skały.

Ocean porwał go od wlotu jaskini, a potem pienista masa grzywacza cisnęła nim do przodu w niekontrolowany sposób. Jason schował głowę, wykręcając bezradne salta w kotłującej się wodzie, z ponurą determinacją szykując się na chwilę, w której jego czaszka roztrzaska się o wyszczerbiony kant skały.

Kiedy fala opadła, Jason zobaczył, że znajduje się u wlotu jaskini. Chwycił się sterczącego skalnego guza, żeby nie dać się odciągnąć przez cofające się wody. Świeży napływ skotłowanej piany wepchnął go do samej jaskini. Nie mógł sięgnąć dna, więc płynął zawzięcie, cofając się niemal do wylotu, zanim kolejny grzywacz pchnął go jeszcze głębiej.

Jaskinia się zwięzała. Zamknięta przestrzeń zwielokrotniała huk wzburzonego morza. Jason szukał po omacku oparcia dla rąk, żeby stawić opór pływom i wdrapać się głębiej do pieczary. Po tym, jak przemierzył część tak wąską, że prawie mógł sięgnąć od ściany do ściany, zobaczył, że jaskinia poszerza się i zamienia w przestronną grotę. Niewiele światła docierało tu z wejścia.

W półmroku Jason dostrzegł nieruchomego, żylastego człowieka siedzącego na półce skalnej pod przeciwległą ścianą, dobre dziesięć stóp powyżej poziomu wody.

Orientując się, że teraz może już stanąć, Jason przeszedł w bród pod ścianę, uważając, żeby nie poślizgnąć się na skalistym podłożu. Początkowo głęboka po pas woda w końcu sięgała mu tylko do kostek. Za jego plecami morze ryczało.

Jason wyszedł z wody, znajdując się zbyt blisko półki, by widzieć mężczyznę. W skale wyżłobiono w regularnych odstępach oparcia dla rąk.

- Halo! - zawołał Jason.

Żadnej odpowiedzi. Może mężczyzna spał? Albo nie żył?

Jason wspiął się, korzystając z oparcia dla rąk prowadzących w górę po pionowej ścianie pod półką. Zapachy wody morskiej i kamienia mieszały mu się w nozdrzach.

Wreszcie jego głowa znalazła się ponad występem. Półka była w miarę szeroka i ciągnęła się wzdłuż całej tylnej ściany jaskini. Mężczyzna siedział niedaleko, plecami do ściany, ze skrzyżowanymi w kostkach nogami i gapił się na Jasona. Splątane, siwe włosy pokrywały mu głowę i twarz, zwieszając się do szczupłego pasa. Miał w rękach kawał gumowych wodorostów.

Jason wskoczył na półkę i odwzajemnił milczące spojrzenie.

Mężczyzna ścisnął wodorost, skręcając oba końce w różnych kierunkach. Ten ruch wywołał zjawisko bioluminescencji, które zalało półkę bladozielonym światłem.

- Ładna jaskinia - powiedział Jason.

Mężczyzna tylko burknął.

Jason postanowił podjąć pojedynek spojrzeń. Oczy zaczęły go piec. Mężczyzna nie wyglądał na ani trochę zmęczonego. Jason przegrał.

Mężczyzna nadal nawet nie mrugnął. To grobowe spojrzenie było niepokojące.

- Potrzebuję pomocy w znalezieniu słowa - powiedział Jason.

Mężczyzna ledwie skinął głową.

- Nazywam się Jason.

- A ja Jugard.

- Czyli pan mówi.

Mężczyzna mruknął. - Przysłał mnie Galloran. Jugard uniósł krzaczaste brwi. - Powiedział, że pomógł mu pan dawno temu. Znowu lekkie skinienie głową. - Pomoże mi pan poznać Słowo, które unicestwi Maldora? Mężczyzna patrzył na Jasona, który po raz drugi przegrał pojedynek na spojrzenia. - Słyszał mnie pan, prawda? Tamten nadal tylko patrzył. Na pewno słyszał. Jason przesunął się, żeby też oprzeć się plecami o skałę. Zadał pytanie. Wyszedłby na palanta, gdyby nadal naciskał. Najwyraźniej tamten mężczyzna potrzebował czasu, by zastanowić się nad odpowiedzią. A może zwariował. Tak czy inaczej, wydawało się, że lepiej poczekać

niż się upierać. Jason zadrżał, kiedy wreszcie dotarło do niego, jak zmarł.

Mijały minuty. Jason zagapił się na ręce, nasłuchując echa uderzających fal. W milczeniu zastanawiał się, czy gdzieś tam na górze Rachel siedzi i się martwi.

Zerknął z ukosa na Jugarda. Mężczyzna odłożył wodorosty i zajął się rozplątywaniem zmierzwionej brody. Mięśnie tańczyły w chudych, żyłastych rękach. Minęło jeszcze więcej czasu. Jason podjął pojedynek na milczenie. Zamknął oczy i zaczął przypominać sobie nazwy kości nogi i stopy. Miał mieć poważny sprawdzian z anatomii w piątek. Nie, już go przegapił.

- Mądry jesteś jak na kogoś tak młodego - odezwał się wreszcie Jugard. - Większość ludzi nie znosi milczenia. Niektórzy wpadają we wściekłość. Inni zachowują się jak pajace. A jeszcze inni mówią wszystko, co wiedzą. Milczenie wiele zdradza. Pomogę ci, Jasonie, przyjacielu Gallorana.

- W jaki sposób?

- A co wiesz?

- Znam pierwszą sylabę. I wiem, że nie wolno mi wypowiedzieć słowa, dopóki nie stanę przed Maldorem.

Jugard przestał skubać brodę i zaczął trzeć kostki nóg. Nie spojrzał na Jasona.

- Dopiero zaczynasz poszukiwania. Słowo ma sześć sylab. Czwarta brzmi „en”. Nie wiem, gdzie poznasz pozostałe sylaby, ale znam imię człowieka w Trensicourt, który może zdoła ci pomóc. Nicholas, o ile nadal żyje, powinien coś ci doradzić. Kiedyś blisko współpracował z Galloranem, tworząc maszyny wojenne.

- W porządku: „en” i Nicholas. To wszystko, co pan wie?

- Mieszkałem w tej jaskini dłużej, niż sięgam pamięcią. Większość z tego, co wiem, pochodzi od tych, którzy tu przybyli. Jesteś pierwszym przybyszem od dłuższego czasu. Mam nadzieję, że moje informacje nadal mają wartość.

Jason skinął głową. Znał już jedną trzecią Słowa! I miał nowy trop, którym mógł ruszyć. Bał się, że morska jaskinia okaże się ślepym zaułkiem. Wyobraził sobie fragmenty Słowa, które już znał.

Jason powtórzył imię łącznika w Trensicourt.

- Zgadza się - przytaknął Jugard.

- Wie pan, kim jest Pozaświatowiec?

- Oczywiście.

- Ja jestem Pozaświatowcem.

Krzaczaste brwi znowu się uniosły.

- Wie pan, jak mogę wrócić do domu?

Jugard popatrzył na niego.

- Nie wiem. Nie przestawaj jednak pytać. Może znajdzie się ktoś, kto zna odpowiedź.

Jason rozejrzał się po kamiennej komorze. Spojrzał na Jugarda pytająco.

- Chciałbyś się dowiedzieć, jak wrócić na szczyt urwiska.

Chłopiec skinął głową.

- Kiedyś nie było to takie trudne. Za sąsiednią komorą dawno temu kolega Nicholasa pomógł mi skonstruować środek transportu pozwalający wznieść się do miejsca w pobliżu szczytu urwiska. Jakiś czas później, niedługo po wizycie Gallorana, sąsiednią jaskinię zamieszkał krabytan. Od tego czasu odwiedziło mnie pięciu mężczyzn i jedna kobieta. Dwójka próbowała odpłynąć. Wiem, że im się nie udało, ponieważ ich ciała zostały zmyte z powrotem do mojej jaskini. Pozostała czwórka próbowała przemknąć obok kraba. Widziałem ich śmierć.

- Czy ktoś z nich próbował zabić kraba?

- Troje próbowało go zabić, kiedy zdali sobie sprawę, że nie zdołają uciec. Żadnemu się nie udało.

Jason biadał w duchu, że nie wziął wybuchowego kamienia. Nie miał czym walczyć.

- Co pan proponuje?

Jugard wzruszył ramionami.

- Żeby lepiej zrozumieć problem, powinieneś zobaczyć Macroïd.

- To ten krab?

- Tak ją nazwałem.

- Potrafi pan powiedzieć, że to samica?

- Znam się na krabach. Zeszli ze skalnej półki. Jugard, ściskając świecący wodorost, poprowadził Jasona do długiej, pionowej szczeliny w ścianie z boku jaskini. Była wystarczająco szeroka, żeby człowiek mógł przez nią przejść, nie

przeciskając się bokiem.

- Dlaczego krab nie przejdzie tędy?

Jugard spojrzał Jasonowi w twarz, a zielony wodorost rzucał upiorne cienie i błyski na jego zaciekle oblicze.

- Macroid jest o wiele za duża.

Jasonowi zaschło w ustach.

Jugard wręczył mu wodorosty.

- Zerknij ostrożnie przez szparę, zanim wejdiesz do jaskini. Macroid najpewniej siedzi w wodzie, ale upewnij się. Jeśli nigdzie jej nie będzie, przejdź przez szparę i zrób dwa kroki. Zauważysz małą szczelinę na drugim krańcu jaskini. Za nią znajduje się moja machina. Nie próbuj przejść jaskini. Macroid wynurzy się wtedy z wody. Bądź gotów. Jej szybkość cię zadziwi. Wycofaj się, jeśli zaszarżuje. Powinieneś poznać jej możliwości, zanim podejmiesz decyzję.

Jason wszedł chyłkiem do szpary, ocierając się ramionami o ściany wąskiego przejścia i zakradł się do sąsiedniej komory. Przejście ciągnęło się jakieś sześć kroków i gwałtownie się urywało.

Wychylając się ze szpary, Jason wysunął przed siebie wodorost, rozpraszając panującą w jaskini ciemność. Miejsce wyglądało na puste. Powoli wysunął głowę, wyobrażając sobie, że krab czeka obok szpary, ze szczypcami gotowymi obciąć mu głowę, gdy tylko Jason ją wystawi. Zerknął szybko i zaraz się cofnął. Niczego nie dostrzegł.

Wszedł do jaskini. Miała może ze dwadzieścia jardów szerokości. Jak poprzednia, w znaczącej części była zalana. Na drugim końcu dostrzegł dziurę, którą opisał mu Jugard. Zdał sobie sprawę, dlaczego mężczyzna ostrzegł go, żeby nie próbował do niej przebiec. Kiedy nigdzie nie było widać ogromnego kraba, wydawało się, że dziura znajduje się kusząco blisko. Podłoże było gładkie i w większości pozbawione przeszkód. Bieg kusił nawet mimo ostrzeżenia. Może krab spał?

Przy drugim kroku Jasona w głąb jaskini, krab wychynął ze słonej sadzawki jednym, potężnym susem. Gejzer czarniawej wody uderzył o sklepienie jaskini, ochlapując całą komorę wzdłuż i wszerz. Zaskoczony Jason upuścił wodorosty i

odruchowo cofnął się, ocierając z twarzy morską wodę.

Przerażony zagapił się na gigantycznego kraba. Potężne stworzenie było wielkości samochodu, i to nie licząc olbrzymich szczypców, większych od skrzynek pocztowych stojących w mieście na ulicach. Lśniaca czarna zbroja pancerza błyszczała od wody, odbijając zieloną poświatę wodorostów. Stworzenie stało na krawędzi wody, z uniesionymi wielkimi szczypcami, otwierając je i zamykając ze straszliwym, ostrym zgrzytem.

Bez żadnego ostrzeżenia krab rzucił się ku Jasonowi z porażającą prędkością. Chłopak czmychnął do szczeliny, kiedy zwinne stworzenie skoczyło, śmigając przez powietrze. Błysnęły czarne szczypce. Jason uciekł szparą do Jugarda, ścigany zgrzytem pancerza o skałę i chrzęstem ochoczych szczypiec.

Jugard złapał Jasona za ramiona, przytrzymując go, podczas gdy chłopak próbował zapanować nad oddechem.

- Teraz już pojmujesz zagrożenie. Chodź.

Gdy zabrakło wodorostów, jaskinię oświetlało jedynie światło słoneczne wpadające z zewnątrz. Jason ruszył za Jugardem z powrotem na półkę, gdzie żyłasty mężczyzna wykręcił kolejną porcję wodorostów. Te dawały nieco bardziej niebieskawe światło.

- Istnieje jakiś sposób, żeby zabić kraba?

- Pewnie nie wystarczyłoby nawet wojsko. Te szczypce są ostre jak brzytwa. Widziałem, jak najdoskonalsze miecze pękały na tym pancerzu.

- Nie wyobrażam sobie, jak można przeżyć, próbując stąd wypłynąć.

- Musiałbyś przeplłynąć spory dystans. Ci, którzy tego próbowali, nie dotarli zbyt daleko.

Jason pomyślał o wzburzonych przybrzeżnych wodach. Przetrwał tylko dzięki temu, że fale wepchnęły go do jaskini. Płynięcie w przeciwnym kierunku byłoby samobójstwem. Mógłby chociaż wykrzyczeć sylabę Rachel? Wątpił, czy by go usłyszała ponad rykiem morza. Może jednak warto spróbować. Wtedy mogłaby kontynuować misję samotnie. Nie mógł pozwolić żeby czekała, narażona na atak jeźdźca.

- Jak pan tu przetrwał? - zapytał Jason.

- Morze mnie żywi. Ryby, małże, jeżowce, krasnorosty. Wszystko to można jeść na surowo. A strużka słodkiej wody spływa do tej niecki.

Jason podszedł do miejsca, które wskazał mu Jugard. Na końcu półki woda ciurkała do naturalnego zagłębienia, powoli je przepelniając i spływając z półki do morza. Ta strużka musiała być odnogą strumyka płynącego na szczycie klifu. Niestety, woda spływała szczeliną nie szerszą od jego palca - nie można było wspiąć się nią z powrotem.

- Co powinienem zrobić?

- Nie mam prawa ci mówić. Możesz zostać tutaj, ile zechcesz. Możliwości nie ma tu wiele, ale jedzenia i wody znajdziesz aż w nadmiarze.

- Nikt z pozostałych tu nie został. Jugard wzruszył kościstymi ramionami. - Ostrzegłem ich podobnie jak ciebie. To byli bohaterowie z ważną misją. Wierzyli, że uda im się tam, gdzie inni zawiedli.

Jason wrócił do żylastego, siwego mężczyzny i usiadł obok, opierając się plecami o ścianę. Potarł policzki, szukając zarostu. Na razie prawie nic nie rośło mu na twarzy. Zastanawiał się, ile potrzeba czasu, żeby upodobnił się do Jugarda.

Rozdział 8

Macroid

- Ktoś się zbliża - powiedział Jugard, przerywając rozmyślenia Jasona. - Miałeś towarzysza?

- Aha - powiedział Jason, wstając. Widział postać wypływającą z wąskiego przesmyku w jaskini. - Rachel! Pomóc ci?

- Nie trzeba - wydyszała. - Coś tu się zbliża.

- Co?

- Nie wiem. Może haratacz.

Dotarła do płycizny i brodząc w wodzie, pośpiesznie podeszła do półki skalnej. Mokra koszula kleiła jej się do ciała.

- Haratacz nie zdołałby dotrzeć tu za tobą - powiedział Jugard. - Utonąłby jak kamień.

Rachel wspięła się, korzystając z podpórek dla rąk. Zdjęła przed skokiem do wody kamizelkę i buty. Z koszuli i spodni woda ściekała strugami.

- Jestem Rachel - przedstawiła się Jugardowi.

- Jugard - odparł kudłaty mężczyzna.

- Co się stało? - spytał Jason.

- Przestraszyłam się - odpowiedziała przepaszająco, próbując wyżyć koszulę. - Wkrótce po tym, jak skoczyłeś, coś nadbiegło stokiem. Nie trzymało się drogi, po prostu pędziło prosto na mnie. To nie był jeździec. Trzymało się na tyle nisko, że tak naprawdę widziałam tylko ruch.

- Co zrobiłaś? - dopytywał się Jason.

- Pomyślałam, żeby posłużyć się orantium, ale nie wiedziałam tak naprawdę, co nadciąga. Wiedziałam tylko, że jest szybkie i trzyma się nisko. Zaczęłam się bać, że

źle rzucę i nie trafię. Kiedy minęło zakręt drogi i dalej pędziło prosto na mnie, spanikowałam.

- Masz ze sobą orantium? - zapytał z nadzieją Jason.

Rachel pokręciła głową.

- Bałam się, że może wybuchnąć, kiedy uderzę o wodę, więc schowałam je, zdjęłam kamizelkę i skoczyłam. Nie miałam czasu na zastanawianie.

- Ciężko się płynęło?

Rachel zaśmiała się roztrzęsiona.

- Prawie się zabiłam.

Uderzyła go grzbietem dłoni w pierś. - A tak przy okazji, nie podobało mi się, że oszukiwałeś przy rzucaniu monetą. Musimy móc sobie ufać.

- Chodziło mi o twoje dobro.

- Cokolwiek cię ścigało, zbliża się tutaj - oznajmił Jugard.

- Skąd pan wie? - zdziwił się Jason.

- Dobrze znam naturalne odgłosy tego miejsca - zapewnił go Jugard. - Słyszę coś parsającego i łapiącego powietrze, coś zwierzęcego.

- Niczego nie widzę - powiedział Jason.

- Zobaczysz.

Bulgotliwe pomruki i spienione bryzgi obwieściły pojawienie się stworzenia w jaskini. Jason, Rachel i Jugard zebrali się na brzegu półki, żeby zobaczyć, jak zwierzę wpada do jaskini, płynąc z wysiłkiem ku płyciznie z głębin na drugim końcu. Zwierzę płynęło raczej niezgrabnie, a jego wielki łeb to znikał, to wynurzał się z wody. Jugard cisnął krótkie pasmo wodorostu w wodę, żeby lepiej oświetlić zbliżające się stworzenie.

- Dzikarz - mruknął zdumiony Jugard.

Rachel odsunęła się od krawędzi półki, kiedy przerosnięty buldog wypłynął na płyciznę i ujadając wściekle, rzucił się do podstawy występu, dziesięć stóp poniżej. Zaczął skakać jak opętany, doskakując na stopę, może dwie niżej od półki mimo potężnego cielska i krótkich łap. Toczył pianę z pyska.

- Dzikarze nie przepadają szczególnie za wodą - powiedział Jugard. - Znacie to zwierzę?

- Puggles - powiedział Jason. - Chyba widziałem tego psa przy domu pewnej kobiety dwa dni temu. Słyszałem, że wczoraj na nią napadnięto i ją pojmano.

Pies nadal rzucał się ku nim; nie przestawał, chociaż ciągle mu się nie udawało. Jugard przyjrzał mu się bacznie.

- To zwierzę zwerbowano.

Jason spojrział na Jugarda.

- Co pan ma na myśli?

Jugard złapał w dwa palce kilka włosów z wąsów i zaczął je obracać.

- Wiadomo, że werbownicy potrafią wykorzystać zwierzęta do własnych celów.

- Co to są werbownicy? - zapytała Rachel.

Jugard spojrział na nią zdeprymowany.

- Ty też musisz być Pozaświatowcem. Werbownicy rekrutują ludzi dla Maldora.

Należą do jego elitarnych oddziałów i są szkoleni do tworzenia wojsk z mieszkańców podbitych miast lub królestw. Niektórzy specjalizują się w rekrutowaniu zwierząt.

Ten pies znał wasz zapach. Werbownik wypaczył go i zamienił w zabójcę, a jego jedynym celem stało się wytropić was i zabić.

- Skoczyłam z urwiska, żeby uciec przed psem? - zapytała z goryczą Rachel.

- Spójrz raz jeszcze na tego psa - zaproponował Jugard. - Jeśli złapał twój trop, słusznie postąpiłaś.

- Czyli ściga nas werbownik? - zapytał Jason.

Jugard wzruszył kościstymi ramionami.

- Pewnie nie. Może dlatego właśnie posłał za wami zwierzę. Na otwartym terenie ten oszalały dzikarz rozprawiłby się z wami obojgiem.

Jason spojrział w dół na warczącego psa. Był pod wrażeniem mięśni falujących pod porośniętą krótką sierścią skórą. W czarnej, rozwartej paszczy połyskiwały straszliwe zębiska.

- Co teraz zrobimy? - zapytała Rachel.

Po raz pierwszy Jugard się uśmiechnął.

- Opaczność nad wami czuwa. Potencjalne zagrożenie może oznaczać wasze ocalenie.

- Jakim cudem? - spytał Jason.

- Przynęta.

- Co ma pan na myśli? - zdumiała się Rachel.

- Świeża krew przyciąga Macroïd jak nic innego. Dwa razy niechcący się skaleczyłem. Za każdym razem krabica rzuciła się do szczeliny, sięgając szaleńczo, waląc i tnąc żywą skałę. Daremność jej wysiłków wcale jej nie zniechęcała. Nie zaprzestała ich przez wiele godzin po tym, jak rana została już opatrzona.

Jason zadrżał.

- Widząc jej głód krwi, spróbowałem skaleczyć się zaraz po tym, jak pewien człowiek rzucił się ku maszynie wciągającej. Macroïd zawahała się, ale w końcu rzuciła się na mężczyznę.

Gdybym jednak znajdował się w jej zasięgu, bez wątpienia mnie pierwszego by zaatakowała.

- Macroïd to krab? - dopytywała się Rachel.

Jason opisał jej kolosalnego kraba z sąsiedniej jaskini, wyjaśniając, w jaki sposób utrudnia im powrót na szczyt urwiska.

- Czyli myśli pan, że jeśli zranimy psa, który pobiegnie za nami do jaskini Macroïd, to ona zaatakuje psa, a my zyskamy czas na ucieczkę? - zapytała Jugarda Rachel.

- To wasza jedyna szansa. Będzie to wymagało idealnego wyczucia czasu. Żadna krew nie może popłynąć, dopóki nie znajdziecie się w pieczarze Macroïd. W przeciwnym wypadku krab zablokuje szczelinę i wylądujecie w pułapce między nim i dzikarzem.

Jason przeczesał nerwowo dłonią mokre włosy. Spojrzał w dół na rozwścieczonego psa, zasmucony faktem, że krab go zabije.

- Jeśli Puggles nie wbiegnie za nami wystarczająco szybko, krab nas poszatkuje, zanim pies wpadnie do jaskini.

Jugard zatarł dłonie.

- I tak może was poszatkować. Jednak odpowiednie zgranie w czasie powinno zwiększyć wasze szanse.

- A w jaki sposób zgramy wszystko w czasie? - zastanawiała się Rachel.

Jugard odwrócił się do nich plecami, z rękami na biodrach. Porwał spod ściany drewnianą włócznię z ostrym kamiennym grotem.

- Zranię dzikarza, kiedy już przejdziecie przez szczelinę, a potem go wypuszczę.
- Jak zatrzymamy tu psa? - zapytał Jason.

Oparłszy włócznię o ścianę Jugard zebrał zwinięty sznur bursztynowych wodorostów. Na jednym końcu zrobił pętlę.

- Oto moja smycz.

Najpierw sprawdził długość, a potem drugi koniec zamocował wokół skalnej wypukłości.

Zerknęli z półki. Puggles nadal na nich ujadał, wykręcając się, skacząc i drapiąc pazurami o skałę pod półką. Jugard zwiesił pętlę, wsunął ją na gruby kark zwierzęcia przy pierwszej próbie i szarpnął, żeby zacisnąć. Pies nadal skakał ku nim, nie zważając na gumowaty stryczek.

- Zostawiłem mu wystarczająco dużo luzu, żeby zbliżył się do szczeliny. Wy dwoje pobiegcie do końca półki, przejdziecie nad szczeliną i dopiero zeskoczycie. Ja zajdę psa od tyłu, zranię go w zad, a potem przetnę linę. Zwierzę nie powinno zwrócić na mnie uwagi. Zgodnie z życzeniem werbownika, pozostanie zafiksowane na wasze dwójce. Pozwólcie, że ja wszystko zgram w czasie. Na mój sygnał macie biec tak szybko, jak zdołacie. Nie wahajcie się. Macroïd może okazać się wystarczająco szybka, żeby dorwać was wszystkich.

Jason czuł, jak wali mu serce.

Jugard ścisnął pasmo jarzącego się niebieskawo glonu i zawiązał je chłopcu wokół nadgarstka.

- Pamiętasz, co ci powiedziałem na temat Słowa.

Jason wyrecytował wszystko, co Jugard mu powiedział. Rachel słuchała z szeroko otwartymi oczami.

- Bardzo dobrze - pochwalił go Jugard. - Gotowi?
- Teraz? - spytała Rachel.
- Krab znowu siedzi pod wodą? - zapytał Jason.

Jugard skinął głową.

- Macroïd jest zbyt opasła, żeby dłużej pozostawać poza wodą. Stawiam na to

wasze życie.

Jason zdołał uśmiechnąć się słabo.

- Głowa do góry - powiedział Jugard. - Macie spore szanse. Zajmijcie swoje pozycje.

Jason i Rachel przeszli wzdłuż półki aż dotarli do ściany ze szczeliną. Puggles ruszył za nimi u podnóża występu, dopóki nie zatrzymała go smycz z wodorostów. Jugard zręcznie zeskoczył z półki za psem, ściskając w jednej ręce włócznię, a w drugiej kamienny nóż. Pies nawet na niego nie zerknął.

Szpara w ścianie znajdowała się jakieś piętnaście stóp dalej od podnóża występu skalnego. Jason obrócił się, zwiesił z półki i opadł na dno jaskini. Dzikarz zawarczał wściekle z frustracji, poddając próbie elastyczność wodorostowej liny. Jego wysiłki sprawiły, że pętla tylko się mocniej zacisnęła.

Jason nie mógł pozbyć się wrażenia, że to wszystko dzieje się zbyt szybko. Żałował, że nie ma więcej czasu, by oswoić się z planem. W końcu krab był ogromny i zabił już wcześniej! Rachel zwiesiła się z półki, a Jason złapał ją w talii, pomagając dziewczynie wylądować. Rozwścieczony dzikarz cofnął się kilka kroków, a potem rzucił się w przód, rozciągając linę wystarczająco, by znaleźć się przerażająco blisko Jasona i Rachel, którzy przesuwali się w stronę szczeliny. Kiedy pies stracił rozpęd, wodorosty szarpnęły go z powrotem i pies przekoziółkował jak ryba szarpiąca się spazmatycznie na żyłce.

Jason stał przy szparze, próbując zebrać myśli.

- Czekaście! - zawołał Jugard. - Dzikarz się przydusił!

Rzeczywiście, muskularne psisko nie zerwało się z powrotem.

Rzucało się na grzbiecie, wydając z siebie rwane prychnięcia.

- Przetnę linę przy szyi, jednocześnie raniąc psa. Kiedy skoczę do przodu, wybiegnijcie.

- Panie mają pierwszeństwo - mruknął Jason i ulżyło mu, że głos nie zdradził jego napięcia.

Z twarzą zeszywniałą z niepokoju Rachel weszła do szczeliny.

Jugard odrzucił włócznię i przysunął się do psa z gotowym do uderzenia kamiennym nożem. Skoczył do przodu, opuszczając ostrze po łuku. Jason nie

widział samego trafienia. Przepchnął się przez szczelinę pięcioma długimi krokami i wpadł do komory z ogromnym krabem raptem krok za Rachel. Kawalek wodorostu, który upuścił wcześniej, nadal świecił na zielono leżąc na ziemi, a jego blask zmieszał się teraz z niebieskawą poświatą jego wodorostowej bransolety.

Woda obryzgała mu twarz. Macroïd zaczęła wynurzać się spod wody, zanim jeszcze weszli do jaskini. Jugard musiał przelać krew. Kiedy Jason popędził przed siebie, kierując się do przeciwległej dziury, gigantyczny krab po krótkim wahaniu śmignął ku niemu - chłopak zobaczył kątem oka potężne cielsko jako rozmazaną plamę.

Nie miał innego wyjścia jak biec, chociaż karb dopadnie go, zanim pokona pół jaskini. Gdzie był pies? A jeśli za bardzo się przydusił i nie dał rady wstać i pobiec za nimi? A co, jeśli zaatakował bliższy cel - Jugarda?

Rachel mknęła naprawdę szybko, napędzana rozpaczą, i Jason z trudem za nią nadążał. Po tym, jak krab skoczy, Jason zamierzał zrobić unik i spróbować zdobyć dla Rachel trochę czasu.

Nagle rozległo się za nimi niskie ujadanie. Czarny krab zatrzymał się gwałtownie. Jason zaryzykował i zerknął przez ramię. Dzikarz pędził do jaskini, zbliżając się coraz bardziej. Krab skoczył do krwawiącego psa i przeciął go na pół jednym, śmiercionośnym ruchem szczypiec.

Jason potknął się i postawił kilka niezgrabnych kroków, zanim Rachel nie zwolniła na tyle, żeby chwycić go za rękę i pomóc mu złapać równowagę. Zginąłby, gdyby upadł. Dziura majaczyła przed nimi, nieco szersza niż poprzednia szpara. Jason słyszał, jak krab pędzi za nimi, coraz bardziej się zbliżając. Nagle odgłosy się urwały. Krab musiał wyskoczyć w powietrze! Byli już prawie na miejscu.

Potworna siła uderzyła Jasona w plecy, ciskając nim przez szczelinę. Nie umiał powiedzieć, czy był to cios wyciągniętych szczypiec czy opancerzonego cielska, ale trafił go z siłą tarana. Poleciał do przodu, przeokoziółkował, trąc nagą skórą o skałę. Obok niego Rachel też fiknęła koziołka. Kiedy wyhamowała upadek, przeczołgała się do przodu. Krzycząc z bólu i strachu, Jason przeturlał się głębiej we wnękę, nie zwracając uwagi na otarcia i siniaki na łokciach i kolanach.

Szczęk ostrych jak brzytwa szczypiec rozbrzmiał desperacko tuż za nim.

Odwracając się, Jason zobaczył parę czarnych szczypiec sięgającą w szczelinę. Rozwierały się i zamykały, ale nie mogły ich dosięgnąć. Jason dyszał i patrzył jak zahipnotyzowany na kraba, który wraca do krwawych szczątków dzikarza i zaczyna ciąć trupa gorączkowo.

- O, rety! - krzyknęła Rachel rozdygotanym głosem. - Prawie umarliśmy. Nie mogę uwierzyć, że się nam udało!

- Niewiele brakowało - mruknął Jason.

- Żyjecie?! - dobiegł z drugiego końca jaskini zachrypły krzyk.

- Udało nam się! - odkrzyknął Jason, nadal próbując przyzwyczaić się do myśli, że wymknęli się zagrożeniu.

- Pierwsi od czasu Gallorana! Życzę wam powodzenia. Szczęśliwej drogi.

- Dziękujemy! - odpowiedziała Rachel.

Jason wpełzł głębiej w rozpadlinę i znalazł się w małym pomieszczeniu, w którym nie było widocznego wyjścia ani dopływu wody. Światło słoneczne wpadało tu przez wysoki szyb w suficie. Osunął się na plecy i zamknął oczy, ale nadal czuł palenie na skórze, w miejscach, gdzie ją otarł, i bolesne pulsowanie w miejscach, gdzie się posiniaczył.

- Nic ci nie jest? - spytała Rachel, kucając obok.

- Tylko się poobijałem. A ty?

- Wylądowałam dość szczęśliwie. A na pewno pomógł mi fakt, że mam na sobie ubranie. Te spodnie może nie są zbyt eleganckie, ale uszyto je z mocnego materiału.

Tłumiąc jęk, Jason usiadł prosto i zaczął oglądać obrażenia przy świetle na nadgarstku. Żaden łokieć ani kolano nie wyszedł cało bez otarć lub siniaków. Na udzie miał głębsze otarcie, w miejscu, w którym rozdarły mu się bokserki - poplamiona, odbarwiona rana poznaczona cienkimi liniami krwi, zbyt wrażliwa, żeby jej dotknąć. Dłonie miał zdarte do żywego. Na szczęście, nie połamał się. Był tylko obolały.

- To otarcie na udzie wygląda paskudnie - powiedziała Rachel.

- Mogło być gorzej - odparł Jason, wreszcie nieco się rozluźniając. - Mogłem stracić kończynę. Albo głowę.

- Nigdy w życiu nie widziałam niczego podobnego do tego kraba - przyznała

Rachel. - Myślałam, że już po nas. Widziałeś, co zrobił z psem? A przecież to był wielki, silny dzikarz.

Jason się skrzywił. Spodziewał się, że nieprędko pozbędzie się z myśli wspomnienia gwałtownej śmierci, jaka spotkała psa.

- Pewnie dobrze, że tak się stało - pocieszyła go Rachel. - Werbownik zamienił go w potwora.

Jason pokręcił głową.

- Nic nie zasługuje na taką śmierć.

- To było obrzydliwe.

- A tak przy okazji, dziękuję - powiedział Jason. - Za pomoc w złapaniu równowagi. Rachel się uśmiechnęła. - Słyszałam, jak się potknąłeś. Oczywiście, nie jest powiedziane, że byś się przewrócił. Mam nadzieję, że cię nie spowolniłam.

- Najpewniej bym się przewrócił - przyznał się Jason. - Właściwie to uratowałaś mi życie.

- Od czego są przyjaciele?

Jason wstał.

- Powinniśmy ruszać.

Słyszał, jak krab znowu gorączkowo tnie szczypcami ścianę w szczelinie, pewnie przyciągany przez jego otwarte rany. Przejście zakręcało, więc Jason nie widział Macroïd z obecnego miejsca. Zastanawiał się, czy pożarła już psa. Próbował odegnać ten obraz z głowy.

Jason i Rachel rozejrzeli się po pomieszczeniu. W jednym kącie drewniana platforma przymocowana do łańcucha wisiała jakąś stopę nad ziemią. Żelazna dźwignia wystawała ze ściany obok. Jason podszedł do platformy i spojrzał w górę. Większość skalnego sklepienia była ciemna, ale światło wlewało się przez pojedynczy, wysoki szyb. Łańcuch ciągnął się od platformy środkiem szybu, który musiał być niemal tak wysoki jak urwisko. Światło wpadało przez otwór w ścianie w pobliżu szczytu. Dzięki niemu widział, jak kolczasty łańcuch znika w skalnym sklepieniu.

- Prymitywna winda? - zapytała Rachel, też patrząc w górę.

- Na to wygląda. Sprawdźmy, czy nadal działa?

- Daj mi sekundę - powiedziała Rachel, splatając ręce za głowę i wypuszczając powietrze. - Nigdy dotąd nie byłam tak blisko śmierci. Nie tak naprawdę.

Jason zauważył, że dziewczyna ma nieco zamglone oczy.

- Dobrze się czujesz?

- Aha. Nie. Nie wiem. Sam rozumiesz, ogromny krabludożerca? Serio? W co myśmy się wplątali?

- No, to niezłe szambo - zgodził się Jason. - Ale przynajmniej przeżyliśmy. I mamy już jedną trzecią Słowa.

Wzięła rozdygotany wdech.

- To jest jakiś sposób, żeby nie tracić ducha.

Jason obmacał żelazną dźwignię.

- Myślisz, że ta dźwignia sprawi, że winda się podniesie?

- Mam taką nadzieję - powiedziała Rachel. - Gdyby przyszło nam wspiąć się po tym kolczastym łańcuchu, to wróciłabym do Gallorana i poprosiła go, żeby umieścił mnie na swojej sekretnej farmie.

- Wskakuj. Wychylę się i opuszczę dźwignię.

- Ja przerzucę dźwignię - poprawiła go Rachel. - Też powinnam coś zrobić.

Jason już chciał się sprzeciwić, ale się powstrzymał.

- Dobra. Wyrównamy rachunki.

- Nie, nadal mam prawo skoczyć z następnego klifu.

- Mam nadzieję, że klify mamy już za sobą.

- Wiesz, co mam na myśli. Ja podejmuję następne poważne ryzyko.

- Naprawdę próbowałem być miły.

Przyjrzała mu się sceptycznie.

- Myślę, że miało to też dużo wspólnego z tym, że wszystko musi być po twojemu. Jeśli ma nam się udać, musimy móc sobie ufać. Ja też potrafię być uparta. Jednak musimy współpracować.

- Masz rację, że lubię, kiedy wszystko jest po mojemu - przyznał Jason. - Tyle że czasem upór to dobra rzecz. Jak wtedy, gdy trener Bennion chciał odejść.

- Kto? Co?

- Byłem w siódmej klasie, grałem w baseball w drużynie klubowej. Trener

Bennion był asystentem. Naprawdę pomógł mi w pracy nad zamachem. W każdym razie nasz prawdziwy trener był bardzo surowy. Jednego dnia musiał wyjechać z miasta, więc trening prowadził trener Bennion. On był bardziej wyluzowany i grupa chłopaków zaczęła się obijać, bo Bennion nie potrafił niczego wyegzekwować.

- Byłeś jednym z tych chłopaków? - spytała Rachel.

- Wszyscy byliśmy winni. Bennion próbował nas przycisnąć, ale wyczuliśmy słabość i paru chłopaków mu się odcięło. Nigdy nie widziałem, żeby Bennion się wściekł, ale wtedy cały poczerwieniał i powiedział nam, że ma dosyć. Możemy sami się trenować. Poczuję się strasznie. Wybiegłem za nim, przepraszając i mówiąc, że zrobimy, co zechce, żeby wynagrodzić mu nasze zachowanie. Powiedział mi, że mamy przebiec sto okrążeń. Nie mówił poważnie. Chciał mnie spławić. Wsiadł do samochodu i odjechał.

- Przebiegłeś sto okrążeń? - spytała Rachel.

- Większość pozostałych graczy poszła do domu. Kilku przebiegło część. A ja zrobiłem sto okrążeń. To znaczy, część przeszedłem. Kiedy mama przyjechała po mnie, wyjaśniłem jej, co się stało, więc zostawiła mnie, żebym biegał dalej. Skończyłem dopiero po północy. W jakiś sposób trener Bennion się dowiedział. Postanowił nie odchodzić.

- To naprawdę fajna historia. - Bycie upartym może być dobre! - Nie, kiedy tyranizujesz tym innych. Nigdy już ci nie zaufam przy rzucie monetą. - Racja, bo mogę wtedy zrobić coś strasznego, na przykład zaryzykować własne życie, zamiast narażać ciebie.

- Miałeś dobre intencje - przyznała Rachel. - To było wręcz słodkie. Jednak, biorąc pod uwagę, co nam grozi, zaufanie jest bardzo ważne.

Jason skrzyżował ręce.

- W porządku. To umówmy się tak: następnym razem, zamiast wziąć sprawy we własne ręce, będę kłócił się z tobą tak długo, aż się poddasz.

- To już lepiej, ale nie licz na to, że za każdym razem ci ustąpię.

Jason wszedł na platformę. Drewno rozszczerpięło się i gniło, a całość miała mniej niż trzy stopy kwadratowe. Na szczęście, deski sprawiały wrażenie wystarczająco

solidnych. Rachel wdrapała się obok i złapała się ciężkiego łańcucha poniżej miejsca, od którego zaczynały się kolczaste ogniwa, gdy platforma zakołysała się delikatnie.

- Bierzemy się do roboty? - zapytał Jason.

- Jestem gotowa - odpowiedziała Rachel, wychylając się i kładąc rękę na dźwigni.

- Nie wiem, jak to zadziała - ostrzegł ją Jason. - Może nas czekać ostra jazda.

- Będę się mocno trzymać. Ty też tak zrób.

Rachel pociągnęła dźwignię i szybko złapała się obiema rękami łańcucha. Wewnątrz ściany jaskini rozległ się łomot i platforma zaczęła się wznosić.

Łańcuch i platforma pociągnęły Jasona i Rachel w górę, przyspieszając alarmująco i pobrzękując coraz głośniej, w miarę jak rosła szybkość wznoszenia platformy. Jason ścisnął łańcuch. Bloki zapiszczały. Łańcuch zawibrował. W pobliżu szczytu szybkość zmalała. Na chwilę łańcuch zwiotczał w ich dłoniach, kiedy bezwładność sprawiła, że nadal się wznosili. Kiedy osiągnęli punkt nieważkości, grawitacja w końcu zwyciężyła i opadli, aż łańcuch znowu się napiął, z gwałtownością, która mogłaby pogruchotać kości. Jason omal go nie wypuścił z rozpaczliwego uścisku.

Jason i Rachel stali do siebie twarzami, oddzieleni tylko łańcuchem. Dziewczyna miała zamknięte oczy. Platforma zakołysała się spokojnie w dziwacznej ciszy przerywanej tylko sennymi uderzeniami fal. Zerkając w dół, Jason zobaczył przyprawiający o zawrót głowy spadek ku kamiennemu dnu daleko w dole.

Rachel otworzyła oczy.

- Żyjemy?

- Na razie. - Poruszaliśmy się szybciej, niż się spodziewałam. Jason usłyszał kliknięcie. Zauważył na ścianie prostą żelazną tarczę z czymś na kształt wskazówki. Początkowo wskazywała w górę, ale teraz obracała się w dół, w miarę jak pstrykanie trwało.

- Myślę, że mamy ograniczony czas - powiedział Jason, wskazując podbródkiem tarczę.

Wielka nieregularna dziura w ścianie szybu obok nich wychodziła na ocean.

Popołudniowe słońce błyszczało na szeregach nadbiegających grzywaczy.

- Powinniśmy się rozkołysać? - zapytała Rachel.

Jason pokiwał głową.

W zgranym wysiłku Jason i Rachel zaczęli pochylać się w przód i w tył, kołysząc platformą w stronę dziury. Pstrykanie trwało, a wskazówka minęła pozycję na godzinie trzeciej. Już po chwili Jason wziął zamach nogą i zaczepił stopę o brzeg szczeliny. Rachel zeskoczyła z platformy na wąską półkę. Pomogła Jasonowi stanąć spokojnie, kiedy wypuścił łańcuch i sam wyszedł na półkę obok.

Stali wysoko na ścianie urwiska. Małe stadko szarych mew zawisło w bezruchu, szybując na bryzie. Kilka wytartych uchwytów dla dłoni prowadziło na szczyt klifu.

Kiedy wskazówka na tarczy dotarła do pozycji godziny szóstej, rozległ się kolejny łoskot ze ścian skalnego szybu i platforma gwałtownie opadła. Kiedy dotarła na dno, wskazówka powróciła do pionowej pozycji na tarczy. Patrząc na kolczaste ogniwa łańcucha, Jason cieszył się, że nie musiał się po nim wspinać. Zerknął na ostatni fragment ściany urwiska.

- Teraz chyba się wspinamy.

- To niedaleko - dodała mu otuchy Rachel. - I wygląda na łatwą wspinaczkę.

- Ty pierwsza.

Rachel sięgnęła do pierwszego uchwytu i zaczęła wspinać się po skalistej ścianie. Po kilku sekundach, potrzebnych, by stanął pewnie, Jason ruszył jej śladem, czując łaskotanie morskiej bryzy na nagich plecach. Szczękając zębami, starał się nie myśleć o przepaści pod nim ani nie zwracać uwagi na burzące się morze. Skupił się na znalezieniu bezpiecznego oparcia dla rąk i stóp, i już wkrótce pokonał krawędź dzielącą go od szczytu urwiska.

Wstał i rozejrzał się po okolicy. Tryskająca strużka znajdowała się co najmniej pięćdziesiąt jardów w bok od nich. Rachel biegła do miejsca, gdzie zostawili swoje rzeczy. Nikogo innego nie było widać. Ubrania Jasona leżały rozrzucone wokół krzaka, pod którym je schował. Pobiegnął za Rachel.

Kucając obok krzaka, dziewczyna podniosła kryształową kulę z zamkniętym wewnątrz orantium.

- Cała i zdrowa.

- Wygląda na to, że Puggles pogryzł moje ubrania.

- Pewnie ucieszył się, że znalazł potężną dawkę twojego zapachu. Przynajmniej inne nasze rzeczy zostawił w spokoju.

Jason zebrał ubrania, macając miejsca, w których zęby dzikarza zrobiły w nich dziury albo je rozdarły. Miło było ubrać się i zawinąć w płaszcz. Bokserki były już tylko trochę wilgotne.

- Nie marzniesz? - zapytał.

Rachel otuliła się płaszczem.

- Nie, kiedy mam na sobie płaszcz. Ubranie nadal jest wilgotne, więc dobrze czuję każdy podmuch.

Jason się rozejrzał.

- Nikogo nie widzę.

- Powinniśmy wykorzystać światło dnia - zaproponowała Rachel - i ruszyć się stąd, żeby znaleźć miejsce na obozowisko.

- Powinniśmy byli zapytać o drogę do Trensicourt - powiedział Jason.

- Nadal będziemy trzymać się drogi - odparła Rachel. - Musi dokąś prowadzić. W końcu natrafimy na kogoś, kto nam powie, jak tam dojść.

Ruszyli z powrotem w stronę drogi i zaczęli wspinać się na wschód równoległe do klifów. Jason zerknął za siebie i ogromnie mu ulżyło, że mają już za sobą ciężką próbę z jaskinią.

- Możesz uwierzyć, że przeżyliśmy? - powiedział Jason po jakimś czasie.

- Nawet nie mów... Od kiedy pojawił się dzikarz, wszystko potoczyło się tak szybko - odpowiedziała Rachel. - Teraz myślę tylko o tym, jak niewiele brakowało, żebyśmy skończyli jak Puggles.

Popołudnie przygasło, zamieniając się w zmierzch. Zmierzch pogłębił się, przechodząc w noc. Znaleźli schronienie w zaroślach.

Po pośpiesznym posiłku Rachel uparła się, że ona weźmie pierwszą wartę.

- Nie zasnę - obiecał Jason. - Uciąłem sobie zdrową drzemkę, a ty nie.

Rachel przyjrzała mu się nieufnie.

- Na pewno? Bo jak oboje zaśniemy, to możemy obudzić się martwi.

- Pewnie w ogóle się nie obudzimy. Po prostu będziemy martwi. - Nie, myślę, że

obudzisz się akurat na tyle, żeby poczuć straszliwy ból i ze wstydem zdać sobie sprawę z własnej porażki.

Jason zaśmiał się ponuro. Uniósł prawą rękę.

- Nie zasnę. Przysięgam.

W jego umyśle pojawił się obraz Macroid rozrywającej psa na strzępy i Jason pokręcił głową. Nie potrafił zmusić się do myśli, co każde z tych stworzeń zrobiłoby z nim i Rachel, gdyby tylko miało szansę.

- Naprawdę najadłem się strachu - zapewnił Rachel.

- Wymyślmy karę dla tej osoby, która przyśnie. No wiesz, dla dodatkowej motywacji.

- Poza prawdopodobną karą śmierci? - Jason milczał przez chwilę, a potem się uśmiechnął. - A co powiesz na to: ten, kto zawali, będzie musiał powąchać skarpety drugiej osoby.

Rachel uniosła brwi i przechyliła głowę.

- Nieźle. Ja będę miała o wiele bardziej śmierdzącą karę niż ty, ale ja nie przysnę. Dobra, ktokolwiek zaśnie w czasie warty, będzie musiał powąchać skarpety drugiej osoby i wziąć je do ust.

- To ohydne!

- Kara musi być brutalna, inaczej nie będzie nic warta. Pamiętaj, stawką jest nasze życie.

Jason westchnął.

- W porządku. Ja też nie zawalę. Chcesz jeść moje skarpetki, twoja sprawa.

- Więc umowa stoi?

- Stoi.

Rozdział 9

Tark

Trzy dni później, wczesnym popołudniem, Jason i Rachel dotarli do miejsca, gdzie półwysep łączył się z kontynentem. Klify zmalowały, aż została z nich tylko plaża o srebrzystym piasku, w którym odbijało się niebo, gdy zwilżyły go fale. Owalna, wąska zatoka sięgała w głąb lądu w miejscu, gdzie półwysep i ląd się spotykały. Za zatoczką opustoszałe plaże ciągnęły się na południe aż po horyzont.

Od historii z nadmorską jaskinią Jason nie zasypiał na wartach i nie przyłapał na drzemce Rachel. Oboje denerwowali się na drodze, ponieważ na wielu odcinkach nie dawała żadnego miejsca do ukrycia. Mimo to, dni mijały spokojnie, bez żadnych oszalałych psów, straszliwych harataczy ani nawet towarzyszy podróży, z którymi minęliby się na drodze. Zapasy jedzenia jednak stale się zmniejszały i zostało im jeszcze prowiantu na dzień albo dwa.

Kiedy droga zakosami pobiegła ku tyłom zatoki, przed ich oczami pojawiła się rybacka osada przycupnięta nad wodą. Sporej wielkości nabrzeże z wieloma miejscami do cumowania wychodziło w głąb zatoki, ale nie było przy nim niczego większego od łodzi wiosłowej. Kilka małych łódek pływało po spokojnej przystani, kołyszac się, gdy rybacy zarzucali sieci. Dwóch mężczyzn siedziało na końcu zniszczonego pirsu, trzymając długie wędki i gawędząc.

Domy w miasteczku były kanciaste i pomalowane na wyblakłe kolory. Większość wyglądała jak zbudowana z drewna wyrzuconego przez fale i innych szczątków. Na wielu zapadających się gankach skrzynki i beczki służyły jako stoły i stołki. Proste płócienne zasłony wisiały w powykrzywianych oknach. Muszle i polne kwiaty w kolorowych butelkach nieodmiennie zdobiły parapety. Na szczycie jednego z domów galion w kształcie pulchnej syreny z odłóżką farbą pochylał się

nad podwórkiem. Leniwa atmosfera owładnęła tym miejscem. Kilku przechodni na ulicy wyglądało jak spacerowicze.

Jeden budynek w wiosce odróżniał się od reszty - szeroki, okrągły, o nieco nachylonym, stożkowym dachu. Przyciągał uwagę, ponieważ ociężale obracał się jak przerośnięta karuzela. Ta dziwaczna rotunda wznosiła się na wysokim stoku, najdalej od wody.

Jason zerknął na Rachel.

- Nasze pierwsze miasto - powiedział cicho.

- To wręcz dziwne, zobaczyć w końcu ludzi. - Nikt nam się nie przygląda, ale każdy na nas zerka. - Mieszkańcy robią wrażenie ostrożnych - powiedziała Rachel. - Zobaczymy, co to za wirujący budynek?

Podeszli do dziwnej budowli ulicami przysypanymi pomarańczowym pyłem. Wolno stojący znak przed rotundą oznajmiał, że jest to Tawerna „Karuzela”. Z bliska ściany obracały się wystarczająco szybko, żeby Jason zaczął się zastanawiać, jak ktokolwiek tam wchodzi albo wychodzi. Odkąd zwrócił uwagę na tę przedziwną budowlę, ani razu nie zauważył, by się zatrzymała.

Platforma z kilkoma stopniami prowadziła do poruszającej się ściany. Nadjechały drzwi. Mężczyzna o kwadratowej twarzy wychylił się i zawołał:

- Chcecie wejść?!

- Tak! - odkrzyknął Jason, wchodząc na platformę.

Mężczyzna w drzwiach odjechał i zniknął mu z oczu. Kiedy pojawił się znowu, wyciągał umięśnioną rękę, a wiatr rozwiał mu włosy. Jason złapał go i mężczyzna wciągnął go przez drzwi.

- Panienska również, jak rozumiem? - zapytał.

- Tak, poproszę.

W środku Jason zobaczył jedno duże, wspólne pomieszczenie z okrągłym barem wokół centralnej osi. Stoły i krzesła przymocowano na stałe do podłogi. Przez belki przerzucono świecące wodorosty, które dodawały turkusowego blasku do światła słonecznego wpadającego błyskami przez poruszające się okna.

Tylko kilku klientów siedziało przy stolikach i nieco więcej przy barze. Dwaj mężczyźni przy stole byli ubrani jak żołnierze. Dwie kelnerki poruszały się po

pomieszczeniu z tacami, pochylając się umiejętnie dla zachowania równowagi. W pobliżu drzwi trudno było się oprzeć sile odśrodkowej.

Rachel wpadła przez drzwi podtrzymywana przez mężczyznę o kwadratowej twarzy.

- Popatrz na to miejsce - mruknęła.

- Dziwię się, że na podłodze nie ma wymiocin - odparł półgębkiem Jason.

Podszedł do baru, zauważając, jak odpychanie słabnie, im bliżej centrum pomieszczenia się znajdował. Rachel dołączyła do niego przy barze, gdzie siła odśrodkowa prawie nie działała.

- Czym mogę służyć? Jestem Kerny - przedstawił się szynkarz, tykowaty mężczyzna z ogromnym przodozgryzem i włosami w uszach.

- Dlaczego to miejsce wiruje? - spytał Jason. Kerny zamrugał zaskoczony. - Podziemna rzeka obraca koło głęboko pod nami. - Ta tawerna zatrzymuje się czasem? - zapytała Rachel. - Tylko wtedy, kiedy zatrzyma się rzeka. Szybkość zależy od pory roku. Teraz mamy całkiem niezłe tempo. Niektórzy potrzebują chwili, żeby się przyzwyczaić, nauczyć się kroku wilka morskiego. Kiedyś słynęliśmy w okolicy z tej tawerny, kiedy jeszcze mapy nie były nielegalne.

Kerny odwrócił się do mężczyzny, który przysiadł na pobliskim stołku. Tamten coś wymamrotał, wyciągnął miedzianą kulkę z kieszeni i podał ją Kerny emu. Jason zaczął grzebać w skórzanej torbie.

- Jakie jedzenie podajecie? - zapytał, kiedy Kerny postawił miskę potrawy przed mężczyzną.

- Wszelkiego rodzaju owoce morza. Najlepsze są marszcę. Trzymamy je żywe w akwariium. Próbował pan już kiedyś?

- Nie - odparł Jason.

- Nie ma nic lepszego od talerza żywych marszczy.

- Ile kosztują?

- Trzy i pół droomy, ale są tego warte.

- A tamten pan zapłacił droomę za potrawkę? - upewniła się Rachel.

- Aha. Jest naprawdę pyszna.

Jason i Rachel spojrzeli po sobie niezdecydowani. Przynajmniej teraz Jason

wiedział, że miedziane kulki to droomy. Miał nadzieję, że brązowe są warte więcej.

- Nie złapiemy pasożytów od surowych owoców morza? - zapytała szynkarza Rachel.

- Nie każdy marszcz nadaje się do podania - powiedział Kerny. - Wybieramy tylko te dobre. Nikt nigdy się nie skarżył.

- Nie jadłaś nigdy surowej ryby? - spytał Rachel Jason. - Wyglądasz mi na taką, co jada sushi.

Zmrużyła oczy, patrząc na niego.

- Oczywiście, że jadłam sushi. To bardzo ważne, jak zostanie przygotowane.

- A co powiecie państwo na to? - zaproponował Kerny, uderzając dłońmi o bar. - Przyniosę dwa marszczę na spróbowanie. Jak wam zasmakują, to zamówicie państwo talerz. Zgoda?

- Pewnie - odparł Jason.

Kerny szybko wrócił. W każdej dłoni trzymał czarną muszlę w kształcie naparstka i mniej więcej wielkości śliwki. Jason wziął jedną i zerknął na zwijającą się, wielobarwną tkanę w środku. Rachel miała rację, że surowe owoce morza mogą być niebezpieczne. Przypomniał sobie, jak nauczyciel biologii opowiadał im o zagrożeniach związanych z jedzeniem surowej ryby. Zerknął na Rachel.

- Panie mają pierwszeństwo.

Posłała mu kwaśny uśmiech.

- Potrafisz być takim dżentelmenem, kiedy jest ci to na rękę. Głosuję za tym, żebyś ty robił za królika doświadczalnego.

Jason doskonale zdawał sobie sprawę, że Kerny czeka i słucha. Nie było teraz czasu na kłótnie. Bojąc się w głębi ducha niewidocznych pasożytów, które zamienią jego ciało w kurort wypoczynkowy dla siebie, Jason podniósł muszlę do ust.

- Proszę wycisnąć troszkę oliwy do środka, żeby łatwiej było wyssać zawartość - wtrącił się Kerny. - Inaczej będziesz pan musiał zasysać jak pompa błotna z przytkanym filtrem. - Szynkarz podsunął mu szklaną fiolkę z maleńkim wylotem i niebieskim jak atrament płynem w środku.

Jason przechylił fiolkę nad marszczeni, krzywiąc się, kiedy barwne ciało skręciło się pod wpływem kilku ciemnych kropli. Odchylił głowę i wrzucił zawartość muszli

do ust, wstrząśnięty tym, że nadal się ruszała.

Wrażenie przypominało surowe żółtko jajka, smak był delikatnie słonawy i bogatszy od wszelkiego rodzaju owoców morza, jakich do tej pory próbował. Przeżuł szybko, a potem przełknął, czując, jak śluzowata masa powleka mu całe gardło mazią.

- I co pan myśli? - zapytał Kerny.

- Naprawdę dobre - odpowiedział Jason, nie kryjąc zaskoczenia.

- Serio? - dopytywała się Rachel.

- Spróbuj - rzucił jej wyzwanie Jason.

Rachel upuściła kilka kropel oleju do muszli i połknęła zawartość. Natychmiast się rozpromieniła.

- Weźmiemy talerz.

W tym momencie jakiś mężczyzna trącił Jasona w plecy. Chłopak odwrócił się i zobaczył niskiego, krępego mężczyznę, który siedział wcześniej przy stoliku w pobliżu drzwi. Miał gęste, czarne włosy i mocno zarośniętą twarz. Rękawy koszuli nosił podwinięte, odsłaniając owłosione przedramiona z potężnie rozbudowanymi mięśniami.

- Poproszę chowder - warknął basowym głosem.

- Nie, dopóki nie przyniesiesz pieniędzy albo nie weźmiesz się za zmywanie - odparł Kerny, przesadnie artykułując słowa. Zerknął przepaszająco na Jasona.

- Nie jestem wystarczająco dobry, żeby zmywać naczynia - pochlipywał zrozpaczony mężczyzna. - Nie jestem wystarczająco dobry, żeby dostać zupę. Przepraszam, że zawracam głowę.

Odwrócił się i klapnął z powrotem przy pobliskim stole, chowając twarz w skrzyżowanych rękach.

- Co z nim? - zapytała cicho Rachel.

Kerny pokręcił głową.

- Jest przygnębiony i ma zawroty głowy. Nikt nie powinien siedzieć blisko zewnętrznej ściany, kiedy kręcimy się tak szybko. Udzieliłem mu kredytu, ale są jakieś granice. Współczuję mu z powodu nieszczęścia, ale nie zamierzam przez niego zbankrutować.

- Niestety? - dopytywał się Jason.

- Gdzie się pan podziewał? To jedyny, który się uratował z Zawrotnej Dziewiątki. Biedny dureń.

Jason obrócił się gwałtownie. Czyli ktoś jednak zeskoczył z tratwy! Jego próba ratunku nie była całkowitą klęską. Ogarnęła go ulga, gdy dowiedział się, że uratował życie przynajmniej jednej osobie.

- Zjecie państwo przy barze czy przy stoliku? - zapytał Kerny.

Jason odwrócił się z powrotem do szynkarza.

- Przy stoliku. I wezmę dla tego człowieka chowder.

- Jak pan uważa. Czego pan się napije z młodą damą?

- Wody.

Szynkarz wzruszył ramionami i odszedł.

- Zauważ, że nie zapytał mnie, czego chcę - szepnęła Rachel.

- Nie ma teraz czasu na dyskusję o prawach kobiet - odparł szeptem Jason. - Też chcesz zupę rybną?

- Woda wystarczy. Wolalabym jednak, żeby zapytał.

Jason usiadł obok mężczyzny, którego uratował. Rachel usiadła naprzeciwko nich.

- Jestem Jason, a to Rachel.

- Tark - odparł mężczyzna ponurym głosem, nie podnosząc wzroku.

- Zamówiłem dla ciebie trochę chowdera.

Tark uniósł głowę i się uśmiechnął. Opadł na oparcie i spojrzał na Jasona, jakby z trudem ogniskował na nim wzrok.

- To bardzo uprzejme z twojej strony. - Nie ma sprawy. Słyszałem o twoich przyjacielach. - Szczęśliwcy - jęknął Tark, łapiąc się za włosy. - Ale czy oni nie zginęli? - zdziwiła się Rachel. - Jak i ja powinienem. Jason próbował ukryć zaskoczenie i pomieszanie. Jedyna osoba, którą ocalił, była załamana faktem, że przeżyła? Odchrząknął.

- To, ehm, na czym grałeś?

Tark obrzucił go spojrzeniem.

- Nie jesteś z okolic.

- Przybyliśmy z daleka.
- Gram na sousalaksie.
- A co to takiego? - zapytała Rachel.

Tark się naburmuszył.

- To jedynie największy ze wszystkich napędzanych samą siłą płuc instrumentów. Tylko sześciu lub siedmiu mężczyzn na wybrzeżu ma wystarczająco dużą pojemność płuc, żeby dźwięk stosownie zabrzmiał. Daleko na północy ludzie posługują się nim do przyzywania morsów i morskich słoni.

- Użyteczna rzecz - powiedział Jason i oboje z Rachel uśmiechnęli się leciutko.

Tark skinął głową, niczego nie zauważając.

- Miałem grać do samego końca. Dźwięk sousalaksu stanowi fundament dla innych instrumentów. Prawda? A chodziło o coś więcej. Posłuchajcie, to musi zostać między nami. Simeon, nasz przywódca, wyjechał na dłuższy czas. Miał zwyczaj wybierać się na wycieczki. Pewnego dnia wrócił, twierdząc, że prorokini powiedziała mu, że jeśli spłyniemy rzeką do wodospadu, grając, to wezwiemy bohatera, który pomoże obalić Maldora. Znał nawet dokładną datę i godzinę. W pierwszej chwili myśleliśmy, że sobie z nas żartuje, ale on tylko patrzył, ponury jak wdowa w dniu rocznicy ślubu. Przez pewien czas dyskutowaliśmy nad tym i w końcu doszliśmy do jednomyślnej zgody. W końcu, czego dzisiaj potrzebujemy bardziej niż prawdziwego bohatera? Nie mówię o tych oszustach, którym tak naprawdę chodzi tylko o darmową przejażdżkę do Harthenham, tylko o takich, o których śpiewamy, o tych, którzy naprawdę o coś walczą. Simeon przekonał nas, żebyśmy grali do samego końca i wezwali bohatera, składając siebie w ofierze. - Łzy napłynęły mu do oczu. - Ale ja nie dotrzymałem obietnicy.

Szynkarz podszedł i postawił na stole półmisek marszczy, dwie wysokie szklanki wody i drewnianą misę chowdera z dużymi kawałkami ryby.

- Proszę nie pozwolić mu zacząć - ostrzegł Jasona. - Bo ugrzęźnicie państwo tu na całą noc, a on będzie powtarzał w kółko tę samą żalospną historię.

- Będę to miał na uwadze - zapewnił go Jason. Odwrócił się do Tarka. - Proszę, mów dalej.

Tark uniósł miskę do ust, przełknął spory łyk, otarł usta i westchnął z

zadowoleniem. Jason upuścił kilka kropel oliwy do muszli i przełknął marszcza. Rachel też wzięła sobie muszlę.

- To wszystko wina tego sadysty, który wystrzelił strzałę ratunkową - podjął wążek Tark, patrząc w zupę.

Jason zeszywniał, zagryzając usta.

- Wszyscy byliśmy zdecydowani trzymać się swojego postanowienia, dopóki szansa uratowania się sama się nam nie narzuciła. Kiedy pojawiła się lina z brzegu, nasza determinacja osłabła. Strzała trafiła w ramię Stilusa. Zabawna rzecz, to on najbardziej sprzeciwiał się pomysłowi naszej ofiary. Długo trzeba było mu się przypochlebiać, żeby go przekonać. Widzicie, stary Stilus był przesądny. Założę się, że uznał strzałę za znak, że od początku miał rację. Ledwie się przewrócił, zaczął oplątywać linę ósemkami wokół jednej z knag. Stilus nigdy nie miał za wiele szczęścia. Podejrzewam, że myślał, że robi dobrze, próbując nas ocalić. Kiedy tratwa zaczęła płynąć do brzegu, paru z nas uznało, że zostaniemy uratowani, czy nam się to podoba, czy nie. Kilkoro grało dalej, ale większość, w tym ja, zaczęła zrzucać z siebie liny. Bo widzicie, przywiązaliśmy się do trawy, żeby móc grać nawet na wzburzonych wodach. Zanim zderzyliśmy się z brzegiem, nawet ci, co nadal grali, mieli już wątpliwości. Szansa na ratunek była tak blisko. Zeskoczyłem na brzeg w tej samej chwili, w której ktoś przeciął linę, i zostałem tam sam, jedyny zbieg, i patrzyłem, jak moi towarzysze odpływają.

Tark pociągnął nosem i otarł go grzbietem dłoni.

- Wtedy już wszyscy myśleli, że zostaną uratowani. Widziałem to w ich oczach. Z powodu tej nadziei na przetrwanie ogarnęło ich prawdziwe przerażenie, kiedy znowu popłynęli ku wodospadowi. Większość nie była w stanie grać, albo ze strachu, albo dlatego, że odwiązali się od tratwy i poprzewracali. - W jego głosie brzmiał dotkliwy ból. - To, co powinno być pełną dumy chwilą świadomie złożonej z siebie ofiary, przerodziło się w żalną farsę z tratwą pełną przerażonych muzyków zmierzających gorączkowo ku własnej śmierci. Gelpha dmuchał w klarnet. A jakaś dzielna dusza waliła w czynele.

W Jasonie narastała groza, a każde słowo Tarka bolało go jak cios w brzuch. On tylko starał się pomóc, a spowodował tyle cierpienia. Jak kiedykolwiek wynagrodzi

to tym ludziom?

Łzy płynęły po twarzy Tarka. Wypił pośpiesznie łyk zupy.

- To był mój obowiązek. To ja miałem walić w talerze w finale. Zawiodłem, a jakaś biedna, przerażona dusza zatuszowała mój błąd.

Szlochał, waląc pięścią w stół. A potem otarł noś ramieniem. Potrzebował chwili, zanim podjął opowieść.

- Ludzie zachowywali się potem, jakby cieszyli się na mój widok, jakby radowali ich fakt, że oszukałem śmierć. Ale to tylko pozory. Wkrótce zrozumiałem, że ten incydent napiętnował mnie jako tchórze i buntownika. Więc odszedłem. Nie było miejsca dla Zawrotnej Jedyńki wśród tamtych ludzi. Rozwazałem powrót do kopalni. Kiedyś byłem zdolnym górnikiem. Czułem się jednak niegodny nawet takiego zajęcia. Widzicie, żaden bohater nie pojawił się po tym, jak moi przyjaciele spadli z wodospadu. Proroctwo się nie spełniło. I przez resztę dni będzie paliła mnie świadomość, że to moja wina. Nikt nigdy się nie dowie, czy proroctwo mogło się wypełnić, ponieważ ja nie złożyłem ofiary. Zawrotna Dziewiątka miała rzucić się z wodospadu. Zamiast tego utopiło się ośmioro przerażonych muzyków, zostawiając za sobą jednego tchórzliwego nieszczęśnika.

- Nie powinieneś tak surowo się oceniać - pocieszała go Rachel.

- Pewnie - nabzdyczył się zniesmaczony Tark. - Powinienem sobie pogratulować, że zdradziłem przyjaciół i ochroniłem cesarza. Kusiło mnie samobójstwo. Uznałem jednak, że skoro nie byłem mężczyzną, żeby stracić życie razem z przyjaciółmi, to nie zasługuję na to, by okazać się takim tchórzem i odebrać sobie życie samemu. Teraz jestem wędrowcem. Wagabundą, którego sousalaks spoczywa na dnie oceanu, prawdopodobnie zamieszkały przez ogromnego kraba wędrownika.

- To... to okropne - wydukał Jason.

Otworzył usta, żeby znowu wyrazić swoje współczucie, ale nie mógł wykrztusić słowa z powodu zaciśniętego żołądka. Czy mógł być bohaterem, którego wezwali ci muzycy? Galloran ujął to tak, jakby każdy, nawet dzieciak z przedmieść mógł zostać bohaterem. Usłyszeć w szczegółach o ofierze, którą złożyło dziewięcioro ludzi tylko po to, żeby sprowadzić bohatera do Lyrianu, było przytłaczające. Nappełniło Jasona

nagłym, przemożnym pragnieniem, żeby rzeczywiście stać się bohaterem, którego potrzebowali. Czy był do tego zdolny?

- Chciałbym znaleźć tę szumowinę, która wystrzeliła strzałę. - Tark zgrzytnął zębami i zacisnął pięści. - To on zniszczył naszą ofiarę. Gdyby się nie wtrącił, nie zdradziłbym naszej sprawy. Odpłacenie się mu to jedyny cel, jaki mi pozostał.

Rachel i Jason spojrzeli po sobie z zażenowaniem.

- Jak on wyglądał? - zapytał Jason.

Tark obrzucił go spojrzeniem.

- Z opisu, który słyszałem, trochę jak ty. Wysoki. Złociste włosy. - Tark parsknął, dokończył zupę rybną i otarł usta rękawem. - Będę go szukał aż do dnia śmierci.

- Może nie powinieneś polować na tego biedaka, który wystrzelił strzałę - wypaliła Rachel.

- Dlaczego? - warknął Tark.

- On pewnie tylko próbował pomóc - wyjaśniła słabo.

Jason pochylił głowę.

- Myślę, że wszyscy dobrze wiemy, kto tu jest prawdziwym złoczyńcą.

Tark przyjrzał się Jasonowi spod zmrużonych powiek.

„Maldor” - bezgłośnie poruszył ustami, rozważając tę myśl.

- Jeśli chcesz poświęcić życie, robiąc coś użytecznego, weź się za niego - powiedział Jason, ścisząc głos. - To będzie najlepszy sposób, żeby uhonorować ofiarę twoich przyjaciół. Kto wie? Może to ty jesteś bohaterem, którego próbowali przyzwać.

Tark usiadł prosto. Oczy mu pojaśniały.

- Myślę, że możesz mieć rację. Co bardziej by pasowało?

Wyciągnął zza pasa ciężki nóż o ostrzu ząbkowanym jak piła iwbił go z wściekłością w blat.

Jason popatrzył w milczeniu na imponujące ostrze.

Tark wstał, drapiąc się po brodzie.

- Zważ me słowa: może i nie umarłem, ale moje życie zakończyło się przy tamtym wodospadzie i nie mam czego się obawiać. Niczym duch będę tropił

Maldora i jego popleczników. - Zerknął ukradkiem, czy nikt go nie podsłuchał. - Niech ta rozmowa zostanie między nami. Nigdy się nie spotkaliśmy. Życzę ci powodzenia, Jasonie, mój przyjacielu. - Klepnął chłopaka w ramię. - Przywróciłeś mnie do życia.

Tark schował nóż do pochwy i pomaszerował do drzwi. Wypadł na zewnątrz z pomocą mężczyzny o kwadratowej twarzy.

Jason i Rachel wzięli po kolejnej muszli. Kiedy Jason zasysał wijące się ciało, pomyślał o ciężkim nożu. Jeszcze minutę temu o ostrze miało poderznąć mu gardło. Miał nadzieję, że Tark rwa przy nowym postanowieniu. Chociaż prześladowała go powieść Tarka o ostatnich chwilach przy wodospadzie, Jason nie był gotowy umrzeć, by odkupić swe winy.

Dokończył swoją połowę marszczy, podobnie jak Rachel. Z każdym kolejnym kęsem coraz bardziej mu smakowały. Po ostatnim marszczu, rozsiadł się zadowolony, delektując się delikatną pozostałością w ustach. Naprawdę cudowny posmak. Wróciła kelnerka.

- Ile jestem winien? - zapytał Jason.

- Cztery droomy.

Jason wyjął z sakiewki brązową kulkę.

- A to ile jest warte?

- Pięć - odpowiedziała, jakby spodziewała się, że się z nią droczy.

- Proszę. Reszta dla ciebie.

Zagapiła się na niego.

- Co? - zdziwił się Jason.

Uśmiech wypłynął na jej twarz.

- Pięknie dziękuję.

Mówiła tak szczerze, że Jason uznał, że mieszkańcy Hipolandii muszą skąpić na napiwkach. Natychmiast poszła do Kernyego i zaczęła mówić coś podekscytowana, zerkając w stronę Jasona.

- Ej, rozrzutniku, jesteś tu jeszcze ze mną? - syknęła Rachel.

- Dałem jej tylko napiwek. Dwadzieścia procent to standard tam, skąd pochodzę.

- Tak między nami, to było dwadzieścia pięć procent. Ale to nieistotne. Pewnie

powinniśmy się zbierać.

Jason odwrócił się do drzwi.

- Czy właśnie posłaliśmy Tarka na śmierć? - mruknął.

- Później - odpowiedziała szeptem Rachel.

- Pewnie posłaliśmy - powiedział Jason. - Wyglądał tak, jakby był w nastroju do zrobienia czegoś głupiego. Chyba lepsze to niż oberwać wielkim nożem w plecy jakiejś ciemnej nocy.

Rachel wstała.

Kerny podbiegł do nich, jakby martwił się, że wyjdą, zanim z nimi porozmawia.

- Jak smakowało?

- Wyśmienicie - odparła Rachel. - Zna się pan na owocach morza.

Kerny zerknął zakłopotany na Jasona, jakby zaskoczył go fakt, że Rachel odezwała się pierwsza.

- Strasznie się ekscytuje jedzeniem - zażartował Jason, na co Kerny odpowiedział szerokim uśmiechem, a Rachel zacisnęła usta w wąską linię. - I miała rację. Marszczę to była doskonała propozycja. Mam teraz nowe ulubione danie. A tak przy okazji, wie pan, gdzie się znajduje Trensicourt?

Kerny uniósł brwi i zmarszczył czoło.

- Spory kawał w głąb lądu.

- A wie pan coś konkretniej? - dopytywał się Jason.

- Nie mogę powiedzieć, że tak. Oczywiście, słyszałem o tym miejscu, ale nigdy nie wybierałem się w tamte strony.

- Zna pan kogoś, kto mógłby nam powiedzieć, jak tam dotrzeć?

Kerny podrapał się po głowie.

- Wątpię, czy ktokolwiek w mieście zdoła panu powiedzieć. Wiadomo, że ludzie coraz mniej podróżują. Zresztą, to mało rozsądne, ruszać w drogę, kiedy ludzie ciągle znikają, i tak dalej. Bez obrazu. Jestem pewien, że pan wie, co robi. A szukacie państwo może noclegu?

- Może - odparł Jason, zerkając na Rachel, która ledwie widocznie wzruszyła ramionami.

- Moja matka prowadzi mały zajazd - odparł Kerny. - Jedyne pokoje do

wynajęcia w mieście. Dobra cena, dziewięć droom. Ze śniadaniem.

Rachel nie dała Jasonowi nic a nic do zrozumienia, co na ten temat myśli. Uznał, że miło byłoby przespać się w łóżku. Kilka ostatnich nocy było chłodnych, budzili się we mgle.

- Skorzystamy z pana propozycji, ale potrzebujemy dwóch pokoiów.

Kerny uniósł brwi.

- To moja siostra - wyjaśnił Jason.

Szynkarz rozpromienił się, wreszcie rozumiejąc.

- Dwa pokoje, powiada pan. To może zwiększyć cenę do dwunastu.

- Może być - zgodził się Jason.

- Gerta! - zawołał Kerny i zaraz przybiegła młoda kobieta, która ich wcześniej obsługiwała. - Zajmij się barem. Chcę osobiście odprowadzić tych dobrych ludzi.

Rozdział 10

Ned

Mężczyzna o kwadratowej twarzy pomógł im wyjść. Wylądowali, koziółkując na długim materacu wypchanym słomą. Kerny wykorzystał rozpęd i zrobił salto, zręcznie lądując na nogach, a potem podał rękę Jasonowi i Rachel.

Razem ruszyli pylistą drogą w głąb miasteczka.

Kerny pomachał do paru osób, które minęli. Podszedł do nich wysoki mężczyzna o kręconych, rudych jak marchewka włosach i z większą ilością piegów niż skóry. Miał na sobie coś, co wyglądało jak długi worek z szorstkiego materiału z wycięciami na głowę i ręce, sięgający mu prawie do kolan. Łokcie były najszerszym miejscem na jego chudych, piegowatych rękach. Na jednej ręce nosił czarną skórzaną rękawiczkę i chodził bosy. Nawet bez butów przewyższał Jasona o kilka cali. Nieznajomy szedł nieprzyjemnie blisko nich.

Kerny poprowadził Jasona i Rachel tak, żeby nie szli zbyt blisko mężczyzny.

- Z tym gościem nie jest za dobrze - mruknął.
- Kim są twoi przyjaciele? - zapytał nieznajomy, idąc za nimi i węsząc.
- To nie twoja sprawa, Ned.
- Na pewno, szynkarzu? - Oblizując spierzchnięte usta, wysoki mężczyzna podszedł do Jasona i wyrównał z nim krok.

Kerny wcisnął się między Neda i Jasona.

- Spływaj, Ned.

Tamten ściągnął usta.

- Jeszcze nie teraz. Najpierw podziel się sekretem. Kim są ci obcy?
- Moimi gośćmi - warknął Kerny. - Szacownymi przybyszami.
- Nie wyglądają na szacownych - zauważył Ned. - Ledwie od ziemi odrośli. I

spali pod gołym niebem.

- Dość tego! - krzyknął Kerny, aż Rachel się wzdrygnęła. - Spadaj!

Ned przestał iść za nimi, a Kerny poprowadził Jasona i Rachel do jednego z największych domów w miasteczku, stojącego już nad wodą. Budynek wznosił się na wysokich palach. Wspięli się po szorstkiej drabince sznurowej prowadzącej na ganek. Niska kobieta o siwych włosach związanych w kok podeszła do drzwi.

- Przeprowadziłem ci klientów - pośpiesznie wyjaśnił Kerny. - To Jason i jego siostra Rachel. Zostaną na noc. Dwanaście droom za dwa pokoje.

Kobieta wytrzeszczyła oczy, zaraz jednak odzyskała panowanie nad sobą i uśmiechnęła się uprzejmie, ale Jason już się zorientował, że płacą więcej niż zwykłą stawkę. Zastanawiał się, czy nie zacząć się targować, ale darował sobie, bo właściwie zgodził się już na cenę. Kerny odszedł, a stara kobieta odprowadziła ich do dwóch małych, sąsiadujących ze sobą pokoików. W pokoju Jasona szeroki, płócienny hamak rozciągał się od ściany do ściany. Kufer z wielką kłódką stał w kącie. Zamiast zasłony w oknie wisiała siatka, częściowo przesłaniając widok na przystań.

Stara kobieta dała Jasonowi klucz do kufra i powiedziała mu, żeby schował tam swoje rzeczy. Potem zabrała Rachel do sąsiedniego pokoju. Kiedy już gospodyni ich zostawiła, Jason wszedł do pokoju Rachel. Siedziała na hamaku ze spuszczone nogami i delikatnie się kołysała.

- Myślisz, że gospodyni dała nam jedyne klucze do naszych kufrów? - spytała.

Jason zmarszczył brwi.

- Słuszna myśl.

- Nie zostawiamy naszych rzeczy bez opieki.

- Serio? A ja myślałem, że może zajrzemy do miejscowego multipleksu i zobaczymy, co grają.

Rachel skrzyżowała ręce.

- Wiem, że to nie twoja wina, ale nie podoba mi się to, jak potraktowano mnie w tawernie. Ludzie zachowują się, jakbym nie istniała.

- Świetnie sobie z tym poradziłaś - odparł Jason. - Musimy wtopić się w tłum.

- Wiem, ale przez to trudno mi pomagać. Wiedziałam, że Kerny chce nas oskubać. Nie zauważyłaś, że kelnerka poszła prosto do niego po tym, jak dałaś jej

napiwek, i że zaczął nam wtedy nadskakiwać?

- Trochę - odparł mętnie Jason, zawstydzony faktem, że nie zauważył tak oczywistych sygnałów. - Pomyślałem tylko, że miło będzie mieć dach nad głową. Kto wie, kiedy znowu będziemy mieli szansę przespać się w czterech ścianach?

Rachel skrzywiła się w zamyśleniu.

- Pewnie bezpieczniejsi bylibyśmy w lesie. Wszyscy za bardzo się nami tu interesują. Zauważyłeś te spojrzenia, odkąd weszliśmy do miasteczka?

- Tak.

- Ten dziwak Ned to jedyna osoba, która miała dość ikry, żeby powiedzieć to, co myśleli wszyscy inni. Ludzie tu nie podróżują. Ściągamy na siebie uwagę.

Jason podrapał się w czoło. - Powinniśmy opuścić to miejsce? - Nie sądzę. Jeżeli odejdziemy już dzisiaj, wzbudzimy jeszcze więcej podejrzeń. Powinniśmy jednak mieć się na baczności.

- Racja. Nie będziemy przyciągać uwagi, zostaniemy w swoich pokojach. Myślisz, że mają tu HBO?

- Tylko w centrum rekreacyjnym - odparła Rachel.

- Jestem trochę zmęczony - przyznał Jason. - To może być dobra chwila na krótką drzemkę.

- Chyba cię rozgryzłam - oznajmiła Rachel. - Kiedy masz wątpliwości, idziesz spać.

- To nie w porządku - jęknął Jason. - A ty nie jesteś zmęczona? Wędrowaliśmy wiele dni i przez pół nocy nie spaliśmy, pełniąc wartę.

- Odkąd się tu zjawiłam, byłam za bardzo podenerwowana, żeby dobrze spać - przyznała Rachel. - Może przyjemnie będzie przespać się za zamkniętymi drzwiami.

- W porządku, będę u siebie.

- Chwileczkę. Jedno szybkie pytanie. Myślisz, że jesteś bohaterem, którego próbowała wezwać Zawrotna Dziewiątka?

Jason zamarł, rozważając historię, którą opowiedział im Tark. To muzyka Zawrotnej Dziewiątki sprawiła, że wpadł do basenu hipopotama. Czy to możliwe, że był bohaterem, którego mieli nadzieję wezwać? W końcu rozpoczął już misję mającą na celu zniszczenie Maldora.

- Jeśli ja jestem bohaterem, którego szukali, to ci muzycy byli bardziej zwariowani, niż ktokolwiek myślał.

- To niesamowity zbieg okoliczności - odezwała się cicho Rachel. - Galloran najwyraźniej uważał, że jesteście ludźmi, których chciała sprowadzić wyrocznia.

Jason wzruszył ramionami.

- Na wszelki wypadek spróbuję nie umrzeć.

- To chyba dobra myśl.

Jason wrócił do swojego pokoju, zamknął cieniutkie drzwi i wypróbował hamak. Leżąc sobie wygodnie i kołysząc się lekko, zamknął oczy. Jak mógł być bohaterem, którego pragnęli? Czego dokonał? Jako miotacz parę razy zapewnił drużynie miażdżące zwycięstwo? Miał dobre oceny? A co z Rachel? Kobieta, która współpracowała z Zawrotną Dziewiątką, najwyraźniej wezwała ją do Lyrianu.

Czy losy całego świata spoczywały w ich rękach? Czy któreś z nich miało szansę na sukces? Galloran najwyraźniej w nich wierzył. Czy mieli szansę spełnić jego oczekiwania?

Hamak stał się wręcz uwodzicielsko wygodny. Zadowolony, że może na chwilę odpocząć, Jason pozwolił rozpląnąć się zmartwieniom.

Ktoś zapukał do drzwi. Jason zdał sobie sprawę, że przysnął. Nie spał zbyt długo, na zewnątrz nadal było jasno. Rachel go potrzebowała? Czy też gospodyni miała jakieś pytanie? Znowu ktoś zapukał. Jason wylazł niezgrabnie z hamaka i otworzył drzwi.

To był Ned.

- Cześć, niebieskooki - powiedział wysoki mężczyzna, wchodząc do ciasnego pomieszczenia.

Jason cofnął się, podczas gdy Ned arogancko napierał, wodząc wzrokiem po pokoju. Jedna powieka mu drgała.

- Czego chcesz? - zapytał Jason.

- Jesteś wędrowcem. A może raczej uciekinierem? - Ned się uśmiechnął. Brakowało mu kilku zębów. - Przechytryłeś kiedyś lisa-chytrusa? Albo widziałeś świnię, która się zeświniła? Zjeżyłeś jeża?

Jason zorientował się, że cofnął się już pod hamak.

- O czym ty mówisz? To mój pokój. Jestem przyjacielem.

Ned obrzucił go znaczącym spojrzeniem.

- Oni cię szukają, ale to ja cię znalazłem. Powiedz mi prawdę, widziałeś księgę?

- Jaką księgę?

- Tę, która widziała ciebie.

Jason przełknął ślinę.

- Co masz na myśli?

- Graj dalej głupka, a zrzucę rękawiczkę. - Ned uniósł dłoń, a drugą rękę ustawił w gotowości do zdjęcia rękawiczki. - Ostatnia szansa: powiedz mi prawdę.

To było jakieś szaleństwo.

- Tak, widziałem.

Jason nie miał pojęcia, co mu groziło, gdyby Ned zdjął rękawiczkę, ale nie zamierzał tego sprawdzać.

Ned się uśmiechnął. Jasonowi przypomniało się zdjęcie, które pokazał mu ojciec, żeby go nastraszyć i przekonać do mycia zębów.

- Kiedyś przeciwstawiłem się Maldorowi. Zły wybór. Najgorszy. Im bardziej mu się stawiasz, tym bardziej się wystawiasz. To władca marionetek, pociąga za wszystkie sznurki.

Jasonowi odebrało mowę. Sięgnął pod płaszcz.

- Chcesz zobaczyć mój sznurek? - zapytał Ned, ciągnąc za rękawiczkę. Jason wyciągnął sztylet, ale ostrze nadal było w pochwie. Działając błyskawicznie jak pułapka na myszy, Ned uderzył Jasona kantem dłoni w nadgarstek, a drugą ręką zabrał mu nóż. Jason przyparty do hamaka roztarł rękę. Ned spokojnie obejrzał pochwę.

- Skąd to masz?

- Nie twoja sprawa.

Jason przygotował się do ataku, napiął mięśnie gotowy do skoku. Mężczyzna był wysoki i szybki, ale chudy. Gdyby tylko Jason zdołał go złapać, mógłby go trochę poobijać, ciskając nim przez pokój.

- Przemoc ci nie posłuży. Odpowiedz mi. Odpowiedz mi tak, jak należy, a nie zdejmę rękawiczki.

- Zapomnij.
- Ukradłeś go.
- Nie.

Ned ściągnął szarpnięciem pochwę.

- Znalazłeś.
- Nie.

- Twoje milczenie nie jest oznaką lojalności. Nie strzeż informacji, którą już znam. Powiedz mi, kto ci to dał. - Ned wycelował sztylet w Jasona, kładąc kciuk na spuście, który wystrzeliwał ostrze.

Jason nie chciał ściągnąć kłopotów na Gallorana.

- Nie powiem ci.

Ned oblizał usta. Jedno oko mu zatrzepotało.

- Jako chłopak służyłem człowiekowi, którego nigdy bym nie zdradził. Jego symbol znajduje się na pochwie.

To zaskoczyło Jasona. Zawahał się.

- Galloran dał mi ten sztylet.

Broń upadła na drewnianą podłogę. Nedowi zadrżały usta.

- On żyje?

Jason pokiwał głową.

Ned wsunął palce w rude loki. Emocje walczyły na jego piegowatej twarzy.

- Współczuję ci. Biedny naiwniaku. Biedny frajerze. Posłuchaj. Ned nigdy cię nie widział. Wyjedź nocą. Droga wychodzi z miasta na północnowschodnim krańcu. Łądowa Pętla. Jest też szlak na południowym wschodzie.

- Co masz pod rękawiczką? Ned się skrzywił. - Mój sznurek. Przyjdę nocą. - Zarechotał. - Rozejrzę się dla was w terenie. Wyszedł pośpiesznie z pokoju. Jason podniósł nóż i wsunął do pochwy, a potem schował do kieszeni. Kiedy zamykał drzwi na zamek, usłyszał ciche pukanie.

- Jason? - odezwała się po drugiej stronie Rachel.

Otworzył jej drzwi.

- Słyszałaś mojego gościa?

- Cienkie ściany - wyjaśniła, wchodząc. - Nie dosłyszałam paru słów, ale

załapałam sedno.

- On wie, kim jestem. Wie o naszej misji.

- Powinniśmy uciekać? - spytała.

Jason zastanawiał się chwilę.

- Powinniśmy zostać. Jeżeli Ned wie, kim jesteśmy, pozostali też mogą się domyślić. Może nam się przydać ktoś, kto zna okolicę. Powiedział, że zbada teren i wróci, gdy się ściemni.

- Robi wrażenie stukniętego. Nie jestem pewna, czy możemy mu zaufać.

- Niczego nie jestem pewien - przyznał Jason - ale myślę, że mówił szczerze.

Jeśli ściągnęliśmy na siebie za dużo uwagi, ucieczka w nocy ma najwięcej sensu.

- Chyba że ktoś przyjdzie po nas wcześniej.

- Masz wybuchowy kryształ?

- Tak.

- Trzymaj go pod ręką.

Rachel skinęła głową.

- Idę poszukać matki Kemy'ego. Może mogłaby kupić nam trochę prowiantu.

- Niezły pomysł. Musimy się przyczaić. Pewnie dwa razy się zastanowimy, zanim wejdziemy do następnego miasteczka.

- Będę musiała dać jej pieniądze - zasugerowała Rachel.

Jason wyjął mieszek z kulkami.

- Ile?

- Za piętnaście powinniśmy dostać mnóstwo jedzenia. Mam przeczucie, że te marszczę były bardzo drogie.

Jason podał jej trzy brązowe kulki.

- Może zatrzymać pieniądze i nas zdradzić. - Lepsze to niż pałętanie się po mieście, kiedy będziemy próbowali sami kupić zapasy. Będę uważała. Jeśli zniknie na zbyt długo, zawsze możemy uciec.

- Powiedz jej, żeby zatrzymała sobie droomę za fatygę - zasugerował Jason.

- Myślałam o dwóch.

- Jak uważasz.

- Mogę pożyczyć torbę?

- Pewnie.
- Powinieneś raczej zamknąć drzwi na zamek.
- Tak zrobię.

Kiedy Rachel wyszła, Jason poćwiczył dobywanie noża. Wyciągnięcie go w pochwie nie zrobiło wrażenie na Nedzie. Trenował, aż potrafił wsunąć rękę pod płaszcz i szybko wyjąć nagie ostrze.

Było już późne popołudnie. Jason zdał sobie sprawę, że jeśli mieli wymknąć się nocą, to pewnie powinien się przespać. Potrzebował chwili, żeby uspokoić umysł, ale w końcu przysnął.

* * *

Było zupełnie ciemno, kiedy Jason się obudził. Ledwie dostrzegł kształt kufra na podłodze. Nie miał pojęcia, jak jest późno, ale trwała już noc. Zastanawiał się, czy u Rachel wszystko dobrze. W razie zamieszania pewnie by się obudził.

Jason zszedł z hamaka i stanął przy oknie. Nie widział gwiazd. Gdzie się podziewał Ned? Powinni na niego poczekać? A jeśli się nie zjawi?

Zebrał rzeczy z kufra i podszedł na palcach do drzwi. Pukanie w okno całkowicie go zaskoczyło. Obrócił się gwałtownie i zobaczył za wypaczoną szybą twarz Neda - do góry nogami. Jason odsunął zasuwkę, a Ned zręcznie zsunął się z dachu do pokoju przez otwarte okno.

- Chodź ze mną - szepnął Ned.
- Co?
- Słuchaj.

Jason zamarł i nadstawił uszu. Po pełnej napięcia chwili dosłyszał słabe skrzypnięcie.

- To? Co to jest?

Poczuł oddech Neda w uchu.

- Ktoś nieudolnie próbuje poruszać się bezszelestnie.

Panika ogarnęła Jasona.

- A co z Rachel? - Już jest na dachu - szepnął Ned. - Chodź za mną cicho. Nie czekając na odpowiedź, Ned zręcznie wskoczył na parapet i zniknął z powrotem na dachu. Jason przez chwilę stał jak ogłuszony, a potem znowu usłyszał skrzypnięcie,

gdy ktoś się skradał korytarzem, tym razem tuż za jego drzwiami. Klamka obróciła się delikatnie. Drzwi były zamknięte na zamek.

Jason zanurkował pod hamak i wspiął się cicho na parapet, zerkając na ziemię majaczącą piętnaście stóp niżej. Dlaczego ten mały zajazd musiał stać na palach? Stając niezgrabnie, Jason sięgnął do okapu nad oknem. Ned złapał go i pomógł mu wejść na dach, gdzie zgodnie z jego obietnicą Rachel już czekała.

Biorąc przykład z Neda, leżeli na brzuchach i nasłuchiwali. Delikatny zgrzyt metalu o metal zasugerował, że ktoś otwiera zamek wytrychem. Jason usłyszał, jak drzwi otwierają się, poskrzypując, a zaraz potem rozległy się odgłosy pośpiesznych kroków.

- Nie ma go tutaj - wyszeptał mężczyzna.

- Może uciekł tędy - odezwał się ktoś inny, tuż pod Jasonem, w otwartym oknie.

- I poszybował nad morzem - warknął sarkastycznie pierwszy mężczyzna. -

Chodźmy.

Wyszli ciężkim krokiem z pokoju i Jason usłyszał, że drzwi do pokoju Rachel otwierają się z hukiem. Kroki rozbrzmiewały hałaśliwie, już nikt nie próbował zachować ciszy.

- Nic.

- A czego się spodziewałeś?

Ciężkie kroki pośpiesznie się oddaliły.

Ned trzymał palec na ustach. Cała trójka czekała w ciszy. Wreszcie Ned się odezwał:

- Macie przyjaciela.

- Co masz na myśli? - zapytał Jason.

- Koń bez jeźdźca pojawił się dziś wieczorem w miasteczku. Wybrałem się Ładową Pętlą i znalazłem werbownika leżącego twarzą do ziemi przy drodze. Rany kłute na plecach. Niedaleko od niego martwy haratacz. Nie widziano tu podobnych rzeczy od dłuższego czasu. Zaciągnąłem trupy głęboko w las. Macie gdzieś tam przyjaciela. Dziwni ludzie zjawili się w miasteczku tej nocy. Odejdźcie główną drogą. Przez jakiś czas powinna być wolna. Nigdy mnie nie spotkaliście.

Ned przeszedł po dachu w kucki. Nic nie skrzypnęło. Zeskoczył, znikając im z

oczu.

- Jak późno już jest? - spytał Jason.

- Z godzinę po północy - odpowiedziała Rachel. - Kiedy Ned pojawił się w moim oknie, prawie dostałam ataku serca.

- Powinniśmy posłuchać jego rady i opuścić miasteczko - szepnął Jason. - Naprawdę niewiele brakowało. Masz nowe zapasy?

- W torbie. Jestem gotowa.

- Myślę, że Ned zeskoczył na ganek. To pewnie jedyne sensowne zejście.

Jason i Rachel przemknęli chyłkiem po dachu w stronę frontu domu, krzywiąc się, gdy gont skrzypiał pod ich nogami. Zanim dotarli na miejsce, Neda już nigdzie nie było widać - ani na ganku, ani na ulicy w dole. Jason nie zauważył też nikogo innego.

- Droga wygląda na wolną - szepnęła Rachel. - Powinniśmy ruszać.

Jason zajął pozycję, gotów zeskoczyć z dachu na ganek. Nagle kilka deszczułek tworzących wystający nad ganek okap pękło i chłopiec spadł z hukiem, lądując na plecach.

Leżał oszołomiony na popękanych deskach i próbował złapać oddech. Płuca odmawiały współpracy. Myślał tylko o tym, że połamał kręgosłup. Przeturlał się na bok. Wyrwał mu się słaby jęk i nagle odetchnął. Nigdy w życiu nie został równie brutalnie pozbawiony oddechu.

Usiadł, zamarł i zaczął nasłuchiwać przekonany, że jego niezręczność zwróciła czyjąś uwagę. Jednakże i w domu, i na ulicy panowała cisza.

Rachel wylądowała cicho obok niego.

- Dobrze, że to ja noszę materiały wybuchowe.

Jason odetchnął roztrzęsiony.

- Nie żartuj. Zejdźmy z tego ganku, zanim ktoś nadejdzie.

Pośpiesznie zeszli po drabinie sznurowej. Noc była pochmurna. Poruszali się szybko ciemnymi ulicami, gdzie światło przeciekało przez nieliczne z zatrzaśniętych okiennic. Jason szedł krok przed Rachel, trzymając jedną rękę pod płaszczem, na sztylcie. Wirujące okna tawerny „Karuzela” rozbłyskiwały na stoku nad miasteczkiem.

Jason pomyślał, że wie, którą drogę miał na myśli Ned. Szlak, którym nadeszli z Rachel, wychodził z wioski, skręcając na północny wschód.

Kiedy mijali ciche domy, Jason słyszał chłopot wody w przystani i odległy huk fal. Jakaś koza zabeczała w zagrodzie obok zacienionego domu z wielką kotwicą na wpół zakopaną na podwórzu. Jason aż podskoczył, wyciągając nóż.

Kiedy dotarli do głównej drogi, Jason ruszył zdecydowanie, stawiając długie, szybkie kroki. Rachel trzymała się go w milczeniu.

Przez dłuższą chwilę wspinali się stromą pochyłością. Noc była tak ciemna, że kierowali się wyczuciem i wiarą, że na drodze nie będzie żadnych przeszkód. Takich jak, na przykład, martwy haratacz. Albo żywy.

Kiedy świt zaczął szarzeć na niebie, zrobili sobie przerwę, pochłonęli z wilczym apetytem część świeżo zakupionego chleba, kiełbasy i sera. Jason zerknął na pobudzające jagody od depozytariusza wiedzy. Nie wyglądało na to, żeby się psuły, więc postanowił zostawić je na później.

Kiedy światło rozjaśniło pochmurne niebo, Jason i Rachel postanowili iść cały dzień, zanim się położą. Około południa znowu się posilili. Kiedy jedli, zobaczyli wóz jadący drogą. Ukryli się między drzewami i zostali tam, dopóki wóz nie minął ich z turkotem.

Dwie godziny po lunchu szli przez małą wioseczkę składającą się z wysokich domów o stromych dachach, zbudowanych z kamienia i zaprawy. Stały stłoczone blisko siebie. Kilka budynków okazało się sklepami; większość to były domy mieszkalne. Wszystkie wyglądały na stare. Ludzie patrzyli na nich, gdy ich mijali, świdrując Jasona wzrokiem pełnym podejrzliwości.

Jason zauważył grupkę dzieci bawiących się ze śmiechem w grę, która polegała na rzucaniu kółek na kołki wbite w ziemię. Kilkoro dzieciaków się ganiało. Jakaś dziewczynka kręciła się w kółko, aż dostała zawrotów głowy i upadła.

Jason zmarszczył brwi. Ten świat nie był dobrym miejscem dla dzieci. Jaką przyszłość miały przed sobą te maluchy?

- Może powinniśmy byli obejść tę wioskę? - mruknęła Rachel. - Iść raczej przez las.

- Teraz już na to za późno - odparł Jason.

Nim słońce zaczęło zachodzić, oboje wlekli się już mozolnie. Odeszli spory kawał od drogi i przełknęli kilka kęsów jedzenia. Jason rzucił się na koc rozciągnięty między rozłożystymi korzeniami wielkiego drzewa o gładkiej, brązowej korze i pokrytych mechem zielonych liściach o kształcie przypominającym puzzle.

- Ja wezmę pierwszą rundę. - Rachel ziewnęła.
- Ja też mogę - zaproponował Jason, już na wpół śpiąc.
- Nie ma sprawy. Odpocznij. Niedługo cię obudzę.

Rozdział 11

Ferrin

Następnego ranka Jason obudził się, czując łaskotanie na twarzy. Potarł policzek i usiadł gwałtownie. Jaskrawoczerwona stonoga dłuższa od jego środkowego palca leżała do góry nogami na ziemi obok niego. Wreszcie udało jej się przekręcić i zaraz zniknęła pod korzeniem.

Jason zadygotał. Jak długo to stworzenie po nim łąziło? Oto jeden z małych minusów spania pod gołym niebem.

Siadając, zerknął na Rachel, która spała jak suseł owinięta w płaszcz i koc. Obudziła go na wartę? Wątpił. Mogła zasnąć w czasie warty? Wyglądała ładnie i delikatnie, kiedy tak spokojnie leżała. Poczuł nagle, że chce ją chronić.

Wygłodniały zaczął szukać jedzenia. Chociaż starał się być cicho, hałas obudził Rachel, która usiadła, łapiąc gwałtownie powietrze i mrugając. Rozglądała się chwilę, a potem odezwała się do Jasona:

- Strasznie przepraszam! Nie pamiętam, kiedy zasnęłam!

- Przeżyliśmy.

Rachel ścisnęła w dłoniach koc i zazgrzytała zębami.

- Zdejmuj skarpety - oznajmiła dzielnie.

- To może być trudne. Solidnie już zeszywniały.

- Ha, ha.

- Mówię poważnie, mogę potrzebować twojej pomocy. Parę bąbli popękało mi wczoraj. Mam wrażenie, że skarpety przylepiły mi się do nich.

- I bez tego jest mi głupio. Nie musisz mi jeszcze dowalać.

Jason musiał przyznać, że wyglądała żałośnie.

- Coś ci powiem. Byliśmy wykończeni. Dostałem ostrzeżenie, kiedy pierwszy raz

przysnąłem na warcie. Ty też na to zasługujesz.

Rachel się skrzywiła.

- Nie zasługuję na taryfę ulgową. Przeze mnie mogliśmy zginąć.

- Jak następnym razem zawalisz, to powąchasz i posmakujesz moich skarpetek. To samo dotyczy mnie. Od tej chwili nie ma litości. Zjedz coś. Powinniśmy wracać na drogę.

W miarę jak szli, las przeszedł w łąki nadal przerywane zagajnikami, ale składające się głównie z szerokich połaci krzewów i traw. Oceniając według położenia wspinającego się słońca, Jason stwierdził, że droga, ogólnie rzecz biorąc, skręca na północ.

Późnym przedpołudniem Jason i Rachel doszli do skrzyżowania dróg. To nie była ścieżka odchodząca od głównej arterii, ale skrzyżowanie dwóch głównych traktów. Wysoki słupek z poprzeczną belką przymocowaną blisko jego czubka oznaczał skrzyżowanie. Z belki zwisała torba, znajdując się poza ich zasięgiem.

Jason przystanął z rękami na biodrach. Drogi przecinały się pod kątem prostym i obie wyglądały na zadbane.

- Którędy?

- Idąc na zachód, doszlibyśmy z powrotem do okolic Ślepego Króla - powiedziała Rachel. - A przyszliśmy z południa. Zatem na północ albo na wschód.

- Ned nazwał tę drogę Lądową Pętlą. To może znaczyć, że jeśli pójdziemy dalej na północ, to zatoczmy koło i wrócimy do miejsca, z którego na nią weszliśmy.

- Halo?! - usłyszeli słaby męski głosik, który zaskoczył ich oboje.

Jason się obrócił. Nikogo nie było widać, a nigdzie w pobliżu nie było miejsca, w którym można by się schować.

- Kto to powiedział? - zapytał ostro.

- Chwała opaczności! - Głos nabrał siły. - Pomóżcie mi. Jestem tu na górze.

Rachel i Jason spojrzeli po sobie zdezorientowani.

- Możliwe, że głos dobiega z torby? - spytała Rachel.

- Tak to brzmiało. - Jason spojrział na torbę zwieszającą się z belki. Wyglądała na tak małą, że ledwie zmieściłaby się tam kula do kręgli. - Kim jesteś?!

- Nazywam się Ferrin. - Głos był stłumiony przez torbę. - Jestem rozsadnikiem.

Grupa zbirów okradła mnie i zostawiła na pewną śmierć. Proszę, zdejmijcie mnie.

- Jak się zmieściłeś w torbie? - zdumiała się Rachel.

- Jak już wspomniałem, jestem rozsadnikiem. Rozumiem, że możecie nie przepadać jakoś szczególnie za moim rodzajem, ale proszę, nie zostawiajcie mnie tutaj, żebym zgnił.

- Przybyliśmy z bardzo daleka - powiedział Jason. - Nie wiemy, kim są rozsadnicy.

- To niegrzeczne tak sobie żartować z bezradnej osoby.

- Mówimy poważnie - zapewniła go Rachel.

- Odrąbali mi głowę i zakopali ciało. Takie rzeczy nie zabijają rozsadników.

Połączenia między wymiarami nadal spajają w całość części mojego ciała.

Jason z niedowierzaniem spojrzał na worek.

- Czyli tam jest tylko twoja głowa?

- Tak i będę zupełnie zdrow, gdy tylko połączycie mnie z resztą ciała.

- A gdzie ono jest? - spytała Rachel. - Trudno powiedzieć. Czuję, że je zakopano.

Orientuję się, że nie zabrali mnie bardzo daleko. Rozejrzyjcie się.

Jason i Rachel przeszukali okolicę. Po skosie między drogą biegnącą na północ i drogą na wschód Rachel zauważyła prostokątny kawałek przekopanej niedawno ziemi.

- Myślę, że widzę, gdzie cię zakopano.

- Dobrze. Wykopcie mnie, a ja pomogę wam zdjąć moją głowę.

- Nadal panujesz nad swoim ciałem?! - wykrzyknęła Rachel.

- Moje ciało nie czuje się odłączone - wyjaśnił cierpliwe Ferrin. - Krew z mojego serca w ciele pod ziemią nadal dopływa do mojej głowy tutaj. Powietrze, które łapię w tym worku, nadal napełnia mi płuca. Wszystkie moje nerwy nadal kontaktują się z mózgiem. To dzięki temu jestem rozsadnikiem.

- I możesz z powrotem przymocować sobie głowę? - zapytał Jason.

- Nic łatwiejszego. Jaka jest korzyść z rozkładania się na części, jeśli nie możesz potem poskładać się w całość? Musicie jednak najpierw mnie wykopać.

- Powinniśmy to zrobić? - zapytał szeptem Jason.

- Nie możemy pozwolić mu umrzeć - odpowiedziała cicho Rachel.

- A co, jeśli on kłamie? Jeżeli jest przestępcą?

- Wtedy najpewniej jest po naszej stronie.

Jason i Rachel zdjęli płaszcze. Kucając obok świeżo wzruszonej ziemi, Jason zaczął odgarniać ją rękami. Drobinki piasku włożyły mu pod paznokcie. Rachel pracowała obok niego. Dziurę niedawno zasypano, więc łatwo było kopać w ziemi. Niedługo dosięgli do ciała, które leżało na wznak jakieś trzy stopy pod powierzchnią. Odsunęli ziemię z górnej połowy ciała, zgarniając ją na boki. Wkrótce ciało usiadło i zaczęło im pomagać.

Jason i Rachel odsunęli się od dziury, kiedy bezgłowe ciało wylazło z niej niczym jakaś potworność z horroru. Usłyszeć o bezgłowym ciele od głosu z worka to jedno, ale patrzeć, jak ono wstaje z płytkiego grobu, to zupełnie co innego.

- Nic nie widzę przez ten worek - poskarżył się Ferrin. - Możecie podprowadzić tu moje ciało?

Rachel pokręciła głową i wskazała Jasonowi, żeby sam się tym zajął. Chłopiec podszedł do ciała, które stało nieruchomo obok dziury, z wyciągniętą ręką. Miało na sobie szarą koszulę, płócienne spodnie i buty o podeszwie ze sznurka, a wszystko oblepione ziemią. Jason spojrzał na bezgłową szyję i ujrzał idealny przekrój przez mięśnie, skórę, tłuszcz, naczynia krwionośne, kość, rdzeń kręgowy i przętyk - zobaczył wszystko. Co dziwne, ani odrobina ziemi nie przywarła do odkrytej tkanki. Przymierzając się do ciała, Jason odkrył, że szyja wypadła na wysokości jego piersi.

Wziął ciało za rękę i poprowadził do szubienicy z workiem.

- Miło mi poznać - rozległ się stłumiony głos, podczas gdy ciało uścisnęło mu z wdzięcznością dłoń. - Widzisz, jak mnie tutaj przymocowano?

Rachel podeszła ostrożnie, zachowując dystans i z wyrazem chorobliwej fascynacji na twarzy.

- Sznurek, którym związano worek, przewieszono przez hak - powiedział Jason.

- Dosięgniesz do niego? - spytał Ferrin.

- W żadnym razie.

- A dałbyś radę, gdybym wziął cię na barana?

- Chyba tak, ale nie chcę gramolić się po twoich wnętrznościach. A co, gdybym

uszkodził ci rdzeń kręgowy albo coś takiego?

- Nie martw się. Pole rozsadnikowe, dzięki któremu części mojego ciała pozostają połączone, chroni odsłonięte części anatomii.

Ciało przykucnęło.

- Nie wiem, czy dam radę balansować na tobie, kiedy nie masz głowy. Poza tym jestem od ciebie wyższy. Może ty wejdź mi na ramiona? Powinieneś wtedy bez problemu dać radę zdjąć worek z haka.

- Dobrze.

Jason przykucnął, a ciało po omacku usiadło mu na ramionach. Rachel podeszła i pomogła Jasonowi wstać. Podeszedł do torby.

- Mam - oznajmił Ferrin.

Jason znowu przykucnął i ciało z niego zeszło. Otworzyło worek, wyjęło głowę za włosy i przytrzymało ją tak, żeby widziała Jasona i Rachel.

- Po stokroć dziękuję - powiedziała głowa. - Uratowaliście mi życie.

- Do usług - odparł Jason.

Rachel powoli pokręciła głową.

- Nie chcę być niegrzeczna, ale to najbardziej zwariowana rzecz, jaką w życiu widziałam.

Jason nie mógł się z nią nie zgodzić - chociaż, co dziwniejsze, zwariowane rzeczy zaczynały mu się teraz wydawać całkiem naturalne.

Ciało ułożyło głowę na kikucie szyi. Obie części natychmiast połączyły się i nie został żaden ślad sugerujący, że kiedykolwiek były od siebie oddzielone. Ferrin miał podbite oko, zadrapania na czole i lewym policzku.

- Lepiej? - spytał Ferrin. - Mniej dziwnie - odparła z wdzięcznością Rachel. Jason się uśmiechnął. - Jestem Jason, a to moja siostra, Rachel. Wygląda na to, że nieźle oberwałeś. Ferrin posłał im krzywy uśmiech. - Taka cena za fakt, że wywodzisz się od czarnoksiężnika. - Twój ojciec był czarnoksiężnikiem? - spytała Rachel. - Naprawdę jesteście tak naiwni, jak się zachowujecie? - zdziwił się Ferrin. - Jak to możliwe?

- Przybyliśmy z daleka - przypomniał mu Jason.

- Z tak daleka, że nie słyszeliście o rozsadnikach ani o czarnoksiężskich rasach?

Nieważne, nie chcę być wścibski. Wy dwoje właśnie uratowaliście mi życie. Rachel, kiedy mówię, że wywodzę się od czarnoksiężnika, nie mówię dosłownie. Moja rasa nie powstała w sposób naturalny. Rozsadnicy zostali stworzeni przez czarnoksiężników.

- Rozumiem.

- Żadna czarnoksiężska rasa nie jest specjalnie kochana przez normalnych ludzi - tłumaczył Ferrin. - Ale rozsadnikami pogardza się w sposób szczególny. Po części dlatego, że trudniej nas odróżnić od zwykłych ludzi, a po części dlatego, że nasza rasa wymiera, więc stanowimy łatwy cel.

- Jakież łotry zorientowały się, że jesteś rozsadnikiem? - spytała Rachel.

- Byli bezlitośni. Kiedy moja głowa znalazła się w worku, skopali mnie okrutnie. Prawdziwi książęta, mówię wam. Chyba powinienem się cieszyć, że chcieli, bym umarł długą, okrutną śmiercią, bo dzięki temu przeżyłem, uratowany przez waszą dobroć.

- Znałeś ich? - zapytał Jason.

- Właściwie nie. Widziałem ich w jednej gospodzie na zachód stąd. Musieli mnie śledzić, kiedy opuściłem miasto.

- Skąd szedłeś? - podpytywał go Jason.

- Z zachodu. Powinienem był się tego spodziewać. Zbyt wiele tego motłochu z wiosek żeruje na przybyszach..

- Zauważyliśmy - wtrąciła Rachel.

- Dużo podróżujesz? - spytał Jason.

- Nieustannie. Rozsadnicy są wędrowcami. Nie jesteśmy jak drinlingowie albo Amar Kabał mający ziemię, którą mogą nazwać swoją ojczyzną. Jesteśmy niechciani, więc staramy się ukrywać naszą tożsamość i jakoś przeżyć.

- Znasz drogę do Trensicourt? - zaciekał się Jason. - Idźcie tą drogą na wschód, a potem skręćcie na północ, kiedy drogi się rozejdą. Tak się składa, że sam zmierzam na wschód.

O ile nie macie nic przeciwko towarzystwu rozsadnika, moglibyśmy podróżować razem. To niebezpieczne czasy.

- Ucieszylibyśmy się z towarzystwa - powiedział Jason, zerkając na towarzyszkę.

- Sami mieliśmy trochę nieprzyjemności - dodała Rachel.

- W gromadzie może być bezpieczniej - powiedział Ferrin. - Jednak uczciwie ostrzegam: podróżowanie z rozsadnikiem może czasem przysporzyć kłopotów. Jeżeli inni zorientują się, kim naprawdę jestem, potraktują was z podobną nieprzychylnością.

- Mówiąc szczerze - powiedział Jason - podróżowanie z nami też może być ryzykowne. - Rachel rzuciła mu zaniepokojone spojrzenie, jakby martwiła się, że może za dużo zdradzić. - Słudzy cesarza mogą na nas polować.

Ferrin poklepał Jasona w ramię.

- Nie dziwię się. Młode rodzeństwo nie podróżowałoby tak daleko bez powodu. Maldor dręczy wszystkich. Nie przepada za podróżnymi i gośćmi z dalekich ziem. I jestem przekonany, że mnie także niespecjalnie kocha. Z radością zaryzykuję podróż z wami, jeśli odważycie się zgodzić na moje towarzystwo.

- Miło byłoby mieć przewodnika - przyznała Rachel.

- Racja - przytaknął Jason.

- Więc postanowione! - Ferrin strząsnął nieco ziemi z rękawów i piersi. - Jeżeli nie mógłbym zaufać dwójce, która mnie uratowała, to komu innemu?

Ruszyli drogą wiodącą na wschód.

- Z czego żyjesz? - zapytał Jason.

- Zajmuję się tym, co się trafi, ale nigdy niczym dłużej. Byłem żeglarzem, treserem koni, kamerdynerem, kupcem, aktorem, parobkiem, najemnikiem, co zechcesz.

- Wygląda to na ciekawe życie - zauważyła Rachel.

- Aż za ciekawe - odpowiedział Ferrin, krzywiąc się. - A wy dwoje? Czym się zajmujecie.

- Jesteśmy uczniami - odparła Rachel.

- Przerwaliśmy naukę, żeby ruszyć w podróż - dodał Jason.

- Ach. - Ferrin skinął głową z aprobatą. - Edukacja w podróży. Czytać o Trensicourt to nie to samo, co przejść się jego ulicami.

- O to właśnie chodzi - powiedział Jason. - Wiesz, dlaczego tak się odradza teraz podróżowania?

- Mogę się domyślać. Maldor okupuje te ziemie, sprawując rządy głównie poprzez urzędników wybranych z miejscowych ludzi. Żeby zniechęcić lud do zjednoczonego buntu, dławi relacje między społecznościami. Woli, żeby ci, którymi rządzi, pozostali podzieleni i niczego nieświadomi, zwłaszcza zewnętrznych terytoriów znajdujących się daleko od centrum władzy.

Szli w milczeniu przez kilka minut.

- Macie prowiant? - zapytał Ferrin.

- Wystarczy na kilka dni - odparła Rachel.

- Bandydzi, którzy na mnie napadli, zabrali mi wszystko. Ale nie będę ciężarem. Przegapili pieniądze, które schowałem w butach. Dzień drogi stąd znajduje się miasteczko. Poradzimy sobie.

- Nie poszczyło się nam w ostatnim mieście - powiedział Jason.

- Mnie również. - Ferrin się zaśmiał. - Powinniśmy jednak poradzić sobie, jeśli nie zaczniemy się wychylać i będziemy trzymać się razem. Im bliżej znajdziemy się Trensicourt, tym mniej podejrzeń będą wzbudzać podróżni.

Ferrin cały czas przyglądał się poboczu drogi, od czasu do czasu odchodząc kawałek ku łące albo kępie drzew, żeby podnieść kijek. Wyrzucił kilka, zanim znalazł taki, jaki mu odpowiadał.

- Ten może się nada - powiedział, oglądając kij pod różnymi kątami. - Najbardziej żałuję utraty laski. Była idealna. Kazałem ozdobić ją srebrem. Gdyby nie to srebro, pewnie by ją zostawili. - Przez kilka kroków opierał się na solidnym, prostym kiju jak na kosturze. - Tak, nada się.

Po krótkim czasie wybrał też kostur dla Rachel.

- Spróbuj. Pozwala oszczędzić mnóstwo sił. Pozwól, żeby ręce też wykonały część pracy.

- Dziękuję.

Wkrótce potem znalazł kostur dla Jasona. Kiedy dzień się ocieplił, Jason zwinął płaszcz. Ferrin zaczął pogwizdywać melodie, jakich Jason nigdy w życiu nie słyszał. Rozsadnik miał najwyraźniej niezły słuch i szeroką skalę. Rachel zagwizdała „Twinkle, Twinkle, Little Star”. Ferrinowi spodobała się melodia, szybko jej się nauczył i wkrótce zaczął ją upiększać. Potem popracowali nad harmonią,

pogwizdując razem z Rachel. Kilka pierwszych prób było niezbyt udanych, ale wreszcie Ferrin znalazł dla nich właściwe współbrzmienie.

Jason dostrzegł kilka jaszczurek dłuższych od jego stopy. Uciekały, kiedy tylko się do nich zbliżył. Ferrin ostrzegł go, żeby trzymał się z daleka od połyskującego niebieskawo i metalicznie żuka, który wlekł się leniwie wszerz drogi.

- Zdziwiłbyś się, jak potwornie śmierdzą, kiedy się zdenerwują. Jeśli nadepniesz na takiego, musisz potem spalić but. Jest aż tak źle.

Na nocleg wybrali sobie miejsce wśród kępki drzew niedaleko drogi i zasnęli pod gwiazdami.

* * *

W południe następnego dnia mijali farmy. Za droomę podwiózł ich mężczyzna jadący do miasta wozem. Kiedy podskakiwali na wybojach, Jason przyglądał się okolicy. Falujące oceany pszenicy i jęczmienia zamieniały wiejskie domy w wyspy. Mijali małe, pachnące, ogrodzone sady, gdzie pszczoły bzyczały między dojrzewającymi owocami. Potem pojawiły się trzy duże wiatraki, których wielkie białe skrzydła obracały się powoli na słabym wietrze.

Farmy stawały się coraz mniejsze. Niedługo ujrzeni miasteczko. Było o wiele większe od nadmorskiej osady. Tutejsze budynki były mocnymi konstrukcjami z drewna, w większości niepomalowanymi, a kilka z nich miało dwa piętra. Główna ulica miasta była wystarczająco szeroka, żeby jechało nią kilka wozów obok siebie, i przecinała ją kilka szerokich przecznic.

- Wsiądziemy tutaj - powiedział Ferrin.

Farmer zatrzymał konie.

- Dziękujemy za podwiezienie - powiedział Jason, zeskakując na drogę.

Farmer tylko skinął głową i strzelił lejcami. Wóz ruszył z szarpnięciem.

- Znam dobre miejsce, gdzie można zjeść - powiedział Ferrin.

Jason i Rachel weszli za nim do jednego z największych budynków przy głównej ulicy. W środku siedziało o połowę mniej klientów niż stało stolików, a pod przeciwległą ścianą ciągnął się długi, marmurowy blat, całkiem pusty.

- Robi się tu ruch wieczorem - powiedział Ferrin, podchodząc do baru i siadając na stołku.

Ociężała kobieta o kędzierzawych kasztanowych włosach podeszła, wycierając blat poplamioną szmatą.

- Czym mogę służyć?

Ferrin się pochylił.

- Chcemy zjeść lunch, solidne porcje, najlepiej coś z ptactwa.

Skinęła głową. - Co do picia? - Dla mnie jabłecznik. Spojrzała na Jasona. - Woda. - Ma pani mleko? - zapytała Rachel. Kąciki ust oberżystki drgnęły w uśmiechu. - Pewnie. Kobieta odeszła, a potem wróciła z napojami. Ferrin, Rachel i Jason sączyli napoje i rozmawiali cicho, czekając. Kobieta przyniosła wreszcie talerze z pieczoną kaczka, mocno doprawioną i marynowaną w oleistym sosie z warzywami i ciepłym chlebem.

- Dobry ptaszek - skomentował Ferrin między kęsami.

Jason pokiwał głową, mocząc kawałek chleba w sosie.

- Strasznie - kościsty - zauważyła Rachel, ostrożnie grzebiąc w mięsie.

- Jak mleko? - zapytał Jason.

- Dobrze. Kremowe. Trochę ciepłe.

Ferrin skończył jeść pierwszy.

- Przepraszam, ale muszę poszukać wychodka.

Jason zjadł ostatnie kawałki mięsa i dopił wodę. Westchnął po opróżnieniu szklanki.

- Miło jest podróżować z Ferrinem - powiedział do Rachel.

- To najsympatyczniejsza osoba, jaką spotkaliśmy od czasów Ślepego Króla.

Jason pokiwał głową. Mimo umiejętności odłączania części ciała Ferrin sprawiał wrażenie kogoś, z kim w innych okolicznościach Jason mógłby się zaprzyjaźnić.

Jakiś mężczyzna zaszedł Jasona od tyłu. Chłopak poczuł na boku ostry czubek noża. Drugi mężczyzna zaszedł go z przeciwnej strony.

- Nie ruszaj się i nie odzywaj ani słowem - powiedział człowiek z nożem.

Jason aż podskoczył. To był niski, jednoręki ratownik znad rzeki. Tyle że teraz miał obie ręce. Jak to możliwe? Może to jego brat bliźniak? Jason zauważył, że mężczyzna ma jedno oko piwne, a drugie niebieskie - szczególnie, który przeoczył przy pierwszym spotkaniu.

Mężczyzną stojącym z drugiej strony okazał się chudzielec, który nad rzeką trzymał łuk. Teraz miał nowy, pięknie prezentujący się łuk.

- Pamiętaj nas - powiedział chudzielec, jakby to było uroczyste.

- Jakiś problem? - zapytała go Rachel.

Nie zauważyła noża.

- Zmiataj stąd - rzucił jej groźnie chudzielec. Rachel cofnęła się kilka kroków, jedną ręką sięgając pod płaszcz. Jason miał nadzieję, że nie wyjmie orantium. Granaty ręczne nie zostały stworzone z myślą o zamkniętych pomieszczeniach.

- Brzydko pograłeś z niewłaściwym człowiekiem - powiedział do Jasona niski człowiek, rozkoszując się chwilą. - Nie chcemy robić sceny. Przejdź się z nami.

Cały czas zasłaniał płaszczem nóż.

- A dlaczego miałbym to zrobić? - spytał Jason, nie chcąc zostać z tą dwójką sam na sam.

- Bo w przeciwnym wypadku wypatroszę cię tu i teraz. A potem twoją przyjaciółkę. Nie musisz umierać dzisiaj. Wybór należy do ciebie.

Jason był prawie pewien, że rozpoznał ten głos.

- To wy dwaj włamaliście się do mojego pokoju w wiosce z tawerną „Karuzela”?

Niższy wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- Wiedziałeś o tym, co? Nie wiem, jak się nam wymknąłeś. Dobra robota. Może się przejdziemy?

- To twoi przyjaciele? - zapytał uprzejmie Ferrin, stając za ich trójką.

Czubek noża wymownie szturchnął Jasona w bok.

- Pewnie - odpowiedział, nie odwracając się. - Mówiliście, że jak się nazywacie?

- Tad - odpowiedział niższy.

- Kale - dodał szczupły.

- A masz coś przeciwko, jeśli okaleczę twoich przyjaciół? - zapytał spokojnie Ferrin.

Jason poczuł, jak nóż przy jego boku zadygotał.

- Skądże znowu - odparł Jason.

Siedział plecami do Ferrina, więc ledwie kątem oka dostrzegł unoszący się łukiem kostur, zanim zdzielił Tada w potylicę, sprawiając, że konus wyłożył się jak

długi. Kale upuścił łuk i odgarnął szatę, żeby złapać za rękojeść miecza. Siedząc na stołku, Jason kopnął Kale'a w biodro, kiedy tamten wyciągał broń. Mężczyzna poleciał w bok i, niestety, kostur zamiast trafić go w czaszkę ześlizgnął się jedynie z jego ramienia.

Zbyt entuzjastyczny zamach kosturem sprawił, że przez chwilę Ferrin nie mógł się zasłaniać. Kale ciął zaciekle, odcinając Ferrinowi rękę powyżej łokcia. Trzymając kij w drugiej ręce, rozsadnik odbił pchnięcie wymierzone w jego pierś. Rachel pchnęła Kale'a od tyłu, więc zatoczył się do przodu, a Ferrin uderzył go w gardło.

Kale padł na podłogę, łapiąc się za zmiażdżoną krtań. Nogi mu dygotały.

- Co tu się dzieje? - zadudnił basowy głos. Otyły mężczyzna w haftowanym bandolierze wszedł do pomieszczenia w otoczeniu dwóch mężczyzn z mniej ozdobnymi bandolierami. Każdy trzymał kuszę. Ferrin podniósł odciętą rękę i przyprowadził ją sobie z powrotem.

Tad wstał, wytrzeszczając oczy, ręką przyciskając krwawiącą ranę koło czubka głowy.

- Ten rozsadnik - wymówił to słowo z naciskiem - zaatakował mnie i mojego przyjaciela! Myśmy tylko chcieli spokojnie się napić.

Kale nadal rzucał się na podłodze, z jedną ręką na gardle, a drugą próbując złapać się czegoś. Oczy uciekły mu w głąb czaszki.

- Nieprawda - wypalił Jason. - Ci mężczyźni próbowali mnie porwać, grożąc mi nożem. Przyjaciel stanął w mojej obronie.

- Kłamstwo! - wrzasnął Tad z zaskakującą szczerością w głosie.

- Zlepek pierwszy zaatakował - odezwał się łysy mężczyzna z drugiego końca sali. - Widziałem to jak na dłoni, panie konstablu. Uderzył małego w głowę, a potem zdzielił jego przyjaciela w gardło, kiedy tamten rzucił się na pomoc.

- A dziewczyna? - zapytał konstabl.

- Wtrąciła się do walki - poinformował go łysy. - Pomogła zlepkowi załatwić gościa, który leży na podłodze.

Konstabl pokręcił głową.

- Tak jak chmury burzowe przynoszą deszcz, tak łążęgi kłopoty. Wasza czwórka będzie musiała spędzić trochę czasu za kratkami, dopóki tego wszystkiego nie

wyjaśnimy.

- Czwórka! - wrzasnął Tad. - Ja jestem ofiarą! Mój najlepszy przyjaciel umiera! Walka Kale'a osłabła już do pojedynczych podrygów i spazmów.

- To dlaczego nie próbujesz mu pomóc? - zapytał konstabl. - Za głośno protestujesz, przyjacielu. Harlin, czy ten mały gość groził młodzieńcowi nożem?

- Mógł mieć wyjęty nóż, kiedy zlepek zaatakował - przyznał łysy mężczyzna bez specjalnego przekonania. - Ten sam, który pan zauważył na podłodze obok jego stóp.

- Spalcie zlepek i uznamy, że jest po sprawie! - wrzasnęła zjadliwie jakaś kobieta. Rozległy się zgodne pomruki.

Konstabl uniósł rękę.

- Ja wymierzam cesarską sprawiedliwość. Zgodnie z naszym prawem, nawet zlepek zasługuje na proces. Cierpliwości. Przykładnie ukarzymy awanturników, wszystko w swoim czasie. Silas, jak się miewa mężczyzna na podłodze?

Siwy mężczyzna przykucnął obok Kale'a.

- Stracił przytomność. Nadal żyje. Na razie. Tad, Jason, Rachel i Ferrin zostali odprowadzeni do niskiego, kamiennego budynku, jednego z nielicznych w mieście, którego nie zbudowano z drewna. Trzy cele z kamiennymi ściankami działowymi znajdowały się pod tylną ścianą rozległego pomieszczenia. Grube pręty celi tkwiły blisko siebie. Brodaty mężczyzna siedział w jednej z celi, gapiąc się w kąt ze skrzyżowanymi rękami.

Jasonowi zabrano płaszcz, a po krótkim przeszukaniu z kieszeni wyjęto mu sztylet. Ferrina, Tada i Rachel także przeszukano. Jason wstrzymał oddech, kiedy mężczyzna sprawdzał płaszcz Rachel, ale najwyraźniej nie zauważył kryształowej kuli. Tad zostawił swój nóż w tawernie.

Jeden z mężczyzn w bandolecie zdjął klucz z kołka w ścianie. Ferrin i Jason weszli do środkowej celi. Tada umieszczono po ich prawej stronie, razem z brodaczem. Rachel poszła do celi po lewej.

Kiedy więźniowie znaleźli się już w celach, konstabl wyszedł z trzema mężczyznami. Strażnik, który został, rozsiadł się na krześle, opiówując kawałek drewna o kremowej barwie.

Ferrin usiadł obok Jasona w kącie, w głębi celi.

- Słyszałem o tym konstablu - powiedział cicho. - Jest surowy. Jeśli Kale umrze, a niestety, umrze, nasza trójka zostanie skazana na śmierć.

- Wspomniał coś o procesie.

- W tym mieście konstabl Wornser ma ostatnie słowo w kwestii wyroków. Będzie sędzią i ławą przysięgłych. Przez wzgląd na prawo zostaniemy pobieżnie przesłuchani, a potem straceni.

- Możemy coś zrobić?

Ferrin się uśmiechnął.

- Najwyraźniej nie doceniają umiejętności rozsadnika, bo w przeciwnym wypadku nie umieściliby mnie w takiej celi.

Jason uniósł brwi.

- Możesz się rozdzielić na pół i prześlizgnąć między prętami?

- Może, ale tego bym nie zaryzykował. Podział wzdłuż jest niezwykle niebezpieczny. Przy zbyt dużym naporze na pole rozsadnikowe, mogę na stałe rozpaść się na części. A kiedy stracę połączenie międzywymiarowe, moje ciało zacznie funkcjonować jak twoje. To znaczy, moje wnętrzości rozleją się po całej podłodze.

- Apetyczna wizja. Jeśli więc nie możesz przejść między prętami, co zrobisz?

- Poczekaj do wieczora, kiedy wszystko się uspokoi. Wtedy zobaczysz.

Rozdział 12

Ucieczka z więzienia

Kiedy Jason się obudził, pojedyncza lampka oliwna oświetlała pokój, rzucając równoległe cienie prętów więziennych w głąb celi. Ferrin klęczał obok niego, potrząsając jego ramieniem.

- Masz niesamowitą umiejętność spania nawet przy najgorszym zamieszaniu - szepnął Ferrin.

Jason był zdezorientowany. Ponieważ zasnął skulony w kącie, teraz bolał go kark. Zerknął na rozsadnika.

- Co się dzieje?

- Niedługo po tym, jak poszedłeś spać, wrócił konstabl i powiedział, że Kale zmarł. Przez cały wieczór zjawiali się tu różni ludzie i wychodzili. Jutro nas przesłuchają. Na szczęście, już nas tu nie będzie.

- Jakim cudem?

- Zobaczysz. Znałeś tych ludzi, którzy cię zaatakowali. Opowiedz mi o nich.

Jason westchnął.

- Próbowałem uratować grupę muzyków, którzy umyślnie spływali do wodospadu. Chciałem dobrze, ale wyszło z tego straszne zamieszanie. Wrzuciłem tego niższego, Tada, do wody. Wtedy miał tylko jedno ramię. Kale go wyłowił. Wiedziałem, że się wściekli, ale dziwi mnie, że tak się przejęli, żeby mnie wytropić aż tutaj.

- Mówisz, że Tad miał tylko jedną rękę?

- Tak. Chyba że to jego brat. Czeka, może on też jest rozsadnikiem!

Ferrin zmarszczył czoło.

- Raczej nie. Bardziej prawdopodobne, że zostali zwerbowani. Maldor ma moc

przywracania kończyn. Werbownik musiał posłużyć się obietnicą nowej ręki w zamian za jego usługi.

Jason przypomniał sobie, jak Ślepy Król opowiadał, że Maldor zaproponował mu odzyskanie wzroku.

- Jeden werbownik nasłał na mnie dzikarza.

Ferrin skinął głową.

- Są mistrzami w stosowaniu przymusu. Jeżeli werbownicy nasyłają na ciebie zabójców, to cesarz musi być zainteresowany tobą o wiele bardziej, niż przypuszczałem. Ale zajmijmy się bardziej bieżącymi sprawami. Został tylko jeden strażnik w budynku.

Jason chciał usiąść, ale Ferrin pchnął go z powrotem. - Nie masz co sprawdzać. Zasnął w krześle plecami do naszej celi. Podejrzewam, że drugi strażnik czeka na zewnątrz przy drzwiach wejściowych.

- A jak w ogóle wydostaniemy się z celi?

- O ile to będzie możliwe, wolałbym nie skrzywdzić trwale strażników. Działali przeciwko nam, ale nie przez złośliwość. Nie możemy jednak pozwolić, żeby niesprawiedliwie nas stracono. Według mojego pierwszego planu, obaj udajemy, że śpimy. Ty zaczynasz jęczeć coraz głośniejsze i głośniejsze, jakby dręczył cię nieprzerwany koszmar. Ja będę leżeć obok prętów. Kiedy usłyszysz, że robię swoje, pomożesz mi.

Zdjął koszulę, ukazując rzadkie owłosienie na piersi i względnie rozwiniętą muskulaturę, oderwał lewą rękę w ramieniu i położył ją na ziemi. Potem włożył koszulę, wyciągnął się na podłodze plecami do prętów, ukrywając fakt, że trzyma w prawej dłoni lewą rękę. Mrugnął do Jasona, który leżał i gapił się na odłączoną kończynę.

Jason zamknął oczy. Obrócił się i wydał z siebie kilka coraz głośniejszych jęków kończących się krzykiem. Spod zmrużonych powiek widział, że strażnik poruszył się na krześle. Zamknął oczy i wydał z siebie długi, bolesny jęk, rzucając głowę na boki.

- Dość tego - warknął strażnik.

Jason zaczął dyszeć, a potem znowu wydał z siebie serię jęków i stęknęć. Usłyszał kroki. Zaryzykował i zerknął spod zmrużonych powiek. Strażnik zatrzymał

się spory kawał od celi.

- Ej, ty, obudź się i zamknij!

Jason odwrócił się tyłem do prętów, a potem wrócił do poprzedniej pozycji. Jęknął głośniej i warknął.

- Przymknij się! - krzyknął ktoś z sąsiedniej celi.

Strażnik podszedł bliżej.

- Obudź się! - rozkazał.

Przez zmrużone powieki Jason widział, jak Ferrin zrywa się i szybkim ruchem opiera się o pręty, trzymając oderwaną rękę tak, by móc nią dalej sięgnąć. Dłoń oderwanej ręki złapała strażnika za gardło i Ferrin brutalnie przyciągnął go do prętów.

Jason skoczył ku niemu, trzymając się nisko i złapał strażnika za kostki. Ferrin wypuścił rękę, która nadal ścisnęła mężczyznę za gardło. Wolną ręką złapał strażnika za potylicę i uderzał jego głową o pręty. Jason trzymał strażnika mocno za kostki, dopóki ten nie osunął się bezwładnie.

Ferrin wciągnął nogi i ręce strażnika między pręty i kazał Jasonowi nadal trzymać go za kostki i bacznie obserwować. Obrzęki zaczęły odbarwiać twarz strażnika. Ferrin zdjął koszulę i przymocował rękę tak, że znowu nie został nawet ślad. Potem sięgnął między prętami i wykonał ruch z dołu, jakby rzucał podkową.

Jego ręka poleciała do przodu, dłoń oderwała się od nadgarstka i poszybowała, uderzając o ścianę koło kołka, na którym wisały klucze.

- Ożeż w ząb! - zaklął Ferrin.

Dłoń podbiegła z powrotem do celi na zwinnych palcach. Ferrin przymocował ją i spróbował raz jeszcze. Tym razem dłoń uderzyła w klucze, ale nie zdołał ich złapać. Tylko zadzwoniły, gdy dłoń spadła na ziemię.

Za piątym podejściem dwa palce zaczepiły się za koło od kluczy, dając oparcie dłoni, która zakotłowała się niebezpiecznie. Strażnik nadal siedział pochylony, nieruchomy, oparty o pręty.

Poruszające się zwinnie trzy palce chwyciły koło od kluczy, podczas gdy kciuk i palec wskazujący zsunęły je ostrożnie z kołka. Klucze zabrzęczały, uderzając o podłogę. Jason patrzył zafascynowany, jak dłoń ciągnie klucze po podłodze niczym

okaleczony pajak. Ferrin obserwował to w całkowitym skupieniu.

Rozsadnik umocował z powrotem rękę, wziął klucze i naciągnął przez głowę koszulę. Pośpiesznie sięgając między prętami, zaczął wypróbować klucze. Brama do celi otworzyła się z rozmachem. Ferrin złapał strażnika i wciągnął go do środka. Mężczyzna nagle szarpnął się, łapiąc gwałtownie powietrze, i wykręcił, żeby rzucić się na Ferrina. Rozsadnik przyłożył mu kolanem w brzuch i pchnął na podłogę. Potem skoczył na niego, objął go jedną ręką za szyję, przyduszając, a drugą zakrył mu usta, tłumiąc wszelkie protesty. Mężczyzna wił się i szarpał, rozpaczliwe chcąc się wyrwać, ale Ferrin trzymał go mocno, aż twarz strażnika poczerwieniała.

Kiedy ciało strażnika zwiotczało, Ferrin jeszcze przez chwilę go trzymał.

- Ten lubi udawać, że śpi - powiedział. - Nawet zamknięty w celi może narobić nam kłopotów, krzycząc.

Przeturlał strażnika na plecy i kucnął obok niego, przyglądając mu się. Po kilku sekundach pacnął go między nogi. Strażnik nawet nie drgnął.

- Teraz rzeczywiście zemdlał - powiedział Ferrin i wyszedł z Jasonem z celi, zamykając za sobą drzwi. Rzucił pęk Jasonowi, który zaczął przymierzać klucze do zamka w celi Rachel.

- Zastanawiałam się, co miały znaczyć te jęki - powiedziała dziewczyna.

- Ferrin jest genialny - odparł Jason, wkładając wreszcie właściwy klucz i otwierając celę.

- Mam załatwić waszego przyjaciela? - zapytał Ferrin, kiwając głową na Tada, który stał i piorunował ich wzrokiem, z rękami zaciśniętymi na prętach celi.

Jason zmarszczył czoło.

- Nie mógłbym patrzeć na jego śmierć, kiedy nie ma nad nami żadnej przewagi i siedzi zamknięty.

Ferrin uniósł brwi.

- Rycerska postawa. Zdajesz sobie sprawę, że nadal będzie cię ścigał, kiedy tylko go wypuszczą? Jego obecność oznacza, że przysiągł cię zabić. Gdyby sytuacja wyglądała odwrotnie, zakończyłby twoje życie nawet bez chwili wahania czy żalu.

Tad splunął przez pręty.

- Nie - powiedziała Rachel. - Nie zabijaj go. Nie w ten sposób.

Tad uśmiechnął się krzywo.

- Ona ma rację - powiedział Jason. - Działanie w samoobronie to jedno, a zabicie go teraz to coś zupełnie innego.

- To wasze szyje - powiedział Ferrin. - Chcesz wyjść? - zapytał brodacza siedzącego w celi razem z Tadem.

- Nie. Posiedzę tu jeszcze tylko dzień. Zakłóciłem porządek publiczny. Właściwie, to czy mógłbyś przyłożyć mi po głowie, żeby konstabl nie mógł mnie winić za to, że nie podniosłem alarmu?

- Podejź do prętów - powiedział Ferrin, po czym podbiegł i uderzył między prętami trafiając mężczyznę prosto w oko. Tamten zatoczył się i klapnął ciężko, zasłaniając twarz dłonią.

- Dlaczego Tad nie podnosi alarmu? - zdziwił się Jason.

- Pewnie się domyśla, co ja zrobiłbym wtedy w samoobronie - odpowiedział Ferrin. - Oddaj mi klucze.

Wypróbował bez skutku kilka kluczy, aż wreszcie otworzył szafę, z której wyjął ich rzeczy. Jason narzucił płaszcz na ramiona. Nie znaleźli w szafie żadnej dodatkowej broni. Ferrin podszedł do biurka, sięgnął pod blat i wyjął naładowaną kuszę, która wisiała na sprytnie ukrytym haczyku.

- Lubię mieć oczy otwarte, kiedy inni myślą, że nie patrzę - powiedział. - Mogą mieć tu inną broń pochowaną w różnych miejscach, ale nie mamy czasu szukać. Strażnik, którym się zajęliśmy, był nieuzbrojony. Zobaczmy, czy uda nam się wyjść frontowymi drzwiami.

Trzymaj nóż pod ręką.

Jason delikatnie położył kciuk na spuście w kształcie kwiatu, gotowy wystrzelić ostrze. Poruszając się ostrożnie, Ferrin przy pierwszej próbie odgadł, który klucz otwiera drzwi. Obrócił klucz w zamku i pchnął drzwi gwałtownie. Zaskoczony strażnik się obrócił. Ferrin wymierzył do niego z kuszy.

- Ani słowa. Wejź do środka.

Strażnik, który sam trzymał kuszę przy boku, zawahał się.

- Ruszaj się albo umrzesz - oznajmił chłodno Ferrin.

Strażnik wszedł do środka.

- Odłóż całą broń. Nóż też.

Strażnik odłożył na stół kuszę razem ze skórzanym pasem z długim nożem w pochwie.

Ferrin odprowadził go do celi, w której leżał już nieprzytomny drugi strażnik. Rzucił klucze i Jason otworzył celę. Ferrin pchnął strażnika do środka.

- Uklęknij i nie waż się drgnąć - rozkazał Ferrin.

Strażnik spełnił polecenie. Ferrin wymierzył mu cios w potylicę nasadą dłoni. Mężczyzna padł na podłogę.

- Jest nieprzytomny? - spytała Rachel.

Ferrin skinął głową, nawet nie sprawdzając. Jason miał podejrzenie, że jego towarzysz robi to nie pierwszy raz.

Rozsadnik podszedł do stołu i zapiął na biodrach pas z długim nożem. Kuszę rzucił Rachel.

- To ma jakiś bezpiecznik?

Ferrin zerknął na broń.

- Żeby strzelić, odciągnij tę dźwigienkę, a potem użyj spustu. Chodźcie.

Cała trójka wyslizgnęła się frontowymi drzwiami w mrok.

- Idźcie spokojnie - poradził Ferrin. - Nie ma powodu, żebyśmy zachowywali się podejrzanie. Jesteśmy tylko uciekinierami, którzy zaraz ukradną konie, żeby uniknąć kary śmierci.

Spacerkiem poszli boczną ulicą. Ferrin trzymał kuszę przy boku jakgdyby nigdy nic. Jason ścisnął sztylet schowany pod płaszczem. W podobny sposób Rachel trzymała kuszę.

Na sygnał Ferrina Jason i Rachel dali nura do małej stajni. Jakiś koń parsknął i tupał. Ferrin położył palec na ustach.

- Jeździecie konno?

- Jeździłem tylko dwa razy - szepnął Jason, nie wspominając, że za pierwszym razem jechał w cyrku na kucyku jako mały dzieciak, a za drugim gęsiego szlakiem w Arizonie przez dwie godziny na wycieczce z przewodnikiem.

- A ja całkiem sporo - powiedziała Rachel.

Jason przewrócił oczami. No jasne!

Ferrin siłą otworzył rozchwierutane drzwi do schowka. Dwa konie zaczęły rzeć niespokojnie. Jason trzymał sztylet w pogotowiu, kiedy Ferrin siodłał i zakładał uzdę wielkiemu myszatemu wierzchowcowi. Potem rozsadnik przygotował mniejszego, siwego konika. A na końcu założył uzdę dereszowi o długiej, gęstej grzywie, nieco niższemu i szerszemu od pierwszego konia.

Wyprowadził myszatego konia z boksu, podał Jasonowi wodze i skinął głową na Rachel, żeby wzięła siwą klacz, a sam poszedł po deresza. Jason poklepał konia po aksamitnej szyi, pogładził sierść.

- Co ty wyprawiasz?! - krzyknął ktoś.

Jason odwrócił się i zobaczył mężczyznę wchodzącego do stajni i ściskającego motykę jak broń. Miał potargane włosy i rozpiętą koszulę odsłaniającą owłosiony tors.

Jason zdał sobie sprawę, że mężczyzna nie mógł widzieć Rachel i Ferrina, ponieważ znajdowali się w boksach.

- Po prostu uwielbiam głaskać konie - powiedział żałośnie rozanielonym głosem.

- To moje najulubieńsze zwierzęta. Potrafię czytać w ich myślach.

Stajenny się zdumiał.

- To prywatna własność, synu.

W jego głosie pobrzmiwało surowe oskarżenie. Podeszedł krok bliżej.

Jason dostrzegł ruch kątem oka. Ferrin wyszedł z boksu, trzymając w dłoniach własną głowę.

- Strzeż się tego chłopca - powiedziała głowa. - Zabrał mi głowę. Twoja będzie następna.

Zaskoczony mężczyzna cofnął się, unosząc motykę.

Ciało Ferrina odłożyło głowę, złapało widły i zaszarżowało. Mężczyzna porzucił motykę i uciekł. Bezgłowe ciało Ferrina cisnęło widłami z ukosa - tak, że obróciły się w locie w poziomie i wpadły między nogi stajennego, który wyłożył się ciężko na deski tuż przy drzwiach.

Ciało zablokowało stajennego, kiedy zaczął wstawać. Szary koń próbował stanąć dęba, prawie ścinając z nóg Jasona. Chłopak z trudem utrzymał uzdę.

- Rzuć mnie do ciała - zażądała głowa Ferrina. - Tylko rzuć porządnie.

Trzymając jedną ręką uzdę, Jason przykucnął i zgarnął głowę. A potem cisnął od dołu głowę Ferrina, która, wirując w powietrzu, wylądowała po chwili w wyciągniętych rękach ciała siedzącego okrakiem na przerażonym stajennym.

- To o wiele trudniejsze niż się wydaje - powiedział Ferrin, przymocowując głowę do szyi. - Złapanie własnej głowy, rzecz jasna.

- Wyobrażam sobie - przytaknął Jason.

Stajenny leżał w bezruchu, oddychając głośno i patrząc szklistymi oczami.

- Darujcie mi życie - błagał.

Ferrin zmusił go do wstania.

- Nie chcemy cię skrzywdzić, pożyczymy tylko konie. Wrócą do ciebie. Zachowaj milczenie i nie narób sobie kłopotów. Może uklęknieś tutaj?

Wprawny cios posłał ogłuszonego stajennego na klepisko.

- Musisz mnie tego nauczyć - stwierdził Jason.

- Nic ci nie jest, Rachel?! - zawołał Ferrin.

Wyprowadziła z boksu białego konia. Zatrzymała się, zerkając na leżącego stajennego.

- Teraz jesteśmy prawdziwymi przestępcami.

- To oni nas do tego pchnęli - poprawił ją Ferrin, wracając do boksu po deresza. Kopyta zadudniły na deskach. Rozsadnik wskoczył na goły grzbiet dereszowatego wałacha.

Jason wsunął but w strzemię i wspiął się niezgrabnie. Rachel zgrabnie dosiadła siwą klacz.

Ferrin podjechał do Jasona.

- Nie wsuwaj stopy tak głęboko w strzemiona. Jeśli spadniesz, koń cię powlecze. I nie ściągaj tak mocno wodzy. Nie służą do utrzymywania równowagi. Trzymaj się kolanami. Gotowy?

- Chyba tak.

Ferrin się uśmiechnął.

- Potrafisz czytać koniom w myślach. To było naprawdę świetne. Wariactwo w moim stylu.

- Dzięki. Głowa w rękach to zgrabna zagrywka, gdy chcesz kogoś przerazić.

- To wytrąciło naszego nieszczęsnego przyjaciela z równowagi. Jedźmy.

Pochylając się, Ferrin odsunął zasuwkę i pchnął główne drzwi do stajni. Rachel wyjechała druga, a Jason pokłusował za nimi na ulicę, podskakując w rytm końskiego chodu. Potem Ferrin dotknął boków deresza piętami i wierzchowiec przeszedł w galop. Klacz Rachel też zaczęła sadzić susy.

Bez żadnego ponaglania wierzchowiec Jasona dopasował krok do pozostałych koni. Przez straszliwą chwilę Jason myślał, że zaraz wyleci z siodła. Każdy koński sus wydawał się doskonałą okazją, żeby stracić równowagę i spaść.

Miasto rozmazało się, kiedy przez nie przemykali, czarne budynki przerywane czasem oświetlonym oknem. Trzymając wodze luźno w jednej ręce i ściskając sztylet w drugiej, Jason próbował trzymać się na koniu; ścisnął boki zwierzęcia kolanami, jak go pouczył Ferrin. Wkrótce odkrył, że gdy pozwoli, by ciało kołysało się w rytm końskich susów, będzie nim mniej rzucało.

Wyjechali z miasta, Jason kilka długości za Rachel i Ferrinem. W miarę jak miasto malało za ich plecami, Jason nabierał coraz większej pewności siebie na grzbiecie galopującego konia. Zaczął zauważać, jak opływa go chłodne, nocne powietrze, dostrzegał jasne gwiazdy migoczące w górze w szczelinach między niewidocznymi chmurami, od czasu do czasu iskierki świetlików po jednej czy drugiej stronie drogi. Gdzieś pośród nocy wyła wataha wilków albo kojotów. Wycie wznosiło się jak rehotliwy zaśpiew, nasilając się aż do mrozącego krew w żyłach wrzasku, który przeszył noc. Koń Jasona zaczął galopować, wyprzedzając Ferrina i Rachel. Jason bez skutku ściągał wodze. Wycie urwało się nagle. Pędząc ciemną drogą, Jason wyobraził sobie zwierzęta pożerające ofiarę.

Wreszcie zdołał zmusić wierzchowca, by się zatrzymał. Ferrin przystanął obok niego i zsiadł z deresza.

- Powinniśmy przez chwilę iść. To wspaniałe wierzchowce, ale musimy oszczędzać ich siły.

Rachel podjechała do nich i zsiadła z wdziękiem.

Jason zlął z siodła niezgrabnie. Roztarł uda.

- Więcej takiej jazdy i będę miał nogi jak prostowane na beczce.

- Świetnie sobie radziłeś. - Ferrin się zaśmiał.

Poprowadzili konie drogą.

- Będą nas ścigać? - spytała Rachel.

- Najprawdopodobniej, ale niezbyt daleko poza obrzeża miasta. Z kolei wasz przyjaciel z nową ręką to inna historia. Spodziewam się, że zostanie zwolniony, więc śpijcie z jednym okiem otwartym.

- Jesteśmy teraz wyjęci spod prawa? - zapytał Jason.

- Może w tym mieście. Nie wszędzie są konstable. A miasta rzadko się ze sobą komunikują. Jedynie Maldor ma scentralizowaną władzę nad tymi ziemiami.

- Będę nosił sztuczne wąsy i okulary, jeśli kiedykolwiek tu wrócę. - Nasz sposób ucieczki powinien pomóc oczyścić nasze imiona - pocieszył go Ferrin. - Konstabl Wornser nie jest głupcem. Mieliśmy mnóstwo okazji, żeby zabić, gdyby morderstwo było naszą domeną. Jednak, jeśli któreś z was będzie kiedyś tędy wracało, radziłbym ominąć miasto.

Szli w milczeniu.

Po pewnym czasie ponownie dosiedli koni. Jason podziwiał, jak wytrzymałe wydawały się wierzchowce.

Kiedy świt zaczął barwić niebo, Ferrin sprowadził ich z drogi. Przeszli przez grzbiet pagórka i rozbili obóz w niecce po przeciwległej stronie. Ferrin uwiązał konie, a Jason i Rachel rozłożyli koce.

- Ja stanę na warcie - zaproponował Ferrin.

Jason szybko zasnął, ale nie spał zbyt długo. Obudził się, kiedy słońce było ledwie nad horyzontem. Wyszedł z cienia niecki na poranne słońce, rozciągając obolałe mięśnie nóg.

- Jeśli nie śpisz, to może ja się zdrzemnę - szepnął Ferrin.

Jason skinął głową. Jakies pięćdziesiąt stóp dalej stał pozbawiony konarów pień z dziuplą wielkości talerza. Jason wybrał pięć kamieni podobnej wielkości. Stanął jak miotacz w pozycji do rzutu z pierwszym kamieniem w ręku. Sprawdził pierwszą bazę, wziął zamach i cisnął kamieniem do dziupli. Dwa z pięciu kamieni wpadły do środka. Jeden zupełnie ominął drzewo. Jason wrócił z powrotem do cienia niecki. Konie skubały trawę tam, gdzie je związane. Rachel położyła głowę na rękach; oddychała powoli i spokojnie. Ferrin leżał na ziemi z rękami

skrzyżowanymi na piersi.

Co za przedziwny gość. Bez wątpienia wiedział, jak radzić sobie w walce. Ktokolwiek napadł na niego i zastawił go na pewną śmierć w worku, musiał naprawdę wiedzieć, co robi, myślał Jason.

Kiedy tak stał i patrzył, palce i kciuki zaczęły odpadać z dłoni Ferrina. Odpełzały od ciała i wijąc się, szły po ziemi w stronę Jasona. Jason odskoczył i łamiącym się głosem zawołał:

- Ehm, Ferrin, rozpadasz się!

Usta rozsadnika wygięły się w uśmiešku, kiedy otworzył jedno oko.

- Przestraszyłem cię?

- Dziwny jesteś.

Ferrin pozbierał palce.

- Masz celne oko przy rzutach kamieniami. - Wiesz, co to jest baseball? Ferrin pokręcił głową. - To gra, którą znamy tam, skąd pochodzę. Jedna z osób w grze musi rzucać piłką ze sporą precyzją. Kiedyś to robiłem.

- Lubię sport. Opowiedz mi o zasadach baseballu.

Jason spojrział na ziemię, zastanawiając się, od czego zacząć. Nigdy nie wyjaśniał zasad baseballu nikomu, kto w ogóle nie zetknął się z tą grą.

- Cóż, mamy dwie drużyny. Jedna drużyna jest przy kiju, a druga jest w polu, w obronie.

- Co to znaczy przy kiju?

- Już mówię. Miotacz rzuca piłką, a pałkarz próbuje odbić ją w boisko, albo poza nie, za parkan, co się liczy jako home run. Chyba że jest faul.

Ferrin zrobił zakłopotaną minę.

Jason potarł brodę.

- Są cztery bazy ustawione w kształt kwadratu i uderzający próbuje zaliczyć je wszystkie. Kiedy dociera do czwartej, czyli do miejsca, od którego zaczął, zalicza obieg i zdobywa punkt.

Ferrin zaczął przymocowywać sobie palce jeden po drugim.

- To najbardziej skomplikowana gra w historii świata. Nie mam pojęcia, o czym mówisz.

- Poczekaj. Dopiero zaczynam. Muszę zdefiniować mnóstwo rzeczy, zanim będziesz w stanie coś zrozumieć. Szkoda, że nie możemy rozegrać paru rundek. O wiele łatwiej zrozumieć, kiedy widzisz, jak się w coś gra.

- Mam w nosie baseball - jęknęła Rachel z twarzą schowaną w rękach. - Próbuje pospać.

- Możesz opowiedzieć mi więcej, jak wrócimy na drogę - powiedział Ferrin. - Mimo długiej nocy powinniśmy dziś wcześniej ruszyć, na wszelki wypadek.

Konie były narowiste, kiedy wrócili na drogę, więc Ferrin pozwolił im pogalopować spory kawałek, zanim zwolnili do stępa. Tym razem, w pełnym świetle dnia jazda sprawiała Jasonowi przyjemność. Chociaż był trochę poobijany, rozumiał, dlaczego tylu ludzi uwielbia jazdę konną.

Kiedy koń szedł stępą, Jason dalej tłumaczył zasady baseballu. Rachel od czasu do czasu dorzucała coś do wyjaśnień. Ferrin zaczynał chwytac ogólną ideę i na koniec był w stanie wyjaśnić różnicę między podwójnym autem i wymuszonym autem. Zdołał nawet docenić niezbędność zasady infieldfly.

Krótko po południu dotarli do małej osady składającej się z niskich, glinianych domków pokrytych strzechą. Przy jednym z domów znajdowała się zagroda z parą koni. Ferrin zsiadł z wierzchowca przed drzwiami i podał wodze Rachel.

Łysy mężczyzna o haczykowatym nosie odpowiedział na pukanie.

- Witaj, przyjacielu - powiedział Ferrin. - Pożyczyliśmy te konie od człowieka w mieście stąd na południe. Czy za opłatą zadbasz, by wróciły do właściciela?

- Ten bez siodła należy do Herricka - odpowiedział mężczyzna.

- Pozostałe zostały zabrane z tej samej stajni. Z konieczności pożyczaliśmy je bez pozwolenia. Właściciel bez wątpienia nie może się doczekać, kiedy do niego wróca.

Łysy mężczyzna przyjrzał się nieufnie Ferrinowi.

- Bez wątpienia.

- Jasonie, zapłać temu człowiekowi osiem droom, trzy drobne i piątkę.

Jason zaczął szukać mieszka z pieniędzmi.

- Trzy dla pana za fatygę, a pięć dla Herricka. Proszę przekazać mu nasze przeprosiny.

Jason zsiadł z konia i podał łyseму człowiekowi pieniądze.

- Mam pańskie słowo, że konie zostaną dostarczone zgodnie z naszą prośbą? - zapytał Ferrin.

- Nie daję słowa złodziejom.

Nagle twarz Ferrina przestała być przyjazna.

- Nie przekazuję cennych rzeczy przez człowieka, który nie da mi słowa. Przysięgnij albo oddawaj pieniądze.

Mężczyzna był wyraźnie zakłopotany.

- Przysięgam, że będzie tak, jak sobie życzysz.

- Nie okazuj braku szacunku złodziejom - lodowatym tonem oznajmił Ferrin. - Wiesz, kto twierdzi, że włada tą ziemią. Wielu najlepszym ludziom przyszło pracować poza prawem. Tak samo jak wielu najbardziej niebezpiecznym.

Łysy mężczyzna wyglądał teraz na przerażonego.

- Rozumiem. Proszę, wybac mi moje słowa.

- Wybaczę, jeśli dotrzymasz słowa - powiedział Ferrin i w końcu odwrócił się do rozmówcy plecami.

Łysy mężczyzna wziął wodze od Rachel i Jasona i odprowadził konie do zagrody. Ferrin ruszył drogą.

- Potrafisz być ostry - zauważył Jason. Ferrin uśmiechnął się cierpko. - Pośród moich licznych zawodów najbardziej lubiłem aktorstwo. - Poklepał Jasona po plecach. - Znowu jesteśmy uczciwymi mężczyznami.

- I kobietami - dodała Rachel.

- Słusznie - zgodził się Ferrin.

Zatrzymał się przy - jak się wydawało - przypadkowym domu, jednym z większych przy drodze i zapukał.

Drzwi otworzyła niechlujna kobieta.

- Jesteśmy znużonymi wędrowcami - powiedział Ferrin. - Wie pani, gdzie moglibyśmy kupić trochę jedzenia?

- Tu nie ma oberży. Mogę tylko zaproponować potrawkę z królika.

- Trzy miski za dwie droomy?

Otworzyła szeroko oczy.

- Proszę wejść - powiedziała, uśmiechając się gościnnie. Ferrin mrugnął do

Rachel i Jasona. Pochylając się ku nim, szepnął:

- Kiedy masz kilka droom w kieszeni, każdy jest twoim przyjacielem.

Rozdział 13

Nicholas

- Kluczem do podróży bez prowiantu - wyjaśnił Ferrin trzeciego wieczoru po tym, jak porzucili drogę - jest nauczyć się rozpoznawać drzewo bąbelkowca.

Stali w gęstym zagajniku, brodząc w morzu wrzosów.

- A jak wyglądają? - zapytał Jason.

- Mają szarą, cętkowaną korę. Smukły pień. Bywają więcej niż trzy, cztery razy wyższe od człowieka. Mają szerokie, paprociaste listowie. Szukaj ułożonych linearnie listeczków.

- O, tutaj - powiedziała Rachel, wskazując na pobliskie drzewo, które odpowiadało opisowi.

- Widzicie owoce? - zapytał Ferrin.

Jason podszedł do drzewa i mrużąc oczy, rozejrzał się uważnie w słabnącym świetle.

- Nie.

- To dlatego musicie nauczyć się rozpoznawać drzewo. Owoce rosną tylko na najwyższych gałęziach.

Jason wspiął się na drzewo, żeby wystarać się o kilka bąbelkowców, a potem zjadł z Rachel po jednym, popijając sporymi łykami wody. Przypomniawszy sobie krzyżówkę bąbelkowca, którą jadł w Skarbnicy Wiedzy. Smakowała o wiele lepiej od naturalnego owocu. Miał wrażenie, że to wydarzyło się wieki temu.

Kiedy zostawili konie, Ferrin zaproponował, żeby porzucić główną drogę i zmylić tym wszelki nieprzyjazny pościg. Odchodząca od drogi ścieżka wiała się przez pagórkowate wrzosowiska, łąki porośnięte polnymi kwiatami i urozmaicone gigantycznymi krzewami, które Ferrin nazwał oklinderami. Największe oklindery

wyrastały na wysokość ponad stu stóp i były niemal dwukrotnie szersze, a gęsto rosnące, cienkie gałęzie były porośnięte ciemnymi, połyskliwymi liśćmi.

Ferrin wyjaśnił, że w pobliżu środka oklinderów wiszą wilgotne, białe bulwy większe od arbuźów, które uważa się za przysmak. Mimo pysznego soku, niewielu miało dość woli, by je zrywać, ponieważ zwykle strzegły ich trujące ciernie i roje agresywnych os.

W czasie podróży Ferrin nauczył Jasona i Rachel, jak się wyżywić. Zbierali orzechy i jagody, posługiwali się kuszami, żeby strzelać do królików większych od wszystkich, jakie do tej pory Jason widział. Każdy strzał był precyzyjnie wybierany, ponieważ mieli tylko po jednym bełcie i nie mogli ryzykować, że zniszczą któryś, trafiając w kamień.

- Jutro powinniśmy ujrzeć Trensicourt - przewidywał Ferrin, zając bąbelkowca. - Nie będę mógł wejść do miasta razem z wami.

- Dlaczego? - zapytała Rachel.

- Zbyt wielu ludzi w tym mieście pragnie mojej śmierci. Wiele lat temu zostałem ścięty w tych murach w ramach grupowej egzekucji. Nie zorientowali się, że jestem rozsadnikiem. Przez większość dnia udawałem, że nie żyję, ufając słowu przyjaciółki.

Straciła życie, zwracając memu ciału głowę, a mnie ledwie udało się uciec. Trensicourt potrafi być uroczym miastem, kiedy ma się wystarczająco dużo pieniędzy i odpowiednie znajomości. - Uśmiechnął się cierpko. - Obraż jednak arystokratę z powodu kobiety, a całe miasto zwróci się przeciwko tobie.

- Czyli rozstaniemy się? - zapytał Jason.

- Bzdura. Nie porzucę łatwo tak wspaniałych towarzyszy podróży jak wy. Poza tym nadal mam u was dług wdzięczności za uratowanie mojego zewłoku. Chyba że zamierzacie pozostać w Trensicourt. Odniosłem jednak wrażenie, że to będzie tylko wizyta.

- I to pewnie krótka - zapewniła go Rachel.

- W takim razie poczekam na was w pierwszym mieście na północ od Trensicourt, w zajeździe „Pod Kulawym Jeleniem”.

- Jak długo będziesz czekał? - zapytał Jason.

- Aż morze wyschnie i zmieni się w pustynię.
- Bądź poważny - zganiła go Rachel.
- Co powiecie na dwa tygodnie? - zasugerował Ferrin. - Tyle powinno wystarczyć. Jeśli do mnie nie dołączycie, ruszę sam. Mogę zapytać, jaką macie sprawę w Trensicourt? Znam to miasto. Może zdołam wam pomóc.

Jason zerknął na Rachel. Nie wyjawili mu jeszcze prawdziwego celu misji.

- Szukamy człowieka imieniem Nicholas - powiedział Jason. - Współpracował kiedyś blisko z Galloranem. Nie możemy ujawnić żadnych szczegółów, ponieważ narazilibyśmy cię na niebezpieczeństwo.

Ferrin wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- Uwielbiam intrygi. Ale proszę bardzo, jeśli czujecie, że to potrzebne, zachowajcie swoją tajemnicę. Zaufam waszej ocenie. Nicholas, powiadacie. Nie macie na myśli starego Nicholasa Wisielca, zbrojmistrza?

- Możliwe - odparła Rachel. - Znał Gallorana?

Ferrin ściągnął brwi.

- Należy uważać, gdy wspomina się to imię, zwłaszcza w Trensicourt. Tak, stary Nicholas to podupadły arystokrata. Jego ród był bardzo faworyzowany przez Gallorana. Kiedy jednak Galloran nie powrócił ze swojej misji, arystokraci zwrócili się przeciwko jego ulubieńcom. Jeśli szukacie Nicholasa Wisielca, będziecie musieli popytać w Barłogu, w biednej dzielnicy koło Bramy Południowej.

- Ludzie w Trensicourt nie lubią Gallorana? - zapytał Jason.

- Ludzie? Ludzie go uwielbiają. Nigdy nie było bardziej popularnego księcia, a jego zniknięcie jeszcze go wywyższyło, zamieniło w legendę. To obecna arystokracja nim pogardza. Ale, pamiętajcie, nigdy otwarcie. Próbują rozpuszczać plotki, żeby splugawić pamięć o nim i umyślnie niszczą tych, którzy kiedyś byli jego najwierniejszymi stronnikami.

- Dobrze wiedzieć - powiedziała Rachel.

- Pilnujcie się w Trensicourt - poradził im Ferrin. - Prowadzą tam okrutną politykę. Niemal bez żadnego ostrzeżenia to miasto może się stać nad wyraz nieprzyjemne.

* * *

Następnego dnia wczesnym rankiem Trensicourt ukazało się ich oczom, kiedy weszli na wzniesienie. Z pagórka roztaczał się widok na bujnie porośniętą dolinę pełną pól uprawnych, poprzecinanych rzeczkami, żywopłotami i niskimi ogrodzeniami z kamienia. Po drugiej stronie doliny wznosił się długi, urwisty płaskowyż zwieńczony murami i wieżami Trensicourt.

- Niesamowite! - szepnął Jason.

- To prawdziwe miasto! - wykrzyknęła Rachel.

Wzdłuż krawędzi płaskowyżu biegły imponujące mury miejskie z wieżami strażniczymi rozmieszczonymi na podwyższeniach równoległe do potężnego granitowego szanca. Wnosząca się na przyporach droga prowadziła w tę i z powrotem z dna doliny do przepaścistej bramy. Za murami wznosiły się dachy budynków, niektóre płaskie, inne kopulaste albo dwuspadowe, oraz górujące nad całym otoczeniem strzeliste wieże dumnego zamku. Wschodzące słońce rzucało różany blask na scenę, rozbłyśkując ciepło w szkle i na złoconych iglicach.

- Nie podejść bliżej do Trensicourt - oznajmił Ferrin.

- Dziękujemy, że pokazałeś nam drogę - powiedziała Rachel. - Spotkamy się w „Kulawym Jeleniu”.

- O ile nie zostaniemy ścięci - dodał Jason.

Ferrin zerknął w kierunku, z którego przyszli.

- Mam nieodparte wrażenie, że ktoś nas śledzi. Zwykle w takich sytuacjach ufam swojej intuicji, ale nie znalazłem żadnego bezpośredniego dowodu. Albo ten, kto nas śledzi jest wyjątkowo utalentowany, albo instynkt mnie zawodzi. Tak czy inaczej, śpieszcie do Trensicourt. Bramy zamykają o zachodzie słońca. Nie zwlekajcie i pilnujcie się w mieście.

- Będziemy uważać - obiecała Rachel.

Ferrin pochylił się i zdjął but. Wyjął z niego dwie kulki, jedną złotą, drugą srebrną.

- Płaciliście za mnie całą drogę i karmiliście - powiedział. - Bardziej bym się dokładał, ale bandyci zabrali mi całą miedź i brąz. W Trensicourt może wam się przydać złoto i srebro.

Każde jest wystarczająco dużo warte, żeby okazać się kuszącą łapówką.

- Nie możemy tego przyjąć - zaprotestował Jason.

- Nalegam. - Ferrin machnął ręką. - Jeżeli nie będziecie mieli okazji, żeby z nich skorzystać, oddacie mi je. Będę się lepiej czuł, wiedząc, że je macie, i nie będziecie mi nic winni, jeżeli je wydacie.

- To bardzo uprzejme z twojej strony - podziękowała Rachel.

- Nie wyobrażacie sobie, jak rzadko ci, którzy wiedzą, że jestem rozsadnikiem, traktują mnie jak człowieka - odparł Ferrin. - Na wypadek, gdyby to nie było oczywiste: lepiej nie wspominajcie w mieście o naszej przyjaźni. To by mogło mieć złe skutki. Mam nadzieję, że jeszcze się spotkamy.

- Ja również - odpowiedział Jason.

- Zostawię inne tropy dla zmylenia pościgu, gdyby jednak nas śledzono. Wy dwoje ruszajcie. Przejście doliny będzie wymagało większości dnia. Szczęśliwej drogi.

- Wzajemnie - odpowiedziała Rachel i uściskała Ferrina.

* * *

Zostały im dwie, może trzy godziny światła dziennego, kiedy dotarli do stóp drogi, która wspinała się z dna doliny do bram Trensicourt na szczycie płaskowyżu. Schludnie wyłożona czerwonymi kwadratowymi kamieniami droga wspierała się na pomysłowo skonstruowanych przyporach opierających się o ścianę płaskowyżu. Jason nigdy nie widział podobnego wyczynu inżynieryjnego. Niebezpieczna droga była wystarczająco szeroka, żeby minęły się na niej wielkie wozy, zjeżdżające lub wjeżdżające, nie przeszkadzając przy tym ruchowi pieszemu na oddzielonych poręczami pomostach po obu stronach.

Zanim Jason dotarł do bram miejskich u szczytu stromej drogi, piekły go łydki. Ulżyło mu, gdy zobaczył, że wielkie bramy stoją szeroko otwarte, pozwalając wozom i pieszym na swobodny ruch w tę i z powrotem. Strażnicy przy bramie, w pierzastych hełmach i z halabardami, nie zwrócili specjalnej uwagi na wchodzących Jasona i Rachel.

Gdy przekroczyli bramę, weszli na brukowaną ulicę ocienioną przez wysokie, ciasno upakowane budynki. Doszli do placu z fontanną pośrodku. Większość wody tryskała ze zwróconych w górę ust masywnego kamiennego mężczyzny, siłującego

się z naręczami wielkich ryb. Mniejsze strumyki tryskały z rybich ust.

Na końcu jednej długiej alei wznosił się szeroki, marmurowy budynek o złotej kopule zwieńczonej smukłą iglicą. Na drugim końcu wznosił się zamek ozdobiony proporcami powiewającymi na wietrze, którego Jason nie czuł na placu.

A na placu kręciły się tłumy, mieszanina ulicznych handlarzy, sprzedających towary, klientów targujących się o lepsze ceny, farmerów jadących wozami albo ciągnących taczki. Od czasu do czasu przez masę ludzką przemykał elegancki powóz.

Jason zauważył trzech zaniedbanych chłopców pędzących przez tłum, bawiących się w berka. Wyglądali na jakieś dziesięć lat.

- Ej, chodź tu! - zawołał do chudego chłopaczka o wielkich uszach, kiedy ten przebiegł obok. Chłopiec niechętnie zareagował na wezwanie, a jego dwaj przyjaciele czmychnęli.

- Co jest? - zapytał skrępowany maluch.

- Wiesz, którędy dojść do Barłogu? - spytał Jason.

Chłopiec spiorunował ich wzrokiem, zerkając to na niego, to na Rachel.

- Nie masz nic lepszego do roboty niż nabijać się z obcych?

- Nie żartujemy - odpowiedziała Rachel. - Szukamy Nicholasa Wisielca.

- Wisielca? - Chłopak się zaśmiał. - Ktoś rzucił wam wyzwanie, żebyście zapukali do jego drzwi?

- Coś w tym stylu - odparł Jason.

- Wszyscy wiedzą, gdzie mieszka Wisielec - odparł chłopiec. - A przynajmniej każdy, kto kiedykolwiek postawił stopę w Barłogu. Sam nie pochodzę stamtąd, ale z łatwością znajdę drzwi Wisielca.

- Dwie droomy? - zapytał Jason, chwytając aluzję.

Chłopiec się rozpromienił.

- Jestem do waszych usług.

Jason dał mu dwie kulki, a chłopiec spojrzał na nie jak na brylanty. Kiedy wybudził się z chwilowego zauroczenia, kulki zniknęły w kieszeni.

- Chodźcie za mną.

Chłopak poprowadził Jasona i Rachel z dala od zamku w stronę ogromnego

budynku z kopułą. Minęli kilka przecznic i zeszli z głównej alei, wkrótce skręcając na południe za wielką, przykrytą kopułą budowlą. Weszli do labiryntu wąskich, brudnych uliczek i zaułków. Budynki zaczęły przypominać poskładane do kupy pudła. Zza zabitych deskami okien padały ukradkowe spojrzenia, a w zaułkach kręciły się samotne postaci ubrane w wiele warstw znoszonego ubrania. Jason nieufnie obserwował ludzi wokół. Cały czas trzymał rękę na sztylcie pod płaszczem.

Chłopiec zaprowadził ich do zrujnowanej przybudówki u wejścia do zaułka, gdzie stara kobieta chowała się za zasłoną z obszarpanych szmat. Po jednej stronie uliczki stał pojedynczy, solidny budynek, kontrastujący z chaotycznie zwieszającymi się piętrami po drugiej stronie. Gang urwisów rozbiegł się, kiedy chłopak poprowadził Jasona i Rachel w głąb zaułka.

Po chwili zatrzymał się i wskazał ręką.

- Tam na lewo są drzwi Wisielca. Czy zapukacie, to już wasza sprawa. Będziecie potrzebowali pomocy, żeby stąd wyjść?

- Myślę, że damy sobie radę - odparł Jason, niepewny, jak długo przyjdzie im rozmawiać z Nicholasem Wisielcem. Uznał, że zawsze może wynająć nowego przewodnika.

Chłopiec spojrzał na nich wyczekująco.

Jason wyłowił jeszcze jedną kulkę.

- Dziękuję.

Chłopiec schował droomy i odbiegł bez słowa. Rachel podeszła do Jasona.

- Czy tu jest bezpiecznie? - mruknęła.

- A czy gdzieś było bezpiecznie? - odparł Jason, odprowadzając wzrokiem odbiegającego chłopaka. - Smutno mi na myśl o tych wszystkich dzieciakach, które tu dorastają.

- Nie mogę o tym nawet myśleć - powiedziała Rachel i oczy jej zasły łzami.

Jason westchnął.

- Przynajmniej drzwi Wisielca prowadzą do solidnego budynku.

- Niewiele tu takich w tej okolicy - zgodziła się Rachel. - Dziwię się, że ta część miasta nie zwała się jeszcze do zaułków.

- Zapukajmy.

Jason podszedł do drzwi i zapukał trzy razy. Ciężkie drzwi stłumiły dźwięk. Poczekał kilka sekund i tym razem uderzył w drzwi pięścią.

- Może nie ma go w domu - powiedziała po chwili Rachel.

Kiedy Jason zapukał trzeci raz, zamki zazgrzytały i drzwi otworzyły się gwałtownie do środka. Stała w nich kobieta, niemal jego wzrostu, o szerokich ramionach i ciemnych włosach związanych z tyłu. Miała na sobie tunikę bez rękawów, a jej odsłonięte ręce były wypukłe od mięśni.

- Czego chcecie? - zapytała. - Szukamy Nicholasa Wisielca - powiedział Jason. Obrzuciła przybyszy wyzywającym spojrzeniem. - Nicholas jest chory. Nie może przyjmować gości. Jeśli chcecie złożyć zlecenie, ja zajmuję się jego interesami. Możemy umówić konsultację.

- Musimy koniecznie porozmawiać z Nicholasem - nalegała Rachel.

- To trzeba było odwiedzić go parę lat temu - odpowiedziała kobieta.

- Proszę - upierał się Jason. - Jesteśmy obcy w tym mieście. Naprawdę potrzebujemy jego pomocy. Przysłał nas Galloran.

- Brakuje ci wyobraźni, żeby wymyślać takie absurdy - zaszydziła kobieta.

Zatrzasnęła solidne drzwi.

- Może nie powinieneś wspominać o Galloranie? - zmartwiła się Rachel.

- Jugard powiedział, że Nicholas pracował dla Gallorana - odparł Jason. - Kłopot w tym, że ona uważa, że sobie żartujemy. - Zapukał znowu.

- Ostrożnie - ostrzegła go Rachel. - Wyglądała, jakby mogła cię pobić.

Po tym, jak kilka razy załomotał do drzwi, Jason zaczął walić w nie bez przerwy. Kiedy drzwi znowu się otworzyły, kobieta trzymała miecz. Za nią stała starsza, drobniejsza kobieta, która celowała w Jasona z pięknej kuszy.

- Odejdźcie - powiedziała kobieta o szerokich ramionach. - Nie zmuszajcie nas do użycia przemocy.

Jason pokazał pierścień, który dał mu Galloran.

- Jestem Jason, lord Caberton. Tytuł ten nadał mi Galloran. Wygląda na to, że mi pani nie uwierzyła.

Drobniejsza kobieta opuściła nieco kuszę. Większa wyciągnęła wolną rękę.

- Pokaż mi ten pierścień.

- Zostanie na moim palcu - powiedział Jason, wyciągając dłoń.

Ostatnie, czego potrzebował, to żeby kobietą zabrała mu pierścień i znowu zatrzęsnęła drzwi.

Kobieta zrobiła krok do przodu i przyjrzała się pierścieniowi. Jason obrócił dłoń, żeby mogła obejrzeć klejnot z różnych stron. Jej zainteresowanie przeniosło się z pierścienia na Jasona. Odpowiedział na jej spojrzenie. Mimo twardych rysów, kobieta nie była brzydka. Rozejrzała się po zaułku.

- Wejdźcie.

Jason i Rachel przekroczyli próg. Potężna kobieta zamknęła drzwi i zatrzęsnęła rozliczne zamki.

Odezwała się niższa:

- Jestem Kayla. To moja córka, Minna.

- To moja siostra Rachel - powiedział Jason.

- Nie mogę wam zagwarantować, że Nicholas was przyjmie - zastrzegła się Kayla. - Możecie poczekać, podczas gdy ja pójde zapytać?

- Oczywiście - odparł Jason.

Do pustego pokoju prowadziło troje drzwi, nie licząc wejściowych - jedno po lewej, jedno po prawej i jedno wprost na tyły. Kayla wyszła przez drzwi naprzeciwko frontowego wejścia.

- Wybaczcie mi moją opryskliwość - powiedziała Minna, nadal trzymając miecz.

- Dzieciaki zakładają się, że odważą się zapukać do drzwi, więc kiedy je otwieramy, zwykle widzimy uciekające urwisy. Często umawiamy się na spotkania w związku z naszymi interesami. Przetrwałyśmy wiele prób skrzywdzenia i zhańbienia Nicholasa. Nastaly niepewne czasy.

- Rozumiem - odpowiedział Jason. - Nie mamy złych zamiarów.

- Wspominanie imienia Gallorana nie przynosi niczego dobrego - dodała niespokojnie Minna.

Kayla wróciła.

- Nicholas natychmiast przyjmie tych dwoje.

Jason i Rachel ruszyli za Kaylą. Kiedy Minna chciała iść za nimi, matka uniosła

rękę.

- Nie będziesz potrzebna.
- Ale nawet ich nie przeszukałyśmy - poskarżyła się Minna.
- Nicholas wyraził się jasno.
- To nie znaczy, że ma rację - narzekła Minna.

Kayla poprowadziła Jasona i Rachel krótkim korytarzem. Wskazała drzwi na jego końcu.

- Tędy.

Jason i Rachel minęli Kaylę i weszli do przestronnego pokoju zastawionego warsztatami, stołami, stołkami, i zawalonymi planami i różnorodnymi ustrojstwami na różnych etapach budowy. Siwiejący mężczyzna zawieszony w skórzanej uprzęży podjechał do nich podczepiony do szyny, która wiła się w górze po całym pokoju. Mężczyzna nie miał nóg.

Pociągnął za pasek i zatrzymał się o krok od Jasona. Jego ciało zakołysało się w uprzęży.

- Zobaczmy pierścień.

Jason podsunął mu klejnot. Mężczyzna wziął go i wyjął z kieszeni uprzęży lupe jubilerską. Patrząc przez szkło, obejrzał dokładnie pierścień, zanim oddał go z powrotem. Pominąwszy brak nóg, mężczyzna był mocnej budowy. Właściwie to wydawał się dziwnie znajomy.

- Pan jest Nicholasem? - zapytała Rachel.

- Owszem. A wy twierdzicie, że jesteście Jason i Rachel. - Przeszył Jasona badawczym spojrzeniem. - W jaki sposób tak naprawdę zdobyłeś ten pierścień?

- Dostałem go bezpośrednio od Gallorana. Osobiście wyznaczył mnie na lorda Caberton.

- Kiedy?

- Jakiś tydzień temu.

- Byłaś przy tym? - zapytał Rachel Nicholas.

- Tak.

- I oczekujecie, że wam uwierzę? Gdzie do tego doszło?

- Nie jestem pewien, czym mamy prawo ci powiedzieć - odparł ostrożnie Jason.

Nicholas ściągnął brwi.

- Czego wy, oszuści, chcecie ode mnie? Jeśli przyszlście mnie zabić, nie będziecie mieli lepszej okazji, żeby uderzyć.

- Nie jesteśmy tu po to, żeby pana zabić - powiedziała Rachel.

- I dobrze - odparł Nicholas i spojrzeniem zwrócił ich uwagę na pasek, który trzymał. - Jedno szarpnięcie i przesyłbym każde z was tuzinem strzału.

Jason rozejrzał się po pokoju, ale nie dostrzegł żadnych łuków gotowych do strzału.

- Są ukryte - wyjaśnił Nicholas. - Nie blefuję. Jeżeli nie jesteście zabójcami, to kim jesteście?

Jason postanowił wyłożyć karty na stół.

- Jesteśmy Pozaświatowcami. Powiedziano nam, że może nam pan pomóc znaleźć słowo, które zniszczy Maldora.

Nicholas pobladł.

- Skąd wiecie o Słowie? Kto was przysłał?

- Galloran - powiedziała Rachel. - A ściślej mówiąc Jugard, mężczyzna, do którego posłał nas Galloran.

Nicholas przyjrzał im się z rezerwą. - Przypomina pan trochę jednego z ludzi Gallorana - powiedziała Rachel. - Brina Łamigłówkę.

Nicholas spiorunował ją wzrokiem.

- Jeśli masz na myśli Brina z Rosbury, to lepiej, żebyście mówili prawdę.

Jason zrozumiał teraz, dlaczego Nicholas wydawał się znajomy. Wyglądał zupełnie jak Brin.

- Nigdy nie wspomniał nazwiska Rosbury - powiedziała Rachel. - Przedstawiał się jako Brin Łamigłówka.

- Brin był moim najmłodszym bratem - odparł Nicholas. - Galloran dał wam coś jeszcze?

Jason pokazał mu sztylet. Nicholas zbadał broń, przyglądając się uważnie kwiatowi - spustowi do wystrzelenia ostrza.

- Wygląda na autentyczny. Ma pieczęcie Gallorana i z pewnością mogłaby to być robota Brina.

Rachel wyjęła kryształową kulę.

- Orantium? - wybełkotał Nicholas. - Trzeba było od razu mi to pokazać! To właściwie jeszcze lepszy dowód niż pierścień. I wiecie o Słowie... Mówicie, że jesteście Pozaświatowcami?

- Przybyliśmy do waszego świata jakieś dwa tygodnie temu - powiedział Jason.

- To Galloran was sprowadził? - dopytywał się Nicholas.

- Nie, ale znał ludzi, którzy nas wezwali - wyjaśniła Rachel. - Kobietę, Erindę i pewnych muzyków, Zawrotną Dziewiątkę.

- I już szukacie słowa?

- Pierwszym miejscem, do którego trafiłem, była Skarbnica Wiedzy - powiedział Jason. - Poznałem pierwszą sylabę z Księgi Salzareda.

- Poznałeś też inne sylaby?

- Dwie z sześciu - odpowiedziała Rachel. - Pierwszą i czwartą. Może pan nam pomóc?

Nicholas westchnął, zerkając na swoją uprząż.

- Wasze słowa budzą wspomnienia lepszych czasów. Kiedyś byłem Nicholasem z Rosbury. Jak moi przodkowie, służyłem królestwu Trensicourt jako główny inżynier. Teraz jestem Nicholasem Wisielcem, kalekim druciarzem, ukrywającym się w najbiedniejszej dzielnicy miasta, które zaprojektowali i wzniesli moi przodkowie.

- Zna pan inne sylaby? - zapytał Jason.

Nicholas zamknął oczy i na jego twarzy pojawił się ból. - Jeżeli Galloran żyje, dlaczego mnie opuścił? Jestem jednym z nielicznych, którzy pozostali mu wierni! Jeśli Brin żyje, jak mógł pozwolić, byśmy go opłakiwali? Tak wiele straciliśmy!

Jason czuł się rozdarty - spodziewałby się, że Nicholas zareaguje radością na wieść, że Brin i Galloran żyją. W Lyrianie często uderzało go, że ludzie patrzą na życie z negatywnej perspektywy. Tak wielu z tych, których spotkał, sprawiało wrażenie złamanych i pozbawionych nadziei.

- Galloran stracił wzrok - wyjaśniła Rachel. - Był torturowany przez Maldora i jego umysł ucierpiał. Nie pamięta zbyt wiele ze Słowa, chociaż zebrał większość sylab. Kto wie, o czym jeszcze zapomniał?

- A Brin? Nic mu nie jest?
- Wydaje się zdrów - powiedziała Rachel. - Pomaga czuwać nad Galloranem.
- Nie możesz mi powiedzieć, gdzie mieszkają? - naciskał Nicholas.
- Nie sądzę, żebyśmy mieli prawo zdradzać ich sekret - odpowiedział Jason. - Galloran ukrywa swoją tożsamość. Żyje pod innym imieniem.
- Nigdy nie wyobrażałem go sobie jako wolnego człowieka, który się ukrywa - mruknął Nicholas. - Był nieustraszony. Zakładałem, że nie żyje albo siedzi w więzieniu.
- Był w więzieniu - powiedziała Rachel. - Ale już nie jest.
- Nie znam żadnej sylaby - westchnął Nicholas - ale zanim zostałem zrujnowany, Galloran zawierzył mi kilka sekretów związanych ze Słowem. Trzecia sylaba znajduje się tu, w Trensicourt. Została wypisana w królewskim skarbcu mądrości, nad wejściem, czwarte słowo od lewej. Inna znajduje się na wyspie pośrodku Białego Jeziora. Wiem, że Księga Salzareda w Skarbnicy Wiedzy zawiera pierwszą sylabę.
- Jak się dostaniemy do skarbcza mądrości? - zapytał Jason. Nicholas się zaśmiał.
- To raczej niemożliwe. Tylko dwóch ludzi ma prawo tam wejść: regent i kanclerz.
- Kim są ci dwaj? - zapytał Jason.
- Galloran był ostatnim następcą tronu i zniknął - powiedział Nicholas. - Regent, Dolan z Yernasett, włada w zastępstwie króla. Od lat arystokraci pragnęli oficjalnie koronować Dolana, ale ludzie nadal wierzą, że królewski ród przetrwał w ukryciu, a arystokraci boją się buntu.
- Czy regent wpuściłby nas do skarbcza mądrości? - zapytała Rachel.
- Nigdy. Dolan ścigałby was równie zaciekle jak Maldor, gdyby poznał cel waszej misji. A kanclerz, człowiek imieniem Copernum, jest jeszcze bardziej zdradziecki. Chociaż oficjalnie Trensicourt pozostaje wolnym królestwem, regent, kanclerz i właściwie cała nasza arystokracja po cichu dogadali się z cesarzem. Płacą mu daninę, wykonują jego tajne rozkazy, co tłumaczy, dlaczego Trensicourt pozostało nietknięte, podczas gdy na wschodzie trwają walki. Tylko poczekajcie. Kiedy padnie wielkie królestwo Kadary, nasza arystokracja odda Trensicourt

Maldorowi bez przelania choćby uncji krwi.

- Czy ludzie się nie zbuntują? - zdziwił się Jason.

- Możliwe - przyznał mu rację Nicholas. - I to tłumaczy, dlaczego Trensicourt nie jest już jednym z lenn Maldora. Arystokraci ugłaskują ludzi, zapewniając ich, że nasza neutralność osłoni nas przed konfliktem i że okazujemy wystarczający szacunek cesarzowi, żeby na zawsze zachować niezależność, dopóki otwarcie mu się nie przeciwstawimy.

- Jednak pan w to powątpiewa - zauważyła Rachel.

- Ambicje Maldora nie znają granic - odparł Nicholas. - Planuje mądrze, toczy tylko jedną bitwę na raz. Nie chce angażować Trensicourt, dopóki jest zajęty podbojem reszty kontynentu. Poza Siedmioma Dolinami ludu Amar Kabał, nasze królestwo szczyci się najlepszą obroną w Lyrianie. Wzięcie Trensicourt siłą byłoby arcytrudnym zadaniem, nawet przy ogromnych armiach cesarza. Maldor pragnie zachować Trensicourt na koniec.

Zważywszy, że coraz mocniej trzyma w garści klasę rządzącą, najpotężniejsze z królestw Lyrianu może ostatecznie okazać się najłatwiejszym do obalenia.

- To wszystko może się zmienić, jeśli zniszczymy Maldora Słowem - powiedział w zamyśleniu Jason.

Nicholas bawił się sprzączką upręży.

- Galloran miał nadzieję, że osłabi naszych wrogów jednym, śmiertelnym ciosem. Myślę, że podzielił się ze mną sekretami związanymi ze Słowem, wierząc, że pójdę w jego ślady, jeśli on zawiedzie. Próbowałem. Wiedziałem, że moim pierwszym krokiem będzie dostanie się do skarbcza. Rzuciłem Copernumowi wyzwanie, zaproponowałem pojedynek umysłów o jego urząd kanclerza. Przegrałem. W ramach kary odebrano mi tytuł earla Rosbury. Wkrótce potem zostałem zaatakowany, straciłem nogi i wraz z nimi nadzieję na przygodę.

- To straszne! - wykrzyknęła Rachel.

- Wszyscy, którzy pozostali lojalni wobec Gallorana, zostali pozbawieni tytułów - opowiadał Nicholas. - Fałszywe oskarżenia, niedorzeczne procesy, polityczne manewry, skrywające niesprawiedliwość pod przykrywką wymogów prawa. Wiele najlepszych kobiet i mężczyzn Trensicourt zostało zniesławionych,

doprowadzonych do ubóstwa albo zamordowanych, by na ich miejscu pojawili się ludzie ambitni i pozbawieni skrupułów. Garstka dobrych ludzi zdołała udać, że jest wystarczająco lojalna wobec Dolana i Copernuma, żeby uniknąć zniszczenia, ale zapłacili za to własnym honorem.

- Posłał pan innych na poszukiwanie Słowa? - spytała Rachel.

- Mój brat Roger wyruszył w misję, na koniec decydując się zostawić sylabę w skarbcu mądrości. Nigdy nie wrócił. Pewnie nie żyje albo został pojmany. Brin niemal od razu ruszył za Galloranem i nigdy nie wrócił. Moja siostra, Hannah, nie zdołała przełknąć hańby naszego upadku i wyszła za mąż za pomniejszego arystokratę, którego wywyższono do pozycji hrabiego, słabego intryganta. Moi dwaj synowie i jeden bratanek zginęli, próbując wznieść bunt przeciwko obecnej arystokracji. Mieszkam tu z Kaylą, żoną mojego brata Rogera, i jej córkami Minną i Lisą. Kilkoro sług jeszcze z dawnych dni pozostało nam wiernych.

- Bez obrazy - powiedziała Rachel - ale dlaczego wrogowie zostawili pana przy życiu?

- Nie z dobroci serca. - Nicholas się zaśmiał. - Znam wstydlive sekrety na temat wielu obecnych arystokratów. Przedsięwzięłem pewne kroki, żeby mieć pewność, że orti wiedzą, że ja wiem. Obiecałem im, że jeśli umrę przedwcześnie, sekrety te wyjdą na jaw. Poza tym szantażem nie zapominam o obronie i trzymam się na uboczu, nie opuszczając Barłogu. Po cichu zaopatruję arystokrację w plany architektoniczne i różne przydatne urządzenia. Wierzą, że zrozumiałem, gdzie jest moje miejsce, i możliwe, że mają rację. Ponieważ, skromnie mówiąc, nadal jestem najbardziej utalentowanym inżynierem w mieście, który zarazem liczy sobie zdecydowanie za mało jak na swoje umiejętności, bywam przydatny.

- Bardzo mi przykro - powiedział Jason.

- Mogło być gorzej - stwierdził Nicholas. - Minna i Lisa to silne dziewczyny, które są w stanie wykonać większość ciężkiej roboty przy moich projektach. Udało mi się przekazać im większość swojej wiedzy. Kayla jest cudowną kucharką. Nie mam nóg, ale wystarcza mi uprząż. Mieszkam w Barłogu, ale dom mam duży i bezpieczny. Wrogowie rządzą mną, ale też zachowują dystans. Niedługo możecie bardziej zasługiwać na moją litość niż ja na waszą.

- Nie będę się z panem spierał - stwierdził Jason.

Nicholas sięgnął w górę, złapał dwa paski i pociągnął, żeby zmienić ustawienie uprzęży.

- Posłuchaj, synu. Naprawdę myślisz, że masz jakieś szanse? W zdobyciu Słowa, rzecz jasna. Kiedy Galloran zawiódł, my powinniśmy byli sobie odpuścić. Był naszą największą nadzieją. Silny, bystry, odważny, porywający, nieprzekupny, w walce nie miał sobie równych. Jak innym mogło się powieść, skoro on zawiódł? Szczerze mówiąc, kiedy oszacuję, ile straciłem i jak niewiele dzięki temu zyskano, to gdybym mógł wrócić do dni po upadku Gallorana, udawałbym, że stoję po stronie Dolana.

Jason zmarszczył czoło. Ostatnia rzecz, jakiej potrzebował, to żeby ktoś podsycił jego wątpliwości. Kiedy patrzył w te poważne, mądre oczy, nie był w stanie się nie zawahać.

- Galloran ostrzegł nas, że musimy to sobie przemyśleć - powiedziała Rachel. - Ostrzegł nas, że Maldor wie, że szukamy Słowa i że zniszczy nas szybciej, jeśli porzucimy zadanie.

- On wie swoje - przyznał Nicholas. - A Galloran ma rację. Jednakże, jeśli zdobędziecie jeszcze sylabę lub dwie, możecie dostać zaproszenie do Harthenham. Jeżeli przetrwacie do tej chwili, możecie przeżyć resztę swoich dni w luksusach.

- Już parę osób wspominało o Harthenham - powiedział Jason. - Co to za miejsce?

- Cesarski pałac rozkoszy. Tylko najbardziej zagorzali wrogowie otrzymują zaproszenie na Wieczną Ucztę. Nigdy nie dostałem tego zaszczytu. Ci, którzy je przyjęli, przeżyli resztę dni w raju, zapominając o wszystkich troskach. W obecnych czasach większość, która udaje, że przeciwstawia się Maldorowi, tak naprawdę kieruje się jedynie nadzieją otrzymania zaproszenia. Niewielu jednak ma wystarczająco dużo charakteru, żeby je zdobyć.

- Czy Galloran został zaproszony? - zapytała Rachel.

- Wielokrotnie. Jako wieczny idealista, odrzucił zaproszenia. Chcecie praktycznej rady? Gdybym ja szedł waszą ścieżką, moim celem nie byłoby zdobycie Słowa. Pragnąłbym, żeby powiodło mi się na tyle, by zapracować na zaproszenie do Harthenham. Wtedy skończyłyby się wszystkie wasze troski. Nie łudźcie się.

Maldor to mistrz manipulacji. Niezależnie od tego, jak obiecujące będą się wydawały wasze perspektywy, nie pozwoli, żeby wam się powiodło. Nie potrafię sobie nawet wyobrazić, jakimi zasobami dysponuje. Galloran zawiódł lata temu, a Maldor od tego czasu tylko zyskał na sile. Jeśli kiedykolwiek przybędzie zaproszenie na Wieczną Uczę, przyjmijcie je. Odmówcie, a odczujecie prawdziwy gniew Maldora. Kiedy cesarz zapragnie naprawdę usunąć was ze swojej drogi, wasz koniec będzie rychły.

- Dziękujemy za radę - powiedział Jason, nie pozwalając, żeby słowa Nicholasa nim wstrząsnęły. - Tak czy inaczej, na razie musimy szukać Słowa. Jakie mamy szanse włamać się do skarbcza mądrości?

- Jesteś największym mistrzem złodziejskim w dziejach Lyrianu?

- Nie.

- Znasz jakąś nieznaną magię ze świata Poza, która pozwala ci przechodzić przez ściany?

- Nie. - Zatem nie macie szansy - odparł stanowczo Nicholas. - Skarbiec zaprojektowali moi przodkowie, tak by był nie do zdobycia. Od setek lat takim pozostaje.

- Nie zna pan żadnych jego słabych stron? - dopytywała się Rachel.

- Wręcz przeciwnie. Jestem bardziej świadomy niż inni, że ten skarbiec nie ma żadnych słabych stron, które dałoby się wykorzystać.

- Rzucił pan wyzwanie kanclerzowi w pojedynku umysłów? - zapytał Jason.

- Stanowisko kanclerza jest łatwiejsze do zdobycia niż skarbiec - przyznał Nicholas. - Ale tylko odrobinę. Od starożytnych czasów każdy arystokrata z Trensicourt może wezwać kanclerza do pojedynku umysłów. Ta zasada zapewnia, że najbystrzejszy z arystokratów będzie służył królowi jako główny doradca.

- Jestem lordem Caberton - powiedział Jason. - W takim razie się kwalifikuję?

- Caberton popadło w ruinę - Nicholas się zaśmiał - ale owszem, jeśli twój tytuł zostanie uznany za autentyczny, będziesz kwalifikował się do rzucenia wyzwania Copernumowi. Ostrzegam jednak: trzykrotnie rzucono mu wyzwanie i nigdy nie został pokonany. Jego spryt nie zna granic.

- Jak wygląda walka? - spytała Rachel.

- Ten, kto rzuca wyzwanie, zadaje trzy pytania. Po tym, jak kanclerz na nie odpowie, rzucający wyzwanie może spróbować podać lepszą odpowiedź. Jeśli któraś z odpowiedzi wyzywającego rzeczywiście zostanie uznana za lepszą, delikwent zostaje nowym kanclerzem. W przeciwnym wypadku traci tytuł i majątek na rzecz kanclerza.

- Czyli przegrany dużo traci - powiedział Jason.

- Nikt nie poznał konsekwencji lepiej ode mnie. - Nicholas westchnął. - Zważywszy na ryzyko, niewielu ma dość odwagi, żeby wyzwać kanclerza. Stanowisko to zwykle jest wyznaczane przez króla.

- Wygląda na to, że to nasza jedyna droga do skarbcza - powiedział Jason. - Ja przynajmniej ryzykuję tytuł, którego nikt by nie chciał.

Nicholas wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- Nic by mnie bardziej nie ucieszyło niż widok upokorzonego Copernuma. Nie będzie to jednak łatwe. Najpierw musisz sprawić, że Dolan uzna twoje roszczenia do Caberton. Pierścień jest autentyczny i powinien być wystarczającym dowodem, o ile nie przedstawią fałszywego świadka, który powie, że jesteś złodziejem. Drugim zadaniem będzie zwyciężenie samego Copernuma. Może znasz jakieś niepojęte zagadki ze świata Poza?

- Musiałbym się zastanowić - odparł Jason.

- Ja znam parę zagadek - wtrąciła Rachel. - Pytanie musi być nadzwyczajne - powiedział Nicholas. - Copernum nie bez powodu zachował swój urząd tak długo. Jest wyjątkowo błyskotliwy.

- Kto osądza pojedynek? - zapytała Rachel.

- Dolan. Jego słowo jest ostateczne. Jeśli pojawią się jakieś wątpliwości, stanie po stronie Copernuma. Jeżeli jednak podacie bez wątpienia lepszą odpowiedź, ogłosi cię zwycięzcą. Dolan wie, że Copernum ma prawdziwą władzę w Trensicourt. Myślę, że chętnie go zdegraduje, jeśli będzie mógł to zrobić bez żadnego ryzyka.

- Jak mam ugruntować swoje pretensje do tytułu lorda Caberton? - spytał Jason.

- Będziesz musiał wystarać się o audiencję u regenta. - Nicholas pociągnął nosem i szarpnął w roztargnieniu za pasek. - Nie możesz nawet słowem powiedzieć o rzucaniu wyzwania kanclerzowi. Niech ich to zaskoczy, po tym, jak już twój tytuł

zostanie potwierdzony. Przydałby ci się protektor. - Nicholas zwiesił głowę w zamyśleniu.

- Pan nie mógłby być jego protektorem? - zapytała Rachel.

- To by tylko przysporzyło mu kłopotów. Powiem więcej: lepiej żeby nikt nie wiedział, że przyszliście pytać mnie o radę. Jeśli zostaniemy skojarzeni jako spiskowcy, źle skończy się to dla nas wszystkich. Musimy szybko zakończyć tę rozmowę i nie powinniście tu wracać.

- Ktoś wie, że tu jesteśmy? - zapytał Jason.

- W Trensicourt roi się od szpiegów. - Nicholas splunął. - Musicie traktować każdą osobę jak potencjalnego zdrajcę. Mnóstwo zawodowych szpiegów żyje sobie całkiem wygodnie w tym mieście, nie wspominając już o legionach zwykłych donosicieli, gotowych sprzedać sekret, kiedy tylko go poznają.

- Myśli pan, że szpiegzy widzieli, że tu przyszliśmy? - zaniepokoiła się Rachel.

- Z pewnością - zapewnił ją Nicholas. - Mój zaułek jest stale obserwowany. Obserwatorzy mogą nie znać waszej tożsamości, ale wiedzą, że tu jesteście. Wyjdziecie z kuszami. Moje modele stanowią wzorzec dla całego Lyrianu. Broń może wystarczyć jako pretekst wyjaśniający, dlaczego nowo przybyli do Trensicourt złożyli mi wizytę.

- Dokąd potem powinniśmy się udać? - zapytał Jason.

- Chcecie, żeby wrak bez nóg obmyślił wam strategię? - Nicholas zarechotał. - Jesteście młodzi i obcy w tym miejscu. Może zdołałbym uchronić was od początkowych potknięć? Moje błędy wiele mnie nauczyły. Ostrzegam: polityka w Trensicourt jest bezwzględna. Nawet najbardziej precyzyjne plany nie uchronią was przed wszelkimi możliwymi pułapkami.

- Rozumiem - powiedział Jason. - Ale jesteśmy tu, musimy spróbować. Nicholas owinął luźny pasek ciasno wokół dłoni. - Dobrze więc. Ile macie pieniędzy? - To będzie kosztować? - spytał Jason. - Źle mnie zrozumiałeś - odparł Nicholas. - Chcę wam pomóc. Kusze będą za darmo, razem z radą.

- Mamy złotą kulkę, srebrną i trochę drobnych - odpowiedziała Rachel.

- Nie wystarczy. - Nicholas pociągnął nosem. - Pieniądze i znajomości znaczą wszystko w Trensicourt. Jedno często wiąże się z drugim. Ponieważ nie macie

znajomości, będziecie potrzebować pieniędzy. Dostarczę wam ich.

- Jest pan zbyt uprzejmy - powiedział Jason.

Nicholas prychnął.

- Mam znacznie więcej pieniędzy, niż jestem w stanie wydać. Dam wam ich więc wystarczająco dużo, żebyście stali się niebezpieczni dla moich wrogów. Podejmujecie ogromne ryzyko, a ja naprawdę niewielkie. Nie jestem aż tak hojny, jak to może wydawać się na pierwszy rzut oka. Strzeżcie się. Inni również będą próbowali was wykorzystać.

- Jasne - powiedział Jason.

- Wy dwoje powinniście wyjść osobno - poradził Nicholas. - Nie widać po was wystarczająco dużo rodzinnego podobieństwa dla wprawnych oczu, żeby uznano was za spokrewnionych.

- Ale my naprawdę jesteśmy... - zaczęła się bronić Rachel.

- Nie musicie tłumaczyć - przerwał jej Nicholas. - Jestem pewien, że macie swoje powody. - Spojrzał na Jasona. - Zatrzymując przy sobie Rachel, niepotrzebnie narazisz ją na niebezpieczeństwo i uczynisz trudniejszym ustalenie swojej pozycji.

Wyjdiesz pierwszy. Mój agent wynajmie chłopca, który odprowadzi cię do najlepszego krawca i najlepszego kowala w mieście. Wizyty u najlepszych kupców umniejszą znaczenie wizyty u mnie i pozwolą ci wyposażyć się stosownie. Jesteś przystojnym młodzieńcem. Odpowiedni strój poprawi twoją wiarygodność. Rób wrażenie z nikim niezwiązanego, stan kawalerski bowiem może pomóc zmiękczyć kilka serc i możliwe, że otworzy dla ciebie kilkoro drzwi.

- A co ze mną? - zapytała Rachel.

- Wynajmę chłopca, żeby odprowadził cię do pensjonatu - odparł Nicholas. - Będziesz mówić, że czekasz na kuzyna, który ma wrócić z Rostenburga. Wymyśl imię. Wyjechał jako najemnik.

- Czyli mam siedzieć i czekać - nadąsała się Rachel. - Nie potrzeba będzie wiele czasu, żeby Jasonowi udało się lub nie. Mądrzej będzie dla was dwojga, jeśli w Trensicourt będziecie się trzymać osobno. Wrogowie z radością wykorzystają wasze powiązania jako słabość. Jeśli którekolwiek z was zostanie kiedykolwiek zapytane o to drugie, to spotkaliście się w drodze do miasta. Kiedy się zorientowaliście, że oboje

zamierzacie zrobić u mnie zakupy, postanowiliście wybrać się razem do mojego warsztatu. Tylko tyle wiecie na swój temat.

- Mówi pan, że to nie zajmie mi wiele czasu? - zapytał Jason.

- Twoim ostatnim przystankiem po zakupach będzie „Przewrócony Kielich” - ciągnął Nicholas. - Właściciel nazywa się Tedril. Jeśli mu się spodobaś, może cię zaprowadzić przed oblicze regenta. „Przewrócony Kielich” to najwspanialszy lokal w Trensicourt. Astronomiczne ceny sprawiają, że tylko bogaci i wpływowi mogą tam jadać lub nocować. Nieznani podróżni rzadko kiedy przekraczają jego próg. Tedril cię sprawdzi. Jeżeli uwierzy, że jesteś prawdziwym lordem, pomoże ci. Jeśli zwęszy oszustwo, jego zła opinia cię zniszczy.

- A co mam zrobić, żeby dobrze pachnieć?

- Tedril uwielbia aromat złota i srebra. Jednak trzeba więcej niż bogactw, żeby wypracować sobie u niego dobrą opinię. Powiedz mu, że jesteś potomkiem starej rodziny, która straciła ziemię, a ty pragniesz dowieść swoich praw do Caberton jako prawdziwy dziedzic. Istnieje kilka takich rodzin, więc nie wchodź w szczegóły. Niech się zastanawia. Pokaż mu pierścień. Powiedz, że Galloran dał go tobie, ale powiedz to, mrugając przy tym. Powiedz mu, że jesteś starym przyjacielem Bartleya z Wershon.

- Kogo? - dopytał się Jason.

- Zdrajcy, który zaniedbał własną rodzinę i sprzedał honor, żeby zapewnić sobie miejsce na dworze. Wielki, przyjazny głupiec, Bartley, ryczy, gdy jest trzeźwy, i grzmi, gdy jest pijany. Rzadko zjawia się w mieście, ale kiedy już się pojawi, jest rozrzutny jak żeglarz na przepustce. Ma słabość do nieszczęśników, więc Tedril ci uwierzy.

- A co potem? - pytał Jason.

- Wynajmij pokój. Pozwól Tedrilowi ustalić cenę i nie targuj się. Dam ci mnóstwo pieniędzy. A potem idź zagrać. Kilku arystokratów grywa w „Przewróconym Kielichu”. Bądź przyjazny. Przegraj mnóstwo pieniędzy. Szybko znajdziesz przyjaciół. Niech jeden albo dwóch nowych przyjaciół zostanie twoimi patronami na dworze. Miejmy nadzieję, że to wystarczy, by przekonać regenta do zatwierdzenia twojego tytułu.

- A co z konkursem?

- Rzuć wyzwanie kanclerzowi w ciągu tygodnia od uzyskania tytułu - powiedział Nicholas. - Nowicjusz, który próbuje znaleźć drogę wśród polityki wyższych klas Trensicourt, nie przetrwa zbyt długo.

- Znasz pytanie, które może zabić mu klina? - zapytała Rachel.

- Gdybym potrafił zabić mu klina, nie straciłbym tytułu. Musisz być w stanie udowodnić poprawność swojej odpowiedzi. I nie może to być jakaś trywialna sztuczka, typu: ile palców trzymasz wyprostowanych za plecami. Potrzebujesz pytania, na które druga osoba będzie w stanie odpowiedzieć, ale musisz umieć poprzeć faktami swoją lepszą odpowiedź.

- Czyli zagadka - powiedział Jason. - Albo pytanie o fakt. A co, gdybym zapytał go o pierwszą sylabę słowa, które może zniszczyć Maldora?

Kołysząc się w uprzęży, Nicholas parsknął śmiechem.

- To prawie warte spróbowania, żeby zobaczyć ich miny. Żaden z nich nie wiedziałby, że takie słowo istnieje. Ty nie miałbyś żadnego dowodu. Niemniej, z obawy, że takie słowo jednak istnieje, konkurs natychmiast zostałby zakończony, a ty byś zniknął. Maldor bez wątpienia interweniowałby osobiście. Ty, Rachel, ja, Tedril... My wszyscy zostalibyśmy zabici. Wraz z wieloma, jeśli nie wszystkimi, którzy usłyszeli twoje słowa na dworze. Chociaż zginęłoby wielu moich starych wrogów, to tylko przyspieszyłoby upadek Trensicourt.

- W takim razie pewnie nie powinienem też wspominać, że jestem Pozaświatowcem - dodał Jason.

- Nie, o ile nie marzy ci się natychmiastowe uwięzienie - przytaknął Nicholas. - Rozumiesz sytuację. Moje najlepsze wysiłki, by obalić Copernuma, zawiodły. Jeden raz doradzałem innemu chętnemu, ale on też zawiódł. To ty musisz wymyślić, jak pokonać Copernuma.

- Nie mogę mu pomóc? - zapytała Rachel.

- Jeśli masz jakiś pomysł, podziel się nim teraz - powiedział Nicholas. - Jason nie powinien nigdy więcej się ze mną kontaktować, a ty także powinnaś go unikać, dopóki nie zakończy swoich spraw w Trensicourt.

- Pamiętasz jakieś szczególne zagadki? - zapytał Jason.

Rachel pokręciła głową.

- Sama nie wiem. Im więcej ze mnie zabierasz, tym większa się staję.

- Dziura - powiedział Nicholas. - Mamy tu podobne zagadki.

Rachel zmarszczyła czoło.

- Bliźniaki stoją na rozstaju dróg. Jeden zawsze mówi prawdę, drugi zawsze kłamie. Jedna droga prowadzi do szczęścia, druga do zniszczenia. Możesz zadać tylko jedno pytanie jednemu bliźniakowi. Jakie pytanie zadasz, żeby znaleźć właściwą drogę?

- Chyba słyszałem tę zagadkę - powiedział Jason - ale nie pamiętam odpowiedzi. Nicholas spuścił wzrok, poruszając bezgłośnie ustami. A potem odchrząknął. - Zapytałbym jednego z nich, dowolnego, którą drogę wskazałby mi jego brat jako tę, która prowadzi do szczęścia, a potem poszedłbym tą drugą.

- Znasz tę zagadkę? - zmartwiła się Rachel.

- Nie, posłużyłem się rozumem - odpowiedział Nicholas. - I Taka zagadka to niegłupi pomysł, ale Copernum rozumuje jeszcze lepiej ode mnie. Niezależnie od tego, jaką taktyką się posłużycie, trudno będzie go skołować.

- A jeśli przegram, stracę tytuł? - zapytał Jason.

Nicholas wzruszył ramionami.

- I życie, jeżeli nie opuścisz pośpiesznie Trensicourt. Dla przybysza, który przeciwstawił się Copernumowi, pozostanie w Trensicourt po klęsce może być śmiertelnie niebezpieczne. Oczywiście, po wygranej, twojemu życiu będzie zagrażało co najmniej takie samo niebezpieczeństwo.

- I nawet jeśli go pokonam, Copernum straci tylko urząd kanclerza? - upewnił się Jason.

- Zachowa wszystkie pozostałe przywileje i tytuły - potwierdził Nicholas. - A po trzech miesiącach będzie miał prawo rzucić wyzwanie tobie.

- Mam więcej zagadek - zasugerowała Rachel.

Powiedziała kilka, a Nicholas na wszystkie odpowiedział. Jason nie potrafił odgadnąć odpowiedzi na większość i zaczął tracić wiarę, czy uda mu się, skoro Nicholas i pozostali zawiedli.

Kiedy Rachel skończyły się zagadki, Jason odchrząknął.

- Mogę porozmawiać z Rachel przez chwilę na osobności?
- Ależ proszę bardzo.

Nicholas pociągnął za kilka pasków i odjechał na szynie w przeciwną stronę pokoju.

Rachel pochyliła się ku Jasonowi.

- Co myślisz? - szepnęła.
- Myślę, że nigdy więcej nie będziemy mieli takiej szansy - odpowiedział cicho Jason. - Z pieniędzmi i radami Nicholasa mamy prawdziwą szansę rzucić wyzwanie Copernumowi.

- Ale czy zdołasz go pokonać?
- Nie przekonamy się, dopóki nie spróbuję. Jeśli dostanę się do skarbcza mądrości, będziemy mieli połowę sylab. Podsunęłaś mi kilka dobrych zagadek. A ja porządnie się zastanowię, zanim rzucę wyzwanie. Masz coś przeciwko temu, że się rozdzielimy?

- Nie. Jeśli wszystko inne zawiedzie, spotkamy się w miejscu, które zaproponował Ferrin, w zajezdni „Pod Kulawym Jeleniem”.

- Zawsze to jakiś plan.

Rozdział 14

Pytania i odpowiedzi

Niedaleko od szerokiej alei biegnącej od bram zamku wznosił się wysoki na cztery piętra „Przewrócony Kielich”, potężna, kamienna budowla, odsuwająca się z każdą kondygnacją do ulicy, żeby pomieścić balkony, ozdobne blanki i trzy dumne maszty flagowe zwieńczające całość. Wielki brukowany korytarz wychodził na ulicę, otwierając powozom dostęp do zadaszonego wejścia.

Gdy zmierzch już dogasał, Jason wszedł do budynku i przeciął luksusowe foyer, kierując się do ozdobnych drzwi na drugim końcu. Jego nowe szaty wydawały się zbyt jedwabiste, ale pasowały doskonale. Starał się okazywać pewność siebie, jakby przynależał do tego miejsca. Niski mężczyzna w doskonale skrojonym stroju stał przed krzepkim strażnikiem z mieczem.

- Z kim mamy przyjemność, panie? - zapytał uprzejmie niski mężczyzna.

- Jestem lord Jason z Caberton.

Mężczyzna przyjrzał się Jasonowi podejrzliwie, wędrując wzrokiem od stóp do czubka głowy. Z pewnymi oporami uznał wynik oględzin za satysfakcjonujący.

Odprowadził Jasona do eleganckiej świetlicy, gdzie bogato odziani klienci jedli na wspaniałej zastawie i popijali z kielichów. Zaprowadził go do miejsca, gdzie smagły mężczyzna o ulizanych włosach stał i rozmawiał ze starszą parą siedzącą przed talerzami z na wpół zjedzoną rybą.

- Panie Tedril, pozwoli pan, że przedstawię lorda Jasona z Caberton - oznajmił niski mężczyzna, przerywając tamtym rozmowę.

- Lordzie Jasonie - powitał go Tedril; w o wiele bardziej oczywisty sposób niż niski mężczyzna przyjrzał się odzieniu Jasona - co za przyjemność pana poznać. - Skinął do niskiego mężczyzny, który pośpiesznie się oddalił. Potem odwrócił się do

spożywającej kolację pary. - Państwo wybaczą.

- Ależ bardzo proszę - powiedział siedzący mężczyzna.

- Tędy.

Tedril wyprowadził Jasona ze świetlicy do przytulnego biura, gdzie stało biurko z drewna drzewa owocowego i trzy fotele z uszakami. Gruby bordowy dywan przykrywał podłogę.

Wskazał Jasonowi, żeby siadał.

- Nie byłem świadomy, że ktokolwiek posiada tytuł lorda Caberton - oznajmił jakby nigdy nic.

- Zdobyłem tytuł z dala od dworu - powiedział Jason, starając się ze wszystkich sił, żeby brzmieć jak wyrefinowany człowiek.

Pierścień miał na palcu, ale nie chcąc wyjść na zdesperowanego albo nastawionego obronnie, nie wykonał żadnego ruchu, by zwrócić uwagę na klejnot.

- Rozumiem. Oryginalne. Obcy w Trensicourt nagle awansuje do naszej arystokracji.

- Moim rodzicom Trensicourt nie było obce - skłamał rezolutnym tonem Jason.

Tedril popatrzył mu w oczy.

- Regent uznał już pańskie roszczenia?

- Jeszcze nie.

- Może mógłbym być pomocny. Jak długo zamierza pan tu pozostać?

- Co najmniej kilka dni. Z radością zapłacę z góry.

- Dla nieznanego bez kredytu byłoby stosowne wpłacić dwieście droom depozytu.

Nicholas poduczył Jasona w kwestiach tutejszej waluty. Złote kulki były warte sto droom, srebrne pięćdziesiąt. Dwieście droom to była mała fortuna. Jason wyjął dwie złote kulki z nowego mieszka. Właściciel pensjonatu przyjął opłatę, nie zdradzając najmniejszym gestem, że jest pod wrażeniem.

- Podróżowałem - powiedział Jason. - To będzie prawdziwa ulga przespać się wreszcie w łóżku.

- Poznałem pańskich rodziców? - zapytał Tedril.

- Rozpoznałby pan ich imiona, ale nie powinniśmy na razie o nich rozmawiać.

Dołączą do mnie w swoim czasie.

- Ciepło wspominam wielu wygnańców. Przypomina pan dawnego barona Leramy.

Jason wzruszył ramionami.

- Nie powinienem niczego komentować.

Tedril uśmiechnął się porozumiewawczo.

- Ludzie źle rozumieli motywy, którymi kierował się baron. Niektórzy uznali jego działania za zdradę. Inni przewidzieli, że mógł działać dla dobra królestwa. Po prostu podjął swoje działania zbyt wcześnie, zanim monarchia naprawdę podupadła. Jak uzyskał pan tytuł lorda Caberton?

- Przez Gallorana, rzecz jasna - rzucił lekko Jason. - Nadał ten tytuł mojemu ojcu w więzieniu. Ojciec dochował tajemnicy.

A kiedy podupadł na zdrowiu, przekazał niedawno tytuł mnie. W przeciwieństwie do niego, zamierzam sięgnąć po należne mi przywileje.

- Fascynująca historia - powiedział z pobłażaniem w głosie Tedril. - Jak usłyszał pan o „Przewróconym Kielichu”?

- Wicehrabia Bartley z Wershon polecił mi pana.

Tedril się rozpromienił.

- Przyjaźni się pan z wicehrabią?

- Poznaliśmy się.

- Co za szczęście - entuzjazmował się Tedril. - Wiedział pan, że właśnie się u nas zatrzymał?

- Nie - odparł Jason, mając nadzieję, że jego uśmiech nie zdradzał słabości, która właśnie go ogarnęła.

Tedril wyszczerzył zęby, jakby był pewien, że to wszystko część z góry zaplanowanej strategii.

- Proszę ze mną.

Wychodząc za Tedrilem z pokoju, Jason jęknął w myślach. Właściciel pensjonatu zaczynał wierzyć w jego historię. Dlaczego musiał wspomnieć o Bartleyu? Fałszywe referencje stanowiły część planu, ale rozmowa układała się tak dobrze, że pewnie nie były potrzebne. Jason starał się zachować spokój. Została mu

tylko jedna nadzieja - blefować aż do końca.

Przeszli przez jadalnię i ruszyli wyłożonym boazerią korytarzem, a potem wspięli się po wyłożonych dywanem schodach do pokoju z małym barem w kącie i ogniem buzującym w kominku z zielonego marmuru. Kilku mężczyzn stało wokół długiego wyłożonego filcem stołu i rzucało kośćmi. Wielki mężczyzna, którego rude, falujące włosy opadały na ramiona, klepnął się w udo i ryknął śmiechem. Kilku pozostałych mężczyzn jęknęło.

- Wicehrabio Wershon - odezwał się Tedril.

Rudowłosa mężczyzna odwrócił się z uśmiechem.

- Pamięta pan lorda Jasona z Caberton?

- Caberton, powiadasz? - powtórzył gromko Bardey, patrząc obojętnie na Jasona.

Jason poczuł się jak głupiec. Na razie tylko Bartley patrzył mu w twarz - pozostali mężczyźni byli zajęci grą. Jego starania, żeby potwierdzić swoją wiarygodność, zaraz posypią się w proch. Patrząc Bardeyowi w oczy, Jason mrugnął.

- A tak, Jason, przyjacielu, jak się miewasz?

Jason odetchnął.

- Nie najgorzej.

Bartley podszedł i objął go za ramiona. - Chodź ze mną, przyjacielu, żebyśmy mogli powspominać. Proszę nam wybaczyć. Jason nawet nie spojrział w stronę Tedrila. Bartley poprowadził Jasona do sąsiedniego pokoju. - Więc kim, u diabła, jesteś? - zapytał chrapliwym szeptem. Jego oddech cuchnął pikantną kiełbasą. - Moja rodzina została wypędzona wiele lat temu. Jestem tu, żeby pomóc odzyskać część należnego nam szacunku. Naprawdę jestem lordem Caberton. - Jason pokazał pierścień.

Bartley zerknął, mrużąc oczy.

- Na to wygląda.

- Miałem nadzieję, że regent potwierdzi mój tytuł lorda Gruzowiska.

Bartley wybuchł gromkim śmiechem i klepnął Jasona w plecy z takim rozmachem, że chłopak prawie stracił równowagę.

- Caberton to zawsze jakiś początek. Jesteś dobrze ubrany. Rodzina ma jakieś zasoby?

- Mam pieniądze.
- A lubisz grać?
- Nigdy nie byłem szczególnie rozważny.
- Grasz w Kostki?
- Nie znam tej gry.

Bartley się zawahał.

- Ale masz pieniądze?
- Tak.

Wicehrabia go objął.

- Marzenie! Młody, posażny nowicjusz! Żałuję, że nie gramy w Knykcie! Może jutro. Chodź, dołącz do nas. - Bartley wypuścił go z uścisku, ale nadal trzymał go za łokieć, patrząc nagle zupełnie poważnie. - Najpierw jednak musisz mi powiedzieć, jak zdobyłeś pierścień. Jest autentyczny.

- Mój ojciec odsiedział trochę czasu w więzieniu razem z Galloranem.

- Nie, naprawdę, powiedz prawdę.

- Ojciec go kupił - przyznał się cicho Jason.

- Kupił? - zapytał Bartley, zwiększając uścisk.

- Tak. Nie znam wszystkich szczegółów. Kupiec twierdził, że naprawdę pochodził od więźnia, który przesiedział trochę czasu z Galloranem.

Bartley wypuścił jego łokieć.

- Galloran - szepnął ze zniechęcaną miną. - Czy wraz z pierścieniem zdobyliście też jakieś wieści?

- Nie mam powodu podejrzewać, że Galloran przeżył - powiedział Jason, ponieważ najwyraźniej to właśnie chciał usłyszeć Bartley. - Zamierzam powiedzieć, że mój ojciec był więźniem, który otrzymał tytuł i pierścień. Prawdziwa historia osłabiłaby moje prawa do tytułu.

- Zbyt hojnie dzielisz się informacjami - powiedział Bartley, otrząsając się.

- Moi rodzice uważali, że mogę na pana liczyć - powiedział Jason. - Postanowiłem zaryzykować i rzucić kośćmi.

Bartley odchrząknął.

- Racja, kości. Chodźmy.

Wicehrabia ruszył, machnąwszy na Jasona, żeby szedł za nim.

- W pierwszej chwili Kostki mogą wydawać się skomplikowane. Jest dwóch rzucających. Jeden rzuca dla kasyna, drugi dla siebie. Gracze mogą obstawiać na kilka sposobów. Trzymaj się mnie, a załapiesz zasady. Masz brąz?

- Głównie złoto i srebro.

Bartley wyszczerzył zęby.

- Mogę ci rozmienić.

Jason dołączył do mężczyzn przy stole. Bartley przedstawił go jako lorda Caberton. Rzucający dla kasyna był ubrany w czarną kamizelkę haftowaną złotem. Rzucał parą dziesięciościennych kości, czarną i białą. Drugi mężczyzna, kokieteryjny dżentelmen w białych rękawiczkach, rzucał podobnymi kośćmi, tylko że jego były niebieskie i żółte.

Jason obstawiał względnie prawdopodobne wyniki. Wygrał odrobinę, zaczął obstawiać bardziej śmiało i sporo przegrał, ponad sto droom poniżej wyjściowej sumy. Potem obstawił bardzo ryzykownie, co się opłaciło i pośród śmiechów i aplauzu zarobił na czysto dwieście pięćdziesiąt droom.

Mężczyźni śmiali się i krzyczeli, kiedy tracili i wygrywali pieniądze. Późnym wieczorem ponownie pojawił się Tedril. Wyglądało na to, że całkowicie dał się przekonać. Dał Jasonowi klucz i powiedział, że służący zajmie się nim i pokojem, kiedy Jason będzie gotowy. Jason ledwie go słyszał w całym tym zamieszaniu.

Tedril obiecał mu pomóc zapoznać się z miastem i umówić audiencję u regenta. Mężczyzna w eleganckim płaszczu zbył Tedrila machnięciem ręki, obejmując Jasona za ramiona w bezmyślnym odruchu koleżeństwa.

Wygrane Jasona doszły niemal do trzystu, kiedy znowu gwałtownie spadły. Odszedł od stołu, przegrawszy pięćdziesiąt droom, i wyszedł z Bartleyem.

- Dobrze ci poszło dzisiejszego wieczoru! - ryknął wicehrabia. Twarz miał zaczerwienioną, niemal tak płomienną jak włosy. - Wygrałeś i przegrałeś więcej niż większość mężczyzn, których widziałem przy stole. Podobnie jak ja. Obaj jednak ograliśmy kasyno, i to jest powód do uczczenia.

- Dziękuję, że przedstawił mnie pan pozostałym.

- Poręczę za ciebie także na dworze. Ostatnie dwadzieścia lat było trudne dla

wielu rodów. Każdy zasługuje na drugą szansę. Powiedz mi, kim są twoi rodzice?

- Pouczyli mnie, żebym nikomu nic na ten temat nie mówił, nawet panu.

Bartley mruknął.

- Pewnie mają rację. Grałeś kiedyś w Knykcie?

- Nie.

Wicehrabia wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- Najwspanialsza gra karciana, jaką kiedykolwiek wymyślono! Przekonam się, czy pojutrze nadal będzie cię stać na moją przyjaźń. Ha! Żartuję. Ustalimy rozsądne stawki. Dobranoc, lordzie Jasonie.

Odszedł chwiejnym krokiem.

Jason wyciągnął klucz i zatrzymał służącego.

- Możesz wskazać mi mój pokój?

- Oczywiście, lordzie Caberton.

Przy drzwiach Jason dał mu pięć droom napiwku. Służący spojrział na niego z wdzięcznością i zdumieniem. Po raz kolejny Jason pomyślał, że w Lyrianie ludzie chyba nie potrafią dawać napiwków.

Przestronny pokój był ładnie urządzone. Para drzwi wychodziła na werandę z wiklinowym stołem i krzesłami. Jason podszedł do wysokiego trena i przyjrzał się sobie. Wiele dni podróży wytopiło część tłuszczu z jego sylwetki, sprawiając, że jego twarz zeszcupiała i nabrała ostrości. W nowych szatach wyglądał jak księżę, chociaż wyobrażał sobie, że przyjaciele z drużyny baseballowej skopaliby mu tyłek, gdyby kiedykolwiek zobaczyli go w takim stroju.

Siadając za biurkiem, Jason sprawdził zawartość plecaka. W sakiewce miał dziewięć złotych droom, dwanaście srebrnych i wiele nowych brązowych kulek po grze. Ważniejszy od pieniędzy był fakt, że został zaakceptowany w „Przewróconym Kielichu”. Jak jednak teraz znajdzie pytanie, które pokona takiego człowieka jak Copernum?

Zamknął oczy i spróbował wyobrazić sobie, co mogłoby zaskoczyć kanclerza. Sądząc po opisie Nicholasa, to było bez mała niemożliwe. Rachel знаła mnóstwo zagadek, ale Jason wątpił, czy to właściwa droga. Potrzebował trywialnych szczegółów, które mogłyby umknąć mądrym człowiekowi. Ale co?

Znał parę ciekawostek z lekcji biologii. Wiedział, że koniuszek mostka nazywa się wyrostkiem mieczykowatym. Wiedział, że rozciąganie stopy w górę wymaga grzbietowego zgięcia, a w dół podeszwowego zgięcia. Wiedział, że kość policzkowa nazywa się łuk jarzmowy.

Tylko kto wie, czy nazwy anatomiczne brzmią tak samo w Lyrianie? Kto wie, czy w ogóle wprowadzono tu taką klasyfikację?

A nawet jeśli, uczony człowiek taki jak kanclerz Copernum pewnie ją znał.

Przychodziły mu na myśl trudne pytania. Czy drzewo wydaje dźwięk, kiedy upada, gdy nikogo nie ma w pobliżu? Jak udowodnić, że się istnieje? Jaki jest sens życia? Kłopot w tym, że musiał nie tylko zabić klina kanclerzowi, musiał też podać lepszą odpowiedź.

Nie bardzo wiedząc, skąd wziąć natchnienie, Jason wpadł w ponury nastrój. Mimo późnych godzin, z powodu rozszalałych myśli nie czuł się śpiący.

Cztery dni później Jason siedział niespokojnie w luksusowym wnętrzu eleganckiego czarnego powozu razem z wicehrabią Bartleyem z Wershon i jechał na audiencję u regenta. Aksamitne zasłony oddzielały ich od widoków miasta. Jason miał na sobie haftowany dublet, pumpki rozszerzające się na wysokości ud, szkarłatne pończochy i proste czarne buty miękkie jak kapcie. Na jego kolanach leżał spory beret ze szkarłatnym piórem. Podejrzewałby, że ten strój to żart, gdyby Bartley nie ubrał się podobnie.

Krawiec zjawił się u niego dwa dni temu, wziął miarę i przysłał gotowe szaty następnego ranka. Chociaż wyglądał jarmarcznie, strój okazał się zaskakująco wygodny.

W ciągu ostatnich kilku dni Jason stracił niemal czterysta droom uprawiając hazard, głównie grając w Knykcie, a wiele z tych pieniędzy przegrał na rzecz Bartleya. Kolejne dwieście wydał na jedzenie i dodatkowe stroje.

Cały wolny czas poświęcał rozmyśleniom nad zagadkami i pytaniami. Niektóre zagadki, które pamiętał, były głupawymi żartami z dzieciństwa. Co łatwo złapać, a trudno rzucić? Przeziębienie. Dlaczego dziecko przeszło przez drogę? Bo było przypięte do kurczaka. Co otrzymasz, jak skrzyżujesz kaktusa i jeżozwierza? Pokaleczone ręce.

Największe nadzieje wiązał z dziwacznymi ciekawostkami, jakie przysły mu do głowy, ale nadal żaden z jego pomysłów nie wydawał się rozsądny. Żałował, że nie ma połączenia internetowego z tym światem!

Jazda z „Przewróconego Kielicha” do zamku była krótka. Już wkrótce powóz przekroczył bramy i lokaj pomagał im wysiąść.

- Wejdiesz przez bramę audiencyjną - powiedział Bartley. - Ja będę czekał już w środku. Do zobaczenia wkrótce.

Jason poszedł za służącym w liberii do zamku. Minęli sklepiony korytarz. Zdobione pilastry dekorowały ściany w regularnych odstępach. Złote ślimacznice upiększały sklepienie. Ogromne urny pomalowane w zawiłe wzory sprawiały, że rozstawieni w przestronnym korytarzu gwardziści wydawali się maleńcy.

Jason i jego towarzysz w liberii podeszli do ciężkich drzwi z brązu, przy których stali gwardziści w ostentacyjnych mundurach, z bandoletami, medalami, epoletami i w idiotycznie wysokich czapkach. Nie odrywali wzroku od korytarza i mrugali z rzadka, nie patrząc na Jasona.

Jeszcze jeden mężczyzna czekał przed drzwiami. Nosił spiczasty kapelusz i długą jedwabną pelerynę. Za drzwiami rozległ się głos:

- Yosef, syn Pontiva!

Drzwi otworzyły się na zewnątrz. Mężczyzna w szpiczastym kapeluszu wszedł i drzwi się zamknęły.

Służący stał w milczeniu obok Jasona. Strażnicy patrzyli z powagą w pusty korytarz. Jason próbował się uspokoić. Ogromny korytarz bez wątpienia miał onieśmielić gości. Jason próbował się nie denerwować. Najlepsze, co mógł zrobić, jeśli chciał, by uznano jego roszczenia, to zachować spokój i sprawiać wrażenie, że tu jest jego miejsce.

- Domniemany lord Jason z Caberton! - dobiegł głos z komnaty.

Drzwi z brązu otworzyły się na zewnątrz. Długi niebieski dywan obrębiony srebrem prowadził przez wypolerowaną kamienną posadzkę w stronę podwyższenia, na którym regent zasiadał w wielkim krześle z kości słoniowej. Tłum elegancko rozstawionych dworzan zebrał się w grupkach po obu stronach. Regent - tęgi starszy mężczyzna o pulchnych, zdrowych rysach - wyglądał o wiele bardziej

jak król niż Galloran. Na jego skroniach spoczywał zdobiony klejnotami wieniec. Pierścienie błyszcząły na palcach. Wspaniałe szaty były w kolorze królewskiej purpury i zdobione złotem.

Jason podszedł do miejsca, w którym dywan kończył się przed wyniesionym, okrągłym kawałkiem marmuru tuż przed tronem. Jason stanął na piedestale. Bartley poinformował go, że ten stopień nazywa się Kołem Petentów. Tylko stojąca tam osoba miała prawo przemówić do regenta z poziomu posadzki sali tronowej, poza tym, jedynie ci, którzy stali na podium obok tronu, mogli zwracać się bezpośrednio do Dolana. W tej chwili na podium obok regenta znajdowało się dwóch mężczyzn, jeden odziany jak żołnierz, drugi w długich niebieskich szatach, przydużym trójgraniastym kapeluszu i srebrnej oponczy narzuconej na wąskie ramiona.

Stając na Kole Petenta, Jason spojrział w milczeniu na regenta. Bartley ostrzegł go, żeby poczekał, aż Dolan odezwie się pierwszy.

- Witaj, młody człowieku - powiedział regent. - Rościsz sobie prawa do tytułu lorda Caberton?

- Owszem, Najjaśniejszy Panie.

Według Bartleya, „Najjaśniejszy Panie” i „Wasza Wysokość” to były tytuły, jakich wymagała etykieta w tej sytuacji. „Wasza Królewska Mość” było zarezerwowane dla króla.

- Wyciągnij prawą rękę.

Jason uczynił to.

- Podać ton.

Pusta, metalowa rura niczym ogromny komin zwieszała się z łańcucha obok tronu. Mężczyzna ubrany jak żołnierz uderzył w nią młotkiem i rozległ się głęboki, przeszywający dźwięk. Jasonowi zawibrowały zęby. Pierścień na jego palcu zaczął świecić tak jak jeden z pierścieni regenta. Rozglądając się wokół, Jason zauważył, że wiele innych pierścieni zabłysło, w tym klejnot na dłoni Bartleya.

Dźwięk przycichł i światło w pierścieniach przygasło.

- Kto przekazał ci tytuł? - zapytał regent.

- Mój ojciec, który otrzymał tytuł od Gallorana.

Dworzanie pochyłili się ku sobie, szepcząc bezgłośnie.

- Za życia - odezwał się regent - Galloran przyznał wiele tytułów. Chociaż nigdy sam nie został królem, zważywszy na zniedołężnienie ojca, czcigodnego króla Dromidusa, uwięzionego w kataleptycznym stuporze, do jego praw należało zajmowanie się sprawami królestwa. Jednakże nie przypominam sobie, żeby przyznał tytuł lorda Caberton, kiedy ród z Caberton wygał.

- To się wydarzyło dwanaście lat temu. Galloran przyznał tytuł mojemu ojcu w więzieniu. Ojciec przekazał go z kolei mnie.

Regent skinął głową.

- Dwanaście lat temu Galloran wyruszył za granicę. Ponieważ nigdy nie wrócił, mógł nadać tytuł bez wiedzy większości. Rzeczywiście nosisz sygnet Caberton, który miał w swojej pieczy Galloran. Kim był twój ojciec?

- Wolałbym go nie wspominać - powiedział Jason. - Znalazł się w więzieniu, był wrogiem cesarza i postanowiłem odsunąć się od niego.

- Mimo to, przekazał ci tytuł? - odezwał się mężczyzna w trój graniastym kapeluszu.

- Przekazał mi tytuł uprawniający do władania kupą gruzu za trzy worki mąki - odparł Jason, posługując się historyjką, którą pomógł mu wymyślić Bartley. - Nie okazał się mężczyzną i nie wykorzystał okazji. Ja przeciwnie: zamierzam założyć nowy ród i dobrze służyć Trensicourt.

- Czy ktokolwiek poręczy za młodego Jasona? - zapytał regent.

Bartley uniósł rękę. Potem dwaj inni mężczyźni - obu Jason poznał w trakcie partyjek gry w Kostki albo Knykcie.

- Dobrze więc - powiedział regent. - Jasonie, czy szczerze przysięgasz lojalność koronie Trensicourt i wszelkim agentom korony?

- Przysięgam.

- W czasie wojny i pokoju, w godzinie potrzeby i w ciągu lat pomyślności, czy będziesz chronił Trensicourt słowem, myślą i uczynkiem, dopóki żyjesz?

- Przysięgam.

- Twój tytuł zostaje potwierdzony, lordzie Jasonie z Caberton. Od tej chwili możesz pojawiać się na dworze przy każdej wizycie w Trensicourt. Obawiam się, że twoje posiadłości znajdują się w dość rozpaczliwym...

Ktoś wśród zebranych zachichotał nerwowo.

...stanie, ale zostaną ci zwrócone pewne przynależne Caberton artefakty znajdujące się w mym skarbcu. A ziemia to ziemia. Niech rozkwitnie. Czy masz jeszcze jakieś pytania?

Coś uderzyło Jasona lekko w potylicę. Zerknął przez ramię i zobaczył ładną, młodą damę w pięknej sukni, która mówiła coś do niego bezgłośnie, poruszając tylko ustami. To była Rachel. Krótkie włosy ukryła pod eleganckim, spłaszczonym kapeluszem. Zaskoczony jej widokiem, spróbował czytać z jej ust. „Teraz”, powtarzała bezgłośnie, przeplatając to kilkoma innymi, mniej czytelnymi słowami. Skierowała błagalne spojrzenie na podwyższenie.

- Czy coś innego zwróciło twoją uwagę? - zapytał uprzejmie regent.

Tłum zachichotał szyderczo.

Jason się odwrócił.

- Błagam o wybaczenie, Wasza Wysokość. Mam jeszcze jedną prośbę. Chciałbym rzucić wyzwanie kanclerzowi Copernum i stanąć do walki o jego stanowisko.

Komnata wybuchła szmerem i zduszonymi okrzykami. Regent wyglądał na wstrząśniętego. Nie zdradzając najmniejszego zaskoczenia, szczupły człowiek w trójgraniastym kapeluszu zmierzył Jasona wzrokiem.

- Proszę o spokój - odezwał się żołnierz na podium. - Proszę o spokój! W przeciwnym razie poproszę wszystkich o opuszczenie sali.

Jasonowi zakręciło się w głowie. Miał nadzieję, że dobrze zrozumiał Rachel. Jak się tu dostała?

Kiedy dworzanie zamilkli, regent przemówił.

- Jako lord masz do tego prawo. Kiedy proponujesz, aby odbył się pojedynek?

- Jak najszybciej - odparł Jason.

Regent odwrócił się do zamyślnego człowieka w trójgraniastym kapeluszu.

- Co na to powiesz, kanclerzu? Masz coś przeciwko zorganizowaniu pojedynku w trybie przyśpieszonym?

Copernum zmrużył oczy.

- Nie mam nic przeciwko aneksji kolejnych dóbr, choćby wyjątkowo mizernych.

Regent skinął głową. - Dobrze więc. Po dwudziestominutowej przerwie lord Jason z Caberton stanie do rywalizacji z kanclerzem Copernumem o urząd kanclerza. Możesz odejść, lordzie Jasonie.

Jason zszedł z koła. Patrzył na Copernuma, który odwrócił się i wyszedł drzwiami z boku podwyższenia. Ten lekko zgarbiony człowiek miał słabo zarysowany podbródek i długi, wąski nos, przez co jego profil był bardzo aerodynamiczny.

- No proszę - warknął Bartley, który zaszedł Jasona od tyłu i klepnął w plecy. - Wychodzi na to, że nie potrafię odczytać cię tak dobrze, jak zasugerowała mi gra w karty z tobą. Jesteś pełen niespodzianek! Niezależnie od tego, czy wygrasz, czy przegrasz, zapewniłeś sobie miejsce w historii samą zuchwałością! - Wicehrabia pokręcił głową. - Rzucenie wyzwania o urząd kanclerza w kilka minut po uznaniu tytułu to bezprecedensowe posunięcie.

- Masz już gotowe pytania? - zapytał inny mężczyzna. To był gość w eleganckim płaszczu od gry w Kostki, jeden z tych, którzy poręczyli za Jasona razem z Bartleyem.

- Tak myślę. Chyba że panowie mają jakieś błyskotliwe pytania w zanadrzu.

- Bez obrazy - burknął Bartley - ale zachowamy dystans. Żaden człowiek w Trensicourt nie może pozwolić sobie na to, żeby mieć wroga w Copernumie.

- Ile czasu upłynęło, odkąd ktoś rzucił mu wyzwanie? - zapytał Jason.

- Dziesięć lat - odpowiedział Bartley. - Wtedy odebrał tytuł i pozycję earlowi Geer.

- Zdradź nam nieco - nalegał drugi mężczyzna. - Co zamierzasz mu rzucić?

- Zobaczycie, panowie - odparł Jason, sam nie bardzo jeszcze wiedząc. - Macie jakieś rady dla mnie? Jak brzmią zwykle pytania?

Bartley wzruszył ramionami.

- Wydarzenia z historii, strategię. Zagadki. Zależy. Copernum nie zdradził się z żadną słabością. Zna historię, jakby sam całą przeżył. Jest mistrzem strategii. I rozwiązuje zagadki, jakby sam wszystkie ułożył. Powinniśmy zostawić cię, żebyś się namyślił.

Kiedy mężczyźni się oddalili, podeszła Rachel.

- Jak się miewasz? - zapytała.

- Czuję się ogłupiały - przyznał. - Co tu robisz?

- To długa historia. Musimy uważać, co powiemy. Nie ma tu bezpiecznego miejsca do rozmów.

- Zjawiłaś się z jakimiś dobrymi pytaniami?

Podeszła bliżej i odezwała się ciszej, zakrywając usta dłonią. - Tak. Z doskonałym pytaniem. I dlatego odwiedziłam naszego wiszącego przyjaciela. Zgodził się, że pytanie może nam pomóc. Przeprowadził pewne badania przez swoich szpiegów i odkrył, że Copernum miał już oko na naszą trójkę, zwłaszcza na ciebie. Jeden z twoich przyjaciół od zielonego stolika to jeden z najlepszych szpiegów kanclerza. Wie, że jesteśmy powiązani, i może nawet wiedzieć coś na temat naszej misji.

- Cudownie - mruknął Jason. - Co robimy?

- Właśnie to zrobiłeś. Musiałeś od razu rzucić wyzwanie kanclerzowi. Będzie mu trudniej nas zniszczyć, jeśli go pokonasz. A jeśli przegrasz, zrobimy to, co i tak byśmy zrobili. Uciekniemy natychmiast z Trensicourt.

Podąła mu kopertę.

- Co to jest?

- Otwórz, kiedy zacznie się pojedynek - powiedziała. - Jest tam parę pytań.

- Dlaczego mam czekać? - zastanawiał się Jason, przyglądając się kopercie.

- Na wszelki wypadek. Według naszego przyjaciela, mnóstwo ludzi właśnie nas obserwuje, czytając z ust, obserwując twoje ruchy, próbując wychwycić jakieś wskazówki.

- Jasne. Jak się tu dostałaś?

- Nasz wiszący przyjaciel wykorzystał dług wdzięczności u pewnej osoby - wyjaśniła Rachel. - Za długo rozmawialiśmy. Muszę iść.

- Nie zostaniesz popatrzeć?

- Nie. Zaufaj mi, tak będzie lepiej dla nas obojga.

Odwróciła się i pośpiesznie zniknęła w tłumie.

Nikt inny nie podszedł do Jasona, ale mnóstwo ludzi zerkało na niego. Stał niedaleko Koła Petenta, stukając kopertą o dłoń, zastanawiając się, jakie pytania

mogła zawierać. Jak się wpakował w to szambo?

W ciągu następnych kilku minut ludzie wlewali się do sali tronowej, zajmując całą wolną przestrzeń, z wyjątkiem bezpośredniego sąsiedztwa Jasona. Galerie wypełnił tłum, zamieniając się w morze wyczekujących twarzy. Na podium także tłoczyli się ludzie. Jason uznał, że też chciałby być świadkiem podobnego wydarzenia, gdyby ktoś inny zdecydował się podjąć ryzyko.

Po upływie dobrych dwudziestu minut wrócił regent i zajął swoje miejsce. Copernum stał tuż obok Dolana, z rękami złożonymi za plecami i twarzą dumną i surową. Kiedy sługa zaprowadził Jasona z powrotem na koło, w sali zapadła wręcz wstrząsająca cisza.

- Jesteś pewien, że pragniesz stanąć do pojedynku w tym właśnie czasie? - zapytał regent, patrząc na Jasona z większą powagą niż wcześniej.

- Tak, Najjaśniejszy Panie. - Dobrze więc. Kanclerz Copernum zrezygnował z prawa do przełożenia pojedynku. Będę waszym sędzią. Ty, lordzie Jasonie, masz przedstawić trzy pytania. Jeśli zdołasz podać lepszą odpowiedź na którekolwiek z nich niż kanclerz Copernum, zostaniesz nowym kanclerzem. Kanclerz Copernum zachowa wszystkie tytuły i majątki, pozostanie markizem Jansington, earlem Geer i tak dalej. Copernum zyska prawo rzucenia wyzwania tobie po upływie trzech miesięcy. Gdybyś przegrał, lordzie Jasonie, tytuł lorda Caberton przejdzie na kanclerza Copernuma wraz ze związanymi z nim majątkiem i przywilejami. Czy warunki są zrozumiałe?

- Tak, Najjaśniejszy Panie - odpowiedział Jason, czując, że zaschło mu w gardle.

Copernum skinął głową.

Regent spojrzał na kanclerza.

- Masz coś do powiedzenia, zanim rozpocznie się pojedynek?

- Jakie wykształcenie zdobyłeś? - zapytał Jasona kanclerz.

Chłopiec rozejrzał się po sali, nie bardzo wiedząc, jak odpowiedzieć.

- Jestem prawie w liceum.

Rozległy się szepty i szmery. Copernum spiorunował go wzrokiem.

- Możesz potwierdzić swe słowa? - zapytał. - Jestem jedynym z ośmiu żyjących abiturientów liceum w Elboreth i wszystkich pozostałych doskonale znam. Nie

znam też żadnych potencjalnych kandydatów.

- Nie powiedziałem, że chodzi o szkołę w Elboreth.

- To jedyne uznane liceum.

- Ja pójdę do innego, do szkoły średniej Roosevelta. Znajduje się daleko stąd.

Bardzo dużo podróżuję.

- Na to wygląda. Twój akcent dziwnie brzmi. Angielski naprawdę do ciebie pasuje. - Copernum spojrzał znacząco.

Jason milczał.

- Dość tych żartów. Powodzenia, młody lordzie.

- Wzajemnie - odparł Jason.

- Niech pojedynek się zacznie - ogłosił regent. - Kanclerz Copernum ma piętnaście minut, by odpowiedzieć na każde z pytań. Gdyby podważał celność określonego pytania, ja będę miał głos rozstrzygający. Zdyskwalifikowane pytanie nadal liczy się jako jedno z trzech. Copernum zachowuje prawo do prośby o sprostowanie, zgodnie z moim uznaniem. Rezerwuję sobie prawo do ostatecznego rozsądzenia, kto przedstawił lepszą odpowiedź na każde z pytań, gdyby pojawiły się jakieś kontrowersje. Lordzie Jasonie, proszę przedstawić pierwsze pytanie.

Jason przełknął ślinę. Żałował, że nie ma kubka z wodą. Zastanawiał się, czy może o nią poprosić. Nie. Wszyscy gapili się na niego wyczekująco. Pod badawczym spojrzeniem tylu widzów czuł się wyjątkowo podenerwowany, gdy rozdzierał kopertę.

- Zapisałem je sobie, żeby właściwie je sformułować - tłumaczył się nerwowo Jason, czytając słowa tak szybko, jak zdołał.

Zebrani zaśmiali się współczująco.

„Pytanie pierwsze jest od naszego przyjaciela w Trensicourt. Powiedział, że Copernum wstydzi się ojca, więc chociaż potrafi na nie odpowiedzieć, będzie to dla niego prowokacja i może wyprowadzić go z równowagi. Zapytaj go o pełne imię i nazwisko jego ojca”.

- Kanclerzu Copernum, jak brzmi pełne imię i nazwisko pańskiego ojca?

Nozdrza Copernuma rozszerzyły się, a usta wykrzywiły się szyderczo.

- Czy tak brzmi całe pytanie? - zapytał regent.

- Tak, Najjaśniejszy Panie.

Regent dał znać mężczyźnie, który obrócił wielką klepsydrę.

- Daj spokój, młokosie - odezwał się protekcyjnym tonem Copernum. - Powiedz mi, że tylko żartujesz, że nie obrażasz renomowanej uczelni Roosevelt tak bezmyślnym pytaniem. Czy następne pytanie będzie dotyczyło rozmiaru mego kapelusza? Odpowiedź nie jest żadną tajemnicą. Bridonus Keplin Dunscrip Garonicum Dziewiąty.

Regent spojrzał na Jasona.

- Chwileczkę - zdziwił się chłopak. - Depozytariusz wiedzy ze Skarbnicy Wiedzy?

Wzrok Copernuma stał się drapieżny. Na chwilę w jego oczach rozbliła nienawiść. A potem jego twarz się rozluźniła.

- Być może. Jego imię brzmi tak, jak powiedziałem.

- Jakies uwagi? - zapytał regent.

- Nie mam nic do dodania - oznajmił Jason.

- Copernum wygrywa pierwsze pytanie - orzekł regent.

Zgromadzeni zaklaskali.

- Najwyraźniej nie do końca pojmujesz sytuację, w jaką się wpakowałeś - powiedział Copernum. - Z racji twego młodego wieku i nieznamości Trensicourt, przedłużam ci możliwość wycofania się. Nie muszę okazywać ci tej uprzejmości, ale możesz się wycofać, jeśli zechcesz. Co powiesz?

Jason zamarł. Po tym, co usłyszał od Rachel, obawiał się, że jeśli ustąpi, Copernum każe go aresztować albo coś podobnego. Musiał więc brnąć dalej.

- To było pomocnicze pytanie - odparł Jason.

Tłum się zaśmiał. Nawet regent musiał położyć dłoń na ustach, zanim rozkazał zebranym się uciszyć.

- Twoje drugie pytanie - ponaglił go.

Jason zerknął na list od Rachel.

„Pytanie numer dwa to wynik mojego własnego olśnienia. Zapytaj Copernuma o słowa wypisane w skarbcu mądrości. Nie powinien mieć pojęcia, że są powiązane ze Słowem i nie ma powodu odżegnywać się od podania prawidłowej odpowiedzi”.

Szczerząc zęby w uśmiechu, Jason odchrząknął.

- W skarbcu znajduje się inskrypcja nad drzwiami. Patrząc od lewej do prawej, co tam napisano?

- Czy to pełne pytanie? - upewnił się regent.

- Tak.

Regent machnął ręką i obrócono drugą klepsydre.

Kanclerz Copernum przeszył Jasona ponurym spojrzeniem. Cała protekcjonalność zniknęła. Sprawiał wrażenie podejrzliwego i zarazem ostrożnego. Przez dłuższy czas przyglądał się badawczo przeciwnikowi. Jason próbował zachować neutralny wyraz twarzy.

- To osobliwe pytanie, młodziku - oznajmił w końcu kanclerz. - Tyle muszę ci przyznać. Sugerujesz, że byłeś kiedyś w skarbcu?

Nagła panika chwyciła Jasona. Jeśli Copernum nabierze podejrzeń, że Jason sam nie zna odpowiedzi, może oddalić pytanie albo odpowiedzieć fałszywie.

- Mój ojciec okrył nas hańbą, ale pochodzę ze starożytnego rodu - odparł zwyczajnie Jason.

Pełne przypuszczeń pomruki rozległy się w sali. Krzywiąc się w zamyśleniu, Copernum odwrócił się do regenta.

- Czy mam odpowiedzieć na to pytanie na osobności?

- Nie widzę, jaka szkoda miałyby wyniknąć z udzielenia odpowiedzi tutaj. Te słowa nie są szczególną tajemnicą.

- Dobrze więc - ustąpił Copernum. - Słowa brzmią: „Elum Bek Nori Fex Fera Sut Copis Hostrum”.

- Jak brzmiało czwarte słowo? - zapytał Jason.

- Fex. - A siódme? - Copis - powtórzył niecierpliwie Copernum. „Fex”, pomyślał Jason. „Fex. Fex. Fex”. - Lordzie Jasonie - odezwał się regent. - Nie mam nic do dodania - odpowiedział Jason, rozmyślając gorączkowo. - Drugie pytanie na korzyść kanclerza Copernuma - oznajmił regent. Znowu rozległy się oklaski. Kanclerz uśmiechnął się zadowolony z siebie. - Naciesz się chwilą rozgłosu, młodziku - szydził Copernum. - O ile twoje trzecie pytanie nie jest zdecydowanie mniej dziecinne od poprzednich dwóch, to będzie ostatni raz, kiedy twoja stopa stanie w

tym zamku.

- Twoje ostatnie pytanie, lordzie Jasonie - powiedział regent.

Jason nagle nabrał ochoty, żeby zapytać: „Kurkiem kranu kręci kruk, kroplą tranu brudząc bruk, a przy kranie, robiąc pranie, któż to gra na fortepianie?”. Oparł się jednak pokusie i zerknął na kartkę.

„Pytanie trzecie to twoja szansa, żeby wykorzystać najlepszą rzecz, jaką przygotowałeś. Miejmy nadzieję, że dzięki pytaniu numer dwa, nie musisz koniecznie wygrać”.

Jason zassał gwałtownie powietrze przez zęby. Po odczytaniu dwóch pierwszych pytań, nie spodziewał się, że będzie musiał podać własne. Zastanawiał się gorączkowo. Pewnie najlepszym pytaniem, na jakie wpadł, była ciekawostka, o której dyskutował kiedyś z jednym chłopakiem z zajęć z angielskiego, Stevem Vaughnem. Sześć liter w nazwisku Steve'a zainspirowało ich rozmowę.

- Jakie przychodzi panu na myśl najdłuższe jednosylabowe słowo w języku angielskim? - zapytał Copernuma.

- Czy to już całe pytanie? - upewnił się regent.

- Owszem.

Obrócono trzecią klepsydrę.

- Proszę o sprostowanie - powiedział Copernum, marszcząc czoło. - Pytasz mnie o jednosylabowe słowo zawierające najwięcej liter?

- Zezwalam na zadanie tego pytania - zgodził się regent.

- Owszem - odpowiedział Jason.

Kanclerz podrapał się w brodę, zerkając na sufit, jakby pogrążył się w obliczeniach, co oznaczało, że Jason miał szansę. Od rozmowy ze Stevem Jason zawsze zwracał uwagę na jednosylabowe długie słowa, gdy tylko na takie się natykał. Słowu, które chodziło mu po głowie, nawet jeśli nie było najdłuższe, niewiele do tego brakowało.

Kanclerz spojrział ponuro na podłogę. Podniósł wzrok, rzucając złe spojrzenie.

- Znam odpowiedź. Jak śmiesz zadawać tak idiotyczną zagadkę? Najdłuższe jednosylabowe słowo w języku angielskim, jakie przychodzi mi na myśl, to „thoughts”. Osiem liter.

Wszystkie spojrzenia skierowały się na Jasona, który się wyprostował.

- Najwyraźniej, kanclerzu, jednosylabowe słowa nie są twoją mocną stroną. Moc, czyli „strenghts”. Dziewięć liter.

Copernum pobrał. Spojrzał na regenta.

- Ale... ale on powiedział, najdłuższe słowo jakie „przychodzi mi na myśl”. W tamtej chwili najdłuższe słowo, jakie przyszło mi na myśl, to „thoughts”. To pytanie działa jak zagadka, człowiekowi przychodzi na myśl myśli.

Dolan pokręcił głową.

- Upewniłeś się, czy lord Jason pyta o jednosylabowe słowo z największą liczbą liter. Nie ma tu miejsca na wątpliwości. Lord Jason z Caberton udzielił lepszej odpowiedzi. Wobec tego w trybie natychmiastowym przejmuje urząd kanclerza.

Copernum stał sztywno osłupiały i niedowierzający. Tłum klaskał. Rozległo się parę gwizdów.

- Wejź na królewskie podium, lordzie Jasonie - zaprosił go regent.

Jason wypełnił polecenie.

Regent przemawiał głośno, spowijając ramiona Jasona opończą i podając mu pierścień.

- Lordzie Jasonie z Caberton, niniejszym powierzam ci urząd kanclerza, czyniąc cię strażnikiem królestwa i głównym doradcą przy regencie pełniącym rolę władcy, Dolanie, księciu Vernasett.

Tłum zaczął entuzjastycznie wiwatować.

Copernum podszedł uścisnąć Jasonowi dłoń.

- Gratuluję, młokosie - szepnął były kanclerz, uśmiechając się ciepło. - Nie dożyjesz świtu.

Zanim Jason zdążył choćby zareagować, regent wziął go za rękę i uniósł ją tak wysoko, jak zdołał.

- Ogłaszam ucztę powitalną dla naszego nowego kanclerza, która odbędzie się pod koniec nadchodzącego tygodnia w sali bankietowej. - Odwrócił się do Jasona, mówiąc tak, żeby tylko on słyszał. - Dobra robota, młody człowieku. Wykazałeś się nadzwyczajnym opanowaniem. Powinniśmy spotkać się na osobności tego popołudnia. Nie mogę się doczekać wymiany opinii i pomysłów z tobą.

Jason odwrócił się i rozejrzał się za Copernumem. Markiz już wyszedł.

Rozdział 15

Kanclerz

Tego wieczoru Jason siedział samotnie, z łokciami na kolanach i brodą opartą na dłoniach, na czarnej kanapce wypchanej końskim włosiem. Po chwili wstał i wyszedł na wyłożony niebieskimi kafelkami balkon. W gasnącym zmierzchu przyjrzał się rozciągniętemu przed sobą miastu Trensicourt, a potem powędrował wzrokiem ku zacienionej wiejskiej okolicy poniżej płaskowyżu. Słabo widoczne kształty nietoperzy albo małych ptaków krążyły i śmigały w powietrzu poniżej, rysując się nagle wyraźnie, gdy przemykały na tle rozświetlonych okien.

Copernum opuścił swoje kwatery w kilka godzin po przegranym pojedynku, zabierając personel i osobiste rzeczy, ale zostawiając większość umeblowania. Apartamenty kanclerza znajdowały się na najwyższych trzech piętrach jednej z największych wież zamku. Rzeczy, które Jason zostawił w „Przewróconym Kielichu”, już przeniesiono do jego nowej sypialni na szczycie wieży.

Jason oparł się o kamienną balustradę, drżąc pod wpływem chłodnej bryzy. Dwa poziomy poniżej w pokojach, które pełniły teraz rolę jego biur, paź, pokojówka, kucharz, skryba i dwaj gwardziści czekali na jego rozkazy. Przed drzwiami sypialni umieszczono wartownika. Żadna z tych osób nie służyła Copernumowi, ale Jason nie miał pojęcia, na ile lojalni się okażą. Wszystkich przydzielił mu administrator podlegający rozkazom samego regenta.

Jason przyglądał się rozmaitym budynkom, patrzył na ogniska płonące wzdłuż miejskich murów i na ziemię uprawną leżącą za murami na płaskowyżu. Jak mógł zostać drugą najważniejszą osobą po władcy w tym rozległym królestwie? Kilka tygodni temu jego największym zmartwieniem były przyzwoite oceny i poprawienie podkręcanych piłek. Nigdy w życiu nie wyobrażał sobie, że osiągnie

coś takiego.

Porzucając widoki, Jason powlókł się do łóżka - zbytkownego monstrum, na którym z łatwością pomieściłoby się sześć osób. Stos rozżarzonych węgielków rzucał ciepłą, czerwoną poświatę z kominka. Przeczesał rękami włosy. Umrze tej nocy, jeśli Copernum dotrzyma obietnicy. Groźba mogła mieć na celu jedynie zdenerwowanie Jasona, ale kanclerz sprawiał wrażenie przerażająco pewnego swego.

Pomimo odosobnienia na swej wysokości, mimo mocnych murów i solidnych drzwi, pomimo rozlicznej straży stojącej na warcie Jason nigdy w życiu nie czuł się równie odsłonięty. Aż do poprzedniej nocy Copernum mieszkał w tych kwaterach i spał w tym pokoju. Mógł dostarczyć zabójcy klucze i dokładny opis, w jakiś sposób najłatwiej się tu dostać.

Jason ułożył poduszki pod gustowną kapą z miękkich króliczych skórek, żeby udawały śpiącą postać. Gruby materac hojnie wypchano puchem. Nigdy dotąd żadne łóżko nie przywoływało go równie kusząco, ale Jason przykucnął i wpełzł pod spód zabierając ze sobą poduszkę i dwa koce. Łóżko było wystarczająco wysokie, żeby Jason miał kilka cali wolnej przestrzeni nad sobą, kiedy leżał na plecach z jednym kocem pod spodem, a drugim na wierzchu. Falbana z materiału zasłaniała przestrzeń pod łóżkiem.

Jason leżał, gapiąc się na spód łóżka, ze sztyletem w dłoni. Nigdy w życiu nie czuł się równie samotny. Tęsknił za Rachel. Czy bywała czasem irytująca? Pewnie. Była też jednak bystra, zabawna i wiedział, że może jej ufać. Gdy zobaczył ją w sali tronowej, przypomniał sobie, jak bardzo przyzwyczał się, że może na niej polegać. Stała się prawdziwym przyjacielem. Żałował, że nie mogła zostać z nim dzisiaj.

Wcześniej tego dnia, po pojedynku, regent oddalił się ze świtą, zostawiając Jasona z Bartleyem, który pogratulował mu, wyraźnie zachowując dystans. Zaprzyjaźniony gracz w eleganckim płaszczu oprowadził Jasona po sali tronowej, przedstawiając go kilku osobom, które pogratulowały mu z różną wylewnością. W większości wypadków Jason miał wrażenie, że ludzie woleliby, żeby nikt nie zauważył, że witają go zbyt ciepło. Poznał hrabiów i hrabiny, lordów i damy, uczonych, poetów, muzyków i artystów. Imiona i tytuły mu się pomieszały.

Później, w czasie krótkiego spotkania z regentem, Jason powtórzył mu groźbę, jaką wypowiedział Copernum. Dolan doradził, żeby zachował ostrożność, i wyjaśnił, że takie pogrożki to brzemię wszystkich mężczyzn zajmujących wysokie stanowiska. Jason przekazał również informację o groźbie Norvalowi, swojemu osobistemu strażnikowi, rzetelnemu człowiekowi o gęstym wąsie, który obiecał, że będzie czuwał u jego drzwi tej nocy.

Jason szukał okazji, żeby wymknąć się z zamku, ale cały czas otaczali go dworzanie, więc musiał przebrnąć przez kolejne spotkania, aż do wieczora, kiedy odprowadzono go do jego komnat. Chociaż, mieszkając w wysokiej wieży, można było poczuć się bezpieczniej, nie dało się z niej wymknąć - zupełnie jak z więzienia.

Leżąc pod łóżkiem, Jason zagryzł lekko wargi. Miał nadzieję na jakieś wieści od Nicholasa albo Rachel, ale nic do niego nie dotarło. Teraz więc musiał przetrwać noc. Samotnie. Miał nadzieję, że godziny nocne upłyną w spokoju. Obiecał sobie, że znajdzie sposób, by uciec z nowej pracy z samego rana.

Myślami wrócił do domu. Co porabiali teraz jego rodzice? Zorientowali się, jak się opiekować Cieniem? Spodziewał się, że pies tęsknił za nim najbardziej ze wszystkich. Co porabiał teraz Matt? Albo Tim? Jason zastanawiał się, czy przywykli do tego, że nie ma go w pobliżu. Sam nie czuł się do końca sobą bez przyjaciół. Żałował, że nie może do nich wysłać wiadomości albo zadzwonić. A gdyby dzisiaj umarł? Ile czasu będą wszyscy potrzebowali, żeby o nim zapomnieć?

Koce zaczęły wydawać mu się bardzo odprężające. To był długi dzień, pełen stresu i zamieszania. Ziewnął i potrząsnął głową, żeby się rozbudzić. Wkrótce powieki zaczęły mu opadać; potem na próbę zamknął oczy, żeby dać im na chwilę odpocząć. Szybko zapadł w sen.

Obudził się w ciemnościach, przekonany, że usłyszał hałas. Przez chwilę leżał zdezorientowany. Nadal trzymał nóż. Chciał usiąść, ale przypomniał sobie, że leży pod łóżkiem. Teraz, kiedy już był przytomny i czujny, Jason niczego nie słyszał. Sądząc po słabej poświacie na materiale falban, zorientował się, że węgielki prawie już się dopaliły. Czekał, wysilając wszystkie zmysły. Panowała całkowita cisza. Może wyobraził sobie hałas?

Oddychając cicho, przesunął się, aż znalazł się twarzą tuż koło falbany w nogach

łóżka. Czując się trochę idiotycznie, wysunął sztylet z pochwy i uniósł czubkiem ostrza materiał, żeby zerknąć jednym okiem spod łóżka. W słabej poświacie węgielków dostrzegł nogi podkradającej się do łoża osoby. Sądząc po budowie, był to mężczyzna. Jasonowi pierś się zacisnęła ze strachu.

Podjezana postać nosiła mokasyny i poruszała się bezszelestnie. Jak się tu dostała? Jason zastanawiał się, czy nie zawołać Norwala. Jednak równie dobrze to mógł być sam Norval! Albo ktoś, kogo tamten po cichu tu wpuścił.

Intruz zaraz miał zniknąć Jasonowi z oczu, bo zbliżał się do boku łóżka. Jason opuścił falbanę i ostrożnie przesunął się do boku, do którego zbliżał się intruz, starając się oddychać bezgłośnie. Znowu uniósł falbanę sztyletem. Jedna ze stóp intruza znajdowała się raptem kilka cali dalej. Jason przypomniał sobie wuja Kevina, który kuśtykał miesiącami w gipsie i z szynami, kiedy zerwał sobie ścięgno Achillesa podczas gry w tenisa. Gapiąc się na niczym niechronioną stopę, Jason zdał sobie sprawę, że mógłby pewnie przeciąć ścięgno Achillesa, zanim intruz zorientowałby się, co go zaatakowało. Mokasyny nie sięgały powyżej kostki, a nogawki spodni były cienkie i dopasowane.

Jason usłyszał, że mężczyzna odrzucił narzuty i gwałtownie złapał oddech. Uderzał pod złym kątem, więc nie mógł włożyć w cios całej siły, ale mimo to, Jason rozciął tył nogi jakiś cal nad kostką. Ostrze sztyletu okazało się ostre, przecinając z łatwością materiał spodni i wchodząc głęboko w ciało.

Postać odskoczyła na zdrowej nodze, a potem padła na podłogę, łapiąc się za ranę i wydając z siebie pełne bólu warknięcie.

- Pomocy! Intruz! - krzyknął Jason, wytaczając się spod łóżka po drugiej stronie niż ranny zabójca.

- Intruz! - ryknął Norval, alarmując pozostałych strażników i wpadając przez drzwi, z krótkim mieczem w jednej ręce i kuszą w drugiej.

Jason patrzył przykucnięty, jak rzucony nóż wbija się Nogalowi w brzuch. Gwardzista zatoczył się, bezwładnie wystrzeliwując bełt w podłogę. Jason podniósł się z kciukiem na spuście do wystrzelenia ostrza, akurat, żeby zobaczyć, jak ciemna postać pakuje się do kominka, rozrzucając po drodze węgielki. Jason rzucił się w tym samym kierunku. Zajrzał do środka i odkrył, że przewód kominowy ciągnie się

w górę i w dół. Przez chwilę słyszał słabo, jak zabójca ucieka przewodem gdzieś w dół.

Odsunął się od kominka, kiedy czterech gwardzistów wpadło do pokoju z bronią w gotowości. Dwaj z nich trzymali dodatkowo pochodnie.

- Uciekł kominkiem, kierował się w dół! - krzyknął Jason. - Rozciąłem mu nogę.

Dwaj gwardziści rzucili się za zabójcą, a druga dwójka została. Jeden przyklęknął obok Norwala. Drugi trzymał pochodnię i miecz. Jason podszedł do rannego.

- Kanclerz? - wykaształ Norval głosem napiętym, z zaciśniętymi powiekami, twarzą błyszczącą w świetle pochodni od potu.

- Lordowi Jasonowi nic się nie stało - zapewnił go klęczący obok gwardzista. - Proszę pokazać mi ranę.

Norval ścisnął obiema rękami nóż do połowy zagłębiony w trzewiach. Pokręcił głową.

- Dokończ - wycharczał przez zaciśnięte zęby.

Gwardzista oderwał dłonie Norwala od rękojeści noża. Połowa ostrza była czarna, a głowica miała kształt szczerzącej zęby czaszki.

- Co to jest, u diabła? - mruknął gwardzista.

Cieniutkie smużki gryzącego dymu uniosły się z rany. Norwalem wstrząsnęły konwulsje. Jego oszalałe oczy uciekły w głąb czaszki, a pot zlał czerwieniejącą twarz. Wargi mu zadygotały, jakby mężczyzna próbował coś powiedzieć.

- Sztylet był zatruty - powiedział Jason.

- Krwawy jad - przytaknął mu klęczący gwardzista. - Straszliwa trucizna, przynosząca potworne cierpienie i na którą nie ma żadnego antidotum.

Konwulsje przybierały na sile. Norval wyciągnął rękę, a żyły wystąpiły mu na zlanym potem przedramieniu tak mocno, że wydawało się, jakby zaraz miały wyrwać się ze skóry. Krzyknął słabo i stracił przytomność. Jego oddech nadal rwał się w nieregularnych spazmach.

- Tędy, lordzie Jasonie - powiedział gwardzista z pochodnią, wyprowadzając go z sypialni.

Jason, wychodząc, odwrócił się i zerknął na elegancko umeblowaną antykamerę. Drugi gwardzista przykrył Norwala płaszczem. Kończyny umierającego nadal

podrygiwały.

Chociaż Norval zniknął mu z oczu, Jason nie zapominał, że zatrute ostrze było przeznaczone dla niego. To on mógł teraz rzucać się na posadzce, z krwią gotującą się w reakcji na straszliwy jad - gdyby spał w łóżku albo gdyby Norval nie zareagował tak szybko na wezwanie pomocy. Do oczu napłynęły mu łzy wdzięczności dla umierającego wartownika.

Kilku gwardzistów zjawilo się w antykamerze. Większość weszła dalej do sypialni. Inni rozglądali się po pomieszczeniu, jakby się spodziewali, że zabójca może się kryć za gobelinem na ścianie albo w szufladzie. Kilku rozmawiało ściszymi głosami.

Jason stał z boku, głęboko wstrząśnięty, próbując ogarnąć to, co właśnie się wydarzyło. Ktoś próbował go zabić! Jedno, to wiedzieć o groźbie, a zupełnie co innego, zobaczyć, jak ktoś ją wypełnia. Gdyby umarł, ci, których kochał, nigdy nie dowiedzieliby się, co mu się przydarzyło. Pozostałby na zawsze nierozwiązanym przypadkiem zaginięcia.

Potężny gwardzista z pasmem siwiejących włosów wokół łysej czaszki wszedł do antykamery i podszedł do Jasona. Pozostali gwardziści stanęli na baczność, ale on machnął na nich, żeby wrócili do swoich zajęć. Starszy gwardzista nosił dwa złote galony na lewym ramieniu, które najwyraźniej określały jego wysoką rangę.

- Lordzie kanclerzu - zaczął - jestem Cedric, kapitan królewskiej gwardii. Jego Wysokość książę Dolan prosi, żebym natychmiast odeskortaował pana do niego.

- Oczywiście.

Ciesząc się, że spał w ubraniu, Jason ruszył za Cedrikiem, opuszczając apartamenty i schodząc w dół paroma korytarzami. Weszli do komnaty, gdzie dwóch gwardzistów odsuwało na bok elegancką sofę i zwijało haftowany, fioletowy dywan, odsłaniając klapę w podłodze. Unieśli ją, a Jason zszedł za Cedrikiem kręconymi schodami. Za nim wszedł gwardzista z latarnią.

Na początku wąskiego przejścia za schodami czekał już Dolan w otoczeniu czwórki gwardzistów z mieczami.

- Witam, kanclerzu Jasonie - powitał go Dolan. - Ubolewamy na wieść o zamachu na twoje życie. Wejdźmy do skarbcza mądrości, żeby omówić tę kwestię w

największym spokojem.

- Proszę prowadzić, Wasza Wysokość - zgodził się Jason.

Szli wijącym się przejściem, aż dotarli do okrągłych, żelaznych drzwi. Widniała w nich siatka otworów i siedem kołków.

Gwardziści odwrócili się od drzwi, kiedy regent wkładał kołki. Jason też zamierzał się odwrócić, ale Dolan nalegał, żeby patrzył.

- Jesteś jedyną osobą poza mną, która może znać kombinację - powiedział.

Po siódmym kółku rozległ się łoskot mechanizmu zamku. Regent wyjął kołki i dwaj gwardziści złapali za wielkie drzwi. Ciągnąc razem, zdołali je otworzyć.

Jason i regent weszli do środka, niosąc latarnię, a dwaj gwardziści zamknęli za nimi drzwi. Pomieszczenie było przestronnym sześcianem. Przy ścianie na lewo od drzwi od sufitu do podłogi stały na półkach książki. Przy ścianie po prawej znajdowały się zwoje. Na dalszych półkach znajdowały się różne przedmioty, od klejnotów wielkości pięści po kryształowe flakony i różnoraką broń. Ponad odległymi półkami znajdowało się kilka szpar wentylacyjnych. Mały stolik i dwa krzesła zajmowały środek pokoju.

Jason krępował się, będąc sam na sam z regentem. Postanowił zachowywać się tak dorośle, jak to tylko możliwe. Zerkając w górę, zauważył osiem słów zdobiących ścianę nad drzwiami. Tak jak oznajmił Copernum, czwarte brzmiało „Fex”. Jasonowi ulżyło, że ta kwestia się potwierdziła. Znał już połowę Słowa.

- Twoje drugie pytanie w pojedynku było dość niezwykłe - powiedział Dolan, najwyraźniej zauważając, że Jason zainteresował się inskrypcją nad drzwiami. - Skąd wiedziałeś o napisie?

- Ojciec wspominał mi o nim kiedyś. Myślę, że słyszał o tym od Gallorana.

- Próbowałeś po prostu wyprowadzić Copernuma z równowagi? Robił wrażenie osłupiałego tym pytaniem.

- Miałem tylko jedno dobre pytanie - powiedział Jason. - Dwa pierwsze miały za zadanie sprawić, żeby zaczął mnie lekceważyć.

Dolan przyjrzał się podejrzliwie Jasonowi.

- Wyczuwam, że skrywasz wiele sekretów. Być może pewnego dnia podzielisz się nimi ze mną. Siadaj.

Na osobności Dolan sprawiał wrażenie bardziej bezpośredniego i zasadniczego niż kojarząca się z dziaduniem postać, którą odgrywał w sali tronowej.

Usiedli naprzeciwko siebie. Jason zauważył, że blat stolika jest mapą. Zobaczył półwysep ciągnący się na zachód między wodami oceanu. W pewnej odległości od Trensicourt, w głębi lądu, znajdowało się Białe Jezioro, punkcik na północy obok małego zbiornika wodnego.

- Podoba ci się mapa? Jason skinął głową. - Bardzo. - Copernum upierał się przy niej. W końcu, jaka korzyść z prywatnej komnaty, jeśli nie można ukryć w niej paru sekretów? Maldor krzywo by na to patrzył. Doskonale rozumie korzyści płynące z monopolu na tego typu informacje.

Jason nadal przyglądał się mapie. Mała wioska rybacka nad owalną zatoką nazywała się Flet. Miasto, w którym jego, Rachel i Ferrina zamknięto w więzieniu, to musiało być Carning. Miejsce, w którym Galloran mieszkał jako Ślepy Król, oznaczono nazwą Fortaim, a rzeka na północy nazywała się Telkron. Nie zaznaczono położenia Skarbnicy Wiedzy.

Na mapie widniało wiele innych nazw. Jason zauważył Harthenham, spory kawał na północ i wschód od Białego Jeziora za pustą, zieloną przestrzenią oznaczoną jako Ziemie Zatopione.

- Nieźle się spisałeś, wychodząc cało z zamachu - zauważył Dolan.

- Copernum powiedział mi, że nie dożyję wschodu słońca. Starłem się zachować ostrożność. Norval, mój osobisty strażnik, zginął zamiast mnie. Co zrobimy w odwecie?

- Wierzysz, że to Copernum stał za tym zamachem?

- Zważywszy na groźbę, jestem o tym przekonany.

Dolan westchnął.

- Potencjalnych podejrzanych może być bardzo wielu. Nowicjusz na dworze, który zdobywa tytuł kanclerza w tak młodym wieku, może narobić sobie wielu wrogów. Ostre słowa wypowiedziane w chwili zakłopotania nie są wystarczającym dowodem, żeby oskarżyć Copernuma. Na rękojeści noża była czarna czaszka. Tylko służby Maldora posługują się tym znakiem. Jedyne dowód, jakim dysponujemy, sugeruje cesarskiego zabójcę.

- W takim razie Copernum musiał to zaplanować - upierał się Jason. - Albo może poprosił o odwzajemnienie przysługi.

Regent ściągnął brwi.

- Copernum ma silne powiązania z Felrook, ale jest zdecydowanie zbyt potężny, żeby oskarżyć go bez solidnych dowodów. Czy zaaranżował zamach? Pewnie tak. Posłużenie się znakiem cesarza przy ataku było pewnie jego sposobem przypomnienia wszystkim, kto go wspiera. Zabójca jakimś cudem nam się wymknął. Cała straż jest w stanie pogotowia, ale zważywszy, że nie schwytaliśmy zabójcy do tej pory, istnieją małe szanse, że go aresztujemy.

- Czyli mam czekać, aż znowu spróbuje? - zapytał Jason, nie mogąc uwierzyć, że regent mówi o zamachu z takim spokojem.

- Możliwe, że Copernum nie uderzy ponownie zbyt szybko. Wysłał wiadomość. Teraz może zadowolić się pozbawieniem cię urzędu w ramach oficjalnego wyzwania.

- Zamiast nieoficjalnego morderstwa.

- Sam rozumiesz.

Jason skrzyżował ręce na stole.

- Więc nie możemy w żaden sposób się odplącić?

Dolan przekrzywił głowę.

- Ja - powiedział z naciskiem - niewiele mogę zrobić. Z pewnością nie jesteś tak niedoświadczony w sztuce rządzenia krajem, jak udajesz. Ty z kolei możesz zrobić bardzo wiele. Jednakże ostrożnie wyważ swoje możliwości. Większość ludzi w tym królestwie ścieriałaby wszystko, byle tylko uniknąć jawnego sporu z Copernumem.

Łącznie z tobą, dodał w myślach Jason. Na pierwszy rzut oka regent wydawał się o wiele bardziej autentycznym władcą od Gallorana. Jednakże przy uważniejszej ocenie, okazywało się, że nie ma ani kręgosłupa, ani osobowości Ślepego Króla.

- Jeżeli to Maldor stał za atakiem, czy zrobimy cokolwiek?

Dolan machnął ręką.

- Nie ma dowodów, które wskazywałyby Maldora. Jak sam zasugerowałeś, ten sztylet to mógł być podstęp.

- A gdybyśmy uzyskali dowody?

Dolan poruszył się na krześle.

- Uważaj, co sugerujesz. Właśnie straciłem jednego z najlepszych gwardzistów.
- Nie pragnąłby się pan zemścić? Nie chciałby pan sprawiedliwości?

Regent zazgrzytał zębami.

- Bądź rozsądny. Pozory wolności, jakie zachowujemy, zależą od tego, czy zdołamy ugłaskać Maldora. Do tego stopnia, by Copernum również był zadowolony. Gdyby otwarcie postanowił sprzymierzyć się z cesarzem przeciwko nam, wszystko byłoby stracone. Lubię cię, Jasonie. Podziwiam opanowanie, jakie okazałeś, gdy stawiałeś czoło Copernumowi. To był śmiały wyczyn. Mimo to, jesteś parweniusem, o którym wiem bardzo niewiele. W niebezpiecznych czasach trzeba przymykać oko na większą niesprawiedliwość niż nieudany zamach, żeby utrzymać pokój. To królestwo nie może pozwolić sobie na idealizm. Jeśli masz nadzieję przetrwać, musisz nauczyć się sztuki kompromisu.

- Jestem pańskim głównym doradcą - powiedział osłupiały Jason. - Atak na mnie to atak na pana i całe królestwo. A co, gdybym został zabity? Czy mój morderca po prostu wróciłby na poprzednie stanowisko?

- Mądry człowiek wie, że takich pytań się nie zadaje. Opierając łokcie na stole, Jason potarł oczy. Jak Dolan mógł udawać, że tchórzostwo to kompromis? Czy wierzył we własne słowa? Jaka istniała nadzieja dla królestwa, którego przywódca bał się walczyć o sprawiedliwość?

- Nie rozpaczaj - pocieszył go regent. - Wezwałem cię do skarbcza mądrości, ponieważ masz jeszcze jedną możliwość, jeżeli chcesz przetrwać. I to dość kuszącą, jak się wydaje.

Jason uniósł głowę.

Regent wyjął z kieszeni kopertę. Widniała na niej zawiła pieczęć.

- Co to takiego? - zapytał Jason.

- List przyszedł do ciebie dzisiaj w nocy po nieudanym zamachu.

Dolan podał kopertę ponad stołem. Jason otworzył ją i wyjął kremową kartkę zapisaną srebrnym pismem.

Szanowny lordzie Jasonie!

Pokornie proszę, byś zechciał stawić się na Wiecznej Uczcie przy pierwszej

nadarzającej się okazji. Zorganizowany zostanie wspaniały bankiet na Twą cześć w dniu Twego przybycia. Zapewniamy, że zamek Harthenham nieodmiennie zajmuje neutralną pozycję, jeśli idzie o wszelkie kwestie natury politycznej. Zamieszkuje tu szczęśliwie wielu, którzy, podobnie jak Ty, otwarcie sprzeciwili się naszej cesarskiej władzy. Pozwól, że osobiście zachęcę Cię do wykorzystania tej rzadkiej sposobności, byś jako mój honorowy gość na jakiś czas odpoczął od zmagania. Niech mój dom stanie się Twoim niebem. Pański szczerzy wielbiciel, Książę Conrad z Harthenham

Podpis na dole był nieco bardziej zamaszysty niż reszta listu. Jason ponownie odczytał wiadomość.

Oblizując usta, Dolan wyciągnął rękę.

- Mogę zobaczyć?

Jason podał mu list. Regent przeczytał wiadomość, kręcąc głową.

- Nigdy nie widziałem prawdziwego zaproszenia na Wieczną Ucztę.

- Słyszałem o niej.

Regent rzucił mu ostre spojrzenie.

- A kto nie? To tylko raj, który zstąpił do świata śmiertelników. Forteca chroniąca przed wszelkimi zmartwieniami. Sanktuarium nieskończonych rozkoszy. Tym, których zaproszono, odpuszcza się wszelkie zbrodnie, resztę dni dożywają w beztróskim luksusie.

- Zupełnie jakby zostać królem.

- Pod wieloma względami to jest lepsze od urzędu króla. Król ma obowiązki. Wrogów. Lęki. - Dolan mówił jak człowiek, któremu zesłano wizję. - Ci, którzy bawią na Wiecznej Uczcie, znają trudności tylko ze wspomnień.

- Był pan tam kiedyś?

- Nie byłoby mnie tutaj, gdyby się tam znalazł. Nikt nie wraca.

- To jakaś nieuczciwa zagrywka?

- Wprost przeciwnie. Żaden z zaproszonych nie zechciał wracać. Kto porzuca raj?

- Otrzymał pan zaproszenie?

- Niestety, nie - westchnął Dolan. - Cesarz potrzebuje mnie tutaj.

- Zaproszenie jest od samego Maldora?

- Nie wprost. Cesarz sponsoruje ucztę. Conrad jest gospodarzem. Jesteś wyjątkowym szczęśliwcem, Jasonie. Nie musisz obawiać się Copernuma ani nikogo więcej.

Jason wyciągnął rękę i regent oddał mu zaproszenie.

- Więc ta uczta to więzienie.

Dolan się zaśmiał.

- W pewnym sensie być może. Dobrowolne więzienie, gdzie nikt nie narzeka. Sam chętnie przeżyłbym resztę dni w podobnym areszcie.

Jason skinął głową. Sztuczka była wystarczająco oczywista. Uczta była niekończącą się łapówką pozwalającą Maldorowi pozbyć się wrogów. Jednakże perspektywa bezpiecznego oddalenia się od wszelkich niebezpieczeństw była dość atrakcyjna. Skoro ugrzązł w jakiejś innej rzeczywistości, to czemu nie porzucić wszystkich zmartwień i nie przeżyć życia w luksusie? Nicholas zalecał mu, żeby uznał zaproszenie za swój cel. Gdyby jednak ugiął się i udał na ucztę, w jaki sposób kiedykolwiek wróciłby do domu? I co stałoby się z Rachel?

Zerkając na sylabę nad drzwiami, Jason westchnął. Maldor był zły. Ludzie, którzy dla niego pracowali, byli źli. Wieczna Uczta mogła być po prostu jeszcze jedną pułapką. Skąd ludzie mieli wiedzieć, jaka jest wspaniała, skoro nikt stamtąd nie wrócił? Poza tym, fakt, że wysłano zaproszenie, oznaczał, że Maldor zaczynał się niepokoić. I słusznie! Jason znał już połowę Słowa, które mogło go zniszczyć.

Spojrzał na mapę. Nie mógł porzucić misji. Zdobył kolejną dobrą wskazówkę, a Białe Jezioro znajdowało się niedaleko stąd. Nie mógł porzucić Rachel. Nie mógł zarzucić starań o powrót do domu. Nie mógł zdradzić zaufania, jakim obdarzył go Galloran. Ferrin czekał. Jason włożył kartę z powrotem do koperty. Wstrzyma się z tym zaproszeniem. Gdyby kiedykolwiek został przyparty do muru, może zdoła się uratować, przyjmując je.

- To niesamowita propozycja - powiedział. - Mogę poczekać dzień, zanim odpowiem?

Potrzebuję chwili, żeby to przemyśleć.

- Oczywiście. Jasonie, to żaden wstyd przyjąć zaproszenie. Gdybyś abdykował, Copernum wróci na swój urząd i królestwo nadal będzie prosperowało. Ostrzegam

jednak: otwarcie przeciwstawiając się Copernumowi, niezależnie od tego, czy wierzysz w to, że stał za zamachem, czy też nie, niemal na pewno ściągniesz na siebie nieszczęście. Odpuść sobie. Na twoim miejscu zrzekłbym się tytułu kanclerza i dołączył do uczyty. Każdy rozsądny człowiek tak by postąpił. Pozostaniesz zapamiętany jako śmiały lord i zasłużony kanclerz, kiedy będziesz dożywał swoich dni w błogości i bogactwie.

Jason skinął głową.

- Rozumiem. Czy to wszystko?

Regent podał Jasonowi skrawek pergaminu z siedmioma parami symboli.

- To dla ciebie.

- Kombinacja do skarbca mądrości.

- Możesz studiować tu, kiedy tylko zechcesz. Kombinacja nie jest taka sama jak wczoraj i gdybyś podał się do dymisji, znowu się zmieni.

- Mogę potrzebować powozu - powiedział Jason. - Środka transportu.

- Rozumiem - powiedział regent, a w jego głosie pojawiła się ulga. - Mogę w ciągu godziny przygotować powóz wraz z małomównym woźnicą. Gdybyś zdecydował się wyjechać, nikt nie będzie cię winił.

Niektórzy jednak winiliby, pomyślał Jason. Ludzie nie tacy, z jakimi ty pracujesz.

- Dziękuję, Wasza Wysokość.

* * *

Niecałe dwie godziny później kiedy słońce wstawało, Jason wyciągał się w wygodnym zaprzężonym w sześć koni powozie, który z zewnątrz lśnił czarnym lakierem zdobionym srebrnymi filigranami. Miał na sobie podróżne ubranie. Na wyściełanym siedzeniu obok niego leżały zapasy przygotowane przez kucharza i część z dworskiego stroju, który nosił jako lord Jason.

Opończę i pierścienie schował - pierścienie w płaszczu, a opończę zwinął razem z resztą jarmarcznych strojów.

Odsunął zasłonę, żeby zerknąć, kiedy powóz zjeżdżał z płaskowyzu, a potem opadł na oparcie i zamknął oczy. Ledwie mógł uwierzyć, że zostawia za sobą zmartwienia i intrygi Trensicourt. Wierzył, że Rachel będzie miała dość rozumu,

żeby dotrzeć do „Kulawego Jelenia”. Nie wiedział, jak się z nią skontaktować.

Kiedy już powóz zjechał z pochyłości, Jason rozsiadł się wygodniej i próbował się zdrzemnąć. Początkowo uniemożliwiało mu to kołysanie powozu, ale wreszcie zmęczenie wygrało.

Kiedy stangret - drobny, kościsty człowiek - obudził go, potrząsając, stali już przed oberżą. Jason potarł oczy. Szyld nad drzwiami przedstawiał jelenia z rozłożystym porożem.

Jason pouczył woźnicę, żeby na niego poczekał, a potem wysiadł z powozu na bitą drogę. Ferrin opierał się o framugę.

- Prosimy do środka, lordzie Jasonie - powiedział, kłaniając się nisko.

- Nie wypowiadaj głośno mojego imienia - mruknął ściszym głosem Jason, podchodząc do niego. - Nie chcemy wyróżniać się w tłumie.

- Och - powtórzył z równą ostrożnością Ferrin. - Wobec tego możesz przemyśleć sens rozbijania się wyszukany powozem z królewskim godłem. A może wolisz, żebym zwracał się do ciebie „kanclerzu”?

Weszli do środka.

- Wiesz, że zostałem kanclerzem?

- Tego typu wieści niosą się jak na skrzydłach.

- A wiesz, że Copernum próbował mnie zabić?

- Nie. Wyprzedziłeś nowiny. Chciałbym umieć udawać zaskoczonego. A tak, proszę: ten sam człowiek próbował zabić nas obu, ale mu się nie powiodło. To chyba przypieczętowało naszą przyjaźń.

- Copernum rozkazał cię ściąć?

- Któżby inny? Skradłem narzeczoną jego kuzynowi, a potem zabiłem tegoż kuzyna w pojedynku. Dla ścisłości, to kuzyn nalegał na pojedynek, a ja walczyłem uczciwie. Jesteś głodny?

Jason pokiwał głową.

- Co się stało z dziewczyną?

- Dowiedziała się, że jestem rozsadnikiem. - Ferrin machnął ręką na szynkarę i zamówił jedzenie.

Jason wyjął dwie złote kulki i dwie srebrne.

- Zwracam twoje pieniądze. Z procentem.
- Zatrzymaj nadmiar. Nie byłeś inwestycją.
- Mogę sobie pozwolić - powiedział Jason. - Zgarnąłem mnóstwo pieniędzy. A ściśle rzecz biorąc, mój służący zgarnął je dla mnie. Człowiek ma dostęp do niesamowitych funduszy, kiedy jest kanclerzem!

Ferrin przyjął pieniądze.

- Zatrzymam je, dopóki nie będziesz ich potrzebował. - Jakies wieści od Rachel?
- Właśnie chciałem zapytać o to samo. - Nie trzymaliśmy się razem. Nie miałem jak się z nią skontaktować. Mam nadzieję, że się tu zjawi.

- Zjawi się, gdy usłyszysz o twojej ucieczce. - Ferrin popukał knykциями w blat. - Miejmy nadzieję, że już jest w drodze. Trudno byłoby wyprzedzić powóz z szóstką koni.

- Nadal chcesz do nas dołączyć? - zapytał Jason.

- Naprawdę porzucasz urząd kanclerza?

- Jeden zamach na moje życie wystarczy.

Ferrin uniósł brwi i się uśmiechnął.

- Regent będzie wściekły. Nigdy tam nie wracaj.

- Nie podobałaby mi się praca dla Dolana. Sprawia wrażenie tchórza.

Ferrin rozejrzał się pośpiesznie.

- Kanclerz czy nie, zniżaj głos, kiedy mówisz takie rzeczy. Nadal znajdujemy się na terenach podlegających Trensicourt. Niektórzy ludzie wyzwaliby cię na pojedynek, słysząc, jak obrażasz ich władcę. Chociaż przyznaję, że zgadzam się z tobą. Copernum kieruje tym cyrkiem i, jak się spodziewam, niedługo znowu zacznie.

- Więc nadal chcesz z nami podróżować? Z każdym dniem staję się coraz większym celem.

- A jak myślisz, dlaczego tu czekałem?

- Wybieram się do Białego Jeziora - powiedział Jason. - Wiesz, jak się tam dostać?

- Do Białego Jeziora? To trochę odludne miejsce, co? Właściwie to nawet nie jest miasto.

- Musimy znaleźć prawdziwe jezioro, a nie tylko miasto.

- Wybieramy się podziwiać krajobrazy? Nigdy nie widziałem prawdziwego Białego Jeziora. To wymaga wspinaczki. Jeśli jednak tam właśnie chcecie się dostać, to ja również.

- Mam powóz, to powinno pozwolić nam oszczędzić nieco czasu. Pewnie poczekamy tylko na Rachel?

- Towarzyszy ci tylko ten drobny woźnica?

- Tak.

Ferrin rozprostował ręce.

- Mając taki powóz, Białe Jezioro znajduje się raptem dzień albo dwa dni stąd. Konie wyglądają niesamowicie.

- Woźnica zawiezie nas daleko - powiedział Jason. - Właściwie to wyjechałem, mając pozwolenie od Dolana.

- Co? Jak?!

- Dostałem, zaproszenie na Wieczną Ucztę.

Ferrin pokręcił głową.

- Słucham?

- Dolan nakłaniał mnie, żebym przyjął zaproszenie. Właściwie powiedziałem mu, że to zrobię, więc dostarczył mi powóz.

- Ale odrzuciłeś zaproszenie?

- Nie.

- Głupi jesteś? Dlaczego nie? Czekał, a dlaczego właściwie w ogóle dostałeś zaproszenie? Co takiego zrobiłeś?

Jason wzruszył ramionami.

- Może dlatego, że zostałem kanclerzem i przeżyłem zamach.

- To ma sens. Dolan jest silnie powiązany z Felrook, podobnie jak poprzedni kanclerz. Pewnie chcieli się ciebie pozbyć, żeby na nowo zainstalować Copernuma. Tylko dlaczego miałbyś nie przyjąć zaproszenia? Wiesz, jakie łatwe stałoby się twoje życie?

- To może nie wyglądać tak pięknie, jak wszyscy sobie wyobrażają - odparł Jason. - Nie wrócił nikt z tych, którzy tam się udali. Jedzenie może być dobre, ale

dla mnie wygląda to jak więzienie.

- Możliwe - zastanawiał się na głos Ferrin. - Z drugiej strony, jeśli idzie o więzienia, gdybym miał jakieś wybierać, wybrałbym Harthenham, dziesięć razy na dziesięć możliwości. Jesteś ciekawą osobą, Jasonie. Jest w tobie coś więcej, niżby wydawało się na pierwszy rzut oka. Kto wie, ile będziemy czekać na Rachel? Może parę godzin, może parę dni. Powinieneś kazać woźnicy zająć się końmi i samemu coś zjeść.

- Dobry pomysł.

- Ja poczekam tutaj.

Kiedy Jason szedł do powozu, zauważył dwoje jeźdźców nadjeżdżających drogą. Jednym była Rachel.

- Jason! - zawołała, kiedy nawiązali kontakt wzrokowy. Jason pomachał do niej ręką, czując, jak ogarnia go ulga. Na widok Rachel zdał sobie sprawę, jak bardzo się martwił, że coś mogło jej się stać.

Konie zatrzymały się obok Jasona i Rachel zsiadła. Miała na sobie nowe ubrania podróżne, które tym razem na nią pasowały. - To cel twojej podróży? - zapytał mężczyzna, surowy typ o garbatym nosie.

- Tak. Dziękuję, Bruce. - Dobrze więc. Szczęśliwej drogi. Wziął wodze jej konia i odjechał. - Kim by ten facet? - zapytał cicho Jason. - To moja eskorta - odpowiedziała szeptem Rachel. - Nicholas o to zadbał. Okazał się o wiele bardziej pomocny, niżby to wynikało z pierwszego spotkania.

- Jak już wyszliśmy z jego warsztatu, myślałem, że nigdy więcej się z nami nie skontaktuje.

- Najwyraźniej Copernum od razu powiązał go z nami i podejrzewał, że jesteśmy Pozaświatowcami. Nicholas uznał, że dla umocnienia jego pozycji najlepiej będzie, jeśli nam się uda, a potem uciekniemy. Spotkałam się z nim jeszcze dwa razy i przysłał mi kilka listów. Ogromnie się ucieszył, że pokonałeś Copernuma i przeżyłeś zamach.

- To było takie dziwaczne - powiedział Jason. - Nie uwierzyłabyś. Spałem pod łóżkiem, a ten facet wszedł i próbował mnie dźgnąć zatrutym nożem, ale zamiast tego zabił mojego osobistego strażnika.

- Nic ci nie jest?

- Nic. Cieszę się, że dotarłaś bezpiecznie. Martwiłem się. Rachel zarumieniła się nieco.

- Masz sylabę?

- Trzecia brzmi „fex”. Byłem też w skarbcu mądrości.

- Dobre pytanie?

- Rewelacyjne.

- Ferrin tu jest?

- Czeka w środku.

Jason powiedział woźnicy, że pójdą coś zjeść, a potem pojedą do Białego Jeziora. Zachęcił go, żeby sam coś przekąsił i przygotował konie tak, jak uważa za stosowne. Potem Jason i Rachel weszli do „Kulawego Jelenia”. Dotarli do stolika Ferrina w tym samym czasie, co szynkarka.

- Idealne wyczucie chwili - powiedział Ferrin. - Rachel może zjeść mój posiłek. Zamówił następną porcję.

- Nie zabiorę ci jedzenia - odpowiedziała Rachel, kiedy szynkarka odeszli.

- Jeśli go nie tkniesz, będzie stygło i wysychało. Jedz - upierał się Ferrin. - Kiedy wy byliście zajęci, ja odpoczywałem. Powiedz mi więc, Rachel, wyszłaś za mąż za księcia i zostałam przyszłą królową Kadary?

- Mój pobyt w Trensicourt nie był tak ciekawy jak Jasona - powiedziała. - Ale wystarczająco stresujący, żebym się cieszyła, że opuściłam to miasto.

- Zostawcie miejskie życie masochistom - oznajmił Ferrin, machając lekceważąco ręką. - Dla nas jest otwarta droga!

Rozdział 16

Białe Jezioro

Drugiego popołudnia po opuszczeniu „Kulawego Jelenia” Rachel wyglądała przez okno powozu, próbując ignorować ból głowy wywołany podskakiwaniem i szarpaniem w czasie jazdy. Dotarli do kamienistej okolicy z wysokimi drzewami, stromymi wzgórzami i bystrymi strumieniami, i przez cały dzień nie przejechali przez żadne miasto.

Zerknęła na Jasona, który bezskutecznie próbował się zdrzemnąć. Skoro nawet on nie mógł zasnąć, wiedziała, że jazda musi być ciężka. Co za zabawny chłopak. W pierwszej chwili nie zrobił na niej wrażenia szczególnie bystrego, ale zaczynała zdawać sobie sprawę, że mogła wylądować w równoległym świecie z kimś znacznie gorszym. Nie mogła uwierzyć, że zdołał zostać kanclerzem. Gdyby zadał jej to samo pytanie, mogłaby go przebić. „Squirreled” miało dziesięć liter, chociaż niektórzy upieraliby się, że nie jest to słowo jednosylabowe.

Spojrzała na Ferrina. Jak na razie rozsadnik był ich najlepszym odkryciem. Okazał się idealnym przewodnikiem - mądrym, zręcznym i znającym kawał świata. Poza tym był zabawny i w miarę przystojny. Był taki wdzięczny za okazywaną mu przyjaźń, że Rachel była wściekła na pozostałych mieszkańców Lyrianu za dyskryminowanie jego rodzaju.

Zauważył, że mu się przygląda.

- Im bardziej oddalamy się od Trensicourt, tym mniej chcemy tego powozu - powiedział na tyle głośno, żeby go było słychać nawet mimo łoskotu jazdy.

- Powinniśmy ruszyć piechotą, zanim wypadną mi wszystkie zęby - dorzucił Jason.

- Uprzedzałem, że udajemy się w odludne okolice - przypomniał mu Ferrin. -

Drogi będą coraz gorsze, a mieszkańcy coraz mniej przywiązani do prawa. Minęliśmy uporządkowane królestwo Trensicourt. Tutaj są dzikie tereny. Bez uzbrojonej obstawy nasz powóz z pewnością przyciągnie bandytów. W tej okolicy mądry człowiek przywdziewa twardy wyraz twarzy i ukrywa bogactwo.

- Brzmi uroczo - powiedziała Rachel.

- Wolałbym ominąć miasto Białe Jezioro - powiedział Ferrin. - To nie jest miejsce dla ładnej dziewczyny. Społeczności w dziczy są pełne traperów, myśliwych, handlarzy i górników. Nie wspominając już o hazardzistach i ludziach wyjętych spod prawa. Wielu z nich wykorzysta obcego, jeśli tylko nadarzy się okazja.

- Gdzie zostawimy powóz? - zapytał Jason.

Odsuwając zasłony, Ferrin wychylił się przez okno. - Niedługo dotrzemy do ścieżki, która zaprowadzi nas nad jezioro. Powóz się na niej nie zmieści, ale piesza wędrówka potrwa krócej niż dzień.

- Jak stroma jest droga? - zapytał Jason.

- To nic niebezpiecznego - zapewnił go Ferrin. - Ludzie trzymają się z dala od jeziora, ponieważ jest przeklęte, a nie z powodu trudnego podejścia.

- Przeklęte? - zdziwiła się Rachel.

- Podobno jest zaczarowane - powiedział Ferrin. - Nawet twardzi ludzie z tej dziczy trzymają się od niego z daleka, dzięki czemu nikt nie powinien nam tam przeszkadzać.

- Musimy dostać się na wyspę pośrodku jeziora - powiedział Jason.

- Wyspę?! - wykrzyknął Ferrin. - Po co? Wybraliście się na wycieczkę pod hasłem „najbardziej niebezpieczne miejsca na świecie, do których nie sposób się dostać”?

- Dlaczego tak mówisz? - spytała Rachel.

- Nic nie pływa po Białym Jeziorze. Żadne łódki, nawet owady czy pył. A już z pewnością nie ludzie. Tam wszystko tonie. Nikt nie wie, jak głębokie jest jezioro. Ludzie z miasteczka twierdzą, że sięga samego środka ziemi.

- Ale nigdy tak naprawdę nie widziałeś tego jeziora? - upewnił się Jason.

- Nie. Myślisz, że ludzie mogą przesadzać?

- Istnieje tylko jeden sposób, żeby się przekonać.

Ferrin cały czas wyglądał przez okno. Pół godziny później, naciągając kaptur płaszcza, zawołał do woźnicy, żeby stanął. Kiedy wysiedli i zebrali swoje rzeczy, Jason powiedział woźnicy, żeby zawracał do Trensicourt.

- Jesteś pewien, mój panie? - zapytał stangret, zerkając na zakapturzonego Ferrina. - Proszę o wybaczenie, ale znajdujemy się dość daleko od celu, którego się spodziewałem, w niecywilizowanej dziczy, gdzie może się panu stać krzywda.

Rachel nie słyszała wcześniej, żeby woźnica poskarżył się choćby słowem, kiedy Jason wydawał mu polecenia. Najwyraźniej w końcu nie wytrzymał.

- Jestem pewien, Evanie - powiedział Jason. - Muszę załatwić parę spraw po drodze, zanim dotrę do celu, o którym książę Dolan zapewne ci powiedział.

Zręcznym ruchem Evan wyjął kuszę i wycelował w Ferrina.

- Jeśli ten człowiek próbuje pana do czegoś przymusić, to mogę się nim zająć, mój panie.

- Nie, Evanie, to nasz przyjaciel - zapewnił go Jason. - Dziękuję za okazaną troskę, ale naprawdę nie bez powodu tu przyjechałem. Możesz powiedzieć regentowi, że musiałem załatwić kilka niedokończonych spraw.

Evan opuścił broń. - Dobrze więc. Życzę szczęśliwej podróży, mój panie. - Wzajemnie, Evanie - odparł Jason. Woźnica strzelił lejcami i powóz z łoskotem ruszył. - Jak on tu zakręci? - zastanawiała się Rachel. Droga wyglądała na o wiele za wąską. - Będzie jechał przed siebie aż dotrze do polany - oparł Ferrin. - Chodźmy, powinniśmy odejść od drogi, nim zapadnie noc.

* * *

Następnego ranka Ferrin pokazał im z urwistego szczytu miasto Białe Jezioro - osadę z budynkami z bali znajdującą się kilka mil od podnóża przysadzistej stożkowej góry. Złotobrzazowa preria otaczała miasteczko, a za nią ciągnęły się zalesione wzgórza i łańcuchy górskie.

- Gdzie jest jezioro? - zapytał Jason.

- Na szczycie góry - powiedział Ferrin.

- Wygląda jak zgnieciony wulkan - zauważył Jason.

Ferrin potarł brodę.

- Aktywność wulkaniczna mogłaby pomóc wyjaśnić opowieści o nienaturalnym jeziorze.

Zeszli ze wzgórza i ruszyli otwartą, trawiastą równiną oddzielającą ich od góry. Rachel zauważyła, że Ferrin cały czas się ogląda.

- Myślisz, że możemy być śledzeni? - spytała.

- Jestem prawie pewien. To pojedynczy człowiek, trzyma się daleko z tyłu, ale dostrzegłem go parę razy. Może to tylko myśliwy, który się upewnia, że sami opuścimy jego terytorium. Może skręci w bok i zostawi nas teraz, kiedy już wyszliśmy z lasu.

- A jeśli nie? - zapytał Jason.

Ferrin wzruszył ramionami.

- To może być zwiadowca grupy bandytów. Albo nieustępliwy szpieg z Trensicourt. Lub agent cesarza. Trudno zgadnąć.

- Miejmy nadzieję, że to nieśmiały, samotny rybak - stwierdził Jason.

- Ta góra nie wygląda na trudną do wspinaczki - zauważyła Rachel, patrząc przed siebie.

- Racja - zgodził się Ferrin. - Stok wokół góry jest dziwne regularny, dość stromy, ale nigdy za bardzo. Każdy, kto za nami idzie, będzie widział nas jak na dłoni. Za to nikt nie zdoła się do nas podkraść.

Przeszli trawiastą równiną bez przygód i zaczęli wspinaczkę. Stok był wystarczająco stromy, żeby wchodzenie po nim przypominało wchodzenie po schodach. Rachel pochylała się, tak jak Jason, pomagając sobie przy wchodzeniu rękami. W połowie drogi zrobili przerwę na lunch. Mieli już imponujący widok na równiny i lasy za nimi. Kiedy skończyli jeść, Ferrin ogłosił, że najwyraźniej zgubili ogon.

Gdy wreszcie dotarli na wierzchołek, Rachel miała obolałe nogi i plecy, zmęczone od pochylania się. Pot perlił jej się na twarzy. Zapomniała jednak o całym odrętwieniu na widok dziwnego jeziora.

Szczyt szerokiej góry przypominał kalderę, wypełnioną niemal po brzegi mulistym białym płynem. Maleńka wysepka, ledwie stos kamieni, widniała niemal na samym środku. Powierzchnia Białego Jeziora była nienaturalnie gładka. Zbiornik

emanował ciepłem, przez co powietrze nad nim drżało. Okolicę wypełniał zapach zbyt długo gotowanych jajek.

- Chodźcie - powiedział Ferrin, kierując się do brzegu jeziora.

Jason i Rachel dołączyli do niego.

Ferrin podniósł mały płaski kawałek drewna, pokazując go jak magik przed wykonaniem sztuczki. Podał drewnienko Jasonowi.

- Lekkie, prawda?

- Tak.

- Normalnie unosiłoby się na wodzie?

- Chyba tak.

- Zobaczmy, co się tu stanie.

Ferrin podał drewnienko Rachel.

Przykucnęła, świadoma żaru promieniującego z jeziora, i delikatnie położyła kawałek drewna na kremowej powierzchni. Drewno utonęło, prawie nie poruszając powierzchni jeziora.

- Z czego jest to jezioro? - zapytał Jason.

- Nie z wody - odparł Ferrin.

- Przypomina ciasto naleśnikowe - powiedziała Rachel. - Czy ktokolwiek dotarł na wyspę?

- Nie mam pojęcia - odrzekł Ferrin. - Ludzie mówią, że Białe Jezioro jest przeklęte. Jeśli nikt tu nie przychodzi i nic po tym jeziorze nie pływa, to nie wyobrażam sobie, żeby ktoś mógł dotrzeć na wyspę. I nie wyobrażam sobie, dlaczego wy chcecie się tam dostać. Nie chcę patrzeć, jak toniecie.

Jason zerknął na Rachel. - Mogliśmy otrzymać złe informacje? - Informacje? - powtórzył Ferrin. - Ktoś powiedział wam, żebyście tu przybyli? Kto? Dlaczego?

Jason przykucnął, wybrał płaski kamień i cisnął nim z ukosa. Kamień pokonał spory dystans, odbił się raz, drugi, i jeszcze parę razy, robiąc krótsze susy. Kiedy stracił pęd, utonął.

- Widzieliście? Kamień odbił się z dziesięć razy!

- Aha - odpowiedział Ferrin zaintrygowany.

Jason puścił kolejną kaczkę, uzyskując podobny wynik. Rachel złapała kolejny

kamień, tym razem mniej płaski i cisnęła nim niemal prosto w wodę. Odbił się w miarę wysoko, jakby powierzchnia jeziora była twarda, a potem skoczył raz jeszcze, tym razem niżej, i zatonął.

- Dziwne - mruknęła Rachel, biorąc kamień do ręki i kucając nad jeziorem.

Trzymając mocno kamień, uderzyła w powierzchnię cieczy z całej siły. Jezioro sprawiało wrażenie twardego. Rachel uderzyła tak parę razy. Płyn nawet nie chlupnął. Powierzchnia ledwie zafalowała. Rachel obejrzała kamień, zauważając, że nie ma na nim odrobiny płynu. Kiedy upuściła kamień lekko do jeziora, zatonął.

- Powierzchnia twardnieje pod wpływem nacisku - zauważył Jason. - Spróbujmy z wielkim kamieniem.

Razem z Rachel dźwignęli ciężki głaz i wrzucili do jeziora. Oczywiście odbił się raz, zanim stracił pęd i zatonął.

Rachel podeszła do brzegu i tupnęła nogą w powierzchnię.

- Robi wrażenie twardej. Ugina się tylko odrobinę, jak zbyt mocno naciągnięta trampolina.

Zanurzyła nogę powoli. Syropowate jezioro owinęło się wokół podeszwy jej buta.

- Nie! - wykrzyknął Ferrin, rzucając się ku niej.

Kiedy część jej buta zanurzyła się pod powierzchnię, niepokojące ssanie zaczęło wciągać go głębiej. Rachel szarpnęła gwałtownie nogą i poczuła, że woda twardnieje wokół częściowo zanurzonego buta, jakby włożyła nogę do betonu. Kiedy się rozluźniła, płyn zaczął zasysać głębiej. Rachel szarpnęła znowu, mając nadzieję, że wyrwie stopę z buta, który zanurzył się już do połowy, ale był zbyt dobrze zasznurowany.

Ferrin i Jason złapali ją pod boki, przytrzymując.

- Spróbuj wyciągać nogę jednostajnym ruchem, niezbyt mocno - poradził jej Ferrin.

Rachel skinęła głową. Kiedy ciągnęła zbyt mocno, płyn twardniał. Jej jedyną nadzieją było wyciągnąć nogę stopniowo. Wsparta na Ferrinie i Jasonie oparła się zasysaniu, dzięki czemu but nie zanurzał się już głębiej. A potem, ciągnąc bardzo delikatnie, zdołała powoli i równo wyciągnąć but z płynu.

Kiedy już oswobodziła nogę, zatoczyła się, odsuwając od jeziora. Zdyszana, klapnęła ciężko na ziemię. Jej but wyglądał jak pomalowany na biało niemal do kostki. Kiedy mu się przyglądała, ciecz w nienaturalny sposób spłynęła z buta i zebrała się w małym zagłębieniu - na bucie nie pozostał nawet ślad wskazujący, że był biały.

- Dzięki za pomoc - powiedziała. - Gdybym była tu sama, już byłoby po mnie. Nie spodziewałam się takiego ssania!

- Drewnisko, które położyłaś wcześniej na jeziorze, zatoneło w dziwny sposób - przypomniał Ferrin. - Wydawało się, że jezioro je zassało.

- Wyobrażacie sobie tonięcie w tym jeziorze? - powiedział Jason. - Człowiek zapadałby się, a gdyby próbował płynąć, jezioro twardniałoby wokół niego. Z kolei, kiedy rozluźniałby się, natychmiast byłby zasysany głębiej. Idealne lotne piaski.

- Jezioro było bardzo ciepłe, nawet przez but - dodała Rachel.

Ferrin skinął głową.

- Wystarczająco ciepłe, żeby poparzyć odsłoniętą skórę, jak się domyślam. Nadal zamierzacie dostać się na wyspę?

Rachel spojrzała na stos kamieni na środku jeziora. Obraz drżał w gorącym powietrzu.

- Jak myślicie, jak daleko się znajduje?

Ferrin zmrużył oczy.

- Trudno powiedzieć. W pobliżu wyspy nie ma niczego, co pozwalałoby ocenić odległość. Żar bijący z jeziora może zniekształcać naszą percepcję. Wyspa może znajdować się dalej, niż się wydaje.

- Dajcie mi sprawdzić, czy jezioro utrzyma mój ciężar - powiedział Jason. - No wicie, przebiegnę kawałek w tę i z powrotem.

- Lepiej ja - zaproponował Ferrin. - Jak ugrzęźnie mi noga, zawsze mogę ją zostawić.

- Pewnie - powiedziała Rachel - ale jak daleko zajdziesz w dziczy bez stopy?

- Nie zatoniemy, dopóki nie staniemy - upierał się Jason. - Patrz.

Wybiegł na jezioro, mocno tupiąc. Powierzchnia zadygotała lekko w miejscach uderzenia, ale Jason nie zatonął.

Zawrócił i przybiegł z powrotem.

- Dobra robota, kanclerzu - powiedział Ferrin.

- To jezioro cuchnie - stwierdził Jason. - A na powierzchni bardziej odczuwa się żar. Bieg do wyspy będzie prawdziwym koszmarem.

- Tyle że to nasza jedyna opcja - powiedziała Rachel.

- Chyba że postanowimy poszukać rozrywki gdzie indziej - wymamrotał Ferrin.

- Musimy to zrobić - oznajmił z determinacją Jason. - W każdym razie ja muszę. Nie ma sensu, żeby ryzyko podejmowała więcej niż jedna osoba.

- Nie, teraz moja kolej - odezwała się Rachel. - Ja jestem biegaczem. Mam większą szansę. Ty zeskoczyłeś z urwiska, pamiętasz? Następny klif jest mój.

- Wy dwoje wiecie coś, o czym nie mówicie - zaczął badawczo Ferrin. - Spodziewacie się coś tam znaleźć.

- Nie możemy ci powiedzieć - odparł Jason. - Niewiedza cię chroni. To ma coś wspólnego z powodami, dla których cesarz nas ściga i dlatego zostałem kanclerzem.

- To nie w porządku, że trzymamy cię przy sobie - powiedziała Rachel. - Narazamy cię na niebezpieczeństwo. Gdybyśmy ci wszystko wyjaśnili, tylko pogorszylibyśmy sprawę.

- Mną się nie martwcie - powiedział Ferrin. - Widzę więcej niż mówię i nie zamierzałem wtykać nosa w nie swoje sprawy. Chciałem tylko, żebyście oboje mieli pewność, że cokolwiek się tam znajduje, warte jest narażania życia.

- Jest - powiedziała Rachel. - Dużo od tego zależy. Jason, pozwól mi pobiec do wyspy. Jestem mniejsza, lepiej zbudowana do dużych dystansów. Dam radę.

Jason nadał policzki i wypuścił powietrze. Uniósł palec.

- Jeśli się poślizgniesz, nigdy ci tego nie wybaczę. Ani sobie.

- Nigdy się nie potykam - zapewniła go Rachel.

Przyjrzała się jezioru. Z łatwością mogła przebiec szybkim truchtem trzy, cztery mile, ale tym razem bieg będą utrudniały jej nietypowe zmienne. Miała ciężkie buty zamiast biegowych. Żar z jeziora może przyspieszyć zmęczenie, a dalej od brzegu może być bardziej gorąco. Poza tym będzie musiała uderzać nogami mocniej niż zwykle, żeby przypadkiem stopa nie wpadła jej pod powierzchnię. Gdyby zdarzyło

się to dalej od brzegu i wpadła choć troszeczkę, byłoby po niej.

Mimo niebezpieczeństwa, musiała spróbować. To nie w porządku, żeby Jason podejmował wszelkie ryzyko, zwłaszcza kiedy ona miała większe szanse od niego.

- Poczekaj chwilę - powiedział Jason, grzebiąc w torbie. - Depozytariusz wiedzy dał mi jagody, które dodają energii. To może być idealny moment, żeby zwiększyć wytrzymałość!

Wyjął torebkę i wysypał na dłoń garstkę wysuszonych jagód. Podniósł do nosa jedną, pokrytą ciemnymi plamami, i natychmiast się zakrztusił.

- Zepsuły się - powiedział Ferrin. - Jedzenie ich narobi więcej szkód niż da korzyści. - Cudownie - mruknął Jason, wrzucając zepsute jagody do jeziora. - Nie martw się - powiedziała Rachel, rozcierając niespokojnie nogi. - Dam sobie radę. Daj mi tylko parę minut, żebym się rozluźniła i rozciągnęła.

Znalazła wielki płaski kamień i położyła się na nim na kilka minut, skupiając się na oddechu. Potem wstała, podwinęła rękawy i zdjęła z siebie wszystko, co niepotrzebne. Zastanawiała się, czy nie pobiec boso albo w skarpetkach, ale uznała, że lepsze będzie dodatkowe obciążenie w postaci butów, jeśli mają ją chronić przed żarem z jeziora.

Złapała się za kostkę i zgięła nogę do tyłu, rozciągając mięsień czterogłowy uda i utrzymując tę pozycję piętnaście sekund. Potem rozciągnęła drugą nogę. Nie uginając nóg w kolanach pochyliła się, dotykając ziemi między stopami.

Zerknęła na Jasona.

- Miej na mnie oko. Nie powinieneś siedzieć tu i tracić czasu, jeśli się utopię.

- Jeśli masz się utopić, to nie biegnij.

- Dobrze się czuję - powiedziała Rachel, próbując przekonać siebie w równym stopniu, co Jasona. - Dam sobie radę.

Podeszła do brzegu jeziora.

- Stawiaj stopy mocno i szybko - podkreślał Jason. - Będzie gorąco i będzie śmierdziało. Jeśli okaże się, że nie możesz tego znieść, zawracaj.

- No, chyba że będziesz dalej niż w połowie drogi - dodał Ferrin.

- W porządku. Biegnę.

Stojąc trzy kroki od brzegu jeziora, Rachel ruszyła truchtem. Starła się

ignorować fakt, że wybiegała na powierzchnię jeziora, które kilka minut temu próbowało zassać ją w głąbiny. To wydawało się samobójstwem.

Przy pierwszym szybkim kroku na Białym Jeziorze poczuła, że powierzchnia z łatwością utrzymuje jej ciężar. Po kilku kolejnych zaczęła ufać powierzchni i wpadła w rytm. Jezioro ugięło się wystarczająco, żeby zwrócić jej część energii, którą wkładała w tupanie. Dopóki będzie mocno stawiać nogi, nic jej się nie stanie. Ponieważ wydatkowała dodatkową energię na ruch stopami w dół, nie przemieszczała się do przodu tak szybko jak przy normalnym biegu, ale złapała sensowne tempo i nic nie wskazywało, żeby płyn wciągał jej stopy.

Oparła się pokusie obejrzenia się przez ramię, skupiając całą energię na dotarciu do wyspy i utrzymaniu sprężystego kroku. Tak jak się obawiała, im dalej wybiegała na jezioro, tym robiło się goręcej. Wkrótce powietrze, którym oddychała, zmieniło się z nieprzyjemnie ciepłego w naprawdę gorące, a odór przybrał na sile. Zaniepokoił ją gwałtowny wzrost temperatury. O ile goręcej będzie? Biały płyn nie bulgotał, nie gotował się, nawet nie burzył. Nie unosiła się z niego para. Jedynym widocznym wskaźnikiem ciepła było drżenie przedmiotów przed nią, dygocący obraz wyspy, rozfalowany jak miraż.

Rachel zaczęła oddychać rwanym rytmem, o wiele szybciej, niż się spodziewała. Pochyliła się nieco, próbując wycisnąć więcej ruchu do przodu. Co gorsza, wcale nie wydawało się, że wyspa jest o wiele bliżej. Rachel otarła pot z czoła gołym przedramieniem, które też było mokre.

Skupiła się na powierzchni jeziora dokładnie przed sobą, ignorując wyspę. Głęboki oddech sprawił, że gardło i płuca wypełniła jej warstewka gorącego siarkowego smrodu, który przenikał powietrze. Bez mała czuła jego smak. Próbowała ignorować to wrażenie, bo robiło jej się od niego niedobrze.

Wkrótce koszula zupełnie przesiąkła potem. Zrobiło się naprawdę duszno. Zupełnie jakby biegła w saunie. Parzące powietrze rozrywało płuca.

W końcu podniosła wzrok. Znajdowała się zdecydowanie bliżej celu, ale nie wystarczająco. Temperatura była piekielna. Wyczerpanie w połączeniu z żarem emitowanym przez jezioro było obezwładniające. Głowa zaczęła jej pękać. Bolesna kolka płonęła w boku. Przeciężone mięśnie sprawiały, że nogi miała jak z gumy.

Przerwała bieg i zaczęła skakać w miejscu. To wymagało nieco mniejszego wysiłku niż bieg i obciążało inne mięśnie. Walczyła, żeby przełknąć gulę w gardle, ignorować duszący żar palący płuca. Wyspa nadal znajdowała się kilkaset jardów dalej.

Powierzchnia jeziora zaczęła wydawać się kleista. Z każdym kolejnym skokiem czuła, że podeszwy lepią się coraz bardziej. Zdała sobie sprawę, że skacze coraz bardziej leniwie. Nie uderzała stopami wystarczająco mocno ani nie odrywała ich odpowiednio szybko. Jeśli wrażenie nasili się, przekraczając granicę kleistości, jej buty się zapadną, a ona umrze.

Ta myśl pchnęła ją do przodu. Nie ma sensu skakać, kiedy powinna biec przed siebie, zwłaszcza gdy okazało się, że podskoki nie pozwalają tak odpocząć, jak miała nadzieję. Słony pot zalewał jej oczy. Otarła je. Nudności osłabły, gdy skakała, ale powróciły, gdy ruszyła biegiem.

Źle stanęła i prawie się potknęła. Przez chwilę powierzchnia jeziora wydawała się niepokojąco mokra. Zaraz Rachel złapała równowagę i popędziła przed siebie jeszcze szybciej, nie odrywając oczu od wyspy. Zbliżała się.

Miedziany posmak krwi w gardle wyostrzył się, kiedy oddychanie stawało się coraz bardziej mozolne. Biegła w piecu. Czy powietrze bardziej drżało, czy wzrok jej się zamglił? Miała zawroty głowy. Wyspa znajdowała się niecałe sto jardów dalej. Wyglądała na większą niż z brzegu - nie jak stos kamieni, lecz jak stos głązów.

Każdy może przebiec sto jardów, pomyślała niezbyt przytomnie Rachel. Każdy oddech palił jej umęczone płuca. Płonące mięśnie w nogach były bliskie całkowitego wyczerpania. Z każdym krokiem pot spływał z niej strugami. Pole widzenia na obrzeżach zaczynało ciemnieć.

Wyspa była tak blisko, ale Rachel nie wiedziała, czy zdoła do niej dotrzeć. Ludzkie ciało ma swoje ograniczenia, nawet w najbardziej kryzysowych sytuacjach. Pewne rzeczy były zwyczajnie fizycznie niemożliwe. W każdej chwili mogła zemdleć, a to będzie koniec. I w pewnym sensie ulga. Miała wrażenie, że jej własne nogi są gdzieś daleko i jak z waty. Powłóczyła stopami i potykała się, zamiast biec. Jezioro pod podeszwami butów kleiło się jak świeżo położony asfalt.

Wyspa znajdowała się tylko trzydzieści jardów dalej. „Każdy może przebiec

trzydzieści jardów”.

Ostatnim heroicznym zrywem Rachel przyspieszyła do pełnego biegu. Musiała dotrzeć do wyspy, zanim zemdleje! Nogi odmówiły jej posłuszeństwa i Rachel upadła.

Lewą ręką uderzyła w palącą powierzchnię. Potem prawą. Leciąca, więc pozwoliła sobie przeturlać się do przodu, próbując desperacko wykorzystać pęd, żeby znów zerwać się na nogi i pobiec.

Wymiociny buchnęły jej z ust, kiedy Rachel dotarła do kamienistego brzegu wyspy i rzuciła się do przodu na czworakach. Kiedy trzymała spuszczoną głowę, żołądek znowu jej się zacisnął i żrący plugawy płyn buchnął z ust.

Otarła obrzydliwość ze spierzchniętych warg. Miała wrażenie, że oddychanie nic nie daje. Kiedy uniosła gwałtownie głowę, próbując znaleźć wyżej świeże powietrze, skoro na dole go brakowało, poczuła nagłe uderzenie krwi do głowy i ciemność z obrzeży jej pola widzenia nagle rozlała się do środka, połykając wszystko.

* * *

Kiedy Rachel odzyskała przytomność, leżała z policzkiem na ciepłym kamieniu. Usiadła ostrożnie. Miała wrażenie, że słońce się nie przesunęło, jej ciało nadal było śliskie od potu, więc uznała, że zemdląca tylko na chwilę.

Kiedy zerknęła z powrotem w stronę brzegu, przez drżące powietrze z trudem dostrzegła wyraźne kształty, które mogły być Ferrinem i Jasonem. Żar i zaduch na skalistej wysepce były niemal tak samo nieznośne jak powietrze bezpośrednio nad jeziorem.

Wstała, rozcierając łokieć, na którym już tworzył się brzydki siniak. Dlaczego zgłosiła się na ochotnika? Może zostanie na wyspie na zawsze? Nie wyobrażała sobie ponownego przebiegnięcia przez jezioro.

Nigdy w życiu nie była bliższa śmierci niż kiedy potknęła się pod koniec biegu. Ile jeszcze takich sytuacji o włos od śmierci spodziewała się przetrwać? Powróciła myślami do rodziców. Całe ich życie kręciło się wokół Rachel. Jej zniknięcie w arroyo musiało przyprawić ich o szaleństwo. Co by zrobili, gdyby nigdy nie wróciła do domu? Nie, nie mogła przyjąć do wiadomości takiej ewentualności. Musiała

wrócić do domu, dla siebie, ale przede wszystkim dla mamy i taty.

Wyspa naprawdę wyglądała na raptem wielki stos głazów, większych i mniejszych. W najwyższym punkcie wznosiła się jakieś czterdzieści stóp nad poziom jeziora. Jedyнным śladem życia były kępki fioletowo-szarego mchu porastającego niektóre kamienie.

Na chwiejnych nogach zaczęła okrążyć wyspę, rozglądając się za czymkolwiek poza kamieniami na kamieniach. Wskazówka, której potrzebowała, mogła być nabazgrana na skale. Albo zakopana. Albo w ogóle mogło jej nie być na wyspie. Może Nicholas coś poplątał?

Obeszła ćwierć wyspy, uważnie stawiając kroki, żeby nie skręcić sobie kostki, kiedy zauważyła cienistą szczelinę jakiś kawałek od brzegu w górę stoku. Czy to mogło być wejście do jaskini?

Kiedy podeszła do otworu, zobaczyła, że prowadzi w głąb stosu kamieni, opadając. Tunel wyglądał, jakby w każdej chwili miał się zawalić. Dopiero potem zauważyła, że szczeliny między skalnymi ścianami i sklepieniem wypełniono zaprawą.

Weszła do cienistego tunelu. Im dalej schodziła, tym chłodniejsze stawało się powietrze. Przenikliwy smród jeziora słabł. Wciągała zachłannie powietrze, wdzięczna za wytchnienie od straszego żaru.

Tunel ciągnął się zaskakująco daleko. Kiedy oceniła, że musi znajdować się w środku wyspy, jeśli nie za nim, okrągły tunel rozszerzył się w przykrytą kopułą salę o podłodze z mocnego kamienia i z sadzawką pośrodku. Fioletowawy mech, który widziała na zewnątrz, rósł tu gęsto. Kilka innych szybów wznosiło się ku powierzchni pod różnym kątem. Wszystkie były mniejsze niż tunel, którym Rachel doszła do komnaty, i większość była niedostępna, bo kończyła się zbyt blisko sklepienia. Przez te szyby do sali wpadało światło słoneczne.

Dlaczego panował tu taki chłód, skoro sala była wystawiona na żar z jeziora? I dlaczego nie została zalana lata temu tą białą mazią?

- Minęły wieki, odkąd miałem gościa - powitał ją słaby głos. Rachel aż podskoczyła, rozglądając się gwałtownie w poszukiwaniu właściciela głosu. Zauważyła głowę starego mężczyzny na ziemi w pobliżu brzegu sadzawki, w

połowie ukrytą za kamieniem. Głowa uśmiechnęła się, kiedy nawiązali kontakt wzrokowy.

Zanim poznała Ferrina, ten widok mógłby wystarczyć, żeby znowu zemdląca. Zresztą, nawet teraz widok obciętej głowy był niepokojący.

- Jesteś rozsadnikiem? - spytała.

- W rzeczy samej.

Głowa miała długą siwą brodę i długie siwe włosy, ale na jej czubku widniała łysina. Broda zarastała wysoko policzki, zakrywając całą twarz z wyjątkiem oczu, nosa i głęboko pożłobionego czoła.

- Gdzie jest reszta ciebie? - zapytała Rachel.

Dostrzegła kątem oka ruch, więc się obróciła. Pomarszczona ręka, odcięta tuż przed ramieniem, pełzła po kamiennym podłożu.

- Tylko tyle mi zostało - odpowiedziała głowa.

Rachel odwróciła się do głowy.

- Jak zdołałeś przeżyć?

Głowa uniosła krzaczastą brew.

- Jem mech. Specjalnie został tak pomyślany, żeby był pełen wartości odżywczych, to odmiana wynaleziona wieki temu przez jakiegoś czarnoksiężnika. Przynosi mi go moja ręka. Podaje mi też w dłoni wodę z sadzawki.

- Co się stało z resztą ciebie?

- Masz mnóstwo pytań.

Rachel otworzyła usta, żeby odpowiedzieć, ale głowa weszła jej w słowo.

- To mi nie przeszkadza. Miło jest porozmawiać. Nie jesteś złudzeniem, prawda?

- Nie, naprawdę tu jestem.

- Dlaczego się tu zjawiłaś?

- Pracuję dla Gallorana, szukam Słowa.

- Zatem Galloran żyje! - wykrzyknęła głowa. - Spodziewałbym się, że, gdyby nadal żył, Maldor już dawno by upadł.

- Galloran zawiódł.

- Tragiczna wieść. Nasze szanse zawsze były małe. Przynajmniej są inni, którzy nadal walczą o sprawę. A odpowiadając na twoje poprzednie pytanie, moje ciało

leży na dnie morza. Chciałabyś poznać tę historię?

- Pewnie.

Rachel przykucnęła obok głowy.

Głowa zamrugła i uśmiechnęła się. Wyglądało no to, że rozsadnik był zachwycony tym, że wreszcie ma publiczność.

- Dawno temu zrobiłem coś nie do pomyślenia. Szpiegowałem Maldora. - Zdanie o szpiegowaniu wypowiedział szeptem. - Przez lata byłem mu wierny, więc stałem się potężnym szpiegiem, o niezwykle mocnej pozycji i wiele razy pomogłem pokrzyżować plany Maldora. Zaufałem człowiekowi imieniem Dinsrel, z Meridonu, który przekonał mnie, że musimy pozbyć się Maldora i zapobiec epoce tyranii. Wierzyłem, że ten Dinsrel zdoła wywołać rewolucję. Odpływałem z zachodniego wybrzeża na północ na okręcie wojennym, kiedy odkryłem, że Maldor wie o mojej zdradzie. Szpiegowałem go już niemal rok i wpłatałem się w coś, co miało być moją najdonioślejszą zdradą. Wiedziałem, że mam kłopoty, kiedy obudziłem się związany i w płóciennej torbie. Trudno dłużej utrzymać rozsadnika skrępowanego, ale oni hojnie posłużyli się linką i sznurem zarówno wewnątrz torby, jak i na zewnątrz, więc minęła godzina, zanim dokonałem rzeczywistych postępów w uwolnieniu siebie. Podczas gdy robiłem dziurę, żeby uciec z torby, usłyszałem, że drzwi się otwierają. Brutalne ręce złapały mnie i wyciągnęły na podkład. Rozcięto worek i ujrzałem straszliwą scenę. Otaczała nas Czarna Armada. Zebrała się cała flota Maldora, łącznie z jego statkiem flagowym. Trzy okręty wojenne należące do Dinsrela zostały pochwycone. Zjawił się sam Maldor. Kazał mi patrzeć, jak zakuwają Dinsrela i kilku innych przywódców. Pozostałych buntowników stracono. Później Maldor publicznie wychłostał mnie za zdradę, pouczając mnie i wszystkich słuchających, że wszelkie próby stawienia mu oporu ostatecznie obrócą się na jego korzyść. Jakimś cudem Maldor dowiedział się, że nie dochowałem mu wierności, i wykorzystał mnie, żeby wywabić Dinsrela z ukrycia. Dinsrel miał nadzieję, że przechwyci statek, na którym się znajdowałem wraz z cennym ładunkiem. Maldor zamienił próbę kradzieży w mistrzowską pułapkę, niszcząc jednym ciosem rodzącą się rebelię. Po egzekucji ciała wyrzucono za burtę, plugawiąc morze. Mnie przeniesiono na statek flagowy. Pozostałe statki odpłynęły. Maldor kazał odciąć mi

głowę wraz z jedną ręką. Resztę mojego ciała umieszczono w ciężkim sejfie i wyrzucono za burtę. Po dziś dzień wyczuwam wokół siebie wodę, chociaż tylko wtedy, gdy się skupię. Mogę dotykać zardzewiałego wnętrza sejfu. Dopóki moje znużone serce bije na dnie morza, pozostaję żywy.

- Jak zdołałeś zbiec? - spytała Rachel.

Kostki bolały ją od kucania, więc dla odmiany uklękała.

- Trzymano mnie w celi razem z człowiekiem imieniem Drake, nasiennikiem, jednym z najbliższych doradców Dinsrela, i Rexem, najlepszym zabójcą Dinsrela. Rex przemycił do celi wytrych we włosach. Nocą otworzył zamek naszej celi. Rex zabił pierwszego strażnika bezszelestnie, ale następny podniósł alarm. Nie dało się uratować pozostałych. Drake i Rex wywalczyli sobie drogę na pokład razem ze mną i skoczyli do morza. Rexa zabiła w wodzie strzała. Znajdowaliśmy się wiele mil od brzegu, ale Drake zdołał przepłynąć spory kawał, trzymając moją głowę nad wodą. Moja ręka trzymała się kurczowo jego karku przez całą drogę. Gdyby statek był dużo dalej na morzu, nie byłoby mnie tu dzisiaj. Kiedy Drake dotarł do plaży, był wyczerpany. Biedaczyna padł na piasek. Przed świtem zbudziłem go, uderzając w powiekę. Podniósł mnie wtedy i ruszyliśmy w głąb łądu. Sporo czasu spędziłem jako bagaż, przekazywany z rąk do rąk. Po pewnym czasie doszły mnie wieści o kolejnej zdradzie rozsadnika: głównego skryby Maldora, Salzareda. Wtedy dowiedziałem się o Słowie. Człowiek, który poznał piątą sylabę, przywiózł mnie tutaj. W końcu odszedł. Zostałem tu od tamtego czasu, przechowując fragment Słowa, a rok płynął, za rokiem.

- Niesamowita historia - przyznała Rachel.

- Czy miałabyś coś przeciwko temu, żeby zbliżyć me usta do wody, żebym mógł się napić? Strasznie dużo zawracania głowy z przynoszeniem wody w dłoni.

- Oczywiście, że nie. Dlaczego nie zostaniesz bliżej wody?

Głowa znajdowała się jakieś sześć stóp od sadzawki. To przedziwne, że ręka dawała radę donieść jej choć odrobinę wody. Rachel podejrzewała, że nabrała niezłej wprawy.

- Na wypadek deszczu. Dwa razy prawie utonąłem, to miejsce tak szybko napęlnia się wodą. Ledwie zdołałem odepchnąć głowę na czas. Trudno przesunąć się

szybko, gdy ma się tylko rękę.

Rachel zaniósła zarośniętą, pomarszczoną głowę do brzegu sadzawki i pochyliła ją ostrożnie, odgarniając długą brodę najlepiej jak potrafiła, aż usta dotknęły powierzchni wody. Głowa piła chciwie, aż wreszcie przestała, wzdychając z zadowoleniem.

- Nie piłem tak, odkąd zjawił się tu Galloran.

- On jako ostatni cię tu odwiedził?

- Zgadza się. Jak to się stało, że zawiódł? Miał prawie wszystkie sylaby, kiedy dotarł tutaj.

- Nie znam wszystkich szczegółów - powiedziała Rachel. - Pochwycono go i zafundowano mu pranie mózgu. Zapomniał większość z tego, czego się dowiedział. Pomógł jednak mnie i mojemu przyjacielowi rozpocząć nasze poszukiwania Słowa.

- Wielka szkoda. Dobry człowiek, ten Galloran. Możesz odłożyć mnie na miejsce.

Rachel odłożyła głowę tam, gdzie wcześniej się znajdowała.

- Zapomnieliśmy się sobie przedstawić - powiedziała głowa. - Jestem Malar.

- A ja jestem lady Rachel z Caberton.

Głowa uniosła siwe brwi.

- Caberton. Piękna posiadłość.

Rachel pokręciła głową.

- Już nie. Galloran nadał tytuł mojemu przyjacielowi i mnie, ale słyszałam, że posiadłość popadła w ruinę.

- Szkoda. Za moich dni była jedną z najwspanialszych. Świat się zmienia, kiedy siedzisz odcięty w jaskini. Towarzyszy ci przyjaciel, młodzieniec?

- Tak - odpowiedziała z wahaniem Rachel.

- I pozwolił ci pokonać jezioro? - Nalegałam. Jestem biegaczem. - Masz charakter. Prawdziwy z niego szczęściarz. - My nie... Jesteśmy tylko przyjaciółmi. - Zakładam, że pragniesz poznać Słowo. - Tak. - Piąta sylaba brzmi „dra”. Odwiedziłaś już nadmorską jaskinię? - Owszem. - Jakich sylab ci brakuje? - Drugiej i szóstej. - Świetnie ci idzie. Szósta znajduje się pod pieczęcią Wieszczyki w sercu Ziemi Zatopionych, na północ i na wschód stąd. Druga znajduje się bardzo daleko na

południowy wschód, w Świątyni Mianamon. Nie wiedziałbym, gdzie znajduje się druga, gdyby nie Galloran. Jest jedyną znaną mi osobą, która w ogóle ją znalazła.

Rachel usiadła. Ulżyło jej, że znowu miała wytyczoną drogę. Teraz mogła połączyć nazwy miejsc z brakującymi sylabami! I mieli już dwie trzecie Słowa! Może Ferrin będzie wiedział coś o Świątyni Mianamon.

- Mówisz, że służyłeś Maldorowi, tak samo jak inny rozsadnik, Salzared. Wielu rozsadników mu służy?

Głowa zachichotała.

- Ty też siedziałaś zamknięta w jaskini? Wszyscy mu służą, zgodnie z umową. Wszyscy jesteśmy jego szpiegami.

Po plecach Rachel przeszedł dreszcz.

- Wszyscy? Na pewno?

- Zgodnie z moją wiedzą, tylko Salzared i ja go zdradziliśmy. Naszą rasę stworzył dawny mistrz Maldora, Zokar. Mogło się nieco zmienić w świecie, ale z pewnością nie aż tyle.

Rachel zakryła usta dłonią.

- Podróżujemy z rozsadnikiem.

Malar się skrzywił.

- Skąd taki niemądry pomysł? Jesteś Pozaświatowcem?

Rachel pokiwała głową.

Malar popatrzył na nią zaskoczony, jakby jego pytanie było jedynie retoryczne.

- Cóż, to sporo wyjaśnia. Podróżujecie tylko we trójkę?

- Tak. - Jak to się stało, że wylądowaliście w towarzystwie zlepką? - Ostatnie słowo wypluł, wyrażając w nim całą pogardę.

- Jego głowa wisiała w torbie na skrzyżowaniu dróg. Ciało zostało zakopane w pobliżu. Powiedział, że go napadnięto.

Malar spuścił wzrok, jakby zawstydzony faktem, że sam jest rozsadnikiem.

- Typowa pułapka wykorzystująca waszą niewiedzę. Długo już z wami jest?

- Dość długo.

- Był wiernym towarzyszem?

- Mieliśmy wrażenie, że to nasz jedyny prawdziwy przyjaciel.

- Zatem jest tylko obserwatorem - uznał Malar. - Rozmówcie się z nim, a powinien odejść bez przemocy, chyba że czasy drastycznie się zmieniły.

- Kiedy powinniśmy się z nim rozmówić?

- Natychmiast. O każdym ruchu dokonanym w jego towarzystwie Maldor już usłyszał albo wkrótce usłyszy. O każdej waszej silnej stronie, każdej słabości, o każdym atucie, każdym planie. I będą w pobliżu inne sługusy Maldora gotowe uderzyć. Kiedy już się z nim rozstaniecie, oddalcie się szybko.

- To jakiś koszmar - powiedziała Rachel.

- Nie ma gorszego życia niż wtedy, kiedy przeciwstawisz się Maldorowi. Uwierz mi, już ja to wiem.

- Masz coś przeciwko, że się napiję?

- Częstuj się. Musisz umierać z pragnienia po przebiegnięciu przez Białe Jezioro.

Rachel pochyliła się nad brzegiem sadzawki i zaczął popijać wodę. Mocno smakowała minerałami i była tak zimna, że Rachel rozboleły zęby. Mimo strasznego pragnienia, które rozbudziły w niej pierwsze łyki, musiała kilka razy odsuwać się, tak lodowata była woda.

- Jakim cudem woda jest taka zimna?

- Magia.

Rachel spojrzała na głowę.

- Nie żartuję. Na dnie znajduje się kamień, który emanuje wiecznym chłodem. Dzięki temu to pomieszczenie nie zamieniło się w piec. Jakiś stary czarnoksiężnik zaprojektował ten azyl.

- Mam jeszcze jedno pytanie. Wiesz, jak mogę wrócić do Poza?

Malar zmarszczył brwi.

- W tym nie mogę ci pomóc. Mówi się, że dawno temu istniało więcej bram do Poza niż teraz. Sam nie znam żadnej. W moich czasach krążyła plotka, że Maldor posiadał jakiś sekret związany z takim portalem. Nie poznałem żadnych szczegółów, a i ten urywek zdobyłem z mało wiarygodnego źródła.

Rachel usiadła obok głowy.

- Nie śpieszy mi się, żeby znowu przebiec jezioro.

- Często się zastanawiam, ilu zginęło, próbując je przekroczyć. Przez wszystkie

te lata tylko cztery osoby mnie odnalazły. A mieszkam tu od dziesięcioleci. Nie byłem młody, kiedy tu przybyłem, ale rozsadnicy wolniej się starzeją niż inne rasy i mamy silniejsze organizmy. Nakarmisz mnie mchem, zanim sobie pójdziesz?

Rachel obeszła sałę, zbierając mech. Kiedy go ścisnęła, wypłynął z niego klejący sok. Nakarmiła mchem Malara.

- Sama też powinnaś zjeść trochę - zasugerował Malar. - Daje mnóstwo energii. Pomoże ci przebiec przez jezioro.

Rachel powąchała mech. Nie miał zapachu, może wydzielał delikatny aromat ściętej trawy. Spróbowała trochę. Był wręcz nieznośnie mdły i prowokował u niej odruch wymiotny.

Głowa zachichotała.

- Chciałbym powiedzieć, że z czasem rozsmakowałem się w nim, ale mogę tylko przyznać, że do niego przywykłem.

Rachel wmusiła w siebie jeszcze odrobinę. Nie chciała utonąć w jeziorze z braku energii, bo okazała się wybrednym niejadkiem.

- Grzeczna dziewczynka - pochwalił ją Malar.

Wreszcie strawiła sporą porcję mdłego mchu.

- Daj sobie godzinę albo dwie - zalecił Malar. - Wtedy będziesz miała najwięcej energii. Napij się jeszcze trochę, ale nie pij nic w ciągu trzydziestu minut przed biegiem. A zanim pobiegiesz, zmocz koszulę i włosy. To pomoże ci zachować chłód. I biegnij do brzegu na wschodzie, dokładnie z kierunku, z którego tu weszłaś. Tam brzeg jest najbliżej, chociaż różnica nie jest duża.

Rachel pokiwała głową. Napiała się jeszcze trochę wody z dłoni. A potem położyła się i zasnęła.

Obudziła się, słysząc krzyk Malara:

- Lady Rachel! Lady Rachel! Obudź się!

Rachel zerwała się, mrużąc powieki i trąc oczy.

- Co się stało?

- Nic. Minęły już ponad dwie godziny. Powinnaś ruszać.

Rachel wstała i zaczęła się rozciągać. Potem zanurzyła głowę w wodzie i wyjęła ją, prychając i dygocąc. Zmoczyła ubranie. Dostała gęsiej skórki na ramionach.

- Trudno uwierzyć, że za kilka minut będzie mi gorąco.
- Uwierz w to.
- Chyba czas się pożegnać - powiedziała Rachel. - Chcesz, żebym cię wzięła ze sobą? Zabrała stąd?
- Muszę tu pozostać, żeby przechować sylabę - powiedział Malar. - Potężne czary chronią tę komnatę.
- Dziękuję za pomoc. Jakies jeszcze praktyczne rady?
- Potraktujcie stanowczo rozsadnika. Potrafimy być niezwykle szczwanym narodkiem.
- Do zobaczenia.
- Wątpię. Niech wam się powiedzie w waszej misji. Szczęśliwej podróży.
- Dziękuję, Malarze. Szczęśliwego... zajadania mchu.

Rozdział 17

Jasher

- Wyszła - oznajmił Ferrin, wstając i otrzepując ziemię ze spodni. Jason podniósł wzrok i zobaczył drobniutką postać schodzącą po stosie kamieni w stronę jeziora. Ulga zastąpiła w nim niepokój. Czuł się potwornie, kiedy Rachel przekoziółkowała pod koniec biegu, a potem patrzył na jej nieruchomą postać na kamienistym brzegu odległej wyspy. Wreszcie wstała i zniknęła w szczelinie między skałami. Przenieśli się z Ferrinem na brzeg naprzeciwko szczeliny, do której Rachel weszła, ale mijały godziny, a ona nie dawała znaku życia. Jason zaczynał tracić nadzieję, kiedy wreszcie się pojawiła.

Rachel zeszła nad jezioro i zaczęła biec. Rozgrzane powietrze zniekształcało jej drobną postać.

- Biegnie prosto do nas - powiedział Jason. - Powinniśmy jej pomóc? Może ponieść?

- Możemy narobić więcej szkód niż dobrego - powiedział Ferrin. - Jeden niezręczny ruch i wszyscy razem zatoniemy w jeziorze. Miejmy nadzieję, że Rachel doszła do siebie po ostatnim biegu i dotrze na brzeg bez pomocy.

Jason przyglądał się bacznie Rachel, zdeterminowany popędzić jej na pomoc, gdyby zaczęła słabnąć. Utrzymywała niezłe tempo i stopniowo, w miarę jak zbliżała się do brzegu, Jason zaczął się rozluźniać. Włosy i ubranie miała przemoczone, twarz zaczerwienioną, oczy zmrużone z wysiłku, ale jej krok pozostał pewny, kiedy zbiegła z jeziora i padła na kolana, gwałtownie kaszląc.

- Nic ci nie jest? - spytał Jason. - Mogę ci jakoś pomóc?

- Daj mi sekundę - wydyszała, wstając i chodząc z rękami zaplecionymi za głową.

- Jesteś niesamowita - powiedział Ferrin. - Znalazłaś to, czego szukacie?

- Nie - odpowiedziała, nadal dysząc. - Mieliśmy złe informacje. Niczego nie znalazłam. Tylko opuszczoną jaskinię.

Rozsadnik zmarł.

- Dlaczego akurat teraz postanowiłaś zacząć mnie okłamywać?

Rachel spiorunowała go wzrokiem.

- Ponieważ właśnie się dowiedziałam, że ty nas okłamywałaś.

Zapadła niezręczna cisza. Ferrin podrapał się po nosie.

- Co masz na myśli?

- Mam na myśli to, że szpiegujesz nas dla Maldora - oskarżyła go.

- Co?! - wykrzyknął Jason. Rachel spojrzała na przyjaciela. - Dowiedziałam się na wyspie, że Maldor wykorzystuje rozsadników jako swoich szpiegów. Wszyscy dla niego pracują.

- A czy kiedykolwiek twierdziłem, że nie jestem szpiegiem? - zapytał spokojnie Ferrin.

- Więc to nasza wina?! - wściekała się Rachel. - Powinniśmy byli cię zapytać? Tam, skąd pochodzimy, kiedy poznaje się nowych przyjaciół, zakłada się, że nie są szpiegami twojego największego wroga.

- Świat Poza wygląda na cudowne miejsce - odparł powściągliwie Ferrin.

- Chwileczkę, więc to prawda? - zapytał go z niedowierzaniem Jason. Czuł się tak, jakby niespodziewanie oberwał.

- Jak wiele wiesz na nasz temat? - spytała Rachel.

Ferrin wzruszył ramionami.

- Więcej niż mi powiedzieliście. Wiem, że jesteś ze świata Poza. Wiem, że zadawaliście się z Galloranem. Wiem, że wyruszyliście na poszukiwanie Słowa, które może zniszczyć Maldora. I jestem pewien, że właśnie zdobyliście kolejny fragment na tej wyspie.

- Wiesz o Słowie? - dopytywał się Jason.

- Niewielu o nim wie - odparł Ferrin - nawet spośród wewnętrznego kręgu Maldora. Oczywiście, nikt z nas nie zna szczegółów.

- Okłamywałaś nas od samego początku - powiedziała Rachel.

Ferrin pokręcił głową.

- Przeciwnie, przez większość czasu byłem z wami szczerzy.

Rachel się skrzywiła.

- Powiedziałeś, że zostałeś obrabowany, kiedy znaleźliśmy cię na skrzyżowaniu dróg.

- Tak. To było kłamstwo. Powiedziałem wam parę kłamstw, żeby zdobyć wasze zaufanie.

Jason zacisnął dłonie w pięści.

- Zdradziłeś nas. - Chciał uderzyć Ferrina w twarz. - Nic dziwnego, że wszyscy nienawidzą rozsadników. My po prostu byliśmy za głupi, żeby dowiedzieć się dlaczego.

Ferrin ściągnął brwi i uniósł palec.

- Pomagałem wam i chroniłem was. Dzięki mojej obecności nie dopadło was wielu werbowników i harataczy. Zjawiłem się jako obserwator, nie wróg. Naprawdę sprawiało mi przyjemność wasze towarzystwo i mam o was najlepsze zdanie. - Ferrin sprawiał wrażenie urażonego.

Jason przewrócił oczami. To było niewiarygodne. - Więc co teraz? - Chodźcie ze mną - powiedział Ferrin. - Zabiorę was oboje do Maldora. Jesteście dobrymi ludźmi, a Maldor docenia dobrych ludzi. Jeśli złożycie mu przysięgę lojalności, zapewne da wam wygodne pozycje i znaczne wpływy. Poręczę za was. Możecie zapewnić sobie dobre życie.

- A jeśli nie pójdziemy? - spytała Rachel, podnosząc płaszcz i zarzucając go na ramiona.

Ferrin uniósł ręce, pokazując wnętrze dłoni.

- Wiem, że sięgasz właśnie po orantium, Rachel. Przeszukałem wasze rzeczy, kiedy spaliście. Nie ma potrzeby odwoływać się do przemocy. Jeśli nie chcecie mojej pomocy, odejdę. Nigdy nie skrzywdziłbym żadnego z was. To część mojej roli obserwatora. Zacząłem moją znajomość z wami, wiedząc, że wolno mi stać się waszym prawdziwym przyjacielem. Maldor woli, żeby tak było, bo wtedy otrzymuje dokładniejsze dane. Fascynuje go charakter wrogów i zawsze pragnie uczynić z najlepszych swoich sprzymierzeńców. Wedle własnego uznania, mogę

wam nawet pomagać i parę razy pomogłem, jak na przykład wtedy, kiedy zaatakowali was tamci mężczyźni i wyładowaliśmy w więzieniu. Nigdy nie zażądano by ode mnie, żebym przelał waszą krew, ani ja bym tego nie zaproponował. Szczerze was lubię i szanuję. Kiedy jednak odejdę, nie będę już was chronił, a na waszej drodze znajduje się wielu wrogów. Chociaż jesteście odważni i pomysłowi, nie zajdziecie daleko.

- Dlaczego naprawdę nam nie pomożesz? - zaproponował Jason. - Porzuć Maldora. Z twoją pomocą możemy złożyć w całość resztę Słowa.

Ferrin się roześmiał.

- Nigdy nie przeszedłbym na drugą stronę. Mogę udawać, że przeszedłem i dalej szpiegować, jeśli tego chcecie. Życie nie jest idealne w służbie u Maldora, ale jest o niebo lepsze niż bycie w jego opozycji. Naprawdę jestem waszym przyjacielem i nie pragnę waszej krzywdy, ale przede wszystkim jestem wierny swoim obowiązkom.

Jason zmarszczył czoło.

- To szaleństwo.

- To ze wszechmiar rozsądne - zapewnił go Ferrin. - Rozsądnicy dawno temu dowiedzieli się, co to znaczy znaleźć się po przegrywającej stronie. Rasy, które spłodził Eldrin, Amar Kabał i drinlingowie, odziedziczyły ojczyzny, podczas gdy rasy Zokara stały się poszukiwanymi uciekinierami, pogardzanymi i prześladowanymi. Ostatnim razem rozsądnicy walczyli po stronie niewłaściwego czarnoksiężnika. Tym razem stoimy przy jedynym czarnoksiężniku. Jego prawdziwe zmagania zakończyły się lata temu. Teraz tylko sprząta.

- Nie, jeśli zdobędziemy Słowo - powiedziała Rachel.

Ferrin znowu się zaśmiał.

- Nie macie szansy zdobyć całego Słowa! Maldor cały czas was monitorował. Kiedy zostałem waszym obserwatorem, wiedziałem szczegółowo o każdym miejscu, w którym wcześniej się znaleźliście. Kiedy zechce was schwytać, zrobi to. Jeżeli mnie odeślecie, jego ludzie najpewniej natychmiast was pochwyć.

Nie wyobrażacie sobie nawet, jakie siły może przeciwko wam wytoczyć. Módlcie się, żeby nie przysłał czatownika.

- Nie poddamy się - powiedział Jason.

- Nigdy tak naprawdę nie spodziewałem się, że zrezygnujecie. - Ferrin westchnął. - Po prostu wolałbym, żebyście to zrobili. Starajcie się nie stawiać oporu, kiedy po was przyjdą. Zabiją was, jeżeli będziecie walczyć. Albo pozabijacie się sami, jeżeli nie będziecie uważać z orantium.

- Dzięki za radę - odparła gorzko Rachel.

- Nie bądź taka kąśliwa - powiedział Ferrin. - To powinno wam schlebiać. Maldor rzadko kiedy wysyła obserwatora. Nie okazał podobnego zainteresowania przeciwnikiem od wielu lat.

- Czujemy się niezmiernie zaszczytzeni - odparł oschle Jason.

Ferrin skrzyżował ręce.

- Jesteś ze świata Poza. Dlaczego właściwie zawracacie sobie głowę powstrzymaniem Maldora?

Jason wzruszył ramionami.

- Zapowiadała się niezła zabawa.

- Bądź poważny - zachnął się Ferrin.

Jason się zastanowił.

- Nie wiem. Trafiłem do Lyrianu przypadkiem. Przepadłem natrafiłem na durną książkę. Potem spotkałem Gallorana, który powiedział mi o Maldorze. Nawet kiedy go opuszczałem, najbardziej interesował mnie powrót do domu.

- Dlaczego nie skupić się na tym? - zachęcił go Ferrin. - Może mógłbym wam w tym pomóc. To nie jest wasz świat. To nie wasza walka.

Jason zmarszczył czoło.

- To się staje moją walką. I może nie jest to mój świat, ale to jest świat. Cały świat.

Niewinni ludzie żyją tu w strachu i straszliwe rzeczy przydarzają im się tu bez żadnego powodu. Aster został zabity, życie Franny zniszczono tylko dlatego, że była dla mnie miła. Norval oddał za mnie życie. Im lepiej poznaję tych, którzy pracują dla Maldora, i im lepiej poznaję tych nielicznych, którzy próbują stawić mu czoło, tym bardziej zdaję sobie sprawę, że tu naprawdę chodzi o walkę dobra ze złem. I dobro przegrywa. A jeżeli my możemy to zmienić?

- Musimy spróbować - przytaknęła mu stanowczo Rachel.

- Może jesteście sprytni - zastanawiał się na głos Ferrin.
- Dlaczego? - zdziwił się Jason.
- Jeśli poddaliście się zbyt łatwo, Maldor mógłby stracić do was szacunek.
- Tu rzeczywiście trafiłeś - odparła Rachel. - Naprawdę na niczym nam tak nie zależy, jak na jego szacunku.

- Myślisz, że sobie żartujesz. Życie tylko dzięki jego szacunkowi. To wasza jedyna nadzieja.

Jason westchnął.

- Marnujemy światło dnia.
- Daleko nie zajdziecie - oznajmił smutno Ferrin. - Słudzy Maldora dopadną was w ciągu dnia. Będziecie stawiać opór, ale nic wam to nie da. Bądźcie na tyle mądrzy, żeby pogodzić się z nieuniknionym. Nikt nie będzie was za to winił. W przeciwnym wypadku, niezależnie od tego, co zrobicie, wkrótce zostaniecie zabici lub aresztowani.

- To już nie twoje zmartwienie - odparła Rachel.
- Zawsze będę się wami interesował - zapewnił ją Ferrin. - Dokąd zmierzacie?
- Akurat ci powiemy - naburmuszył się Jason.
- Wiecie, dokąd się udać?

Jason wzruszył ramionami.

- Pozwólcie, że was ostrzeżę. Na północy zachód stąd góry są nie do przebycia. Na północ i wschód stąd leżą Ziemie Zatopione. Będziecie potrzebować znacznych zapasów, jeśli wybieriecie się w tamtym kierunku. To moczary. Niewiele jest tam wody zdatnej do picia. Na południe leży Trensicourt. Trzymajcie się z dala od tego miejsca. Na zachodzie napotkacie rozrzucone miasteczka. Zachodnie pustkowia kryją pewne zagrożenia, ale można na nich zgubić pościg i znajdziecie tam mnóstwo bąblowców, jeśli będziecie mieli otwarte oczy.

Ferrin otworzył sakiewkę i wyjął stamtąd dwie srebrne kulki i dwie złote.

- Nie chcę twoich pieniędzy - odparł Jason.
- Dlaczego? Oddaję tylko dar, na który nie zasługuję. To może być moja ostatnia szansa pomocy wam. Odchodzę daleko stąd.

Jason wziął kulki. - Weźcie też tę kuszę. Ferrin podał broń Rachel. Przewiesiła

ją przez plecy. - Na pewno nie chcesz przyjąć zaproszenia na Wieczną Ucztę? - zapytał Jason rozsądnik. - Może mógłbym wykorzystać pewne wpływy i załatwić zaproszenie także dla Rachel.

- Nie sądzę.

- Naprawdę polecam - naciskał Ferrin. - Byłem tam. Harthenham to nie podstęp. Nagroda jest prawdziwa. To nie wasza walka. Maldor może stracić część szacunku do was, jeśli się poddacie, ale w Harthenham to nie ma znaczenia.

- Powinniśmy już ruszać - powiedziała Rachel.

Ferrin popatrzył jej w oczy, zanim odpowiedział.

- Posłuchajcie, ostateczna propozycja: Jasonie, przyjmij zaproszenie na ucztę. Zabiorę cię tam teraz i gwarantuję, że Rachel też dostanie zaproszenie. Odwołają pościg. Nie będziecie musieli stawić czoła Maldorowi ani nikomu innemu. A ja tym czasem spróbuję dowiedzieć się, jak możecie wrócić do Poza. Mam powody wierzyć, że Maldor zna sposób. Nigdy mi go nie zdradzi, ale mam talent do wygrzebywania informacji. Kiedy się zorientuję, zjawię się po was i odeślę was do domu.

Jason się zawahał. Zerknął na Rachel, która też wyglądała, jakby się zastanawiała. Propozycja była kusząca. Początkowo powrót do domu to było to, czego najbardziej pragnął. A gdyby mógł wylegiwać się w raju, czekając, aż ktoś dostarczy mu drogę powrotu?

- Nie chcecie, żeby haratacze i werbownicy zawlekli was do więzienia - powiedział Ferrin. - A dojdzie do tego już wkrótce, jeśli odejdziecie. Rzucam wam linę ratowniczą. Nieliczni oponenti, którzy przeciwstawiają się Maldorowi, nie zdołają wam pomóc wrócić do domu. Bądźcie rozsądni. Nikomu innemu nie złożyłbym równie atrakcyjnej oferty.

- Nie ufam ci - powiedziała Rachel.

- Dotrzymam słowa - przysiągł Ferrin, kładąc rękę na sercu. - Kłamałem, żeby zdobyć wasze zaufanie, ale czy kiedykolwiek was zawiodłem? Zawsze stałem przy was. Wiem, Rachel, że chcesz zobaczyć rodziców. Nie odtrącaj jedynej nadziei na powrót do domu.

- Pewnie, że chcę zobaczyć rodziców! - warknęła Rachel. Łzy napłynęły jej do oczu. - Nawet sobie nie wyobrażasz, jak bardzo byliśmy związani! Nie masz pojęcia.

Ale Jason ma rację. Jeżeli mamy szansę uratować ten świat, jak moglibyśmy odejść? Zbyt wielu ludzi tutaj poddało się! Galloran powiedział, że bohaterowie poświęcają się dla sprawy. Robię rzeczy, przed którymi inni się uchylają. Może nie jestem wielkim bohaterem, ale nie uchylę się przed tym zadaniem. W przeciwnym razie nie mogłabym żyć z taką świadomością.

- Ja też - dodał Jason, ciesząc się, że Rachel twardo obstaje przy swoim.

Ferrin pokręcił głową. Podniósł kamień i puścił kaczkę po powierzchni Białego Jeziora. Wyglądał na rozdartego. Kiedy się odezwał, brzmiało to szczerze:

- Mógłbym zrozumieć ten wybór, gdybyście mieli jakiegokolwiek szansę powodzenia. Tyle że nie macie. Mówię wam prawdę. Nim minie następny dzień, będziecie martwi albo schwytani. Zaproszenie do Harthenham zostanie odwołane. Nie traci ważności tylko wtedy, kiedy zjawiasz się tam na ochotnika.

- Nie będzie żadnej umowy - upierał się Jason.

Ferrin skinął głową.

- Jak sobie życzycie. Przedstawię Maldorowi pochlebny raport. Ruszam na południe. Nie będę się porozumiewał z tymi, którzy was ścigają. Powinniście pewnie udać się do miasta po zapasy, ale śpieszcie się. Nie nocujcie tam. Szerokiej drogi.

- Palant jesteś - powiedział Jason.

- Przestań - mruknęła Rachel. - I bez tego sprawy źle się układają.

- On ma rację - powiedział Ferrin. - Zasłużyłem na utratę waszego szacunku i zaufania. Nie cieszy mnie to, jak się rozstajemy. Zawsze uważałem was za przyjaciół. Dość słów, musicie ruszać. Nie będę za wami szedł. Zapomnijcie o mnie. Pośpieszcie się. Byłbym uszczęśliwiony, gdybyście mnie zaskoczyli i wymknęli się stąd.

Odwrócił się i ruszył przed siebie.

Jason i Rachel patrzyli przez chwilę, jak rozsadnik idzie ku południowemu krańcowi jeziora, a potem odwrócili się i ruszyli na wschód w stronę miasta. Gramoląc się w dół po stoku, szli wystarczająco szybko, żeby Jason zaczął się obawiać, że polecą na łeb, na szyję.

- Czego dowiedziałaś się na wyspie? - zapytał, gdy schodzili.

- Poznałam piątą sylabę - odparła.

Zdradziła mu sylabę i opowiedziała, czego dowiedziała się od Malara na temat lokalizacji pozostałych dwóch.

- Ziemie Zatopione - powtórzył Jason. - Według Ferrina będziemy potrzebować mnóstwa słodkiej wody.

- Dzięki, że zachowałeś tam taką odwagę - powiedziała Rachel.

- Sama byłaś bardzo dzielna. Wygląda na to, że masz świetnych rodziców. Musi być ci strasznie ciężko odrzucić możliwość zobaczenia ich.

Wzruszyła ramionami i odwróciła wzrok. Dolna warga jej zadrżała. - No jasne. Tęsknię za nimi. Jestem pewna, że się o mnie martwią. Wszystko robimy razem. Ty też masz zżytą rodzinę, prawda?

- W pewnym sensie - odparł Jason. - Moi rodzice to dobrzy ludzie. Na pewno się o mnie martwią. Mam starszą siostrę i brata. Wszyscy się kochamy, ale oni zawsze trzymali bardziej ze sobą niż ze mną. Nigdy nie wpasowałem się tak do końca. W domu zrobiło się bardzo cicho, kiedy moje rodzeństwo wyjechało. O ile nie kłóciłem się ze staruszkami, rzecz jasna. Szczerze mówiąc, czasem się zastanawiam, czy rodzice zamierzali mnie mieć. Mój brat i siostra mają te grubaśne albumy z dzieciństwa pełne zdjęć i takich tam. Mój jest pusty.

- To na pewno nic nie znaczy - powiedziała Rachel. - Rodzice mogli być bardziej skupieni na dokumentowaniu wszystkiego przy pierwszych dzieciach.

Jason wzruszył ramionami.

- Ojciec naprawdę uwielbia mojego brata, zwłaszcza że dostał się do liceum medycznego. Mama zawsze miała obsesję na punkcie mojej siostry. Obie przepadają za wspólnymi zakupami. Moja siostra jest najstarsza. Wyszła za endodontę. Jestem młodszy jakieś dziesięć lat. Kiedy moje rodzeństwo było w domu, przy kolacji tylko słuchałem. Myślę, że rodzice próbują się mną zainteresować, ale zawsze mam wrażenie, że się wysilają. Ojciec z pewnymi rzeczami nawet nie próbuje, na przykład z baseballem.

- Zawsze trochę żałowałam, że nie mam rodzeństwa - powiedziała Rachel.

- Ja też. To nie ich wina. Różnica wieku jest za duża. Mamy zupełnie inne zainteresowania. Mojego brata interesują debaty i szkoła. Nie sport. Moja siostra jest bez mała jak moja ciotka. Jestem wdzięczny za swoich rodziców. Dbają o mnie.

Jednak tak naprawdę w ogóle się nie znamy, nie tak jak ty i twoi rodzice. W pewnym sensie robię, co chcę. Nawet kiedy chcą mi dać szlaban, kłócę się tak długo, aż ich zamęcę.

Rachel zachichotała.

- Kiedy moi rodzice karzą mnie, trzymają się tego. Ale rzadko kiedy mam kłopoty.

- Zabiorę cię do domu - powiedział z powagą Jason. - Obiecuję. Uciekniemy tym, którzy nas ścigają, jakoś zakończymy tę misję i wrócimy do domu, niezależnie od tego, co myśli sobie Ferrin.

Rachel skinęła lekko głową.

Jason widział w oddali miasto Białe Jezioro, usytuowane za południowowschodnim podnóżem stożkowej góry. Będzie tam niebezpiecznie. Ferrin, wbrew swoim zapewnieniom, mógł przewidzieć, że tam zejda, i przekazać już wieści do miasta. Wrogowie mogą już czekać. Jednakże w mieście będą mogli kupić konie, co może zaważyć na próbie ucieczki. Sprawdził sztylet.

- Trzymaj kuszę pod ręką - poradził Rachel. - Będę ją miała pod płaszczem. W pogotowiu.

* * *

Białe Jezioro było zakurzoną wysuniętą placówką pełną krzepkich mężczyzn w obszarpanych ubraniach. Wielu nosiło zwierzęce skóry. Większość miała zarośnięte twarze. Największe budynki wyrastały wzdłuż centralnej drogi, a rozrzucone chaty, szopy i przybudówki stały w przypadkowych grupkach dalej od głównej drogi.

Jason unikał kontaktu wzrokowego z innymi mężczyznami, a oni zwykle postępowali tak samo. Znalazł sklep. Stary człowiek siedział przed frontem na kawałku kłody i strugał kawałek drewna. Sprężyny strużyn walały się u jego stóp. Jason i Rachel weszli do sklepu. W jednym kącie wisało kilka pojemników na wodę. Jason kupił dwa wielkie, włochate bukłaki. Po napełnieniu będą bardzo ciężkie, więc postanowił poczekać z wlaniem wody, aż zdobędzie konia.

Ociągał się, żeby zobaczyć, co kupią inni mężczyźni. Rachel czekała u jego boku ze spuszczoną głową. Wielu ludzi kupowało bochny przaśnego chleba, który nazywano „zapchajbrzuchem”.

Kupowano także sporo suszonego mięsa. Jason kupił wielki kawał chleba i trochę mięsa.

W kącie zbierał się tłum, z parą krzepkich mężczyzn pośrodku.

Jason pośpiesznie wyprowadził Rachel ze sklepu i ruszyli ulicą, zanim wplątali się w to, co się tam szykowało - cokolwiek to było. Teraz potrzebowali pary porządnych koni.

- Przepraszam - usłyszeli czyjś głos za plecami.

Jason się odwrócił. Za nimi stał niski mężczyzna, który kiedyś miał tylko jedną rękę.

Jason sięgnął pod płaszcz i złapał rękojęć sztyletu.

Tad uniósł rękę.

- Nic wam z mojej strony nie grozi. Przyszedłem ubić z wami interes.

Jason trzymał rękę na sztylcie, a kciuk oparł na spuście.

- Daruj sobie - powiedział, odsuwając się powoli od mężczyzny. - Nie pójdziemy z tobą.

- Nie spodziewam się tego - odparł Tad. - Nie chcę robić sceny, aresztując was w mieście. Wolałbym raczej załatwić to dyskretnie. Jestem tu, żeby zaoszczędzić wszystkim czasu. Możecie wziąć mojego konia, jeśli chcecie uciekać. Wolelibyśmy zatrzymać was z dala od miasta. Oczywiście, jeśli wolicie oszczędzić sobie wysiłku, możecie oddalić się teraz razem ze mną.

- Gdzie twój koń? - spytał Jason. - Ma drewnianą nogę czy coś w tym guście? - To dobry wierzchowiec - zapewnił go Tad. - Poniesie was oboje. Biercie go i jedźcie, jeśli chcecie. Cokolwiek zdecydujecie, nie uda wam się uciec.

- A jeśli weźmiemy cię jako zakładnika? - zapytał Jason.

- Stajesz się bezwzględny? Człowiek, który tam stoi, stanowi prawo w tym mieście.

Jason zerknął na lewo i zobaczył wielkiego mężczyznę opierającego się o słupek i oglądającego sobie paznokcie. Nosił potężny miecz.

- Powiedziałem mu, żeby miał na mnie oko - wyjaśnił Tad. - Jeśli chcecie mnie zaatakować bez żadnej prowokacji z mojej strony, proszę bardzo, ale naprawdę nie jestem wart takiego zachodu. Jestem najmniejszym z waszych kłopotów.

Jason rozejrzał się, przyglądając się paradye twarzy ludzi idących w obie strony ulicą.

Tad się zaśmiał.

- Pozostali nie są tu z nami, ale nas obserwują. Żeby ich teraz zgubić, potrzebowalibyście skrzydeł.

- A twój koń ma skrzydła? - zapytała Rachel.

- Przykro mi.

- Zobaczymy go - powiedział Jason.

Tad wzruszył ramionami.

- Jak sobie życzycie. To ten przywiązany tam gniadosz.

Jason zerknął na konia. Stał obok paru innych i wyglądał na zdrowego. Zmrużył oczy, patrząc na Tada. Niski mężczyzna odpowiedział mu spokojnym spojrzeniem - jedno oko miał piwne, drugie niebieskie.

- Czyli możemy po prostu wyjechać?

- Pewnie. Nie zajedziecie daleko, ale zostałem pouczony, żeby przedstawić wam taką możliwość.

- Co o tym myślisz? - zapytał Rachel Jason.

- Myślę, że potrzebujemy dwóch koni - odpowiedziała.

- Dali mi tylko jednego - odprł Tad. - Macie pieniądze?

- Mnóstwo - odparł Jason.

Tad odwrócił się do potężnego przedstawiciela prawa.

- Wiesz, czy ktoś w tym mieście ma konie na sprzedaż?! - zawołał. - Porządne konie.

- Mam nadzwyczajnego wierzchowca - odpowiedział mężczyzna. - Niestety, nie na sprzedaż.

- Wszystko ma swoją cenę - odparł Tad. - W porządku, nieznajomy - powiedział przedstawiciel prawa, podchodząc do nich. - A gdybym powiedział: dwieście droom?

Tad spojrział na Jasona.

- Możesz tyle zapłacić?

Jason skinął głową.

- Jak on wygląda?

- To ona. Jest inteligentna i niezawodna. To ta kara klacz obok wierzchowca waszego przyjaciela.

- Wygląda w porządku? - zapytał Rachel Jason.

- Dla mnie tak - odpowiedziała. - Musimy się śpieszyć.

Jason wyłowił dwie złote kulki.

- Możemy zabrać ją od razu?

- Za dwie stówy? - zaszydził przedstawiciel prawa. - A proszę was bardzo!

- Do zobaczenia - powiedział Jason do Tada, odwracając się i idąc w stronę konia.

- Z pewnością! - zawołał za nim niski mężczyzna.

Jasonowi ulżyło, że nauczył się nieco na temat jazdy konnej.

Zdołał dosiąść gniadego konia i skierować go w dół ulicy bez specjalnej niezgrabności. Rachel dosiadła swoją klacz jak zawodowiec. Wyjechali z miasta na południe, a potem skręcili na wschód. Jason rozglądał się po otaczającej ich prerii, szukając ciekawskich oczu obserwujących ich poczynania. Wiele razy zerkał na szczyt stożkowatej góry - każdy, kto obserwowałby ich z tej wysokości, z łatwością zauważyłby ich drobną zmianę kierunku jazdy.

Rachel cwałowała obok niego.

- Myślisz, że mamy szansę? - zapytała.

- Nie sądzę, żeby dali nam konie, gdyby uważali, że możemy im uciec - odpowiedział Jason. - Po prostu nie wiem, co innego robić. Może liczą na to, że wykonamy niewłaściwy ruch albo okazemy się fatalnymi jeźdźcami. Może zdołamy ich zaskoczyć. Jeżeli dojedziemy do lasu, będzie trudniej nas dostrzec. Trzymaj orantium pod ręką.

Okolica wokół miasteczka była porośnięta trawami, więc przez pewien czas szybko się przemieszczali. Za rozległą murawą na wschodzie i północy czekały szeregi zalesionych wzgórz.

Jason rozważał ich możliwości. Może powinni zsiąść z koni i je wypuścić? Jeżeli zachowają ostrożność, prześladowcy mogą pójść tropem kopyt. Mógłby ukryć się razem z Rachel aż do zachodu słońca, a potem zakraść się piechotą do lasu.

Oczywiście, jeśli wrogowie ich obserwowali albo zwietrzyliby podstęp, pościg szybko by się zakończył. Najlepiej więc chyba było zaryzykować i dalej jechać konno.

Słońce opadało. Jason cały czas bacznie się rozglądał, ale nie dostrzegł w okolicy niczego, co mogłoby wzbudzić jego podejrzenia, chociaż czasem aż podskakiwał, gdy gdzieś obok śmignął królik albo wiewiórka.

Zatrzymali się nad szerokim, płytkim strumieniem, żeby dać koniom się napić i napełnić nowe bukłaki. Zsiedli z wierzchowców i poprowadzili je po wypolerowanych przez wodę kamieniach na drugi, niezbyt wysoki brzeg.

Niedaleko przed nimi wznosiły się ostańce zapowiadające zalesione wzgórza. Nieliczne dęby rosły wśród murawy to tu, to tam, rzucając monstrualne cienie, w miarę jak słońce nurkowało za horyzont. Na lewo od nich wznosiło się cielsko oklinderowego krzewu. Jason bawił się przez chwilę pomysłem ukrycia się w ogromnej masie listowia, ryzykując raczej spotkanie z cierniami i osami niż prześladowcami. Oczywiście, wrogowie pewnie by ich wytropili, otoczyli i podpalili krzew.

W tej samej chwili z potężnego krzewu wyskoczył myszaty koń z opancerzonym jeźdźcem. Krzak znajdował się niecałą milę na północ od nich, a koń pędził w stronę Jasona z zastraszającą prędkością, wzbijając tumany kurzu.

- Jason! - krzyknęła Rachel.

- Widzę go.

Dźgnął boki konia, skręcając na południe i wtedy zobaczył kolejnego, znajdującego się dalej jeźdźca, najeżdżającego z tego kierunku. Na zachodzie - skąd właśnie przyjechali - zmaterializował się kolejny jeździec - ciemna sylwetka na tle zachodzącego słońca.

Skąd oni się wzięli? Przecież uważał! Tylko wschód wydawał się wolny od jeźdźców, więc pośpiesznie skręcił w tamtą stronę, krzycząc tak, jak wyobrażał sobie, że krzyknąłby kowboj. Strzelił wodzami i szturchnął boki wierzchowca piętami.

Jason i Rachel śmignęli na wschód; ich konie galopowały jak szalone. Jason pochylił się, przywierając do brązowej szyi i kołysząc biodrami w rytm końskiego

cwału.

Kiedy tak pędzili, słońce schowało się za zachodnim horyzontem i cienie malowały się słabiej w przyćmionym świetle. Na sierści wierzchowca Jasona zaczęły pojawiać się kropelki piany.

Prześladowcy zaganiali ich na wschód. Wszyscy zbliżyli się już na odległość stu jardów - jeden znajdował się dokładnie po lewej, drugi po ich prawej stronie, a trzeci za nimi. Kiedy Jason próbował zmienić kierunek, zbliżali się i tylko ich broń błyskała. Zmuszali ich do wyboru: albo dalsza jazda na wschód, albo konfrontacja.

Przed nimi otwierał się wąwóz o pionowych ścianach. Jason czuł, że jego koń opada z sił. Wierzchowce wroga były większe i bardziej muskularne - potężne stworzenia, które wydawały się niestrudzone. Mężczyźni jadący po bokach nosili podobne zbroje. Jeden ścisnął topór bojowy. Drugi miał lancę.

Jason i Rachel wjechali do wąwozu. Bez wątplenia była to pułapka, a ściany okazały się zbyt spadziste, żeby konie mogły się po nich wspiąć. Jeźdźcy z boków odpadli, dołączając do trzeciego mężczyzny, który jechał z tyłu. Jason pognał do przodu, zauważając, że piana gęstnieje na umęczonym zwierzęciu.

Kiedy wyjechał zza zakrętu wąwozu, przekonał się, dokąd zapędzali ich jeźdźcy. Czwarty mężczyzna stał pośrodku jaru w otoczeniu trzech cudacznych stworzeń. Trzymał napięty łuk.

- Zatrzymaj się i zsiadaj - rozkazał żołnierz.

Nosił ciemną zbroję jak pozostali.

Jason pociągnął cugle, koń przystanął; boki zwierzęcia falowały. Rachel zatrzymała się obok Jasona. Spojrzeli po sobie zaniepokojeni. Jason słyszał, że pozostała trójka zbliża się truchtem za ich plecami.

Jeździec wycelował z łuku w Jasona.

- Jestem Stanus, sługa cesarski i żądam, żebyście natychmiast i bezwarunkowo się poddali.

Jason zerknął na stworzenia wokół Stanusa. Stały na tylnych łapach, miały wzrost wysokich ludzi i nosiły zaokrąglone jak skorupa pancerze, które zachodziły im na łby. Spod masek z zadziarami, chroniących twarze, wyzierały lśniące, czarne mozaikowe oczy. Haki i kolce sterczały z ich opancerzonych ciał na wszystkie

strony. Każdy stwór miał cztery ręce jeżące się okrutnymi ostrzami różnej długości i kształtu. Przeróżne ścieraki i tarki pokrywały ich torsy. Jason uznał, że nazwa „haratacz” była dobrze dobrana.

- Z koni! - powtórzył ostro jeździec.

Jason zeskoczył z siodła na ziemię, kiedy pozostali konni podjechali z tyłu, blokując im drogę ucieczki. Rachel również zsiadła.

- Jeżeli nie będziecie stawiać oporu, nie zrobimy wam krzywdy - obiecał żołnierz. - Jesteście w pułapce, a my mamy przewagę liczebną. Złóżcie broń.

Jason zerknął na mężczyzn za sobą. Uznał, że to byli werbownicy. Jeden z tej trójki - ten który nadjechał z zachodu - nie nosił zbroi i miał miecz dwuręczny. A na oku przepaskę. Pozostali jeźdźcy nosili hełmy, które zasłaniały im twarze.

- Zdecydujcie się teraz - powiedział Stanus. - Nie zmuszajcie nas, byśmy was zaatakowali.

Jason sięgnął pod płaszcz i zacisnął dłoń na rękojeści sztyletu. Przeciwników było zbyt wielu, zarówno przed nimi, jak i za ich plecami.

- Musimy się poddać - powiedział do Rachel.

Zastanawiał się, czy było już za późno, żeby się potargować, wykorzystując zaproszenie do Harthenham. Zawsze warto spróbować.

- Odkładamy naszą broń! - zawołała Rachel, odsłaniając kuszę.

Kiedy się odezwała, Jason usłyszał brzęk jakby tłuczonego szkła. Jasny rozbłysk zapłonął nad harataczem, a potem rozległa się ogłuszająca eksplozja. Haratacz został rozerwany - odłamki ostrzy i zbroi poleciały we wszystkie strony. Sąsiedni haratacz także padł z powodu wybuchu, a Stanus wyleciał z siodła, kiedy koń stanął dęba i przewrócił się - długi kawałek ostrza wystawał z boku zwierzęcia.

Jason padł na płask po wybuchu. Jego pożyczony koń śmignął z powrotem jarem, byle dalej od huk. Czy Rachel w jakiś sposób udało się rzucić orantium? Jakim cudem wylądowało za harataczem? Przez dym Jason zobaczył, że jeden z harataczy szarżuje na niego z niepokojącą szybkością. Rachel wcisnęła mu do ręki kryształową kulę.

- Jesteś miotaczem - ponagliła go.

Kłęcząc, cisnął kulą w atakującego stwora. Kryształ roztrzaskał się na kolczastej

piersi. Na chwilę kamień rozbłysnął intensywną bielą, a potem eksplodował ze straszliwym rykiem.

Kiedy owionął go gorący podmuch, Jason przycisnął twarz do ziemi i zatkał dłońmi uszy. Gdy uniósł głowę, z haratacza została tylko sterta powykręcanych szczątków leżąca dwadzieścia stóp dalej od miejsca, w którym stwór wcześniej stał. Zakrzywione ostrze wbiło się w ziemię kilka cali od głowy Jasona.

Jason podniósł się na kolana i obrócił do jeźdźców, unosząc sztylet. Rachel wymierzyła z kuszy. Długowłosa mężczyzna zbiegał susami po zboczu, z mieczem w jednej ręce i ciężkim złożonym na dwoje łańcuchem w drugiej. Zmierzał w stronę trzech jeźdźców, którzy najwyraźniej zapomnieli o Jasonie, kiedy zwrócili się ku nowemu zagrożeniu.

Przeskakując ostatnie dwanaście stóp i lądując na dnie wąwozu, długowłosa przybysz wziął zamach czterostopowym łańcuchem niczym cepem, zrzucając hełm jednemu z jeźdźców i ściągając go z siodła. Przeturlał się pod koniem i zerwał na równe nogi. Mężczyzna z przepaską na oku rzucił się na niego, wymachując mieczem. Długowłosa przekoziółkował w stronę konia, ale tak, żeby nie dać się stratować i trzymając się wystarczająco nisko, by pozostać poza zasięgiem jeźdźcy. Klęcząc, dobrze wymierzonym w czasie cięciem miecza zranił szarżującego wierzchowca w przednią nogę. Koń padł do przodu, orząc kopytami ziemię. Jeździec wyleciał z siodła i ciężko wylądował.

Jason zobaczył, że werbownik z lancą skierował konia tak, żeby ich ominąć. Szturchnął Rachel, która precyzyjnie wycelowwała z kuszy w jeźdźcę i pociągnęła za spust. Bełt nie wystrzelił. Zapomniała odbezpieczyć broń.

Długowłosa mężczyzna nie potrzebował jednak pomocy. Kiedy przeciwnik dotarł do niego, nieznajomy obrócił się i mieczem ściał czubek lancy, a potem łańcuchem zrzucił jeźdźcę z konia. Skoczył i dźgnął werbownika, który próbował się podnieść - ostra klinga znalazła szparę między pierścieniami zbroi.

Jeździec, który stracił hełm, wstał i podchodził z toporem. Rachel, która teraz już odbezpieczyła broń, wystrzeliła. Bełt chybił celu o kilka cali.

Długowłosa mężczyzna zostawił miecz w plecach zabitego jeźdźcy i chwycił obiema rękami złożony na dwoje łańcuch. Za pomocą tej broni przechwycił

opadający topór i odciągnął go na bok. Uskakując przed napastnikiem, wziął potężny zamach łańcuchem i trafił w niczym nieosłoniętą skroń. Przeciwnik padł i już się nie poruszył.

Wróg z opaską na oku wstał chwiejnie; ubranie miał uwalane ziemią i trawą, krew płynęła z brzydkiej rany na czole. Stał dziesięć kroków od długowłosego mężczyzny, trzymając miecz w obu rękach.

- Jasher - warknął. - Wtrąciłeś się w niewłaściwy dzień.

- Nie znam twego imienia - odparł Jasher, odgarniając włosy z twarzy - ale znam aż za dobrze tobie podobnych.

Większą część włosów miał zwiniętą na karku, a luźne pasma z boków sięgały mu do połowy piersi. Nosił obszerne brązowe szaty, a stopy zawiniał w skóry zwierzęce z rzemieniami. Na skórzanym pendencie miał przewieszoną na skos przez plecy pochwę od miecza.

- Jestem Turbish.

- Gotów jesteś umrzeć, Turbish? - Jasher podszedł do niego, trzymając niedbale łańcuch.

Nie wykonał żadnego ruchu, by odzyskać miecz.

- A skąd przypuszczenie, że mnie pokonasz? - warknął Turbish.

Jasher zaśmiał się beztrąsko.

Łańcuch rozwinął się nagle na całą długość, strzelając jak bicz. Głowa Turbisha szarpnęła się do tyłu, jedna ręka uniosła się, żeby zasłonić nos i usta. Kiedy Turbish zabrał rękę, nos miał złamany i przekrzywiony. Drugi zręcznie wymierzony zamach łańcuchem sprawił, że Turbish złapał się za jedyne oko, a miecz wypadł mu z rąk.

Jasher znowu złożył na pół łańcuch i brutalnym ciosem w szczękę sprawił, że głowa Turbisha poturlała się po ziemi, podskakując. Pozbawione głowy ciało rzuciło się na Jashera, który odskoczył zwinnie w bok i podstawił przeciwnikowi nogę.

Jasher podniósł dwuręczny miecz Turbisha, podszedł do głowy rozsadnika i dobił go. Szybko wyciągnął miecz i zakończył cierpienia konia, który stracił przednią nogę. Zostawił miecz dwuręczny w ciele zwierzęcia i poszedł po swoją broń.

Z mieczem w ręku przebiegł obok Jasona i Rachel, nawet na nich nie zerkając,

do harataczy, które zginęły w wybuchu. Obejrzał ich ciała, wbijając w jednego miecz. Stwór wrzasnął przeraźliwie wysoko.

Jasher pochylił się na Stanusem, który został zmiażdżony, gdy padł jego wierzchowiec. Ranny koń oddychał, więc Jasher go dobił.

- Wszyscy martwi - powiedział, zwracając się do Jasona i Rachel. Mówił z akcentem, z którym Jason pierwszy raz się zetknął.

Jason gapił się na ich wybawiciela, nadal zadziwiony tym, jak gruntownie zniszczył żołnierzy wroga.

- Jestem Jason. A to Rachel.

- Jasher, wygnaniec z ludu Amar Kabał. - Dotknął dwoma palcami piersi i skłonił głowę.

Jason stał.

- To był doskonały rzut orantium - dodał Jasher. - Galloran poinformował mnie, że macie jedną z jego kul.

Mówił, dokładnie wypowiadając słowa, jak ktoś, kto posługuje się obcym językiem.

- Znasz Gallorana? - zapytał Jason.

- To najdroższy przyjaciel. Przesłał mi wieść o waszej misji i prosił, bym wam pomógł. Niewiele brakowało, a zdążyłbym dotrzeć do skrzyżowania, zanim spotkaliście rozsadnika. Kiedy już znalazł się w waszym towarzystwie, zdecydowałem się podążać za wami i obserwować was z daleka. Uznałem, że teraz nadszedł właściwy czas, żeby interweniować.

- Myślałam, że już po nas - powiedziała Rachel.

- Bo tak było. Dokąd teraz zmierzacie?

- Pojedziesz z nami? - zapytał z nadzieją Jason.

- Oczywiście, lordzie Jasonie z Caberton. Postaram się zachować was przy życiu, kiedy będziecie kompletować Słowo.

- Zmierzamy do Wieszczki, na Ziemię Zatopione. - Trudna droga - powiedział Jasher. - Mam konia i na szczęście dwa rumaki bojowe wroga przeżyły. Przejedziemy część drogi.

Jasher przyprowadził oba rumaki. Wyglądały na nietknięte mimo straszliwej

potyczki. Podał wodze jednego Jasonowi.

- Zaraz wrócę.

Jasher wskoczył na drugiego konia i odjechał wężozem w kierunku, z którego nadjechali wcześniej Jason i Rachel. Po chwili wrócił, prowadząc ich konie.

- Przenieście rzeczy, które chcecie zachować, to wypuścimy te dwa biedne stworzenia.

Jason wziął skórzany bukłak i parę innych drobiazgów. Rachel także zebrała swoje rzeczy z konia. W tym czasie Jasher ułożył stos z ciał i podpalił.

- To powinno pomóc ukryć dowody mojej roboty. Nikt nie wie, że z wami podróżuję. Może nam się przydać ta przewaga. Macie wszystko, czego potrzebujecie?

- Tak - odpowiedział Jason.

Jasher podszedł do konia, na którym jechał Jason. Przesunął dłońmi po sierści zwierzęcia, badając ją dokładnie.

- Ach!

- Co?

- Chodź zobaczyć. Ty też, Rachel.

Jason podszedł zobaczyć, co takiego Jasher dojrzał na łopatce konia. Odsunął małą pokrytą sierścią klapkę, odsłaniając szkliste ludzkie oko osadzone w ciele konia. Jason spojrział na oko z obrzydzeniem i fascynacją.

- Zgadujecie, do kogo to należy? - zapytał Jasher.

Jason wzruszył ramionami.

- Wygląda na martwe.

- Wasz przyjaciel rozsadnik niewiele was nauczył. To oko należy do rozsadnika, którego przed chwilą zabiłem, Turbiny, czy jak mu tam było.

- Fuj. - Rachel się wzdrygnęła. - Jakim cudem?

- Rozsadnicy mogą wszczepić fragmenty własnego ciała innym żywym stworzeniom - wyjaśnił Jasher. - Ten talent bardziej niż jakikolwiek inny czyni z nich wspaniałych szpiegów. Mając oko na koniu, znał każdy wasz ruch. Strzeżcie się podarków od wroga.

Jasher klepnął lekko konia, który odbiegł truchtem.

- Niewiarygodne - mruknął Jason.

Teraz rozumiał, dlaczego Tad był taki hojny. Jasher wskoczył na jednego z koni bojowych. - Ten wąż kończy się ścianą nie do przebycia. Musimy go objechać, żeby zabrać mojego konia. Rachel może jechać ze mną. Chodź.

Pomógł dziewczynie wsiąść na konia za sobą. Jason wspiął się na drugiego, co okazało się trochę trudne, ponieważ ten rumak był wyższy od koni, na których jeździł do tej pory. Potężny wierzchowiec kręcił się niespokojnie.

- Jedź z pewnością siebie - poradził mu Jasher. - Twój nowy wierzchowiec został wyszkolony do walki. Wyczuwa twój brak pewności.

Jason ruszył za Jasherem do wylotu wąwozu. Włosy Jashera unosiły się za nim niczym sztandar, kiedy cwałował. Gdy już opuścili jar, zakręcili w kierunku północnowschodnim. Wąska ścieżka prowadziła stokiem do trzeciego konia, którego dosiadł Jasher. Kiedy poprowadził ich głębiej w las, zmierzch zamienił się ciemność.

W końcu Jasher kazał im zsiąść z koni i przywiązać je.

- Idźcie szybko spać - poradził. - Obudzę was wcześniej.

Jason był tak zmęczony atrakcjami dnia, że nie potrzebował napomnień.

Rozdział 18

Ziemie Zatopione

Następnego wieczoru Jason oparł się o kłodę, obolały po całym dniu jazdy konnej. Jasher poprowadził ich krętą drogą między wzgórza, często wybierając płytkie strumienie albo rozgałęziające się ścieżki między gęstym listowiem.

Ponieważ wstał przed świtem, Jason czuł, że jest gotowy do snu. Posiłek z „zapchaj brzucha” i suszonego mięsa ciężący w żołądku nie pomógł mu zachować czujności. Jednak Jasher trzymał wartę poprzedniej nocy i musiał być wyczerpany.

- Ja wezmę pierwszą wartę - zaproponował Jason.

- Nie ma potrzeby - odparł Jasher. - Mój rodzaj nigdy nie śpi tak naprawdę. Wracamy do sił po dniu podczas swego rodzaju przytomnego snu. To stan podobny do transu, niezbyt odległy od pełnej przytomności. Żaden przeciwnik nie zaskoczy nas w czasie, gdy odpoczywam.

To było więcej słów, niż Jasher wypowiedział przez cały dzień. Jason chciał podtrzymać rozmowę.

- Dlaczego nosisz włosy podwinięte na karku? - zapytał. Zauważył, że Rachel się przysłuchuje.

- To typowe dla moich ludzi, dla Amar Kabał. W ten sposób chronimy amar.

- Amar? - powtórzyła Rachel.

Jasher zawahał się, przyglądając im się błękitnymi jak lód oczami.

- „Amar” znaczy „nasiono”. Amar Kabał to Ludzie Nasiona.

Odwrócił głowę i uniósł zwinięte włosy. U podstawy czaszki znajdowało się wybrzuszenie wielkości włoskiego orzecha.

Jason się skrzywił. Wyglądało jak wielka cysta.

- Do czego to służy?

- Amar to nośnik naszej nieśmiertelności. Odrywa się, gdy umieramy, gwarantując nowe życie po zasadzeniu w ziemi.

- Chcesz powiedzieć, że rośniecie? - zapytała z niedowierzaniem Rachel. - Jak roślina?

- Pochowany w żyznej ziemi człowiek wyrasta z nasiona w ciągu kilku miesięcy. Mniej żyzna ziemia wymaga więcej czasu. Jeśli nasiono oderwie się na wyjątkowo wysuszonym terenie, mogą się nigdy nie odrodzić.

Jason się pochylił. - Więc umarłeś już wcześniej? Jasher posłał mu drobny, posępny uśmiezek. - Wiele razy. - A potem wróciłeś do życia - mruknęła Rachel. - Tak. Cudowny amar przechowuje moje wspomnienia do czasu wykiełkowania nowego ciała.

- Pamiętasz wszystkie swoje życia - powiedział Jason.

- Każdą chwilę do momentu, w której nasiono odrywa się i oddziela się od moich zmysłów. Dziewięć razy zginąłem w walce. Pięć razy pozwoliłem, by odebrano mi życie, ponieważ użyteczność mojego ciała dobiegała końca i pragnąłem zacząć na nowo. Raz utonęłam w morzu. Raz spadłem wspinając po urwisku. No i moja Pierwsza Śmierć.

- To musi być dziwne uczucie: być niemowlęciem, kiedy masz wszystkie poprzednie wspomnienia - zdała sobie sprawę Rachel.

Jasher roześmiał się, jakby sama taka myśl była absurdalna.

- Nie, odradzamy się w kwiecie wieku, jako dorośli, mając tyle lat, co w chwili, kiedy pierwszy raz umarliśmy. Pierwsza Śmierć to ceremonia, którą odprawia się w wieku około dwudziestu lat.

- Jak długo może przetrwać twoje nasiono niezasadzone? - zapytał Jason.

Jasher wzruszył ramionami.

- Amar może pozostawać w uśpieniu wiele lat. W końcu jednak umiera.

- Czyli gdyby Maldor chciał naprawdę cię zniszczyć - powiedział Jason - musiałby cię zabić, a potem zniszczyć nasiono.

Oczy Jashera rozbłysły.

- Zniszczenie amara to niewybaczalny grzech. Każdy, kto popełni taki czyn, ściąga na siebie karę śmierci, wymierzoną przez Amar Kabał, którzy od tej chwili

stają się jak jeden mąż wrogami tej osoby.

- Zakładam więc, że ludzie nie niszczą zwykle nasion - podsumowała Rachel.

- Niezbyt często. - Jasher skrzywił się, jakby sama myśl o tym wywoływała w nim ból. - Z kolei ręka, która ochroni i zasadzi amar, może zażądać w zamian niemal każdej przysługi.

- Nazwałeś siebie wygnańcem - przypomniał sobie Jason. - Są inni z twojego ludu, którzy wędrują jak ty?

Jasher pokręcił głową.

- Bardzo niewielu. Zostałem wyrzucony z Siedmiu Dolin, ponieważ zdecydowałem się przeciwstawić Maldorowi. Moi ludzie cieszą się niezależnością do jego tyranii. Maldor szanuje ich potęgę i zostawia ich w spokoju, nietkniętych przez jego niszczycielskie wpływy, dopóki oni nie udaremniają jego wysiłków, mających na celu zdominowanie pozostałych królestw. Moja buntowniczość zagrażała ich pokojowi, więc się mnie wyparli.

- Czy wobec tego Maldor może zniszczyć twoje nasiono? - zapytała Rachel.

- Ściągnąłby wtedy na siebie wszelkie konsekwencje niewybaczalnego grzechu. Nie ma wyjątków od naszej zemsty w tej kwestii. Gdyby dało się udowodnić, że stoi za takim czynem, lud Amar Kabał stanąłby przeciwko niemu, chociaż jestem wygnańcem.

- Dlaczego walczysz z Maldorem? - zapytał Jason.

Jasher spojrzał mu w oczy.

- Popęłił niewybaczalny grzech.

Jason ściągnął brwi.

- Więc dlaczego twoi ludzie nie stanęli przeciwko niemu razem z tobą?

- Żeby uniknąć wojny, Maldor udał, że sprawca tej zbrodni, rozsadnik imieniem Fronis, działał sam i wbrew jego rozkazom. Lud Amar Kabał nie jest liczny, ale są wśród nas potężni wojownicy, a nasi zmarli zwykle powstają, żeby znowu stanąć do walki. Maldor ma powody, żeby się nas obawiać. Dostarczył nam Fronisa. Zdradzony przez swego pana rozsadnik wyznał, że wypełniał rozkazy, ale moi ludzie zatkali uszy, zamknęli umysły i dokonali zemsty tylko na nim. Potwierdziłem, korzystając z zaufanego źródła, że Maldor osobiście wydał rozkaz

zniszczenia amara mojego brata, Radolso. Zeznałem to, czego się dowiedziałem, ale ponieważ sam nie byłem świadkiem wydania mu rozkazu, a wojna przeciwko Maldorowi mogłaby spowodować koniec ludu Amar Kabał, zignorowano moje zeznanie. Dlatego sam szukam zemsty.

- Zatem próbujesz zabić Maldora? - zapytała Rachel.

- Tak. Czekam na właściwy moment, dręcząc go, zabijając jego sługi i cały czas szukając okazji, by odebrać mu życie. Nie mogę zawieść, bo w przeciwnym wypadku grzech pozostanie nieukarany.

- Szukasz Słowa? - zapytał Jason.

- Nie. Eldrin zaprojektował swoje rasy tak, żeby miały niewielkie uzdolnienia w dziedzinie edomickiego. Istnieje proroctwo, wypowiedziane przez Dariana Jasnowidza, że kiedy Amar Kabał zapragnie mówić po edomicku, będzie to znak, że nadchodzi nasz upadek.

- Ale chcesz nam pomóc - upewnił się Jason.

- Jeżeli możecie zdobyć Słowo i wykorzystać je do zniszczenia Maldora, moja zemsta się dopełni. Nie potrzebuję, żeby jego krew splamiła właśnie mój miecz.

- Pomogłeś też Galloranowi? - zapytała Rachel. - Nie było mnie, kiedy go schwytano. Wysłał mnie z pewnym zadaniem. Chciałbym wierzyć, że gdybym pozostał, nie zawiódłby. Macie cztery z sześciu sylab?

- Tak - potwierdził Jason. - Skąd wiesz?

- Domyśliłem się. Wiem, gdzie znajdują się poszczególne fragmenty, wszystkie poza drugim. Dawno temu Galloran opisał mi, gdzie znajduje się Wieszcza na Ziemiach Zatopionych. Znajdziemy ją.

- Druga sylaba znajduje się w miejscu zwanym Świątynią Mianamon - powiedziała Rachel.

Jasher wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- Zatem znamy kierunek podróży po Ziemiach Zatopionych. Znam Prorokinię z Mianamon, ale nigdy nie odwiedzałam jej świątyni. Znajduje się głęboko w południowej dżungli, poza granicami cywilizacji. Miejmy nadzieję, że Wieszcza was oświeci. Mówi się, że ma prawdziwy dar przewidywania.

Jason wydlubował paznokciem kawałek mięsa spomiędzy zębów - resztkę z

kolacji. Bardzo mocno się zaklinował.

- Jak to się stało, że wy dwoje przeciwstawiliście się Maldorowi? - zaciekawiał się Jasher. - Galloran dał mi do zrozumienia, że jesteście Pozaświatowcami.

Jason i Rachel na przemian opowiedzieli, jak się znaleźli w Lyrianie i jak ich ścieżki skrzyżowały się w zrujnowanym zamku Gallorana.

- Ostatecznie - podsumował Jason - Galloran zachęcił nas do poszukiwania Słowa. Właściwie zmienił nas w bohaterów. Ponieważ Maldor już mnie ścigał, nie jestem pewien, czy miałem inną możliwość.

- Nie umniejszaj swojej roli - zbeształ go Jasher. - Dla każdego z nas przeznaczenie jest mieszkanką możliwości, okoliczności i wyborów. Mogłeś uciec i się ukryć. Mogłeś dobić targu z Maldorem. Wybrałeś ścieżkę bohatera. Kroczył nią, nie przepaszając za to.

- To chyba ma sens - przyznał Jason. - Nie wiem, co to warte, ale myślę, że wreszcie zaakceptowałem to wyzwanie.

- Ja również - przytaknęła Rachel.

- Odnieśliście wiele sukcesów - zauważył Jasher. - Z pewnością Maldor przedstawił wam już inne atrakcyjne możliwości.

- Dostałem zaproszenie do Harthenham - przyznał Jason.

- Ferrin zasugerował, że może pomóc nam wrócić do domu - dodała Rachel.

- A jednak jesteście tutaj, trudząc się w dziczy - podkreślił Jasher. - Oboje wybraliście właściwą drogę, chociaż jest najtrudniejsza. To sedno bohaterstwa.

- Ty wiesz najlepiej - powiedziała Rachel. - Odszedłeś od swoich ludzi, żeby zrobić to, co twoim zdaniem jest słuszne.

- Przeżyłem wiele żywotów - powiedział Jasher. - Znam siebie. Nigdy nie zaznałbym spokoju, ignorując zbrodnię przeciwko mojemu bratu.

- Jak daleko jest do Ziemi Zatopionych? - zapytał Jason.

- To surowa kraina - powiedział Jasher, patrząc w kierunku północnowschodnim. - Obrzeża znajdują się ponad tydzień drogi stąd. Kontur tych ziem sprawia, że woda się zbiera i zatęcha w rozległych bagnach. To gnijące tereny rodzące ohydę i szlam. W pewnej porze roku Ziemia Zatopiona są niedostępne z powodu szalejącej choroby roznoszonej przez chmary gryzących owadów. O tej

porze roku powinniśmy przetrwać, jeśli podejmiemy stosowne środki ostrożności.

- W takim razie lepiej nacieszmy się jazdą przez las, dopóki możemy - stwierdziła Rachel.

Jasher skinął głową.

- Ziemie Zatopione nie będą przyjemne.

Podróżowanie z Jasherem okazało się łatwe. Zbierał orzechy i jagody, wzbogacał ich posiłki rybami i ptactwem. Po dwóch dniach wędrówki okrężną drogą, żeby zmylić pościg, zaczął prowadzić ich prostszą trasą po najłagodniejszych terenach i od czasu do czasu wynajdować odosobnione ścieżki. Czasem, gdy znajdowali się wysoko, wspinał się na drzewo, żeby się zorientować w położeniu albo sprawdzić, czy nie widać wrogów, ale dni mijały bez żadnych trudności.

Piątego dnia wspólnej podróży ich ścieżka przez pagórkowatą dzicz częściej schodziła w dół niż się wspinała. Na początku ósmego dnia ze szczytu wzgórza dostrzegli mgliste, zielone niziny na północy. Po południu dziewiątego Jasher poinformował ich nad źródłem, że napełniają bukłaki po raz ostatni przed opuszczeniem Ziemi Zatopionych.

Następnego dnia Jasher zostawił konie na długich postronkach i dalej ruszyli piechotą. Wyjaśnił, że leżące przed nimi tereny nie nadają się dla koni.

Po zostawieniu wierzchowców zgodnie ze słowami Jashera ziemia stała się grząska, a powietrze bardziej wilgotne. Buty Jasona chlupotały w klejącym się błocie tak często, że w końcu przestał próbować tego unikać. Uporczywe warstwy błocka na podszwach zwiększały ciężar butów przy każdym kroku i czasem Jason miał wrażenie, że chodzi w raketach śnieżnych.

W miarę jak posuwali się naprzód Jason, Rachel i Jasher znaleźli sobie długie kije. Kilka razy musieli zawracać z powodu ruchomych pasków lub grzędawisk nie do przejścia.

Zapadł wieczór, kiedy Jasher zatrzymał się nad sadzawką, gdzie rosła kępa wielkich, fioletowych kwiatów. Rzucające się w oczy płatki wydawały się jadowicie kolorowe na tle zgaszonych zieleni i brązów listowia wokół.

- Miałem nadzieję, że znajdziemy kilka z tych orchidei - powiedział Jasher. Zerwał pęk z łodygi i ścisnął ciasno stulone płatki. Wytrysnął z nich niebieski żel.

Jasher go zlizął.

- Efekty nie są do końca miłe, ale ten nektar sprawi, że większość gryzących i żądlących owadów będzie trzymać się od nas z dala.

Jason zerwał pączek i zjadł żel. Był niemal bez smaku. Rachel też trochę spróbowała. Jasher zerwał kilka pączków na zapas.

Niedługo po opuszczeniu sadzawki Jasher znalazł kawałek wyżej położonego gruntu pokrytego liściastym bluszczem. Zjedli kolację z „zapchaj-brzucha” i suszonego mięsa.

- Znajdujemy się na progu Ziemi Zatopionych - powiedział Jasher, gdy układali się do snu.

Jason i Rachel leżeli na plecach po bokach Jashera. Bluszcz tworzył dodatkową miękką warstwę pod kocami.

- Jutro zobaczycie prawdziwe moczary. Serca trzęsawisk nie da się pokonać bez łodzi. Na szczęście, mój lud zapuszcza się niekiedy na bagna w poszukiwaniu rzadkich ziół i grzybów. Myślę, że zdołam zaprowadzić nas do ukrytej łódki.

- Jakie zwierzęta tu żyją? - Ton głosu Racheli zdradzał, że obawia się ona odpowiedzi, ale nie mogła się oprzeć pokusie i zapytała.

- Tej nocy naszym zmartwieniem będą węże - powiedział Jasher. - Gdybyś poczuła pokrytego łuskami gościa zwijającego się przy tobie w nocy, nie ruszaj się. Większość węży nie zaatakuje człowieka bez prowokacji. Cieszcie się, że noc jest ciepła. W zimne noce ciepło ludzkiego ciała przyciąga węże. Kiedyś obudziłem się z czarnoobroźnym węzem wodnym zwiniętym na mojej piersi pod szatami. Znać ten gatunek?

- Nie - odpowiedziała Rachel drżącym głosem.

- Czarnoobroźny wąż wodny to jeden z najbardziej jadowitych gatunków. Jego jad odbiera życie silnemu człowiekowi i w czasie krótszym niż dwadzieścia oddechów. Ból jest natychmiastowy i nieznośny.

Jason oparł się na łokciu.

- Co zrobiłeś?

- Po tym, jak ostrożnie zerknąłem pod szaty i zobaczyłem ubarwienie śmiertelnie niebezpiecznego węża, przeleżałem nieruchomo i bezsennie przez resztę

nocy, pocąc się mimo chłodu powietrza. Może bym się odrodził po śmierci, ale nie było gwarancji, że moje nasiono zostanie podsadzone, a czasem amar okazuje się ułomny. Nawet w najlepszych okolicznościach śmierć może okazać się wysoce niewygodna. Rankiem wąż się poruszył. Wszedł spod moich szat przy szyi i przepętlął po policzku, jakby prowokował mnie do wzdrygnięcia się lub krzyku. A potem już go nie było.

- Próbujesz doprowadzić mnie do szaleństwa? - spytała Rachel. - Dlaczego opowiadasz mi taką historię w taką noc?

- Jako ostrzeżenie - odparł Jasher.

- To prędzej wojna psychologiczna - mruknęła Rachel.

- Słyszałem, że węże najbardziej lubią dziewczyny - drażnił się z nią Jason. - Rachel może być naszym magnesem na węże.

- Wracam do Trensicourt - oznajmiła Rachel.

- Powinnaś spać pośrodku - zaproponował Jasher. - Będziesz trochę bezpieczniejsza.

Rachel z wdzięcznością zamieniła się z nim miejscem.

Jason przyjrzał się otaczającemu ich bluszczowi. Oparł głowę na rękach. Niepokoił go każdy szelest. Dużo czasu minęło, zanim w końcu senność zwyciężyła.

* * *

Jason obudził się rano, czując straszliwy smród. Usiadł, węsząc w cuchnącym powietrzu, nadal zaspany i zde gustowany. Niska mgła wisiała nad moczarami, unosząc się nad otaczającymi ich sadzawkami.

Rachel nadal spała. Jasher leżał z na wpół otwartymi oczami, a krystalicznie niebieskie tęczęwki przesuwwały się upiornie z boku na bok.

Jason przyłożył nos do nadgarstka i nieprzyjemny zapach przybrał na sile. Obwąchując się, odkrył, że całe jego ciało cuchnie odstręczająco, a odór pod pachami okazał się wręcz nie do zniesienia, jakby naturalne zapachy ciała zostały groteskowo wzmocnione. Czy jego własny smród nie powinien przeszkadzać tylko innym ludziom?

Pochylając się nad Rachel, Jason odkrył, że ona cuchnie jeszcze gorzej od niego. Wychylił się mocniej i poczuł też odór bijący od ich towarzysza.

Jasher otworzył oczy.

- Gryzący smród podróży przez mokradła - powiedział, siadając i przeciągając się.

- Fuj. - Zaspana Rachel skrzywiła się, wparłszy się na łokciach. - Co zdechło?

- My - odpowiedział Jason.

Powąchała ramię i wykrzywiła się z obrzydzeniem.

- To my? Co się stało? - Sama pomyśl - odparł Jasher. Jason rzucił mu ostre spojrzenie. - To ta maź z kwiatów? Zrobiłeś to celowo? Jasher wyszczerzył zęby. - Zaufaj mi. Zapuścić się na bagna bez środka odstraszającego owady to więcej niż uciążliwość. Właściwie samobójstwo. Jad niektórych szkodników jest trujący. Inne owady przenoszą choroby. O tej porze roku smród powinien wystarczyć, żeby je odstraszyc.

- Je i niedźwiedzie - powiedział Jason. - I skunksy. I dziewczyny.

Jasher wybuchł śmiechem, klepiąc się w udo. Wyciągnął rękę, a Jason pociągnął go, pomagając mu wstać.

- Potraktuj to jako pocieszenie. Głęboko na bagnach są insekty równie niebezpieczne jak każdy wąż. Ciesz się, że się z nimi nie zapoznasz. A co do kobiet, podejrzewam, że żadne z nas nie będzie miało nic przeciwko, jeśli Wieszcza zachowa dystans.

- Żałuję, że sama nie mogę odsunąć się od siebie - wymamrotała Rachel.

Wstające słońce rozproszyło mgły. Rachel i Jason ruszyli za Jasherem krętą trasą.

W końcu, kiedy już mieli słońce nad głową, Jasher zatrzymał się i oznajmił:

- Jesteśmy na miejscu.

Jason patrzył pod nogi, rozglądając się za węzami. Jak na razie wypatrzył dziewięć. Dwa były naprawdę spore.

Podnosząc wzrok, dostrzegł brzeg czarnego jeziora pełnego wysokich drzew o rozłożystych gałęziach, ogromne drzewiaste parasole, które odcinały większość słonecznego światła. Liściaste winorośle zwieszały się przypadkowymi pętlami. Długie brody mchów i połyskliwe warstwy szlamu wzbogacały fakturę ciemnych pni. Na wodzie, wyspy obrzydłej mierzwy i na wpół zatopione kłody wskazywały, że nie całe bagna są zatopione, lecz Jason bez najmniejszego kłopotu zrozumiał,

dlaczego potrzebują łodzi.

- Wiesz, gdzie jesteśmy? - zapytał.

- Myślę, że wiem, gdzie powinna być nasza łódka - odpowiedział Jasher.

By dotrzeć do brzegu, kluczyli między kilkoma porośniętymi trzciną sadzawkami, gdzie pałki sterczały niczym hot dogi na patykach. W jednym miejscu muł okazał się tak głęboki, że prawie wlał się Jasonowi górą do butów, zasysając i chlupocząc przy każdym kroku.

Kiedy dotarli do brzegu ponurego bagniska, okrążyli mroczne wody, idąc jeszcze sto jardów. Potem Jasher zaczął zrzucać gnijące liście i pnącza z niskiego pagórka nad wodą.

- I proszę - powiedział, gdy zerwał dość zielska, żeby odsłonić drewniany kadłub małej łódki. - Pomóżcie mi ją oczyścić.

Wkrótce usunęli roślinność. Wspólnym wysiłkiem obrócili łódkę. Długi na osiem stóp wąż rozwinął się, wychynął spod obracanej łodzi i śmignął do wody poruszając się tak szybko, że dostrzegli tylko czarną smugę.

- To było niebezpieczne stworzenie - powiedział Jasher, patrząc na falującą wodę w miejscu, w którym wąż przeciął powierzchnię. - Zauważyliście czerwone kropki za łbem?

- Ledwie zdążyłem zauważyć węża - odpowiedział Jason. - Był naprawdę szybki!

- To żmija błotna. Wielka. Cieszcie się, że byliśmy na lądzie. W wodzie atakuje wszystko. Jedno ukoszenie powoduje paraliż. Kilka przynosi śmierć.

Jason zadrżał.

- Nigdy dotąd węże mnie nie przerażały - powiedziała Rachel.

- Nie martw się - pocieszył ją Jason. - Twój zapach będzie je odstraszał.

- O ile twój wcześniej ich nie zabije - odgryzła się.

Jasher obejrzał łódkę od dzioba do rufy.

- Wygląda na szczelną. Przekonamy się tylko w jeden sposób.

Zepchnęli ją z błotnistej brzegu na wodę.

- Wsiadajcie - polecił Jasher.

Jason i Rachel weszli do szerokiej, płytkiej łodzi.

- Przesuńcie się w stronę dzioba i siadajcie.

Posłuchali i Jasher wskoczył na rufę, a impet tego skoku odepchnął łódkę od brzegu.

Z trzema pasażerami płynęła mocno zanurzona, krawędź burty znajdowała się raptem sześć cali nad wodą. Jasher wsunął pojedyncze, długie wiosło w dulkę przy rufie i zaczął wiosłować, kierując ich w głąb bagna.

- Potrzebujesz pomocy? - zapytał Jason.

- Nie. Mogę to robić cały dzień. Lepiej, żebyście wy dwoje zostali na dziobie. Żyje tu gatunek drapieżnego szlamu, który dryfuje na powierzchni wody. Strawi ciało aż do kości. Wyglądajcie go bacznie, żebym mógł dopilnować, by nie przyczepił się do łodzi. Ma żółtozielony kolor i dryfuje ospale, dopóki nie wyczuje ofiary.

Jason wyprostował się i zaczął obserwować wodę przed nimi. Po jednej stronie zobaczył grubą żabę przykucniętą na kłodzie. Była większa od królika i nabrzmiała od brodawkowatych narośli.

- Ale wielka żaba - zdumiał się Jason.

Jasher prychnął.

- Bywają większe? - zaniepokoiła się Rachel. - Wystarczająco duże, żeby polować na ludzi, z tego co mi mówiono - szepnął Jasher. - Nigdy nie zapiściłem się wystarczająco daleko na bagna, żeby taką zobaczyć. Obserwujcie uważnie. Powinniśmy jak najmniej rozmawiać. Pewne stworzenia mają doskonały słuch. Lepiej, żebyśmy przemknęli się nie zauważeni.

Jason skinął głową. Nie przestawał obserwować wody. Jedynymi dźwiękami było ciche chlupotanie łodzi i łagodne bzyczenie owadów. Jason dostrzegł wiele więcej dużych żab. Zobaczył też węża sunącego przez wodę, zupełnie takiego jak błotna żmija, i dostrzegł kątem oka wielkiego włochatego pajaka na pniu drzewa.

Insektów nie brakowało - były tu ważki, meszki, komary, nartniki, żuki o metalicznych zielonych i niebieskich pancerzach. Tak jak Jasher obiecał, trzymały się z dala od łodzi.

Po jakimś czasie Jason wypatrzył ameboidalny kształt dryfujący na wodzie przed nimi, wyglądający jak wielkie smarki.

- Widzę jakiś szlam - szepnął.

Jasher opłynął go łukiem.

Kiedy zapadła noc, bagna poczerniały. Jasher znalazł podmokłą wysepkę i razem z Jasonem wytaszczył łódkę z wody.

- Noc jest straszna na bagnach - szepnął Jasher. - A przynajmniej tak słyszałem. Powiedziano mi, że najlepiej trzymać się z dala od wody i pozostać w łodzi.

Basowy, rezonujący rechot, niemal jak wrzask, rozległ się gdzieś niedaleko za Jasonem. Chłopak złapał gwałtownie powietrze i odwrócił się szybko, ale niczego nie wypatrzył w mroku. Jasher uspokajająco położył mu rękę na ramieniu.

- To była żaba? - mruknęła Rachel.

Na rechot wkrótce odpowiedział drugi, w oddali. Wkrótce bagna ożyły splątanymi chórami basowego rechotu. Niektóre brzmiały jak monstrualne beknięcia, inne niemal melodyjnie, a jeszcze inne potężnie i przerażająco.

Jasher wszedł między Rachel i Jasona, szepcząc:

- Słyszałem, że nocne odgłosy na moczarach są niepokojące. Nigdy w życiu nie wyobrażałem sobie czegoś podobnego.

- Nigdy nie sądziłam, że przestraszą mnie żaby - odpowiedziała szeptem Rachel.

- Przełknijcie trochę repelentu - zasugerował Jasher.

Jason i Rachel z wdzięcznością przełknęli nieco żelu.

Wkrótce zapadła ciemność jak w trzewiach jaskini. Jason odkrył, że otwieranie i zamykanie oczu niczego nie zmienia.

Do żabiego chóru dołączyły nowe dźwięki. Wysokie piski zaczęły rozbrzmiewać świergotem, długimi, drżącymi nutami. Niskie jęki, niczym zawodzenie olbrzymich rogów, unosiły się nad bagnami z oddali, jakby jakaś ogromna istota zawodziła żałośnie. Nagłe klikanie jakby kastanietów, czasem niepokojąco blisko dodało zdumiewający rytm do kakofonii. Względna cisza dnia poszła w całkowite zapomnienie.

- Spróbujcie zasnąć - szepnął dość głośno Jasher ponad narastającą wrzawą. - Ja będę czuwał.

Jason musiał się zwinąć, żeby zmieścić się w łódce, i nie mógł się wygodnie ułożyć. Rozmyślał gorączkowo w ciemności, wyobrażając sobie przebiegłe węże podkradające się do łodzi albo metodyczne masy szlamu przelewające się przez

burtę, bezmyślne w swoim pragnieniu ciepłego ciała. Koszmarny zgiełk bagien nie ustępował. Dziwne sny przeniknęły do głowy niespokojnie śpiącego Jasona.

* * *

Kiedy się obudził, znów panowała cisza. I znowu widział, chociaż światło było przyćmione.

- Dzień dobry - powiedział Jasher chrapliwym, cichym głosem. - Pośpieszmy się dzisiaj. Nie marzy mi się wiele takich nocy jak ta miniona.

- Z twoim gardłem wszystko dobrze? - zapytał Jason.

- Jest trochę obolałe.

Rachel podała Jasonowi kanapkę z zapchaj brzucha i suszonego mięsa. Zastanawiał się, jak długo tamtych dwoje nie mogło zasnąć. Odkrył, że z trudem może przeżuć kanapkę, ale głód sprawił, że smakowała wyśmienicie.

Wstał i ledwie zdołał się przeciągnąć, takie miał skurcze w karku i plecach. Zauważył kilka martwych węży na wysepce obok łodzi, z głowami zmiażdżonymi lub odciętymi.

- Były tutaj wcześniej? - zapytał.

- Miałem pracowitą noc - odpowiedział Jasher.

Jason przyklęknął na dziobie, przyglądając się mętным wodom i szukając oznak niebezpieczeństwa.

Jasher fachowo posłużył się wiosłem, żeby przeprowadzić ich przez labirynt błotnistych wysepek, splątanych powalów i śliskich mas szlamu. Późnym popołudniem znaleźli pozbawione drzew jezioro. Pośrodku znajdowała się długa, błotnista wyspa, większa od wszystkich, jakie do tej pory widzieli na bagnie. Na jej jednym końcu wznosiło się drzewo ogromne pod względem zarówno wysokości, jak i obwodu - drzewny drapacz chmur, przyćmiewający wszystkie inne drzewa w zasięgu wzroku. Jego potężne konary - same średnicy pni mniejszych drzew - rozkładały się wachlarzem na setki stóp, ocieniając całe jezioro.

Na czarnym błocie w pobliżu brzegu wyspy przykucnęła ropucha wielkości konia, otyłe stworzenie oszpecone przez potężne brodawki i z koroną ostrych rogów. Uniosła ciężki łeb, rozdymając wilgotne nozdrza, kiedy łódka wypłynęła na jezioro.

- Jesteśmy na miejscu - szepnął Jasher. - Wieszcza mieszka w tym królu bagien.
- Wskazał drzewo.

Kiedy zbliżyli się do wyspy, ropucha wyprostowała się, odstawiając płaskie, blade podbrzusze. Reszta jej śluzowatej skóry była ciemnoszara i zielona. Żaba wydawała z siebie niski, buczący odgłos.

- Możesz się zająć wiosłem? - zapytał Jasher. - Myślę, że ta żaba rzuca nam wyzwanie.

Jason zamienił się miejscami z Jasherem, który przeniósł się na dziób z mieczem w rękę. Nieporadne wiosłowanie Jasona sprawiło, że łódka zakręciła w prawo, potem, próbując wyrównać kurs, poszła za daleko w lewo i wreszcie zygzakiem podплыnęła do błotnistego brzegu.

Zerkając ponad ramieniem, Jason zauważył, że Rachel wyciągnęła aparat. Pstryknęła kilka zdjęć Jasherowi zbliżającemu się do żaby.

Kiedy łódka zatrzymała się na brzegu, Jasher skoczył do przodu, w błoto. Ciężka żaba poruszyła się, wydając z siebie straszliwy ryk - gardłowy, niewiarygodnie basowy i głośny. Jason się wzdrygnął.

Jasher podchodził powoli i spokojnie, zachodząc ropuchę z boku i trzymając miecz pionowo w obu dłoniach. Monstrualna żaba zrobiła kilka małych skoków do przodu, zatrzymując się pięć jardów przed Jasherem. Nagle, długi różowy język błyskawicznie wystrzelił z jej paszczy niczym diabeł z pudełka i owinał się wokół talii Jashera.

Miecz rozbłysnął, obcinając ponad trzy stopy muskularnego ozora. Reszta języka cofnęła się, a z jego końca bluznęła krew. Obcięty język przywarł do talii Jashera, owijając się wokół niej niczym groteskowy pas.

Ropucha ryknęła groźnie, ohydne cielsko zadygotało, ciemny syrop bluznął z szerokich ust. Przykucnęła nisko, a jej skóra przybrała ciemniejszy odcień dopasowany do otaczającego ją błota. Płaz odepchnął się tylnymi nogami i w ogromnym susie przefrunął fantastycznym łukiem wysoko nad głową Jashera poza zasięgiem jego tnącego miecza.

Zwierzę wylądowało ciężko w pobliżu łodzi i ześlizgnęło się po błocie, uderzając w burtę i spychając gwałtownie łódkę na wodę. Nagły ruch sprawił, że Jason wypadł

do wody. Rachel krzyknęła. Jason wymachiwał rękami, żeby utrzymać głowę nad powierzchnią letniej wody. Płaszcz, ubrania i buty obciążały go, pogrążając głębiej w wodzie.

Coś gładkiego, muskularnego i jakby elastycznego owinęło mu się wokół ręki i szarpnęło nim w stronę rozwartej paszczy pełnej ostrych jak brzytwy zębisk. Czarna ciecz tryskała z rannego jęzora. Równie szybko jak chwycił, jęzor go puścił i Jason wylądował brzuchem w szlamie na brzegu, z nogami nadal w wodzie.

Podniósł wzrok i zobaczył, że Jasher siecze zaciekle grzbiet żaby. Ogromny płaz odwrócił się do napastnika. Potężnym ciosem miecza Jasher rozłupał rogaty łeb. Potem wepchnął ostrze po rękojeść w gardło żaby i wyrwał, zostawiając ziejącą ranę. Stwór szarpnął się spazmatycznie i padł na plecy w błocie, a tylne nogi zadygotały.

- Rachel - wydyszał Jason, podnosząc się.

Mała łódka podryfowała od brzegu, obracając się powoli. Rachel złapała wiosło i zaczęła wiosłować z powrotem.

Jason i Jasher wyciągnęli łódź daleko na brzeg. Jason zanurzył się w wodzie, żeby zmyć większość brudu z przemoczonych ubrań.

- Nigdy dotąd nie widziałam żaby z zębami - szepnęła Rachel.

- Ani ja - dodał cicho Jasher. - Mamy w połowie za sobą naszą przygodę na bagnach. We wnętrzu tego drzewa powinniście odnaleźć Wieszczkę. Możecie się zastanowić, czy lepiej nie wchodzić tam pojedynczo. Galloran ostrzegł mnie kiedyś, że to drzewo płata figle umysłowi.

- Moja kolej - powiedział Jason.

- Ty nie wchodzisz? - zapytała Jashera Rachel.

- Zostanę na warcie, będę bronił łódki. Bez niej bylibyśmy zgubieni. To wy zbieracie sylaby. Idźcie szybko.

- Czy Wieszcza jest niebezpieczna? - zapytał Jason.

- Pytanie brzmi: „Jak bardzo?” - odparł Jasher. - Nie jestem pewien. Jednak zna sylabę i powinna wam pomóc, jeśli przekonacie ją o szczerości swoich zamiarów.

Długa, wąska wyspa rozszerzała się wokół drzewa. Kiedy Jason dowlekł się bliżej drzewa, zauważył kilka czarnych błotnych żmij leżących na brzegu po jego lewej

stronie. Rachel wzięła go za rękę i tak ścisnęła, że krew mu nie dopływała do palców. Obserwowali węże bacznie, dopóki ich nie minęli.

U podnóża olbrzymiego drzewa Jason ujrzał kępę kulistych grzybów, z których każdy miał małą dziurkę na czubku. Z bliska zdumiała go średnica pnia. Oceniał, że potrzeba by ze trzydziestu ludzi, żeby objęli, drzewo trzymając się za ręce. A może więcej.

Nie zauważyli otworu w pniu, więc zaczęli je obchodzić. Wilgotny grunt był tu pewniejszy niż gdziekolwiek do tej pory na bagnach.

Jason potarł oczy. Nagle zaczęły go szczypać i poczuł senność. Przystanął na chwilę. Co on tu robi? Ach, no tak, szuka wejścia do drzewa. Znowu zaczął je obchodzić. W przeciwnym miejscu zauważył wąską szczelinę, wystarczająco wysoką, żeby mógł wejść, nie kucając.

- Poczekaj tutaj - szepnął do Rachel. - Zawołam cię, gdybym cię potrzebował.

- Jeśli pokażą się węże albo żaby, to nie będę czekała - szepnęła w odpowiedzi. - Uważaj na siebie.

Odsunęła się na kilka kroków od ziejącej szczeliny.

Jason się zawahał. Kto wie, co czekało w środku. Wyjął sztylet z przemoczonego płaszcza. Dlaczego miał przemoczony płaszcz? Nie mógł sobie przypomnieć. Za to wiedział, że musi wejść do drzewa. Dlaczego? Szukał tam schronienia? Nie. Potrzebował sylaby Słowa. Uderzył się w policzek i potrząsnął głową.

Ostrożnie wsunął się do szczeliny i wszedł w korytarz, który, zakręcając, prowadził w głąb kolosalnego drzewa.

Rozdział 19

Wieszczka

Zanim Jason wynurzył się z głębokiej szczeliny i wszedł do rozległej dziury wewnątrz drzewa, był już całkowicie skonsternowany. Śliczna młoda dziewczyna mająca kilkanaście lat siedziała w drewnianym bujanym fotelu i patrzyła na niego zdumiona. Na ziemi leżał kolorowy chodniczek, a pod ścianą stały dwa regały obładowane książkami. Światło padało z małego kryształu umieszczonego na półce.

Jason spojrział w górę. Dziura ciągnęła się wysoko w górę, ginąc w mroku. Dlaczego znajdował się w drzewie? I dlaczego trzymał nóż? Pośpiesznie go schował.

- Kim jesteś, przybyszu? - zapytała dziewczyna, wstając, a w jej miłym głosie pobrzmiwała ukryta obawa.

- Jestem... jestem... Nie bardzo wiem, kim jestem.

Uśmiechnęła się. Ubranie miała proste, ale jej świeża, młoda uroda była całkowicie rozbrajająca. Była wysoka, smukła i miała piękne rysy twarzy. Jej jasne brwi uniosły się delikatnie ponad uderzająco pięknymi oczami w kolorze głębokiej zieleni. Skórę miała nieskazitelną i jasną.

- Nie pamiętasz - powiedziała.

Jason skrzywił się, pocierając czoło. Miał uporczywe wrażenie, że kimś jest. Odpowiedź wydawała się tuż poza zasięgiem. Spojrział na zabłocone buty, zastanawiając się, czy zawierają jakąś wskazówkę. Ubrania miał mokre. Coś cuchnęło jak zjełczałe łajno. Badawcze pociągnięcie nosem wskazało, że to on sam. Próbował wyobrazić sobie własną twarz, ale mu się nie udało.

- Naprawdę nie pamiętam.

- Nieważne - odpowiedziała beztrąsko dziewczyna. - Jestem Corinne.

- Przepraszam za mój zapach. Nie wiem, czemu tak cuchnę.

- Nie ma powodu przepraszać.
- Gdzie jestem?
- Wewnątrz drzewa.

Jason spojrział na piękną gospodynię, próbując powstrzymać się przed niegrzecznym gapieniem się.

- A dlaczego tu jestem?
- Sądząc po nożu, który schowałeś, pewnie szukasz Słowa. Rozpoznaję godło na rękojeści.

Jason wyciągnął sztylet i pokazał go dziewczynie. - Przepraszam za to. Nie bardzo wiem, co sobie myślałem. O jakim słowie mówisz? - Słowie, które może zniszczyć złą osobę. Pewnie tego nie pamiętasz. Jason zagryzł dolną wargę, zerkając pod nogi i próbując siłą woli zmusić wspomnienia do wynurzenia się. Co się z nim działo?

- Martwisz się czymś - zauważyła Corinne.

Jason podniósł wzrok.

- To frustrujące. Mam bez mała pewność, że kimś jestem, ale niczego nie pamiętam. Dostałem amnezji? Powinienem cię znać?

- Nigdy się nie spotkaliśmy. - Corinne wzięła go za rękę i poprowadziła, żeby usiadł na drugim bujanym fotelu obok niej. - Jesteś głodny?

Jason się zastanowił.

- Tak.

Podeszła do fragmentu ściany pokrytego kruszącym się białym serem, odłamała garść, położyła na drewnianym talerzu i podała Jasonowi. Potem podeszła do drewnianego kurka wystającego z innej części ściany, odkręciła go i napełniła drewniany kubek. Podała go Jasonowi. W środku znajdował się ciemnobrązowy syrop.

Jason odkrył, że ser ma wyrazisty, ostry smak. Soki drzewne były słodkawe i niezwykle bogate w smaku.

- Dziękuję.
- Cała przyjemność po mojej stronie - odparła Corinne. - Rzadko mam towarzystwo.

- A przecież jesteś taka śliczna - odpowiedział Jason, zaskakując samego siebie szczerością wypowiedzi. Przez chwilę zastanawiał się, czy nie ma uszkodzonego mózgu.

Dziewczyna odwróciła wzrok.

- Tak uważasz?

- Zdecydowanie.

- Dziękuję. - Jej policzki nabrały nieco koloru. - Pozwól, że podam ci jeszcze coś do picia.

Zanurzyła kolejny kubek w głębokiej misie pod ścianą i przyniosła mu wodę. Jason wypił duszkiem. Rozejrzał się. Kępy kulistych grzybów przywarły do ścian drzewa, a każdy miał maleńki otwór na czubku. Im wyżej, tym gęściej rosły, różniąc się wielkością - od piłeczki golfowej do piłek od softballu. Zauważył też wielką skrzynię z żelaznymi okuciami w kącie pomieszczenia.

- Muszę przeprowadzić próbę - powiedziała mu Corinne. - To powinno pomóc ci przypomnieć sobie, dlaczego się tu zjawiłeś. Masz coś przeciwko temu, żebym wsunęła ci to na głowę?

Wyjęła garść czarnego zwiewnego materiału.

- Nie stanie mi się krzywda? - upewnił się Jason.

- Nie. To może pomóc ci odzyskać pamięć.

- W takim razie śmiało.

Nałożyła mu na głowę czarną delikatną siateczkę. Materiał przywarł dokładnie, sprawiając, że musiał bardziej się wysilić, żeby wciągnąć powietrze. Prawie nic nie widział. Myślami powrócił do swojej tajemniczej tożsamości. I nagle sobie przypomniał.

- Jestem Jason! - wykrzyknął.

- Dlaczego zjawiłeś się tutaj? - rozległ się za jego plecami kobiecy głos. Jason poczuł nóż na gardle. - Nie ruszaj się i tylko odpowiadaj.

Jason się zdumiał. Dlaczego siedzi w fotelu? Co ma na głowie? Ostatnie, co pamiętał, to wejście do drzewa. W jednej chwili wchodził do szczeliny, a w następnej siedział w fotelu z czymś na głowie i nożem na gardle.

- Szukam informacji na temat Słowa, które może zniszczyć Maldora.

Miał nadzieję, że to właśnie chciała usłyszeć osoba trzymająca nóż.

- Kto cię przysłał?

- Galloran.

- Dlaczego Galloran sam nie przyszedł?

- Jest niewidomy. - Jason usłyszał zduszony okrzyk. - Zawiódł, nie dopełnił misji i przekazał ją mnie.

- Dobrze. - Ktoś ściągnął mu siateczkę z głowy.

Jason podniósł wzrok, mrugając i skonsternowany spojrzał na młodą kobietę. Nagle ją rozpoznał. Ależ oczywiście, to była Corinne.

- Dlaczego zdjęłaś to tak szybko? - zapytał.

- Uznałam, że masz prawo tu być - odpowiedziała.

Jason zastanowił się nad tym. Miał kaptur na głowie tylko krótką chwilę. Nie zdążyli odezwać się do siebie słowem. Nadal nie pamiętał, kim jest i dlaczego się tu zjawiał.

- Długo tu mieszkasz? - zapytał.

- Całe życie.

- Tu się urodziłaś?

Wzruszyła ramionami. - Moje wczesne dzieciństwo spowija mgła. Dorastałam tutaj. Usiadła na drugim fotelu bujanym. - Czy to wioska drzew? - zastanawiał się Jason. - Nie. To drzewo rośnie w otoczeniu śmiertelnie niebezpiecznych bagien. Ale tu nic nam nie grozi.

- Dlaczego?

- Widzisz te purchawki na ścianach?

- Pewnie.

- Tworzą atmosferę, która odstrasza wszelkie stworzenia. Z wyjątkiem ludzi. Tutejsza atmosfera blokuje wspomnienia wszystkich, którzy tu wchodzi, ujawniając inną część ich umysłu.

- Czyli, kiedy wyjdę, przypomnę sobie, kim jestem - powiedział Jason, z ulgą i fascynacją.

- I zapomnisz o wszystkim, co się tu wydarzyło. Gdybym ja wyszła, straciłabym swoją tożsamość, tak jak ty przy wejściu. - Sprawiała wrażenie smutnej.

- Jesteś tu więźniem?

- W pewnym sensie. Gdybym odeszła, porzuciłabym wszystkie wspomnienia na temat matki i jej misji. Ledwie bym znała samą siebie. Muszę pozostać, żeby zachować to, co wiem na temat Słowa. To jedyny sposób, żeby powstrzymać bardzo złego człowieka.

- Wielu ludzi zjawia się tu po informacje?

- Jeden człowiek odwiedzał nas wiele razy, kiedy byłam młodsza. Galloran. Znasz go, tylko go nie pamiętasz. Na twoim sztylcie znajduje się jego godło.

- Gdzie jest twoja matka?

- Zmarła jakiś czas temu. To się stało nagle.

Jason rozejrzał się, nie widząc nigdzie szczątków. Postanowił nie pytać.

- Opowiedz mi o Słowie.

- Znam tylko szóstą sylabę, „puse”. Jednak przechowuję jeszcze jedną ważną informację. Galloran powiedział mojej matce, że najtrudniej znaleźć drugą sylabę. Więc na wypadek, gdyby mu się nie powiodło, pozwolił sobie na oszustwo, żeby pomóc przyszłym szukającym. Druga sylaba została wytatuowana na łopacie człowieka imieniem Kimp. Litery są drobnutkie i napisane jedna pod drugą. Najwyraźniej na jego ciele znajduje się wiele tatuaży.

Jason zagapił się na Corinne.

- Znasz tylko jedną sylabę jakiegoś słowa i masz informację na temat drugiej? - To magiczne słowo - broniła się. - Przypomnisz sobie, jakie jest ważne, kiedy już wyjdiesz. Zaufaj mi. Jestem pewna, że przyszedłeś tu, żeby się tego dowiedzieć, chociaż teraz wydaje ci się to czystym absurdem.

Jason widział, że się zdenerwowała. Owo Słowo i zadanie przechowania szóstej sylaby najwyraźniej dużo dla niej znaczyły.

- Na pewno masz rację. Ale czekaj, jak stąd wyjdę, zapomnę wszystko, co mi powiedziałaś.

Skinęła głową.

- Więc może powinienem to zapisać.

- Nie wolno mi niczego z tego zapisywać. Ani tobie. To stanowi haniebną zbrodnię.

Jason zmarszczył czoło.

- Ale powiedziałaś, że Galloran zapisał sylabę.

- I ogromnie przy tym ryzykował. Tego, co uczynił, nie da się już cofnąć. Gdyby dowiedziano się o jego czynie, wszystko byłoby stracone.

- Przepraszam, ale w tej chwili to nie ma dla mnie najmniejszego sensu. Co powinienem zrobić?

- Weź ze sobą parę purchawek. Ich wydzielina pozwoli ci przypomnieć sobie naszą rozmowę. A jeśli wszystko inne zawiedzie, na pewno niedługo tu wrócisz. Wymyślimy coś, żeby się udało. Jesteś pierwszym gościem, którego podejmuję samodzielnie. Moją matkę nazywano Wieszczką, ale to teraz dla ciebie nic nie znaczy.

- W porządku - powiedział Jason, starając się ogarnąć sytuację. - Jeżeli wyjdę na zewnątrz i nie będę wiedział, co robić, wrócę.

Corinne zerwała kilka purchawek z kąta.

- Szczęśliwej drogi - powiedziała, wręczając je Jasonowi.

Odczuwał przyjemność, kiedy ich dłonie się stykały.

- Na pewno nie chcesz iść ze mną? - zapytał z nadzieją.

Nagle łzy zalśniły w jej zielonych oczach.

- Muszę tu zostać.

Jason serdecznie jej współczuł.

- Do widzenia, Corinne.

W drodze przez szczelinę czuł, że w głowie mu się mąci. Potrząsnął nią gwałtownie. Z pewnością nie zapomni Corinne. Mógł przewyciężyć ogłupiający efekt paru grzybów. Mocno się skupił. Corinne. Puse. Druga sylaba wytatuowana na Kimpie. Corinne. Puse. Druga sylaba wytatuowana na Kimpie. Prawie wyszedł ze szczeliny. Corinne. Kim była Corinne? Znał ją ze szkoły? A tak, chodził do Kennedy ego! Co za przełom. Nazywa się Jason Walker!

Teraz znajdował się już poza drzewem. Miał o czymś pamiętać, prawda? Tak, połknął go hipopotam i teraz znajdował się na bagnach z niesamowitym wojownikiem imieniem Jasher. Wszystko gwałtownie do niego powróciło. Dlaczego trzymał w rękach te purchawki? Ostatnie, co pamiętał, to, jak siedział na fotelu, a

kobieta zadawała mu pytania.

- Jak ci poszło? - zapytała Rachel.
- Nie mam pojęcia. Jak długo tam byłem?
- Dość długo. Jakies pół godziny.

Odwrócił się, przyglądając się szczelinie w drzewie. Pamiętał, że tam wchodził. Potem przeskakiwał wspomnieniami do fotela. Na bagnach pociemniało. Zemdlał? Spotkał Wieszczkę? Miał mgliste wspomnienie pięknej dziewczyny. Nie potrafił powiedzieć, czy ta piękna twarz to sen czy prawda. Czy Wieszcza rzuciła na niego czar? W głowie mu się mąciło.

- O co chodzi z tymi grzybami? - zapytała Rachel.
- Nie wiem. To jakaś wskazówka?
- Masz dwa. Powinniśmy je zjeść?
- Nie jestem pewien – odparł Jason, wachając jeden z grzybów.

Zakręciło mu się w głowie. Dziwne, nie pamiętał, jak wyszedł z drzewa, ale teraz stał pod nim naprzeciwko obcej dziewczyny. Była niższa od Corinne i niebrzydka. Co te ładne dziewczyny robiły na bagnach?

- Kim jesteś?
- Żartujesz sobie? - zapytała Rachel.

- Pamiętam, że rozmawiałem z Corinne w drzewie - powiedział Jason, znowu wachając grzyb. Ścisnął go lekko i pył zarodników w brązowomusztardowym kolorze wyleciał przez dziurkę w czubku. - Te grzyby pozwalają mi ją pamiętać, ale blokują wszystko inne. Podobno szukamy jakiegoś słowa?

- Tak - przytaknęła z zapalem Rachel.
- Szósta sylaba brzmi „puse”. To ma jakiś sens?
- Jak najbardziej. Coś jeszcze?

Opowiedział o drugiej sylabie wytatuowanej na plecach Kimpa.

- Wiesz, gdzie możemy znaleźć tego człowieka? - zapytała Rachel.
- Corinne nie powiedziała. Powinienem ją zapytać?

- Za chwilę. Powiedz mi więcej o działaniu tych grzybów. Jason wyjaśnił, że grzyby potrafią tłumić wspomnienia i sprawiają, że bagienne stworzenia trzymają się z dala od drzewa.

- Użyteczna informacja - uznała Rachel. - Myślisz, że Corinne pozwoliłabym nam przespać się dzisiaj w jej drzewie? Byłoby tam o wiele bezpieczniej niż na bagnach. To miejsce jest straszne nocą.

- Nie zaszkodzi zapytać - powiedział Jason. - Robi wrażenie miłej. Możesz mi wyjaśnić, co tu robimy, dopóki używam grzybów? Dzięki temu będę w stanie lepiej wyjaśnić Corinne sytuację.

Rachel udzieliła mu wszelkich wyjaśnień. Pochodził ze stanu zwanego Kolorado, w innym świecie. Podjął się misji razem z Rachel i Jasherem. Powtórzyła mu inne szczegóły na temat sylab Słowa, ostrzegając go, żeby nie wypowiadał ich razem. Mówiła i mówiła. Nic nie brzmiało znajomo, ale historia była niesamowita.

- Powinniśmy porozmawiać z Jasherem - zaproponowała Rachel na koniec opowieści.

- Dobrze - odparł Jason, rozglądając się. - Gdzie on jest?

- Po drugiej stronie drzewa. Uważaj na węże.

Pospiesznie obeszli drzewo.

- Jasher, chodź tu szybko! - Rachel zawołała towarzysza podróży ściszym głosem.

Jasher podszedł do nich długimi krokami z drugiego końca wysepki z mieczem w ręku. Za nim leżały ciała trzech olbrzymich żab w atramentowych kałużach krwi.

Nie powtarzając szóstej sylaby, Rachel pośpiesznie wyjaśniła, czego Jason dowiedział się w drzewie. Powiedziała mu, że chcieliby w nim przenocować.

- Znam człowieka, o którym wspomniałaś, Kimpa - powiedział Jasher. - Mówisz, że zwierzęta z bagien nie zbliżają się do grzybów?

- Tak powiedziała mi Corinne - wyjaśnił Jason. - A ona wie najlepiej.

- Powinniśmy włożyć kilka do łodzi - stwierdził Jasher. - Miejmy nadzieję, że uchronią ją przez noc i zapewnią nam bezpieczną podróż przez bagna.

- Świetny pomysł - zgodziła się Rachel.

Zebrali kilka purchawek rosnących pod drzewem i włożyli je do łódki. Potem Jason odłożył tam swoje grzyby. Z dala od nich zatoczył się i opadł na jedno kolano. Ponieważ znowu zapomniał o Corinne, Rachel i Jasher objaśnili mu plan. Pod koniec Rachel przysunęła się i wyszeptała mu szóstą sylabę.

Kiedy światło dnia gaśło, zebrali się przy szczelinie w potężnym pniu. Jason ruszył pierwszy. Wkrótce pamiętał tylko niedawną rozmowę z Jasherem i Rachel oraz spotkanie z córką Wieszczyki.

Corinne wstała, kiedy weszli. - Tak szybko z powrotem? Przyprowadziłeś przyjaciół! - To Jasher i Rachel - wyjaśnił Jason. - Ja jestem lord Jason z Caberton. A przynajmniej tak mi powiedzieli na zewnątrz. Zastanawialiśmy się, czy moglibyśmy tu zanoć, ponieważ ściemnia się, a bagna są bardzo niebezpieczne nocą.

Jasher stał oszołomiony, gapiąc się to na Corinne, to na Jasona, mrugając i masując skronie.

- Mówisz, że nazywam się Jasher? - zapytał Jasona zdumiony. - Nie brzmi to znajomo.

Rachel skrzyżowała ręce, a między jej brwiami pojawiła się zmarszczka.

- Rachel. Rachel. Nic mi to nie mówi. Co ze mną? Co tu tak śmierdzi?

- My śmierdzimy - powiedział Jason.

- Oczywiście, że możecie tu zanoć - oznajmiła Corinne, kiedy już cierpliwie wyjaśniła Jasherowi i Rachel, dlaczego niczego nie pamiętają.

Tłumacząc, zebrała ser ze ścian i napełniła dwa kubki sokami. Jason podziękował za jedzenie, ale wypił kubek wody.

Corinne uklękła na podłodze obok foteli bujanych i skubnęła nieco sera.

- Ponieważ my nic nie pamiętamy, opowiedz nam o sobie - zaproponował Jasher. Sprawiał wrażenie szczęśliwego i odprężonego.

Corinne nieśmiało spuściła wzrok.

- Niewiele jest do powiedzenia. Mieszkałam w tym drzewie przez większość życia. Jedyni ludzie, jakich kiedykolwiek widziałam poza matką, to Galloran i wasza trójka. Odkąd moja matka umarła, mieszkam tu sama, chroniąc sylabę, którą uważała za ważną. Uwielbiam czytać. Nie macie żadnych książek, co? Swoje przeczytałam już tyle razy.

Jason i Jasher przeszukali ubrania, a potem pokręcili głowami. Rachel zerknęła do torby. Żadnych książek.

- Jaka była twoja matka? - zapytał Jason.

Corinne przechyliła głowę i zapatrzyła się w dal, jakby widziała matkę oczami

wyobraźni.

- Zawsze była dla mnie dobra i bardzo cierpliwa. Przerosłam ją, zanim umarła. W młodości żyła w zbytku i dorastała w arystokratycznym rodzie. Otrzymała dar przewidywania przyszłych wydarzeń i pewni ludzie pogardzali nią z tego powodu. Nazywali ją Wieszczką, wierząc, że rozmawia z nieczystymi duchami. Jednak jej dar nie działał w ten sposób. Matka nie była stara, kiedy tu przybyła, po tym, jak powierzono jej część Słowa, które zniszczy Maldora. Z powodu purchasek wspomnienia jej przeszłości pochodzą z pamiętnika. Czasem prowadziłyśmy rozmowy albo lekcje poza drzewem, ale oczywiście nic z nich nie pamiętam. Bardzo poważnie traktowała swój obowiązek chronienia Słowa. Powiedziała mi, że zanim się urodziłam, przychodziło tu wielu ludzi. Ale to Galloran był jej ulubieńcem. Bardzo jej na nim zależało. Spodziewała się, że wróci po nas pewnego dnia, z wieścią, że Maldor upadł. Cały czas miałam nadzieję na to samo. Matka powiedziała, że widziała w swojej wizji, jak Galloran wyprowadza mnie z bagien, a jej wizje były zwykle bardzo precyzyjne. Jeżeli stracił wzrok, proroctwo może się nie spełnić. Przyszłość nigdy nie jest pewna.

- Biedactwo - powiedziała Rachel.

Corinne uśmiechnęła się do niej blado i smutno.

- Najgorsza była utrata matki. Pewnego dnia padła na podłogę, łapiąc się za pierś, walcząc o oddech. Wyciągnęła do mnie rękę i próbowała coś powiedzieć, ale nie mogłam jej zrozumieć. Nigdy się nie dowiem, co próbowała mi powiedzieć. Była stara, kiedy się urodziłam. Bardzo stara, kiedy umarła. Nie wiedziałam, jak ją ratować, więc zmarła w moich ramionach.

Corinne wypowiedziała ostatnie słowa jak w transie. Zamilkła, obrzucając gości spojrzeniem zielonych oczu.

- Chcielibyście się trochę przespać? - zapytała.

- Czytasz mi w myślach - przyznała Rachel. - Jestem wyczerpana.

Wstała i klepnęła Jasona w ramię.

- Chyba mamy za sobą długi dzień.

Corinne zaprowadziła Jasona i Jashera na cienki materac, wystarczająco duży dla nich dwóch.

- Prześpijcie się tutaj. Rachel, ty możesz położyć się na chodniczku, korzystając ze swojego koca. Ja prześpię się na bujanym fotelu.

Kładąc się na miękkim materacu, Jason podejrzewał, że ostatnio nie spał za dobrze. Natychmiast zasnął.

* * *

Delikatna dłoń potrząsała ramieniem Jasona. Otworzył oczy i ujrzał prześliczną twarz okoloną długimi, gęstymi włosami w kolorze miodu.

- Już świt - szepnęła Corinne.

Jason trącił łokciem Jasher, który natychmiast się poderwał.

- Czas iść - powiedział Jason.

Wstali z materaca i zjedli nieco sera. Rachel zwinęła koce. Jasher przerzucił bukłak, który wcześniej napełnił wodą.

- Chciałabyś do nas dołączyć? - zapytał ją Jasher, kiedy szykowali się do wyjścia.

- Muszę pozostać, by chronić Słowo - powtórzyła Corinne. - Jeśli powiecie wam się i powstrzymacie Maldora, może moglibyście przysłać kogoś, kto mnie powiadomi.

- Zrobimy tak - obiecała Rachel. - Dziękujemy za twoją gościnność.

- Przykro, że nic o sobie nie pamiętamy - powiedział Jason. - Mam nadzieję, że bylibyśmy bardziej interesujący, gdybyśmy zachowali nasze osobowości.

- Wspaniale spędziłam czas z wami - zapewniła go Corinne. - Nie macie pojęcia, jaka bywam samotna. Szczęśliwej podróży.

Jasher poprowadził ich do wyjścia. Kiedy opuścili drzewo, popatrzyli po sobie zdumieni.

- Weszliśmy tam? - spytał Jasher.

- Chyba tak - odpowiedział Jason.

- To może być wczesny ranek albo późny wieczór - zauważyła Rachel.

- Światło pada ze wschodu - odparł Jasher. - Czuję się wypoczęty i gardło mniej mnie boli.

- Czyli to ranek - podsumował Jason.

- Pamiętacie cokolwiek? - zapytała Rachel.

Jasher zmrużył oczy.

- Nic a nic. Macie zawroty głowy?

- Trochę - przyznał Jason. - Wracajmy do łodzi.

Obeszli drzewo i przeszli wąską wyspą w stronę odległego krańca, gdzie leżała łódź. Jasher przystanął gwałtownie, unosząc rękę i zatrzymując dwójkę przyjaciół. Wielka, bezkształtna sylwetka poruszyła się przed nimi w półmroku.

Zamarli w bezruchu, oddychając cicho - Jasher z dłonią na głównej miecza, Jason sięgając po sztylet. Przed nimi poruszyło się coś jeszcze.

- Żaby - szepnął Jasher. - Mała armia.

Nie ruszali się, pozwalając, żeby oczy przyzwyczyły się do słabego światła. Wkrótce Jason zdołał dojrzeć co najmniej kilkanaście olbrzymich żab otaczających łódkę. Ich skóra zlewała się z kolorem błota. Kilka było większych od tych z którymi do tej pory się zetknęli - ogromne, błotniste płazy niemal rozmiarów słoni.

- Wiedzą, że potrzebujemy łodzi - mruknął z niedowierzaniem Jasher.

- Przynajmniej nie pomyślały o tym, żeby ją zatopić - szepnęła Rachel.

- Nie podsuwaj im żadnych pomysłów - zaniepokoił się Jason.

- To pewnie purchawki uratowały łódź - domyślił się Jasher. - Chociaż ropuchy ją otoczyły, żadna nie podeszła zbyt blisko. Wygląda na to, że żaby, które zabiłem wczoraj, zniknęły.

- Kanibalki - mruknął Jason. - Co teraz?

Jasher machnął, pokazując, żeby podeszli bliżej.

- Jeśli wszystko zawiedzie, wracajcie do drzewa. Mam jeszcze jedną kulę orantium. Wybuch powinien zabić jedną, może dwie żaby i rozproszyć pozostałe. Nie mamy szansy pokonać ich jedynie siłą naszych kling.

- Zwłaszcza, że moja jest ledwie dość długa, żeby przebić którejś jedną brodawkę - dodał Jason.

- Potrzebuję tylko nieco więcej światła, zanim ruszymy - powiedział Jasher.

Stali w milczeniu. Żaby nie wydały z siebie żadnych dźwięków i nie wykonywały agresywnych ruchów. Od czasu do czasu jedna albo dwie zmieniały pozycję. Najbliższa gapiła się na nich bez mrugnięcia okiem. Światło narastało. Jasher wyjął kulę z orantium.

- Czekaj - szepnęła Rachel. - A może spróbujemy porzucić grzybami? Jeśli

purchawki odstrasza ją od łodzi, to może w ogóle je odpędzą.

Jasher wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- Przynajmniej jedno z nas myśli. Wracajmy do drzewa. Bez gwałtownych ruchów.

Powoli i po cichu wrócili do drzewa i zebrali po kilka purchawek każde, uważając, żeby ich nie ścisnąć.

Kiedy znaleźli się w odległości rzutu od olbrzymich żab, zaczęli ciskać w nie grzybami. Purchawki wносиły się wysoko po łuku, zanim lądowały w cichych wybuchach żółtobrazowego proszku.

Kiedy wylądowały pierwsze trzy, żaby skoczyły do wody, wpadając na siebie w panicznym pośpiechu. Rzucili tylko sześcioma purchawkami i zatrzymali się, żeby popatrzeć, jak ostatnie z monstrualnych płazów rzucają się do ucieczki i wskakują do mętnej wody.

Nadal niosąc po kilka purchawek, Jason, Rachel i Jasher popędzili do łódki. W pobliżu niej Jason poczuł zawroty głowy.

Przypomniał sobie Corinne i zdał sobie sprawę, że grzyby znowu zaćmiły mu wspomnienia. Jasher i Rachel też robili wrażenie skołowanych.

- Przesuńcie grzyby na dziób - poradził im Jason. - To nieważne, czy my z Rachel będziemy mieli wspomnienia. Jasher, spróbuj zakryć nos i usta.

Przenieśli purchawki. Jasher zdjął szarfę i obwiązał ją sobie na dolnej połowie twarzy.

- Wróciłem - powiedział. - Domyślam się, że to grzyby nas skołowały.

- Będziemy je trzymać na dziobie - odpowiedział Jason. We trójkę zepchnęli łódkę na wodę. Kiedy Rachel i Jason siedli przy dziobie, Jasher odepchnął się wiosłem.

- Obserwujcie bacznie wody - powiedział głosem stłumionym przez szarfę. - Zamierzam wykorzystać te grzyby. Poświęcimy dyskrecję na rzecz szybkości. Chcę opuścić bagna przed zmrokiem.

- Będziemy czuwać - zapewniła go Rachel.

- Mamy uważać na coś w szczególności? - zapytał Jason.

Jasher powiedział im o szlamie.

- Zapomniałem, że nie macie wspomnień.

- A przynajmniej niewiele - odpowiedział Jason. - Przy okazji, przypomniało mi się, że Corinne prosiła nas, żebyśmy dali jej znać, gdyby nam się powiodło i zniszczylibyśmy Maldora, ale bez grzybów możemy o tym nie pamiętać.

Jasher uniósł palec.

- Jeśli obalicie cesarza, obiecuję osobiście poinformować o tym wszystkich strażników Słowa.

- Nikogo nie obalimy, jeśli nie ruszymy - wtrąciła Rachel, rozglądając się niespokojnie.

Jasher zaczął energicznie wiosłować. Długie wiosło głośno rozchłapywało wodę, wzbudzając wielkie fale na poza tym spokojnej powierzchni. Jason czuwał na dziobie, od czasu do czasu ściskając delikatnie purchasekę i mając nadzieję, że w ten sposób utrzyma na dystans odrażające stworzenia.

Dzień był gorący i parny. Jason cieszył się dziwacznymi i egzotycznymi widokami bagna. Zastanawiał się, czy tak samo doceniał krajobrazy, kiedy zagłębiali się w bagna. Wątpił w to. W końcu tym razem widoki były jednymi z jego pierwszych wspomnień. Zwierzęta, które dojrzał, trzymały się z dala od łódki. Wydawało się, że tylko dryfujące masy szlamu pozostają obojętne na ładunek purchasek.

* * *

Ściemniało się, kiedy wreszcie zobaczyli błotnisty brzeg znaczący koniec mokradeł i początek terenów mniej podmokłych. Jason zauważył niezwykle, grubą żabę siedzącą na kłodzie.

- Patrz. - Wskazał ją Jasherowi. - Ta ma trzecie oko.

Nasiennik natychmiast padł na dno łodzi.

- Padnijcie. Ludzkie oko?

Jason i Rachel skulili się w małej łódce. - Może. Ma je na piersi. - A niech to! - Jasher wyszarpnął z buta krótki nóż. Uklęknął i cisnął nożem. Jason zerknął ponad burtą i zobaczył, że ostrze przeszło żabę tuż nad obcym okiem, zrzucając płaza z kłody. Krzywiąc się, Jasher pośpiesznie skierował łódkę do brzegu.

- Gdzieś jakiś rozsadnik dowiedział się właśnie, gdzie się znajdujemy i że

podróżuję z wami. Ktoś musiał się natknąć na nasz trop. Musi się już szykować niezła obława. Powinniśmy bezzwłocznie ruszać.

Wyciągnęli z Jasonem łódkę z wody i razem ją obrócili. W gasnącym świetle dnia pośpiesznie ją ukryli. Jason zauważył, że Jasher ma otarte do żywego, pokryte zaschniętą krwią dłonie i popękane pęcherze.

Zapadła noc, kiedy maszerowali, oddalając się od granicy bagien. Niewidoczne chmury przesłoniły wiele gwiazd. Dobrze po zmierzchu znaleźli względnie suche miejsce na nocleg. Rachel zachowała sporo purchawek z łodzi i ułożyła je wokół ich obozowiska. Obecność grzybów ułatwiła Jasonowi zaśnięcie.

* * *

Następnego ranka, zanim jakikolwiek ślad jutrzeńki zabarwił niebo, Jasher obudził Jasona i Rachel. Natychmiast ruszyli w drogę, w biegu zjadając resztki zapchaj brzucha.

- Musimy ustalić nasz następny ruch - powiedział Jasher.

- Dobrze - zgodził się Jason. - Kim jest ten facet, ten Kimp?

Jasher się uśmiechnął.

- To najlepsza wiadomość, jaką zdobyliśmy na bagnach. Znalezienie Świątyni Mianamon łączyłoby się z potworną wędrówką. Teraz zdobycie drugiej sylaby będzie prostsze, chociaż równie niebezpiecznie.

- Przynajmniej nadal będzie niebezpieczne - powiedział Jason, udając ogromną ulgę.

Rachel trąciła go łokciem.

- To poważna sprawa.

- Kimp służy Maldorowi - wyjaśnił Jasher. - Zanim złapano Gallorana, on sam dorwał Kimpa. Pewnie wtedy wykonano tatuaż. Musicie zrozumieć, że Kimp kolekcjonuje tatuaże. Niemal cała powierzchnia jego ciała jest poznaczona zielonym i czarnym atramentem. Zakładając, że ślad pozostawiony przez Gallorana zachował się, wystarczy, że odczytacie go z łopatki Kimpa.

- Wiesz, gdzie on jest? - zapytała Rachel.

- To jest najlepsze. Wiem. Bardzo wiele czasu poświęcam obserwowaniu Maldora i jego głównych popleczników, szukając okazji do uderzenia. Kimp mieszka

obecnie na Zamku Harthenham, gdzie odbywa się Wieczna Uczta.

- Mam zaproszenie na Wieczną Ucztę - przypomniał wszystkim Jason. - Miałem to na uwadze. - Tylko czy nadal jest ważne? - zastanawiał się Jason. - Odrzuciłeś je oficjalnie? - zapytał Jasher. - Nie. - To twoje pierwsze zaproszenie? - Tak. - Podano datę jego wygaśnięcia? - Nie. - Więc nadal obowiązuje. - Wpadło do wody razem z tobą? - zaniepokoiła się Rachel.

- Nie - uspokoił ją Jason. - Zostawiłem je w torbie na łodzi. Powinno być w dobrym stanie.

- Gdzie znajduje się zamek? - zapytała Rachel, kiedy przedzierali się przez kępę trzciny.

- Kilka dni drogi stąd na wschód - odpowiedział Jasher. - Zakładając, że nasze konie czekają tam, gdzie je zostawiliśmy. Pieszo dotarcie na miejsce zajęłoby nam kilka tygodni. Musimy podejść do naszych wierzchowców bardzo ostrożnie. Jeśli ci, którzy nas ścigają, znaleźli je, to będzie idealne miejsce na zasadzkę.

- Co możesz mi powiedzieć o Wiecznej Uczcie? - zapytał Jason. - Maldor zaprasza swoich najbardziej niebezpiecznych przeciwników na Wieczną Ucztę na Zamku Harthenham. Księżę Conrad przewodzi zabawie. Żaden z tych, którzy odpowiedzieli na zaproszenie, nigdy nie wrócił.

- To jakaś sztuczka? - zapytał Jason. - Są zabijani? - Podobno nie. Początkowo goście wysyłają listy, w których wyjaśniają, że zamierzają przedłużyć pobyt. I wreszcie nieuchronnie nadchodzi wieść, że zdecydowali się pozostać na czas nieokreślony.

- Muszą ich dobrze karmić - stwierdził Jason. - Jestem pewien, że nie ułatwiają odejścia - powiedział Jasher. - Dostanie się tam nie powinno wymagać większego wysiłku. Wydostanie się będzie prawdziwym wyzwaniem.

- Zostałeś zaproszony? - zapytała go Rachel. - Trzy razy. - Ale nigdy się tam nie udałeś. - Nigdy nawet nie rozważałem przyjęcia zaproszenia. Tak samo jak Galloran. Jason jednak musi je teraz przyjąć. Podróż do Mianamon zajęłaby nam wiele miesięcy i zaprowadziła nas na najbardziej niebezpieczne i niezbadane tereny na tym kontynencie.

- Czy ty i Rachel możecie pójść ze mną?

- Poszedłbym, gdybym mógł - zapewnił go Jasher. - Moja okazja, żeby przyjąć zaproszenie, minęła. Trzecie zaproszenie zawierało ultimatum. Miało datę, a ja pozwoliłem, żeby ważność zaproszenia wygasła. Jestem jedynym człowiekiem, o jakim wiem, przeciwko któremu Maldor wydał niepodlegający przedawnieniu wyrok śmierci. Już nie próbuje mnie omamić. Mam zostać zabity przy pierwszej nadarzającej się okazji. Gdybym do ciebie dołączył, zabito by mnie w okamgnieniu.

- A co z twoim nasionem? - zapytała Rachel.

- Gdyby mógł je zniszczyć w tajemnicy, nie wahałby się ani chwili. W przeciwnym wypadku, podejrzewam, że zamknąłby je gdzieś, gdzie nigdy nie zostałyby posiane.

Jason potarł brodę.

- Więc musimy się rozdzielić - stwierdził z niechęcią.

- A co ze mną? - zapytała Rachel. - Dlaczego mnie nie zaproszą?

- To się może zdarzyć - odpowiedział Jasher. - Tylko będzie wymagało czasu. Głośne posunięcia Jasona w Trensicourt sprawiły, że zaproszenie nadeszło szybciej niż zwykle.

- Znam pięć sylab Słowa - upierała się Rachel.

- Maldor nie może wyobrazić sobie, że znasz więcej niż cztery - odpowiedział Jasher. - Wskazówka w skarbcu mądrości to przebiegła zagrywka Gallorana, ponieważ czwarta sylaba wymagała podróży na odległą wyspę. Sylaby zdobyte w tajemnicy, tak jak ta w Harthenham, dają wam ogromną przewagę. Jeżeli Maldor myśli, że macie tylko cztery sylaby, może czuć się wystarczająco pewnie, żeby spotkać się z wami osobiście, dając wam szansę, na którą czekamy.

- Wszystko zależy od tego, czy zdobędziemy ostatnią sylabę od Kimpa - powiedział Jason.

- Musimy działać szybko - powiedział Jasher. - Bo okazja może przepaść.

- Rozumiem - przyznała Rachel. - Nie ma czasu, żebym popracowała nad swoją reputacją na tyle, by i mnie zaproszono.

- Miejmy nadzieję, że rozdzielimy się na krótko - odparł Jasher. - Rachel zostanie ze mną. Poczekamy na ciebie, Jasonie, w okolicy zamku. Będziemy tam, gotowi pomóc, z końmi na podorędziu, kiedy tylko uciekniesz. Nade wszystko

musisz pamiętać, że nie jesteś tam dla uczyty. Zapomnij o wszystkich przyjemnościach i rozrywkach. W jak najmniejszym możliwym stopniu przyjmuj gościnność swoich gospodarzy. Strzeż się podarków od Maldora. Daje prezenty ludziom tak, jak rybacy podsuwają robaki pstrągowi.

* * *

Pięć dni później, z kryjówki na zalesionym stoku, Jasher, Jason i Rachel obserwowali jeźdźca odzianego w szkarłat, jak galopuje w dali, a jego barwna peleryna łopocze niczym flaga. Mając Jashera za przewodnika, odzyskali konie i przejechali przez pustkowie bez przygód.

- Szkarłatni Jeźdźcy to kurierzy Maldora - wyjaśnił Jasher. - Ten jest na swojej normalnej trasie. Nie noszą broni i dlatego my, którzy stoimy w opozycji, nie robimy im krzywdy.

- Mam go po prostu zatrzymać? - zapytał Jason.

Jasher pokiwał głową.

- To będzie najszybszy sposób, żeby wykorzystać zaproszenie i dotrzeć na Zamek Harthenham. Rachel i ja zawsze będziemy gdzieś w pobliżu. Gdyby zapytali o któreś z nas, rozdzieliśmy się trzy dni temu. Znajdę nam jakąś kryjówkę.

Jason skinął głową. Teraz albo nigdy. Szturchnął konia piętami i strzelił wodzami. Karny wierzchowiec zaszarżował w dół stoku. Po kilku chwilach Jason wyjechał spomiędzy drzew i zamachał rękami na jeźdźca w oddali. Tamten zatrzymał konia i patrzył na zbliżającego się Jasona. Wreszcie spiął rumaka i wyjechał Jasonowi naprzeciw.

Kilka minut później jeździec przystanął obok niego. Jason nigdy w życiu nie widział równie wielkiego konia jak ten kasztan - przy nim jego własny wierzchowiec wyglądał przeciętnie.

- Mów! - zażądał jeździec potężnym głosem, o wiele głośniejszym niż wydawało się to potrzebne.

- Nazywam się Jason.

Tamten wytrzeszczył oczy.

- Lord Jason z Caberton?

- Dobrze zgadujesz. Mam zaproszenie na Wieczną Ucztę i chcę je przyjąć.

Uniósł zaproszenie. Jeźdźcowi odebrało mowę.

- Trochę się pogmiotło i zabrudziło - dodał przepaszająco Jason. - Mam dość bycia bohaterem. Nie ma sensu przeciwstawiać się cesarzowi. Możesz mi pomóc?

Młody człowiek w szkarłatnej pelerynie robił wrażenie podenerwowanego. Rozejrzał się po okolicy.

- To żaden podstęp - uspokoił go Jason. - Jak mam poinformować nadawcę, że przyjmuję to szczodre zaproszenie?

Szkarłatny jeździec rozluźnił się nieco.

- To jest ważniejsze od wiadomości, którą przewożę - stwierdził. - Odwiozę pana bezpiecznie do Bresington. Stamtąd oficjalna eskorta odwiezie pana do Harthenham.

- Prowadź więc - odparł Jason, pilnując się, żeby nie obejrzeć się za siebie i nie spojrzeć w miejsce, gdzie ukrywali się jego przyjaciele.

Rozdział 20

Wieczna Uczta

Powóz podjeżdżał długą, dobrze utrzymaną bitą drogą, mijając trawiaste pola pocięte bielonymi drewnianymi płotami. Jason wyglądał przez okno ponad sielankowymi przestrzeniami, pierwszy raz widząc Zamek Harthenham.

Wysoki i elegancki zamek o połyskliwych białych ścianach wydawał się wyjęty prosto z bajki. Miał mnóstwo wież zwieńczonych stromymi stożkowatymi dachami i łopoczącymi chorągwiami. Eleganckie zwiewne przypory łączyły kilka wież z otaczającymi je murami. Dramatyczne posągi majestatycznych postaci lśniły na gzymsach jak anielskie gargulce. Kunsztowne złote i srebrne maswerki zdobiły kamieniarkę. Barwne flagi i sztandary dekorowały wysoki zewnętrzny mur, który skrzył się opalizująco.

Hrabia Dershan, który siedział w powozie razem z Jasonem, wskazał zamek.

- Wiele ton wspaniałego kryształu starto do zaprawy, żeby ściany Harthenham uzyskały ten eteryczny blask - wyrecytował z nabożeństwem.

Mówiąc, pochylił się ku Jasonowi i pogłaskał krzaczaste wąsy, przechodzące w kudłate bokobrody.

- Wygląda niesamowicie - przyznał Jason, zerkając na człowieka, który dzielił z nim powóz.

Hrabia Dershan spotkał się z nim w Bresington jakąś godzinę temu. Przybył powozem i ze zmianą ubrania. Po niemalże dwóch dniach jazdy w towarzystwie szkarłatnego jeźdźcy Jason znowu wystroił się w dworskie szaty i zasiadł wygodnie w luksusowym powozie.

- Najwyższa postać na zamku, wojownik Elwyn, jest wykonana ze szczerzego złota, a jego miecz jest z platyny.

Jason widział wojownika, jedną ręką trzymającego się najbardziej strzelistej iglicy, w drugiej unoszącego miecz. Jason wyobraził sobie, jak iglica pęka i dumny, złoty wojownik spada na jakiś ukryty dziedziniec na złamanie karku. Chciałby, żeby tak się stało, bo mógłby wtedy zobaczyć minę Dershana. Hiabia najwidoczniej osobiście szczycił się bogactwem Harthenham.

- Niestety, nie możemy stąd zobaczyć terenów zamkowych - ciągnął Dershan. - Rzeźby z krzewów są niespotykane, ogrody nie mają sobie równych. Z odpowiedniej perspektywy lustrzane sadzawki tworzą idealną iluzję odwróconego zamku, łącznie z obłokami i niebem.

- Nie mogę się doczekać - powiedział Jason, mając nadzieję, że zachowuje się jak typowy przybysz. - Słyszałem, że tamtejsze jedzenie jest naprawdę dobre.

Hrabia Dershan zarechotał, słysząc to niedopowiedzenie.

- Ponad dwustu specjalistów poświęca życie zbieraniu i przygotowywaniu smakołyków z całego kontynentu. Żaden król nie jadał tak jak my.

Wkrótce powóz ze stukotem przejechał przez most zwodzony i zatrzymał się obok portyku na nieskazitelnym dziedzińcu. Kilku służących stało na baczność w upudrowanych perukach i wspaniałych liberjach. Żaden nie nosił broni, a Jason nie dostrzegł straży.

Pod portykiem czekał dystyngowany mężczyzna około czterdziestki o idealnej sylwetce. Miał na sobie nienaganny biały mundur uzupełniony obfitością medali na piersi, a na ramionach epoletami obrębionymi złotymi frędzlami. Nosił także umocowany u szczupłego pasa rapier. Czarne włosy miał krótko przycięte i szesane do tyłu, co podkreślało głębokie zakola. Skrupulatnie przycięta kozia bródka porastała mu podbródek. Brązowa skóra kontrastowała z jasnym mundurem.

Lokaj otworzył drzwi powozu i postawił na ziemi stołek. Jason wysiadł za hrabią Dershanem, łapiąc się ręki, którą podsunął mu sługa o ziemistej twarzy.

Dershan zaprowadził Jasona prosto do jegomościa w mundurze.

- Książę Conradzie z Harthenham, proszę pozwolić, że przedstawię panu naszego szanownego gościa, lorda Jasona z Caberton.

Książę Conrad skłonił się sztywno. Jason powtórzył ten płytki ukłon.

- Miło mi pana poznać - oznajmił Conrad zwięźle i powściągliwie.

Wyciągnął dłoń w rękawiczce, a Jason ją uściśnął; stanowczość uścisku go zaskoczyła. Książę Conrad był kilka cali niższy od Jasona i przyglądał mu się bystrymi, ciemnymi oczami. Miał wąską twarz, co podkreślało zapadłe policzki i orli nos. Jason zauważył, że Conrad obrócił lekko dłoń w rękawiczce, żeby Jason ścisnął ją, mając własną rękę obróconą wnętrzem dłoni do góry. Przyjaciel powiedział mu kiedyś, że ten, czyja dłoń jest na wierzchu, wygrywa w wymienianym uścisku. Jason otworzył dłoń, kończąc te subtelne zawody.

- Ucieszyłem się, otrzymawszy pańskie zaproszenie - powiedział.

- A ja ogromnie cieszę się, mogąc powitać pana w swoim domu - odparł Conrad bez większego entuzjazmu, mierząc Jasona spojrzeniem bystrych oczu. - Proszę swobodnie korzystać z zamku i jego terenów. Jakby to wszystko należało do pana.

Jasona nagle zaczęło kusić, żeby zapytać, czy może dostać jeden z medali księcia. Albo po prostu odpiąć jeden i przypiąć sobie. Jednakże nie było jego celem zrobienie sobie wroga z tego człowieka. Miał sprawiać wrażenie potulnego.

- Doceniam pańską gościnność - odparł. - Proszę - powiedział Conrad, obracając się szybko i prowadząc Jasona przez ozdobne podwójne drzwi. - Przygotowania do uczyty powitalnej właśnie dobiegają końca.

Jason ruszył za księciem Conradem wspaniałym holem prowadzącym do marmurowej fontanny. Szmaragdowy płyn spływał z dyszy do misy, rozsiewając owocowy aromat. Potężny żyrandol ze złota i kryształów zwieszał się ze sklepienia. Migotały w nim setki świec. Rząd równo rozmieszczonych służących stał nieruchomo pod ścianą.

- Od razu chciałby pan zasiąść do posiłku czy najpierw woli pan odpocząć w swoich apartamentach? - zapytał Conrad.

- A co pan by wolał?

- Usłyszeć odpowiedź.

Jason się zirytował - Conrad osiągnął mistrzostwo w zwięzłej arogancji.

- Wobec tego chciałbym najpierw zobaczyć moje pokoje, a wkrótce potem coś zjeść. Tak będzie dobrze?

- Jest pan gościem honorowym - odarł oschle książę. - Z radością dostosujemy się do pańskiego rozkładu dnia. Derrik.

Blady sługa oderwał się od ściany.

- Tak, panie.

- Dopilnuj, aby uczta rozpoczęła się za trzydzieści minut.

Mężczyzna skłonił się i odszedł pośpiesznie.

- Cassandra. Odprowadź lorda Jasona do jego apartamentów.

Kobieta pod ścianą spuściła wzrok i dygnęła. Jason nie mógł nie zauważyć, że kilka służących było bardzo ładnych.

- Tędy, panie - powiedziała uprzejmie Cassandra.

Jason poszedł za nią korytarzami i schodami, mijając wspaniałe tkaniny i rzeźby, aż wreszcie dotarli do białych drzwi zdobionych złotym ornamentem przypominającym winorośle. Klamka miała kształt podobny do róży.

Cassandra otworzyła drzwi i wpuściła Jasona do środka.

Chłopiec zatrzymał się w progu i zagapił.

Nigdy w życiu nie widział bardziej eleganckiego pokoju.

W wystroju dominowały niebieskie odcienie z dodatkiem bieli i srebra. Piękne bukiety olśniewających kwiatów jaśniały w ozdobnych wazach, sprawiając, że pokój pachniał jak łąka po delikatnym deszczu. Mistrzowskie obrazy i rzeźby rozmieszczono z gustem w przestronnym salonie. Dyskretne freski z sielskimi scenami zdobiły wysoki sufit. Luksusowe meble były zdobione kamieniami szlachetnymi. Jason spokojnie potrafił wyobrazić sobie dowolny przedmiot z tego pokoju w gablocie muzealnej za szkłem.

W sąsiednim pokoju zobaczył ogromne łóżko. Już jego rodzice mieli duże łóżko - a to było gigantyczne, wypełnione miękkimi poduszkami. Gruby materac wyglądał, jakby był gotów go utulić. Jedwabna pościel była chłodna i gładka. Futrzane kołdry zwinięte w nogach łóżka przewyższały miękkością te z Trensicourt.

- Czy pokoje pana satysfakcjonują? - zapytała z wahaniem Cassandra, jakby się spodziewała, że Jason zaraz wybuchnie pełną obrzydzenia tyradą.

- Są idealne. Dziękuję.

- Dam panu znać, kiedy uczta będzie gotowa - powiedziała, wychodząc z pokoju.

Po dalszych badaniach Jason odkrył kolejny pokój z piękną wanną wyrzeźbioną

z wypolerowanego lazuru kamienia. Balkon wychodził na wspaniałe ogrody i wypielęgnowane żywopłoty. Fontanny barwionej wody tryskały wysoko pod niebo. Pawie kroczyły po trawnikach, niektóre pyszniąc się swoim olśniewającym upierzeniem. Były tam pawie o piórach niebieskich i fioletowych, inne o piórach w żywych odcieniach limonkowej zieleni i żółci, a jeszcze inne w ognistych barwach czerwieni i oranżu. Jedną część ogrodu poświęcono roślinności przyciętej w rozliczne kunsztowne rzeźby. Niektóre miały kształty geometryczne, inne fantastycznych zwierząt, jeszcze inne ludzi. Jeden z przyciętych krzewów był uderzająco podobny do księcia Conrada stojącego sztywno w mundurze.

Jason usiadł na balkonowych płytach, z podbródkiem na dłoniach, rozważając uroki Zamku Harthenham. Kto nie pragnąłby pozostać tu na stałe? To jakby mieszkać w luksusowym kurorcie - o takim życiu nie może nawet marzyć większość ludzi, niezależnie od tego, jak ciężko pracowali.

Wiedział jednak, że to tylko więzienie. Piękna zabawka dla odwrócenia uwagi, która miała zwieść wrogów cesarza. Zastanawiał się, czy służący byli strażnikami w przebraniu. Z pewnością byli szpiegami. Zastanawiał się, czy Cassandra nosi ukrytą broń albo truciznę.

Będzie zachowywać czujność. Musiał znaleźć Kimpa i pośpiesznie stąd odejść. Mimo rozmiarów łóżka powinien uważać, żeby się tu za bardzo nie rozgościć.

Jason wstał i obszedł swoje pokoje, oglądając dzieła sztuki. Kartkował jedną z książek w skromnej, osobistej bibliotece, kiedy weszła Cassandra.

- Uczta już gotowa, panie - powiedziała, dygając.

Odprowadziła Jasona do jadalni, przekazując młodemu sztywnemu służącemu, który zaprowadził go do końca bardzo długiego stołu, dominującego w pomieszczeniu. Jadalnia stanowiła wydłużony prostokąt o wysokim sklepieniu. Ściany zdobiły malowane rzeźby. Wielu gości już siedziało. Inni dopiero się schodzili. Przy drugim końcu stołu siedział książę Conrad. Po jego lewej zasiadł hrabia Dershan, głaszcząc wąsy, a po jego prawej zwalisty łysy mężczyzna, pochylony w krześle, z pierzastym pierścieniem zwieszającym się z ucha i łusą czaszką pokrytą tatuażami. Sądząc po tatuażach, to musiał być Kimp. Jason zastanawiał się, jak często łysy mężczyzna zdejmuje koszulę.

Książę Conrad spojrział Jasonowi w oczy i skinął lekko głową. Pełna zadowolenia pogarda w jego spojrzeniu sugerowała, że teraz Jason należał do niego.

Kiedy Jason rozejrzał się po pozostałych biesiadnikach, zaskoczyła go znajoma twarz. W połowie stołu po lewej stronie dostrzegł Tarka. Wyglądał tak samo jak w obracającej się tawernie, tyle że teraz był ubrany jak książę. Spojrzeli sobie w oczy i Tark pomachał słabo, wyraźnie zawstydzony.

Książę Conrad wstał z krzesła o wysokim oparciu i pozostali goście pośpieszyli do swoich miejsc w asyście służby. Wielu pozostałych gości miało nadwagę, niektórzy byli wręcz groteskowo otyli. Jason był najmłodszy pośród obecnych. Książę Conrad odchrząknął i w sali zapadła cisza.

- Zebraliśmy się tutaj, żeby powitać naszego najnowszego towarzysza, lorda Jasona z Caberton, który dołączył do nas, szukając ucieczki od wrogiego świata. - Conrad uniósł kryształowy kielich. - Za nowych przyjaciół.

- Racja! Za nowych przyjaciół! - wymamrotali zebrani, unosząc kielichy i spełniając toast.

Jason napełnił wolny kielich wodą i napił się.

- Rozpocznijmy więc ucztę! - wykrzyknął książę Conrad, wymachując rękami jak showman.

Rozległy się wiwaty. Drzwi się otworzyły i armia służących rzuciła się szturmem ku stołom, niosąc obładowane tace. Jason z trudem był w stanie uwierzyć w obfitość jadła, jakie wkrótce się przed nim pojawiło.

Parujące kawały żeberek wołowych, udźce jagnięce, kawały szynki, stosy ptactwa, filety z ryb, rzędy kiełbasek, szaszłyki i półmiski delikatnych skorupiaków - wszystko ubiegało się o jego uwagę. Misy z owocami - niektóre owoce obrane i oblane śmietaną, inne podane w całości - stały naprzeciwko talerzy ze stosami warzyw, zarówno znajomych, jak i egzotycznych.

Jason patrzył, jak goście rzucają się bez skrępowania na jedzenie. Wkrótce, gdziekolwiek spojrział, z obwisłych podbródków skapywał tłuszcz. Pulchne palce od czasu do czasu zanurzały się w srebrnych misach pachnącej wody i ocierały do czysta o lniane serwety, żeby natychmiast znowu się wybrudzić, kiedy nakładały więcej jedzenia do ust. Każda osoba przy stole miała komplet srebrnych sztućców,

ale niewielu gości zważało na łyżki czy widelce. Jason zauważył, że księżę Conrad, hrabia Dershan i wytatuowany mężczyzna jedli z umiarem, korzystając ze sztuców, nie okazując gorączki, która opętała pozostałych gości.

Jason wybrał sobie gruby kawałek steku i odkrył, że to najbardziej soczysty, idealnie doprawiony kawałek mięsa, jaki kiedykolwiek jadł. Był różowy pośrodku z ledwie nutką czerwieni i rozpływał się soczyscie w ustach. Kiedy spróbował innych frykasów, zaczął rozumieć żywołowość okazywaną przez pozostałych gości. Zjadł nieprzyzwoicie pysznego skorupiaka marynowanego w maślanym sosie, schłodzony owoc, który buchał słodyczą, i drób duszony w roztopionym serze.

Wszystko było doskonałe.

Różnorodność cudownych smaków przytłaczała.

Jedynie ohydne obżarstwo pozostałych gości burzyło doskonałość posiłku. Jason zauważył, że Tark niewiele je. Nie zerknął ponownie w stronę Jasona. Kiedy pojawiały się kolejne dania, Jason próbował zapanować nad sobą i rozkoszować się jedzeniem, zamiast je pochłaniać, próbując zup, pieczywa i cierpkich serów.

W trakcie posiłku pojawiła się grupa służących niosących białą bulwę - owoc wielkości arbuza. „Oklinger” - niosły się wokół stołu podekscytowane szepty.

Służący ceremonialnie nakłuli lśniącą, białą bulwę, łapiąc wylewający się sok do srebrnych karafek. Pierwszą karafkę zaniesiono Jasonowi i napełniono mu kielich. Płyn był klarowny. Jason upił łyk na próbę i zaraz opróżnił kielich. Naturalny sok był wystarczająco słodki, żeby dogodzić podniebieniu, ale nie na tyle, by przestał być orzeźwiający. Cudowny smak nie przypominał niczego, czego Jason wcześniej próbował. Ponieważ służący kręcił się przy nim, podsunął kieliszek po dolewkę.

Cały czas pojawiały się nowe półmiski z jedzeniem. Zapał gości zaczynał słabnąć. Jason dłużył w słonawych nadziewanych grzybach. Żołądek miał jak napchany ołowiem.

- A teraz desery! - wykrzyknął w końcu księżę Conrad, ocierając usta serwetką.

- Desery, desery - powtórzyło wielu obecnych.

Jason wytarł usta serwetką. Jak mógłby zjeść coś jeszcze?

- Zastanawiam się - zaczął przebiegle księżę, kierując spojrzenie na Jasona - czy nasz nowy przyjaciel kiedykolwiek próbował wątróbki wizatcha.

Jason zorientował się, że patrzą na niego wszyscy biesiadnicy.

- Nie miałem tej przyjemności - odpowiedział, starając się, by zabrzmiało to oficjalnie.

- Chyba że znam ten przysmak pod inną nazwą.

Służba w liberii krzątała się, uprzątając resztki uczyty. Tark wstał i odszedł od stołu zgarbiony.

Księżę Conrad zakaszlał w pięść.

- Wizatch to gryzoń niepodobny do innych. To wybredne stworzenie żywi się tylko nektarem serokwiatu i prędzej umrze z głodu niż pożywi się czymś innym. Nektar serokwiatu jest oczywiście trujący dla wszystkich innych znanych organizmów. Wewnątrz wizatcha nektar przechodzi przemianę, podczas której trucizna zostaje zneutralizowana, a smak udoskonalony. Wątroba nasiąka tym oczyszczonym nektarem. Zjedzona na świeżo wątróbka wizatcha to najsmakowitszy przysmak, z jakim się zetknąłem. Jako że jesteś niewtajemniczony, nalegam, byś zainauguował desery, próbując pierwszej partii wątróbek.

- Słusznie! Słusznie! - rozległy się głosy wzdłuż stołu.

Jason nie potrafił wyobrazić sobie bardziej obrzydliwego deseru od wątróbki gryzonia, ale poddał się presji zebranych, szczerząc zęby w uśmiechu i kiwając głową.

- Wszystkiego mogę raz spróbować.

Służący postawili srebrną misę przed każdym gościem siedzącym przy stole. W misie Jasona znajdowało się pięć beżowych wątróbek, każda mniejsza od kciuka. Obok księcia Conrada nadgorliwy sługa trzymał kudłatego gryzonia o trzech ogonach.

- Ten szczęśliwy wizatch zostanie oszczędzony - ogłosił sługa.

- Aż do jutra! - krzyknął mężczyzna o płaskiej twarzy i czarnych włosach sięgających ramion.

Biesiadnicy skwitowali jego uwagę śmiechem.

Jason ostrożnie wziął widelec. Zerknął wzdłuż stołu. Podwójny rząd wyczekujących twarzy patrzył zachęcająco.

- Nie ma czasu do stracenia - ponagliła go otyła kobieta w naszyjniku z

ogromnych pereł.

Jason zerknął do misy. Wątróbki wyglądały na surowe i soczyste. Uniósł jedną na widelcu i włożył do ust. Kiedy ją ugryzł, wytrzeszczył oczy. Wątróbka pękła, a ciepłe, kremowe wnętrze smakowało przepysznie, trochę jak słodka wanilia z posmakiem sera i banana.

- Jak oceniasz danie? - zapytał księżę Conrad, jakby odpowiedź była oczywista.
- Ma pan rację, są przepyszne.
- Wobec tego kontynuujmy - odparł księżę, zjadając kęs.

Ludzie przy stole zaczęli zajadać maleńkie, surowe wątróbki.

Jason bez wahania pochłonął swoją porcję łapczywie. Z każdą kolejną wątróbką coraz bardziej się w nich rozsmakowywał. Wiedział, że w przyszłości będzie za nimi tęsknił.

- A teraz kiedy oczyściliśmy podniebienie, prosimy wnieść resztę deserów - rozkazał Conrad, machnąwszy jowialnie ręką.

Ciasta, placki, tarty, ekierki, cynamonowe bułeczki, keksy, orzechy w cukrze, puddingi i sorbety pojawiły się całymi stosami. Goście powitali szturm słodczy.

Jason już miał wrażenie, że zaraz pęknie, ale i tak spróbował paru słodczy i odkrył, że są tak smaczne, jak pozwalał mu podejrzewać wstęp do deserów. Rozumiał już, jak łatwo życie w Harthenham może prowadzić do otyłości. Na drugim końcu stołu księżę Conrad uniósł w stronę Jasona kielich w niemym toaście.

Rozdział 21

Pojedynek

Jason spędził kilka kolejnych dni, zapoznając się z zamkiem. Włączył się po terenie, odkrywając ptaszarnię, menażerię, strzelnicę dla łuczników, psiarnię z wielkimi dzikarzami i mastyfami, dwa baseny i wielki obszar nisko przyciętej trawy do uprawiania sportu, który wydawał się pomieszczeniem piłki nożnej i krokieta. Na zamku odkrył pokoje gier z bilardem, tarczami do rzutek, kręglami, planszowymi grami strategicznymi, grami hazardowymi i zagrodami, gdzie napuszczano na siebie zwierzęta, by walczyły ze sobą na śmierć. Znalazł sale do fechtunku, pokój muzyczny pełen instrumentów i kameralny, elegancki teatr.

Co najważniejsze, pierwszego dnia znalazł także łaźnię. W środku mężczyźni kąpali się w pachnących basenach o różnej głębokości i z wodą w różnej temperaturze. Poszedł tam kilka razy, odkąd odkrył to miejsce, ale nie spotkał Kimpa.

Chociaż kolejne posiłki nie oszałamiały różnorodnością, tak jak uczta powitalna dla Jasona, nadal ich jakość zadowoliłaby najbardziej wybredne podniebienia. Napitki i przekąski można było znaleźć o każdej porze dnia i nocy w różnych miejscach.

Wieczorem drugiego dnia badania terenu Jason znalazł dziwny pokój znajdujący się głęboko poniżej poziomu ziemi, gdzie zamkowi goście wyciągnięci na sofach i materacach chrupali maleńkie placki. Gryzący zapach kadzideł przenikał powietrze, a w kącie muzycy uderzali w marimbę i szarpali struny przedziwnych instrumentów strunowych. Kilka z leżących osób to byli goście, których Jason widział na uczcie powitalnej. Inni byli wychudzonymi nieszczęśnikami o woskowej cerze i przetłuszczonych włosach.

Mężczyzna o płaskiej twarzy i długich czarnych włosach, który zażartował na temat gryzonia, wyciągał się na pobliskiej sofie. Pomachał widelcem przywołując Jasona.

Kiedy Jason podszedł, mężczyzna przełknął kęs placka.

- Próbowałaś kiedyś placka z jagodami lumba? - zapytał cicho, ocierając usta materiałową serwetką.

- Nie.

Mężczyzna podsunął mu widelec. Jason odmówił.

- Mogę wziąć sobie własne.

Zauważył dwóch służących, którzy roznosili po pokoju placki.

- Nazywam się Drake.

- Jason.

Drake zjadł kolejny kęs. - Nie można za bardzo dogadzać sobie tymi jagodami - zwierzył się, przewracając oczami z zachwytem. - Są bardziej znane pod nazwą jagód głodu. Żaden inny przysmak nie smakuje bardziej bosko ani nie czyni posiłku bardziej satysfakcjonującym. Jednak osoba, która regularnie je jada, rzadko kiedy dłużej żyje.

- Dlaczego?

- Jagody lumba tak naprawdę nie odżywiają. Przeciwnie, okradają ciało ze składników odżywczych. Jeśli zjada się znaczne ich ilości, niszczą chęć na jakiegokolwiek inne jedzenie. Wkrótce tylko one przynoszą przyjemność, a człowiek zajada je, aż się zagłodzi na śmierć.

Jason rozejrzał się po pokoju, zwracając większą uwagę na potwornie wychudzonych biesiadników.

- Narzucasz sobie dyscyplinę?

- Czasem. Trudno oprzeć się tak rozkosznej truciznie. Jagody lumba zabiły mnie już trzy razy.

Jason się skrzywił.

- Co cię przywróciło do życia?

Drake wyszczerzył zęby w uśmiechu, pokazując złoty ząb.

- Jestem tu pewną osobliwością. Mam wątpliwy zaszczyt być jedynym

przedstawicielem Amar Kabał, który przyjął zaproszenie do Harthenham.

Do sąsiada - otyłego mężczyzny w jedwabnej szacie - podszedł sługa. Za pomocą szczypiec podsunął mu placek. Mężczyzna zastanawiał się chwilę, a potem uniósł rękę, wstał i odszedł.

- Masz nasiono - powiedział Jason.

Drakę skinął głową.

- Sam robisz na mnie wrażenie ciekawostki. Miałem na ciebie oko w czasie uczt. Dumny. Czujny. Zadumany. Nie są to cechy młodego człowieka, który odwrócił się od otaczającego go świata.

- Może.

- Widać, że zjawiłeś się tu z planem. Inni też tak zaczęli. Skoro ja to zauważyłem, Conrad również. Niewiele mu umyka.

Jasonowi nie podobało się, ile Drakę odgadł.

- Co cię tu sprowadziło?

Drakę się przeciągnął.

- Nuda. Znużenie. Moi ludzie wiodą surowe życie, ceniąc sobie prostotę i unikając uzależniających przyjemności. Po wielu żywotach przestało mnie cieszyć takie życie. Próbowałem poświęcić się czemuś. Próbowałem miłości. Próbowałem się dostosować. Próbowałem twórczych wysiłków. Próbowałem samotności. Rozważałem zniszczenie amara w ogniu. A potem otrzymałem zaproszenie na ucztę. Nigdy do tej pory nie badałem brawurowego braku umiaru. Wobec tego zjawiłem się tutaj, żeby przeprowadzić ostatni eksperyment.

- Jakies wnioski?

Drakę uśmiechnął się krzywo. Zjadł kawałek placka.

- Moi ludzie mają rację. Pobłażanie sobie to pustka. Badałem granice, jeśli idzie o jedzenie i głupstwa. Nie ma prawdziwego spełnienia w nic nieznaczącej pogoni za przyjemnościami. Próbujesz ukryć pustkę za większą ekstrawagancją tylko po to, żeby odkryć, że doznania stają się coraz mniej ekscytujące i coraz bardziej ulotne. Większość przyjemności najlepiej - się sprawdza jako przyprawy, a nie danie główne. - Podniósł placek. - Niezależnie od tego, jak bardzo starasz się to ukryć, kończysz na tym, że karmisz się, lecz nie zaspokajasz głodu.

- Więc dlaczego tu zostajesz?

Drakę przyjrzał się Jasonowi.

- Niezależnie od pustki, od takiego stylu życia można się uzależnić. Rodzi lęk przed prawdziwym światem. Zachowując wstrzemięźliwość przez jedną porę roku, mogę odzyskać część przyjemności z niektórych rozkoszy. Poza tymi murami przynoszę wstyd moim ludziom, jestem wrogiem cesarza i o wiele trudniej mi ukryć wstyd w braku umiaru.

Jedna z wychudzonych amatek placków w pobliżu zakasłała gwałtownie. Słabe mięśnie zarysowały się jej na szyi. Nikt w pokoju nie zwracał na nią uwagi.

- Czy ktoś powinien jej pomóc? - zaniepokoił się Jason.

Drake spojrział na kaszłącą.

- Jest w ostatnich fazach zagłodzenia. Nikt jej już nie pomoże. Zostało jej tylko dalsze jedzenie jagód głodu, żeby nie myśleć o własnym stanie.

Drake zjadł kolejny kęs.

- Co za szkoda - mruknął Jason.

- Jedzenie placków lumba to niebezpieczna gra - przyznał Drake. - Jeśli skosztujesz placka w małych ilościach raz na jakiś czas, nie zaszkodzi ci i wniesie cudowne urozmaicenie. Ale im więcej jesz, tym bardziej pragniesz jagód i tym głębszą niosą przyjemność.

- Rozumiem - powiedział Jason. - Myślę, że je sobie odpuszczę. Ile żywotów spędziłeś w Harthenham?

Drake zjadł kolejny kęs, przetrzymując go w ustach z zamkniętymi oczami, rozkoszując się smakiem, zanim wreszcie go przełknął.

- Sześć. Niektóre były dość krótkie. Żaden nie trwał zbyt długo, a ten będzie ostatni.

Jason uniósł brwi.

- Zamierzasz zniszczyć nasiono?

Drake powoli pokręcił głową, odstawiając na bok resztki placka.

- Odebrano mi ten wybór. Po tym, jak odrodziłem się po raz ostatni, mój amar nie wykształcił się prawidłowo. Czasem ten defekt pojawia się wśród naszych ludzi. Być może zemściło się na mnie lekkomyślne życie. - Potarł kark. - Większość

nasiona już odpadła. Nie ma co do tego wątpliwości. To będzie ostatni z moich rozlicznych żywotów.

- Przykro mi.

Drake'owi opadły powieki.

- Jeżeli już, to ja powinienem współczuć tobie i twojemu rodzajowi. Życie tylko raz. Większość tutejszych gości tonie w obżarstwie, nawet nie nacieszywszy się życiem. Nie roni łez z mojego powodu. Doświadczyłem wielu rzeczy. Sam ściągnąłem na siebie to przeznaczenie, zatruwając własny organizm nadmiarem przyjemności. Nie przypisuję swojego stanu przypadkowi.

Jason patrzył, jak Drake'ę układa się na sofie.

- Nie chcesz wykorzystać jakoś swojego ostatniego życia?

- Nie rozmyślajmy o mnie. Popatrzmy na ciebie. Co tu robisz? Szpiegujesz? Szukasz informacji? Planujesz uratować jakiegoś zapomnianego bohatera? Dam ci jedno ostrzeżenie. Jeżeli nie zamierzasz zostać, musisz odejść już teraz i musisz to zrobić po cichu. Niezależnie od twoich intencji, to miejsce cię dopadnie.

- Nie zostanę tu długo.

Drake'ę uśmiechnął się kpiąco.

- Niemalże każda osoba tutaj prócz mnie wmawia sobie to samo. Uważaj, co jesz. Jagody lumba to nie jedyny niebezpieczny smakołyk. Wiele dań i przypraw uzależnia, w tym wątróbki wizatcha.

Jason pokiwał głową.

- Znam inną osobę z nasionem.

- A któż to taki?

- Nazywa się Jasher.

Po raz pierwszy Drake'ę naprawdę się zaciekawił.

- Znam go przede wszystkim ze słyszenia. Podróżowałem z jego bratem przez pewien czas.

- Jego brat nie żyje.

- Radolso?

- Tak właśnie się nazywał.

- Masz na myśli, że jest w ziemi?

- Jego nasiono zniszczono.

Drakę pochylił się zasmucony.

- Jak?

- Nie znam szczegółów, ale zrobił to Maldor.

- Czy lud Amar Kabał szuka zemsty?

- Nie ma konkretnych dowodów. Maldor twierdził, że zabójca działał sam i dostarczył im rozsadnika. Źródło, któremu Jasher ufa, wiedziało, że zabójca wypełniał rozkazy, ale jego ludzie mu nie uwierzyli. Twój lud zawarł układ z Maldorem. Jasher wybrał wygnanie i samotnie próbuje wymierzyć karę.

Drakę opadł na oparcie i zamknął oczy. Jego głos znowu złągodniał.

- Ile rzeczy człowiek przegapia, nurzając się w rozkoszach... Współpracujesz teraz z Jasherem?

- Lepiej, żebym nic nie mówił.

- Rozumiem, rozumiem. Miło mi było cię poznać. Teraz muszę się przespać.

- Miłej drzemki.

Drakę uśmiechnął się słabo.

Jason przypomniał sobie szczegół, o którym opowiedziała mu Rachel po wizycie na wyspie pośrodku Białego Jeziora.

- Poczekaj chwilkę. Drakę. Znałeś rozsadnika imieniem Malar?

Drakę uniósł brwi, ale nie otworzył oczu.

- Pewnie, pewnie, zdrajca, znałem go - mówił głosem odległym i rozmarzonym.

- Znalazłeś go, co? Sprytny chłopak. Zwolennik Dinsrela. Muszę odpocząć.

Głowa mu opadła, a oddech się wyrównał.

Jason opuścił pomieszczenie zniesmaczony.

* * *

Następnego ranka, po lekkim śniadaniu i cudownym masażu, Jason ruszył do łaźni, zdecydowany zostać tam tak długo, aż zjawi się Kimp. Potwierdził w rozmowie z innymi gośćmi, że zwalisty mężczyzna siedzący koło księcia Conrada na powitalnej uczcie to rzeczywiście Kimp. Jason wziął trochę owoców w koszyku, przygotowany na dłuższe czekanie.

Po drodze do łaźni zauważył Tarka siedzącego na kamiennej ławce obok rzędu

kwitnących krzewów różanych.

Pierwszy raz widział Tarka, odkąd muzyk odszedł od stołu w czasie uczyty powitalnej.

- Witaj, Tark - powiedział Jason, podchodząc do ławki.

Mężczyzna zerknął na niego przekrwionymi oczami. Burknął coś na powitanie.

- Mogę tu usiąść? - zapytał Jason.

Niski, zwalisty mężczyzna wzruszył ramionami, a potem pochylił głowę i schował twarz w potężnych dłoniach.

- Kiedy cię tu zaproszono? - zapytał Jason.

Tark podniósł wzrok.

- Chyba muszę stawić temu czoło - burknął chrapliwym głosem. - Przybyłem nieco ponad tydzień temu. Pokusa mnie zwyciężyła. Uznałem, że skoro narobiłem Maldorowi dość szkód, by zaprosił mnie do Harthenham, mogę porzucić walkę i spędzić resztę mojego żalosego życia w otoczeniu innych dezertorów. Lepiej umrzeć jako przeżarty nieudacznik niż głodny. Prawie uwierzyłem w kłamstwa, które sobie wmówiłem. I wtedy ty się zjawiłeś. Potrafię rozpoznać znak, kiedy go zobaczę. Po raz kolejny zdradziłem przyjaciół. Tak jak wcześniej, zacząłem dobrze, a potem uciekłem, kiedy tylko pojawiła się możliwość.

Znowu schował twarz w rękach i wstrząsnął nim szloch.

Jason uprzejmie poczekał.

Wreszcie Tark uniósł zalaną łzami twarz.

- Musiałeś spłatać cesarzowi nie lada figła, skoro się tu zjawiłeś. - Otarł zasmarkany nos grzbietem owłosionej dłoni.

- Robię, co mogę.

- Powiedz mi.

- Zostałem kanclerzem Trensicourt. Pomogłem też zabić paru werbowników, harataczy i rozsadnika.

- Nigdy nie dorwałem rozsadnika - powiedział Tark z podziwem, pociągając nosem. - Dobra robota.

- A jak ty tu wylądowałeś?

Tark trochę się rozpogodził.

- Wszystko zaczęło się w dniu, kiedy was opuściłem. Czułem się naprawdę dobrze, pełen determinacji, gotowy odpokutować winę. Tak się złożyło, że na drodze wychodzącej z miasta zostałem zatrzymany przez werbownika. Pytał o gościa, który odpowiadał twojemu rysopisowi, i dziewczynę, która wyglądała mi na Rachel. Odegrałem bardzo uległego, a potem wbiłem mu nóż w plecy. Jego przyjaciel haratacz rzucił się na mnie z wirującymi ostrzami i byłem przekonany, że znalazłem się właśnie na krawędzi mojego wodospadu, jeżeli rozumiesz, co mam na myśli, ale rzuciłem nożem, który trafił w słaby punkt i zabił monstrum. Ledwie mogłem w to uwierzyć. Zabrałem nóż i uciekłem do lasu, zostawiając za sobą trupy i konia. Od tego dnia prowadziłem prywatną wojnę przeciwko sługom Maldora. Zatopiłem barkę, spaliłem parę magazynów, nawet podkopałem most. Na przełęczy na wschód stąd zasypałem całą kolumnę werbowników i harataczy pod lawiną. Zakładam, że to ten wyczyn ostatecznie sprawił, że dostałem zaproszenie na ucztę.

Jason skinął głową.

- Planujesz tu zostać?

Tark wbił wzrok w ziemię.

- Zamierzałem. Ani jedna duszyczka nie opuściła tego miejsca. Umierają, folgując swoim słabostkom, wszyscy oni, mężczyźni i kobiety, którzy kiedyś mężnie przeciwstawiali się Maldorowi. Niektórzy umierają, dławiąc się plackiem lumba. Inni są tak otyli, że nie są w stanie opuścić łóżek. Natknąłem się na Bokara Niepokonanego mojego trzeciego dnia tutaj... Znasz tego wielkiego bohatera z Kadary? Legendarny wojownik. Plakietka obok drzwi potwierdzała jego tożsamość. Leżał na plecach w ogromnym łożu niczym słoń morski na plaży, z twarzą tonącą w zwałach tłuszczu. Służący wpychali mu do chciwego gardła zapiekanki. Zapytałem, czy naprawdę jest Bokarem Niepokonanym. Odpowiedział, że tak, z ustami pełnymi jedzenia. Zapytałem, dlaczego się poddał. Odrzekł, że się nie poddał. Powiedział, że zamierza odejść za kilka tygodni. Prawie się roześmiałem. Mógłby się gdziekolwiek wybrać tylko na naprawdę wielkim wozie ciągniętym przez cały oddział koni. I to silnych. Uznałem, że równie pozbawiony godności koniec przystoi takiemu tchórzowi jak ja. Teraz jednak mój umysł powraca do zdrowia. Dałbym się przekonać do odejścia. A co z tobą?

Jason zniżył głos.

- Poczekaj dzień albo dwa, to odejdziemy razem.

Tark wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- Wola we mnie ożywa. Los uczynił cię strażnikiem mojego szacunku do siebie.

Po raz kolejny porzucę uzalanie się nad sobą. Dołączę do ciebie, lordzie Jasonie.

Wyciągnął ten sam ciężki nóż o zębach jak piła, który dzierżył w tawernie „Karuzela” i podniósł go tak, by słońce odbiło się od wypolerowanego ostrza. Ściągnął krzaczaste brwi.

- Skoro zamierzasz tak szybko odejść, dlaczego w ogóle przyjąłeś zaproszenie? - To tajemnica, ale miałem dobry powód. Łzy napłynęły Tarkowi do oczu. - Zjawiłeś się, by wskazać mi drogę - powiedział zdumiony nagłym zrozumieniem. Zsunął się z ławki i padł na kolana. - Wiedziałem. Powiedz mi prawdę, jesteś śmiertelnikiem czy niebiańską zjawą?

Jason powstrzymał uśmiech.

- Jestem przyjacielem. Ostrzegę cię, kiedy postanowię odejść. Spróbuj nie wpakować się w żadne kłopoty.

Tark zarumienił się i znowu otarł nos ręką.

- Jak rozkażesz, lordzie Jasonie. Rozejrzę się w terenie. Zauważyłem, że zwykle trzymają most zwodzony podniesiony. Nie pozwalają nikomu wyjść poza zamkowe mury. Mogą stawić opór naszej próbie odejścia.

- Będziemy musieli znaleźć sposób - powiedział Jason.

- Tak jest, stworzymy precedens. Może inni ruszą za naszym przykładem.

- Zobaczymy - odparł Jason, wstając. - Muszę odwiedzić łaźnię.

- Śmiało - ponaglił go Tark. - Porozmawiamy później.

* * *

Palce u rąk i stóp pomarszczyły się Jasonowi jak różowe śliwki, zanim zjawił się Kimp. Jason przez cały dzień wchodził do wody i wychodził, obserwując służących, jak za pomocą podgrzanych kamieni regulują temperaturę w różnych basenach. Hrabia Dershan zjawił się i wyszedł, podobnie jak inni mężczyźni, których Jason rozpoznał z wycieczek po terenach zamkowych.

Jason wylegiwał się w chłodnym, płytkim basenie, kiedy wszedł Kimp.

Mężczyzna był zbudowany jak trójboista siłowy, a jego potężna sylwetka była pokryta zielonym i czarnym atramentem. Tylko twarz pozostała nietknięta.

Kimp wszedł do najgorętszego basenu i niemal komiczny wyraz odprężenia przekształcił jego nieprzyjazną twarz. Jason przeniósł się do najgorętszego basenu i z chlupotem podszedł do Kimpa, mając wodę tuż powyżej pasa.

- Nie poznaliśmy się jeszcze - powiedział Jason, wyciągając rękę. - Jestem lord Jason z Caberton.

- Kimp - burknął zwalisty mężczyzna, fundując dłoni Jasona wiotki ucisk. - Tu właśnie przychodzę, żeby się odprężyć.

To była jednoznaczna wskazówka, żeby zostawić go samego, ale Jason udał, że aluzja mu umknęła.

- Nie widziałem pana nigdzie od czasu tamtej uczy. - Mam tu zajęcia. Jestem majordomusem księcia. I zajmuję się psami. Nie chcesz nigdy zdenerwować księcia, przyjacielu.

- Nie zamierzam.

Kimp pociągnął nosem i przekręcił się z uniesionymi rękami. Jason usłyszał strzelające stawy.

- Podobają mi się pańskie tatuaże - powiedział.

Kimp uniósł brew.

- Tak?

- Są naprawdę intrygujące. Zdumiewające dzieło sztuki. Gdzie zostały zrobione?

- W najróżniejszych miejscach. - Nastawienie Kimpa stało się o wiele bardziej przyjazne. - Najlepsze są plecy.

Kimp się obrócił.

Jason nie mógł uwierzyć własnemu szczęściu.

Od wewnętrznej strony łopatki, obok masztu skomplikowanego statku, który zajmował większość szerokich pleców Kimpa wypisano tak drobnym pismem, że Jason musiał się przysunąć, trzy literki w pionie w nierównych odległościach. Druga sylaba brzmiała „rim”.

- Szczegóły są niesamowite - powiedział Jason, próbując zdusić w sobie podniecenie: znał Słowo!

- Widziałeś kiedyś weselszy obrazek? Mój własny pomysł. Wykonał go artysta z Ithilum. Nazywa się Sgribbs. Jedyne gość, jeśli zależy ci na wysokiej jakości robocie. Zajęło to siedemnaście godzin.

Wszyscy żeglarze na statku byli kobietami. Wspinały się na takielunek, ciągnęły za liny, unosiły spienione kufle, biły się między sobą. Na dziobie stała nieproporcjonalnie duża kobieta w kapitańskim kapeluszu i z przepaską na oku; ręce trzymała na krągłych biodrach.

- To najbardziej zawiły tatuaż, jaki w życiu widziałem - przyznał z szacunkiem Jason. - Jest pan chodzącą galerią.

Kimp odwrócił się, szczerząc zęby w uśmiechu.

- Chcesz taki? - zapytał, klepiąc Jasona przyjaźnie w pierś grzbietem dłoni.

- Tatuaż? Będę to musiał przemyśleć.

Kimp ściągnął brwi.

- Nic skomplikowanego. Zaczynaj od rzeczy prostych. Co powiesz na rekiną na piersi? Robię świetne rekiny.

Uniósł nogę z rekinami na całym przodzie uda. To były naprawdę niezłe rekiny. Jeden pożerał przerażoną kobietę.

- Sam pan robi tatuaze?

- Jestem ekspertem. Mam cały sprzęt. Jeśli nie podobają ci się rekiny, robię też wilki. Co powiesz na to?

- Wróć do pana.

- Chodzi o ból? - zapytał Kimp. - Robienie tatuazu tylko trochę piecze, nic strasznego. A potem możesz się nim cieszyć przez resztę życia. Nic nie wygląda bardziej wielkopańsko.

- Wróć do pana.

- Taka okazja zdarza się raz w życiu.

- Tak samo jak utonięcie w ruchomych piaskach. Podejrzewam, że się zgodzę, tylko niech mi pan da to przemyśleć. Decyzje zawsze zajmują mi trochę czasu. Wróć do pana.

- Koniecznie.

* * *

Tego wieczoru Jason i Tark siedzieli przy kolacji razem za długim stołem. Książę Conrad, hrabia Dershan i Kimp również się zjawili, wraz z wieloma gośćmi, którzy brali udział w uczcie powitalnej na cześć Jasona. Drake siedział naprzeciwko Jasona, nie zwracając na niego specjalnej uwagi.

Słudzy wwieźli na wózku wspaniałego, gotowanego ptaka. Ten ogromny ptak nazywał się ponchut i rozmiarami mógł rywalizować ze strusiem, a mięso miał miękkie i różowe. Służba objechała wózkiem stół, podając porcje mięsa z kremowym sosem.

- Chcesz odejść teraz? - mruknął Jason do Tarka.

Muzyk zerknął na niego.

- Kiedy tylko dasz znać.

- Rozejrzałem się. Mur jest wysoki, nie ma żadnych drzwi. Wygląda na to, że most zwodzony jest wiecznie zamknięty.

- Doszliśmy do tych samych wniosków.

- Może być trudno wspiąć się po murze.

- Wygląda, jakby specjalnie go tak pomyślano.

Jason zjadł nieco mięsa. Sos sprawiał, że smakowało wybornie.

- Myślę, że powinniśmy ogłosić nasz zamiar odejścia - powiedział Jason. - Powinniśmy zrobić to oficjalnie, żeby inni goście wywarli nacisk, by nas wypuszczono.

- Może warto spróbować - zgodził się Tark, bawiąc się serwetką.

Jason zjadł jeszcze trochę mięsa. Napił się soku owocowego. A potem wstał. - Chciałbym coś ogłosić - oznajmił. Wszyscy zamarli, łącznie ze służącym, który właśnie podawał talerz pulchnej kobiecie. Tylko książę Conrad pozwalała sobie ogłaszać różne kwestie podczas kolacji.

- Chciałbym oficjalnie podziękować księciu Conradowi za jego gościnność - kontynuował Jason.

Pozostali biesiadnicy wyraźnie się rozluźnili. Kilku popukało widelcami w kieliszki, wyrażając poparcie.

- Naprawdę wspaniale się tu bawiłem - mówił Jason i uprzejmie skinął głową do Conrada - ale najwyższy czas, bym opuścił to miejsce.

Cisza.

Drakę przykrył usta serwetką zduszając śmiech.

Rysy twarzy Conrada stwardniały. W szczupłych szczękach zapulsowały mięśnie. Hrabia Dershan zmusił się do śmiechu.

- Doskonały żart, lordzie Jasonie - odezwał się hrabia.

- Nie, odchodzę dziś wieczorem. Nie zamierzałem nikogo urazić.

Księżę Conrad wstał, odrzucając na bok serwetkę, i ruszył wzdłuż stołu do Jasona. Stanęli naprzeciwko siebie.

- Żaden człowiek nie odrzucił mojej gościny - powiedział cicho Conrad; mówił śmiercionośnym tonem, a wzrokiem żądał uległości.

- Ja również jej nie odrzuciłem - odrzekł Jason. - Przyjąłem zaproszenie. I dziękuję za nie. A teraz wyjeżdżam.

Księżę Conrad zmarszczył brwi.

- Moje zaproszenie obejmuje udział w Wiecznej Uczcie przez czas nieokreślony. Wszyscy, którzy tu przyjeżdżają, zdają sobie z tego sprawę. Zgodzić się na mniej to znieważać mój honor.

- Nie chciałem pana znieważać - powiedział Jason. - Odniosłem wrażenie, że jestem tu mile widziany, ale w każdej chwili mogę odejść.

- Wszyscy goście mogą postąpić zgodnie z własną wolą - odpowiedział Conrad tonem niebezpiecznie rozsądnym. - Ale ty nie spędziłeś tu nawet tygodnia. Taki afront jest nie do przyjęcia. Zamierzasz obstawać przy swoim postanowieniu?

- Owszem.

- Zatem zmuszasz mnie do tej decyzji. Ja, księżę Conrad, wyzywam ciebie, lordzie Jasonie z Caberton, na pojedynek!

- Nie, mój panie! - wykrzyknął Kimp, wstając z krzesła. - Pozwól mi zająć się tym szubrawcem.

Księżę Conrad machnął na Kimpa, żeby ten siadał.

- Lord Jason jest członkiem arystokracji. Spory między arystokratami rozsądzą arystokraci.

Niektórzy z gości pokiwali z powagą głowami.

- Powtarzam zatem: wyzywam cię na pojedynek, jutro o świcie.

- Odmawiam - odparł Jason. - Mogę teraz odejść?

Kilku zaszokowanych gości zdusiło śmiech. Drake próbował udąć, że zakaszał.

- Stoję od ciebie wyżej pod względem rangi - upierał się książę Conrad, głosem drżącym od oburzenia. - Nie masz prawa odmówić.

- Mimo to, odmawiam.

- Pozwól, że ujmę to inaczej. Nie pozwalam ci odmówić, niezależnie od tego, jak wielkie jest twoje tchórzostwo.

- W takim razie zgadzam się.

- Rapiery o świcie - orzekł Conrad.

Jason pomyślał o oglądanych filmach, na których bohaterowie wyzwali się na pojedynki.

- Chwileczkę. Pan rzucił wyzwanie. Czy w takim razie nie ja powinienem wybrać broń?

- Być może, gdyby nasza pozycja była porównywalna, ale to nie do pomyslenia, żebym zgodził się i pozwolił lordowi parweniuszowi wybrać broń. Uznaj, że masz szczęście, bo nie kazałem pozbyć się ciebie Kimpowi.

Niesprawiedliwość tej sytuacji sprawiła, że Jasonowi zapłonęły uszy. Miał widownię, musiał przekonująco przedstawić swoją rację.

- Nie jestem jedynie lordem Jasonem z Caberton - wyjaśnił, powściągając częściowo gniew. - Jestem kanclerzem Trensicourt. Jestem drugi w randze zaraz po regencie.

Wśród gości rozległy się pomruki. Napięte rysy Conrada natychmiast zwiotczały.

- Nieprawda. Porzuciłeś urząd i Copernum wrócił na swoje miejsce.

- Niczego nie porzuciłem! - Jason sięgnął do kieszeni i wyjął sygnet kanclerza. - Wyjechałem tylko w prywatnej sprawie. Każdy, kto zagarnął mój tytuł podczas mojej nieobecności, odpowie przede mną, gdy powrócę. Mam iść po opończę?

Książę Conrada wyraźnie zbiła z tropu gwałtowność reakcji młodego lorda.

- Co więcej - parł dalej Jason, wykorzystując nagłą zmianę w układzie sił - jestem gościem w pańskim domu. Zaprosił mnie pan, co zakłada pewną równość między nami, nawet gdybym nie miał tytułu. Czy też uważa pan swoich gości za

gorszych od siebie?

Ostre spojrzenia rozbłysły nad stołem. Conrad szukał wsparcia. Hrabia Dershan wzruszył ramionami.

Księżę odchrząknął.

- To, za pomocą jakiej broni odeślę cię na tamten świat, jest mało istotne - stwierdził. - Wybieraj.

Ku swojemu pewnemu zadziwieniu, Jason wygrał spór i teraz nie bardzo wiedział, co wybrać. Wiedział, czego nie chciał. Conrad potnie go na plasterki bronią białą, toporem czy innym tradycyjnym uzbrojeniem. A może zapasy? Jason był większy. Conrad pewnie znał ruchy, które zrównoważyłyby przewagę Jasona wynikającą ze wzrostu. Wszyscy czekali na jego odpowiedź.

- Kule bilardowe - orzekł.

- Kule bilardowe?

- W tej sali jest echo?

- Nie zetknąłem się z tą tradycją.

- Pośród moich ludzi to częsta praktyka - zmyślał Jason. - Walczący stają przy dwóch końcach stołu bilardowego pełnego bil i rzucaj w siebie kulami, aż jeden z nich padnie martwy.

- Co za ciekawostka. - Conrad pociągnął nosem. - Dobrze więc. Absurdalna śmierć dla absurdalnego lorda.

- Chwileczkę. Jeżeli wygram, odejdę stąd nietknięty przez pańskich popleczników i nikt mnie nie zatrzyma, a kwestię obrazy honoru będziemy mieli załatwioną?

- Ten zamek reprezentuje neutralny grunt - powiedziała księżę Conrad. - Poza tym, żadnego człowieka nie można wyzwąć do pojedynku na śmierć i życie dwa razy tego samego dnia.

- To pocieszające. Wobec tego jutro o świcie?

- O świcie w pokoju bilardowym. Hrabia Dershan będzie moim sekundantem. Kto będzie twoim?

- Ja - wypalił Tark, wstając. - I odejdę razem z lordem Jasonem, kiedy spór zostanie rozstrzygnięty.

Książę Conrad skinął krótko głową, mrużąc oczy. Biesiadnicy wokół stołu siedzieli z rozdziawionymi ustami. Jason i Tark wyszli razem.

Jason zatrzymał się w drzwiach, świadom, że nadal wszyscy na niego patrzą, i zwrócił się do służącego.

- Proszę dopilnować, żeby przyniesiono posiłek do mojego pokoju. - Tak, panie.
- Wolałbym Wasza Dostojność. - Tak, Wasza Dostojność. - Zatem dopilnuj tego.

* * *

- Dlaczego kule bilardowe? - zapytał Tark. Stali wśród przyszyżonych krzewów. Jason wzruszył ramionami. - Conrad pokroiłby mnie na wstążki, gdybym walczył z nim na miecze. A potrafię naprawdę mocno rzucać piłkami. Miejmy nadzieję, że mocniej i lepiej niż on. - Podniósł kamień i wypróbował go na krzewie w kształcie Conrada. Nie trafił.

Tark udał, że tego nie zauważył.

- Myślisz, że dałbyś radę podwędzić mi parę bil? - zapytał Jason.

- Nie ma sprawy.

- Obudzisz mnie wcześniej? Chcę mieć czas na przygotowania.

* * *

Niebo dopiero poszarzało, kiedy Tark obudził Jasona. Przed wielkim meczem Jason często miał kłopoty ze snem. Ta noc była dla niego najgorszym z tego typu doświadczeń. Niezależnie od tego, jak bardzo starał się uspokoić, czuł, że jest zbyt nakręcony, by zasnąć. Krążył po pokoju. Robił pompki. Kręcił się i rzucał na wielkim łożu. Wątpił, czy spał dłużej niż godzinę, kiedy obudził go Tark.

Z piekącymi oczami i niesmakiem w ustach Jason wstał i zrobił kilka ćwiczeń rozciągających. Zaczął miotać bilami w zwinięte futrzane kołdry oparte o ścianę, aż poczuł, że rozgrzał rękę. Zbłąkanym rzutem stłukł ozdobną jadeitową wazę i rozrzucił kwiaty po podłodze.

Niedługo potem ktoś zapukał do drzwi. To był hrabia Dershan odziany w elegancki mundur.

Jason i Tark zeszli za nim po schodach. Wzięli swoje rzeczy, żeby odejść zaraz po pojedynku. Poszli prosto do sali bilardowej. Tłum gości i służących stał przy drzwiach. Ludzie rozstąpili się, żeby dać uczestnikom pojedynku przejść.

Jason zauważył, że kilka osób poślało mu zagrzewające spojrzenia. Czy naprawdę miał zaraz stanąć z kimś do walki na śmierć i życie? Nie miał wyboru! Conrad wymusił to na nim. Słowo zda się na nic, jeżeli Jason pozostanie uwięziony w Harthenham do końca życia. Maldora nikt nie powstrzyma, a on nigdy nie wróci do domu.

Kiedy weszli do sali, Dershan zamknął drzwi, odcinając gapiów. W środku czekał już książę Conrad, medale błyszcząły mu na mundurze. Na bordowym filcu pokrywającym onyksowy stół bilardowy leżało sześćdziesiąt równo rozmieszczonych bil.

- Mamy naszych świadków - powiedział Conrad.

W odpowiedzi na jego gest Dershan i Tark zajęli miejsca pod odległą ścianą.

- Jesteś lepiej obznajomiony z tą formą walki niż ja. Od czego zaczynamy?

Jason poruszył palcami. Myślał o tym, że może umrzeć. Conrad był mocno zbudowanym mężczyzną. W tej rozgrywce zaważy szczęście. Jason starał się sobie przypomnieć, że potrafi ciskać piłki, które mkną z szybkością ponad osiemdziesięciu mil na godzinę. Bez treningu nikt nie potrafi równie szybko rzucać. To nie była równie beznadziejna walka jak pojedynek szermierczy. Mimo niebezpieczeństwa miał naprawdę dużą szansę wygrać.

- Stajemy przy dwóch końcach stołu, bez kul w rękach, a pański człowiek upuszcza chusteczkę. Kiedy chusteczka dotknie ziemi, bierzemy bile i rzucaamy dowolnie.

Conrad skinął głową, jakby słowa zgadzały się z jego oczekiwaniami.

- Zaczynamy więc? - powiedział, jakby mieli zasiąść do partii szachów.

Jedno Jason musiał przyznać księciu - nie okazywał nawet odrobiny strachu; jego nonszalancja mogła wyprowadzić człowieka z równowagi.

Conrad i Jason zajęli miejsca. Książę patrzył chłodno. Jason wiedział, że Conrad zabije go, jeśli zyska szansę, miał jednak nadzieję, że zakończy walkę, nim ktokolwiek umrze. Jeśli zdoła zranić Conrada tak, żeby uzyskać przewagę, może książę się podda.

Jason zaczął się pocić. Otarł ręce o spodnie. Nigdy do tej pory nie denerwował się w takim stopniu. Dzisiaj nikt nie będzie liczył punktów. Jeśli rzuci dobrze,

będzie żył. W przeciwnym wypadku zginie. Dziwne napięcie grało w jego ciele i umyśle. Czuł, że zmysły działają mu na najwyższych obrotach. Niepokój, jaki czuł czasem przed meczami, wydawał się teraz wręcz śmieszny.

Dershan uniósł chusteczkę, po czym ją upuścił. Jason pośpiesznie złapał w obie ręce kule bilardowe. Jako miotacz, raz, może dwa razy trafił w pałkarza, a teraz będzie próbował rozmyślnie zadać w ten sposób znaczące obrażenia. Poza tym, pałkarz odpłaci mu się tym samym.

Kiedy Jason cisnął pierwszą bilą, kula rzucona przez Conrada świsnęła mu koło ucha. Księżę wykręcił się, starając się uskoczyć przed pierwszą bilą Jasona, ale oberwał solidnie w górną część pleców. Jason przełożył bilę do prawej ręki. Nie trafił, bo księżę dał nura. Jason rzucił się w bok, próbując uskoczyć przed następnym rzutem Conrada - kula musnęła go w bok. Trafienie zabolowało, ale nie zrobiło mu krzywdy. Jason pośpiesznie zgarnął kolejne bile.

Chcąc uniemożliwić Conradowi rzuty, Jason zamierzał bombardować jego ręce, ale w gorączce walki trudno było precyzyjnie celować. W tej samej chwili rzucili następnymi kulami bilardowymi. Księżę straszliwie spudłował, chybiając o kilka stóp. Jason trafił prosto w obojczyk i zaraz rzucił znowu, o mały włos chybiając księżęcy łokieć. Z powodu trafienia następny rzut Conrada był niezgrabny, ale Jason oberwał w przedramię, ito bardzo boleśnie.

Jason porwał kolejne dwie bile. Conrad też sięgnął niezgrabnie po następne. Jason przypomniał sobie sztuczkę, którą posługiwał się w czasie walki na balony napełnione wodą. Lewą ręką rzucił dość mocno od dołu żółtą kulę, która poleciała wysokim łukiem, odbiła się od odległego sufitu i poleciała w stronę Conrada, który obserwował ją, sięgając po następne bile. Zanim tamta opadła, Jason cisnął drugą z boku tak mocno, jak potrafił. Uderzyła księcia w głowę. Conrad padł na podłogę.

Jason zdusił okrzyk. Celował w rękę, którą księżę rzucał, ale tamten uskoczył i wpakował się prosto na tor lotu bili. Kula trafiła z taką siłą, że Jason zamarł na chwilę, krzywiąc się ze współczuciem. Tark głośno odchrząknął i Jason pośpiesznie chwycił kolejne dwie bile, trzymając je w gotowości.

Chociaż jego pierś wnosiła się i opadła, Conrad leżał bez ruchu.

Dysząc ciężko, z obolałą ręką i bokiem, Jason stał w gotowości do rzutu. Księżę

nie wstawał. Naprawdę stracił przytomność? To już koniec pojedynku?

Jason zerknął na Dershana.

- Wystarczy?

Hrabia Dershan pobladł.

- Książę Conrad nie prosił o litość. Masz prawo zadbać, by zginął.

Jason zastanawiał się, czy hrabiemu Dershanowi marzy się przejęcie obowiązków księcia.

- Myślę, że raczej zaryzykuję. Zostałem zmuszony do tego pojedynku. Nie chcę zabijać księcia Conrada. To, co się z nim stanie, to już nie moja sprawa.

- Wedle życzenia - zgodził się Dershan.

- Wynośmy się stąd - powiedział roztrzęsiony Jason.

Mdliło go z powodu brutalności rozgrywki, ale cieszył się, że nadal stoi o własnych siłach i że wyszedł z pojedynku prawie bez szwanku.

- Racja - mruknął Tark. - Mam już dość Harthenham.

- Powodzenia - powiedział Dershan. - Każę opuścić most. Rozumiecie, że gdy tylko wyjdziecie poza mury zamku, opuścicie azyl.

- To mnie nie dziwi - odparł Jason.

Wyszedł razem z Tarkiem z sali bilardowej. Tłum stał w milczeniu. Ktoś zakaszłał.

- Każdy, kto chce do nas dołączyć, będzie mile widziany - ogłosił Jason. - Możecie nie mieć drugiej takiej szansy. Ostrzegam jednak: za murami zamku zostaniemy pewnie zaatakowani.

Wszyscy w tłumie znaleźli sobie jakiś obiekt, na który mogli patrzeć, byle nie spojrzeć na Jasona. Wszyscy, poza wysokim, potężnie zbudowanym mężczyzną o rudokasztanowych włosach rzednących na czubku głowy. Przez plecy miał przewieszony miecz półtoraręczny.

- Ja pójdę.

Jak na swoje rozmiary głos miał odrobinę wyższy, niż Jason by się spodziewał.

Jason do tej pory nie zwrócił uwagi na tego człowieka.

- Wychodzimy natychmiast.

Wielki mężczyzna podniósł pakunek.

- Jestem Tristan, syn Jaroma. Kiedyś miałem tytuł szlachecki, ale zrzekłem się go dawno temu.

- Lord Jason z Caberton - odpowiedział Jason. - A to Tark.

- Z Zawrotnej Dziewiątki - dodał muzyk.

Jason skinął głową.

- Chodźmy.

Rozdział 22

Ucieczka

Jason, Tark i Tristan pośpiesznie wyszli frontowymi drzwiami, odprowadzani przez tłum gapiów. Dwóch służących stało po obu stronach drzwi na baczność. Żaden z nich nie ruszył się, by przeszkodzić im w wyjściu. Kiedy już znaleźli się na zewnątrz, Tristan wyciągnął miecz, a Tark ciężki nóż. Jason nieświadomie nadal ścisnął kulę bilardową.

- Czekaście! - zawołał ktoś za ich plecami.

Odwrócili się. Długim krokiem szedł przez korytarz Drake odziany w długi prosty płaszcz i wysokie buty. Włosy miał spięte w kucyk, a u pasa miecz.

- Muszę pójść z wami.

Jason się uśmiechnął.

- Bardzo proszę.

Obrzucił spojrzeniem gapiów.

- Ktoś jeszcze? Ostatnia szansa.

Niski, szczupły mężczyzna o wąskiej twarzy napotkał jego spojrzenie. Marszcząc nieco czoło, pokręcił głową. Nikt inny nie spojrzał Jasonowi w oczy.

Czwórka uciekinierów przebiegła pod portykiem, przez dziedziniec i frontową bramę na opuszczony most. Opuścili drogę biegnącą od zamku i sprężystym krokiem przebiegli przez pole lucerny. Poranek był chłodny. Niskie chmury wisiały na niebie. Rosa na łodygach lucerny przemoczyła im spodnie.

- Dlaczego do nas dołączyłeś? - zapytał Tristana Jason.

- Nigdy nie byłem dumny z mojej decyzji o przyjeździe do Harthenham - wydyszał Tristan. - Widok ludzi wystarczająco odważnych, żeby przeciwstawić się księciu Conradowi i porzucić ochronę, jaką zapewniał zamek, zainspirował mnie.

Postanowiłem sobie wczoraj, że jeśli zwyciężysz w pojedynku, dołączę do ciebie.

- Cieszę się, że się przyłączyłeś - powiedział Jason, martwiąc się trochę, że Tristan zaraz dostanie zadyszki.

- Zdajesz sobie sprawę, że zginiemy? - odezwał się Drake.

- Najprawdopodobniej - zgodził się z nim Tristan. - Ale to lepszy rodzaj śmierci. Jason milczał.

Za ich plecami rozległ się rozentuzjasmowany chór ujadających psów. Czterech mężczyzn obejrzało się i zobaczyło niemal dwadzieścia ochoczych mastyfów i dzikarzy, pędzących za nimi, a kawałek dalej mężczyznę konno.

- Nie marnują czasu - mruknął z goryczą Jason. Cała czwórka rzuciła się pędem. Tristan zrzucił pakunek. Na drugim końcu pola lucerny przeskoczyli przez niski drewniany płotek. Tark zahaczył stopą o palik i wyłożył się jak długi, ale natychmiast poderwał się z wigorem napędzanego adrenaliną człowieka, którego zaraz zjedzą żywcem psy. Następne pole było rozległą przestrzenią wypełnioną sięgającą kolan trawą. Jason się obejrzał. Sfora zaciekłych psów znajdowała się w połowie pola lucerny. Było teraz widać, że mężczyzna jadący konno to Kimp; cwałował spokojnie, jadąc za psami z maczugą w ręce.

Tristan już z trudem łapał oddech, twarz mu poczerwieniała i błyszczała od potu. Zaczął opadać z sił i zwalniać. Jason też zwolnił, żeby biec razem z nim. Tristan ze złością machnął ręką, żeby biegł przodem.

- Uciekaj - wydyszał.

Drake prowadził. Tark pędził z niezwykłą szybkością jak na tak krępego mężczyznę. Jason z trudem za nimi nadążał. Skupił się na stopach uderzających o trawiasty grunt, próbując wydłużyć krok i zmusić nogi, by szybciej pracowały. Wycie ścigających ich psów przybierało na sile.

Jason czuł już klucie w boku, jakby mu ktoś wkręcał śrubę. Pomasował to miejsce. Tark był kilka kroków przed nim, desperacko pomykając na krótkich nogach.

Zerkając za siebie, Jason zobaczył, że Tristan odwrócił się, by stawić czoło nadbiegającym psom, i ścisnął w obu rękach miecz. Psy już go prawie dopadły.

Jason patrzył na ostatnią walkę Tristana w stroboskopowym rytmie spojrzeń

rzucanych przez ramię.

Tristan atakuje skaczącego na niego mastyfa.

Tristan pada na kolano, tnąc dzikarza, i teraz skowyt miesza się ze szczekaniem.

Tristanowi udaje się wstać, wymachuje pięściami jak szalony.

Tristan leży na ziemi, a psy opadają go chmarą. Rozcina sztyletem brzuch mastyfa, podczas gdy dzikarz chwytą go za gardło.

Jason potknął się i wyciągnął na zroszonej trawie jak długi.

Tark zatrzymał się gwałtownie i szarpnięciem pomógł mu wstać.

Nadal ścigało ich kilkanaście psów. Jason, upadając, upuścił kulę bilardową. Teraz jego jedyną bronią był sztylet. Tark miał nóż. Kilka kroków przed nimi Drake trzymał miecz.

Z zagajnika obok pola wyjechał Jasher na wspaniałym karym rumaku, pędząc prosto na Jasona i Tarka. Prowadził myszatego konia.

- Ożeż w ząb! - zaklął Tark, skręcając gwałtownie w lewo. - Nie! To przyjaciel! Jasher uniósł kuszę. Wystrzelił bełt. Celował daleko, w psy. Jason się obejrzał. Dzikarz potknął się z bełtem wystającym z piersi.

Jasher odrzucił kuszę i wyjął drugą. Padł mastyf. Kusza wylądowała w trawie, zastąpiona przez następną. Kolejny mastyf padł, skowycząc.

Jasher prawie dojechał do Jasona i Tarka, kiedy wyjął czwartą kuszę.

- Bierz konia! - krzyknął, wypuszczając wodze.

Uwolniony koń pędził prosto na Jasona. Jak miał zatrzymać rozpędzone zwierzę? Odskoczył na bok, sięgając bez przekonania ku luźnym wodzom. Nie udało mu się i koń przebiegł obok niego, powoli zwalniając.

Jasher opuścił poziomo kuszę, wymierzył i trafił kolejnego dzikarza.

- Zawróć i walcz! - krzyknął Drake.

Rzucił krótki miecz, który przekoziółkował w powietrzu. Ostrze wbiło się w ziemię koło stóp Jasona, który natychmiast chwycił za rękojeść.

Jason i Tark odwrócili się natychmiast do nadbiegających psów. Dzięki piątej kuszy Jasher uszczuplił liczebność sfory do siedmiu i przejechał obok psów, by przechwycić Kimpa.

Drake odbiegł od Tarka i Jasona, zostawiając im większą przestrzeń.

Wymachując mieczem, krzyczał na pędzące psy. Cztery skręciły w ślad za nim.

Trzy psy - dwa dzikarze i jeden mastyf - rzuciły się na Jasona i Tarka. Jason odskoczył przed rzucającym się na niego mastyfem, tnąc go w głowę, gdy zwierzę przelatywało obok. Dzikarz skoczył i uderzył w Tarka, który przekoziółkował do tyłu, ale jednocześnie wbił nóż w pierś psa. Drugi dzikarz zaatakował Jasona od dołu, ścinając go z nóg, kiedy uderzył w niego cielskiem.

Pies rozerwał Jasonowi nogawkę spodni i wbił zęby w ciało. Nagle mastyf, którego chłopak ranił, też go dopadł i rzucił mu się do gardła. Jason zasłonił się ręką. Upuścił miecz. Wolną ręką próbował odepchnąć się od skręcającego się cielska zawziętego psa.

Nagle dzikarz przestał pastwić się nad nogą Jasona. Zaraz potem Tark rzucił się na mastyfa. Uderzał jak oszalały, raz za razem dźgając psa, aż zwierzę padło.

Jason usiadł i zobaczył, że dzikarza u jego stóp również zabił Tark. Kawałek od nich stał spokojnie Drake - nietknięty, z zakrwawionym mieczem w dłoni, otoczony przez cztery martwe psy. Odwróciwszy głowę, Jason zobaczył Jashera i Kimpa, którzy zbliżali się do siebie. Jasher trzymał podwójny łańcuch, Kimp wymachiwał buzdyganem.

Kiedy zbliżyli się do siebie, Kimp wyskoczył z siodła prosto na Jashera. Tamten zamachnął się łańcuchem, ale za późno - Kimp już na niego wpadł, obaj spadli z konia Jashera i przeturlali się po trawie.

Natychmiast się zerwali. Kimp wolną ręką przechwycił łańcuch Jashera, który już miał uderzyć go w wytatuowaną głowę, a jednocześnie wziął zamach buzdyganem i jednym szybkim ciosem na odlew trafił Jashera w pierś.

Pośpieszny cios buzdyganem nie był szczególnie silny, ale towarzyszył mu brzęk tłuczonego szkła. Nastąpił nagły rozbłysk oślepiającego światła i Jasher został rozerwany w ryczącym wybuchu, który odrzucił do tyłu Kimpa - a właściwie jego płonące strzępy.

Jason patrzył, nie wierząc własnym oczom. Kawałek od nich stado ptaków poderwało się do lotu. Dym uniósł się grzybem z miejsca wybuchu. Kimp leżał nieruchomo, jego ubranie płonęło. Obaj mężczyźni zginęli na miejscu.

- Jasher miał nasiono - wydyszał Jason, pędząc ku poległym wojownikom.

Tark pobiegł za nim.

- Nasiono wypada w chwili śmierci - tłumaczył Tarkowi Jason. - Ocalimy go, jeśli znajdziemy jego amar.

- Pośpieszcie się - ostrzegł ich Drake, rozglądając się wokół, kiedy biegiem do nich dołączył. - Zaraz nadjadą następni. Tracimy szansę na ucieczkę.

Jason znalazł spaloną głowę Jashera i szyję nadal połączoną z częścią torsu. Leżała twarzą do góry, a długie włosy zamieniły się w zwęglony kłęb. Jason obrócił szczątki swojego obrońcy i sprawdził kark pod zwiniętymi włosami. Znalazł pustą kieszonkę.

- Nasiono wypadło - powiedziała Jason bliski łez. - Szukajcie w trawie!

Wszyscy trzej rozbiegli się, przeczesując uważnie wysoką do kolan trawę.

- Może zostało zniszczone - powiedział Tark.

- Nie - upierał się Jason, nie chcąc rozważyć tej ewentualności. - Ocalił nas. Musimy je znaleźć.

- Zwykle amar jest dość trwałe - wymamrotał Drake, przyglądając się ziemi.

Krąg ich poszukiwań się rozszerzał. Jason co pewien czas zerkał w stronę zamku, rozglądając się za oznakami następnego pościgu.

Tark wrócił do miejsca, w którym leżała głowa Jashera, przykucnął i zaczął metodycznie szukać. Chwilę potem podniósł szare nasiono wielkości włoskiego orzecha.

- Przegapiliśmy je. Leżało na wpół zakopane. Musiało się oderwać, kiedy tu leżał, zanim go obróciłeś.

Jason westchnął z ulgą.

- Musimy zasadzić je w bezpiecznym, żyznym miejscu.

- Daleko stąd - dorzucił Drake. Tark skinął głową i wrzucił nasiono do sakiewki u pasa. Jeden z koni, kary ogier, którego dosiadał Jasher, pozostał w pobliżu. Ogier Kimpa pał się ze sto jardów dalej. Szary koń, którego Jason wypuścił, odbiegł spory kawał przez pole i teraz też zaczął pogryzać trawę.

- Przyprawdzą myszatego - powiedział Tark, dosiadając wierzchowca Jashera.

- A ja wezmę konia Kimpa! - zawołał przez ramię Drake, już biegnąc w stronę rumaka.

Jason się rozejrzał. Gdzie była Rachel? Jasher pewnie się uparł, żeby została w ukryciu.

Szary koń uciekł od Tarka, kiedy tamten się zbliżył, ale w końcu muzykowi udało się zajeżdżać mu drogę i złapać za wodze.

Krew spływała Jasonowi po ręce do dłoni, kiedy patrzył, jak Drake dosiada wierzchowca Kimpa. Z wahaniem obejrzał ranę. Nad brzydkimi rozdarciami i dziurami w skórze miał poszarpany rękaw. Może udałoby mu się oderwać kawałek płaszcza i zawiązać go jak bandaż.

Tark machał ręką, wskazując w stronę Jasona. Chłopak się obrócił. Około dwudziestu jeźdźców wynurzało się w pełnym galopie spomiędzy drzew za jego plecami. To nie były posiłki z zamku, nadjechali z innej strony.

Drake siedział okrakiem na koniu z mieczem w ręku i marszczył czoło. Za nim, na drugim końcu pola Jason zobaczył Rachel wynurzającą się z lasu, także konno. Tark jechał w stronę Jasona, prowadząc szarego wierzchowca. Ani Tark, ani Drake nie mieli szansy dojechać do niego na czas. Jason zaczął do nich machać.

- Uciekajcie, uciekajcie! - krzyczał. - Drake, ratuj Rachel! Tark, powiedz jej „rim”! Powiedz jej „rim”! Uciekajcie!

Drake zasalutował mu mieczem, spiął konia i odjechał w przeciwnym kierunku niż żołnierze. Przeskoczył na koniu nad ogrodzeniem i pogalopował delikatnie opadającym stokiem jak szalony, do miejsca, gdzie czekała Rachel.

Tark ściągnął wodze, wahając się.

- Wynoś się stąd! - ryknął Jason. - „Rim”!

Tark wypuścił myszatego konia i odjechał w przeciwnym kierunku niż Drake.

Jason odwrócił się do jeźdźców. Nie mając możliwości ucieczki, podniósł ręce i się poddał. Większość zatrzymała się wokół niego. Czterech pojechało za Tarkiem. Pięciu za Drakiem i Rachel.

Kilku lekko opancerzonych mężczyzn zsiadło z koni i złapało brutalnie Jasona. To nie byli werbownicy - a jeśli tak, to nosili mniej imponujące zbroje niż ci, którzy próbowali go pojmać poprzednim razem. Ich hełmy nie miały zasłon na twarzy. Przeszukali go i odebrali mu sztylet.

- Lord Jason z Caberton, jak zakładam? - zapytał mężczyzna, który nadal siedział

w siodle i najwyraźniej był dowódcą.

- Tak. - Jason miał ochotę zachować się bezczelnie. Złapano go, jego przyjaciele uciekali, a on miał niewiele do stracenia. - Skąd wiesz?

- Powiadomiono nas dziś rano o twojej możliwej ucieczce. Ostatni sygnał potwierdził twoją decyzję. Czy to Jasher nasiennik? - Dowódca wskazał zwęglone szczątki.

- To jego brat bliźniak.

- Wiemy, że podróżował z tobą do niedawna. Gdzie jego amar?

- Zjadłem go.

- To nie najlepsza chwila na nonszalancję.

- Spanikowałem. Smakował okropnie. Macie płyn do ust?

- Przeszukajcie okolicę - rozkazał dowódca. - I przeszukajcie dokładnie młodego lorda.

Metodycznie przeszukano Jasona i jego ubrania. Żołnierze przeczesali w kucki okolicę z niezwykłą wręcz pedanterią.

- Nie ma tu amara, panie - zgłosił w końcu jeden z żołnierzy.

- Przeszukajcie teren raz jeszcze - rozkazał dowódca. - Nie możemy popełnić błędu. I opatrzcie rany więźniowi.

Piekący balsam nałożono Jasonowi na poranioną rękę i nogę, a potem owinięto je lnianymi bandażami. Nikt nie znalazł nasiona.

- Jeden z uciekinierów musiał je zabrać - uznał dowódca. - Na pewno już ich zatrzymano.

- Twoi ludzie nie wrócą - odpowiedział Jason. - Wiesz, kto mieszka w Harthenham? Nie mówię o grubasach. Mówię o tych, którzy zabijają takich jak wy w ramach hobby.

- Dość tych bzdur.

Kilka minut później powrócił samotny jeździec na spienionym koniu.

- Mężczyzna, który pojechał na północ, ma ogiera Kimpa, Mandibara. Dziewczyna też ma doskonałego wierzchowca. Te konie były za szybkie. Pozostali nadal ich ścigają, ale, o ile tamci nie popełnią błędu, nasza jedyna szansa, to odgadnąć, dokąd jadą, i odciąć im drogę.

Dowódca podrapał się po policzku.

- Dokąd on pojechał? - zapytał Jasona. - A skąd mam wiedzieć? Uciekał. - Powiedz mi o swoich przyjaciółach. - Ledwie ich znam. Ten, który uciekł z dziewczyną, to Krzysztof Kolumb. Wysoki, naprawdę chudy. Zielone włosy. Kły. Sześć palców u lewej ręki. Ma jakieś sto lat. I mnóstwo zmarszczek.

- Rozumiem, że świetnie się bawisz - zakpił dowódca. - Obecnie chroni cię rozkaz, żeby nie robić ci żadnej krzywdy, o ile to nie będzie niezbędne. Gdyby nie to, nauczyłbym cię pilnować języka. Twoja bezczelność nie pozostanie zbyt długo bezkarna. - Odwrócił się do swoich ludzi. - Edmundzie, jedź do Harthenham i ustal, kogo ścigamy. Bradford, weź dwóch ludzi do Orin i znajdź parę, która uciekła na północ. Cecil, weź dwóch ludzi i jedź za człowiekiem, za którym Erie pojechał na zachód. Pozostali jadą ze mną do Felrook.

Rozdział 23

Słowo

Arimfexendrapuse. Arimfexendrapuse. Najdurniejsze słowo, jakie Jason potrafił sobie wyobrazić. Kompletny nonsens. Słowo, które rzekomo miało zniszczyć Maldora. Powtarzał dziwne sylaby w myślach z różną modulacją. Gdyby to zawiodło, zawsze mógł spróbować z „superkalifradalistodekspialitycznie”.

Przez ostatnie kilka dni Jason jechał na wschód pod czujnym okiem Iana, dowódcy, który go pojmał. Sześciu innych ciężkozbrojnych strażników jechało jako ich eskorta, Ian obiecał, że dziś przed zachodem słońca Jason zobaczy Felrook.

Przez całą podróż Ian nie puścił pary z ust na temat tego, co właściwie się stanie z Jasonem. Rzucił co prawda rozliczne aluzje, że będzie to coś nieprzyjemnego, ale nie podał żadnych szczegółów. Jason miał nadzieję, że zaprowadzą go przed oblicze Maldora. Ponieważ cesarz nie powinien podejrzewać, że Jason zdobył całe Słowo, uwięzienie powinno stać się doskonałą okazją do zakończenia misji.

Jeśli uda mu się zniszczyć cesarza, Jason wiedział, że możliwe, iż zostanie natychmiast stracony. Jednak już groziły mu tortury lub śmierć w lochach Felrook. Jak wspaniale będzie zamiast tego zniszczyć cesarza! Pomyślał o radości, jaką to sprawi Rachel, Galloranowi, Jasherowi, Tarkowi, Nicholasowi i wielu innym, którzy mu pomogli. To cud, że w ogóle zdołał utrzymać się przy życiu. Może znajdzie sposób, żeby przetrwać też po pokonaniu Maldora.

Mimo wszystko nie mógł się opędzić od różnych lęków, które go prześladowały. A jeśli zamierzają zafundować mu pranie mózgu i wyrwać z pamięci sylaby, żeby zminimalizować ryzyko, zanim stanie przed Maldorem? Galloran był dowodem, że są zdolni do zastosowania takich środków zaradczych. A co, jeśli uznają, że lepiej, by nigdy nie stanął przed Maldorem? Albo go zakneblują?

Kiedy słońce zbliżało się do horyzontu, Jason i żołnierze przejechali przez wąską przełęcz. Rozciągała się przed nimi ku północy ogromna dolina z Felrook w oddali. Jason nie bardzo wiedział, czego się spodziewał, ale rzeczywistość przeszła wszelkie jego oczekiwania.

Monstrualna twierdza z żelaza i kamienia, ogromny zamek zwieńczający wysoką skalistą wyspę pośrodku rozległego jeziora. Pionowe urwiska wyspy wznosiły się na ogromne wysokości nad powierzchnię wody, powiększone jeszcze o monumentalne zewnętrzne mury fortecy. Cztery mniejsze formacje skalne otaczały centralną wyspę. Na tych wysepkach przysiadły skromniejsze fortece, dwie większe połączone z centralną twierdzą kamiennymi mostami, a dwie mniejsze podwieszonymi chodnikami.

Dla dalszego umocnienia tego przerażającego kompleksu, prom, który umożliwiał dostanie się na Felrook, został obwarowany własnymi, ogromnymi murami. Trzy wzgórza wnosły się w pobliżu jeziora, każde zwieńczone potężnym stołpem, skąd dodatkowe siły mogły urządzać wypady i dręczyć atakujące wojska. Bez bomb atomowych albo ładunków wybuchowych Jason nie potrafił wyobrazić sobie, żeby twierdza Felrook kiedykolwiek upadła.

- Czy kiedykolwiek zajęto Felrook? - zapytał Iana.

Dowódca tylko prychnął.

- Nigdy nawet nie zaatakowano Felrook.

Jason mógł w to uwierzyć.

- Dotrzemy tam już dzisiaj? - zapytał.

- Została ci jeszcze jedna noc, żeby porozmyślać nad swoim losem - odparł Ian. - Rozbijemy obóz niedaleko twierdzy i dostarczymy cię na miejsce późnym rankiem. Mam nadzieję, że jesteś gotowy odpowiedzieć za swoje zbrodnie. Nawet sobie nie wyobrażasz grozy, która cię czeka.

- Pójdę do lochów?

- Odpowiesz za swoje zachowanie - odparł dość zagadkowo Ian.

Jason nie odezwał się więcej, kiedy jechali, a potem rozbijali obóz. Po kolacji wszyscy strażnicy oprócz dwóch położyli się spać. Z rękami związanymi przed sobą Jason leżał na boku. Próbował już raz uciec pewnej nocy, ale zarobił guza na

potylicy i podbite oko. Wiedział, że nie ma sensu znowu próbować ucieczki. Teraz wszystkie jego nadzieje skupiły się na tym, żeby zyskać okazję, by stanąć przed cesarzem.

Mimo długiego dnia jazdy Jason nie mógł zasnąć. Nie potrafił zignorować faktu, że prawdopodobnie była to jego ostatnia noc w życiu. Rodzice nigdy więcej go nie zobaczą, tak samo jak brat i siostra. Nigdy więcej nie zobaczy Matta i Tima. Nigdy więcej nie pobawi się z Cieniem. Nikt z nich nigdy się nie dowie, co tak naprawdę się wydarzyło.

Kiedy wreszcie zasnął, przeszkadzały mu nieprzyjemne wizje. Śniło mu się, że wypadają mu zęby, że zjawił się nieprzygotowany na egzaminach i że szuka rodziców w kłębiącym się tłumie.

Dopóki Drake go nie obudził.

- Nikt tu nie śpi tak twardo jak ty. - Nasiennik się zaśmiał.

Jason usiadł zdezorientowany, z wolnymi rękami. Ogień płonął słabo. Widział postaci żołnierzy śpiących wokół.

- Mów ciszej - upomniał go szeptem Jason. Drake wyszczerzył zęby. - Już nas nie usłyszą. - Chcesz powiedzieć... - Trudność przedstawiali tylko wartownicy - odparł Drake. - A i ona nie była zbyt wielka.

Jason nie mógł uwierzyć własnym uszom. Rozejrzał się.

- Kto przyjechał z tobą?

- Dostarczyłem Rachel Tarkowi i odesłałem ich na północ - odpowiedział Drake.

- Wiele dni śledziłem twoją małą karawanę. Uznałem, że równie dobrze mogę pozwolić, żeby przywieźli cię tutaj.

- Wiesz o Słowie?

- Rachel mi powiedziała. Tark podał jej ostatnią brakującą sylabę. Drugą, prawda?

- Tak.

Drake potarł kark.

- Nie mogę uwierzyć, że ktoś wreszcie złożył je w całość. Rachel chciała przyjechać. Upierała się. Przypomniałem jej jednak, że jeśli ty zawiedziesz, ona będzie naszą ostatnią nadzieją. Poza tym wiedziałem, że sam zdołam prześlizgnąć się

koło wrogów i śledzić cię. Towarzystwo sprawiłoby, że nie byłbym już tak pewien powodzenia.

- Jeśli zawiodę - powiedział Jason - Rachel powinna przekazać sylaby komuś innemu.

- Będę o tym pamiętać - przytaknął Drake. - Ale nie zawiedziesz, o ile nie pokręciłeś sylab.

- Wiesz, jak dostarczyć mnie przed oblicze Maldora?

- Owszem. To może być podróż w jedną stronę i będziesz musiał udać się w nią sam, ale wiem, jak tego dokonać. Jesteś gotowy?

To pytanie sprawiło, że Jason się zawahał. Drake go uratował. Mogli uciec.

- A nadarzy się jakaś lepsza okazja?

- Żeby stanąć przed Maldorem? - upewnił się Drake. - Cesarz nie opuszcza już Felrook. Jedyny pewny sposób, żeby uzyskać u niego audiencję, to uderzyć w gong u bram do promu. Zgodnie z cesarskim dekretem, każdy może w niego uderzyć i porozmawiać z cesarzem. W praktyce nikt z tego nie korzysta. Gongu strzegą strażnicy i każdy rozumie, że o ile uderzenie w niego gwarantuje audiencję u Maldora, to nie daje żadnej pewności, co do konsekwencji tego posłuchania.

- Więc co robimy? - zapytał Jason. - Ruszamy stąd - powiedział Drake. - Dotrzemy do promu przed świtem. Zadbam, żebyś miał możliwość uderzyć w gong.

Jason zdał sobie sprawę, że, o ile nie chce przez resztę życia uciekać przed ludźmi cesarza, musi doprowadzić sprawę do końca. Drake sprawiał wrażenie zdeterminowanego i zdolnego mu pomóc. Pojawiła się prawdziwa szansa wygranej, tam gdzie tyłu zawiodło. Jeżeli gong zagwarantuje mu audiencję u Maldora, będzie mógł wypełnić misję i zająć się własnym życiem.

- Chodźmy - powiedział.

* * *

Poza murami chroniącymi prom, rozciągało się miasteczko, znacznie większe niż wydawało się z daleka. Drake i Jason wjechali do niego przed świtem, obaj w ubraniach i zbrojach zabranych zabitym żołnierzom. Drake niósł łuk i kołczan z dwunastoma strzałami. Jason odzyskał sztylet, a oprócz tego miał miecz i kuszę. Minęli wiele stajni, kilka magazynów, różne zajazdy i rozliczne garnizony.

Uwiązawszy konie, Drake poprowadził Jasona serią zaułków. Z mrocznej kryjówki uliczki wskazał zadaszoną platformę, na którą można było wejść schodami z trzech stron. Osłonięty przez dach, ledwie widoczny mimo płonącego w pobliżu kaganka, okrągły kształt wielkiego gongu zwieszał się z belki. Obok na łańcuchu wisiał młotek. Jason naliczył czterech strażników.

- Wejść na dach tego domu po drugiej stronie ulicy - powiedział Drake. - A ty pójdziesz pod tamtą wiatę. - Wskazał Jasonowi budyneczek.

- Widzę.

- Zwrócę na siebie uwagę, strzelając z łuku. Jak już zacznę, ty biegnij do gongu i głośno zadzwoni. Zadbam, żebyś dotarł na miejsce.

- A co zrobisz potem? - zapytał Jason.

- Spróbuję uciec - odparł Drake. - Szanse mam niewielkie, ale jeśli uderzysz w ten gong, a potem wypowiesz Słowo we właściwej chwili, warto się poświęcić. Czekałem na to, Jasonie. Nie jestem pewien, czy wiedziałem, że czekam, ale czekałem. Powinniśmy ruszać, zanim zrobi się jaśniej. Gotowy?

- Tak.

Drake przeszedł przez ulicę. Idąc za jego przykładem, Jason spokojnie przeszedł ulicą do wiaty. Stamtąd powinno mu się udać podejść do platformy z boku, podczas gdy Drake będzie strzelał od frontowej strony.

Kiedy już dotarł do wiaty, Jason trzymał się tak, żeby strażnicy gongu go nie widzieli, a sam obserwował dach. W chwili, gdy już zaczął się zastanawiać, skąd ta zwłoka, usłyszał zduszony krzyk - to jeden ze strażników spadł ze schodów prowadzących na platformę.

Zanim Jason dotarł do podnóża schodów prowadzących do gongu, został już tylko jeden strażnik. Schował się za grubym słupem podtrzymującym dach. Kiedy zobaczył wbiegającego po stopniach Jasona, wyszedł z kryjówki z mieczem w rękę i natychmiast strzała przeszła jego bok.

Wskakując po dwa stopnie, Jason dopadł młotka, złapał za rączkę i uderzył w gong z taką mocą, jakby brał zamach pałką baseballową. Długi, rozdygotany brzęk ranił mu uszy, ale mimo to, Jason uderzył znowu i jeszcze raz, uznając, że im więcej razy zadzwoni, tym mniej miejsca zostanie na wątpliwości.

- Dość! - zawołał strażnik, jeden z dwóch, którzy wyszli ze strażnicy, i jedyny, który nie został raniony strzałą. Stał krok od schodów przed frontem platformy.

- Chciałem mieć pewność - wyjaśnił Jason, zastanawiając się, czy Drake zastrzelił i tego ostatniego strażnika.

- Wyjednałeś sobie audiencję - zapewnił go strażnik. Odwrócił się w stronę dachu, na którym ukrył się Drake. - Audiencja zostanie mu udzielona! - wrzasnął. A potem spojrzał na Jasona. - Może ci nie spodobać to, co wydarzy się potem, ale staniesz przed cesarzem. Mogę poznać twoje imię?

- Lord Jason z Caberton.

Strażnik się nachmurzył.

- Powinienem być się domyślić. Krążą na twój temat wieści. Myślałem, że cię aresztowaliśmy po ucieczce z Harthenham.

- Tak samo jak ci, którzy mnie aresztowali - odparł tajemniczo Jason.

- Jesteś raptem dzieciakiem - stwierdził mężczyzna, wchodząc po schodach z uniesionymi rękami. - Cóż, to było śmiałe posunięcie. Mam nadzieję, że zdołasz stawić czoło końcowi.

- Ja również - odparł szczerze Jason.

- Będę musiał odebrać ci broń - powiedział strażnik.

- Skąd mam wiedzieć, że zobaczę cesarza? - zapytał Jason.

- O tej porze w całym Felrook słyszano gong. Wszyscy znają zasady.

Jason oddał mu miecz.

* * *

Jakąś godzinę później kiedy słońce było gotowe wychylić się z za horyzontu, Jason i strażnik gongu wsiedli na prom. Pomieściłaby się tam setka ludzi, ale byli jedynymi pasażerami. Przepłynęli przez jezioro do kei wychodzącej z małej przystani u podnóża centralnej wyspy. Forteca majaczyła nad nimi i wydawało się, że ciągnie się w górę w nieskończoność. W ścianie urwiska wycięto wijącą się zakosami ścieżkę. Kiedy Jason maszerował nią w górę za strażnikiem, dołączyło do nich kilku innych żołnierzy.

Jason wyobrażał sobie, że któryś ze strażników zacząłby się przechwalać, gdyby złapali Drake'a. Miał nadzieję, że ich milczenie oznacza, że jego towarzysz zdołał się

wymknąć.

Kiedy wspinali się ścieżką, Słowo płonęło w umyśle Jasona. A co, jeśli któraś z sylab była niewłaściwa? Czy wymowa miała znaczenie? Żałował, że nie może poćwiczyć wypowiedziania go na głos, ale podobno raz wymówione zniknęło z pamięci. Musiał więc poczekać.

Po długiej wspinaczce przeszli przed dwie olbrzymie bramy w grubym, zewnętrznym murze, przechodząc pod kilkoma masywnymi opuszczanymi kratami, tylko po to, by ujrzeć wewnętrzny mur niemal tak samo wysoki jak pierwszy. W tej fortecy nie było nic pięknego - wszystko istniało po to, żeby budzić odrazę i przerażać napastników. Podziurawiony i naznaczony zapadniami krenelaż wystawał poza lico murów, sprawiając, że wspięcie się po nich było w zasadzie niemożliwe. Wszędzie kręcili się ciężko uzbrojeni strażnicy, niektórzy w towarzystwie harataczy. Katapulty i trebusze stały w pogotowiu, gdyby trzeba było odeprzeć atak. Główny budynek był kanciastą konstrukcją strzeżoną przez serie gzymsów, które cofały się od dziedzińca kolejnymi blankowymi tarasami.

Przeszli przez dziedziniec i zanurzyli się w głąb twierdzy, idąc pustymi, solidnymi korytarzami i szerokimi schodami, aż stanęli przed masywnymi drzwiami z czarnego żelaza, których oba skrzydła zdobiła szczerząca zęby czaszka.

Wysoki mężczyzna ubrany jak werbownik polecił eskortie Jasona odejść. Kiedy strażnicy się wycofali, werbownik dokładnie przeszukał Jasona, nie znajdując żadnej nowej broni, ponieważ całą już mu skonfiskowano. Pociągnął dwa razy za łańcuch zwieszający się z dziury w ścianie. Drzwi się otworzyły.

- Lord Jason z Caberton - oznajmił wysoki werbownik.

Zaciskając zęby i powtarzając Słowo-Klucz w myślach, Jason wszedł do rozległej sali audiencyjnej. Ogromne filary podpierały dach; ich podstawy wyrzeźbiono na kształt ludzkich stóp, a zwieńczenia wyglądały jak dłonie rozpłaszczone na sklepieniu.

Pochodnie płonęły w kinkietach na ścianach. Płomienie wyskakiwały z koksowników w kształcie czajników ustawionych w sali na esowatych nóżkach. Długi czarny dywan prowadził do obsydianowego podwyższenia, gdzie na ciemnym tronie najeżonym szpikulcami siedział odziany w sobolowy płaszcz mężczyzna. Po

bokach kręcili się dworzanie, nie spuszczać oczu z Jasona.

Od podnóża podwyższenia po obu stronach czarnego dywanu ciągnęły się długie stoły okryte czarnym jedwabiem. Przy stołach siedziało wielu mężczyzn i kilka kobiet. Większość miała puste oczodoły i tylko jedno ucho. Licznym brakowało kończyn. Ci, którzy mogli, patrzyli na Jasona z powagą.

Wysoki werbownik poprowadził go do miejsca pomiędzy dwoma stołami znajdującego się dziesięć jardów od podwyższenia, a potem się wycofał. Mężczyzna na tronie miał siwe włosy i zimne szare oczy. Był gładko ogolony, miał przystojne, wyraziste rysy twarzy i dziurkę w podbródku. Stalowy wisior z ogromnym czarnym klejnotem spoczywał mu na piersi.

Siedział z łokciem wspartym na podłokietniku i jednym palcem opartym o skroń. Był zamyślony.

- Witaj, lordzie Jasonie. - Mówił melodyjnym barytonem.

Jason czuł, że wszyscy spodziewają się, że uklęknie i zacznie błagać.

- Ty jesteś Maldor?

Cesarz się zaśmiał. Jakby to było pozwolenie, ciche śmiechy rozległy się w całej komnacie.

- Owszem. Domagałeś się audiencji u mnie?

- Chciałem spotkać się na słówko. Tylko jedno.

Maldor pochylił się nieco, a jego spojrzenie nabrało ostrości, zdradzając niepokój i niedowierzanie.

Jason zastanawiał się, co się stanie, kiedy wypowie Słowo. Znajdował się w głębi fortecy. Ucieczka była wysoce nieprawdopodobna.

- Arimfexendrapuse! - wykrzyknął Jason.

Poczuł energię słowa, kiedy je wypowiedział. Przez chwilę niemal wyczuwał jego sens. Pozostawiło mu brzękliwy posmak w ustach.

Maldor spojrzał na niego pytająco. Wokół rozległy się pomruki.

W nagłej panice Jason zdał sobie sprawę, że musiał źle wypowiedzieć słowo. Kiedy jednak spróbował je powtórzyć, nie mógł sobie przypomnieć, jak się zaczyna. Ani jak się kończy. Ani co było w środku.

Wysilał umysł. Pamiętał Księgę Salzareda. Przypomniawszy sobie Jugarda i kraba.

Pamiętał skarbiec mądrości, Białe Jezioro, Ziemie Zatopione, Kimpa. Niestety, sylaby zniknęły.

Spokój ponownie ogarnął Maldora. Cesarz złożył ręce na podołku. - Coś jeszcze? - To wszystko - odparł skrzepowany Jason. Co jeszcze mógł powiedzieć? - Jaka szkoda, że jedyne słowo, którym chciałeś się ze mną podzielić, okazało się bzdurą - stwierdził Maldor. - Możesz odejść.

Jason otworzył usta i zamknął je bez słowa.

- Groddic - powiedział Maldor - zabierz tego zagubionego młodziana do aresztu, dopóki nie wybiorę dla niego kary.

Wysoki werbownik skłonił się nisko, złapał Jasona za rękę i wyprowadził z sali bocznymi drzwiami. Jason zerknął przez ramię na cesarza, który skonsternowany odpowiedział na jego spojrzenie.

Groddic zaprowadził Jasona korytarzem, a potem w dół ciasnymi kręconymi schodami, do korytarza, wzdłuż którego ciągnęły się żelazne drzwi. Trzech żołnierzy pilnujących małej poczekalni przed korytarzem stanęło na baczność i zasalutowało.

- Potrzebuję aresztu dla tego tutaj - powiedział wysoki werbownik.

Jeden z żołnierzy wyjął pęk kluczy i otworzył drzwi po lewej stronie korytarza. Groddic wepchnął brutalnie Jasona do pustego pomieszczenia, jeśli nie liczyć żelaznego krzesła przyśrubowanego do podłogi.

- Związać go - rozkazał Groddic.

Jason nie widział sensu w stawianiu oporu. Co miał niby zrobić: przebiec jak opętany przez twierdzę, znaleźć wyjście, przepłynąć jezioro w pław i uciec w dzicz? Mimo to, odepchnął jednego z żołnierzy i rzucił się ku drzwiom. Wielka dłoń złapała go za kark i cisnęła szorstko na podłogę. Z pozycji leżącej Jason spojrzał na Groddica, który z taką łatwością uniemożliwił mu ucieczkę. Wysoki mężczyzna spiorunował go wzrokiem.

- Siadaj na krześle.

Dwóch żołnierzy wyciągnęło miecze. Jason usiadł na twardym krześle. Jeden żołnierz podszedł i zaczął go unieruchamiać. Przy podłokietnikach znajdowały się kajdany na nadgarstki, przy nogach krzesła pęta zamykane w kostkach. Na koniec

żelazna obręcz przymocowana do wysokiego oparcia zamknęła się wokół szyi Jasona. Żołnierze zacisnęli pasy na jego piersi, udach i rękach.

Groddic i żołnierze wyszli, nawet się nie oglądając. Słaba wstążeczka światła wpadała do pomieszczenia pod drzwiami.

Jason nie miał jak mierzyć upływu czasu. Krępujące go pasy i okowy uniemożliwiały nawet wiercenie się. Żelazna obręcz na szyi tak przylegała, że Jason czuł pulsowanie krwi w tętnicy szyjnej. Ciemność i zamknięcie zaczynały przyprawiać go o klaustrofobię. Zamknął oczy i próbował wolno oddychać, udawać, że z własnej woli siedzi przypięty do krzesła i że w każdej chwili może się uwolnić.

Nie mógł uwierzyć, że Słowo zawiodło. Tyle wysiłku włożył w zdobycie go! Co innego, gdyby zupełnie nic się nie stało. Jednakże czuł moc Słowa, kiedy je wypowiedział, a potem zniknęło z jego pamięci, co oznaczało, że sylaby były najprawdopodobniej prawidłowe i właściwie je wymówił.

Maldor nie buchnął płomieniami. Nie roztopił się w bulgocącą galarete biomaterii. Nie zniknął przy wtórze grzmotu i jego puste ubrania nie opadły na podłogę. Ziemia nie zadrżała, zamek nie zawalił się, dworzanie nie uciekli z sali w popłochu.

Zamiast tego zażenowany Jason czuł na sobie uwagę wszystkich zgromadzonych przez chwilę, która trwał mniej niż minutę, a potem bezceremonialnie został wyprowadzony z sali. A teraz siedział przykuty do krzesła.

A jeśli Słowo działało wolno? A jeżeli trzeba czasu, żeby pojawiły się efekty? Kilka godzin, dni, tygodni? To nie wydawało się prawdopodobne. Magiczne czy też nie, Słowo okazało się niewypałem.

Jason westchnął. Nadal starał się ignorować okowy.

Próbował liczyć uderzenia serca, ale poddał się, gdy doszedł do tysiąca.

Wyobrażał sobie szczęśliwsze czasy. Zobaczył w wyobraźni tatę wiercącego w zębie. Mamę wyprowadzającą Cienia. Wyobraził sobie Matta oddającego wypracowanie z angielskiego.

Tima opowiadającego żarty w czasie lunchu i rówieśników wokół stołu, wybuchających śmiechem.

A potem wyobraził sobie Rachel. Uciekała gdzieś z Tarkiem. Odkrył, że brakuje

mu jej jak nikogo innego, może dlatego, że wiedział, że pozostałym nic nie grozi. Co się z nią stanie? Ktoś musiał ją ostrzec, że Słowo to niewypał.

Mijały godziny. W ustach mu zaschło. W brzuchu burczało. Wyobraził sobie siebie jedzącego w czasie uczyty powitalnej w Harthenham.

Jak długo będą go tu trzymać? Poza głodem i pragnieniem zaczynało mu dokuczać swędzenie koło ucha. Próbował sięgnąć tam językiem, ale dużo mu brakowało. W końcu przestał próbować.

Dużo później - nie sposób było określić, ile właściwie upłynęło czasu - drzwi się otworzyły, wpuszczając oślepiające światło. Jason zmrużył powieki, czekając, aż przyzwyczają mu się oczy.

Dwóch mężczyzn wniosło do celi stół. Trzeci przyniósł wyściełane krzesło. Dwóch rozłożyło na stole biały obrus i postawiło butelkę w srebrnym wiaderku z lodem, a obok szklankę. Inny ustawił w rogu stołu latarnię.

- Przynajmniej mają tu pokojowych - powiedział Jason ochrypłym głosem; w ustach mu zaschło i nie mówił od wielu godzin.

Mężczyźni nie zareagowali na jego komentarz ani nawet obecność. Wyszli z celi i zamknęli drzwi.

Niedługo potem drzwi otworzyły się ponownie.

Wszedł Maldor, bez świty.

Drzwi zamknęły się za nim.

- Witaj, Jasonie - powiedział, siadając w krzesło przy stole.

Jason przełknął ślinę. Puls mu przyśpieszył.

- Znalazłeś się w trudnym położeniu - powiedział Maldor, wydając butelkę z wiaderka i ocierając kropelki rosy lnianą serwetką.

- Swędziało mnie koło nosa, ale już zaczyna przechodzić.

Maldor odłożył serwetkę.

- Oklinder z ledwie odrobiną jagód lumba. - Odkorkował butelkę. - Porozmawiajmy otwarcie, jak mężczyzna z mężczyzną.

- Dobry pomysł.

- Moje gratulacje. - Maldor nalał różowego płynu do szklanki i uniósł ją w toaście dla Jasona. - Wypowiedziałeś straszliwe SłowoKlucz w mojej obecności.

Zaskoczyłeś mnie. Nie pozwoliłbym ci wypowiedzieć Słowa publicznie, gdybym miał wybór. Nie zdawałem sobie sprawy, że znasz wszystkie sylaby. Ci, którzy je usłyszeli, nie zapamiętają ich, niemniej nie lubię takich niespodzianek. Chociaż nie spotkała cię nagroda w postaci wymarzonego efektu, wypowiedziałeś Słowo jak należy.

Jason popatrzył w osłupieniu.

- Tak? Więc co się stało?

Maldor uśmiechnął się leciutko.

- Ty mi powiedz.

Jason zmarszczył brwi.

- Słowo to mistyfikacja?

- Cóż za przenikliwość.

- Dywersja, i to na wielką skalę - zrozumiał Jason. - A jaką wartość ma Słowo jako akt dywersji? - nakłaniał go do mówienia Maldor, sącząc napój.

Jasonowi zacisnęło się serce.

- Zajmie wroga, który będzie gonił za fałszywą nadzieją.

Maldor skinął głową.

- Rozumiesz. Tylko ja i Salzared znamy prawdę. Teraz także ty.

- Salzared brał w tym udział? - Jasonowi zakręciło się w głowie.

Bezimienny bohater, który skradł Słowo, okazał się oszustem!

- Rozsadnik Salzared żyje w luksusach wewnątrz tej twierdzy. To w jego skórę oprawiono księgę napisaną jego krwią i jego oko znajduje się na okładce.

- A co z ludźmi, którzy strzegą sylab?

Maldor machnął lekceważąco ręką.

- Wszyscy inni, którzy wiedzą o Słowie, myślą, że jest prawdziwe. Ci, którzy strzegą sylab, wierzą, że mieszkają w magicznych azylach znajdujących się poza moim zasięgiem. Rzeczywiście są doskonale chronieni, ale gdyby Słowo naprawdę mogło mnie zniszczyć, znalazłbym sposób, żeby zniszczyć przynajmniej jedno z nich, i to dawno temu.

Jason przyjrzał się Maldorowi.

- To jakim cudem Słowo zniknęło z mojego umysłu po tym, jak je

wypowiedziałem?

- Wypowiedziałeś prawdziwe słowoklucz - wyjaśnił Maldor. - To było słowo, które mogło zetrzeć z powierzchni ziemi mojego dawnego wroga, drugiego ucznia Zokara, który nazywał się Orruck. To dzięki temu Słowo i jego sylaby mogły wyjść zwycięsko z analizy przeprowadzonej nawet przez mędrców. Słowo, które wypowiedziałeś i które zapomniałeś, rzeczywiście może zniszczyć czarnoksiężnika. Tyle że nie mnie.

- Posłużyłeś się nim, żeby zniszczyć Orrucka?

- Trzymałem to słowo w zanadrzu, ale nigdy nie miałem okazji go użyć. Dopiero później wykorzystałem je jako przynętę, która miała ukierunkować wysiłki moich najbardziej zagorzałych adwersarzy. Niesamowite, co zdolni są zaakceptować inteligentni ludzie, kiedy desperacko pragną w coś uwierzyć.

Jason się skrzywił. Czy to mogła być prawda? Tyle wysiłku na nic? Tylu ludzi związało wszystkie nadzieje z oszustwem? To wstrząsnęło nim do głębi. Mając za wroga Maldora, nic dziwnego, że tak wielu ludzi porzuciło wszelką nadzieję.

- Dlaczego mówisz mi to wszystko? - zapytał Jason. - To kolejna sztuczka?

- Chętnie dowiedziałbym się, w jaki sposób zdobyłeś wszystkie sylaby - powiedział Maldor. - Według mojej rachuby, miałeś cztery: oryginalną sylabę ze Skarbnicy Wiedzy, sylabę strzeżoną przez Jugarda w jaskini, sylabę przechowywaną przez Malara na Białym Jeziorze i sylabę chronioną przez Wieszczkę na Ziemiach Zatopionych. Nigdy nie odwiedziłeś Świątyni Mianamon ani nie pożeglowałeś na Wyspę Weir. Podejrzewam w tym robotę Gallorana, ale zdumiewa mnie, w jaki sposób ukrył te sylaby przede mną. Być może nie został tak całkowicie złamany, jak zapewniali mnie moi oprawcy.

- Może jestem jasnowidzem - odparł Jason.

- To można sprawdzić - odparł Maldor. - Dowiem się od ciebie prawdy. Nie w tej chwili, jak mniemam, ale niedługo.

- Dlaczego tyle mi mówisz?

Maldor zakręcił płynem w szklance.

- Prywatnie rozmawiam tylko i wyłącznie szczerze. Chcę, żebyś zrozumiał swoją sytuację. Wszystko, co ci powiem, może zostać wymazane z twojego umysłu,

gdyby to okazało się konieczne. Albo mogę zwyczajnie kazać cię stracić.

- Robisz wrażenie niezwykle potężnego. Po co ta subtelność? Po co te gierki?

Maldor napił się soku z oklindera.

- Mogę zniszczyć populację każdej kontrolowanej przeze mnie prowincji, nawet gdyby wszystkie powstały przeciwko mnie zjednoczone. Lubię jednak eksperymentować z rządami, wynajdować sposoby umacniania władzy, wykorzystywać strategie, które upokorzą moich oponentów. Żadne cesarstwo nie jest nigdy dość bezpieczne. A chcę, żeby moje przetrwało tysiąclecia.

Jason obliznął spierzchnięte usta.

- Nadal nie rozumiem, dlaczego ze mną rozmawiasz.

Dopił resztki płynu w szklance.

- Kolejny cel, jakiemu służyło polowanie na fałszywe SłowoKlucz, to rozpoznanie najbardziej sprawnych przeciwników. Żywo interesuję się moimi oponentami. Dawno temu obiecałem sobie, że każdy człowiek, któremu uda się zdobyć Słowo, otrzyma możliwość dołączenia do mojego elitarnego kręgu.

- Chcesz, żebym do ciebie dołączył?

- Na wiele sposobów udowodniłeś swoją wartość. Udaremniłeś kilka prób pochycenia cię i zabicia. Pokonałeś wiele przeszkód, by zdobyć sylaby. Wymknąłeś się olbrzymiemu krabowi. Nikt inny tego nie dokonał. Pokonałeś Copernuma w pojedynku umysłów. Znowu nadzwyczajne dokonanie. Twoja przyjaciółka przekroczyła Białe Jezioro, a ty odwiedziłeś Wieszczkę. Bez wiedzy mojej i moich agentów zdobyłeś w tajemnicy dwie sylaby. Znalazłeś sprzymierzeńców, kiedy tego potrzebowałeś. Ferrin wypowiadał się na twój temat w samych superlatywach. Nie śpieszy ci się do przelewu krwi, ale zmuszony do tego nie zawahasz się. Pokonałeś księcia Conrada w pojedynku. Miałeś dość przytomności umysłu, żeby porzucić przyjemności Harthenham. Udowodniłeś, że jesteś inteligentny, odważny, wytrwały i pomysłowy. Jednym słowem, jesteś człowiekiem, jakiego wolę mieć po swojej stronie niż w opozycji.

- Wszystkich wrogów próbujesz przeciągnąć na swoją stronę?

- Wszystkich z tych najbardziej walecznych.

- Czyli Galloran odmówił.

Maldor wzruszył ramionami.

- Dla Gallorana idee, przy których się upierał, były ważniejsze niż realna władza. Gdyby dołączył do mnie, odzyskałby królestwo i zrealizował większość swoich celów. Zamiast tego woli zestarzeć się w zrujnowanej twierdzy. Nawiasem mówiąc, to jedyny z moich oponentów, który także zdobył całe Słowo. Wypowiedział je przy mnie w tych właśnie lochach. Oczywiście, nie wywołało to żadnego skutku, tylko wymazało sylaby z jego pamięci. Przekonałem go, że wypowiedział Słowo przy pozorancie, żeby wyjaśnić mu, dlaczego mnie nie zniszczyło. Dopiero co stracił wzrok, więc nie miał powodu nie uwierzyć.

Jason zmarszczył czoło, serdecznie współczując Galloranowi.

- Dlaczego tak bawisz się swoimi wrogami? Dlaczego po prostu ich nie zabijesz?

- Cały czas pytasz „dlaczego”? Ciekawość bywa godna podziwu, ale twoja zdradza lenistwo. Nie potrafisz sam dojść do prostych odpowiedzi? Nie, za późno, odpowiem, chociaż nie zapracowałeś na tę wiedzę. „Bawienie się wrogami”, jak to określiłeś, jest po prostu kolejnym eksperymentem w sztuce rządzenia krajem. Morderstwo rodzi morderstwo. Chcę, żeby świat się mnie bał, ale żeby ten strach nie rozpałił rebelii. Zabijam wielu mało znaczących wrogów. Jednak zabicie potężnych oponentów tworzy męczenników, jednoczy ich zwolenników, pozwala, żeby strach nabrał siły i stał się gniewem. Dlatego nie zabijam najbardziej skutecznych wrogów. Wielcy ludzie, którzy przeciwstawiają się Maldorowi, wiedzą, że skończą zniszczeni. Nie zabici, ale do końca złamani. Kończą życie uzależnieni od przyjemności Harthenham albo po długim uwięzieniu i rozległym warunkowaniu zostają wypuszczeni w świat jako nikłe cienie dawnych siebie, obciążeni fizycznymi i umysłowymi okaleczeniami. Są chodzącym świadectwem daremności opierania się mojej władzy. Zamiast rozpałić rebelię, budzą litość i odchodzą w zapomnienie.

- Chyba że przejdą na twoją stronę - zauważył Jason.

- Zgadza się. A nic nie jest w równym stopniu demoralizujące dla mojej opozycji, jak fakt, że ich przywódcy dołączają do mnie. - Maldor wlał jeszcze trochę soku do szklanki. - Wśród moich przeciwników nie ma bohaterów. Ich najlepsi ludzie albo się zaprzędają, albo katastrofalnie zawodzą.

- Bezwzględne podejście.

- Tylko jeśli jesteś na tyle głupi, żeby mi się przeciwstawić. Nigdy moja władza nie została poważnie zagrożona i nigdy nie będzie. - Wypił nieco soku. - Często najgroźniejszymi wrogami są dawni sprzymierzeńcy. Potencjalni wrogowie, pośród moich ludzi i poza nimi, są trzymani osobno i obserwowani. W podbitych prowincjach ustanawiam kompetentnych przywódców, ale niezbyt dalekowzrocznych, którzy nigdy nie zapragną władzy absolutnej, jaką ja dzierżę. Ich największą ambicją jest zaskarbić sobie moje względy. Coś, co ty już zdobyłeś.

Maldor odstawił szklankę.

Jason skrzywił się w zamyśleniu.

- Gdybym do ciebie dołączył, jak mógłbyś uważać mnie za godnego zaufania sługę? Skąd mógłbyś wiedzieć, że naprawdę jestem wobec ciebie lojalny?

Maldor zacisnął usta i złożył dłonie.

- Godne podziwu. Od razu przeszedłeś do sedna sprawy. Fakt, że prawdopodobnie byłbyś nielojalny po dopuszczeniu cię do wewnętrznego kręgu moich współpracowników, to moje główne zmartwienie. Podstawowe rozwiązanie polega na tym, że otrzymasz oko lub ucho od rozsadnika w zamian za własny narząd i tym samym staniesz się niezdolny do podjęcia jakichkolwiek działań w tajemnicy. Pokusa zdrady zostałaaby w ten sposób usunięta.

- Teraz rozumiem, dlaczego Galloran nie zgodził się, byś zwrócił mu wzrok.

Maldor wzruszył ramionami.

- Mogłem wymusić na nim wszczep, ale skoro uważa, że żywot anonimowego nędzarza, który rozsądza spory w zrujnowanym zamku, ratuje jego poczucie godności, byłem skłonny dostosować się do jego życzenia.

Cesarz opróżnił szklankę. Jason poruszył się na krześle, na ile pozwalały mu okowy.

- Ci ludzie przy stołach koło tronu to rozsadnicy?

- Teraz lepiej. Przypuszczenie zamiast „dlaczego”. To wszystko rozsadnicy. Poświęcili części ciała, żeby służyć w moim wywiadzie. Najważniejszych trzymam blisko siebie, żeby natychmiast otrzymywać ważne wieści. Jesteś Pozaświatowcem. Powiedz mi, dlaczego zjawiałeś się w tym świecie.

To pytanie wstrząsnęło Jasonem.

- Szczerze mówiąc, to był wypadek. Pracowałem w zoo, gdzie wpadłem do basenu hipopotama, który mnie połknął, a potem wyszedłem z drzewa nad rzeką.

Maldor wstał z krzesła i podszedł do Jasona, patrząc na niego z góry. - Osobliwe zrządzenie losu. Dlaczego zdecydowałeś się walczyć ze mną? Jason odniósł wrażenie, że Maldora bardzo ciekawi odpowiedź na to pytanie. - Przeczytałem księgę z czystej ciekawości. Wiedziałem, że jest zakazana, ale miałem nadzieję, że może zawiera informacje o tym, jak mogę wrócić do domu. W każdym razie przeczytałem ją, a potem spotkałem się z Galloranem, który wyjaśnił mi, że będę miał największą szansę przeżyć, jeśli zacznę szukać Słowa, jak powiedziała księga.

- Wierzę ci - powiedział Maldor. - Twoja opowieść pasuje do dowodów, a ja mam talent do wychwytywania kłamstwa. Ponieważ to pech sprawił, że stanąłeś przeciwko mnie, może okażę ci łaskę. Najpierw jednak powiedz mi, w jaki sposób zdobyłeś drugą sylabę. Wiem, że nawet się nie zbliżyłeś do Świątyni Mianamon.

Jason zastanowił się nad tym pytaniem. Kimp nie żył, więc nie ukrywał już cennego sekretu. Chyba że Maldor postanowi zemścić się na Galloranie za umieszczenie tatuażu. To było poważne naruszenie reguły gry i pewnie Ślepy Król miałby z tego powodu kłopoty.

- Nie mogę tego zdradzić, ale szczerze mówiąc, nikt nigdy więcej nie pozna drugiej sylaby w sposób, w jaki ja ją poznałem.

Maldor przyglądał mu się przez dłuższy czas.

- Znowu ci wierzę. I sporo mogę wywnioskować z twojej odpowiedzi. Galloran musiał złamać moje zasady. Później dowiem się więcej na ten temat.

Zaczął krążyć przed krzesłem.

- Co teraz?

Maldor przystanął i wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- Tylko ludzie w nieszczęsnym położeniu mogą siedzieć, kiedy ja stoję.

Jason patrzył w milczeniu.

- Mam słabość do Pozaświatowców - powiedział Maldor. - Oficjalnie zapraszam cię do służby u mnie. Tyle mogę ci zaoferować. Wyniosę cię ponad drobne sprzeczki, które niepokoją moje pomniejsze sługi. Udowodniłeś, że zasługujesz, by

żyć ponad takimi nonsensami. Posługując się sekretami, które przedłużają moje zdrowie i młodość, mogę wydłużyć twoje życie o wielokrotność jego normalnego trwania. Będziemy bezpośrednio współpracować, dopóki nie znajdę sposobu, by najlepiej wykorzystać twoje talenty. Będziesz musiał ciężko pracować, ale będziesz też cieszył się wieloma nagrodami. I zachowasz w znacznej mierze wolność. Zostaniesz natychmiast uwolniony, a ja wybaczę wszystkim twoim przyjaciołom wszelkie zbrodnie, jakie popełnili, współpracując z tobą.

Jason rozważał zaufanie, jakim obdarzył go Galloran. Pomyślał o Jasherze, który poświęcił życie, i Drake'u, który ryzykował swój ostatni żywot przy gongu. Wyobraził sobie Tarka i Rachel jadących desperacko, by uciec żołnierzom Maldora. Zobaczył Tristana rozrywanego przez sforę psów. Przypomnił sobie Norwala zranionego zatrutym nożem. Wyobraził sobie włóczęgę Asterę, jak ginie okaleczony przez harataczy. Myślał o aroganckich, mściwych ludziach, takich jak Copernum i Conrad, oraz o pozbawionym kręgosłupa Dolanie. Przypomnił sobie oszustwo Ferrina. A teraz człowiek, który nagradzał złych i karał dobrych, chciał, żeby Jason mu służył.

- Co się stanie, jeśli odmówię?

- Trafisz w ręce moich oprawców i zaczniesz się warunkowanie. Uwierz mi, nie jesteś nawet w stanie wyobrazić sobie ogromu cierpienia, jakie ci sprawią. Znają straszliwe metody obejmujące magię i trucizny, wraz z szerokim zakresem bardziej tradycyjnych sposobów dręczenia. Będziesz cierpieć latami w czasie tortur, które pozwolą czytać w twym umyśle i w końcu zdziesiątkują twoje własne poczucie tożsamości.

- Moja tożsamość ulegnie jeszcze gorszemu zdziesiątkowaniu, jeśli do ciebie dołączę.

- Dobrze powiedziane, chociaż zbędny nam ten sentymentalizm. Jesteś zdecydowany nie służyć mi nawet za cenę nieopisanych tortur?

Łatwo zachowywać się odważnie teraz, pomyślał Jason, zanim konsekwencje tej decyzji się urzeczywistnią. Czy ta prywatna chwila męstwa warta jest długich lat nieodgadnionych tortur? Jednakże, jak mógł złożyć przysięgę Maldorowi? Jak mógłby pozwolić, by rozsadnik zaszczerpił mu oczy lub uszy, przez co przez resztę

dni musiałby czynić zło?

Przypomniał sobie Gallorana, jak powiedział, że bycie bohaterem oznacza robienie tego co słuszne niezależnie od konsekwencji. Ta myśl przyprawiła go o dreszcz. Galloran znalazł się w tej samej sytuacji i dokonał właściwego wyboru. Jason czuł się mniej osamotniony. Maldor twierdził, że pośród jego oponentów nie ma bohaterów. Jednak Galloran przeczył temu stwierdzeniu. I Jason będzie kolejnym dowodem.

Odetchnął głęboko.

- Nie będę ci służył - powiedział. - Twój służy to oszuści i mordercy. Mówisz, że wśród twoich oponentów nie ma bohaterów, ale nie zgadzam się z tym. Jedyni bohaterowie, jakich tu spotkałem, to twoi wrogowie. Poza tym już udowodniłeś, że jesteś nadzwyczajnym kłamcą. Skąd mam wiedzieć, czy cokolwiek z tego, co mi teraz powiedziałaś, jest bliższe prawdy niż twoje fałszywe słowokłucz? Jak mogę spodziewać się czegoś dobrego, zawierając z tobą umowę? Tam, skąd pochodzę, mamy takie przysłowie, że to wstyd, dać się okłamać dwa razy tej samej osobie.

- My też mamy tu podobne powiedzenie. „Gdy dwa razy cudze kłamstwo kupujesz, sam się okłamujesz”.

- Rymuje się, będzie mi łatwiej zapamiętać.

- Z jakiej części Poza pochodzisz? Mówisz jak Amerykanin. Może z Kalifornii?

- Kolorado. Wiesz, jak dotrzeć do Poza?

- Wiem.

- Dlaczego nie odeślesz mnie po prostu do domu?

- Nie nagradzam wrogów, jeśli mi nie służą. - Maldor uśmiechnął się i wyjął małą fiolkę z kryształową zatyczką. - Podziwiam cię za to, że oparłeś się mojej propozycji. Moja estyma jednak nie gwarantuje ci litości, wręcz przeciwnie. Niemniej zyskałeś mój szacunek, tak jak Galloran. Wszyscy, którzy mi się przeciwstawiają, muszą zostać złamani. Mam nadzieję, że twoje przekonania będą dobrym towarzystwem, kiedy już zaczniesz warunkowanie. Adieu.

Maldor otworzył fiolkę i podsunął ją Jasonowi pod nos. Chłopak wstrzymał oddech, nie chcąc się zaciągnąć. Mimo to, opary unoszące się z maleńkiego otworu, przyprawiły go o zawrót głowy. Kiedy w końcu odetchnął, natychmiast stracił

przytomność.

Rozdział 24

Więzień

Jason obudził się na kamiennej posadzce w pustej celi, odziany tylko w cieniutkie szaty. Pojedyncze drzwi były tak grube, że kiedy zaczął walić w nie pięścią, brzmiało to, jakby uderzał w ścianę. Wysoko nad drzwiami światło latarni wpadało przez zakratowane okno. W jednej ścianie widniała tajemnicza okrągła dziura wielkości piłki baseballowej, mniej więcej na wysokości jego pasa. Poza tym, w celi znajdował się tylko mały bochenek ciemnego chleba, cuchnący otwór w podłodze koło kąta i płytkie zagłębienie w pobliżu drugiego kąta, gdzie zebrała się woda.

Jason zadygotał i roztarł nagie ramiona. Podniósł chleb. Miał wrażenie, że to kawał kamienia. Przegryzł się przez twardą skórkę do nieco miększego środka. Zaczął odrywać kawałki i wpychać je od ust. Każdy kawałek ze skórką wymagał długiego żucia.

Chleb był mdły i pozostawiał niemiły posmak, ale Jason jadł, aż nic nie zostało. Potem przykucnął przy kałuży. Pochylił się i powąchał płyn. Dotknął powierzchni językiem. W smaku woda wydawała się względnie czysta. Po ostrożnym łyku zaczął pić łapczywie.

Usiadł prosto i otarł usta. W zagłębieniu zostało dość wody, żeby wytrzymał kilka dni, nawet jeśli część wyparuje.

Przeszedł przez celę, żeby przyjrzeć się dziurze w ścianie. Nie padało tamtędy żadne światło. Widział, że otwór zakręca w górę. Nie był w stanie zmieścić w środku ręki.

Zastanawiał się, czy otwór pozwala strażnikom więziennym słyszeć, co robi.

Przyłożył do otworu usta.

- To ja poproszę cheeseburgera, frytki i dużą colę, ale proszę nie dawać za dużo lodu.

Nie padła żadna odpowiedź.

Możliwe, że to odpływ? A jeśli łączył się z toaletą na wyższym piętrze? Jason się cofnął.

Krokami zmierzył rozmiary celi. Był to prostokąt, szeroki na siedem kroków, długi na dziewięć. Sufit znajdował się wysoko, może z piętnaście stóp od podłogi. Zakratowane okno znajdowało się poza zasięgiem.

Po krótkim badaniu Jason zebrał okruszki chleba w dłoni, a potem siadł plecami do ściany i zaczął je pogryzać. Zastanawiał się, kiedy znowu dostanie jedzenie. Zastanawiał się, czy przyniosą mu wodę, czy też będzie musiał polegać na kałuży. Zastanawiał się, kiedy zaczną się tortury. A może po prostu pozwolą mu siedzieć i zamartwiać się całymi dniami?

Albo tygodniami. Albo latami. Czy dekadami.

* * *

Jason nie spał od jakichś trzech godzin, kiedy przez otwór wypełził wąż. Miał co najmniej pięć stóp długości i gładkie lazurowe ciało z ciemnofioletowymi wzorami.

Kiedy wąż wszedł do celi, Jason wstał chwiejnie. Siedział wcześniej pod ścianą naprzeciwko dziury. Wąż zwinął się na podłodze pod otworem.

Jason podszedł tak blisko, jak tylko śmiał. Z boków głowy węża widać było wybrzuszenia, sugerujące gruczoły jadowe. Wąska wstążeczka języka wysunęła się z pyska, badając powietrze. Jason cofnął się, zerkając w dół na nagie stopy i nogi.

Rozejrzał się po celi z nową intensywnością. Nie było tu żadnego przedmiotu, który mógłby wykorzystać jako broń, nawet kamienia. Chociaż kamienne ściany nie były idealnie gładkie, nie dałoby się po nich wspiąć - nie miały żadnego oparcia dla rąk.

Wąż rozwinął się i popęzł leniwie w stronę Jasona. Chłopiec się cofnął. Nagle wąż rzucił się ku niemu z niepokojącą szybkością. Jason musiał obieć celę szerokim łukiem, żeby trzymać się z dala od węża. Przebiegł przez kałużę.

Stanął i obserwował zwierzę z ciałem tak napiętym, jakby zaraz miał rzucić się do bazy. Wąż uniósł łeb, a jego płaskie, czarne oczy pozostały bez wyrazu, kiedy

badał powietrze językiem.

Bez żadnego ostrzeżenia znowu rzucił się na Jasona. Wyglądało na to, że próbuje zagonić go do kąta, ale Jason uskakiwał, nie dając się złapać w pułapkę.

Zajął strategiczne miejsce, ustawiając się tak, żeby kałuża oddzielała go od węża, ale gad po prostu rzucił się przez wodę.

W końcu wąż znowu się zatrzymał.

To była naprawdę diabelska tortura. Jason mógł unikać węża przez dłuższy czas, ale jeśli ktoś nie zainterweniuje, gad w końcu go ukąsi. Jason nie mógł wiecznie nie spać.

- Moja jedyna nadzieja to zabić cię - powiedział do węża.

Gad zwinął się i schował łeb w zwojach ciała.

- Zerkasz na mnie? - zapytał Jason, przykucając.

Wąż się nie poruszył.

- Naprawdę rzuciłeś się na mnie. Nie miałem pojęcia, że węże są takie agresywne. Trenowali cię do polowania na ludzi?

Wąż nie raczył odpowiedzieć.

Jason podrapał się nad uchem. Jak miał zabić jadowitego węża, będąc półnagi i nie mając żadnej broni? Żałował, że nie zachował chleba. Ta twarda skórka mogłaby wystarczyć, żeby narobić szkód. Oczywiście, strażnicy pewnie najpierw sprawdzili, czy zjadł chleb, zanim wpuścili tu węża.

A co z tym cieniutkim ubraniem, które nosił? Gdyby owinął materiałem rękę, zyskałby dodatkową ochronę. Z drugiej strony miło było mieć dodatkową ochronę w tym miejscu, w którym właśnie się znajdowała.

Jason podejrzewał, że gdyby udało mu się złapać węża tuż za głowę, mógłby zmiażdżyć go o ścianę albo podłogę. Albo, gdyby złapał go za ogon i kręcił nim naprawdę szybko, może zdołałby walnąć nim o podłogę tak, by go zabić.

Wydawało się, że teraz nadszedł dobry moment, by spróbować. Wąż nie poruszył się, odkąd się zwinął.

Jason nie widział łba, ale ogon miał na widoku. Gdyby tak złapał za ogon i zaczął szybko kręcić wężem... Niestety, gad mógłby okazać się wystarczająco silny, żeby się wygiąć i ukąsić, niezależnie od tego, jak mocno Jason by nim kręcił.

Wstrzymując oddech, Jason podkradł się z wyciągniętą ręką. Już mu niewiele brakowało, kiedy wąż nagle zaatakował - jego łeb był jak rozmazana smuga. Jason szarpnął rękę do tyłu i odskoczył z krzykiem.

Wąż zaatakował zbyt szybko i nie trafił.

Cofnął się i po raz pierwszy rozłożył kaptur. To była jakiegoś rodzaju kobra.

Nie rozwinęła się do końca, ale łeb unosił się coraz wyżej, kołysząc się delikatnie.

Jason cofnął się na drugi koniec celi.

Wąż zaatakował, trzymając łeb wysoko z rozłożonym kapturem. Przez kaptur wydawał się straszniejszy. Jason znowu biegał w kółko i w kółko, aż wąż przestał go ścigać i ponownie się zwinął.

Jason stał, dysząc i gapiąc się na wijące się pętle błękitu i fioletu. Nie było mowy, żeby złapał kobrę szybciej, niż ona zaatakuje. Zastanawiał się, czy nie podejść i nie dać się ukąsić. W końcu i tak do tego dojdzie. Chyba że to była jakaś próba. Może, jeśli wytrzyma dostatecznie długo, strażnicy przyjdą zabrać węża?

Minęło wiele godzin. Co pewien czas wąż rzucał się do ataku, ale nigdy już nie atakował tak długo, jak na początku.

Jasona przerażała senność, która go ogarniała. Spoliczkował się. Spryskał twarz wodą. Splunął wodą na węża, który zasyczał głośno w odpowiedzi, po raz pierwszy odsłaniając smukłe, wygięte zęby.

- Ładne ząbki - powiedział Jason. - Puste w środku, co? Jak dwie strzykawki do wpuszczania jadu. Och, wiem co nieco na temat węży, stary. Tylko dlatego, że mnie zabijesz, nie udawaj, że cię nie rozszyfrowałem.

Mijał czas, a Jason łapał się na tym, że zaczyna przysypiać na stojąco. Głowa mu opadała, a wtedy podrywał ją, mrugając gwałtownie. Wreszcie obudził się, kiedy już się przewracał, ale zdołał złapać równowagę. Wąż zaatakował, a Jason ledwie zdążył odskoczyć.

Fakt, że tak niewiele brakowało, pomógł mu otrzeźwieć.

Niestety, nie trwało to długo. Ponownie ogarnęła go senność. Chciał tylko się zdrzemnąć. Wąż się nie ruszał. Jason pomyślał, że może uda mu się na chwilę przymknąć oko.

Nie! Uderzył się w policzek, a potem zaczął się bić w nagą pierś i nogi. Kiedy tylko przestał, powieki mu opadły.

Kiedyś na rodzinnej wycieczce przeżył coś podobnego. Postanowili jechać mimo późniejszej godziny i dochodziła prawie czwarta nad ranem, kiedy jechali autostradą za Mesquite w Newadzie. Jason siedział na przednim siedzeniu obok taty. Mama i brat spali. Jego zadaniem było nie zasnąć i pilnować taty. Łapał się na tym, że przysypia, i szczypał się, żeby nie zasnąć. Wiele razy upominał się w myślach, że jeśli zaśnie, mogą się zabić, i wydawało się, że to wystarczająca motywacja, żeby się nie zdrzemnąć.

Jednakże w głębi duszy zdawał sobie sprawę, że jest tylko siatką zabezpieczającą. Za każdym razem, gdy zerkał, tata sprawiał wrażenie zupełnie przytomnego. Jason oparł głowę o okno. Następną rzecz, jaką pamiętał, to chwila przebudzenia, kiedy samochód jechał poboczem, podrywając wysoki kłęb pyłu. Tata gwałtownie skręcił na jezdnię, ale przesadził i z piskiem opon przejechali niemal na przeciwległe pobocze. Mogli się zabić. Tata wziął na siebie całą winę, ale Jason miał straszliwe wyrzuty sumienia.

I teraz to znowu się działo. Tylko że tym razem nie pełnił roli siatki zabezpieczającej i nie było widać żadnego końca jazdy.

- Pomocy! - krzyknął Jason. - Chciałbym was poinformować, że nie mogę wiecznie nie spać! Mówię to tak na wszelki wypadek!

Nie usłyszał odpowiedzi.

Westchnął ciężko i usiadł naprzeciwko węża plecami do ściany. Po chwili wąż rzucił się ku niemu. Jason z trudem wstał. Wąż długo go ścigał. Wreszcie się poddał.

Jason znowu usiadł. Może mógłby nauczyć węża, że nawet kiedy siedzi, nigdy nie da się złapać. Może wtedy gad dałby mu spokój, gdyby Jason w końcu poddał się senności.

Kiedy za drugim razem usiadł, wąż pozostał zwinięty. Jason patrzył na niego spięty, gotowy zerwać się na równe nogi. Po dłuższym czasie wąż zaatakował. Jason zerwał się i odskoczył. Wąż go prawie nie gonił.

Jason znowu usiadł pod ścianą. Czuł, że się osuwa. Zamknął na chwilę oczy. I obudził się, kiedy wąż go ukąsił. Jason wrzasnął i się przeturlał. Z trudem wstał, a

wąż ukąsił go w łydkę.

Zdezorientowany Jason obejrzał dwie plamki krwi nad nadgarstkiem. Planował w duchu, że kiedy już wąż go ukosi, on bez lęku udusi gada w ramach swoistej zemsty. Teraz miał to w nosie. Uparty wąż ukąsił go znowu w nogę, ale Jason już odpływał. Zaczął się osuwać, wyciągnął rękę, żeby się czegoś złapać, ale padł na kamienną podłogę. Czy drzwi się otwierały? Za późno, panowie! Jason stracił przytomność.

* * *

Odzyskał przytomność. Leżał przywiązany do stołu w oślepiająco jasnym pokoju. Stał nad nim stary mężczyzna o wąskiej, pomarszczonej twarzy.

- Nie żyję - wymamrotał Jason.

- Nie, daleko ci do tego - odparł spokojnie nieznajomy.

Jason szarpnął się słabo, badając siłę więzów.

- Słabo mi - powiedział.

- Z pewnością. Światło jest za jasne?

- Tak. - Jason zamrugał parę razy. - Mam wrażenie, że szybuję. Czy właśnie zacząłem szybować? Jak mogę szybować, skoro jestem przywiązany?

- Nie szybujesz. Teraz światło jest lepsze?

- Tak. Chociaż nadal jest jasne.

- Nie mogę bardziej zasłonić świecy, bo sam przestanę cokolwiek widzieć. Twoje oczy są w tej chwili nadzwyczaj wrażliwe. Zmruż powieki, jeśli musisz.

- Na pewno nie unoszę się w powietrzu?

- Na pewno.

- Lecimy w balonie na ciepłe powietrze?

- Nie. Pamiętasz, gdzie się znajdujesz?

- W lochach Felrook.

- I jak w związku z tym się czujesz?

Jason zmrużył oczy.

- W tej chwili nie najgorzej. Chyba powinienem bardziej się denerwować. Nie chciałem się tu znaleźć. A ta sztuczka z węzem była wredna.

- Ale już znalazłeś się w pułapce, więc czym się teraz martwić?

- Racja - zgodził się Jason. - Słusznie mówisz. To powinno być moje motto.
- Rozluźnij się. Jad ci pomoże. Muszę zadać ci kilka pytań.
- Co się ze mną dzieje? Czuję się... naprawdę dobrze, ale jednocześnie robi mi się jakby mdło.

- Ukąsił cię wąż rzadkiego gatunku, którego jad wywołuje odmienny stan świadomości. Działa szczególnie mocno na wyczerpaną ofiarę.

- Tak! - wykrzyknął Jason. - Pamiętam, że byłem śpiący, i słyszałem, jak wąż się zbliża, jak łuski trą o kamień, ale nie mogłem się obudzić. I wtedy mnie ukąsił. Byłem zbyt zmęczony.

- Twoja pamięć została wzmocniona. Musisz odpowiedzieć na kilka pytań.

- Kim jesteś?

- Możesz mówić mi Damak.

- Czytałem kiedyś książkę gościa imieniem Damak.

- Doprawdy?

- Tak. Subtelności manipulacji. „Manipulacja to dyskretne narzędzie o monumentalnej potędze. Umiejętne kreowanie cudzymi pragnieniami, by odpowiadały one potrzebom zainteresowanego można osiągnąć na poziomie indywidualnym, jak i na skalę światową. Niewątpliwie studia nad manipulacją wymagają dogłębnego zrozumienia samolubnych pobudek, które skłaniają ludzi do działania. Różnorakie pobudki działają najlepiej zależnie od natury umysłów, które pragniemy zdominować. Różnorodne bodźce wchodzą w grę, łącznie ze strachem, pragnieniem bogactwa, poważania lub władzy, żądzą, poczuciem obowiązku, posłuszeństwem, miłością, a nawet altruizmem. Posłużyć się można nieskończonymi kombinacjami, by zredukować najbardziej nieugiętą wolę do poziomu uległej zabawki. Wiedza, jak odkryć stosowną mieszankę bodźców dla...”.

- Przeczytałeś całą książkę? - przerwał mu Damak.

- Nie, ale mogę powtórzyć więcej. Pamiętam każde słowo.

- Ja też, mniej więcej. Sam to napisałem. Myślisz klarownie?

- Tak, myślę niezwykle klarownie. To dobre słowo. Pamiętam tak wiele rzeczy. Przypominam sobie kolory zwierzątek, które zwieszały się z karuzeli nad moją kołyską. Całkiem o nich zapomniałem... Były puszyste. Słoń w żółtą i niebieską

kratkę. Lew w czerwono-białą kratkę. W zieloną i...

- Dobra robota - powiedział Damak. - Bardzo to ciekawe. Na razie wystarczy o zwierzakach. Pamiętasz Gallorana?

- Jak mógłbym zapomnieć?

- Zdradził ci jakiegokolwiek plany?

Jason zacisnął usta.

- Żadnych własnych planów. Porozmawiał tylko ze mną w wieży. Pomógł mi wszystko zaplanować.

- Czy okazywał jakiegokolwiek pragnienie przeciwstawienia się Maldorowi?

- Powiedział, że jedynym prawdziwym celem w życiu, jaki mu jeszcze pozostał, jest doradzanie tym, którzy ośmielą się rzucić wyzwanie cesarzowi.

- W jaki sposób ci pomógł? - zapytał Damak.

- Dał mi sztylet i uczynił Lordem Caberton. Przedstawił mnie Rachel i dał jej kryształową kulę z orantium w środku. Wskazał mi drogę do jaskini, w której mieszka Jugard, ale nie potrafił sobie przypomnieć, w jaki sposób Jugard może mi pomóc. Powiedział, że bym posłużył się jego imieniem wśród tych, którzy przeciwstawiają się Maldorowi, bo to otworzy mi wiele drzwi. Powiedział, że bycie bohaterem oznacza robienie właściwych rzeczy niezależnie od konsekwencji.

- Powiedział ci o sylabach, które zapisał?

- Nie, dowiedziałem się o tym gdzie indziej. Nie pamiętał tego.

- Gdzie są zapisane te sylaby?

- Jedna jest wytatuowana na łopacie Kimpa. Zdobyłem ją w Harthenham. Brzmiała „rim”.

- Nie mów mi niczego konkretnego na temat Słowa - powiedział pośpiesznie Damak.

- To nie ma znaczenia, Słowo jest oszustwem.

Damak zatkał Jasonowi usta dłonią.

- Nie mów nic więcej na temat Słowa. - Spojrzał w bok badawczo. - Słyszałeś coś na temat Słowa?

- Z pewnością nie - rozległ się czyjś zdenerwowany głos.

Jason nie widział, kto mówi, ale słyszał skrzypienie pióra na pergaminie.

- Zatem niczego o tym nie zapisałeś - upewnił się Damak.

- Z pewnością nie.

Damak zabrał rękę. Jason patrzył wielkimi oczami.

- Nie denerwuj się - uspokoił go Damak. - Po prostu wolałbym nie znać żadnych szczegółów na temat brzmienia Słowa. Zapisano jeszcze jedną sylabę. Gdzie?

- W skarbcu mądrości w Trensicourt. Dziwne, tę sylabę też pamiętam.

- Ciekawe. Powiedz mi o Ferrinie. Czy jest lojalny wobec Maldora?

Jason ściągnął brwi.

- Powiedział, że nie kocha Maldora wielką miłością, i bardzo mi pomógł, zanim Rachel go zdemaskowała, ale to wszystko było częścią oszustwa. Wyjaśnił nam, że jest obserwatorem i że mógł nam pomóc wedle swojego uznania. Wierzę, że jest lojalny wobec Maldora. Ostatecznie zdradził nas i nie chciał zmienić nastawienia.

- Dobrze. Powiedz mi o dziewczynie, Rachel. Ona też jest Pozaświatowcem?

- Aha. Ze stanu Washington. Jest niewiarygodna. Znacząco, potrafi być trochę bezczelna i czasem zachowuje się, jakby zjadła wszystkie rozumy, ale jest naprawdę bystra i nie jest tak, że tylko gada i się przechwala. Żałuj, że nie widziałeś jej na Białym Jeziorze! Poznałaś ją kiedyś?

- Nie.

- Jest naprawdę fajna. Nigdy żadnej dziewczyny nie lubiłem tak jak jej. Naprawdę martwię się o nią. Żałuję, że nie mogę iść do niej i jej pomóc. Zabawne, nie potrafię o niczym pomyśleć, żeby nie powiedzieć tego na głos. Jakby moje usta powiązано bezpośrednio z mózgiem. Kiepsko dla prywatności, za to dobrze dla ciebie!

- Znałeś ją w Poza?

- Nie. Poznałem ją dopiero tutaj.

- Czy któreś z was zjawilo się tu celowo?

- Nie. Oboje przez przypadek.

- Ile sylab Słowa zna Rachel?

- Całość. Arimfexendrapuse.

Przerażony Damak poniewczasie zasłonił Jasonowi usta. Zerknął na niewidocznego skrybę.

- Słyszałeś coś?
- Mniej niż nic. To pewnie przez ten wiatr.
- Nie wymawiaj żadnych sylab Słowa - upierał się Damak, zabierając rękę.
- Przepraszam. Po prostu wyrwało mi się. Wcześniej nie mogłem go sobie przypomnieć, choćbym nie wiem jak się starał. Zabawne, a teraz nadal je pamiętam, nawet po ponownym wypowiedzeniu. Chyba ten węzowy jad naprawdę dobrze działa.

- Zmieńmy temat - zaproponował Damak. - Uciekłeś z Harthenham z przedstawicielem ludu Amar Kabał. Powiedz, jak się nazywa.

- Drake. Lubi niebezpieczne ciasta.
- Dlaczego do ciebie dołączył?
- Kto by jadł ciasta, które mogą go zabić? Dlaczego tak ryzykować?
- Skup się. Dlaczego dołączył?
- Powiedz „nie” ciastkom śmierci. Kolejne dobre motto. Zaczyna boleć mnie głowa.

- Dlaczego dołączył? - naciskał Damak.
- Trudno powiedzieć. Może dlatego, że amar mu się popsuł. Myślę, że chciał zginać honorową śmiercią. Szkoda, że nie widziałeś psów, które porąbał. - Jason zagwizdał cicho. - Biedne psiaki.

- A to chuchro, które uciekło z nasionem Jashera, nazywa się Tark i jest ocalałym członkiem Zawrotnej Dziewiątki.

- Zgadza się. Twoje oczy są bardzo blisko siebie. - Jason wyszczerzył zęby.
- Skup się.
- A jak ty możesz się skupić? Przecież prawie jesteś cyklopem.
- Zostań ze mną. Musimy omówić twoje lęki. Czego najbardziej się boisz?
- Że zabije mnie marionetka. Albo taka lalka brzuchomówcy.

Ktoś w pokoju się zaśmiał. Damak spojrzał w stronę chichoczącej osoby.

- Zapisujesz to?
- Tak, proszę pana - padła odpowiedź.
- Co jeszcze najbardziej cię przeraża? - zapytał Damak.
- Zamknięte przestrzenie. Wiesz, klaustrofobia. Nie każda zamknięta przestrzeń.

Niektóre są gorsze od innych. Słyszałem historię o pewnych więźniach wojennych, których upchnięto do takich skrzyń na długi czas. Nie zniósłbym tego. - Jason się wzdrygnął.

- Co jeszcze? Wymień coś.

- Przeraza mnie zmiżdżenie lub okaleczenie części ciała. Odkrycie, że nikt nie ma duszy. To, że ktoś mógłby zabić kogoś z moich przyjaciół lub rodziny. Że mógłbym się udusić. Doznać uszkodzenia mózgu. Przeraza mnie wysokość, jeśli nie mam zabezpieczenia. Gangrena. Skażenie radioaktywne. Olbrzymie kraby. Wydłubanie mi oczu. Zachorowanie na wściekliznę. Ból zęba i brak dentysty, a potem próba wyrwania sobie zęba i wyrwanie sobie przy tym połowy szczęki. Zachorowanie na raka. Wymiotowanie. Boję się, że pępek mógłby mi się rozwiązać. Przeraza mnie diabeł. Tortury. Haratacze. Leprekauny. Myśl, że mógłbym zapisać się na jakieś zajęcia, zapomnieć o tym i przypomnieć sobie dopiero w dniu końcowych egzaminów. Wypicie zepsutego mleka. Ból ucha. Przeraza mnie, że mógłbym się zapalić. Zgubić. Umrzeć. Dowiedzieć się, że...

Jason umilkł i zaczął się szarpać w więzach. Miał wrażenie, że ktoś odpalił mu w głowie sznurek petard. Oczy uciekły mu w głąb czaszki, a on szarpał się i dygotał, podczas gdy Damak go przytrzymywał.

- Czego jeszcze się boisz?

Jason otworzył usta, żeby coś powiedzieć, ale wyrwał mu się tylko cichy jęk. Spazmy się nasiliły.

- Jad słabnie - powiedział do kogoś Damak. Odkorkował fiolkę i pomachał nią Jasonowi pod nosem. Atak osłabł i Jason zapadł w pozbawiony marzeń sen.

* * *

Obudził się w czymś, co wyglądało jak cela, w której ukąsił go wąż. Mięśnie miał obolałe, jakby poprzedni dzień spędził, mozoląc się przy sztangach po raz pierwszy od miesięcy.

Usiadł i się rozejrzał. Obok niego leżał nowy mały bochenek ciemnego chleba.

Skubnął strupy po ukąszeniach węża na rękę i nogach. Pamiętał starszego mężczyznę zadającego mu pytania. Napisał książkę o manipulacji, którą Jason czytał w Skarbnicy Wiedzy. Jak się nazywał?

Nie mógł sobie przypomnieć.

Nie, mógł...

Damak.

Pamiętał, jak się dowiedział, że jad węża zmienia stan świadomości. Rozmowa ze starszym mężczyzną przypominała mglisty, przyjemny sen. Czyżby szybował? Może to nie wydarzyło się tak naprawdę. Może to wszystko działo się w jego głowie. Miał taką nadzieję. Wygadał się ze wszystkiego na temat Gallorana i powiedział o mnóstwie swoich lęków, ale nie przypominał sobie żadnych konkretów. Pamiętał wtedy Słowo, ale teraz nie potrafił sobie przypomnieć żadnej jego sylaby.

Podpełzł do kałuży, żeby się napić. Potem wziął chleb. Chociaż był bardzo głodny, prawie połowę bochenka wcisnął do ściany, żeby zatkać dziurę, a dopiero potem zjadł resztę.

Poczuł zmęczenie po jedzeniu i jak przez mgłę dotarło do niego, gdy osunął się na podłogę, że chleb musiał być zatruty.

* * *

Kiedy odzyskał świadomość, ledwie mógł się ruszyć. Wszystko było czarne i śmierdziało metalem. Znajdował się w żelaznym pojemniku dopasowanym do konturów jego ciała. Leżał na plecach. Mógł pomachać palcami i odrobinę się poruszyć, ale to był cały zakres swobody, jaka mu została.

Zamknął oczy i starał się oprzeć narastającej panice. Nienawidził ciasnych przestrzeni. Powiedział im o tym we śnie. Czyli to nie był sen. Spróbował rzucać się w pojemniku, ale jego ciało ledwie drgnęło. Czy to był sarkofag? Trumna? Pogrzebano go żywcem? Nie, mógł oddychać. W pobliżu nosa znajdowały się szczeliny.

Zaczął szybciej oddychać i się pocić. Krzyknął, a jego głos rozbrzmiał blisko, wyraźnie stłumiony.

Jason zamknął oczy i skupił się na powolnym i głębokim oddechu. Nikt go nie uwolni, więc musiał przywyknąć do warunków. Próbował z powrotem zasnąć, ale nie był w stanie.

Cisza go przytłaczała. Zaczął śpiewać piosenki. Piosenki z radia. Motywy z telewizji. Melodie z filmów.

Poruszał ciałem tyle, ile zdołał. Trudno było znieść zamknięcie w tak ciasnym miejscu. Jedyne dźwięki to był jego własny głos. Jedyne zapachy to zatęchłe żelazo i własny pot. Idealna ciemność sprawiała, że nie miał na co patrzeć.

Po długim czasie usłyszał, że drzwi się otwierają. Usłyszał kroki, otworzyła się klapka przy jego twarzy. Światło pochodni oślepiało, dopóki oczy mu się nie przyzwyczyły.

Miękka rurka otarła się o jego usta. Widział dłoń, która ją trzymała.

- Pij - rozległ się męski głos.

Jason zassał powietrze przez rurkę i po jakimś czasie zaczął przełykać wodę. Przestał i po chwili napił się jeszcze trochę. Nie zdawał sobie sprawy, jak bardzo chciało mu się pić. Woda miała wyjątkowo mdły smak, ale nie mógł się od niej oderwać.

Rurkę zabrano. Brudne palce nakarmiły go zimnymi kawałkami żylastego mięsa. Nie smakowało najlepiej. Było za słone i możliwe, że nawet surowe, ale Jason zajadał łapczywie. Palce podsunęły mu zatęchły chleb, a po nim przyszedł kolejny łyk z rurki. Potem klapka się zamknęła i Jason powrócił do ciemności.

- Ej! - zaprotestował Jason. - Muszę siku.

- No to rób.

- Utopię się.

- Wszystko wypłynie.

- Czekał, chciałem zapytać...

Usłyszał, że drzwi się zamykają.

* * *

Czas stał się przekleństwem Jasona. Był uwięziony i właściwie odcięty od wszelkich doznań zmysłowych. Próbował samemu zapewnić sobie towarzystwo. Recytował cytaty zapamiętane z filmów. Modlił się na głos. Śpiewał. Rozciągał mięśnie i wiercił się. Spał, ile się dało.

Czasem myślał o ludziach, których zostawił za sobą - rodzicach, bracie, siostrze, drużynie baseballowej, Matcie i Timie. Zastanawiał się, czy jego twarz pojawiła się na kartonach z mlekiem. Zastanawiał się, czy wspomniano o nim w wiadomościach. Do tej pory mógł się nawet pojawić nagrobek z jego imieniem na jakimś cmentarzu.

Niezależnie od tego, co sobie na jego temat wyobrażali, wątpił, żeby ktokolwiek zgadł, że leży zamknięty w sarkofagu w lochach złego czarnoksiężnika.

Pomyślał o swoich przygodach, zdumiewając się, w jaki sposób Maldor zdołał wymyślić i podtrzymać tak wyrafinowane oszustwo. Żałował, że nie może przesłać Galloranowi wiadomości, że Słowo to fikcja. Zastanawiał się, czy Tark i Rachel zdołali uciec i czy posadzili nasiono Jashera. Zastanawiał się, co porabia Drake.

Nikt go nie odwiedzał, nie licząc osoby, która przynosiła jedzenie i wodę. Po kilku słowach wypowiedzianych przy pierwszej wizycie, mężczyzna nie odezwał się więcej.

Jason nie wiedział, ile razy dziennie otrzymuje jedzenie. Tracił poczucie czasu. Myślał, że dostaje jeść dwa razy dziennie. Tyle że równie dobrze mogło to być pięć razy dziennie. Albo raz w tygodniu.

Kiedy drzwi otworzyły się po raz szósty, odkąd uwięziono go w żelaznej skrzyni, Jason drzemał. Obudził się, słysząc hałas.

- Muszę... ehm... zrobić coś więcej niż siku - jęknął.

Nie padła żadna odpowiedź.

- Nie mów mi, że to spłynie.

Rozległ się dźwięk, jakby ciało padło na podłogę.

- Halo? - zawołał Jason.

Otworzyła się klapka. Jason zmrużył oczy z powodu światła. Kiedy przywykł do niego, zobaczył zerkającą z góry znajomą twarz. Ferrin.

- Wyglądasz jak przeżarty robakami goma.

- Czym?

- Nie ma czasu na wyjaśnienia.

Rozdział 25

Portal w głębinie

- Ferrin? Co ty tu robisz? - Przyszedłem recytować swoje wiersze. Stanowisz doskonałą publiczność. Jason zaśmiał się ochryple. - Czyli przyszedłeś mnie torturować? - Założę się, że jesteś zachwycony tym miejscem. Możesz spać całymi dniami. - Rozsadnik mrugnął i zerknął w bok. - Słuchaj, musimy się śpieszyć. Otrzymałem nowe zadanie od Maldora. Ponieważ wyjeżdżam, pomyślałem, że mógłbym zabrać cię ze sobą.

- Ale jak...

- Słuchaj uważnie. Trochę powęszyłem. Podjąłem pewne ryzyko i musiałem wykorzystać parę długów wdzięczności, ale wiem, jak pomóc ci wrócić do Poza. Przejście znajduje się w jaskini niedaleko Felrook. Nie powinienem o nim wiedzieć, ale udało mi się je odkryć. Jeśli przysięgniesz, że wrócisz prosto do Poza, wykradnę cię z twierdzy.

- Ale dowiedziałem się pewnych bardzo...

- Nie, nie, nie. Nie ma miejsca na negocjacje. Pozwoliłem sobie już kiedyś na pomniejsze odstępstwa przeciwko Maldorowi.

No dobra, na poważne. Nigdy jednak nie zrobiłem niczego, co można by porównać do wykradnięcia więźnia z Felrook. Musisz mi dać słowo. Jeżeli cię wykradnę, wrócisz prosto do Poza. Tak czy nie?

- To jakaś sztuczka? - zapytał Jason. - Nie rozumiem, dlaczego to robisz.

- Zanim dowiedziałeś się, czym jestem, byliśmy przyjaciółmi. Żałuję tego, jak zakończyła się nasza znajomość. Robię to, żeby ci pokazać, jak szczerze sobie ciebie cenię. To żadna sztuczka. Utknąłeś. Wyciągnę cię i odeślę do domu. Bardziej wprost nie da się już tego ująć. Tak czy nie?

- Tak.

- Dobrze.

Jason usłyszał przesuwane zasuwki. Ferrin otworzył ciężkie wieko sarkofagu i pomógł mu wyjść.

Chłopcu ulżyło, gdy zorientował się, że stoi względnie pewnie na nogach. Wykręcił się, przeciągnął, roztarł ręce i nogi.

Ferrin przyklęknął obok leżącego na ziemi werbownika i zaczął go rozbierać.

- Co jest grane? - Zdejmij mu buty. Jason wziął się do roboty. Werbownik oddychał słabo. - Rozumiem, że włożę jego rzeczy. - Dobrze rozumiesz. Chyba jest mniej więcej twojego wzrostu. Wkrótce werbownik leżał rozebrany. - Ubieraj się - powiedział Ferrin. - Szybko. Podniósł nagiego strażnika, wrzucił go do skrzyni i zamknął wieko. - Ogłuszyłeś go? - zapytał Jason, wciągając spodnie. - Uspiełem. - Pokazał małą, kryształową fiolkę podobną do tej, którą Maldor podsunął Jasonowi pod nos. - Silnie działający roztwór. Musiałem być pewien, że przez jakiś czas się nie obudzi.

- Dzięki za pomoc.

- Próbowałem ci powiedzieć, że pozostanę twoim przyjacielem. Przekonałem cię?

- Wierzę ci teraz bardziej, niż byłem skłonny wierzyć godzinę temu. Skąd wiedziałeś, gdzie mnie szukać?

- Jestem szpiegiem. Zbieranie informacji to moja specjalność. Pomaga mi fakt, że zajmuję tu dość wysoką pozycję. Felrook to olbrzymia machina biurokratyczna. Pośpiesz się.

Pomógł Jasonowi przypasać miecz, włożyć zbroję i hełm we właściwy dla werbownika sposób.

- Trzymaj się blisko mnie. Bądź pewny siebie. Nie widać twojej twarzy zza zasłony hełmu. Nic nie mów, nawet zapytany. Jeśli mnie zapytają, kim jesteś, powiem: „Jego tu nie ma”. To będzie sugerowało, że towarzyszysz mi anonimowo w wyjątkowo tajnej misji. Co doskonale się sprawdzi, bo w Felrook tajemnice to prawdziwa plaga.

- Brzmi nieźle.

- Jedyne, co nas może zatrzymać, to spotkanie z Maldorem. Ale do tego nie dojdzie. - Ferrin miał na sobie czekoladowobrązową szatę. Nasunął kaptur na głowę.
- Musimy działać szybko. Kiedy Rumus się obudzi, będzie wymyślał i wygrażał, aż w końcu ktoś przyjdzie sprawdzić, o co mu chodzi. Do tego czasu musimy być już daleko stąd. Ty nieś pochodnię.

Jason wziął łuczywo. Ferrin posłużył się długim kluczem, żeby otworzyć drzwi.

Na zewnątrz czekał pulchny człowiek. Miał potargane czarne włosy i nos jak kartofel. Zjadał zylaste mięso z glinianej miski, ale kiedy otworzyły się drzwi, natychmiast przestał, ocierając zatłuszczoną rękę o tunikę. Pokornie skłonił głowę przed Ferrinem.

- Co tu robisz? - zapytał ostro rozsadnik.

- Czekam, żeby nakarmić więźnia, panie. Jason rozpoznał głos i brudne paluchy.

- Wygląda na to, że karmisz sam siebie. Mężczyzna wbił wzrok w ziemię i milczał zawstydzony. - Jeśli o mnie chodzi, możesz dojeść resztę - powiedział Ferrin. - Zakładam, że potrzebujesz dobrze się odżywiać, żeby utrzymać ten obwód w pasie. Podaliśmy więźniowi truciznę, żeby wyciągnąć kilka informacji. Nie obudzi się przez pewien czas.

- Dobrze, panie. - Mężczyzna nie podniósł wzroku.

Ferrin poprowadził Jasona korytarzem. Strażnicy otworzyli żelazne drzwi, a Ferrin podpisał się w rejestrze. Nikt nie zwracał specjalnej uwagi na Jasona.

Wspięli się długimi, kręconymi schodami, mijając inne żelazne drzwi. U szczytu Ferrin podpisał się w kolejnym rejestrze, po czym strażnicy otworzyli ciężkie drzwi.

Ferrin przeszedł obok nich bez słowa, a Jason deptał mu po piętach. Rozsadnik poprowadził go siecią przejść i przez kolejne strzeżone drzwi wychodzące na dziedziniec. Żołnierze salutowali Ferrinowi. On nie zwracał na nikogo uwagi.

Na dworze trwała noc i było pochmurno. Ukryty księżyc rozświetlał chmury w jednej części nieba. Lampy i kaganki płonęły na dziedzińcu i na ścianach. Bruk lśnił od wilgoci, ale akurat nie padało. Jason odetchnął głęboko świeżym, wilgotnym powietrzem. Nigdy w życiu nie cieszył się tak bardzo z tego, że wyszedł poza cztery ściany.

Szedł za Ferrinem przez dziedziniec w stronę ogromnej bramy. Podeszedł do nich

mężczyzna w długiej kolczudze.

- Kto idzie?

Ferrin zsunął kaptur.

- Ferrinie, nosisz strój podróżny - zauważył tamten; blizna przecinała mu górną wargę.

- Fatalna noc na podróż.

- Kim jest twój przyjaciel?

- Jego tu nie ma.

- Daj spokój. Kto to jest?

Mężczyzna zezował na Jasona, jakby próbował przebić wzrokiem zasłonę hełmu.

Ferrin rozejrzał się, nie patrząc na Jasona.

- Nikogo tu nie widzę.

- Jak sobie wolisz. Szczęśliwej drogi.

Ferrin poprowadził Jasona do wielkiej bramy i porozmawiał krótko ze strażnikiem, który wypuścił ich wąskimi bocznymi drzwiami. Zaczynało mżyć, kiedy schodzili serpentynami ścieżki. Zanim dotarli do podestu na dole i weszli na mały prom, deszcz przemoczył ich do suchej nitki.

Ferrin w szacie z kapturem stał, milcząc, obok Jasona w pożyczonej zbroi - jedyni pasażerowie na promie. Obaj patrzyli, jak krople deszczu burzą powierzchnię jeziora w świetle lampy, podczas gdy prom zbliżał się do brzegu. Jason zadrżał. Wilgoć sprawiała, że było mu jeszcze zimniej.

Prom dopłynął do brzegu i dwaj pasażerowie wysiedli. Przeszli nabrzeżem do niskiego budynku o pochyłym dachu. Jason poczekał pod okapem, a Ferrin wszedł do środka. Młody człowiek wybiegł z budynku i zniknął wśród deszczowej nocy.

Wrócił, prowadząc parę koni, a wtedy Ferrin wyszedł z budynku.

- Gotowy do jazdy? - zapytał rozsadnik.

Coś w jego intonacji ostrzegło Jasona, że powinien się postarać i sprawiać wrażenie doświadczonego jeźdźca.

Jason włożył stopę w strzemień i wskoczył na siodło. Długie dni jazdy konnej z Jasherem sprawiły, że o wiele swobodniej czuł się na końskim grzbiecie. Ferrin ich

poprowadził.

Kiedy podjechali, brama w murze chroniącym prom otworzyła się. Ferrin i Jason wyjechali - Jason, ściskając wierzchowca kolanami i próbując nie podskakiwać za bardzo w czasie szarpanego kłusa. Brama zamknęła się za nimi.

Jason zerknął w stronę gongu. Otaczało go czterech zwalistych strażników, dwóch pod dachem platformy, dwóch na schodach w kapturach chroniących przed ulewą.

Ferrin przyspieszył, więc Jason poszedł za jego przykładem. Kiedy zostawili za sobą prom, noc stała się nieprzenikniona. Tylko stłumiona poświata niewidocznego księżycyca dawała jakieś światło.

- Trzymaj się blisko mnie! - zawołał Ferrin. - Dobrze znam tę okolicę. Nawet przy dobrej pogodzie potrzebowalibyśmy kilku godzin, by dotrzeć na miejsce.

W końcu deszcz ustąpił. Jechali wąską drogą pod osłoną drzew. Woda kapiała ze zwieszających się liści, więc przez jakiś czas wydawało się, że nadal pada.

Grupa mężczyzn wyszła na ścieżkę, zagradzając im drogę, a jeden z nich rozświetlił noc, odsłaniając latarnię. Ferrin zatrzymał konia.

- Kto jedzie? - zapytał ten, który trzymał latarnię.

- Ferrin rozsadnik i werbownik incognito w ważnej sprawie.

Pokazał symbol.

Żołnierze zeszli ze ścieżki.

Po jakimś czasie Ferrin skręcił ze ścieżki. Konie z chlupotem kłusowały przez namoknięte pole, podczas gdy deszcz znowu zaczął padać wielkimi kroplami. Przedarli się przez mokre zarośla, żeby przejechać przez boczną grań, a potem ruszyli strumieniem, w którym przybyło wody z powodu opadów.

Ferrin zatrzymał konia i zsiadł z niego w pobliżu omszałych głazów nad niską skarpią. Jason zrobił to samo. Uwiązali konie, a Ferrin wziął zawiniątko z tyłu siodła i ruszył pierwszy przejściem między największym głazem i najbardziej stromą częścią urwiska w stronę ukrytego wejścia jaskini.

Przystanął tuż przy wejściu i zapalił małą lampkę oliwną. Trzymając ją w górze, poprowadził Jasona w głąb jaskini. Przez jakiś czas wspinali się, a potem musieli precyzyjnie się na brzuchach przez poziomą szparę i pełznąć do przodu jakieś

trzydzieści stóp. Później przejście znowu się rozszerzyło i prowadziło w dół, aż dotarli do przestronnej groty, w której wysokie stalaktyty zwieszały się nad spokojnym lustrem wody.

- Chodź zobaczyć - powiedział Ferrin, podchodząc do krawędzi jeziora.

Jason podszedł. Woda była wyjątkowo przezroczysta. Dzięki światłu lampki sięgał wzrokiem głęboko, ale nie dostrzegał dna.

- Głęboko tu - powiedział.

Ferrin pokiwał głową.

- To jest przejście. Musisz trzymać ciężki głaz, żebyś szybko zszedł na dno. Kiedy dotrzesz na pewną głębokość, przejdziesz do Poza. Portal działa tylko w jedną stronę. Nie wrócisz już.

Jason zanurzył palec w wodzie, wzbudzając koncentryczne fale na szklistej powierzchni.

- Jest lodowata.

- Przykro mi, ale to jedyny sposób, jaki znam, żeby cię odesłać. A musisz tam wrócić. Maldor nie spocznie, dopóki nie schwyta cię ponownie.

- Powiążą moją ucieczkę z tobą?

- Najpewniej. Zszedłem do lochów, posługując się jedną z moich fałszywych tożsamości, ale spodziewam się, że zostanę rozszyfrowany. Kiedy mnie odkryją, muszę być w stanie powiedzieć, że uratowałem cię, żeby z litości cię zabić i oszczędzić ci tortur. Będę twierdził, że wrzuciłem twoje ciało do jamy z nieczystościami. Kiedy to powiem, muszę mieć pewność, że kłamstwo nigdy nie zostanie wykryte.

Jason zerknął na głęboką wodę.

- To nie to, na co wygląda, prawda? Nie próbujesz podstępem nakłonić mnie do samobójstwa?

- Nie - odpowiedział z powagą Ferrin. - Wiem, że to wymaga zaufania, ponieważ będziesz musiał zatonać tak głęboko, że powrotu już nie będzie. Ale to naprawdę przejście do Poza. Jedno z ostatnich wiarygodnych przejść z naszego świata do twojego. Pilnie strzeżony sekret. Gdyby Maldor dowiedział się, że jestem świadom jego istnienia, pewnie by mnie zabił. Skocz, trzymając ciężki kamień. Nie

wypłyniesz na powierzchnię, ale też nie umrzesz.

Jason zacisnął pięści.

- Dowiedziałem się czegoś bardzo ważnego o Maldorze.

- Czego? - zapytał Ferrin, nie kryjąc chęci poznania nowego sekretu.

- Słowo to oszustwo.

Ferrin patrzył zdumiony.

- Co masz na myśli?

- Wymyślił Słowo-Klucz jako przynętę dla wrogów. Słowo, które poznaliśmy, jest prawdziwe, ale ma moc zabicia innego czarnoksiężnika, nie Maldora.

Ferrin zamknął oczy i odchylił głowę. Potarł czoło. Kiedy się odezwał, robił wrażenie, jakby myślał na głos.

- To rzeczywiście ma sens, chociaż ta możliwość nigdy nie przysłała mi do głowy. Już samo istnienie Słowa jest gorliwie chronionym sekretem. Niewielu z tych, którzy służą Maldorowi, słyszało choćby plotki na ten temat. Zawsze myślałem, że Maldor flirtuje ze zgubą, nie próbując ze wszystkich sił usunąć tych, którzy strzegą sylab. Zakładałem, że musi ich chronić jakaś nieznana magia. Teraz to nabiera sensu.

Ferrin otworzył oczy.

- Jak odkryłeś ten sekret?

W jego głosie wyczuwało się niecierpliwość.

- Zdobyłem całe Słowo. Nie zadziałało, a Maldor wyjaśnił mi później, że to oszustwo, kiedy próbował mnie namówić, żebym do niego dołączył.

- Zdobyłeś całe Słowo?! - wykrzyknął Ferrin wstrząśnięty i pełen podziwu. - Doskonała robota! Słyszałem, że wykrzyknąłeś coś dziwnego, kiedy przyprowadzono cię przed oblicze cesarza. Zakładałem, że zaryzykowałaś z tymi sylabami, które zebrałaś. Więc skompletowałaś Słowo, a ono zawiodło. A potem nie zgodziłaś się dołączyć do Maldora, chociaż w przeciwnym wypadku czekały cię niekończące się tortury?

Jason pokiwał głową.

Ferrin rzucił z pluskiem kamień.

- To się nazywa prawość - mruknął i spojrzał na Jasona. - Wpakowałem się w o

wiele większe kłopoty niż myślałem.

- Dlaczego? - Masz informację, która może zniszczyć jedną z najbardziej złożonych i tajemnych intryg Maldora. Przez pomyłkę wziąłem cię za więźnia, który nie zdołał zdobyć Słowa. To wszystko zmienia. Jeśli Maldor nabierze podejrzeń, że wiem to, co mi właśnie powiedziałaś, jestem skończony. - Ferrin potarł gardło. - Co więcej, jeśli się dowie, że pomogłem ci w ucieczce, wiedząc to, co ty wiesz, to też jestem skończony.

- Więc dołącz do mnie. Przejdź na moją stronę. Możemy razem uciec, przekazać tę informację Galloranowi. Musimy powstrzymać wszystkich, żeby nie tracili energii w tej gonitwie za niczym.

- Nie, nie, nie. - Ferrin pogroził mu palcem. - Dotrzymaj swojej obietnicy. Ty wracasz do domu. Moja najnowsza misja sprawi, że przez jakiś czas będę daleko stąd. Będę pilnie nasłuchiwał. Może nie zostanę w to wplątany. W przeciwnym wypadku będę musiał zniknąć.

- Oni to wszystko powiążą.

Ferrin uniósł brew.

- Nie mogę się z tobą spierać. Widziano mnie, jak opuszczałem cytadelę z nieznanym werbownikiem w podobnym czasie, w którym uciekłeś. Już raz posłużyłem się tożsamością, jaką wykorzystałem, podpisując rejestr. Pilnowałem, żeby mieć zakrytą twarz w lochach, ale to nie wystarczy. Nie, kiedy Maldor naprawdę czegoś szuka.

- Czy ten werbownik cię znał? - zapytał Jason. - Ten, którego zostawiłeś na moim miejscu w sarkofagu?

- Nie. Dlatego właśnie się nim posłużyłem. Myślał, że idzie obserwować, podczas gdy ja będę wyciągał z ciebie informacje. Pilnowałem, żeby mieć zasłoniętą twarz, i podałem mu to samo imię, które wpisałem do rejestru. Jednak nadal wie dość, żeby powiązać mnie ze sprawą, kiedy zaczną składać wszystkie kawałki układanki.

- Nie ratowałbyś mnie, gdybyś znał całą historię.

Ferrin westchnął.

- Pewnie nie. Zaniedbałem dokładne zbadanie wszystkich szczegółów. Po prostu nie przyszło mi na myśl, że skompletowałaś Słowo. Tym bardziej muszę być w

stanie stwierdzić, że cię zabiłem, żeby Maldor mógł uwierzyć, że sekret przepadł razem z tobą. Będę się zachowywał, jakbyś mi nic nie powiedział. Ukrywałem już sekrety przed Maldorem. Nic aż tak kluczowego, ale może mi się uda. Nie martw się o mnie. Tak czy inaczej zadbam o siebie. Ty musisz tylko wrócić do domu. Nie tego chcesz najbardziej?

Jason zagryzł wargę. Wyobraził sobie, jak ulży przyjaciółom i rodzinie, kiedy go zobaczą. Pomyślał o kilku udogodnieniach nowoczesnego życia, które do tej pory uważał za naturalne - sklepy spożywcze, lodówki, gorące prysznice, klimatyzacja, toalety.

- Tak było, ale ta informacja jest kluczowa. Wszyscy, którzy gonią za Słowem, tracą czas. No i porzucam Rachel. Maldor to zły człowiek, który nagradza złych ludzi. Naprawdę szczerze byś żałował, gdyby ktoś go pokonał?

- Nie, zakładając, że ktoś gorszy nie zająłby jego miejsca. Tyle że on nie upadnie. Słowo było jego jedyną słabością i okazało się, że nie jest prawdziwe. Sprawa nie podlega dyskusji. Jeśli Maldor dowie się, że cię uwolniłem, obaj będziemy martwi szybciej, niż potrafisz to sobie wyobrazić. Musisz opuścić ten świat. Chronię nas obu. Powinniśmy się pośpieszyć i znaleźć odpowiedni kamień.

Jason się zawahał.

- No dobrze.

Zaczęli szukać w okolicy sadzawki, rozglądając się za kamieniem, który nada się jako obciążnik. Jason próbował podnieść wielki i okrągły głaz, ale był za ciężki. Kiedy odwrócił się i spojrzał na Ferrina, tamten właśnie podnosił kamień przy brzegu, stojąc plecami do Jasona.

- Ten się nada? - spytał go Jason.

- Jest niezły. Przyniosłem ci zmianę...

Jason pchnął Ferrina w plecy i wrzucił do wody, a sam popędził ku wyjściu z jaskini. Padł na brzuch i zaczął pełznąć przez niską szparę, nie zważając, że się podrapie i poobija. Kiedy wyszedł po drugiej stronie, Ferrin właśnie wchodził do szczeliny, trzymając lampę.

- Czeka! - wołał. - Zatrzymaj się, to i ja się zatrzymam!

Jason się zawahał, zerkając przez niską szczelinę na przemoczonego rozsadnika

trzydzieści stóp dalej.

- Co ty wyprawiasz? - zapytał spokojnie Ferrin.

- Mam przyjaciół, którzy potrzebują informacji, jaką posiadam. Nie mogę tak po prostu porzucić Rachel. Będzie myślała, że zawiodłem, i spróbuje posłużyć się Słowem. Skończy w lochach.

- Przysiągłeś, że wrócisz do Poza, jeśli cię uwolnię.

- Niech się zastanowię, czy kiedykolwiek mnie okłamałeś? Myślę, że wyrównaliśmy rachunki.

- Dogonię cię, zanim dotrzesz do koni.

- Nie, nie dogonisz.

- Jeśli mi się nie uda, złapie cię patrol. Albo zostaniesz aresztowany, kiedy odkryją, że zniknąłeś i zaczną się obława. Wylądujesz z powrotem w lochach.

- Możliwe. Ty być może też. Sfrustrowany Ferrin pokręcił głową. - Tym razem Maldor może wysłać za tobą nawet tonvora. Słyszałeś o nich? Są powszechnie znani jako czatownicy.

- Zetknąłem się z tą nazwą.

- Ale nie chcesz żadnego spotkania. Wierz mi. Po prostu wracaj do domu. To może być twoja jedyna szansa. Nie przegap jej. Pewnie przypłacę życiem uratowanie ciebie. Nie chcesz wrócić do domu?

- Naprawdę chcę, uwierz mi. Ale bardziej chcę pomóc przyjaciołom. Zbyt wielu dobrych ludzi zmarnowało życie, goniąc za kłamstwem. Teraz już znam drogę do domu. Mogę później się nią posłużyć.

- Będziesz martwy przed wschodem słońca.

- Już to słyszałem.

Ferrin westchnął.

- Dobrze, wygrałeś. Skoro tak uparcie chcesz tu pozostać, pozwól, że z tobą pójdę. Mogę cię zaprowadzić w bezpieczne miejsce.

- Przykro mi, ale nie mogę ci zaufać. Gdy dwa razy cudze kłamstwo kupujesz, sam się okłamujesz. Nie uwierzyłybyś, kto mnie tego nauczył. Jeżeli naprawdę chcesz mi pomóc, dołącz do mnie później, kiedy będę mógł uwierzyć w twoją szczerość. Z radością powitam cię po mojej stronie.

- Złapię cię - obiecał Ferrin z powagą w głosie.

- Nie goń mnie - odparł Jason, podnosząc kamień. - Masz pojęcie, jak bardzo mogę cię pokiereszować, kiedy będziesz się tamtędy przeciskał? Zapytaj księcia Conrada.

Ferrin zatrzymał się i ściągnął brwi. A potem zgasił lampkę. Jason nic nie widział. Słyszał, że rozsadnik przeciska się, więc na oślep rzucił kamieniem w szczelinę. Potem odwrócił się i pośpieszył do wyjścia z jaskini z rękami wyciągniętymi przed sobą. Kilka razy się potknął. Trzy razy przewrócił się w pełnym pędzie, żeby zaraz się zerwać i pobiec dalej po omacku.

Słyszał, jak Ferrin biegnie za nim na oślep, powoli go doganiając.

Jason wypadł z jaskini w dzikim pędzie. Z nieba lały się już potoki wody. Prawie nic nie widział. Biegając przez kałuże i ślizgając się w błocie, pędził między głazami do miejsca, gdzie uwiązali konie.

Ciało uderzyło w niego od tyłu, przewracając go w błoto. Jason próbował się wyrwać. Zerwano mu hełm, a kiedy Jason starał się wstać, mocny cios w potylicę powalił go, pozbawiając przytomności.

* * *

Rachel czekała pod skalistym występem, zastanawiając się, czy Tark wróci. Błyskawica zapłonęła na niebie i na chwilę jodły rozbłysły jej przed oczami. Grzmot rozbrzmiał głośno i blisko.

Pogładziła końską szyję. To nie był ten sam wierzchowiec, na którym jechała, uciekając spod Harthenham, ani nie ten, którego używała potem. Podróżowała pieszo, wozem, łodzią i na kilku różnych koniach, odkąd z Tarkiem zafundowali prześladowcom epicką pogoń. Raz za razem, kiedy już myśleli, że wreszcie się wymknęli, ruszał za nimi nowy patrol.

Drząc, Rachel owinęła się szczelniej płaszczem. Zastanawiała się, czy Jason nadal żyje. Czy posłużył się Słowem. Czy Maldor mógł już nie istnieć? Skąd by się o tym dowiedzieli?

Błyskawica znowu zapłonęła, rzucając na chwilę ostre światło na krajobraz. Gdzie był Tark? Czyżby go złapali? Nie, na pewno wróci. Zawsze wracał.

Deszcz znowu zaczął walić z całej siły. Rachel cierpliwie czekała. Wreszcie

wychwyciła odgłos zbliżającego się konia. A może raczej koni? Zesztywniała, kiedy ujrzała nadjeżdżające dwa konie. Na jednym siedział Tark. Na drugim ktoś wyższy.

- Rachel?! - zawołał Tark.

- Jestem - odpowiedziała. - Kto jest z tobą?

- Drake nas znalazł.

Dwaj mężczyźni dołączyli do Rachel pod występem. Błyskawica zapłonęła. Rzeczywiście, drugim jeźdźcem był Drake.

- Jak nas znalazłeś? - zapytała Rachel.

- Jechałem bez wytchnienia. To żadna filozofia śledzić patrole, które was ścigają. Robicie sporo zamieszania, gdziekolwiek się pojawicie.

- Co z Jasonem? - spytała.

- Kiedy go zostawiłem, wkraczał do Felrook na audiencję u Maldora. Nadstawiałem uszu, ale od tamtej chwili nie nadeszły żadne wieści. Może nie udzielono mu posłuchania. Gdyby Maldor zginął, już byśmy wiedzieli.

Rachel pochyliła głowę. Miała nadzieję, że jeśli wytrzymają z Tarkiem do czasu, kiedy Jason zniszczy Maldora, wszystko się zmieni. A co teraz? Czy cesarz zabił Jasona? Nie, nie mogła pogodzić się z tą ewentualnością. Zamknęli Gallorana... to zamkną i Jasona. Może nie będzie mu wygodnie, ale pewnie przeżyje. A jeśli został uwięziony, w końcu znajdą sposób, żeby go uratować. Wierzyła w to.

- Drake zorientował się, dlaczego nie możemy wyrwać się pościgowi - powiedział Tark.

- Czatownik pomaga naszym wrogom - wyjaśnił Drake. - Maldor rzadko kiedy wysyła tonvora. Mamy niewielkie szanse uciec, ale spróbuję wam pomóc.

- Co to jest tonvor? - zapytała Rachel.

- Wolę nie mówić - odpowiedział Drake. - Potrafią wyczuć myśli. Im mniej wiesz na ich temat, tym lepiej.

Rachel zagryzła usta.

- Co zrobimy? - zapytała.

- Mam odpowiedzieć krótko? - powiedział Drake. - To, co robiliście do tej pory. Pozostawać w ciągłym ruchu. Jeśli się zatrzymacie, złapią was. Może nadejść czas, kiedy trzeba będzie się rozdzielić. W tej chwili musimy ruszać.

- Są niedaleko za nami - powiedział Tark.

Starając się ignorować zmęczenie, Rachel ruszyła za Tarkiem i Drake'em w deszcz. Zapłonęła błyskawica. Zadudnił grzmot. Jej koń przemykał między na wpół widocznymi drzewami w dół stoku. Prawie zapomniała, co to znaczy nie uciekać bezustannie. Zastanawiała się, czy kiedykolwiek jeszcze poczuje się bezpieczna.

* * *

Kiedy Jason się obudził, zerknął spod zmrużonych powiek. Znowu znajdował się obok jeziora w jaskini. Leżał na boku koło krawędzi wody. Głowa go bolała.

- Witaj z powrotem - powiedział Ferrin.

- Zamierzałem udawać, że śpię - zachnął się Jason.

- Zmienił się twój oddech. Przykro mi, że przyłożyłem ci w głowę.

- Mam nadzieję, bo naprawdę mi pęka. Masz pojęcie, ile razy ostatnio zostałem uśpiony albo ogłuszony? Założę się, że straciłem miliony neuronów.

- Nie miałem wyjścia. Musisz wrócić do Poza. Czekałem tylko, żebyś się obudził i mógł wstrzymać oddech w czasie drogi w dół.

Siadając, Jason zobaczył, że do nóg przywiązano mu worek, wiążąc skomplikowane węzły. Miał na sobie prostą koszulę i spodnie z diagonalu.

- Niezły węzeł.

- Nie ma szansy, żebyś się odwiązał, zanim zatoniesz na tyle, by trafić do Poza.

- Zabrałeś mi cały sprzęt werbownika.

- Lepiej, żebyś się zjawił w Poza, wyglądając nijako. - W tym ciuchach będę wyglądał jak kloszard. Ferrin wzruszył ramionami. - To najlepsze, co mogłem ci zapewnić. - Jeśli jesteś przyjacielem Rachel, powiedz jej, że Słowo to oszustwo. - Chciałbym, ale wtedy zabiłbym nas oboje. Weź głęboki wdech. Żegnaj. Ferrin wrzucił worek z kamieniami do wody i popchnął Jasona, kiedy ten spróbował wstać. Chłopak złapał rozsadnika za rękę i obaj wpadli do wody, tonąc gwałtownie.

Woda była przeraźliwie zimna. Ferrin znajdował się wyżej, holowany w głąb głową naprzód. Rzucił się, ale Jason trzymał go mocno. Ferrin szarpał się i wrywał, ale nie mógł wyzwolić się z uścisku obu rąk Jasona. Przyciągnął chłopca blisko i próbował odepchnąć się nogami, ale Jason wyginał się, nie dając rozsadnikowi punktu oparcia. A worek z kamieniami ciągnął ich cały czas w dół. Ferrin nagle

związczał. Jason nadal ścisnął jego rękę. Spojrzał w górę i zobaczył światełko lampy tańczące na powierzchni wody.

Ferrin szarpnął się po raz ostatni i nagle Jason ścisnął już tylko jego rękę. Ponad sobą zobaczył płynącą w górę sylwetkę na tle oświetlonej powierzchni.

Jason nadal mocno trzymał rękę. Próbowano się wyrwać, ale bez skutku.

Tonął. Płuca zaczynały mu się zaciskać, walcząc o tlen. Woda była taka zimna. Jak mogła być taka lodowata i nie zamarznąć?

Niedługo zapadła całkowita ciemność. Już nie było widać oświetlonej powierzchni. Może po tym wszystkim, co wycierpiał, przyjdzie mu po prostu utonąć.

Nagle coś się zmieniło. Chociaż nadal poruszał się w tym samym kierunku, miał wrażenie, że się unosi, a nie spada. Czy to iluzja spowodowana dezorientacją? Przyspieszał. Woda wydawała się coraz cieplejsza i coraz gęstsza. Worek z kamieniami już go nie ciągnął. Płuca mu płonęły, ale Jason walczył z pokusą złapania oddechu.

Nagle uderzył w plastyczną powierzchnię z wielką siłą. Wyczuł zapach ziemi i światło słoneczne, chociaż miał zamknięte oczy.

Otworzył je i zobaczył, że leży na plecach na polu kukurydzy, przemoczony i pokryty błotem. Nie potrafił się zorientować, czy spadł na pole, czy przebił się przez ziemię, chociaż miał wrażenie, że to drugie. Jego przybycie poruszyło spore grudy ziemi i parę wysokich łodyg kukurydzy leżało wyrwanych z korzeniami.

Usiadł, wstrząśnięty, ale cały, jeśli nie liczyć obolałej głowy.

Gdziekolwiek spojrzał, widział tylko kukurydzę.

Wstał i się rozejrzał. Niekończące się rzędy kukurydzy kołysały się na delikatnym wietrzyku pod słońcem w samo południe. Gdzie się znajdował?

- Lepiej, żeby to było pole kukurydzy na Ziemi - mruknął, próbując otrzepać ziemię z ubrania, ale udało mu się tylko rozmazać ją na sobie.

Nadal trzymał rękę Ferrina. Odłożył ją i przyjrzał się sobie. Miał na sobie tylko koszulę i spodnie. Były bardzo proste, a zabłocone wyglądały o wiele gorzej. Nie miał butów. Miał nadzieję, że nie przyjdzie mu iść daleko.

Ręka zaczęła pełznąć po ziemi. Jason podniósł ją i klepnął. Palce otworzyły się i

zamknęły gwałtownie, jakby wyrażając oburzenie.

- Jesteś moją jedyną pamiątką - powiedział do dłoni Jason. - Mam nadzieję, że zdajesz sobie sprawę, że muszę tam jakoś wrócić.

Wepchnął dłoń do jednej z dwóch głębokich kieszeni w spodniach. Za każdym razem, gdy się poruszyła, Jason mocno ją uderzał.

Potrzebował dziesięciu minut, żeby odplątać węzły przytrzymujące worek z kamieniami. Sprawdził jego zawartość, żeby na pewno nie zostawić na polu niczego ciekawego. W środku jednak były same kamienie. Wyjął je i schował w worku dłoni.

Ruszył prosto przed siebie. Uznał, że jeśli będzie szedł prostą drogą wystarczająco długo, to w końcu znajdzie cywilizację. Ktoś zasadził i dbał o tę kukurydzę. W końcu dotrze do drogi.

Wkrótce wyszedł na podwórze farmy. Stał tam ładnie pomalowany dom, a obok niego stodoła. Na wielkim podjeździe zaparkowano dwie ciężarówki i samochody z napędem na cztery koła. Opona zwieszała się z gałęzi. Koło huśtawki zostawiono kilka samochodzików zabawek. Ferrin miał rację. To była Ziemia.

Tak długo jedynym, o czym marzył, był powrót do domu. Teraz jednak nie potrafił przestać myśleć o powrocie do Lyrianu. Nie mógł zostawić tam Rachel! Nie mógł pobawić przyjaciół wiedzy, którą posiadał!

Podszedł do frontowych drzwi domu, otworzył drzwi z siatki i zapukał. Drzwi otworzyła kobieta w średnim wieku w koszuli bez rękawów.

- W czym mogę pomóc?

Nagle nie bardzo wiedział, co powiedzieć. Rozumiał tylko, że z pewnością nie może powiedzieć jej prawdy.

- Dzień dobry, nazywam się Jason Walker. Czy mogę skorzystać z pani telefonu?

Podziękowania

Cieszę się, że skończyłem pierwszy tom opowieści o Pozaświatowcach i oddałem go w ręce czytelników. Seria ta powstawała od ponad dziesięciu lat i nie mogę się doczekać, kiedy podzielę się kolejnymi dwoma odcinkami. W ciągu lat powstało kilka wersji brudnopisu pierwszego tomu. Przy pierwszym podejściu nie potrafiłem jeszcze za dobrze opowiedzieć tej historii. Wierzę, że wreszcie przyjęła formę, o jaką mi chodziło. Mam nadzieję, że się nie mylę. W każdym razie wielu ludzi zachęcało mnie i pomagało mi w trakcie pracy.

Przede wszystkim moja żona, Mary, pomogła mi znaleźć czas na stworzenie pierwszego szkicu tej historii, zanim jeszcze zaczęto mi płacić za pisanie, więc do niej właśnie kieruję największe podziękowania. Bez jej wsparcia ta seria w szczególności i moja kariera pisarska w ogólności być może wcale by nie zaistniały.

Ogromnie dziękuję też mojej redaktorce z Simon & Schuster, Liesie Abrams. Pomogła mi znaleźć kilku kluczowych bohaterów i parę punktów zwrotnych, a także podzieliła się mądrymi opiniami w kwestiach dużych i małych. Należy jej się uznanie za pomoc w dokończeniu i wyszlifowaniu tej książki. Bystra kobieta.

Simon Lipskar, mój niesamowity agent, zadbał o organizację tego przedsięwzięcia i również podzielił się ważnymi uwagami na temat całej historii. Cały zespół z Simon & Schuster zasługuje na podziękowania, w tym Mara Anastas, Fiona Simpson, Bess Braswell, Bethany Buck, Anna McKean, Paul Crichton, Lucille Rettino i Lauren Forte. Sammy Yean Jr. i Lisa Vega zasługują na przybicie piątki za projekt świetnej okładki.

Wielu innych czytelników przyczyniło się do rozwoju tej historii. Niektórzy czytali pierwszą wersję wiele lat temu, inni najnowsze poprawki. Owi czytelnicy to między innymi Mary Mull, Bryson Mull, Cherie Mull, Summer Mull, Pamela Mull, Gary Mull, Jason i Natalie Conforto, Dean Hale, Randy Davis, Jake i Dion

Gulbransen, Chris Schoebinger, Tony Benjamin, Lisa Mangum, Liz Saban, Nancy Fleming, Sean Fleming, Mike Walton, Ryan Hamilton i wielu innych, których mogłem pominąć. Tucker Davis przeczytał wszystko skrupulatnie i przygotował rozległe notatki. Bardzo rozległe. W zasadzie zafundował mi zespół stresu pourazowego.

Dziękuję mojej niesamowitej rodzinie, zwłaszcza dzieciom: Sadie, Chase, Rose i najmłodszemu, które jeszcze nie ma imienia - może Calvinowi, może Emmettowi, to się okaże. Także Tifowi, Ty, Cy i Marge, kuzynom, bratankom i bratanicom, siostrzeńcom i siostrzenicom, ciotkom i wujom oraz powinowatym. Zwłaszcza teściowej, która niedawno była bohaterką zapadającego w pamięć wydarzenia, kiedy wspinając się kanionem w pobliżu mojego domu, położyła się wysoko na ścieżce i zwymiotowała z urwiska. Szczera prawda.

I dziękuję Tobie, Czytelniku, za sięgnięcie po tę książkę. Mam nadzieję, że się podobała. Jeśli tak, nie przegap dwóch kolejnych! Poza tym, jeżeli ją polubiłeś, powiedz o tym innym, proszę. Ludzie dzielący się opiniami są najważniejsi dla książek. Odwiedź mnie na mojej stronie BrandonMull.com albo na Twitterze.